

DZIEŁA
TEOD. TOM. JEŻA

W PIERWSZYM ZBIOROWEM WYDANIU.

~~~~~  
**Tom II.**



~~~~~  
LWÓW 1876.

NAKŁADEM A. J. O. ROGOSZA.

W WARSZAWIE
u Michała Glücksberga.



FUW0490198



101615 ✓



OFIARY.

I.

„Ne rodysia krasnym, ale szczasnym“ — powiada przysłowie ludowe. Przysłowie to literalne zastosowanie swoje znalazło w osobie Kasperka Mędzińskiego, który szczęście na drodze znalazł. Urodził się on w warunkach następujących, o których mu ojciec i matka opowiadali często. Z wieczora, kiedy się jeszcze ani zanosilo na to, że on na świat zawita, przychodzi do Mędzińskiego starego z komisarzy zapowiedź, *vulgo* nakaz, stawienia się czuj-świt ze strzelbą na polowanie. Stary na czynszu mieszkał. Nakazów z komisarzy przychodzących słuchać musiał. Rad nie rad przeto, przeczyścił strzelbę, podżerował zamek, przykręcił skałkę i spać się położył wcześniej, aż tu w nocy — rwetes, tartas — budzi się ze snu najsmaczniejszego i dowiaduje się, że ojcem został. Uradowało go to niewypowiedzianie.

— Dał Bóg syna... da i na syna... — pomyślał.

Zaprzął sobie głowę chrzeźnami, które zamierzył wyprawić *honeste* i co się nazywa, i nagle przypomniał sobie o nakazie.

— Daj go katu!... Djabli to polowanie wymyślili!...

Nie było jednak rady. Zażartowanie z nakazu mogło dla szlachcica czynszowego bardzo smutne spowodować następstwa. Odłożył więc chrzeźny na później, ubrał się, włożył torbę myśliwską na siebie, a do torby szrutu, kłaków i chleba kawałek, zawiesił rożek z prochem, strzelbę na ramię zarzucił i do komisarzy się udał, kląć w duchu najprzód komisarzowi, następnie

podkomorzemu, za to, że wymyślili polowanie na ten właśnie dzień, w którym urodził mu się syn i który uświęciłyby wypadało. Cóż jednak począć! Nic nie pomoże kiwanie palcem w bucie. Stary Mędziński przyszedł na komisarzy i spóźnił się nawet nieco, zaledwie bowiem na podwórze wyskoczył, aliści pan komisarz, w lisiurze i butach dużych, na ganek wyszedł i rozkazy wydawał.

— Huczki na zrab!... Strzelcy pod brzozowe zagaje, do Kraglaku... kłusem!... tam się zatrzymać i czekać, aż pan z gośćmi przyjadą!...

Zwrócił się więc stary Mędziński i wraz ze strzelcami innymi, których, w liczbie mniej więcej trzydziestu, tak szlachciców czynszowych, jak chłopów ze wsi spędzono, ruszył pośpiesznie na stanowisko wskazane.

Pod brzozowe zagaje, do Kraglaku — tak się uroczysko zwało — przybiegli strzelcy zadyszani i dobrą godzinę czekać musieli, zanim przybyło towarzystwo liczne, które zjechało się na uczczenie świętego Marcina, podkomorskiego patrona. Święty Marcin przypadał nazajutrz i według zwyczaju w okolicy oddawna przyjętego, sąsiedzi zjeżdżali się dniem przedtem, w celu zapróbowania szczęścia, na wilki, na lisy, na zające zresztą. Zjechali się przeto i w tym roku i przybyli na stanowisko, pod knieję, kiedy nasz Mędziński nakłął już im, co się włożyło, spędzając w ten sposób złość na krzywdę, jaką mu wyrządzili.

— Bodajby strzał wasz każdy był pudłem!...

Tak się wyraziła ostatnia starego szlachcika klątwa, szlachcica, który czasu onego byłby wystąpił boso, ale przy kordzie, obecnie zaś stawiał się na wezwanie jaśnie wielmożnego nie boso, ale bez korda. Wyraziła się ona pod postacią życzenia do niebios zaniesionego. Zobaczmy, czy i jak na życzenie to okazały się niebiosi niegłuchemi.

Podkomorzemu towarzyszyło ze dwa dziesiątki sąsiadów, przywiezionych do kniei wózkami i bryczkami rozmaitego kształtu i różnej wielkości. Byli to wszystko dziedzice okoliczni, obywatelstwo znaczne i znaczące z tego względu, że każdego z nich zdobił tytuł, znamionujący zasługi na ołtarzu obywatelskim złożone. Tego mianowano sędzią, owego deputatem, innego prezesem; ten wystąpił w barankach, ów w lisach, inny w kałankach lub nawet w sobolach; ten głowę przykrył czapeczką, przezna-

czoną na to jedynie, ażeby minę gęstą akcentowała. Ów włożył na łeb czapę z uszami; podkomorzy miał na sobie taradaję z szaraczkowego sukna, z potrzebami i z bobrowym kołnierzem, na głowie zaś przykrycie przypominające kołpaki starodawne. W taradai tej i w kołpaku, z torbą myśliwską przez ramię i ze strzelbą w rękę, wyglądał na hetmana wśród drużyny. Wąsów mu tylko brakło. Wąsy padły ofiarą nowego porządku.

Święty Marcin na białym zazwyczaj przyjeżdża koniu. W roku onym atoli podobało mu się wsiąść na dereszowatego — babie lato panowało przez cały październik prawie i przeszło w porę jesienną bezśnieżną, oświetloną jasnym słońcem i ścinaną ostremi mrozami. Porankami ziemia bieleła się, a łądygi na polach i gałęzie z liści огоłocone po ogrodach i lasach zmieniały się w okiście szronem obrosłe, które o porze południowej brylantowem połyskiwały odbiciem. Białosć od mrozów i szronów odbijała od czarnej ziemi, jak dereszowaciżna na karym koniu. Ztąd przypuszczenie, że świętemu Marcinowi podobało się zwyczaj zmienić, i z tego to powodu jaśnie wielmożni i wielmożni — P. T., jak się wyrażają w Galicji — wybrali się nie saniami, ale bryczkami, które się zatrzymały pod Kraglakiem i z których wysiadali powolnie.

Najpierwszy wyskoczył pan komisarz Bładzikiewicz, pośpieszył do pana podkomorzego i rękę mu podał. Podkomorzy wygramolił się z trudem niemałym, opierając się na komisarzkiem ramieniu, obejrzał się do koła na stopniu jeszcze stojąc i zawołał:

— Bładzikosiu!... książę!...

Bładzikiewicz nie zrozumiał, zdaje się, o co właściwie podkomorzemu chodzi, stanął bowiem i oglądał się.

— Skocz-że, jołopie i podaj księciu ramię!... — odezwał się jaśnie wielmożny z przyciskiem.

Zlecenie to, tak wyraźne, komisarz wykonał z pośpiechem jak największym. Poskoczył do wózka na resorach i podał rękę jegomości otyłemu, który razy parę próbował wsiąść o siłach własnych, za każdym atoli razem, zamiast na zewnątrz wózka, znalazł się w siedzeniu napowrót. Przy pomocy komisarza wy dobył się z pojazdu, stanął na nogach własnych, dał na sobie poprawić torby, co mu się na brzuch zsunęła, sam sobie poprawił na głowie czapki z futerkiem, wziął dziwirowaną strzelbę w rękę

i krechcąc, szedł naprzeciwko podkomorzego, który w kołpaku na bakier kroczył naprzeciwko księcia, wołając zdaleka:

— Cóż, wasza książęca mość!...

— Wyskoczyłem z kabrioletu i gotów jestem iść na zwierza...

— Waszą książęcą mość ożywia rycerski przodków animusz...

— A tak.. tak.. w rzeczy samej... Polowanie pasjami lubię...

— Postaw-że, Błazdikosiu, jego książęcą mość na stanowisku? — rzekł podkomorzy do komisarza mówę zwracając — na które zwierzę będzie walił najbardziej...

— Na skrzydle prawem, jasnie wielmożny panie... tam waga...

Książę posuwał się powoli i ciężko, był to bowiem mąż okazały, z tuszy i rozmiarów, równie jak i z rysów oblicza wielce do słońca podobny, mówiący jednak głosem szczebiotliwym, jakby miał fistulę w gardle. Minał podkomorzego i gdy się o kilka oddalił kroków, ten na komisarza kiwnął i mrugnął, w następujący, głosem bardzo niżonym, odzywając się do niego sposób:

— Postaw-no obok księcia strzelca... rozumiesz?...

— Rozumiem, jasnie wielmożny panie...

— Ktoregoż postawisz?...

— Jużci nie innego, jeno Mędzińskiego...

— Aha... dobrze..., A niech-no on się zemną rozmówi... Gdzie on?...

— Mędziński!... — krzyknął komisarz, kiwając ku gromadzie strzelców ręką. Sam tu!...

Szlachciec wynurzył się z grona czekającego na uboczu na rozkazy, zbliżył się, czapkę zdjął i podkomorzemu w pas się pokłonił.

— Słuchaj-no... — przemówił ten ostatni — chodzi ci o łaskę moją?...

— Jakżeby chodzić nie miało, jasnie wielmożny panie... — odparł szlachciec głową przechylając.

— Słuchaj-że... Błazdikiewicz postawi cię obok jasnie oświeconego księcia... i ty będziesz odpowiadał, jeżeli jego książęca mość choć raz spudłuje, czyli, co na jedno wychodzi, jeżeli na

stanowisku, na którym stać będziesz, kto inny, nie jego książęca mość, cokolwiek zabije...

Szlachciec się w głowę podrapał, robiąc minę straszliwie kwaśną.

— Cóż?... — zagabnął podkomorzy groźnie. Czy ci się to nie podoba?...

— Owszem, jasnie wielmożny panie... Tylko...

— Tylko co?...

— Śpiewaka boli gardło, śpiewać darmo... Jakżeby strzelca krzyże boleć nie miały, gdy będzie pudła jasnie oświecone poprawiał!... A nuż z bólu w krzyżach i ja spudłuję?...

— Przymawiasz się niby o nagrodę?... he?...

— Nie tylko o nagrodę, ile o zaskarwienie sobie łaski jasnie wielmożnego pana... — odrzekł szlachciec chodackowy, w pas się kłaniając.

— Cóż tedy?...

— Nie jeszcze... Jeżeli jasnie wielmożny pan pozwoli mi po polowaniu słówko rzec, to wówczas będę może miał mu co do powiedzenia...

— No, no... dobrze!... Zobaczymy... Teraz idź na stanowisko i spraw mi się należycie, to wprawisz mnie w humor dobry, a ty wiesz zapewne, że gdy w dobrym jestem humorze, to zrobię, co kto zechce... Ruszaj-że i pomnij, żeby książę pan ani jednego nie zrobił pudła...

Stary Mędziński oczy zamknął i głową wstrząsnął. Markotnym był straszliwie, westchnął i w humorze najgorszym stanął pod drzewem, pod które go komisarz przyprowadził, ukazując mu palcem o kroków kilkanaście na lewo postać wyniosłą i otyłą księcia pana. Stanowisko było tego rodzaju, że na niem zwierzę wychodzić musiał na dwóch strzelców razem. Zazwyczaj stawiano na niem jednego a dobrego, i urządzono tym razem spółkę dla tego jedynie, ażeby księciu satysfakcję zrobić.

Strzelców rozstawiono; komisarz ujął zawieszony na nim, na zielonym sznurku, róg bawoli, do ust przyłożył, zadał i wnet z drugiej strony kniei odezwały się okrzyki, hukania i stukania.

— Ahi!... ahu!... Hutiu!... Huhu!... — brzmiało po lesie.

Szron się z gałęzi osypywał; wrony się zrywały i kracząc żałośnie, przelatywały jakby to one były zwierzyną, mającą pa-

dać pod strzałami myśliwych; zresztą, co się palby broni ogni-
stej tyczy, panowała cisza głucha. Huczki ze strony przeciwnej
posuwały się coraz to dalej, zagłębiając się w las, rozróżniać
się już dawały intonacje głosów ich pojedynczo, zwierzyzna się
nie pokazywała. Komisarz, na stanowisku swoim stojąc, myślał
sobie:

— Co u licha!...

I medytował nad tem, na kogoby to, lub na co, winę
złożyć.

Podkomorzy mówił sam do siebie:

— Ha! Błędzikosio!... Otóż mi się spisał na imieniny
moje!...

Inni inne rozmaite myśli w głowach snuli, nie wyjmując
księcia pełnego animuszu, ani też starego Mędzińskiego prze-
pełnionego złym humorem, gdy nagle, na lewym skrzydle, ode-
zwał się huk wystrzału pierwszego. Od skrzydła lewego do
prawego ciągnęła się linia strzelców sześćdziesięciu.

Mędziński głową wstrząsnął i ręką od niechcenia ma-
chnął. Oznaczało to, że nie ma nadziei, ażeby co wyszło na
niego.

Po pierwszym atoli wystrzale nastąpił drugi, po drugim
trzeci, po trzecim czwarty, piąty, szósty, siódmy... dziesiąty...
dwudziesty... trzydziesty — istny ogień rotowy, który biegł
szybko, jakby panewki połączone były drutem, przenoszącym
iskrę elektryczną z jednej na drugą, biegł tak szybko, że zdzi-
wiony fenomenem tym myśliwskim Mędziński, nie skończył mó-
wić „w Imię Ojca i Syna i Ducha świętego“, aliści kot nasunął
mu się pod cel. Wyraz „amen“ na języku mu zamarł. Strzelbę
rzucił do twarzy, wymierzył, cyngiel pod palec ujął; huknął
wystrzał tuż obok niego, Mędziński wytrzymał nieco, cyngiel
pocisnął, wystrzał ostatni się rozległ, zając koziołka wywrócił
jednego i drugiego i skoki wyciągnął.

Cóż to się stało?

Stał się fenomen, godzien zaliczonym być do faktów owych
nadzwyczajnych, nad wyjaśnieniem których ludzie mózgi sobie
suszą. W kniei przesiadywał zając jeden jedyny. W tem nie
jeszcze nie ma osobliwego. Osobliwość polegała na tem, że
zając ów, spłoszony przez huczków, wynosząc się z lasów, na-
tknął się na strzelca lewoskrzydłowego, ten strzelił i chybił.

Zając z najzimniejszą w świecie krwią, wziął w prawo i nie
spiesząc się zbyt, przeszedł równoległe do całej strzelców
linii, jakby umyślnie na to, ażeby ściągnąć na siebie pudeł
pięćdziesiąt dziewięć i zginąć z ręki Mędzińskiego.

Był to zając pierwszy i ostatni.

Odezwała się trąba komisarza. Strzelcy się do Krąglaku
ściągnęli. Podkomorzy na Mędzińskiego mrugnął:

— Kto zabił?...

— To jest... tego... jaśnie wielmożny panie... — bąknął
szlachcic.

— Książę zabił...

— A tak... jego książęca mość...

— Przy księciu więc honor kniei!... — oznajmił podko-
morzy wszem w obec.

— Więcej niż kniei!... — ktoś podchwycił. Książę ura-
tował całego obywatelstwa honor, który ten kot przeklęty na
pośmiechowisko wystawił... Tyle pudeł!... Chryste Panie!... Gdyby
był uciekł, gdyby go był który z pospólstwa lub z chodaczków
zładził, nie śmielibyśmy ludziom w oczy prosto patrzeć... Księ-
ciu chwała!...

— Wiwat książę!...

Wydobyto z wózka, na którym śniadanie jechało, starki
flaszę i wypito za zdrowie księcia z czarki srebrnej wewnątrz
pozłacanej.

I rozprawiano o fenomenie, przywołując na świadectwo
tradycje polowań najslawniejszych i nazwiska myśliwych najza-
wołańszych. Ktoś opowiadał o wilku, co z miną drwiącą prze-
szedł pod ogniem strzelb dwiestu, aż zginął w końcu od guzika
poświęcanego i padając, krzyknął: „Jezus Marja!“

— Taki też to był i wilk!... — zauważył z myśliwych
jeden.

— Któż zareczy, że ten zając, co gdyby nie jego książęca
mość, byłby cało i zdrowo uszedł, nie należy do tej samej co
wilk ów familji!... odezwał się inny.

— Książę przecie guzikiem poświęconym nie strzelał...

— Nie, ale strzelał książę, co za święcenie stanie...

— Prawda!... — odezwano się chórem zgodnym.

— Książę pan wart guzika, a guzik księcia pana...—wyrwał się jeden z gorliwszych wyznawców mistycznego znaczenia znakomitych rodów.

Książę z uśmiechem zadowolenia pochwały przyjmował, zaręczając jeno, że polowanie lubi pasjami i że pudłować zwyczajnie ma.

— Błysnął mi, na cel schwyciłem i jest... Nie rozumiem tylko, dla czego po moim wystrzale odezwał się wystrzał jeszcze jeden...

Podkomorzy zagadał to niedyskretne odezwanie się, które zniweczyć mogło reputację, jaką książę uzyskał, gdyby się dowiedziano, że ów „wystrzał jeszcze jeden“ danym został przez starego Mędzińskiego, który w okolicy całej, jako strzelec, posiadał opinię ustaloną.

Pojechano do kniei następnej, w tej ani omyka nie widziano. Obstawiono dalej brzezinę i wypłoszono ciele, które zginęło z ręki podkomorzego; w dębinie komisarz zastrzelił prosię. Próbowano oczeretów, w których się lisów spodziewano; próbowano darników i bodiaków, w których się wilki ukrywać lubią. Nie znaleziono nigdzie nic. Kłątwa starego szlacheica sprawdziła się z naddatkiem. Były i pudła, które on życzeniem strzelistem z niebios sprowadził; było i niepowodzenie, rzecz możliwa, elementarne. Zwierzyna wyniosła się gdzieś z dóbr rozległych podkomorzego na dzień świętego Marcina i na szukaniu jej naderemnie dzień cały spędzono, męcząc huczków, którzy pod przewództwem esaulów przebiegać musieli piechotą przestrzenie, przebywane przez panów na bryczkach, męcząc strzelców wiejskich, którzy los huczków dzielali. Pomiedzy strzelcami jednak, Mędziński wyjątek stanowił. Komisarz, dla księcia, woził go na bryczce swojej, pozwalając mu łaskawie siedzieć bokiem na półdrabku. Nie było to siedzenie wygodne; co się atoli na wygodzie traciło, to się na szybkości zyskiwało. Stary szlacheic wraz z jaśnie wielmożnymi i wielmożnymi na stanowiska przybywał, gawędkiem się ich przysłuchiwał i obliczom przypatrywał.

Przypatrywał się też i śniadaniu, które o godzinie punkt jedenastej spożywać zaczęto na leśniczówce.

O śniadaniu tem wspominał często, dla tego i my wzmiankę o niem uczynimy. Woń onego pozostała mu we wspomnieniu na życie całe.

— Ach, jak pachło!... Ach, jak pachło!... — mawiał, opowiadając żonie lub sąsiadom.

Pachło w rzeczy samej, przyjechał bowiem kucharz z gotowem w rądlach i kociołkach przyrządzeniami, które na ogniu poustawiał i z których, gdy wieka podnosił, buchał opar aromatem zaprawny. W jednym kociołku odgrzewał się bigos, w drugim dusiły się zrazy zawijane, w trzecim gotowała się kasza na sosie grzybowym; na różnie obracał się udziec sarni, do którego podlewa gotowała się w rądlu osobnym, na dziko zaprawiona; tam smażyły się jarzabki i kuropatwy, ówdzie przypiekały się pierożki, a dla rozgrzania zziębłych myśliwych, grzało się piwo ze śmietaną, z imbirem, z gałką muszkatołową, z serem w kostki i z grzankami z chleba.

Śniadanie to starczyło za obiad. Zastawiono je przed chatą leśniczego, na stołach improwizowanych, które bielizna stołowa i sprzęt kredensowy, przywiezione ze dworu, zmieniły w stoły najregularniejsze. Przywieziono też na furze osobnej i krzesła dla panów. Posiłek naprędce przeciągnął się godziny półtorej, w ciągu której przybyła podkomorzyna, w odkrytym powozie, z synem wyrostkiem lat dziesięciu i z córeczką lat pięciu w towarzystwie guwenera, Francuza, człowieka niemłodego i tak dalece uczonego, że zdaniem podkomorzyny, które podkomorzy podzielał w zupełności, edukacja podkomorzycy ubezpieczoną była pod kierownictwem jego na przyszłość całą.

Przybycie podkomorzyny sprawiło w towarzystwie wrażenie. Panowie pozrywali się z miejsc, sunąc po kolei do ręki pani domu i składając pocałunki na takowej. Pani robiła sobie rum do księcia, który, próbując dwukrotnie nadaremnie udźwignięcia się z siedzenia, za trzecim dopiero razem zamiar swój do skutku przyprowadził i dla tego spóźnił się nieco z oddaniem damie hołdu należnego. Na spóźnieniu tem atoli nie wyszła źle podkomorzyna. Książę szarmancko się uklonił, głowę serwetą utarł — czego nie czynili obywatele inni i odciskali na rękę podkomorzyny maczanych w sosach wąsów ślady — oczki przy-mrużył, oblicze w uśmiech ustroił i dyszkantem pisał:

— Dzień dobry pani... Spodziewam się, że pani dobro-dziejce dobrze się spało...

— Wybornie, mości książę...—była odpowiedź zapytanej.— Jakże się księciu poluje?...

Jego książęca mość uśmiechnąć się raczyła.

— Któż jest bohaterem popisów cynegietycznych?...

— O co baba pyta?... — obiegiło wśród szlachty zapytanie szeptane...

— Kto otrzymał palmę pierwszeństwa w łowczych zapędach?...

— Książę!... — odchrzyknięto chórem — zająca zabił!...

— Spodziewałam się tego...

— Uratował honor obywatelski!...

— Byłam tego pewną... *Imaginez-vous* (tu zwróciła się do guwernera), książę zająca zabił i honor obywatelski uratował...

— *Mon prince!*... jakże mnie to cieszy!... — przemówił Francuz.

— Ehé... ehé... — krechał książę, szukając frazesu jakiegoś stosownego w głowie wielkiej, która, zdaje się, próżną była niestety.

Pani odgadła snadź kłopot potomka rodu znakomitego, zmieniła bowiem treść konwersacji, pytając:

— A młody książę Gotfryd?...

— Młody książę... ehm... bardzo dobrze...

— Zdrow?... wesół?...

— O, i zdrow i wesół...

— Czemuż wasza książęca mość nie był łaskaw zabrać go ze sobą?...

— O... bo... tego te... za młody jeszcze do polowań...

— Nie koniecznie na polowanie, ale możeby się rozerwał w towarzystwie mego Lola i mojej Ludki... Przecież jest Lola rówieśnikiem...

— A tak... tak... rówieśnikiem... Możeby się rozerwał... Nie pomyślałem o tem...

— Lolo, muszę waszej książęcej mości powiedzieć, kocha młodego księcia Gotfryda... wyraźnie kocha.

— O?... Nie wiedziałem o tem... Książę Gotfryd uszczęśliwionym będzie, gdy się dowie... Nie wątpię o tem, o! nie wątpię...

— Niechże książę siada... Panowie!... — przemówiła, zwracając się do grona myśliwych — zabierajcie się do przerwano posiłku... Gdybym była wiedziała, że tyle ambarasu sprawię, byłabym wcale nie przyjeżdżała...

— Co za ambaras, pani podkomorzyno dobrodziejko!... — odzywały się ze stron różnych głosy protestujące.

— Proszę panów!... bigos na stole!... — przemówił podkomorzy.

Bigos aromatem uderzył. Myśliwi, z pewnym skruchy rodzajem, pozdrowili słynne danie, każdy zajął miejsce swoje i zapanowało milczenie ogólne, przzerwane nie pierwaj, aż w olbrzymich salaterkach i na talerzach nie pozostało ani odrobiny. Przerwanem ono zostało słowami podkomorzego.

— Nie pij po rybnie wody, po kapuście wina... Podajcie-no tu miodu!...

Wystąpiły na stół butelki omszone.

— Pierwszy kieliszek, za zdrowie jaśnie oświeconego księcia, który uratował honor obywatelski!...

— Wiwat!... — krzyknęła szlachta głosem jednym.

Okrzyk ten knieje kniejom, ostępy ostępom podały.

Wypito duszkiem, haustem jednym. W czasach onych, bliskich epoki owej pamiętnej, w której kapucyn pewien garniec miodu wychylił i mysz wraz z miodem połknął, pić jeszcze umiano. Lano w siebie wina i miody, jak my dziś wyrodni potomkowie, wody lać nie potrafimy. Po kieliszku pierwszym nastąpił drugi, po drugim trzeci i t. d. Książę wniósł zdrowie gospodarza domu, solenizanta jutrzejszego. Ktoś zaproponował zdrowie gospodyni domu. Francuz nie należał do bigosu, znajdując go *par trop lourd* na swój żołądek; należał jednak do toastów spełnianych miodem, który mu smakował wielce. Po czwartym czy piątym kieliszku, zabrał głos i wypalił przemowę, której z wyjątkiem podkomorzyny i księcia, nie zrozumiał nikt. Zakończył ją wezwaniem:

— *Chantons l'amour...*

Cisnął na podkomorzynę spojrzenie zabójcze i zaintonował piosnkę jakąś z trylami, piosnkę, która była może arcydziełem sztuki śpiewania, z powodu której jednak szlachcice odzywali się półgłosem:

— Beczy jak koza za ogon kręcona...

Szlachcice nie znali się na pięknościach tego rodzaju — i kiedy Francuz zakończył z przyciskiem dosadnym:

— *Vive l'amour!*...

Podochocony obywatel jakiś, wpadając w rym, krzyknął:

— Hur hur!...

Krzyknięcie to wywołało śmiech gromki a ogólny, od wzięcia w którym udziału powstrzymać się nie mogli, ani dostojny książę, ani poważny podkomorzy, ani wielkomasztowa podkomorzyna, ani nawet zadąsany zrazu guwerner, który nie śmiechu a aplauzu się spodziewał.

Wyśmiało się obywatelstwo i o polowaniu sobie przypomniało.

— Na łów, na łów, na łowy!... do zielonej dąbrowy!... — zawołał jeden z grona.

Podkomorzyna odjechała, polowanie wznowiono, przenoszono się z kniei do kniei do samego wieczora i powrócono z niczem — przepraszam, z zającem jedynym, który stanowił całe łowcze trofea.

Stary Mędziński, podczas śniadania, stał sobie na uboczu, wachał, ślinę połykał, przypatrywał się, przysłuchiwał i myślał o jedynaku swoim, który na chrzest czekał. Co on tam zresztą myślał, o tem i sam dokładnie nie wiedział. Zaczęło mu się w głowie rozjaśniać nieco, gdy przyjechała podkomorzyna i przywiozła ze sobą dzieci dwoje. Widok podkomorzynicy i podkomorzanki zafrapował go.

— Mój Boże!... — rzekł w duchu do siebie. — Oto dzieci pańskie... patrzcie no ich... Czy to one inaczej jakoś na świat przyszły, jak mój chłopiec?... Ot, jednak... jak to wygląda!... niby malowanie... niby laleczki... A mój?... Eh!...

Łzawo się staremu koło serca zrobiło.

I znów rozmyślał.

Rozmyślał na stanowiskach wszystkich, na których daremnie strzelbę z odwiedzionem trzymał półkurczem.

Rozmyślając, na półdrabku komisarskim zajechał na podwórzec dworski, z bryczki zeskoczył i do ganku podbiegł, zastępując podkomorzemu drogę.

— A!... to ty Mędzińsiu?...

Szlacheć się do kolan panu pokłonił.

— Cóż mi powiesz?...

— Jaśnie oświecony książę zająca zabił...

— Cóż więc?... To między nami...

— Między nami jest coś jeszcze, jaśnie wielmożny panie...

— Chcesz powiedzieć: Słowo się rzekło, kobyłka u płota... W tem tylko źle, że ja nie wiem co to za słowo...

— Udamę się do łaski jaśnie wielmożnego pana...

— No?...

— Bóg dał mi syna, który jak raz przed polowaniem na świat przyszedł... Polowanie się nie powiodło; może się powiedzie chłopiec, jeżeli jaśnie wielmożny pan ujmiesz go w sieć łaski swojej pańskiej... Spolujesz, jaśnie wielmożny panie, i ojca i matkę i syna... Będziemy za ciebie Boga błagali... Chciałbym chłopca mego na człowieka wykierować...

— Jak mu na imię?... — zapytał podkomorzy znienacka.

— Imienia nie ma jeszcze... Przybył na świat dziś przed dnia świtaniem... Zamiast wieść go do chrztu świętego, poszedłem za rozkazaniem pańskim...

— I dobrześ zrobił, mój Mędzińsiu...

— Uratowałem honor obywatelski... Ten zając...

— Masz rację... — przerwał podkomorzy. — Możesz być pewnym łaski mojej... Czyś szlachcie?...

— Z antenatów, jaśnie wielmożny panie... Za świętej pamięci ojca jaśnie wielmożnego pana, brałem na kobiercu i gardłowałem za starostą nieboszczykiem...

— To dobrze... Wiesz że co... Daj chłopcu twemu na imię Kasper, jak na imię było świętej pamięci ojcu memu, i jak podrośnie, przyprowadź go do mnie, przypominając mi zająca...

Szlacheć w kolana się pokłonił. Podkomorzy odszedł w głąb domu.

II.

Nie masz skutków bez przyczyny — taką jest reguła historjograficzna, która i w powieściarstwie zastosowanie swoje znajduje. Dla tego to, w opowiadaniu niniejszem bierzemy rzecz nieco zdaleka, siegamy do przyczyn pierwotnych, które się następnie w wypadkach rozwijają, jeżeli los pozwoli nam powieść naszą do końca doprowadzić.

Będzie to powieść w wypadki różnego rodzaju obfita. Zapowiadam to z góry, zapowiadając oraz, że Kacperek, aczkolwiek zdaje się, iż około niego głównie interes się nawiązuje,

nie jest powieści bohaterem. Bohater znajduje się jeszcze w regionach dla powieściarza nawet niedostępnych. Matka jego jest już na świecie; on zaś jeszcze nie. Zabierzemy z nim znajomość później nieco, rozwijając rzecz porządkiem chronologicznym, bardzo wygodnym pod tym względem, że nad konstrukcją powieści głowy łamać nie potrzeba. Toczy się sama, jak na walcach.

Opowiadamy tedy.

Kacperek nie bohater, nie po bohatersku też prezentuje się publiczności czytającej. Występuje na scenę ultraprozaicznie. Na początkowe chwile pobytu jego na tym świecie podślonecznym, spędzone w kołysce z łyka uplecionej i do belki na sznurach przywiązanej, rzucamy zasłonę. Nie ciekawe to były chwile. Beczał coraz to głośniejsze i mocniejsze, nie dawał matce wysypiać się po nocach, wynagradzał jej trudy pierwszym uśmiechem, pierwszym wymówieniem dwóch sylab „tatie“, wytłumaczonych wyrazem „tata“, pierwszym pokazaniem pierwszego ząbka, pierwszym staniem na nogach etc. etc. Matki wiedzą co to znaczy. Trzymano go w kołysce długo i nie wyjęto z takowej, aż sam z niej wylazł, na podłogę spadł i guza sobie ogromnego nabił. Wówczas matka przeniosła go na łóżko obok siebie i on rósł, rósł, rodzicom na pociechę, zaczął chodzić, dalej biegać, na kiju jeździć, z batoga trzaskać, kurzawą na drodze się bawić i wiele obiecywać. Matka za cudowne miała go dziecko i była w nim rozkochana. Na rozkochaniu tem źle biedne kobiecisko wyszło, odezwała się bowiem razu pewnego.

— Ach!... ten mój Kacperek!... Co to za chłopiec!... Nie oddałabym go za złote góry... nie rozłączyłabym się z nim za nic na świecie...

Powiedzenie to było przypomnieniem, którego stary Mędziński sam po części unikał, przywiązawszy się do chłopca swego. Ponieważ jednak kobieta przypomniła, więc odpowiedział:

— Złoty gór nikt ci nie da, a rozstać się będziesz musiała...

— Jezus Marja, Józefie święty!...

— Ha! trudna rada... Trzeba chłopca na człowieka krować...

— A czyż on na człowieka nie wyrośnie pod okiem ojca i matki!...

— Wyrośnie!... — podchwycił stary. Cóż z tego!... Wyrość nie sztuka... Rośnie drzewo w lesie i bylina na polu, rośnie bydlę i chłop... Trzebaby jednak, jakoś tego, żeby to on i rozumu trochę zachwycił...

— Jeżeli będzie miał rozumu tyle co ty, to i na co mu więcej?...

— Et... baba jesteś!... — odburknął Mędziński niecierpliwie. — (U bab włos długi, rozum krótki...) Zresztą, gadałem z panem podkomorzym i nie można, żebym z gęby cholewę robił... Jutro prowadzę Kacperka do dworu...

Chłopak miał wówczas lat pięć na szósty.

Matka ustroiła go w koszulkę z zaściżką, w spodeńki czyste, włożyła mu na głowę kapelusik słomiany, uczyła go jak ma się jasnie wielmożnemu kłaniać, przeżegnała krzyżem wielkim i wyprawiała z ojcem, któremu sprzeciwiać się było i bezpotrzebnie i niebezpiecznie. Mędzińska nie rozłączyłaby się z synem za skarby żadne; nie mogła się z nim jednak nie rozłączyć na rozkazanie męża. Nie mogła nawet płakać jawnie przy tej okazji. Łzy ukradkiem obcierała i zdaleka spoglądała, jak ojciec z synem, wyszedłszy z podwórka, udali się wprost do dworu.

Podkomorzy miał zwyczaj przyjmować postulantów na ganku, jeżeli pora sprzyjała; jeżeli zaś nie sprzyjała, nie przyjmował ich wcale. Do spraw ekonomicznych trzymał komisarza i nie lubił, żeby go nudzono. Z tego powodu, kto się do niego bądź z poddanych, bądź też z czynszowników zgłosił, obowiązany był uzbroić się w cierpliwość i czekać na ganku godzinami całymi, aż jasnie wielmożny wyjdzie raczy. Meldowanie nie było we zwyczaju. Domownicy nie pytali wcale o interes. Zdarzało się też nierzadko, że się czekało i czekało, i w końcu odchodziło się z niczem, z postanowieniem niewracania więcej, albo też ćwiczenia się w cierpliwości w dniu jutrzejszym i w następnych.

Mędzińskiemu powiodło się szczęśliwie, nie pod tym atoli względem, że się doczekał po trzech godzinach czekania, a pod tym, że powściągnąć potrafił niecierpliwość chłopca, któremu najrozmaitszych zachciewało się rzeczy: to do domu wracać, to po podwórzu biegać, to kwiaty z kłabu rwać, to przez okno do

T. T. Jeż T. H.



wnętrza dworu zaglądać, to hałasy wyprawiać, to śmiać się, to płakać. Utrzymać go w karbach spokoju i przyzwoitości była to prawdziwa sztuka. Biedny ojczysko raz prosił, znów groził, obiecując to orzeszków garść całą, to różgą, nie byłby jednak z buntującym się mu co chwila synem do końca trafił, gdyby wypadkiem nie znalazł zaklęcia, które go od wybryków powściągało:

— Zobaczysz jasnie wielmożnego pana...

Chłopakowi jasnie wielmożny wydawał się snąć dziwolągiem. Stawał jak wryty, gębę otwierał i zachowywał się czas jakiś spokojnie; gdy zaś znów niecierpliwość okazywał, stary znów do zaklęcia się uciekał i w ten sposób dotrzymać zdołał syna na wodzy, póki podkomorzy nie wynurzył się na ganek.

Że Kacperek miał trochę racji, jeżeli się mu wydawało w rzeczy samej, że jasnie wielmożny jest dziwolągiem jakimś, to miał.

Mieszkał niegdyś na Podolu szlachcic pewien, obdarzony od natury wysokim talentem poetyckim. Szlachcic ów na utworach swoich podpisywał się „Stach z Zamiechowa”. Z utworów jego mało bardzo do druku się dostało. Autor ciskał je na prawo i na lewo, i była epoka, w której zasypał był niemi Podole. Krążyły w odpisach, powtarzano je z pamięci — pomiędzy innemi kursował szczególnie poemacik jeden, w którym autor wyprowadza na scenę Boga Ojca, wychodzącego na niebieski ganek i spoglądającego na ziemię. Szkoda, że ustęp ten wypadł mi zupełnie z pamięci, byłby mi bowiem posłużył do opisanja dobrze postaci podkomorzego, wychodzącego niby bóg jak i Olimpu, w obłokach dymu filtrującego się przez antypkę, bursztyn i usta, w szlafroku pomarańczowym w kwiaty czerwone, w pantoflach żółtych, w chusteczce zielonej na szyi, w kutasach z przodu i z tyłu i w nienajgorszym humorze. Gdy się ukazał, szlachcic synowi ostatniego udzielił napomnienia, targnął go za ramię i odezwał się z przyciskiem:

— Cyt!...

Niepotrzebnie jednak to uczynił. Chłopczyzna skamieniał. Ten cybuch, ten bursztyn, te barwy, te kutasy, te pantofle, ta mina nakoniec nie do opisanja — mina potentata, świadomego potęgi skinienia swego jednego — wywarły na niego wrażenie takie same, jakie przypisywano ongi oczom Meduzy. Skamieniał

z gębą otwartą i z oczami szeroko rozwartemi. Stary Mędziński pokłonił się panu do kolan, i:

— Ukłoń że się jasnie wielmożnemu... — rzekł do syna.

Mógł jednak do niego grzmiącemi, jak działowe wystrzały, wyrazami przemawiać, chłopczynaby się ani ruszył. Ojciec zdjął mu kapelusik z głowy, on o tem ani wiedział. Barwy w oczach mu migaly; podkomorzy wydawał się mu nie człowiekiem, a co najmniej pawiem, papugą lub czemeś podobnem, jeżeli nie jednym z zesłańców owych, którym niebiosą łaskawe zstępować na ziemię niekiedy pozwalają, ażeby przypominać ludziom, że tam w górze myślą o nich i mają na nich oko. Stał niby wryty, wlepił w jasnie wielmożnego oczy i był świadkiem głuchym rozmowy następującej:

— A, to ty, Mędzińsiu!... Nie poznałem ciebie...

— Tak jest, to ja, jasnie wielmożny panie... Ściele się do stópek jasnie wielmożnego pana...

— Podstarzałeś setnie...

— Lata, jasnie wielmożny panie... Lata, cóż robić!... Płyną, *ninaczej* ta woda... nie zatrzymać ich przetakiem...

— Aleś krzepki jeszcze...

— Ot, jak mnie jasnie wielmożny pan widzi.

— Czy będzie na jutro pogoda?... — zapytał podkomorzy, puszczając z ust kłęb dymu i powodząc wzrokiem po niebie.

Mędziński także okiem po niebie powiódł i odpowiedział:

— Bóg to wiedzieć raczy... Znosi się niby na pogodę... Jasnie wielmożny panie — zaczął — przychodzę do jasnie wielmożnego pana.. (tu się nisko pokłonił).

— Z interesem... — podchwycił podkomorzy. — Wiesz przecie, że interesa wszelkie załatwiają się na komisarji... Od tego trzymam komisarza, któremu płacę i okradać się pozwalam, ażeby sobie zapewnić spokój... Idź więc do niego mój kochany...

— Ależ ja, jasnie wielmożny panie... ja... tego... te... — bąkał zmięszany szlachcic — ja... względem tej obietnicy najłaskawszej...

— Jakiej obietnicy?... — zagabnął podkomorzy porywczo nieco.

— A tej-że... e... tej... co to od zająca...

— Od zająca?... Czyś ty nie pijany, kochanku?...

— Jasnie wielmożny panie!... — zawołał szlachcic. —

Niech mnie Bóg na tym oto chłopcu (tu Kacperka za ramię ujął i przed sobą go postawił) ciężko pokarze, jeżeli dziś kieliszek wódki wypił...

— Cóż to za chłopiec?...

— A ten-że sam, co się urodził tego dnia, kiedy to.. ten zając...

Podkomorzy ramionami rzucił. Snać wydawać się mu musiało, że szlachcic, jeżeli nie z gorzałką, to z zajączkiem w głowie przyszedł i wypłata koszałki opałki.

— Ten zając — ciągnął Mędziński — co to sześćdziesiąt pudeł zjadł i jaśnie oświecony księżę niby go zastrzelił...

— Aahaa!... — zawołał podkomorzy przeciągle.

— Jaśnie wielmożny pan przypomina sobie... — odezwał się szlachcic tonem otuchy odzyskanej.

— A jakże... Przypominam sobie... Będzie temu?...

— Lat pięć się skończyło na święty Marcin, zeszłej jesieni... Będzie lat sześć, jeżeli, Bóg da, jesieni tej doczekamy...

— Przypominam sobie... — powtórzył pan. — Księżę Norbert Gamajda...

— I jego książęca mość spudłował, ja poprawił, zając skoki wyciągnął i ani zipnął, bom go w makutrę chłasnął, a jaśnie oświecony księżę... uratował honor obywatelstwa...

Podkomorzy uśmiechnął się i dymem z fajki zaciągnął.

— Owóż — prawil Mędziński ośmielony — chłopiec ten przyszedł wówczas na świat i jaśnie wielmożny pan kazał mi go Kacprem, przez pamięć na jaśnie wielmożnego starostę nieboszczyka, nazwać i łaskę swoją pańską dla niego przyobiecał... Owóż tedy, jaśnie wielmożny panie (tu szlachcic ku ziemi, z ręką do stóp podkomorzego wyciągniętą, się pochylił), przychodzę najlaskawszą obietnicę przypomnieć...

Podkomorzy, poraz pierwszy, rzucił na Kacperka okiem z ukosa, zmierzyl go od stóp do głowy i odparł:

— I cóż chcesz, żebym ja ze smarkaczem takim robił?...

— Jaśnie wielmożny panie, ja tylko przypomnieć przychodzę...

— Myślisz więc, że ja zapominam, com obiecał?...

— Niech mnie Pan Bóg bron!... — zawołał szlachcic. — Ja tylko... ja tego... ja te... Baba moja przypomniła mi, a że chłopiec podrośł już trochę...

— Niechże podrośnie jeszcze trochę... Nie obiecywałem ci przecie, że do niego niankę przyjmę... Wyniańcz go sam z babą twoją, a gdy będzie miał lat dziesięć, dwanaście przynajmniej, wówczas mi go przyprowadź... Znajdę dziurę jakąś, którą nim zatkam... Teraz atoli... sam osądź...

— Tak to ono jest, jaśnie wielmożny panie... — odrzekł szlachcic, kłaniając się.

— Otóż widzisz... — podchwycił pan, nie dając mówić dalej ojcu, który chciał powiedzieć, że syn stanowi całą nadzieję, całe szczęście jego. — Jak będziesz miał interes jaki, to udaj się na komisarję...

— Ale co się chłopca tyczy?...

— Co do chłopca, zobaczymy... Bądź zdrow...

Nie pozostawało Mędzińskiemu nic innego, jak oddać ukłon głęboki, wziąć syna za rękę i wynieść się z podwórca.

Rezultat ten bytności pierwszej u podkomorzego wielką matce radość sprawił, z tego mianowicie względu, że zniechęcił trochę ojca do podkomorzego. Wyrażenie mianowicie „dziurę zatkać“ wydało się staremu szlachcicowi podejrzanem.

— Co to!... Myśli dzieckiem mojem dziury zatykać?... — mówił sam do siebie.

W opowiadaniu wszelako, którem żonie i innym z rozmowy z panem sprawę zdawał, o wyrażeniu tem przemilczał. Znaczyło to, że nie brał go do serca nader żywo.

Kacperek tedy pozostał w domu pod okiem ojca i matki, albo raczej, po za ich okiem, oni bowiem, pracą zajęci, czasu nie mieli zwracać baczość na chłopca, który też rósł sobie wśród innych dzieci wiejskich, jak rośnie żreback w stadninie, bujał, brykał, tem się jedynie od dzieci wiejskich odróżniając, że spodnie nie na oczkórze, a na pasku na guziki kościane zapinanym i koszulkę nie z żyżką a z kołnierzykiem wykładanym nosił. Spodnie i koszulka ze zgrzebnego były płótna. W ogólności, szlachta czynszowa odznaczała się od chłopów krojem jeno odzieży, sporządzanej z materiału tegoż samego — odznaczeniu temu podlegały i dzieci. Chłopięta szlacheckie pyszniły się guzikami, mając się za istoty wyższe od chłopskich, wyrastając jednak wśród tych ostatnich w warunkach zupełnie jednakowych, jak nasz Kacperek, który, jakeśmy wyżej powiedzieli, bujał, brykał, następnie gęsięta pasał, kurczęta od jastrzębi bronił

prosiat doglądał, dalej i z cielećkami w pole chodził, przytem, kopce sypał, ptaszęta z gniazd wybierał, na jagody i na grzyby do lasu biegał, słowem, wychowywał się nie lepiej i nie gorzej, jak rówieśni mu, poddani jasnie wielmożnego Kostrzewickiego, a mieszkańce wsi Ohrebyszcze, która wraz z przyległościami, ak również z kilku innemi wioskami, stanowiła majątek ziemski rozległy i intratny. Z Kacperkiem jednak, albo raczej w Kacperku, dziwna jedna zaszła zmiana. Jasnie wielmożny, w postaci pawia, papugi, czy też zjawiska nadziemskiego, nadzwyczajne na umysł jego wywarł wrażenie. Chłopczyzna o zjawisku tem roić zaczął, a to w ten sposób, że stopniowo zdawał sobie z widzenia sprawę coraz to bardziej fantastyczną. Zrazu nie wiedział, co to się stało. Na zapytania matki, odpowiadać nie umiał.

— Cóż, Kacperku, widziałeś pana?...

Chłopiec oczęta w matkę wlepiął i milczał.

— Cóż on mówił?... Czy mówił co do ciebie?... czy cię nie pogłaskał pod brodę?...

I na te zapytania milczenie jedyną było odpowiedzią.

W kilka dopiero dni opowiadać zaczął, ale jak! Mówił o dymie i o słonku.

— Taki był dym... dym... dym (tu chłopiec paluszkami w powietrzu kręcił) a w dymie tym słonko chodziło raz od pyska, znów do pyska...

Dalej opowiadał, że widział u jasnie wielmożnego uszy bardzo długie i nos wielki, a z nosa wylatywały rojami muchy jakieś błyszczące. Znów w przypomnieniu przywidywał się mu ogon i rogi; innym razem skrzydła, twarz zaś pana świeciła niby monstrancja. Dziwadła i koniec. Rojenia te atoli, powtarzając się i rozwijając, były dla ojca pewnym rodzajem *memento*, utrzymującego go w raz powziętem postanowieniu, tembardziej, że syn okazywał do pana ciekawość niepowściągniętą. Chłopiec dopytywał się od czasu do czasu:

— Tatuńciu, a kiedyż pójdziemy do jasnie wielmożnego?...

— Poczekaj, aż ci się lat dwanaście skończy... — była niezmienna ojca odpowiedź.

Kacperek pilnował swoich dwunastu lat i kiedy mu się takowe na święty Marcin skończyły, ojcu spokoju nie dawał.

Stary jednak kalkulował.

— W jesieni iść nie wypada, ani też zimową porą... poczekam do wiosny...

Na wiosnę przedstawił się z synem poraz pierwszy, więc uważał to już jako antecedens legalny, od którego odstępować nie wydawało się mu rzeczą przyzwoitą. W tym więc duchu synowi odpowiadał.

— Da Bóg wiosny doczekać... pójdziemy...

Ażeby jednak rzecz zupełnie po formie zrobić, udał się najprzód sam do pana komisarza, któremu zwięźle i wyraźnie interes przedstawił i który mu na to odpowiedział ściśnieniem ramion i słowami następującymi:

— To nie moja rzecz...

— Nie mógłby wielmożny pan komisarz jasnie wielmożnemu panu podkomorzemu słówkiem natrać?...

— Czy to ja nie mam do natrącania rzeczy ważniejszych!...

— Tak... no... zapewne... Myślałbym przecie, żeby to ono wielmożnemu panu nie zawadziło...

— Nie zawadziło... hm... Posądzonoby mnie o konszachty ze szlachtą czynszową, jak posądzają o zmywy z kupcami zboża... Idź stary, i nie nudź mnie... Mam ja i bez chłopca twego kłopotów na głowie niemało... Idź wprost do jasnie wielmożnego podkomorzego... Głowy ci przecie z karku nie zdejmie, a jeżeli byś w kark oberwał, to ci to honoru nie nadweręży... Wiesz zapewne — dodał tonem przekąsu — że „słowo pańskie ciepłe, grzeje jak kozuch“...

Nie było rady. Nie pozostawało, jak tylko powtórzyć próbę zrobioną przed laty sześciu. Stary Mędziński przeto, kazał babie ogarnąć chłopca ochędożnie, sam się odział odświętnie i ruszył do dworu.

Zapisane śnać było w księdze przeznaczeń, że mu się będzie z podkomorzym wiodło, tym razem bowiem nie czekał i pół godziny. Podkomorzy wyszedł jakby do niego umyślnie, i zoczywszy go, zwrócił się do niego z zapytaniem następującem:

— Masz ty, stary, oczy dobre?...

— Niczego, jasnie wielmożny panie...

— Patrzaj-że się na drogę... hen... tam... Nie widzisz tam czego?...

— Widzę, jasnie wielmożny panie...

- Cóż przecie?...
- Widzę pojazd... Konie wzdłuż... sześcioro...
- Hm... To dobrze...

To rzekłszy, pan dłoń do czoła przyłożył, i zasłaniając nią oczy od słońca, przypatrywał się z zajęciem karecie, która się powoli po drodze do Ohrebyszc prowadzącej posuwała. Droga widną była daleko. Z ganku dworskiego wzrok sięgał na odległość pół mili przynajmniej, obejmując najprzód wieś rozrzuconą malowniczo w parowie, w którym zatrzymana groblą rzeczka, rozlewała się w staw obszerny, odbijający w sobie, niby w zwierciadle, wieże dwóch cerkwi i dużo, dużo chat wieśniaczych nad brzegami onego pobudowanych, i wymykając się następnie w pola, pomiędzy łąny, wśród których wiły się drogi i widzieć się dawały tu i owdzie krzyże wysmukłe, rozstawione niby wartownicy w chrześcijańskim kraju. Po jednej z dróg toczyła się kareta, ściągająca na siebie uwagę podkomorzego.

— To dobrze... — powtórzył sam do siebie. — Ta kareta wiezie mi spokój do domu... Cóż ty mi powiesz?...

Zapytanie odnosiło się do starego Mędzińskiego.

— A cóż!... — odparł zapytany, kłaniając się uniżenie. —

Przychodzę znów wedle obietnicy i wedle chłopca...

— Jakiej obietnicy?... jakiego chłopca?... — rzucił pan od niechcenia.

— Obietnicy jaśnie wielmożnego pana; chłopca mego... oto tego, którego przyprowadzam do łaski jaśnie wielmożnego pana...

Podkomorzy z ukosa rzucił okiem na Kacperka, nie osłupiałego już jak dawniej, zdziwionego tylko nieco. Zdziwienie jego ztąd pochodziło, że nie znalazł jaśnie wielmożnego takim, jakim go sobie w imaginacji przedstawiał. A gdzie!... zupełnie nie ten. Widział przed sobą nie istotę jakąś pawio-papuzią, a zwyczajnego śmiertelnika, w surduty i spodnie nankinowe ubranego człowieka, który na niego spojrzał i ojca zapytał:

— Cóż więc, ów chłopiec?...

— Mój syn, jaśnie wielmożny panie, nazwany Kacprem na rozkaz jaśnie wielmożnego pana, urodzony w tym samym dniu, w którym do jednego i tego samego zająca spudłowało sześćdziesięciu strzelców, a w ich liczbie i jaśnie oświecony

książę Norbert Gamajda... Działo się to w dzień świętego Marcina, lat temu dwanaście... Zająca zabiłem ja, i z tego powodu jaśnie wielmożni i wielmożni panowie pili zdrowie jaśnie oświeconego księcia na leśniczówce, a jaśnie wielmożny pan obiecał mi najlaskawiej wziąć syna mego pod opiekę swoją i wy kierować go na człowieka...

Stary wypowiedział to tchem jednym. Miał zamiar mówić jeszcze coś więcej, odetchnął bowiem i zaczął „a więc“, lecz podkomorzy krzyknął:

— Lewicki!...

Lewicki było to nazwisko kamerdynera, który też niebawem na ganku się zjawił.

— Weź chłopca tego (tu oczami na Kacperka wskazał) i opoleruj go trochę!...

— Słucham jaśnie pana...

— Trzeba go odziać inaczej...

— Sruł właśnie w oficynach liberję sporządza, na rozkaz jasnej pani...

— Otóż to... Niech-że ogarnie chłopca tego, a komisarzowi powiesz, ażeby go do rejestru wciągnął z pensją stosowną... sześć rubli rocznie i odzież...

— Słucham jaśnie panie... — była ostatnia kamerdynera odpowiedź, po której zwrócił się do Kacperka, i kiwnąwszy głową na niego, rzekł:

— Chodź...

Chłopiec poszedł za kamerdynerem.

Stary Mędziński, w osłupieniu prawie, wysłuchał rozmowy powyższej i zaledwie wiedział, jak mu syna z rąk wzięto. Spoglądał wzrokiem błędnym, to na drzwi, za którymi Kacperek zniknął, to na podkomorzego, który się wciąż pokazującemu się coraz to wyraźniej na drodze pojazdowi przypatrywał. W głowie starego zapanował chaos. Nie umiał zdać sobie sprawy z tego, co się stało. Nie chciał wierzyć temu, że syn jego postawił krok pierwszy na drodze kariery lokajskiej, która, bądź co bądź, wydawała się mu wstrętną. Nie wiedział jednak, co począć. Dyskutować z panem, umawiać się z nim, wskazówki mu dawać, wydawało się mu rzeczą potworną; zgodzić się na to, ażeby dziecko jego na lokaja się kierowało, wydawało się mu rzeczą niegodną. Jak tu wybrnąć z trudności tak nagle

i niespodzianie spadłej? Myślał w pokorę uderzyć, do nóg pańskich się rzucił i... i... Nie wiedział co począć.

I gdy tak stał w zakłopotaniu, na ganek wyszła pani.

— A nuż do pani uderzę?... — błysnęła staremu myśl w głowie.

Nie mógł jednak myśli tej do skutku przyprowadzić niezwłocznie, podkomorzyna bowiem ani na niego spojrzała, ani zważała, że z boku znajduje się istota jakaś człowiecza w karpocie z grubego sukna, z laską w rękę i z głową łysą pokornie pochyloną, a z obliczem takim, iż mogłoby służyć za model do obrazu, na którymby malarz przedstawić chciał starego Polaka. Zajętą była czem innem. Podeszła do podkomorzego i zapytała:

— Więc?...

— Spełnione pragnienia twoje... — odpowiedział podkomorzy.

— Jada?...

— Widzisz ich pod krzyżem?... Wjeżdżają właśnie w koło wrót... będą tu za chwilę..

— Będziesz ich spotykał na ganku?...

— Po to właśnie wyszedłem... Cóż Ludka?...

— Było trochę fochów, ale to przeminęło... Rola ofiary podobała się jej widocznie... zwyczajnie młoda, rozmarzona główka...

Podkomorzy westchnął.

— Pan byłeś i jesteś ojcem zbyt słabym... — odezwiała się podkomorzyna z przyciskiem, odpowiadając niejako na westchnienie małżonka.

— Niesłusznie obwiniasz mnie, Klareczko... — odrzekł podkomorzy łagodnie.

— Zawsze z dziećmi przeciwko mnie...

— Zawsze z tobą, moje życie!... — podchwycił mąż. Przy tobie stoję i stać chcę...

— A jednakże... okazywałeś tyle dla romansowych chimer Ludki pobbłażania!...

— Żał mi było dziecka... Proszę cię, zastanów się tylko, wszak ona rzeczywiście robi z siebie ofiarę...

— Co za ofiarę!... Człowiek młody...

— Młody, goły i taki, z którego by wykroić się dało ludzi

czterech tuszy dobrej, a przytem... hm... przytem... jakby to powiedzieć?... No... Nie nader dowcipny...

— Ah! co tam!... *il ne manque pas cependant d'un certain esprit...* — rzekła pani po francusku. — Tego mu odmówić nie można... Co zaś do majątku, za ten mitra stanie... *Ça vaut quelque chose...*

— Zapewne... Dla tego też, widzisz moje życie, jestem z tobą...

W tej chwili słyszeć się dało palenie z bata. Pani dała jeszcze panu rozporządzenie dotyczące się salonu, do którego goście wprowadzeni być mieli, i sama znikła z ganku.

Stary Mędziński znów powrócił do zamiaru rzucenia się podkomorzemu do nóg, lecz zanim się zdecydował, zajęła przed ganek karetą i zatrzymała się. Karetą należała do rodzaju pojazdów owych, które zwano „arkami Noego“, z powodu, iż mieścić w nich można było rodziny całe z niańkami, mamkami, z pieskami, kotami, małpkami, papugami i kanarkami. Miała przypływać nieco herby z boku na drzwiczkach i z tyłu na pudle, resory wysokie, w budzie luźne dla odnawiania powietrza wewnątrz; pomalowaną była na żółto. Wewnątrz znajdowało się dwóch jegomości, siedzących jeden naprzeciw drugiego. Jednym z nich był znajomy już nam książę Norbert Gamałda, mąż, jak wiemy, okazały, który dla tego sam siedzenie zajmował, że obok niego ktoś drugi pomieścićby się nie mógł. Drugim był dostojny syn jego, ów młody książę Gotfryd, o którym była wzmianka w rozdziale poprzednim, z którym jednak zabranie znajomości odłożyć musimy do następnego.

Przybycie tych panów zniewoliło starego Mędzińskiego do zaniechania zamiarów wszelkich. Westchnął stary szlachcic głęboko, ręką machnął, syna Bogu polecił, wyniósł się z dworskiego podwórca i za wrótami dopiero czapkę na głowę włożył.

III.

Próżność jest przywarą nader pospolitą. Choroba ta, w rodzaju ospy naturalnej, trapi ludzkość biedną, czepiając się szcze-

gólnie natur słabszych jakimi są niewiasty. Przyczynia się do tego potężnie wychowanie, jakie się mianowicie pannom posażnym daje, wychowanie krzywiące w tych biednych istotach pojęcia o świecie, o życiu, o obowiązkach, o zadaniach i celach ludzkich, a wszczepiające w nie natomiast próżność, próżność straszliwą, wygórowaną, wyuzdaną, osłoniętą jeno polorem, na który składają się wyuczone, w małpi sposób, formy pożycia towarzyskiego, zaprawne jedwabnemi słówkami, uśmiechami i miłosiernymi uczynkami.

Uwagi powyższe odnoszą się do pani Klary Kostrzewickiej, małżonki pana Marcina i matki pana Karola i panny Ludwiki.

Podkomorzyna w gruncie nie była kobietą złą. Niestety chciało, że urodziła się panną posażną i z tej przyczyny dano jej wychowanie z baczeniem na to, że nauka nie może być dla niej przydatną, a to dla tego, raz, że jest kobietą, powtóre, że ma pieniądze. Polerowano ją jednak, to znaczy, karmiono umysł jej pianką nauki, przez co rozwinięto w niej przywarę spólną całemu rodzajowi ludzkiemu do stopnia potęgi najwyższej. Próżność ją rozpierała.

Wyszła za podkomorzego. Była to partja bardzo dobra i zupełnie odpowiednia, tak pod względem majątkowym, jak pod względem znaczenia. Podkomorzy, obok majątku znacznego posiadał wielkie w obywatelstwie poważanie, wyprowadzał się z senatorów, miał rozum w ilości jak na potrzeby powiatowe dostatecznej; miał swadę, umiał się i wypisać i wyjęczyć, słowem był to w okolicy swojej brylant, który prochu nie wynalazł, któremu jednak szlachcice we wszystkim wyższość jednogłośnie przyznawali. Podkomorzyny atoli to nie zadowalało — czemu? — mogła była wyjść za kogoś lepszego. Uważała więc siebie za pewien rodzaj ofiary, wydanej na pastwę przez rodziców własnych. To mniemanie jej odbiło się na pożyciu jej małżeńskim, które uczynić potrafiła pełnem kolców dla małżonka, nie poczuwającego się względem niej do winy najmniejszej. Sceny małżeńskie, przychodzące jak burza bez chmnr i bez racji jakiegokolwiek, stały się chlebem powszednim. Podkomorzego irytowało to zrazu, rzucał się i zrywał, staczał dysputy, w których zdawało mu się, i racja i logika po jego znajdowały się stronie i przekonał się tylko, że racja i logika są bronią do niczego

w walkach z małżonką. Dał więc za wygraną. Wycofał się powoli z pola, na którem przychodziło do styczności z żoną, wypuścił jej we władanie absolutne głos pierwszy we wszelkich kwestjach małżeńskich, odwrócił się od dzieci i spokoju nie uzyskał. Ona była wciąż ofiarą; on był męczennikiem. Sztuka pożycia małżeńskiego zesłała do zachowywania *decorum* wobec ludzi i tego też dokazał, że ludzie go poważali, żona gryzła.

Podkomorzy w końcu został filozofem.

— Niech gryzie — powiedział sobie. — Co mi tam!

Podkomorzyna przyjęła do Karolka guwernera Francuza, pana de Lurey, człowieka, co chociaż abusiem nie był, posiadał jednak, jak abusie, wiadomości encyklopedyczne i moralność formułkową bez zasad żadnych. Podkomorzy byłby wolał syna oddać do szkół publicznych. Uledez wszakże musiał żonie, która we względzie szkół, nie miała nic przeciwko nauce, ale przeciwko towarzystwu.

— Jakto, mój Lolo miałby się pospolitować w zbiorowisku Bóg wie jakim!... Na to nie pozwolę za nic w świecie!...

I na swoim postawiła. Lolo pobierał nauki od pana de Lurey, bez metody, bez systemu, bez programu żadnego, skacząc z przedmiotu na przedmiot i zbierając ziarenka wiedzy niezdolne umysłu zapłodnić, a tylko imaginację roziskrzyć.

Podkomorzyna przyjęła do Ludki guwernantkę, także Francuskę, jedną z owych pozytywek nauczaniu poświęconych, co to, umiając niby wszystko, nie są w stanie gruntownie nauczyć niczego. Guwernantka nazywała się ponętnie, panna de Maintenon, grała, śpiewała, tańczyła, rysowała, była przytem nie stara i całę przystojna a rodziła się w Paryżu, łączyła więc w sobie doskonałości wszelkie. Z jej przybyciem, edukacja się ukompletowała pod dyрекcją naczelną samej pani. Pan de Lurey i panna de Maintenon dopełniali się wzajemnie, rozpoczynając lekcje nigdy wcześniej jak o dziesiątej, a i później w dniach niektórych i ciągnąc takowe nigdy dłużej jak do dwunastej. Przed dziewiątą służba jeno we dworze wstawiała. Muzyka odbywała się w godzinach popołudniowych, rysunek w porach dnia nieoznaczonych, wieczory zaś spędzano na tańcach, w których udział brała nierzadko i podkomorzyna, pod pozorem dawania dzieciom dobrego przykładu. Gdy goście się zdarzali, co często

się przytrafiało, wówczas tańce występowały pod postacią popisów solowych, lub też zmieniały się w improwizowaną ogólną zabawę, kosztem nauki, która na dni parę, w razie takim szła w zawieszenie.

Tryb ten wychowania musiał podkomorzego zadowalać. Dzieci, zdaniem podkomorzyny, czyniły postępy olbrzymie.

Czyniły postępy rzeczywiście, lecz w nasiąkaniu owemi wiadomością łatwemi, które nauka serjo jako plewę odwieża. Poznawały one życie ze strony onego wielkoświatowej, którą anegdota tłumaczy, dowcip uświetnia, kaprys zapełnia a formalizm otacza.

Wychowanie samo przez się, w sposób niejako naturalny, podzieliło się na ustępy, których opisywać nie będziemy, a tylko je scharakteryzujemy tytułami ogólnemi.

Ustęp pierwszy: romans pana de Lurcy z podkomorzą, przerwany deklaracją, z okazji której pani wytłumaczyła jasno Francuzowi, że go rozumie, że nad stanem duszy jego ubolewa, że atoli uczuć jego podzielać nie może, z powodów wiadomych tylko jej jednej a drugiemu Bogu.

— Bądźmy przyjaciółmi, panie de Lurcy...

— Dla czegoż przyjaźni nie podnieść o jedną nutę wyżej?...

— Dla tego... że... widzi pan... musielibyśmy się rozstać...

Nie wiadomo, jaki właściwie ostatnie te wyrazy sens miały. Przypuszczamy, że podkomorzyna wymówiła je w znaczeniu romantycznym, nastąpiło bowiem po nich westchnienie, głębokie i wnet stłumione. Pan de Lurcy jednak wziął je w sensie pogrożki, odnoszącej się do arcykorzystnej posady, jaką przy podkomorzycu zajmował. Wzięcie ich w tym sensie zbawienno na zapalę jego miłosne wywarło wpływ. Z kochanka ognistego stał się od razu przyjacielem wiernym i konfidentem wypróbowanym.

Ustęp drugi: romans podkomorzego z panną de Maintenon, prawdopodobny, ale nie prawdziwy, a to dla powodów wielu a wielu, z których wymienimy tylko dwa: najprzód obawa — podkomorzy stłumiłby w sobie miłość najrzeczywistszą, byle się podkomorzynie nie narazić; powtóre, ta okoliczność, że jako dziedzic włości rozległych, uważał siebie za ogrodnika, mającego pełne i niezaprzeczalne prawo do zrywania kwiatów z grzą-

dek własnością jego będących. Grządkami były, w oczach jego, włości, kwiatami poddanki.

Francuska posiadała zaletę jedną wysoką, nóżki prawdziwie paryskie, cudnie piękne. Podkomorzy może się i znał na tem, groza atoli podkomorzyny czyniła go i ślepym i głuchym, co go jednak nie uwolniło od scen paru burzliwych w stopniu najwyższym i od konieczności błagania żony o przebaczenie. Podkomorzyna znalazła się wspaniałomyślnie. Przebaczyła mężowi, nie oddaliła Paryżanki i tę jeno satysfakcję sobie zrobiła, że przedstawiła panu de Lurcy bezmierność ofiarności własnej.

— Pani!... zawołał ten ostatni w uniesieniu. Pani jesteś kobietą nadzwyczajną (*une femme extraordinaire*)!...

— Wszystko to dla dzieci...

— Matki podobne znajdują się tylko pomiędzy Polkami!...

— Spełniam jeno powinność moją...

— O! pani!... Takie powinności spełnianie nazywa się poświęceniem... Znam jedną tylko kobietę, do pani podobną..

— Którą? — zapytała podkomorzyna z akcentem zdziwienia.

— Królowę francuską, ale Polkę... Marja Lekopińska...

— Marja Leszczyńska... chcesz pan powiedzieć zapewne...

— *C'est ça...* Trudno mi wymawiać nazwiska polskie... ale nie doznaję trudności najmniejszej w admirowaniu niewiast polskich... Pani jesteś kobietą niepospolitą... Trzeba panią umieć poznać i cenić...

— Ach! panie de Lurcy — westchnęła podkomorzyna.

Ustęp trzeci, obejmujący epokę paroletnią, upłynął na układaniu wielkiego planu, pomysł którego urodził się w głowie podkomorzyny, połączenia węzłem małżeńskim pana de Lurcy z panną de Maintenon. Plan ten atoli rozbił się o szkopuł jeden, który wyrósł nagle i niespodzianie. Wszystko już było ułożone. Pani zwierzyła się guwernerowi i guwernantce i sprowadziła pomiędzy nimi deklarację. Para gruchała już na ton amoroso, i chodziło o nic więcej, jak o naznaczenie dnia ślubu, kiedy panna de Maintenon otrzymała z Francji list, donoszący jej, że gdyby wyszła za pana de Lurcy, to byłaby drugą jego żoną żyjącą.

— Widzisz pani, co za zbrodniarz!... — mówiła Paryżanka, odczytując list podkomorzynie. — Nie wzdrygał się przed popełnieniem poligamii...

— Nie bądźmy w sądach naszych o bliźnich zbyt surowi... — zauważyła podkomorzyna. — Pan de Lurey jest pomimo to człowiekiem bardzo dystygowanym... Proszę nie robić z tego esklandry...

— O tem ani myślę!... — była Paryżanki odpowiedź. — Umieć ocenić wysoko jego przynioły...

— Pomówię z panem de Lurey...

Zaledwie jednak podkomorzyna, wezwawszy go na rozmowę poufną, usta w tej materji otworzyła, alści pan de Lurey zawołał:

— *Mais!... mais!...* panna de Maintenon ma męża...

Podkomorzyna osłupiała.

— Ja jej jednak nie czynię z tego zarzutu najmniejszego... Niez to kobet idzie za mąż na nieszczęście własne!... Pani to rozumiesz...

Podkomorzyna westchnęła.

— Znalazłem się — mówił Francuz — w tym samym co panna de Maintenon wypadku... Nie mogłem żyć z żoną moją, jak ona z mężem swoim...

— Czemużeś mi pan nic o tem ani wspomniał, podczas kiedy usiłowałam, w myśli najpiękniejszej, połączyć was węzłem małżeńskim!...

— Ach pani!... — odparł Francuz, wsuwając rękę prawą za kamizelkę. — Są tajemnice serca, których nie sposób wyjawiać... Są zasłony, których zdzierać nie można bez pokrwawienia się...

— Kochasz więc pan pannę de Maintenon?...

— Nie.... — odrzekł Francuz krótko i sucho.

— Kochasz pan jednak?...

— Kocham!... — pochwycił głosem takim, że przestraszył spoczywającego na kolanach pani pieska, który zeskoczył, pod kanapę się schował i szczekać gwałtownie zaczął.

— Panie de Lurey!...

— Pani!... Jesteś istotą wyższą, wejdiesz więc w położenie moje... Jestem jak człowiek na śmierć skazany, któremu wszystko jedno, jaki go spotka śmierci rodzaj... Dla mnie było

to rzeczą zupełnie obojętną zostać, lub nie zostać mężem panny de Maintenon... Pani rozkazałaś mi: idź!... szedłem, jak na śmierć, nie zważając na nic, nie pomnąc o przeszłości mojej własnej... Gdybyś mi pani rozkazała: idź! rzuć się w nurty jeziora tego, które tam widać (tu ręką na widny przez okno staw, ukazał)... poszedłbym i rzucił się... Są, pani, tajemnice serca... Och!...

Francuz się łokciem na kominku oparł, nogę na nogę założył, brwi zmarszczył i twarzy wyraz bólesci nadał.

— Wchodzę w położenie pańskie... — zaczęła podkomorzyna łagodnie. — Bywają położenia okropne...

Francuz westchnął głęboko.

— Całą więc tę rzecz w zapomnienie puścimy...

Z łatwością to przyszło, albowiem wszystko troje, podkomorzyna, Francuz i Paryżanka, zainteresowani byli w utrzymaniu tajemnicy.

Ustęp czwarty: romans pana Karola z panną de Maintenon.

Ustęp ten miał rozwiązanie tragiczne.

Z „ogrodowej altany“ podkomorzyna zdyszana wpadła na pokoje „z wściekłością i trwogą“, przebiegła komnat szereg i nie zatrzymała się aż w apartamencie, służącym za rodzaj ustronia, w którym podkomorzy, zdala od małżeńskiego zgiełku, miał zwyczaj oddawać się paleniu fajki i dumaniu o niebieskich migdałach. W ustroniu tem z wiernym Lewickim rozmawiał niekiedy o kwiatach, wyrastających na grządkach włości jego. Lewicki miał oko wprawne i znał gust pański na wylot. Stał właśnie przed rozwalonym w fotelu panem, kiedy wpadła podkomorzyna — błada, włos w nieładzie, oczy zaiskrzone. Wpadła przed mężem stanęła, ręce wyciągnęła, krzyknęła:

— Marcinie!..., wszystko na głowie mojej, a ty nie wiesz o niczem!... Tyś przecie ojciec!...

— Cóż tam, Klareczko?... — zapytał podkomorzy flegmatycznie, przybierając w fotelu pozę poprawniejszą nieco.

— Nie wiesz o niczem!...

— O czem, na przykład?...

— Każ natychmiast konie zaprzęgać!... Albo nie!... Każ dać podwoję ze wsi!... wóz prosty!... najdrabiniastszy!...

T. T. Jeż. T. II.

i niech!... i niech!... Och!... — pochwyciła się ręką za piersi. — Lewicki!... wody!...

Zwaliła się na kanapę.

Lewicki po wodę poskoczył.

— Życie moje!... Klareczko!... — przemawiał mąż, usiłując wyrazom nadać akcent jak najbardziej tkliwy.

— Nie wiesz o niczem!... A tyś ojciec!... Wypędzić trzeba!...

— Kogo?...

— Wypędzić!... Wywieźć z manatkami za granicę dóbr naszych i wyrzucić!...

— Kogo?...

— Psamibym wyszczuć kaziała!...

— De Lurcy?...

— Marcinie!... — zawołała kobieta drżąc drganiem nerwowem. — Co ja widziała!... Co ja widziała!... tam... w altanie!... Włosy mi na głowie się preżą... Ona w objęciach jego!...

— Ona (tu głos podkomorzego zadrżał, pomyślał bowiem o córce, która już podówczas lat piętnaście liczyła) — w objęciach de Lurcy?...

— Marcinie, na Boga!... Nie de Lurcy, ale de Maintenon!...

— Ona?...

— Tak jest... w objęciach Lola!...

Podkomorzy uśmiechnął się uśmiechem uspokojenia.

— Tyś ojciec!...

— Cóż więc, życie moje... Uspokój się... Niech cię tak nie alteruje bagatelka taka...

— Bagatela?!... — krzyknęła podkomorzyna, podrażniona obojętnością małżonka.

— No... nie... Nie bagatela, jeżeli chcesz... Biorąc jednak rzecz względnie, zważyć należy na to, że Lolo kończy niebawem lat dwadzieścia... i że...

— Trzeba tę Paryżanicę wypędzić!... — przerwała pani.

— Trzeba jeżeli chcesz... ale nie robiąc z tego rzeczy nadzwyczajnej... Wyprawimy ją pocichu... Ludzie na nas patrzą...

Słowa te trafiły snąć do przekonania podkomorzyny, odrzekła bowiem:

— Rób sobie jak zechcesz... Zawsze się kończy na tem, że się staje wola nie moja ale twoja... Niech mi tylko bezwstydnica

ta zejdzie z oczów jak najprędzej... dziś... natychmiast... Widzieć jej już nie chcę, nie mogę, bo... bo... nie ręcę za siebie... Widzieć się z nią nie pozwolę Ludce... Rób jak chcesz... Wola moja, życzenia moje są u ciebie niczem... Przekonałam się o tem w ciągu dwudziesto-trzechletniego pożycia naszego... Potrafięś zrobić mnie z kobiet najnieszcześniejszą... Możesz sobie tego po-winszować. *Adieu!*...

Z kanapy się zerwała, wyszła drzwiami, trzasnęła i słysząc się dał głos jej, rozlegający się po komnatach.

— Ludko!... Ludko!...

Wołała na córkę, w celu oderwania jej od kobiety, z którą zetknięcie wydawało się jej nieczystem. W porę się opatrzyła.

Podkomorzy kazał do pojazdu zaprządz, pannę de Maintenon obrachował, należność jej całkowicie wypłacił i wyprawił ją do miasta najbliższego.

Ustęp piąty: romans Ludki z synem sąsiada, który zrazu rzadko, następnie coraz to częściej znajdował się na lekcjach tańców wieczornych. Romans ten skleił się w taki mniej więcej sposób, w jaki dwa ptaszki zlatują się wypadkiem, siadają na gałęzi jednej i dziobkami się całują, wydał się zaś po wyjeździe Paryżanki, która jak się pokazało, osłaniała go ze względu na Lola. Lolo i Paryżanka, Ludka i młody sąsiad — syn szlacheica dziedziczącego część na koloakacji — stanowili dwie pary rozkochane, stawające na warcie jedna przy drugiej. Warta była udziałem kochanek. Kiedy duet amoroso odprawiała para pierwsza, to czaty odbywała Ludka. Kiedy gruchaniu miłosnemu oddawała się para druga, wówczas panna de Maintenon chodziła z książką w rękę i za pomocą chrząkania znać dawała o zagrażającym niebezpieczeństwie.

Podkomorzynie, w rzeczy samej, włosy się na głowie preżyły, gdy się o manipulacji tej dowiedziała. A dowiedziała się o niej w rok po wyjeździe Paryżanki. O, jakże żałowała, że jej pod ręką nie miała! Jakież apetyt do ciała jej czuła! Z jakimże gustem kazałaby ją najprzód oćwiczyć, następnie za granicę dóbr swoich wywieźć! Tu zaś, jak na toż, pożalić się nawet przed kim nie miała: mąż bowiem, — temu wyprawiała dzień po dniu, niekiedy godzina po godzinie sceny furioso, zwałając, rozumie się, winę całą na niego; pan de Lurcy, ten wywiózł Lola za granicę, raz dla edukacji młodego podkomorzycy, powtóre —

i to głównie — dla rozerwania za pomocą podróży umysłu jego i wytrzeźwienia onego z romansowego upojenia. Sama pani podała ten środek, pozbawiając się przez to powiernika. Nie przewidywała odkrycia, które życie jej zatrzaśnięło.

Odkrycie to stanowiło ustęp piąty i ostatni wychowania dzieci, przeprowadzonego całkowicie pod kierunkiem i pod okiem matki.

Takaż to i matka!... — ktoś powiedzieć gotów, posadzając nas, jeżeli nie o przesadę, to o podawanie wyjątku jakiegoś za prawo ogólne. Nie przeczy my wyjątkowości sposobu, w jaki się ułożyło następstwo aktów wychowania domowego w ohrebyjskim dworze; przeczy my jednak jak najmocniej i jak najuroczyściej, ażeby wychowanie podobne wyjątkowem być miało. Niestety! jest ono rozpowszechnionem aż. zanadto. I inaczej być nie może. Jakże chcieć, ażeby matka, sama źle wychowana, dobrze dzieci własne wychować zdołała! Nauka przecie, wedle mniemania bardzo ogólnego, niepotrzebna jest pannom posażnym. Podkomorzyna posażną była.

Wychowanie, ujęte w ramy romansów, które się przez lat dziesięć rozwijały, nie mogło wydać rezultatów pomyślnych. Ze wszystkich tych romansów, któreśmy powyżej wyliczali, najmniej rażącym, najbardziej naturalnym i najmocniej podkomorzyńską irytującym był ostatni. Młodzi ludzie pokochali się. Przyszło to samo przez się, wskutek szeptów owych niepojętych, które poeta w duszy dziewczęcia podsłuchiwał. On był młody i ona była młoda. Po sercach ich, jak po strunach lutni, wionął wiatr i one oddźwiękiły harmonijnie. Dzięki czatom Paryżanki, on mógł ją do ognistej przycisnąć piersi! O jakże rozkosznie im było! Nie wdawali się w dyskusje żadne. Kochali się i przysięgali sobie wzajemnie, że się kochać będą do świata skończenia i po świata skończeniu.

Miłość ich zawiązała się na wieczorkach owych improwizowanych, na które przypadek sprowadzał często po osób kilka, niekiedy po kilkanaście. Poznali się. Jemu, jak na toż, na imię było Gustaw, a na czole miał napis niby: „chwat chłopiec“. W tańcu przytem był dziarski, zwłaszcza w mazurze, szczególnie gdy tancerkę okręcał. Czynił to na jednej pięcie, nieinaczej jak w powietrzu. Gdy raz w ten sposób okręcił podkomorzyńską, krzyknęła wprawdzie, „ach!“, ale się jej, mimo to, słodko zro-

biło i łaskawie przemawiała do pana Gustawa, pomimo, że był synem człowieka, co nie miał pełna sto dusz majątku, i członkiem rodzeństwa liczącego głów dziesięć. Cóż dziwnego, że Ludka sercem do niego skoczyła! — do niego, nie zaś do młodego księcia Gotfryda, przyjeżdżającego regularnie dwa razy na tydzień na lekcje tańców. Różnica pomiędzy nimi zachodziła ogromna. To był chwät, to zaś worek, mający u spodu nogi, a na wierzchu głowę ludzką. Z naciskiem powiadamy „ludzką“. Głowa bowiem młodego księcia, wielka co do rozmiarów, była jednak kształtna, miała uszy proporcjonalne i oblicze, pod względem rysów, regularne, a nawet kształtne, typu wschodniego — nos zgrabnie wykrojony, oczy duże czarne, czoło niezbyt wyniosłe lecz i nie wąskie, włos gęsty czarny, kręący się na skroniach i nad czołem naturalnie, w wyrazie zaś ogólnym, jakim oblicze to przemawiało, rozlewała się melancholia wzbudzająca politowanie. Żał zbierał, patrząc na młodego człowieka, będącego wytworem natury chybionym. Głowa kształtna, osadzona na tułowiu potwornym prawie. Widziało się w nim rasę jakąś zwiedzioną, bardziej jeszcze aniżeli w ojcu, którzy pomimo twarzy i uszów nadnaturalnych, więcej miał jednak w postawie ogólnej, do człowieka podobieństwa. Postawa księcia Gotfryda, był to worek szeroki a krótki, nogi krótkie a grube, ręce jakby przypławne.

Książę Gotfryd pobierał także wychowanie domowe; miał zatem przy sobie guwernera, nie Francuza jednak. Guwernerował mu eksjezuista, który po skasowaniu zakonu, znalazł schronienie gościnne w pałacu księcia Gamajdy i znalazł się w pogotowiu, jako mentor, w chwili przyjścia młodego księcia na świat. Książę Norbert byłby może przyjął jeszcze bodaj metra, do języków nowożytnych i talentów, ale odłużony majątek nie pozwalał na ten zbytek. Dochody starczyły zaledwie na opłacanie procentów i utrzymywanie splendoru w stanie konserwy, pozostającej w nieruchomości. Przyczyniała się do tego znacznie ociężałość potomka rodu znakomitego. W pałacu krasinowieckim, od czasu zwłaszcza zgonu księżnej pani, która świat ten pożegnała w chwili, gdy syn nań przychodził, życie zatrzymało się niejako na punkcie jednym. Zdawało się, jakby Jozue jakiś zatrzymał nad Krasinowcami słońce, i wszystko tam pozostało w takim stanie, w jakim znajdowało się w chwili zgonu dostojnego

dziadka księcia Gotfryda. Książę Norbert długów nie przysparzał, ale też i nie umniejszał, innowacyj żadnych nie wprowadzał, nie nie zmieniał, sług nawet nowych nie przyjmował i trzymał się nieruchomości na stopie odpowiedniej świetności imienia. Pałac stał, zabudowania przy nim stały, park się rozlegał, wszystko to było jak dawniej i tylko ząb czasu podgryzał i nadgryzał powoli mury, drzewa, ozdoby, meble, sprzęty i ludzi.

Ksiądz jezuita odegrywał w pałacu krasilowieckim rolę bardzo ważną, pomimo, że nie posiadał żadnego tytułu oficjalnego. Bez niego nie działo się nic. Książę o niczem nie wiedział, wiedzieć nie chciał i wiedzieć nie mógł. Ojciec Korski wyręczał go i zastępował we wszystkim, znosząc się bezpośrednio z wierzycielami i oficielistami, i umiając tak jednym jak drugim imponować powagą tajemniczą, która od postaci jego była. Człek niemłody, słuszny, suchy, surowego wejrzenia, małomowny, wzbudzał do siebie, samą powierzchownością swoją, szacunek i wiarę. Żydzi w miasteczku — Krasilowce bowiem miasteczkiem były — kłaniali mu się niżej jak księciu samemu, obywatelstwo okoliczne miało go za pewien rodzaj wyroczni, przemawiającej „jakby z książki czytał“. Pochodziło to ztąd, że ojciec Korski wysławiał się poprawnie i uciekał się niekiedy do cytowań łacińskich. Zresztą był to mąż uczony, jak wszyscy w ogóle członkowie zakonu, do którego należał, i do dania edukacji zupełnie przydatny. Brakowało mu tylko wychowanka odpowiedniego. Książę Godfryd nie nadawał się na takowego. Umysłu przytępionego, pojętności ciężkiej, nie korzystał, ile inny na miejscu jego skorzystałby niezawodnie od nauczyciela, umiającego grać na duszach ludzkich, jak na cymbałach, tony jedne głuszyć, drugie wydobywać i podnosić, stosownie do upodobania własnego. Niestety! ton żaden w duszy młodego księcia podnieść się nie dawał.

Ksiądz Korski nauczał go jednak. Formował z niego tabakierkę, grającą sztuk tyle a tyle, stosownie do nakręcenia.

Podkomorzy, gdy zaprowadziły się w Ohrebyszczach lekcje tańców, zaproponował księciu Norbertowi przysyłanie na takowe syna. Propozycja uczynioną była z delikatnością jak największą. Nie chodziło tu o lekcje, ale o wieczorki tańcujące, urządzone dla młodzieży pod okiem starszych i nauczycieli. Inspiratorką

propozycji tej była podkomorzyna. Książę odniósł się do Ojca Korskiego, ten zaś nic w tem nagannego nie znalazł.

— I owszem... — były słowa jego. — Niech Jego książęca Mość zażywa rozrywki godziwej..

Młody książę jeździł do Ohrebyszcz co poniedziałek i co czwartek, z wyjątkiem adwentu i wielkiego postu, przez lat kilka ciągiem jednym. W wycieczkach tych towarzyszył mu zwykle kamerdyner stary, ojciec rzadko, ks. Korski nigdy. Młody człowiek był przedmiotem uprzejmości jak najserdeczniejszej ze strony pani domu, rozpadającej się nad nim. Uprzejmość ta podobiała się mu. Ruszał się i ożywiał, stawał do ronda, przechodził się w mazurze, próbował niekiedy podskoczyć, i zawsze regularnie o pół do dziesiątej opuszczał towarzystwo, aż je opuścił całkowicie, gdy skończył lat ośmnaście. Tak chciał ksiądz Korski. Podkomorzy nadaremnie jeździł do Krasilowiec z zaprosinami. Książę na zaprosiny odpowiadał podziękowaniami, lecz nie tłumaczył się, dlaczego syna posyłać przestał; O. Korski zaś, przez podkomorzego zapytany, odpowiedział krótko:

— Nie wypada...

Zachodzić musiały względy jakieś, tyjące się przyzwoitości. Podkomorzyna gniewała się, to jednak nic nie pomogło.

Młody książę bywać przestał na lekcjach. Nie zerwały się atoli przez to stosunki sąsiedztwa dobrego pomiędzy pałacem krasilowieckim, a domem ohrebyskim.

IV.

Sceny furiosissimo, jaka się odbyła, gdy akt piąty dramatu edukacyjnego na jawnie nagle wystąpił, nie zdołałbym opisać w sposób taki, ażeby się ona czytelnikom uprzytomniła. Nie posiadam talentu odpowiedniego. Należałoby ją i opisywać i malować i dramatyzować. Była to bowiem scena i malownicza i dramatyczna, a przy tem wielce skomplikowana. Za teatr służyły jej kolejno apartamenta pani, pana i panny, salony, pokoje bawialne, pokój jadalny, korytarze, sienie i sionki. Podkomorzyna przebiegła dwór z końca w koniec w charakterze zaczepnym, napadając to na męża, to na córkę. Do pierwszego przemawiała:

— Tyranie!... niegodziwcze! ojciec wyrodny!... człowieku czci i wiary pozbawiony!...

Do drugiej mówiła:

— Córkę występna!... niewdzięcznico!... niegodna tego, ażeby cię ziemia nosiła!...

Podkomorzy kazał sobie konie do karjolki zaprządz, chcąc snąć usunąć się z oczów rozżalonej zbytecznie małżonki. Gdy się podkomorzyna o zamiarze tym dowiedziała, weszła do podkomorzego z królewską powagą, stanęła przed nim, wzrokiem go od stóp do głowy zmierzyła, i rzekła:

— Tak?... Nie dość więc, że *samą* w zwykłym życia trybie jestem, *samą* jeszcze chcesz mnie pan zostawić w chwili rozpacz?... Winszuję... Jest to czyn, godny męża i obywatela...

— Klareczko... Ależ... Chciałem tylko w pole pojechać, zobaczyć, jak schodzi żyto jare...

— Che, hm... — zaśmiała się podkomorzyna ironicznie.

— Powróciłbym za pół godziny najdalej... Ale... jeżeli...

— Proszę jechać... Proszę sobie dla mnie przymusu nie zadawać... Byłam *samą*, pozostanę *samą* ze smutkami moimi i z rozpaczą... A!... (tu się dłonią za głowę schwyciła). W chwili takiej nie mieć nawet z kim pomówić!...

— Ależ ja jechać nie myślę... Lewicki!... — krzyknął — każ konie z karjolki wyłożyć... Siadaj, Klaruńciu... Boleję głęboko nad tem, co się stało... Któżby się jednak spodziewać mógł!... Ludka, pod okiem twojem wychowana!... No... proszę...

Słowa te zawierały przymówkę w sobie. Podkomorzyna nie zrozumiała jej może, a może nie dosłyszała, wpadła bowiem w zamyślenie chwilowe, w którym usiadła na kanapie, i rzekła:

— Nie ma rady innej...

— Co, życie moje?... — zapytał podkomorzy.

— Trzeba złemu zaradzić szybko, energicznie i radykalnie...

— Zaradziłaś już przecie...

— Co?... — zapytała pani z przyciskiem.

— Młodziak ten nie przestąpi już więcej progu domu naszego...

— Więc to ja... ja *sama*... *sama* jedna, robić mam wszystko!... Och! jakaż ja *sama*!...

Wyrazy ostatnie pełne były łez.

— Klaruńciu!... Klareczko!... Powiedz, cóż robić mam ja?...

Gotów jestem na wszystko... nawet, jeżeli chcesz, na strzelanie się z tym chłystkiem... Szlachcie dobry... Chcesz? wyzwanie mu poszlę...

Podkomorzyna wzrokiem niepewnym spojrzała na męża, który w rzeczy samej gotów był, zapomocą nadstawienia łba własnego, kupić sobie pokój domowy.

— Chcesz?...

— I do czegoż to doprowadzi?...

— Albo ja zginę, albo on zginie... Będzie to szybko, energicznie i radykalnie...

Podkomorzyna wyglądała przez chwilę, jak wyglądać zwykły człowiek, własną pobity bronią. Trwało to jednak bardzo krótko. Głową wstrząsnęła i odrzekła:

— Jest to sposób łatwy, niedorzeczność popełnić... Nie o pojedynek tu chodzi, a o to, żeby Ludwikę za męża jak najrychlej wydać...

— Przeciwno temu nie mam nic...

— To nie dosyć... Trzeba jeszcze, żebyś był za tem i żebyś się o to postarał...

— Niechże się kto zgłosi...

— Jeżelibyśmy na to czekali, to doczekalibyśmy się mogli drugiego pana Gustawa...

— Więc?...

— Należy działać... Przekonawszy się, że Ludwika skłonna jest do wyboru jak najgorszego, obowiązek nasz rodzicielski nakazuje nam postarać się o znalezienie dla niej męża odpowiedniego...

Podkomorzy zrobił minę bardzo markotną, przeczuwając dla siebie pracę herkulesową.

— Dobrze... — rzekł kwaśno. — Masz rację, życie moje...

— Pochlebia mi to wielce, że mi rację przyznawać raczysz... Nie na tem atoli koniec...

— Oczywiście...

— Ty ojciec... Czyś ty pomyślał o losie dziecka twego?...

— Myśleć myślałem, ale, przyznam się, w przyszłości oddalonej nieco... Wydawało się mi, że się z Ludką spieszyć nie ma co, że należy czekać...

— Ażeby się panów Gustawów doczekać... — podchwyciła pani.

— To nieszczęście... wypadek...

— Będący czekania następstwem prostem i naturalnem...
Ludwika lat ma szesnaście i głowę rozmarzoną...

— Rozmarzoną... — powtórzył podkomorzy, mając zamiar zapytać: dzięki czemu?... powstrzymał się jednak na myśl sceny, jakoby zapytanie to niezawodnie wywołało.

— Trzeba się więc spieszyć...

— Dobrze... Z czem jednak?...

— Z wydaniem jej za męża...

— Za kogo?...

— Za księcia Gotfryda Gamajdę... — odpowiedziała podkomorzyna tonem, replikę wszelką z góry niweczającym.

Podkomorzy spojrział tylko na żonę.

W spojrzeniu tem malował się wykrzyknik: czyś oszalała!...

Zamiast wydania atoli wykrzyknika tego, odpowiedział spokojnie:

— Dobrze... Nie mam przeciwko księciu Gotfrydowi nic...

Czy tylko on zechce, a raczej nie on, ale księżę Norbert, bardziej zaś O. Korski?...

— To już rzecz twoja...

— Moja?... Jeżeli O. Korski nie zechce, cóż ja poradzę!...

— Nie do mnie należy rady tobie dawać... Powiadam tylko, że Luwikę trzeba za księcia Gotfryda wydać...

— I ja potrzebę tę uznaję... Pozwolę sobie tylko tę zrobić uwagę, że jest to wyciąganiem dziewczyny na wielką ofiarę...

— Na ofiarę!... — podchwyciła pani. — Cóż to za ofiara księżną zostać!...

— Dostać na męża niedołęgę i oddać posag cały na oczyszczenie go z długów...

Podkomorzyna nic na to nie odpowiedziała. Milczała przez chwilę i po chwili zaczęła:

— Przekonałam się, że pomysł wszelki, odemnie pochodzący, jest przez ciebie z góry potępiony... Co żona powie, wszystko złe... Żałuję mocno, że ci pomysłu tego nie nasunęła przez kogoś trzeciego... Byłbyś go znalazł doskonałym... Ale, że pochodzi od żony, wnet więc i obiekcje się znalazły, obiekcje, pozwól to sobie powiedzieć, nacechowane brudną interesownością... Cóż to!... dla posagu więc szczęście dziecka poświęcać mamy!... Dla posagu los jej zagrażać!... Księżę Gotfryd nie bardziej aniżeli

księżę Norbert niedołężny, a przecież nie słyszałam, ażeby księżna nieboszczka nieszczęśliwą z mężem być miała... Ale, na co się to gadanie moje przyda!... Wiem z góry, że nic z tego nie będzie...

Wstała i do odejścia się zabierała.

— Lewicki!... — krzyknął podkomorzy. — Każ zaprządz konie do kocz!...

— Słucham, jasnie panie!... — odezwał się głos za drzwiami.

— Czy w pole, ażeby oglądać żyto jare?... — zapytała pani z przekąsem.

— Nie... do Krasilowiec...

— Proszę pozdrowić odemnie księcia pana...

Wysła.

Podkomorzy, przy pomocy Lewickiego i drugiego jeszcze lokaja, przebrał się żywo. W pół godziny później wsiadał do kocz, a po upływie drugiej pół godziny wysiadał z takowego przed krużgankiem, wspartym na kolumnach sędziwej starości. Na spotkanie jego wyszło dwóch służących, siwizną przypruszonych, odzianych w liberję, dawne pamiętającą czasy.

— Księżę pan w domu?...

— W domu, jasnie wielmożny panie... — odpowiedział jeden z nich, poprzeczając gościa i otwierając przed nim podwoje. Niech jasnie pan chwilę zatrzymać się raczy, natychmiast zamelduję jasnie oświeconemu księciu...

Zostawił podkomorzego w salonie, którego okna wychodziły na podwórzec, sam zaś udał się w głąb pałacu.

Podkomorzy znał dobrze pałac krasilowiecki, niemniej jednak rozpatrywał się w nim w chwili obecnej z pewnym rodzajem zajęcia, zatrzymując wzrok raz na meblach, wyszłych z mody oddawna, znów na okryciach i firankach spłowiałych, dalej na obrazach, przykrytych niby powłoką, pod którą domyślać się należało malowideł, wreszcie spoglądał przez okno, wodząc okiem po trawie, porastającej na podwórzu. W pałacu i dokoła niego panowała cisza głucha. Podkomorzy czekał niedługo, jak minął dwadzieścia. Stary lokaj wszedł, podwoje otworzył i gromkim głosem przemówił:

— Jasnie oświecony księżę prosi jasnie wielmożnego pana.

Księżę znajdował się w pokoju tuż obok. Siedział w krześle z poręczami, przy stolicku, nieopodal od okna, z którego widok wychodził na park, rozwijając się w pejzaż wcale ponętny.

Grupy drzew, łączki, ruiny kiosków, kilka posągów, otwory grot i szkielety mostków na kanale, w którym wody nie było, stanowiły całość malowniczą. Księżę dźwignął się z krzesła, opierając się łoniami o poręczę, postąpił kroków kilka naprzeciw podkomorzego, i rękę do gościa wyciągając, zaczął:

— Witam sąsiada szanownego... Jakże mnie cieszy przybycie jego!... Spodziewam się, że pan dobrodziej w dobrym znajduje się zdrowiu...

— Dziękuję waszej książęcej gości... Jakże wasze zdrowie, gości książę?...

— A... — machnął księżę ręką. — Proszę siadać...

Ukazał gościowi krzesło i sam, osunąwszy się w swoje, pomilczał przez chwilę z miną taką, jakby się zastanawiał nad zagadnieniem jakim, i znów zaczął:

— Spodziewam się, że rodzina asana dobrodziej, dostojna podkomorzyna i piękna podkomorzanka, w dobrym znajdują się zdrowiu...

— Dziękuję księciu panu za pamięć łaskawą... Żona moja i córka zdrowe są, Bogu dzięki... zasiedają waszej książęcej gości pozdrowienia jak najserdeczniejsze...

Księżę z uśmiechem poważnym głową na podziękowanie skinął. Znów pomilczał przez chwilę i znów zaczął:

— Spodziewam się, że asana dobrodziej pomyślnie od podkomorzyca dochodzą wieści...

— Dziękuję waszej książęcej gości za troskliwość łaskawą... Karol przebywa obecnie w Paryżu i bardzo tam sobie podoba.

— Karol?... — zapytał księżę tonem takim, jakby nie wiedział, o kim mowa.

— Syn mój... — dodał podkomorzy...

— A... w Paryżu sobie podoba...

Nastawił się, jakby dalej rzecz o Paryżu miał ciągnąć, pomilczał przez chwilę i zaczął:

— Spodziewam się, że pogoda dobra...

— Dobra, gości książę...

— Pozawczora... wszak tak? pozawczora?... deszcz padał...

— Padał, gości książę...

— Spodziewam się, że jutro nie będzie padał...

— Może sprawdzą się słowa waszej książęcej gości...

— Hm... — odparł księżę i zamyślił się. — Spodziewam się, że droga jest dobra...

— Wyborną, gości książę... jedzie się jak po stole i kurzawy wielkiej nie ma...

Odpowiedź ta, zdawało się, miała dostojnemu gospodarzowi przyjemność sprawić.

— O!... widzi asan dobrodziej... droga dobra... hm... Spodziewam się...

Spuścił głowę, oczy wlepił w punkt jeden na podłodze i zamyślił się. Mina jego wydawała człowieka, pracującego głową. Widocznym było, że do ostatniego „spodziewam się“ usiłował coś dodać i nie wiedział co. Myślał, myślał, oczy rozszerzał, brwiami mrugał, aż wymyślił наконец:

— Spodziewam się, że asan dobrodziej spał dobrze tej nocy...

Podkomorzy uśmiechnął się sam do siebie i odparł:

— Nie najlepiej, gości książę... Miałem sen rodzaju osobliwego...

— O! proszę!... sen?... — z żywym zainteresowaniem się podchwycił księżę. — I jakież to?..

— Śnił mi się książę Gotfryd w przepaść padający...

Księżę głowę podniósł, oczy szeroko otworzył, usta otworzył, oblicze mu się przedłużyło, wyglądał jak człowiek przeżony.

— Przeraziło mnie to niewypowiedzianie; oblał mnie pot zimny; poskoczyłem, pochwyciłem księcia Gotfryda w pół i... obudziłem się...

Księżę odetchnął, jakby wielki ciężar z piersi zrzucił.

— Sen ten zmęczył mnie wielce...

— Ale książę Gotfryd w przepaść nie wpadł?... — zapytał księżę.

— Nie... oczywiście...

— Asan dobrodziej wpół go pochwycił?...

— Ja i córka moja...

— Panna Ludwika?... No, proszę... A to sen szczególny, nadzwyczajny, muszę powiedzieć o nim i księciu Gotfrydowi i ojcu Korskiemu... A może asan dobrodziej sam im opowie, bo ja nie rękę za siebie... Zirykowałbym się zbyt, a mnie szkodzi irytacja wszelka...

— Najchętniej, mości książę...

— Może asan dobrodziej masz ochotę odwiedzić księcia Gotfryda i księdza Korskigo?..

— Bardzobym tego pragnął, mości książę...

— A... to... najłatwiej uczynić pragnieniu asana dobrodzieja zadość... Oni być muszą u siebie...

Mówiąc to, książę wziął w palce dzwoneczek, który mu na stoliku pod ręką leżał, poruszył nim, dzwoneczek wydał odgłos jęgliwy; na progu pojawił się stary sługa.

— Zaanonsuj księciu Gotfrydowi i jego wielbności księdzu jezuitcie, że jegomość pan podkomorzy, Marcin Kostrzewicki, odwiedzić ich życzy sobie...

Sługa odszedł. Książę pogrążył się w zadumę, w której pozostał aż do powrotu sługi, który próg przekroczywszy, stanął i na zapytanie czekał.

— I cóż?..

— Jasnie oświecony książę prosi jaśnie wielmożnego podkomorzego...

Podkomorzy wstał, książę wstać próbował.

— Niechże wasza książęca mość nie trudzi się... — odezwał się gość tonem uprzejmym.

— Oh... eh... — stęknął gospodarz razy parę.

— Żegnam was, mości książę...

— Spodziewam się, że asan dobrodziej podzielić zechcesz obiad z nami...

— Mości książę!.. łaski tyle!..

— Jadamy o szóstej...

— Najmilej mi będzie... Chwila każda, spędzona w towarzystwie waszej książęcej mości jest dla mnie nieocenioną... Pani moja czekać tam będzie na mnie, ale niech wybaczy...

— Sam ją o przbaczenie poproszę... — wtrącił książę.

— O! mości książę!..

Po wykrzykniku tym, podkomorzy cofnął się do drzwi, które lokaj na ścieżaj przed nim otworzył, przeszedł przez szereg pokoiów stęchliwą zlekka cuchnących i wprowadzonym został do komnaty, bardzo podobnej do tej, w której go książę Norbert przyjmował. Książę Gotfryd, jak ojciec, siedział także na krześle z poręczami obok stoliczka, na którym rękę trzymał, nieopodal od okna, z którego widok na park się rozlegał. Na

wejście podkomorzego wstał z trudem niemalym, postąpił kroków kilka na spotkanie gościa, rękę na powitanie podał, i cofając się, siedzenie po drugiej stronie stoliczka ukazał. Ruchy jego wszystkie były literalnem powtórzeniem ruchów ojcowskich. Biło z nich pozytywkowe nakręcenie; biła z nich chińszczyzna, wyrażająca się pod postacią etykiety wyuczonej na pamięć. Gdy podkomorzy usiadł, książę się odezwał:

— Witam pana dobrodzieja!.. Jakże mnie cieszy przybycie jego!.. Spodziewam się, że asan dobrodziej w dobrym znajduje się zdrowiu!..

Wyrazy te wygłaszane były z akcentem deklamacyjnym, znamionującym wyuczenie.

— Dziękuję waszej książęcej mości... Jakże zdrowie wasze, mości książę?.. — odparł podkomorzy.

— Dziękuję... jako tako... Spodziewam się...

I powtórzyła się rozmowa cała w tym samym, co i poprzednio, porządku. Młody książę wyspodziewał się ze wszystkiego tego, co i dostojny jego rodzic i wyekspensowawszy cały spodziewań zapas, zapytał w końcu, jak się podkomorzemu spało.

— Nie najlepiej... — odrzekł zapytany. Miałem sen, który właśnie jego książęcej mości, księciu Norbertowi, opowiadałem i który jego książęca mość polecił mi powtórzyć waszej książęcej mości...

— A?... to coś nadzwyczajnego być musi...

— W rzeczy samej... sen nadzwyczajny... Śniłeś mi się wasza książęca mość...

— Ja?... — krzyknął młodzieniec ręką sobie na piersi pokazując i brwi wysoko podnosząc.

— Nie inaczej... Padałeś wasza książęca mość w przepaść...

— W przepaść!.. Och!..

Pochwycił za dzwonek i gwałtownie nim wstrząsnął.

— Co to wam, mości książę?... — zapytał niespokojnie podkomorzy, widząc oblicze młodego księcia powlekające się nagle błądzą.

— Och!.. Eh!.. To nic... Serce mi mocno bije...

Pojawił się w progu służący.

— Wody!.. Flakonik!..

Obtarł sobie chustką czoło, na które pot w grubych wystąpił kropłach.

— Mości książę!.. toć to sen tylko, a jak to powiadają: „Sen mara, Bóg wiara“... — perswadował podkomorzy.

— Bóg, ach!.. — podchwycił młody człowiek z uśmiechem. — O, Boże!..

W tej chwili wniósł służący wodę i flakonik. Książę się napił trochę, kazał karafkę przy sobie postawić, skinieniem ręki służącego oddalił, i zwracając się do podkomorzego, zapytał:

— Cóż dalej?.. Spodziewam się, że tego... te..

— Skończyło się lepiej, jak się zaczęło.. Córka moja podchwyciła waszą książęcą mość za rękę, ja wpół i... obudziłem się...

— Córka pana dobrodzieja, to jest, panna Ludwika, za rękę, pan dobrodziej wpół i?..

— I obudziłem się... — powtórzył podkomorzy.

— Spodziewam się więc, że w tego.. w tę.. przepaść...

— W przepaść wasza książęcą mość nie wpadł...

— Nie wpadłem?... Jakże to szczęśliwie!

— Skończyło się, jak powiadam, lepiej, jak się zaczęło...

Ludka i ja...

— Skończyło się bardzo dobrze!.. — podchwycił książę w uradowaniu, które mu twarz opromieniło. Mogło się skończyć bardzo źle... nieprawda?..

— Niezawodnie...

— Musiało to pape, księcia Norberta, ucieszyć bardzo?..

— I dlatego książę pan polecił mi sen waszej książęcej mości opowiedzieć... Gdybym jednak przewidzieć mógł wrażenie, jakie opowiadanie moje sprawiło, to byłbym wolał milczeć...

— Ale nie, panie dobrodzieju... nie... Doznałem emocji, bo trudno takowej nie doznać, słysząc okropność taką... Gdy się jednak dowiedział o końcu szczęśliwym, to emocja przeszła... Pan dobrodziej i panna Ludwika? Ale to sen?..

— Sen, nie co innego... — odrzekł podkomorzy tonem uspokajającym i dodał po chwili: Sny wszakże bywają znaczące...

— Tak, bywają... prorocze... ksiądz Korski opowiadał...

— O Józefie synu Jakóbowym i o Dawidzie królu...

— Tak jest... I tu więc...

— Gdybyśmy mieli pod ręką Józefa jakiego do wytłumaczenia, to poznalibyśmy znaczenie snu mego...

— Ksiądz Korski... — podchwycił młody książę. — Właśnie jego książęcą mość książę Norbert zalecił mi, ażeby księdzu Korskiemu opowiedział...

— O! to dobrze... to bardzo dobrze...

— Pożegnaj przeto waszą książęcą mość, spieszyć bowiem muszę ze złożeniem uszanowania mego księdzu Korskiemu przed objadem, przy którym będę miał zaszczyt waszą książęcą mość oglądać jeszcze... — rzekł podkomorzy wstając.

Książę Gotfryd wy dobył się także z krzesła swego, stanął, ręce na brzuchu złożył i zawołał:

— O!.. A jakże to przyjemność!..

Dłonie sobie do uściśnięcia podali. Młody książę zadzwonił, postąpił od krzesła kroków kilka, zatrzymał się i oczami gościa do progu odprowadził.

Podkomorzy, pod przewodnictwem lokaja, który przed nim podwoje otwierał, udał się na piętro do apartamentu ojca jezuity.

Ksiądz Korski zajmował pokojów trzy, skromnie umeblowanych, lecz dostatnio zaopatrzonych. W jednym znajdowała się biblioteka — biblioteka dawna pałacowa, pomnożona księgozbiorem księdza, składająca się więc przeważnie z dzieł treści tak zwanej poważnej, powaga których, w obec napływu pojęć nowożytnych, domagających się od nich ścisłego rachunku sumienia, coraz to bardziej na znaczeniu traci. Był to pokój, w którym się książę Gotfryd uczył, uczył i niczego nie nauczył. Ksiądz Korski zwykle w nim przesiadywał, zabawiając się czytaniem infoliów w pergamin oprawnych. W nim też i podkomorzego przyjął, stając na jego przybycie i czekając przy stole na zbliżenie się, przybrawszy postawę wyprostowaną i nieruchomą. Na stole leżała księga rozwartą, obok niej brewiarz złożony.

— Przychodzę złożyć wam uszanowanie moje, ojcze wielbny... — odezwał się podkomorzy, pochylając się ku ramieniu księdza. — Niech będzie pochwalony...

— Na wieki wieków... — odrzekł ksiądz, rękę podniósł i krzyżyk nad głową gościa w powietrzu zrobił...

— Jakże zdrowie wielbności waszej?...

— Służ mi, dzięki Najwyższemu.... Proszę asana do brodzieja siedzieć...

Podkomorzy zajął miejsce z drugiej strony stołu, i dla utrzymania konwersacji, której ksiądz nie miał zwyczaju ze strony swojej zasilać, zapytał:

— Ojciec wielebny zawsze nad księgami?..

— Ha!.. Szuka się, mości dobrodzieju, czyniąc zadość przykazaniu Pana: „Szukajcie a znajdziecie“... Tędy (tu dłonią po księdze uderzył) łaska Boża wskazała mi drogę do bram królestwa niebieskiego...

Podkomorzy poważnie głową pokiwał.

— Wielebność wasza — odezwał się po chwili, wodząc oczami po szafach — obfituje tu w pokarm duchowy...

— Nie wszystko to pokarm posiłny... *pauca multis*.. pomimo żem pracował jak ogrodnik, przykładając siekierę do drzew kwaśny rodzących owoc i rzucając takowe na ogień...

Ojciec Korski wyraził tu pod przenosinią, że część znaczną ksiązek, jakie się zgromadziły za przodków księcia Norberta, oddał na spalenie. Wyraziwszy to, usta pogardliwie skrzywił i okiem złośliwie błysnął. Podkomorzemu czyn ten wydał się rzeczą naturalną i godziwą. Palenie ksiązek — w czym go to razić mogło!.. Palono przecie i ludzi, i nie wypalono ich snąć należycie. Ksiądz Korski, taki uczony, posiadał w mniemaniu podkomorzego prawo miecza nad wszystkim co drukowane było. Uderzyła go tylko niestosowność jedna. Ojciec jezuita tępił ksiązki szkodliwe, ale w Krasilowcach wyłącznie. Czyż przeto tępienie to pożytek jaki niosło? Odezwał się więc:

— Gdyby to tak zrobić można przegląd wszystkich bibliotek i księgarni, i oczyścić ziarno z plewy...

— Nastąpi to kiedyś... — odparł jezuita spokojnie. — Pan czuwa...

— Ksiązek jednak przybywa mnóstwo ogromne...

— *Quos vult perdere Jupiter, dementat prius*... Mnóstwo owe ogromne sprowadzi szaleństwo na nieprzyjaciół kościoła i kościoł wówczas porządek zrobi... Jest to jego zadanie... Mnożą się księgi pisane z natchnienia złego ducha... mnoży się opał dla ludzi przeszłości...

— Oby się ziściły słowa ojca wielebnego... — westchnął podkomorzy.

— Ziszcza się... Nieprawość dochodzi już do granic swoich ostatecznych... Sprawiedliwych coraz to mniej... Pan zaś, gdy o wymiar sprawiedliwości chodzi, nie żartuje, i dla Lota jednego, całą Sodomę i całą Gomorę w perzynę obraca...

V.

Rozmowa z księdzem Korskim przybrała obrót, nie spadający do miary tego interesu, w jakim podkomorzy do Krasilowiec przyjechał. Jako człowiek rozważny, nie miał on zamiaru interesu odrazu na stół wytaczać. Chodziło mu najprzód o przygotowanie gruntu. Z ksiązkami poszło mu łatwo. Sen ów był wymysłem, zrodzonym w natchnieniu — w chwili kiedy ksiądz Norbert zapytał, jak mu się spało. Była to pierwsza bruzda pod zasiew zaorana w roli wdzięcznej. Z księdzem jednak zachodziła rzecz inna. Tu rola przedstawiała się pod postacią opoki, w którą lemmiesza wymysłu zapuszczać nie można było. Należało czekać sposobów pewniejszych. Podkomorzy jednak, zobowiązawszy się względem ksiąząt opowiedzieć sen mniemany księdzu jezuitcie, musiał tego dokonać, jeżeli nie dla czego innego, to dla tego samego, ażeby ksiązeta, opowiadając sami, nie przekreśli i ze snu prostego potworności jakiejś nie zrobili. Starał się więc rozmowę na odpowiedni sprowadzić tor. Skorzystał ze wzmianki o Sodomie i Gomorze i o Locie sprawiedliwym, ryzykując przyrównanie do Lota księcia Norberta. Przyrównanie to nie było zbyt naciąganem. Ksiądz był mężem sprawiedliwym w sensie jak najściślej ewangelicznym, albowiem nie zbywało mu nawet na skarbie tym cennym, który się nazywa ubóstwem ducha. Nie sposób było temu przeczyć. Ksiądz też skinął głową z akcentem potwierdzającym, lecz nie rzekł ani słowa. Westchnął jeno.

— Gdybyż ludzi takich było więcej!.. — ciągnął podkomorzy — i gdyby oni zajmowali stanowiska wpływowe!..

— Ksiązeta pan zajmuje stanowisko bardzo poważne... — odparł ksiądz.

— Tak.. ale... za zbyt... za zbyt skromne... — rzekł podkomorzy z przyciskiem.

— Hm... — ścisnął ksiądz Korski ramionami. — Widziałeś się asan dobrodziej z jego książęcą mością?...

Zapytanie to było dla podkomorzego zbawieniem. Odetchnął i odpowiedział:

— O, jakże!... Miałem zaszczyt złożyć mu uszanowanie powinno i wypadkiem wzruszyłem jego książęcą mość...

— O?... — zapytał ksiądz z akcentem zdziwienia umiarkowanego.

— Opowiedziałem sen, jaki tej nocy miałem i który... wyznam ojcu wielebnemu w ducha mego szczerości... przyczynił się nie mało do wizyty dzisiejszej...

— Cóż to za sen, który nam zaszczyt widzenia asana dobrodziejstwa sprowadził?... Sny bywają prorocze niekiedy...

Podkomorzy poraz trzeci opowiedział rzecz zmyśloną, dodając w końcu:

— Książę Norbert kazał mi powtórzyć to księciu Gotfrydowi i księdzu dobrodziejowi... Poruszyło to ich obydwóch głęboko...

— Przedziwnej bo to, iście gołębiej prostoty są ludzie... *Arcades ambo...* Możliwy przed nimi zmyśleć cokolwiek... uwierzą...

Podkomorzemu gorąco w policzkach się zrobiło. Odparł z pospiechem, oznaczającym, że zadrażnionym został.

— To sen... We snach najniepodobniejsze roją się diwadła...

— O tak... a tak... zapewne... mości podkomorzy... — odpowiadał ksiądz, rzucając wyrazy w sposób taki, jakby myślał o czym innym.

W chwili tej słyszeć się dał echowy odgłos zegara, bijącego pół godziny. Ksiądz Korski rzucił okiem na zegar niemy w bibliotece zawieszony, sięgnął ręką po brewiarz, rozłożył go na zaznaczoną wstążeczką stronicę i przeżegnawszy się, mrużąc zaczął przez nos, przebiegając drukowane wiersze oczami. Było to aż nazbyt wyraźnym dla gościa znakiem, ażeby się miał precz. Podkomorzy wstał, podszedł na palcach do zatopionego w czytaniu jezuitę, zrobił giest pocałunku złożonego na rękę jego w punkcie środkowym pomiędzy łokciem a ramieniem i na palcach oddalił się.

Do objadu pozostawało jeszcze pół godziny.

Podkomorzemu znane były doskonale zwyczaje pałacowe, zastosowane do ściśle przestrzeganej etykiety, która, co się objadów tyczy, wymagała ubierania się przed przystąpieniem do stołu pańskiego. Nie ubierano się wprawdzie, zachowywano jednak formę. Na pół godziny przed podaniem na stół, każdy z biesiadników udawał się do apartamentu swego i czekał na uderzenie dzwonka oznajmującego, że wszystko gotowe. Na dzwonek schodzili się wszyscy do salonu, znajdującego się w środkowym punkcie pałacu, tam następowały powitania i ztamtąd, na oznajmienie marszałka, że zupa na stole, udawano się parami, pochodem ceremonialnym, do sali jadalnej. Przypuszczała się obecność dam, i ten zapewne był powód, dla którego przestrzegano etykiety pod względem każdym.

Podkomorzy, wyszedłszy od księdza Korskiego, miał do wyboru, albo pozostawać przez pół godziny w którym z salonów, albo kazać sobie otworzyć jeden z pokojów gościnnych, albo też udać się do parku. Wybrał to ostatnie. Uczynił to z tego powodu, że czuł się nieco zirytowanym i potrzebował świeżego do odetchnięcia powietrza.

Powód irytacji łatwo się da wytłumaczyć.

Pan Marcin Kostrzewicki, aczkolwiek dla spokoju domowego, odstąpił dzieci matce i do wychowania ich nie mieszał się wcale, nie mniej przeto poczuwał się do obowiązków ojcowskich, źródło których znajdowało się w sercu. Podkomorzy kochał dzieci swoje. Umycie od wychowania ich rąk pochodziło nie z braku serca, a ze zbytku zaufania w potęgę fortuny. Był tego przekonania, że co Francuzi i Paryżanki popsują, to pieniądze naprawią. Sądził trochę wedle siebie. Wychowanie, jakie sam odebrał, nie było ani świetne ani gruntowne. Umieć — cóż on umiał? — nie umiał nic. A przecie, gdy się znalazł na czele fortuny, znalazły się, jakby skinieniem różeczki czarodziej-skiej wywołane: i powaga, i swada, i pewność siebie, i takt i rozum. Sprawdziło się na nim przysłowie ludowe: „Prybud” — szczęście, rozum bude“. Nie uczył się wcale — uczeniem bowiem nazywać nie można spędzenia lat kilku w konwikcie i przechodzenia z klasy do klasy za pieniądze — jednakże rozum miał i poważanie u ludzi posiadał. Uważał więc, że dzieciom jego nie przyniesie to ujemy najmniejszej, jeżeli się czegoś od Francuzów poduczą, chociażby tylko pronuncjacji paryżkiej. Dla

tego wydał je matce, rzec można, na pastwę edukacyjną. Nie chciałby atoli wydawać ich na pastwę losu.

— Biedna Ludka!... — rzekł głośno, chodząc po parku, zatrzymawszy się przed posągiem Djany, mchem do połowy okrytym, od mrozów popekanym i przez wróbbi upstrzonym. Otóż jej Klara małżonka wybrała!... Toć to (przez „to“ rozumiał księcia Gotfryda) zaledwie do człowieka podobne... I co to za pożycie jej będzie!...

Wpatrywał się w posąg, jakby chciał, ażeby ten dał mu odpowiedź. Posąg milczał, odpowiadał jednak milczeniem samem, jak ów kościotrup, który pokazano elegantce pewnej z nadpi-sem: „Jaką jesteś, taką byłam; jaką jestem, taką będziesz“.

— Co za małżonek!... — zawołał, spoglądając ku pałacowi, przedstawivszy sobie żywo w oczach książąt obu, w życiu ich powszedniem.

Książęta pędzili żywot regularny, zegarkowy, jednostajny, otoczony nimbem wielkości, która racji nie miała najmniejszej. W szeregach przodków ich świecili mężowie wartości rzeczywistej. Oni jednak odtoczyli się od jabłoni, ocieźeli ciałem, skarleli duchem — wegetowali — jedli, spali, trawili i nie nie robili. Tryb spędzania czasu przez nich przyjęty, ciekawym był monotonnością. Żrana kawa ze śmietanką i z wielką mnogością bułek w łóżku, po kawie msza w kaplicy, po mszy śniadanie, po śniadaniu siesta do objadu, po objedzie siesta do herbaty, po herbacie spanie. Porządek ten zmieniał się raz w każdym tygodniu, w dniu, w którym komunie przyjmowali. Wówczas kawy w łóżku nie pili. Z wyjątkiem tej zmiany jedynej, żywot ich toczył się bez wstrząśnień najmniejszych. Rzadki gość, gdy się pojawił w pałacu krasinowieckim, porządku nie nadwierał, nie było bowiem gościa, dla któregoby książę Norbert uważał za potrzebne i godziwe zadawać sobie przymus chociażby najmniejszy. To też rzadkim był wypadek, ażeby kto zajechał na podwórze pałacu krasinowieckiego. Szlachta okoliczna nie miała tam pędu najmniejszego, a jeżeli kto z dalszych przybywał okolic, to zazwyczaj stawał w miasteczku, w domostwie zajezdnem, szedł do pałacu na chwilkę i wynosił się co rychlej. Jeden tylko podkomorzy stanowił pod względem tym wyjątek i to nie z powodu własnego, a z powodu podkomorzyny, która od dawien dawna czuła wielką dla książęcego tego domu sympatię.

— Co to za małżonek!... — powtórzył podkomorzy, parując w myśli córkę swoją, dziewczynę jędrną i życia pełną, z tym galareta obrostym potomkiem rodu znakomitego, wpadającym w trwogę śmiertelną na wiadomość, że komuś się śniło, iż się w niebezpieczeństwie znajdował.

Szczerze mu córki żal było i szczerze pragnąłby oszczędzić jej tej przykrości, niweczącej życie całe. Myślał więc, czy nie dałoby się w sposób jaki nieszczęście to od niej odwrócić. Sposobów nastroczało mu się dużo, obok każdego z nich jednak stawała postać podkomorzyny i niszczyła w zarodku zamiary najłepsze.

— Ha!... — powtarzał i ramionami ścisnął.

„Żony się lękał“ — ktoś pomyśleć gotów. Nie. Nie była to obawa żony, a wstręt do scen domowych, pociąg do spokoju miłego, dla którego gotów był córkę poświęcić.

Dał się słyszeć dzwonek.

Podkomorzy skierował kroki swoje ku pałacowi, i pomimo że się nie spieszył, wszedł najpierwszy do salonu środkowego. Po nim niebawem przybył książę Gotfryd.

— A!... — zawołał od progu, tocząc się powoli — witam pana podkomorzego dobrodzieja... Spodziewam się, że zdrowie jego w pomyślnym znajduje się stanie...

Litania z powtórzeniem.

Wkrótce potem, ciężko stąpając, wkroczył książę Norbert.

Książę rozpoczął powitania od syna. Ojciec i syn, mówiąc ze sobą, rozpoczynali frazes niemal każdy sakramentalnym wyrazem: „spodziewam się“. Książę Norbert zwrócił się do podkomorzego.

— Witam sąsiada szanownego!... Spodziewam się... i t. d.

Wsunął się ojciec Korski.

— Niech będzie pochwalony...

— Na wieki wieków... — odrzekli wszyscy chórem, szykując się z uszanowaniem frontem do księdza.

— Spodziewam się... — pisał stary książę — że zdrowie wasze, ojcze wielbny, w pomyślnym znajduje się stanie...

— Dziękuję waszej książęcej mości za łaskawą o mnie troskliwość... — odparł książę ręce składając i głowę pokornie pochylając.

W chwili tej marszałek dworu zupę oznajmił.

Książe ukazał księdzu ręką na drzwi, oznajmiając przez to, ażeby zajął przewodnie w pochodzie miejsce.

Ksiądz się wymawiał. Książe nalegał:

— Prosimy... prosimy...

— Chybaż to zaszczyt ten odniosę nie do osoby mojej niegodnej, a do sukienki, która mnie okrywa...

— Prosimy... — powtórzył książę.

Ksiądz Korski złożywszy dłonie i ścisnąwszy pod pachą brewiarz — z tym nie rozstawał się nigdy — ruszył przodem, książe Norbert podał ramię gościowi; książe Gotfryd zamykał pochód.

W sali jadalnej stał pośrodku stół, spojrzenie na który przenosiło w czasy dawniejsze. Ugiął się od srebra.

Wazy, półmiski, salaterki, koszyki na chleb, solniczki, pieprzniki, wygrzewalniki pod półmiski, łyżki, grabki, noże, niektóre gładkie, inne rzeźbione lub wyłacane, wszystkie były ze srebra czystego; talerze zaś przedstawiały zbieraninę fabryk i gatunków rozmaitych, zaczawszy od porcelany sewrskiej a skończywszy na fajansie horeckim. Na srebrach cyfry i herby z mitrami książęcemi. Na środku stołu stały, w czaszach kryształowych, dwa bukiety kwiatów po połowie ogrodowych i polnych. W zastawie całej widać było połączenie dawniejszego dostatku z obecnem ubóstwem. Srebra, ocalały i figurowały; porcelana się wytłukła i zastąpiono ją fajansem.

Nakryć było cztery, a przed każdym kielichów i kieliszków rozmaitej wielkości i kształtu różnego po kilka, inne do bordaux, inne do węgryzna, inne do burgunda, do szampana, do win słodkich desserowych etc., butelka jednak, w której wino podejrzawać się dawało, znajdowała się tylko jedna.

Marszałek dworu ukazał biesiadnikom miejsca: na pierwszym posadził księcia Norberta, po prawej jego stronie księcia Gotfryda, po lewej księdza Korskiego, naprzeciw podkomorzego. Każdy z nich obok krzesła swego stanął, ksiądz odmówił modlitwę po łacinie, przeżegnali się i miejsce pozajmowali.

I dał się słyszeć głos donośny marszałka, oznajmujący zupę nazwaną wyrazem francuskim przekreconym i pokaleczonym. Była to najprostsza w świecie zupa grochowa ze szperkami, zawieszista i wcale nie po pańsku przyrządzona. Książętom na-

lano pełne głębokie talerze, które oni wypróznili szybko, nie odrywając od takowych oczów. A gdy się zupa ku końcowi miała, wniesiono srebrną fajerkę, postawiono ją na środku stołu i na niej srebrny półmisek nakryty srebrną nakrywą. Zupa się skończyła, talerze głębokie sprzątnięto, jeden z lokajów nakrywę z półmiska zdjął, marszałek zaś oznajmił:

— Sztufada naturalna jarzyną garnirowana z białym sosem...

Była to najprostsza w świecie sztuka mięsa z chrzanem.

Lokaj półmisek ze stołu wziął i obnosić go począł, zaczynając od księcia Norberta. Drugim z kolei był książę Gotfryd, dalej ksiądz, na ostatku podkomorzy. Dwom tym ostatnim dostało się do podziału kawaleczków parę i sosu trochę, książęta bowiem, ojciec i syn z półmiska okrytego zagarnęli jeden połowę i drugi połowę, utopili wzroki w talerzach i jedli łapczywie i żarłocznie.

Wniesiono znów fajerkę i półmisek nakryty, po odkryciu którego marszałek oznajmił:

— Kartofle à la maitre d'hotel...

Były to kartofle ze słoninką i z cebulką przysmażaną. Po tych nastąpiły „roniony wysadzone z ostrym sosem“, czyli nerki octem zaprawne.

Książęta z półmiska każdego nabierali sobie po talerzu okrytym i zjadali z żarłoczstwem przerażającym. Przykro i wstrętne było patrzeć na nich. Mimowolnie przychodziło na myśl zapytanie: czy to ludzie? Nakładali do ust tyle, że ledwie głęba obracać mogli, policzki się im wydymały, oczy malały, po brodach im ciekło. Ksiądz Korski jadł mało i w milczeniu, z oczami spuszczone. Podkomorzy nie mógł jeść dużo, dostawały mu się bowiem resztki bardzo szczupłe. Dań było mało, półmisków cztery wszystkiego, ale okrytych, tak, że obdzielić się z nich mogłoby osób dwanaście przynajmniej. Butelka z winem pozostała nietkniętą, przy desserze nawet, który składał się z sera krajanki, przezwanego przez marszałka szwajcarskim, i z owoców.

Po skończeniu uczty tej niewykwintnej, biesiadnicy powstawali z miejsc swoich i wysłuchali modlitwy dziękczynnej przez księdza odmówionej, poczem księciu Norbertowi podał ramię marszałek dworu, księciu Gotfrydowi jeden z lokajów i od-

prowadzili ich każdego w stronę inną. Ksiądz brewiarz ujął, rozłożył i z utopionym weni wzrokiem wyszedł z sali jadalnej. Podkomorzemu lokaj drzwi szeroko od sieni otworzył, z sieni na ganek — powóz zaprzężony, a raczej niewyprzęgany, czekał — nie pozostawiało mu nic innego, jak wracać do domu.

Jak widzimy przeto, zadanie podkomorzego było ogromnie do rozwiązania trudnem. Znajdował się pomiędzy młotem a kowadłem — pomiędzy kaprysem żony a idjotyzmem książąt, jedynym i drugim do przełamania nie łatwym. Idjotyzm zwłaszcza przedstawił się mu pod postacią sęka nie do rozbicia, we względzie szczególnie losu, jaki czekał córkę.

— Trafićby do nich można... — myślał sobie. — Wymyśleć jeszcze jakiś sen i rzeczby się zrobiła.. Złączyć jednak dziecko z człowiekiem takim, jak ksiązę Gotfryd?... przykuć je do niego łańcuchem małżeństwa?...

Myślał o tem długo. Rozpatrywał tę sprawę ze stron rozmaitych i nie widział w niej nic innego, jeno próżność, która żonie za pobudkę służyła.

— Boć ten z Gustawem romansik!... — mówił do siebie. W gruncie rzecz taka niewinna!... Młodzi oboje... Upłynie mieście kilka i miłość wywietrzeje, tak jej, jak jemu... Stałość romansowa istnieje tylko w książkach...

Konkluzją rozumowania powyższego było postanowienie pomówienia jeszcze ze żoną. Ułożył sobie plan cały. Ułożył sobie frazesy, za pomocą których spodziewał się do przekonania trafić. Zajechał przed ganek otuchy pełen i udał się do apartamentu swego w nadziei, że podkomorzyna nadejdzie niebawem, w celu zasiągnięcia języka we względzie wizyty u księcia.

Nadzieja ta atoli płonną się okazała.

Nadeszła nie podkomorzyna, a panna Ludwika.

Dziewczyna była we łzach cała, w rozpacz. Rzuciła się ojcu w objęcia.

— Ach, papo! papunieczku!...

Podkomorzy przygarnął ją do łona.

— Proszę mnie ratować!...

Położenie podkomorzego w obec córki łatwem nie było. Stawał on z góry po jej stronie, lecz jawnie z tem występować nie śmiał. Z serca całego gotów był pomagać jej, potrzebował

jednak gotowość tę maskować w tem przeświadczeniu, że inaczej pomoc skutecznąby być nie mogła.

— Papo!... ja nieszczęśliwa...

— Ha samaś temu winna... — były słowa, za pomocą których neutralizował wzruszenie rzeczywiste, jakim go przejął widok rozplakanego dziewczęcia.

— Ach! papo!...

— Samaś temu winna, moje dziecko... Gniew matki jest słuszny... I ja się gniewam...

— Ależ tu, papo, nie o gniew chodzi...

— O cóż?... Dotychczas przynajmniej nie o co innego...

— Nie o gniew... — powtórzyła panienka. — Gniew przeblagać można... Bóg się gniewa i przebacza... Chyba papa nie wie o niczem!...

— Wiem... — odrzekł podkomorzy z akcentem niechęci.

— Więc i papa przeciwko mnie?...

W zapytaniu tem zabrzmiał ton przesady teatralnej. Zdaje się, że panienka wiedziała, iż zapytanie podobne historia zapisala na kartach swoich. Wygłosiła więc je z emfazą niejaką i tem zapewne sprawę sobie popsuła. Podkomorzy odpowiedział sentencjonalnie.

— Ani matka, ani ja, nie jesteśmy przeciwko tobie, moje dziecko... Pragniemy szczęścia twego jak najgoręcej... i posiadamy prawo niejake do uległości z twojej strony...

— Ach!... — zawołała panienka z wyrazem trwogi w głosie.

— To samo, słowo w słowo, powiada mama...

— I ma rację — podchwycił podkomorzy. — Matka, co tak jak twoja całkowicie dzieciom się poświęciła, ma prawo domagać się od nich posłuszeństwa...

— Papo, ach! papo... myślałam, że mnie papa od księcia Gotfryda uratuje! W papie pokładałam nadzieję całą!

Zasłoniła oczy chusteczką od nosa i płakać rzewnie poczęła.

Podkomorzemu żal było dziecka. Znajdował się jednak w pozycji drażliwej. Bez rozmówienia się z żoną, nie chciał, nie mógł do niczego względem córki się zobowiązywać i nie miał innego do wyjścia z trudności sposobu, jak tylko pocieszać strapioną owemi wyrazami banalnemi, które pociechy nie niosą i sensu wiele nie mają. Mówił:

— Nie płacz, Ludko... Bądź spokojna... Jakoś to będzie... Księżciu Gotfrydowi, ostatecznie, cóż do zarzucenia jest?...

Na słowa ostatnie, panna Ludwika rzuciła się z giestem oznaczającym obrzydzenie.

— No! i cóż!... — ciągnął podkomorzy. — Nie idziesz z nim przecie do ołtarza jeszcze!...

— Obym nie szła nigdy!...

— I to stać się może...

— O papo!... — zawołało dziewczę, przybierając nagle wyraz twarzy błagalny, składając dłonie i zwracając się do ojca z uśmiechem łzami oblanym — gdyby tylko papa zechciał...

— Gdybym ja zechciał?... — zapytał podkomorzy tonem takim, w którym czuć było, że się nie poznał na tem, iż słowa panny Ludwiki były podejściem.

— Gdyby papa tylko zechciał... — powtórzyła panienka z przyciskiem. — Mama powiada, że od papy zależy wszystko, że niczyja tylko papy dzieje się wola, że zawsze papa na swoim postawi... O, papo kochany!... papo drogi!... Ja się do papy modłę... o!...

I na kolana się osuwała.

Podkomorzy nie dopuścił jej uklęknąć.

— Papo!... ratuj!...

— No... no... bądź spokojną...

— Niech ja nie idę za księcia Gotfryda...

— Cóż mówisz o iściu!... Jeszczeż zrobionego nie ma nic...

— Niechże nie zrobionego nie będzie... Wszak to od papy zależy...

— No zobaczmy...

— Papa mi przyrzeka?...

— Nie przyrzekam nic... Mówię: zobaczmy...

— Papa chcieć nie może nieszczęścia mego...

— Ani ja ani matka nieszczęścia twego nie chcemy... bądź o tem przekonana... Bądźże spokojną i czekaj... Jakoś to się zrobi...

Na „jakoś“ stanęła konkluzja, która pozostała jako oś sprawy tej całej na długo — na miesiące kilka. Podkomorzyna chwyciła się taktyki osobiwej. Zamilkła w kwestji wydania córki za księcia Gotfryda. Nietylko nie zapytywała podkomo-

rzego o rezultat wizyty powyżej opisanej, ale nie mówiła z nim wcale o księżętach Gamajdach. Tak upłynął dzień jeden, drugi, trzeci. Obrabiała córkę, ale mężowi spokój dawała i ten ostatni, za pośrednictwem córki tylko dowiadywał się, że zamiar bynajmniej zaniechanym nie został. Pragnął rozmowy, wyzywał na takową; gotów był na burzę się narazić; nie był jednak w stanie, ani na rozmowę wyciągnąć, ani burzy ściągnąć. Podkomorzyna otoczyła się zagadkowością jakąś złowrogą, która to sprawiła, że podkomorzy, w tydzień później, znów pojechał z wizytą do Krasinowic.

Powrócił i znów znalazł się w obec zagadkowego małżonki milczenia.

W tydzień przeto znów z wizytą pojechał.

Milczenie się nie przerywało.

Położenie stawało się niznośnem tak dalece, że podkomorzy mógłby śmiało z miecznikiem Malczewskiego powtórzyć:

„Wolałbym dźwigać więzy u brodacza Turka,

Niż żeby mi tak marnie wędnać miała córka.“

Panna Ludwika wiedła w rzeczy samej. Trawiła ją niepewność, a może i inna jeszcze okoliczność, miłość naprzykład, która, w sposób gwałtowny przzerwana, w samym tym sposobie siłę czerpała.

Gustaw, był to chłopiec, jakby do kochania umyślnie stworzony. Zapomnieć o nim z trudnością przychodziło, mając w rodzaju *vade mecum*, książki francuskie w ilości niemałej, które nauczały prawideł kochania, jak dzieła sławnego Felicjana da Silva nauczyły pocziwego wieśniaka, nazwiskiem Quixada, prawideł rycerstwa błędnego. Ta przeto okoliczność przyczyniać się mogła wielce do wędnięcia panienki, tembardziej, że pan Gustaw słyhu o sobie nie dawał. Dziewczę się trapiło i męczyło — po nocach nie sypiała, apetyt traciła, gorączki niekiedy dostawała, słowem politowanie wzbudzała. Podkomorzy więc postanowił rozmówić się z małżonką i wybrawszy do tego moment, który się mu najstosowniejszym wydawał — porę poobiednią — zaczął:

— Potrzebaby, Klareczko, żebyśmy się porozumieli...

— Względem czego?...

— Względem losu Ludki...

— Tyś ojciec... Tyś pan... Nie ma gadać o czem...

— Czy ty trwasz w... życzeniu... wydania jej za księcia Gotfryda?...

— Cóż życzenie moje tu znaczy?... — zapytała pani ironicznie.

— Trzebaby... zdaje się... — ciągnął podkomorzy, usiłując rozmowę na właściwy zwrócić przedmiot — mieć wzgląd na Ludkę?...

— My kobiety powinneśmy we względzie względów wszelkich być z góry wyperswadowanemi... Wzgląd na Ludkę?... Możeby się godziło mieć troszeczkę wzglądu i na mnie?... Zresztą, o czym tu gadać!... Tyś ojciec... Tyś pan... Rób, co i jak ci się podoba...

— Aleś ty matka!... — podchwycił podkomorzy.

— Matka... cha, cha!... odsunięta od troski o los dziecka!... postawiona w położeniu bardzo wygodnem, acz upokarzającym... Ale... co tam!...

— Wiesz przecie, że jeżdżę do Krasinowic ..

— Więc?...

— Chciałbym przed tobą z rezultatu wizyt tych sprawę zdać...

— Nie ciekawam...

To rzekłszy, zawołała na pannę służącą, kazała sobie żurnal mód podać i poczęła dawać jej informacje co do stroika jakiegoś, który należało albo z muszlinu w centki, albo z muszlinu w rzutki wykroić. Stroik ów pochłoniął podkomorzynę uwagę całą; rozprawa zaś o nim zaniósł się na tak długo, że podkomorzy uważał za rzecz najstosowniejszą wynieść się do apartamentu swego, bez doprowadzenia do skutku postanowienia rozmówienia się.

— Ha!... — zawołał znalazłszy się sam. — Jedno z dwóch: albo zgodzić się na piekło w domu w stanie ciągłości dożywania, albo też...

Pomyślał przez chwilkę i krzyknął:

— Lewicki!... każ mi konie do powozu zaprządz!...

VI.

Nie doprowadziwszy do skutku postanowienia rozmówienia się z żoną, powziął postanowienie rozmówienia się z księżętami.

Tyczy się to pocziwego naszego podkomorzego, który stanawszy na punkcie „albo“, albo“, wołał zaryzykować córkę, jak siebie.

Czy się to tak nie dzieje na tym świecie podświetlonym?

Na zapytanie to możnaby się do tej chrześcijaninowi każdemu doskonale znanej uciec odpowiedzi: „Kto bez winy, niech na podkomorzego kamieniem ciśnie.“

Podkomorzy też do winy się nie poczuwał najmniejszej, zajęty przed pałac szczęśliwie, wysiadł i w progu spotkał tych samych dwóch służących, których spotykał zwykle i którzy przed nim ze zwykłym ceremoniałem podwoje otwierali.

— Jego wielbność, ksiądz Korski, w domu?...

— W domu jaśnie wielmożny panie... Niech jaśnie pan chwilkę zatrzymać się raczy, natychmiast zamelduję jaśnie oświeconemu księciu...

— Nie o księcia a o księdza pytam... — podchwycił podkomorzy, spostrzegłszy, że lokaj nie dosłyszał.

— O księdza?...

— O księdza jezuitę ..

— To ja... nie wiem... Bo to...

Porządek etykietałny chciał, żeby goście, przybywający do pałacu, przedstawiali się najprzód księciu ojcu, następnie księciu synowi, w końcu księdzu jezuitcie. Podkomorzy porządek ten na odwrót stawiał. Lokaja to przeraziło.

— Ja nie wiem... — bąkał.

— Pójdź zamelduj mnie...

— Jaśnie oświeconemu księciu?...

— Nie, księdzu... księdzu jezuitcie... Rozumiesz?...

— Ależ... bo to... jaśnie wielmożny panie... — zaczął lokaj.

— Czy ksiądz jezuita w domu?...

— Musi być... zdaje się... gdzieżby był indziej!...

— Pójdź więc wprost do księdza jezuity i zapytaj jego wielbności, czy zechce ofiarować mi chwilkę czasu... Mam do niego interes...

— Interes?...

— Tak jest, interes... Przybywam nie z wizytą, ale z interesem i dlatego nie przedstawiam się księciu panu, ale księdzu

6 26 53

jezuicie... — tłumaczył podkomorzy, domyśliwszy się co lokaja powstrzymuje.

Ten atoli wahał się jeszcze.

— Idźże, ośle stary!... — krzyknął podkomorzy zniecierpliwiony.

To nareszcie *dictum acerbum* skutek odniosło.

Lokaj poszedł; nie było go długo z powrotem; pojawił się nareszcie, oznajmiając, że wielbność jego prosi jaśnie wielmożnego podkomorzego.

Ksiądz Korski przyjął gościa tak samo, jak poprzednio, tę samą przybrał postawę, temi samemi przemówił wyrazy i tak samo siedzenie ręką ukazał.

— Ojcie wielbny... — zaczął podkomorzy.

— Przepraszam... — przerwał ksiądz, rękę podnosząc. Asan dobrodziej oznajmić mi raczyłeś interes jakiś... Czy wolno zapytać: jakiej natury?...

— Poufnej... przyjacielskiej, księżu dobrodziej!... — odparł podkomorzy bez namysłu, wietrząc w zapytaniu zastrzeżenia jakoweś.

— Czyż ja, niegodny, zasługuję na przyjaźń asana dobrodzieja!...

— Ojcie wielbny! kapłanem jesteś, udaję się więc do was, przedewszystkiem, jako do takiego...

Ksiądz głową skinął.

— Następnie, jesteś opatrnością, czuwającą nad latoroślą rodu znakomitego książąt Gamajdów, zredukowanego w osobie księcia Godfryda, do przedstawiciela onego jedyne... Ród ten obchodzi mnie żywo, jak obywatela każdego, stanowisko swoje rozumiejącego, obchodzić powinna żywa tradycja...

Ksiądz powtórnie, wyraziściej atoli jak poprzednio, głową skinął.

— Mówmy otwarcie... — ciągnął podkomorzy po przestanku króciuchnym, podczas którego odetchnął — ród ten zczepnie, jeżeli go nie podtrzymamy...

Ksiądz się uśmiechnął.

Podkomorzy mówić przestał.

Ksiądz się odezwał:

— Słucham asana dobrodzieja...

Podkomorzy był jak człek płynący, któryby życzył sobie, ażeby mu kto rękę podał. Odchrząknął i mówił dalej:

— Oplakany, zaiste, los zagraża młodemu księciu, gdyby... broń Boże.., jeden tylko z wierzylieli o należność się zgłosił...

Ksiądz popatrzył podkomorzemu w oczy wzrokiem, który do duszy zaglądał. Chwilę pomilczał i odrzekł:

— Rzecz to nie moja... Sprawy ziemskie obchodzą mnie miernie...

— Ksiądz dobrodziej nie możesz jednak nie uznać rzetelności przedstawienia stanu, w jakim się książęta znajdują...

— Tak... Czyby jednak niewłaściwiej było, przedstawienie to uczynić księciu panu?...

— Nie... zachodzi tu okoliczność jedna natury bardzo delikatnej... Żona moja i ja powzięliśmy zamiar wydzwignąć ród ten z upadku, w taki atoli sposób, ażeby się tego nie domyślali ani książe ojciec, ani książe syn...

— Zamiar chwalebny... — wtrącił ksiądz.

— Są tu bowiem do szanowania z jednej i z drugiej strony uczucia godności osobistej...

W tem miejscu ksiądz znów się uśmiechnął.

— Krótko powiedziawszy... — rzekł podkomorzy żywo, jakby uśmiechem tym ponaglony — idzie o to, ażeby córkę moją węzłem małżeństwa z księciem Godfrydem skojarzyć...

Jezuita na słowa te, oczy powoli zamknął i głowę spuścił. Zapanowało chwilowe milczenie, które przerwał podkomorzy.

— Rozumie więc ksiądz dobrodziej, że sprawa ta przeprowadzić się nie da bez interwencji osoby trzeciej, umiejacej należycie ocenić wzajemny stron stosunek... Córka moja nie może się o księcia Godfryda starać; trzeba, żeby się książe starał o nią... Ja nie mogę księciu Norbertowi wyłuszczać kombinacji, za pomocą której stan interesów jego z oplakanego, od razu w świetny się zmieni; jest to bowiem rzecz delikatna, dotycząc której, musiałbym obrazić miłość własną jego księżęcej mości... Dla tych wszystkich przeto względów, interwencja wasza, ojcie wielbny, jest tu konieczną...

Ksiądz powieki otworzył i na podkomorzego spojrzał.

Podkomorzy oczy spuścił.

— W każdym razie, w interesie, jaki księdzu dobrodziejowi mam zaszczyt przedstawić, nagannego nie ma nic...

— Jest ofiara... — odrzekł ksiądz tonem uroczystym.

— Daję dziecko i fortunę... — zareplikował podkomorzy.

— Księżę daje imię...

— A!... — chciał podkomorzy powiedzieć coś innego; zmiarkował się jednak i powiedział:

— Zapewne... Ceni się to wysoko... Dla tego też skojarzenie córki mojej z księciem Gotfrydem, zamiast iść drogą zwyczajną, wchodzi przez pośrednictwo księdza dobrodzieja, na drogę negocjacji poważnej... Wielebność wasza przybierasz tu charakter szafarza: jednemu dajesz wielkie imię, drugiemu wielką fortunę, a wszystko to ku tem większej chwale bożej, fortuna bowiem pójdzie pod rozporządzenie pupila waszej wielbności, syna waszego wedle ducha...

— Amen... — odezwał się ksiądz.

— Uważać więc mogę sprawę za załatwioną?...

— Uważaj ją asan dobrodziej za znajdującą się na dobrej drodze... Podałeś argumenta *ad hominem*, których trafność uznaję... Są jednak jeszcze niektóre do zwalczania trudności...

— Sądzę, ojcze wielbny, że trudności owe zwalczyć się nam dadzą...

— Zobaczmy... zobaczmy... Przed straszakiem ryb się nie łowi... W każdym razie ze strony mojej dołożę starań, za skutek których nie ręczę jednak... Ród Gamajdów jest wysoki... Ho!...

— Toć — podchwycił podkomorzy — ród Kostrzewickich nie jest znów tak niski, ażeby trudność z tej strony wielką być miała... I my się wyprowadzamy od kasztelanów, wojewodów, którzy obok Gamajdów zajmowali krzesła senatorskie...

— Nie w tem rzecz... — odparł ksiądz. — Mitra jest znamieniem symboliki duchowej, która tłumaczy się następującymi Zbawiciela słowami: „Oddaj Bogu, co boskie, a Cezarowi, co jest Cezara“... Glina jest gliną, złoto złotem, człowiek człowiekiem, lecz glina, złoto i człowiek nabierają znaczenia szczególnego, gdy owionie je tchnienie boże...

— Zapewne, ojcze wielbny... — odrzekł podkomorzy, nie myśląc przeczyć mistycznym księdza wywodom. — Ja też nie odważam się rodu mego stawiać na równi z rodem księżęcym Gamajdów.... *Suum cuique*.... Śmiem tylko twierdzić, że się księżę Gotfryd nie bardzo zniży, pojmując Kostrzewicę za

małżonkę. Księżęta Radziwiłłowie, księżęta Sapiehowie, księżęta Czartoryscy, Czetwertyńscy, królowie nawet kojarzyli się ze szlachciankami, nielepszemi od córki mojej.

— Wyjątki, chociaż najliczniejsze, reguły nie obalają... Zobaczmy jednak... mości podkomorzy... zobaczmy... Co do mnie, nie widząc w propozycji asana dobrodzieja wyraźnej obrazy bożej, gotów jestem popierać ją w miarę możliwości mojej...

Rozmowa przeciągnęła się dłużej jeszcze. Ksiądz jezuita nie przyrzekał wyraźnie, nie odmawiał stanowczo: czynił dopięcie zamiarów zależnem od warunków jakichś bliżej nieokreślonych a mglistością mistyczną osłoniętych, stawiając młodego księcia Gotfryda jako istotę, będącą wcieleniem wyższej jakiejś idei. Podkomorzy nie rozumiał tego dobrze, i dla tego też zapewne uznawał racje przez księdza Korskiego podawane. Co więcej, racje owe podnosiły w oczach jego księcia Gotfryda i pożądanym go czyniły. Nabierał on w oczach jego znaczenia owocu zakazanego, i pomimo że zdrowy rozum powiadał mu, że księżę w ogólności jest idjotą, na politowanie zasługującym, wydawać się mu poczęło, że pragnienie związku tego ze strony żony jest dziełem natchnienia, spływającego z nieba. Tak go rozmowa z księdzem nastroiła.

Podkomorzy, dzięki wyobrażeniom, któremi nasiąknął, podległym był hallucynacjom swego rodzaju. Skolligowanie się z księżętą nabierać poczęło w oczach jego znaczenia osobliwego, a idjotyzm nawet przedstawiał się mu już nie jako idjotyzm zwyczajny, lecz jako coś idealnie zagadkowego, tajemniczego i wyższego. Uwierzył w ofiarnosć księcia, nie przestając jednak litować się nad dzieckiem własnem, to znaczy, żywić tego przekonania, że i panna Ludwika występuje jako ofiara.

— Biedne dziecko!... — mówił sobie. — Ale... ha!... nie ma rady...

Dwa wyrazy ostatnie były pod adresem podkomorzyny, odgrywającej rolę wyroczni. Byłaby rada, gdyby nie podkomorzyna.

Napróżno się więc panna Ludwika razy jeszcze kilka do ojca z prośbami i łzami zwracała. Podkomorzy dawał odpowiedzi wymijające, pocieszał córkę i uspokajał; powiadał jej:

— Jakoś to będzie...

Aż powiedział w końcu:

— Nie ma rady...

— Papo!... — krzyknęło dziewczę biedne. — Jakto?... ja za tego... wyjść muszę?...

— Zdaje się, moje dziecko...

— Papie się zdaje?... Mama chce?... Papa chyba na męską wolę zdobyć się nie może!...

— Nie to... Ty nie wchodzisz w powody istotne.. Nie bierzysz na uwagę tego, że ty, córka moja, dźwigniesz z upadku ród znakomity.. Zastanów się jeno nad tem, zastanów się jeno nad tą rolą wzniosłą, jaką ci Opatrzność w ręce daje...

— Ależ papo!... — podchwyciła panienka patetycznie nieco.
— Ja... kocham... kogo innego...

— Iii... — machnął podkomorzy ręką. — Tyś jeszcze zbyt młoda i tobie się tak wydaje... Miłość ta, wierz mi, jest urojeniem...

— Ach! papo... Co też papa mówi!... Ja kocham!...

Rzecz się miała tak. Pan Gustaw, jakieśmy o tem wyżej wspomnieli, ulotnił się z horyzontu ohrebyskiego. Odszukamy go w dalszym powieści ciągu; dla panny Ludwika atoli był on nie do odszukania, dla powodów, których ona nie знаła, i zamiast których tworzyła sobie dramat miłosny, przerażająco romantyczny, który się jednak zakończyć miał bardzo dobrze. Panienka nastrojała się do zakończenia tego, ślubując co chwila kochankowi nieobecnemu wierność niewzruszoną. Spodziewała się wieści od Gustawa, spodziewała się dalej samego Gustawa, w postaci bohatera, przybywającego po nią i gotowego za nią życie hazardować. Duchy go jakieś prowadziły; przeczucia nim kierowały.

Co się jej samej tyczy, gotową była na hazardy wszelkie, mianowicie zaś na to, ażeby w jakiejś kapliczce ustronnej, przed jakimś księdzem nieznanym, w obecności świadka jakiegoś zagadkowego, wziąć z miłym ślub, słowem, dać się wykraść. Bardzo jej się tego chciało. Marzyła o tem, roila; ile razy sama pozostawała, natychmiast szła do zwierciadła i na wykradzioną pozowała, układając stosownie włosy na głowie, mantylkę na ramionach, szal na rękę, zatykając za warkocze i za gors kwiatki polne i listki różne, i przybierając minę bolejąco-radośną. A westchnienia jej — któżby je policzył!... Wzdychała co moment; co moment czy do góry wznosiła, łzami je bardzo często rosła i na Gustawa czekała.

Czekała atoli nadaremnie.

Gustaw podział się gdzieś. Nie przybywał. Wieści o sobie nie dawał. Nie stawiał się ani w postaci bohatera, ani też w postaci śmiertelnika zwyczajnego.

Napróżno wieczorami wymykała się do ogrodu, do pamiętnej altany. Napróżno echom rzucała zapytanie:

— Gdzie ty?...

Echa jej zapytaniom odpowiadały — bawiły się z nią niejako w ślepą babkę.

Raz rzuciła wykrzyknik:

— Gustawie!...

Echa odpowiedziały jej:

— W stawie...

Złękła się dziewczyna biedna i przeplakała noc całą, myślarz o duchu kochanka i o tem, jak Gustaw po śmierci wygląda.

Myśl ta sprowadziła do fantazji jej myśl o śmierci własnej. Wyobraziła siebie bladą, w białej sukni, w zielonym wieńcu, pod gazową zasłoną, w ślubnej odzieży, leżącą na czemes nie na katafalku jednak — katafalk wstręt w niej budził i nie chciała siebie nawet wyobrażać na nim; wtem, wchodzi ktoś — to on!... staje, kolana ugina, ręce wyciąga i woła:

— Ludwiko!...

— Gustawie!... — odpowiada mu dziewczyna.

Nieboszczka zmartwychpowstała. Miłość cud sprawiła. Dusza usłyszała wołanie kochanka, z raju przybiegła — raj opuściła — wstąpiła w ciało napowrót, i zmarła, powstawszy zwolna, podała kochankowi rękę. Książdz, który miał grzebać, dał ślub.

Tak więc, w ten i ów sposób, zawsze się i dramat ślubem miał zakończyć.

Panna Ludwika marzyła, roila — kochała — kochała tak silnie, że się zdobyła na odwagę powiedzieć to ojcu, pewną będąc, że wyznanie wyrze na podkomorzym wrażenie piorunujące, że podkomorzy osłupieje, zatoczy się, ręką się za poręcz jakąś uchwyci i zapyta:

— Ty?... kochasz?...

Zdziwiła się więc nie pomółu, gdy zamiast tego ojciec ręką machnął i miłość tę, taką wielką i taką nadzwyczajną urojeniem nazwał.



— Ach, papo!.. Papa chyba nie wie...

— Wiem, moje dziecko... Byłem młodym i ja... I mnie także w głowie zielono bywało...

— Papa chce chyba zrobić ze mnie ofiarę....

— A gdyby, przypuśćmy, i tak było, to czyż nie piękniej, nie wznioślej, ofiarą zostać, aniżeli kaprysowi dogodzić!... W ofierze jest coś wzniosłego, podczas kiedy w kaprysie nie ma czego innego, jak tylko urojenie...

— Urojenie?.. miłość?..

— A no... Ręczę ci słowem szlacheckiem, iżbyś się tak nie rozkochała, gdybyś była *antycypatywa* nie przeczytała romansów tuzinów kilka...

— Papo!.. zgroza!..

Ze słowem tem na ustach panienka wybiegła z apartamentu ojca, udała się do swego i tam oddała się rozpaczom... przed zwierciadłem. Rozpacz — dodać należy — była jej stanem normalnym od czasu zniknięcia Gustawa, oswoiła się więc nieco ze stanem tym, który z powodu jednostajności poczynił jej już ciężcyć potrosze. Rojenia o wykradzeniu i o śmierci ze zmartwychpowstaniem, były to symptomata zdradzające znużenie, jeżeli nie znudzenie. Pragnęła wyjść już ze stanu tego tak lub owak, bodaj przez śmierć.

— Śmierć... — mówiła do siebie, w zwierciadło spoglądając i usiłując obliczu swemu nadać wyraz jak najbardziej śmiertelny. — O!.. ach!.. ofiara!..

Wysunęła szufladkę w gotowalni i wydobyła z takowej pudełeczko safianem obite i na klamerki zamykane. W pudełeczku tem mieścił się stroik djademem zwany. Było to cacko szczerozłote, zbobne w perełki i brylanciki, tworzące zygzaki symetryczne. Panna Ludwika przyłożyła je sobie do warkocza, który jej głowę nad czołem obwijał, przytwardziła je iglicą, odgarnęła włosy z nad skroni, podczesała je szczotką do góry — spoglądała w zwierciadło, wdychała i uśmiechała się.

Uśmiechała się i wdychała.

Analiza uśmiechów tych i tych westchnień byłaby niesłychanie ciekawą, i wielką mielibyśmy ochotę uczynić takową. Musimy ją jednak na później odłożyć, a może i całkowicie zaniechać, przekładając stawianie faktów nad rozsnuwanie rozumowań, będących nie czem innym, jeno zapuszczeniem skalpela

w duszę dziewczęcia szesnastoletniego. Operacja chirurgiczna tego rodzaju wstręt niejaki sprawia, nie chirurgom wszakże, ale mężom wielce poważnym, krytykom, stojącym na straży ideałów, którzy krzyczą na pisarza: „Nie tykaj tego!.. Nie rozbijaj kryształów, w których się tak barwnie rozkładają promienie!... To cynizm!“ Dobrze więc. Nie będziemy się w analizę wdawali. Powiem prosto: panna Ludwika uśmiechała się i wdychała, mając na głowie iglicą przypięty djademik szczerozłoty, który jej przywiózł papa z kontraktów kijowskich. Djademik był szczerozłoty, misternie zrobiony. Z pośrodku perełek mrugały djamenciki i zdawało się, jakby cichym a tajemniczym szeptały głosem.

— Księżna...

Głos zaś w sercu odszeptywał:

— Ofiara...

Wyrazy „księżna“ i „ofiara“ dopuszczały się dziwnych jakichś w umyśle dziewczyny łamańców. Raz wsiadał wierzchem jeden na drugi i jechał — księżna osiodływała ofiarę, lub też ofiara księżnę; znów jeden robił sobie z drugiego posłanie i wyciągał się na takowem; zdarzało się, że jeden z drugim splatał się w rodzaj girlandy długiej niezmiernie i obwijał pannę Ludwikę od głowy do stóp, obwijał ją tak gęsto, że z tych kwiatów, w które się poprzemieniały litery, tworzyła się tkanina przejrzysta, osłaniająca pannę Ludwikę całą, tak jednak, że z pod niej wychylała się postać jej w jaśni osobliwej jakiejś, w djademiku na głowie mrugającym djamencikami, nie szeptającymi już, ale wygrywającymi na strunach promiennych wyraz dźwięczny:

— Księżna...

Wyraz ten, w towarzystwie wyrazu „ofiara“, nie był pozbawiony uroku pewnego.

Panna Ludwika jednak wdychała.

A... kochałaż przecie.

Miłości nie wyrывa się z serca, jak chwastu z grządkie nie rzuca się jej na drogę przechodniom na podeptanie. Panna Ludwika też nie wyrывała i nie rzucała, ale ją powoli, ostrożnie, z całem należnem jej uszanowaniem i z jak największym smutkiem wyjmowała i jak najdelikatniej w bawelnę wspomnień obwijała. Nie zrobiło się to odrazu. Nie dokonało się to w zu-

pełności. Po pierwszym tem posiedzeniu, na którem odbyła się konferencja poufna pomiędzy dwiema pannami Ludwikami — tą przed zwierciadłem i tą w zwierciadle — po posiedzeniu tem, panna Ludwika, usłyszawszy za drzwiami chód matczyzny, szybko schowała djademik do szufladki, uskoczyła w bok, i rzuciwszy się na kanapę, oparła się łokciem o poręcz w pozie rozpacz.

Podkomorzyna weszła, zatrzymała na córce wzrok surowy i zapytała:

— I długoż to jeszcze, Ludwiko, dziecinić się zamierzasz?..

Panna Ludwika nic na zapytanie to nie odpowiedziała.

— Mówiłaś z ojcem?..

Panna Ludwika westchnęła.

— Trzeba, żebyś wiedziała, że ja z ojcem twoim w materji tej nie mówię wcale... Nie chcę, ażeby życzenia moje na postanowienie jego w najmniejszym wpływały względnie... Usunęłam się na stronę całkowicie... Ojciec twój ma swoją wolę, którą przeprowadzać lubi i umie! dowiódł tego w pożyciu naszym aż nadto... aż nadto, powiadam, często bowiem, a raczej najczęściej nie chciał tego, czegom ja chciała, nie dla czego innego, ale dlatego jedynie, ażeby woli swojej na uszczerbek nie narazić... Nie brałam, Bóg widzi, i nie biorę mu tego za złe... Zostawiałam mu i zostawiam swobodę działania zupełną... I obecnie, jeżeli się ciebie zapytuję, to dlatego jedynie, ażeby się do woli jego zastosować... Mówiłaś z ojcem?..

— Mówiłam, mam... — wyjąkała panienka.

— Cóż więc?..

— Papa... hm... papa... chce tego samego, co mama...

— Żebyś szła za księcia Gotfryda?..

— Żebym z siebie ofiarę tę zrobiła...

Podkomorzynie przemknął przez oblicze uśmiech, który nazwalibyśmy ironicznym, złośliwym nawet, gdyby to nie matka z córką rozmawiała.

— Widzisz więc... — rzekła — ojciec domaga się od ciebie... tej... ofiary (wyrzaz ten z przyciskiem wymówiła)... ojciec, mający dla ciebie słabość... Przekonajże się, że ze strony mojej nie jest to żadne przywidzenie, żadna fantazja, ale zrozumienie jasne pozycji tak naszej, jak twojej... Tyś mnie zmartwiła bardzo i zraniłaś serce moje głęboko...

Podkomorzyna, mówiąc to usiadła obok córki i dalej głosem łagodnym mówiła:

— Ale ja ci i przebaczę i zapomnę... Wierz mi, moje dziecko, nikt cię tak nie kocha i kochać nie może, jak ojciec i matka... Tyś jeszcze taka młoda, tyś dziecko prawie... nie masz praktyki życia, nie masz doświadczenia, skłonną jesteś brać złudzenia za rzeczywistość i błądzić... Zbłądziłaś... ojciec i ja, bez zmańwania się uprzedniego, nie robimy nic innego, tylko ścieżkę twoją prostujemy... Ja ci przebaczam, bo ja cię kocham, bo chcę widzieć ciebie nie jakąś tam Zahalnicą, a księżną Gamajdziną...

Padły sobie w objęcia. Panna Ludwika płakała i podkomorzyna się rozpłakała.

Przez chwilę słysząc było jeno dwa łkania, wtorujące jedno drugiemu.

Po chwili słyszeć się dał wyraz:

— Ofiara...

Wymówiła go panna Ludwika.

Podkomorzyna na to:

— Coż robić!.. moje dziecko... coż robić!.. Ofiara to, ale wzniosła, ale piękna, ale chlubna...

Płakały jeszcze trochę, aż łzy im oschły i podkomorzyna prawie poczęła o ofiarach w ogólności, jakie czynią z siebie wszystkie panny za mąż wychodząc. Ściągało się to do niej samej, do wyjścia jej za podkomorzego.

— To los nasz ogólny, chodzi o to tylko, ażeby się poświęcić dla kogoś, co tego wart, co na ofiarę zasługuje, ażeby nie wyrzucać sobie potem przez życie całe: mogłam zrobić los inny...

Westchnęła.

Panna Ludwika odpowiedziała matce westchnieniami.

Wszakże nie zaofiarowała się jeszcze tym razem na księżnę.

Podkomorzyna nie nalegała na nią.

Przyszło to samo przez się, bez nalegania, w tygodni parę po rozmowie powyżej przytoczonej, kiedy panna Ludwika, odbywszy kilkanaście konferencyj sama ze sobą, wyjęła z serduszka swego miłość dla Gustawa, obwinęła ją nalezycie w bawełnę wspomnień i włożyła do pudełeczka złocistego, uklejonego z rojeń

dziewiczych. Prześliczne to pudełeczko! Widać przez nie na wylot. Przedmioty w niem przechowywane przelewają się i migocą, niby woda w brylancie, i w końcu wietrzeją wraz z pudełkiem, z bawełną i ze wszystkim. Nie następuje to jednak odrazu, o! nie.

Panna Ludwika walczyła z sobą długo.

Nie zapytywała już atoli ech o Gustawa, pomimo że o nim myślała, układając sobie sceny rozmaite, które się odegrać mogły i w układaniu których zachodziło pewne stopniowanie.

Wyobrażała sobie, najprzód, że Gustaw pojawia się nagle przed nią i zapytywała sama siebie, jakby się w tym wypadku znalazła. Niestety! nie miała już na zapytanie to odpowiedzi wyraźnej. Pragnęła i nie pragnęła wypadku podobnego, potrzebnego koniecznie do zaokrąglenia romansu. Wyobrażała sobie następnie siebie po zaręczynach; Gustaw się pojawia; ona mu pokazuje pierścion, on wpada w czarną rozpacz, z której wywiązuje się historia długa, djalogowana — pojedynki, awantury — i kończy się to wszystko jakoś, bez konkluzji jasno określonej. Wyobrażała sobie w końcu siebie w sukni białej, w wianku zielonym, w zasłonie gazowej klęczącą na stopniach ołtarza, wymawiającą wyrazy sakramentalne. Wymówiła wyrazy te, rzuca okiem i spostrzega pod kolumną postać bladą, z włosami rozczochranymi, ze wrokiem błędnym. To on! w oczach się jej zaćmiło. Wtem rozlega się wystrzał z pistoletu. Scena ta, pomiędzy wszystkimi innemi w rodzaju swoim jedyna, miała koniec i zaokrągląła romans całkowicie.

VII.

O! było z książętami, a właściwie z ojcem Korskim kłopotu nie mało, zanim się targu dobiło.

Sprawa, nie obwijając rzeczy w bawełnę, zeszła na targ. Ksiądz zgodził się w zasadzie, chciał jednak ofiarę księcia wyzyskać na księcia korzyść; podkomorzy zaś nie chciał ofiary córki hazardować na przepadłe. Rozbijało się o to, jaki z posagu panny Ludwiki użytek zrobić: czy go oddać księciu na własność, czyli też zabezpieczyć na Krasilowcach. Ojciec Korski

stał przy pierwszym uparcie, podając za przyczynę względy, czerpane w biblji, w ewangelii, w ojcach kościoła, w autorach pogańskich i w prawie kanonicznem, i przytaczając przykłady historyczne z żywotów Świętych pańskich i inne również autentyczne. Podkomorzy nie był w stanie go przeargumentować. Liczne a często się powtarzające z księdzem jezuitą konferencye kończyły się na niczem. Po każdej podkomorzy powiadał sobie:

— Nie mogęż przecie córki własnej zarzynać...

I po razy tysiąc decydował się, dać temu wszystkiemu czysty pokój. Chodziło mu jednak o spokój domowy. Wziął więc na kiel i taki do ojca Korskiego wystosował list:

„Wielebny ojcie i jaśnie wielmożny mości dobrodzieju! Nie mogę ja nie przyznawać JW. Imię panu dobrodziejowi racji we wszystkim. Słów jego z pokorą słucham. Wszelako, ojcem będąc, nie chcę, a raczej nie mogę dziecka własnego pozbawiać słusznie należnej onemu i uczciwie nabytej fortunki. Z drugiej atoli strony, zważywszy, że dziecko to, to jest córka moja, żywi affekta gorące względem jaśnie oświeconego imię księcia i cierpiałyby wielce, gdyby nie zostało synową jaśnie oświeconego księcia Norberta Gamajdy, mam zaszczyt oświadczyć JW. Imię panu dobrodziejowi, iż następującą stawiam alternatywę: albo niech będzie po mojemu, albo też na mocy rewersu jaki posiadamy, opatrzonego podpisem własnoręcznym jaśnie oświeconego księcia, zahypotekowanego i oblatowanego, od którego od lat dwudziestu pięciu procentów nie pobierałem, na mocy rewersu rzeczzonego, o którym wielebność wasza wie dobrze, będę się widział zmuszonym przeprowadzić, z bolem serca, tradycję majątku, to jest wyzuć jaśnie oświeconego księcia i pana z dóbr wszelkich i z alimentów, jakich takowe dostarczają. Z bolem serca, powiadam, chwycę się sposobu tego. W waszej, ojciec wielbny, mocy odwrócenie ciosu, który, że tak rzekę, z rozpaczą zadam, jeżeli od wielebności waszej pomyślnej nie dostanę odpowiedzi.

„Mam zaszczyt“, etc.

„Jaśnie wielmożny mości dobrodzieju! — brzmiała odpowiedź księdza. — Jedynie tylko dla niedopuszczenia jaśnie wielmożnego pana do grzechu, którybyś nieochybnie ściągnął na siebie, gdybyś zmartwił pana tak zacnego, tak bogobojnego i tak

przykładnego, jak jego oświecony książę, jedynie dla tego, nie zaś dla czego innego, podejmuję się pośrednictwa we wiadomym imię panu dobrodziejowi interesie. Nie ręczę za skutek. Ufam tylko, że łaska boża natchnie mnie wymową, potrzebną do odwrócenia grzechu od JW pana dobrodziej. Będę się za jasnie wielmożnego pana dobrodziej modlił, i polecając go nieprzebranemu Pana naszego Jezusa Chrystusa miłosierdziu, mam zaszczyt“ etc.

„*Post scriptum.* Racz jasnie wielmożny pan dobrodziej po-fatygować się do Krasnolowca za tydzień od daty niniejszego.“

Podkomorzy liczył, że za tydzień zastanie już rzecz całą załatwioną. Omylił się jednak. Zastał ojca Korskiego w uspo-sobieniu pośpennym. Ksiądz spotkał go słowami następującymi:

— Nie... Sumienie nie pozwala mi brać grzechu na siebie, znając onego rozciągłość całą...

— Więc ja, ojcze wielobny, nie mam co tu robić... — od-parł podkomorzy, zabierając się do wyjścia.

— Asan dobrodziej odchodzisz?...

— Odchodzę, ojcze wielobny...

— I czemu to?...

— Bo mi na gadanie z wami rozumu nie starczy... Żal mi dziecka własnego...

— Żal asana dobrodziej jest arcychwalebny; zważywszy jednak w jakie majątek dostanie się ręce...

— Przeciwno ręką nie mam nic... Możeby miał co przeciwko głowie...

— Panie podkomorzy dobrodziej!... — zawołał ksiądz. — Wyrażenie podobne równa się świętokradztwu... Aż nie po-wiedziano u Pawła apostoła: „Mądrość tego świata jest szaleństwem przed Bogiem!“ Aż jego książęca mość, książę Gotfryd, nie jest wzorem najczystszych tych, których jest królestwo nie-bieskie!...

Ksiądz dłużej jeszcze w tym sensie prawił, co oczywi-ście miało na celu nie co innego, jeno zagadanie i zastrasze-nie podkomorzego, który, poznawszy się na tem, odpowiadał co chwila:

— Temu nie przeczę, ale...

I nie mógł do słowa przyjść. Ksiądz zasypywał go gra-dem cytat, czerpanych w listach Pawła apostoła do Koryntyan

i Kolosejczyków, w dziełach św. Augustyna, Tertuliana, św. Jana Chryzostoma, Tomasza a Kempis, św. Ireneusza, Laktan-cyusza, Jana Skota, Orygenesza etc. etc. i przerywał mu za każdym razem, jak tylko ze swoją „ale“ występował. Ojciec Korski w rzadkich tylko wypadkach wymowę podobną rozwijał. Podkomorzy został odurzony potokiem uczoności, która mu w uszach bębniła i przez słuch się, niby przez przetak, przele-wała. Ksiądz zakończył:

— Jeżeli przeto asan dobrodziej nie przeczysz, zatem... uznajesz...

— Nie przeczę i uznaję...

— Jeżeli uznajesz, zatem własne asana dobrodziej dobro wymaga tego, ażebyś jasnie oświeconemu księciu oddał podko-morzanę wraz z wianem, jakim ją opatrzyć zamierzasz, bez zastrzeżeń, wystawiających na szwank zbawienie duszy... Czyż bowiem nie dość tego, że jasnie oświecony książę pojmie żonę, wbrew temu co pisze Ś-ty Augustyn: „Matrzenstwo nie jest dobrem?“... Ś-ty Paweł powiada: „Żona niechaj będzie poddaną mężowi swemu, jako panu; żona niech się lęka męża swego“... Możeż ona być poddaną, możeż się lękać, jeżeli wiano swoje zahypotekuje obyczajem pogańskim?... Ś-ty Hieronim mówi: „Kobieta jest to brama szatańska, droga grzechu, ukąszenie skorpionia“... Godziż się jasnie oświeconego księcia na uką-szenie skorpionia wystawiać i temuż skorpionowi żądło za-ostrzać?...

— Ojcze wielobny!... — krzyknął podkomorzy, przerywa-jąc — protestuję!... protestuję!...

— Przeciwno czemu?... — zapytał ksiądz sucho.

— Przeciwno temu, ażeby córka moja skorpionem być miała...

— Nie tyczy się to córki asana dobrodziej szczególnie, ale rodzaju całego... Ś-ty Szymon Słupnik odepchnął matkę ro-dzoną dlatego, że niewiastą była... Odpychanie niewiast jest cnotą wysoką, którą młodzianek książęcy praktykował dotych-czas, od której waszmość dobrodziej chcesz go odwieść i nie chcesz w zamian odstąpić na rzecz jego dóbr marnych, prowa-dzących na potępienie, zwłaszcza gdy w ręku niewiasty pozo-stają... Nie mości podkomorzy, to nie po chrześcijańsku, tak się nie godzi... Nie!... asan dobrodziej nie uczynisz tego, przez

względ na jaśnie oświeconego księcia... przez wzgląd na siebie samego... przez wzgląd na dziecko własne...

Ksiądz się zmęczył nieco i podkomorzy mógł nareszcie wypowiedzieć argument, który mu na sumieniu ciążył.

— Ależ, ojciec wielbny, śmiertelni jesteście!... — zawołał.

— Właśnie też...

— Jeżeliby jaśnie oświecony książę zeszedł... czego Bóg nie da!... ze świata tego pierwszej aniżeli małżonka: miałaby ta ostatnia zostać żebraczką?...

— A... — rzekł ksiądz, rękę wyciągając. — Wypadek ten można w intercyzie przewidzieć, zastrzegając dla niej, naprzykład... dożywocie...

— Myślę, że sprawiedliwiej i godziwiej byłoby zastrzedz dożywocie dla jaśnie oświeconego księcia, na wypadek gdyby żonę przeżył... W ten sposób majątek dostałby się spadkobiercom naturalnym...

Ksiądz uśmiechnął się ironicznie.

Uśmiech ten podkomorzego zmieszał.

— Wielebność wasza... — odezwał się i wyrazu odpowiedniego w myśli szukał. — Wielebność wa-a-sza...

— O!... — odrzekł ojciec Korski z westchnieniem, wzrok do góry wznosząc — jakże teraz na świecie wiary mało!... ofiarności mało!... Asanu dobrodziejowi w myśli spadkobiercy naturalni... Troskasz się o owoce grzechu, które z góry ubezpieczyć zamierzasz, a ani pomyślisz o kościele, matce duchowej, karmiącej cię krwią i ciałem Zbawiciela... O!... mości podkomorzy...

Podkomorzy, poruszony intonacją głosu, która miała w sobie nastrój uroczysty, równie jak argumentami, które z wiarą przyjmował, gotów już był ustąpić i byłby to uczynił, gdyby nie wzgląd na podkomorzynę. Podkomorzyna w oczach mu stanęła, milcząca i zagadkowa. Lękał się niedorzeczność popełnić. Ze wszystkiego, co ksiądz mówił, najmocniej utkwily mu w umyśle słowa Sw. Hieronima, mianującego niewiastę „ukąszeniem skorpiona“. Lękał się skorpiona drażnić i dlatego jedynie zażądał u księdza jezuitę zwłoki do namyslenia się.

— Namysław się asan dobrodziej, o! namysław się!... — była odpowiedź księdza. — Namysła się nieprzyjaciel rodzaju

ludzkiego, który krąży około wahających się, czatuje i wypatrzuje *quaerens quem devoret*...

Mimo apostrofy tej, podkomorzy chwycił się namysłu niby deski zbawienia i pożegnał księdza.

Wracając do domu, przez drogę całą doznawał w uszach szumu osobliwego, jakby od napoju odurzającego. Nie był w stanie myśli zogniskować. W głowie mu się przewracało, jak w naczyńiu w którym się ferment odbywa. Wydawało się mu, że, w rzeczy samej, znajduje się na drodze popełnienia grzechu wielkiego, prowadzącego do piekła, do którego dostać się nie życzył sobie bynajmniej.

— Sprawa fatalna... — mówił sam do siebie. — Djabli nadali!... Wdałem się w nią i ot... Samochcąc, człek licha sobie narobił... Ach!... — westchnął. — Gdyby nie... skorpion...

Skorpion mu ćwiekiem w głowie utkwiał.

Dojeżdżając do Ohrebyszcza, postanowił sobie rozmówić się z podkomorzyną. Odnowił postanowienie dawniejsze, które jak wiemy, spełzło na niczem.

Przyjechał, udał się do apartamentu swego i kazał Lewickiemu panią poprosić.

Podkomorzyna stawiała się na wezwanie.

— Kazałeś mi przyjść... Jestem... — odezwała się cierpko.

Podkomorzy drzwi na klucz zamknął i klucz do kieszeni schował.

— Co to znaczy?... — zapytała.

— Głowa mi pęka... — była podkomorzego odpowiedź. Zdałaś na mnie sprawy najdrażliwsze i najdelikatniejsze i te gniołają mnie ciężarem całym... Chcę się rozmówić z tobą...

— O czym?...

— O wydaniu Ludwika za księcia Gotfryda...

— Cha, cha... — zaśmiała się pani. Chciałbyś ją wydać?...

— Chciałbym dogodzić tobie... życzeniom twoim...

Pani podkomorzyna głową pokiwała z akcentem oznaczającym niedowierzanie.

— Nie bawmy się jednak w rekryminacje... — podchwycił podkomorzy. — Dobijam targu i potrzebuję pomocy i porady twojej... Siadaj i słuchaj...

Podkomorzyna usiadła na kanapie. Podkomorzy zdał jej sprawę wierną z całego toku zabiegów swoich, nie ukrywając

ani zatajając niczego, nawet obaw, jakie w nim jezuita wzburzyć potrafił, we względzie zbawienia duszy.

— Boć to przyznaj sama — kończył — sprawa nie lada... Ciało zgubić, to mniejsza... ale duszę!...

Podkomorzyna ramionami wzruszyła.

— Cóż ty na to?...

— Co ja na to?... — odparła. — Ja... wytoczyłabym proces księciu Norbertowi...

— Ażeby ściągnąć na siebie potępienie wieczne...

— Ach, nie... — odrzekła z gestem niecierpliwości zdradzającym. — Potępienie wieczne?... Co jeszcze!... jakby nie było spowiedzi, pokuty i odpuszczenia grzechów!... Wypowiadasz się i...

Podkomorzy się dłonią o czoło uderzył, aż okłask się rozległ.

— Co?... — zapytała podkomorzyna.

— Na myśl mi to nie przyszło... — odrzekł uradowany. O! ojciec jezuito... mam cię!... Pojadę jutro do Krasinowic... albo nie... nie pojadę już tam wcale... napiszę... Postawię *ultimatum*, termin oznaczę i niech się co chce dzieje... Nie pojadę... skończyło się...

Chodził czas jakiś po pokoju, uśmiechając się sam do siebie, usiadł obok podkomorzyny i w rękę ją pocałował.

— Powiedź mi, Klareczko, czemu tak długo, tak uporczywie unikałaś rozmowy ze mną?...

— Ja rozmowy unikałam?... Unikałam nie rozmowy, ale tych sprzeczek do niczego nie prowadzących... Ja lubię spokój i stokroć wolę uleść tobie, aniżeli narażać się na dyskusje jałowe...

— Hm... niech tak będzie... — przerwał podkomorzy. — Gdybyś była jednak dawniej ze mną pomówiła, tobyś mi była oszczędziła połowy zabiegów... Stało się jednak... Mam głowę pełną Tertulianów, Augustynów, Pawłów, Hieronimów, Chryzostomów i innych wielu świętych...

— O którychbyś nie wiedział inaczej... — wtrąciła podkomorzyna tonem półżartu.

— Prawdę powiedziawszy, wolałbym być nie wiedzieć a to dlatego, że... niewiadomość grzechu nie czyni...

— Czy grzech ten naprawdę cię obchodzi?... — zapytała pani życzliwie.

— Hm!... czy na prawdę?... Nie może nie obchodzić po tem, co ksiądz Korski nagadał... Gdybyś go słyszała!... Gdybyś widziała, jakim się niekiedy zapalem unosił!...

— A proboszcz?...

— Co proboszcz?...

— Jeżeli masz wątpliwość jaką, odwołaj się do proboszcza...

— Jak w sądach — podchwycił podkomorzy — od instancji jednej do drugiej... od niższej do wyższej... Zachodzi jednak kwestja: czy proboszcz wyższym jest od jezuity, czy jezuita od proboszcza?... A zresztą... co tam już!.. Zgrzeszę, wypowiadam się, odpokutuję...

— Gdybyś mnie posłuchać zechciał...

— Moja Klareczko!... — odparł podkomorzy z przyciskiem — a czyż kiedy głuchy jestem na słowa twoje?...

— Zdarza się to *niekiedy*... — odrzekła podkomorzyna z silnym na ostatnim wyrazie naciskiem — teraz jednak może, dzięki ojcu Korskiemu, łaskawszym się okażesz...

— Słucham więc...

— Moglibyśmy, gdyby się pomyślnie skojarzenie Ludki z księciem powiodło, ślubować sobie odbycie, wraz z państwem młodem, pielgrzymki do Częstochowy...

— Wyborny pomysł!... Świetny pomysł!... Pielgrzymka do Częstochowy zgładzi grzechy przeszłe i przyszłe, tylko... nie trzeba o tem ojcu Korskiemu powiadać, bo on gotów w dziełach świętych Tertulianów, Augustynów, Hieronimów znaleźć ustęp, który ślub nasz w niwecz obróci... Cicho... sza... podejmiemy klekę i na swoim postavimy... Zdaniem mojem atoli, nie ślubujemy za innych, a tylko za samych siebie... Nowożeńcy?... jak się im podoba, zechcą jechać, dobrze, nie zechcą, drugie dobrze... Zobowiązamy siebie samych: jeżeli, co daj Boże, małżeństwo do skutku przyjdzie, pojedziemy do Częstochowy dla podziękowania Bogu i oczyszczenia się z grzechów...

— Zrobię przytem szydełkiem obraz do ołtarza...

— A ja sprawię parę lichtarzy srebrnych...

— Wyhaftuję komeżkę dla proboszcza...

— A ja nową patynę kupię... Wyrzuci się karbowanów...

T. T. Józ T. II.

kilkanaście, ale przynajmniej nie nadaremnie, przez to bowiem ubezpieczy się całkowicie posag Ludki, który gotów już byłem przepławić...

— Jak?... co?... — zapytała podkomorzyna, nie rozumiejąc ostatnich męża wyrazów.

— Przyciśnięty przez księdza jezuitę do muru, zamierzałem komplanację proponować, połowę posagu dając na przepadłe a połowę hypotekując... Miałem jednak dobre natchnienie, żem się z tem nie wygadał...

— Lepiej się stało... — zauważyła podkomorzyna.

Że się stało lepiej, to najmniejszej nie ulega wątpliwości. I małżeństwo do porozumienia przyszło i sprawa jasno stanęła. Podkomorzy drzwi otworzył. Nie oznaczało to bynajmniej, że życzy sobie ażeby się małżonka precz miała. Oznaczało to tylko powrót ufności zobopólnej pomiędzy mężem a żoną. Środek heroiczny, do jakiego się uciekł w rozpacz, był już niepotrzebny. Podkomorzyna nie omieszkła ze sposobności skorzystać i jak najłagodniej uwagę zrobić, że kończy się zawsze na tem, iż wola męża bierze górę nad jej wolą. Dowód w oczy się rzucał. To wezwanie jej i to drzwi na klucz zamknięcie, nie nosiłyż na sobie cech gwałtu?

— Było to jednak niepotrzebnie, mój Marcinie... — kończyła tonem uległości. — Ty wiesz przecie, że ja zawsze za twoją ideę wolą...

Podkomorzy w zanadto dobrym znajdował się humorze, ażeby ochotę miał sprzeczkę wszczynać. Uznawał przeto wszystko z góry, i czuł tylko, że się zaangażował w sposób, niedopuszczający ani zwłoki, ani wahania się. Nie pozostawało mu, jak iść, jak to powiadają, na przebój — zdobywać zięcia szturmem — rozpoczynać akcję zaczepną, paląc okręta za sobą i nie zważając na nic, a najmniej na to, iż akcja owa do piekła go zaprowadzić może. Piekło, jakie mu ojciec Korski w perspektywie dalekiej ukazywał, straszło go nie tyle, jak to, któreby się w ohrebyskim utworzyło dworze, gdyby małżeństwo zamierzone chybiło. Czuł więc, iż rozwinąć musi energję jak największą — i nie psuło mu to humoru: czuł bowiem za sobą plecy, pod postacią małżonki własnej, która udzieliwszy mu aprobaty i nasunawszy rad zbawiennych parę, przez to samo brała na siebie rolę mocarstwa sprzymierzonego do działania zaczepno-odpor-

nego. Mając sprzymierzeńca, nabywał odwagi, z odwagą zaś przychodził i humor, który go nie opuszczał przez dzień cały do wieczora, i w nocy sprowadził sny miłe.

Nazajutrz rano zasiadł do pisanía listu do ojca Korskiego.

Było to zadanie nielada, należało bowiem pogodzić łagodność formy z niezłomnością ultimatywną. Pisał więc i mazał, mazał i znów pisał, napsuł papieru sporo, zanim zreagował epistolę następną:

„Jaśnie wielmożny mości dobrodzieju, ojcze wielobny. Namysliłem się! Grzechy wszelkie na siebie przyjmuję. Niech mnie Bóg sędzi przed najwyższym trybunałem swoim, gdy się Mu podobą powołać mnie przed takowy. Postanowiłem, pomimo że Bóg widzi ile to mnie kosztuje i jak nad tem cierpię, wytoczyć jaśnie oświeconemu księciu proces, odwrócenie którego znajduje się w mocy wielbności waszej. Postanowienie moje jest niezłomnem. Będę czekał do przypadającego od dziś za tydzień dnia 18 maja, w którym to dniu, jeżeli jaśnie oświecony książę nie raczy zrobić kroku stanowczego, będę musiał, wierz mi ojcze wielobny, z wielkim bolem serca przystąpić do kroków sądowych. Mam honor etc.“

Podkomorzy wezwał podkomorzynę i odczytał jej list powyższy. Odczytawszy, zapytał:

— No... i jakże się tobie wydaje?...

— Dobrze... bardzo dobrze...

— Lękam się rzeczy jednej...

— Jakiej?...

— Żeby... kominka nie dali...

Odpowiedź ta, niedość jasna, wymagała komentarza, z którym też podkomorzy pospieszyć nie omieszkął:

— Oni tam straszliwie bogobojni, obawiam się przeto, żeby, jak się ich naciśnie, nie poszukali ucieczki w murach klasztornych...

Podkomorzyna głośnym na to odpowiedziała śmiechem.

— Można się tego obawiać... — tłumaczył podkomorzy.

Podkomorzyna przeczyła temu najprzód głową i ręką, następnie słowami:

— Gdyby się to stać miało, to jużby się stało... Do klasztoru trzebaby, ażeby ich kto namówił... a któżby namawiać

zechciał ludzi takich jak oni!... Nie... Ostateczności podobnej lękać się nie należy...

— Książd Korski... zacięty...

— Do pewnego stopnia... Zobacysz jak złagodnieje...

Podkomorzy przeto wyprawił list przez kozaka, któremu kazał odpowiedź przywieźć.

Kozak pojechał, powrócił i przywiózł odpowiedź taką:

„Otrzymałem pisanie, jakim mnie jaśnie wielmożny pan dobrodziej zaszczycić raczyłeś. Oby łaska boża czuwała nad jaśnie wielmożnym panem dobrodziejem i godną rodziną jego. Mam zaszczyt etc.“

— Cześć więc potrzeba do 18 maja... — taką była konkluzja, jaką jednozgodnie podkomorzy i podkomorzyna z listu powyższego wyciągnęli.

Przez tydzień cały najmniejsza z Krasilowiec nie przybywała wieść. W czasie tym trafił się tam jarmark, na który jeździł Bładzikiewicz i powróciwszy zdawał podkomorzemu sprawę z ceny bydła, koni, owiec, produktów rolnych etc.

— A nie słyszałeś czego o książętach?... — zagabnął podkomorzy.

— Nie, jaśnie wielmożny panie...

— Nie widziałeś kogo z pałacu?...

— Widzieć widziałem... uwijali się po mieście ludzie pałacowi...

— Trzebaż ich było o zdrowie jaśnie oświeconych zapytać...

— Ot... jakoś mi to na myśl, proszę jaśnie pana, nie przyszło...

— Hm... — mruknął podkomorzy.

Tydzień ów włókł się dla rodziców panny Ludwika powoli. Podkomorzyna zaglądała do kalendarza często, nie mogąc się dość nadziwić temu, że dni tak leniwie upływają. Szukała rozrywek różnych, to w książkach, które ją nudziły, to w robotkach, które jej z rąk padały, to w przechadzkach, które pomimo rozkwiecionej, rozpachniałej i śpiewem ptasząt rozbrzmiałej pory majowej, uroku dla niej nie miały. Szukała rozrywek w rozmowie z córką, i to jednak niewiele przedstawiało resursów, panna Ludwika bowiem zgadzała się z losem ofiarnym, jaki jej w udziale przypadał. Jedyną rozrywkę, interesowniejszą

niewielką, dostarczył na czas jakiś otrzymany z poczty list od Karola, opatrzonego w przypisek pana de Lurcy, datowany z Paryża i domagający się spieszego wysłania sukursu pieniężnego.

„Korzystam ogromnie — brzmiał główny listu tego ustęp — nabieram akcentu poprawnego tak, że Francuzi sami za Paryżanina mnie biorą, bawię się doskonale, ale wszystko tu kosztuje bardzo drogo, pomimo, że wydajemy pieniądze na rzeczy najpotrzebniejsze. Pan de Lurcy jest człowiekiem nieocenionym. On poświadczy, że się bez pieniędzy obejść nie sposób w mieście takim jak Paryż, gdzie się przecie potrzeba przyzwocić prezentować. Proszę wyobrazić sobie, tytułują mnie tu hrabią „*ce jeune comte polonais*“. Niechże papa kochany będzie łaskaw, przysyła pieniędzy jak najprędzej, mam już bowiem i długów trochę, mianowicie u krawca, którego zamówiłem sobie, ażeby mi robił, chociaż do Ohrebyszcza powrócę.“

„W Paryżu bowiem krawca mieć można, mieszkając w Chinach nawet. Jest to wygoda wielka. Prawda, że płacić sobie każe, ale za to robi lepiej jak wszyscy razem wzięci tuteźnicy, berdyczowscy a nawet i odesy. Krawiec mój powiadał mi, że ma klientów w Anglii, w Szwecji, w Turcji i u nas. Krawcy damscy także miewają roboty przez pocztę zamawiane...“

— Ach!... — przerwała podkomorzyna. — Jakże wiadomość ta w samą przychodzi porę!... Trzeba będzie obszernie o tem do Lola napisać...

Podkomorzy nic na to nie odrzekł.

— Może się w Paryżu, bez zachodów żadnych, uszyć wyprawa dla Ludki... a i ja będę potrzebowała sukni parę porządniejszych...

— Poczekajmy do ośmnastego... — zauważył podkomorzy, a głos jego zabrzmiał niby głos zwiastuna wieści złowrogich.

— Czekamy przecie... — odparła podkomorzyna tonem złego humoru.

Aż w końcu upłynął tydzień ów, ze wszystkich zapewne przez podkomorstwo przeżytych tygodni najdłuższy. Zaświtał dzień wyglądany. Podkomorzy, podkomorzyna i panna Ludwika wcześniej jak zwykle dnia tego powstawali i około dziesiątej rano zmienili dwór w obserwatorium, z którego, przez wszystkie nadające się ku temu okna, wzroki ich badały trakt z Krasilowiec prowadzący. Podkomorzyna zdradzała niecierpliwość żywą.

Panna Ludwika wytrzymywała charakter, jaki jej rola ofiary nadawała. Podkomorzy udawał spokój, w gruncie jednak bodaj czy nie on był najniespokojniejszy, niby bowiem obojętnie fajkę palił, wstawał atoli często, do okna podchodził, i jak skoro pokazało się w dali coś, co kształtu woza chłopskiego lub bryczki żydowskiej nie miało, natychmiast na ganek wychodził.

Na ganku czekał na niego Mędziński z synem.

W jednym z rozdziałów poprzednich zdaliśmy sprawę ze spotkania tego i z rezultatu, jaki z onego się wywiązał.

Kacperka Lewicki zabrał; stary Mędziński pozostał nie wiedząc co z figurą swoją robić; podkomorzy witał gości, którzy z trudem niemalym wydobywali się z pudła karety zwanej „arką Noego“. W operacji tej pomagali im lokaje krasinowieccy i ohrebyscy. Księcia Norberta potrzeba było wyciągać. Zasiadzał się i udźwignąć brzemienia ciała własnego nie mógł. Stękał i krechciał, deptał syna po nogach i ledwie nie ledwie wylazł z wnętrza budy, opierając się na ramionach sług, podtrzymujących go z przodu, z tyłu i z boków. Księciu Gotfrydowi poszło łatwiej, luboć i on bez pomocy obcej obejśćby się nie mógł. Wylazł jednak żwawiej aniżeli ojciec, a nawet zeskończył ze stopnia ostatniego.

VIII.

Stary Mędziński wrócił do chaty, zły jak sto djabłów. Kobieta jego zdaleka to poznała i odrazu domyśliła się, że sprawa niepomysłny obrót wzięła. Zamierzyła zrazu zejść mężowi z oczu, jak to czynić zwykła, ile razy stary okazywał humor niezgodliwy. Tym razem jednak nie zeszła, poczuła się w prawach matki. Zły obrót sprawy, którego się domyślała, tyczył się jej syna, jej dziecka. Pozostała więc, i kiedy mąż na progu stanął, zapytała, patrząc mu w oczy ostro:

— Gdzie Kacperek?...

Mędziński miał oczy krwią nabiegłe.

Zuchwalstwo takie ze strony żony, odznaczającej się uległością pomiędzy mieszkankami Ohrebyszcza, wprowdziło go w ro-

dzaj osłupienia. Wbił w nią oczy — zdaje się, że chciał ją wzrokiem spiorunować, taki oczom wyraz srogi nadał — postąpił kroków kilka, zachwiał się, zatoczył, twarz mu krwią zaszła, oczy ze srogich błędnymi się stały.

— Gdzie Kacperek?... — powtórzyła kobieta.

Z piersi starca wydobył się głos, podobny do ryknięcia stłumionego.

— Jezus Marja!... — krzyknęła Mędzińska przerażona nagle.

Stary się mocniej zatoczył. Kobieta ramię mu podała, lecz on ramienia jej ująć nie mógł. Ona go wpół pochwyciła, do ławy dowlokła i na takowej posadziła. Opuścił się, głowa mu opadła, usiedzieć nie był w stanie.

— Jezu Chryste!... Matko boża!... Antoni święty!... O ja nieszczęśliwa!... Ludzie ratujcie!...

Stary na ławie charczał, robiąc ruchy takie, jakby się z czemes mocował. Mędzińska kręciła się po chacie, chwytając to kubek, to misę, to łyżkę, to nóż i wołając ludzi na pomoc.

Ludzie wołania jej nie słyszeli, a chociażby i słyszeli, to pomoc ich nie na wieleby się przydała. Mędzińskiemu potrzebnym był ratunek natychmiastowy, którego nikt podać nie mógł, albowiem nietylko lekarza, ale cyrulika nawet na wsi nie było. Starego krew zabiła. Mędzińska wybiegła na podwórko z lamentem, który ściągnął sąsiadek kilka. Weszły do izby. Stary już nie żył.

Wieść o wypadku tym gruchnęła wnet po wsi całej, z wyjątkiem dworu, w którym odbywał się akt deklaracji, zajmujący uwagę nie tylko interesowanych nim bezpośrednio, ale i domowników wszystkich, sług płci obojej i rodzaju wszelakiego, przebywających w garderobie, w kredensie, w przedpokoju, w kuchni, w piekarni, w czeladnej i w stajni. Poszło to ztąd, że księżę Gotfryd oświadczył się o rękę panny Ludwiki na ganku w obecności lokajów. Kiedy się ojciec z podkomorzym przywitał i nadzieję co do zdrowia w pomysłnym stanie wyraził, młody księżę wysunął się naprzód, podał podkomorzemu dłoń, i bez wstępów żadnych, zaczął:

— Spodziewam się, że zdrowie pana dobrodzieja.. ehm!.. to

jest... że pan podkomorzy dobrodziej dać mi zechce rękę jejmościanki podkomorzanki...

— Mości książę!... — podchwycił podkomorzy.

Książę jednak nie dopuścił go do słowa.

— Pan dobrodziej zaufać mi może... Będę małżonkiem dobrym, bardzo dobrym... i papa to poświadczy... i ojciec Korski poświadczy... Będę obowiązków małżeńskich dopełniał regularnie, panie podkomorzy dobrodzieju... Spodziewam się przeto...

— Pomówimy o tem, mości książę, na innem miejscu... — podniesionym głosem przerwał podkomorzy, widząc uśmiechy szyderskie na obliczach lokajów, których bawiły śnać i oświadczyły księcia Gotfryda i mina księcia Norberta, wyprostowanego, słuchającego i oczami łypiącego. Proszę na pokoje... Służę... Proszę...

— Spodziewam się... — zaczął książę Norbert głosem pisliwym — że deklaracja syna mego, księcia Gotfryda...

— Ależ pomówimy o tem!... Proszę waszej książęcej mości... — znów przerwał podkomorzy.

— Zostanie przyjętą.. — skończył książę Norbert.

— Służę waszej książęcej mości...

— Spodziewam się, że deklaracja syna mego... — powtórnie głosem ani na jotę niezmiennym zaczął książę ojciec.

— Spodziewam się... — zawtórował mu książę syn.

— Zostanie przyjętą!... zostanie!... odparł podkomorzy. — Tylko proszę do pokoju... Niech ich książęce moście raczą próg przestąpić...

— Spodziewam się... — zaczął książę jeden.

— Spodziewam się... — zaczął książę drugi.

— Ależ, na Boga! nie stójmy tu, na ganku... Żona moja i córka radeby jak najprędzej powitać wasze książęce moście...

— Spo...

— Niech wasza książęca mość ramię mi podać raczy... — rzekł podkomorzy tonem poufałości uprzejmej, przystępując do księcia i wsuwając mu rękę pod ramię.

Książę porwany nie dokończył wyrazu, dał się uwlec gospodarzowi domu i znalazł się niebawem w salonie błękitnym, w obec witającej go uśmiechem ułożonym podkomorzyny i wyglądającej doloroso podkomorzanki.

Książę Norbert i książę Gotfryd mieli na sobie fraki, białe kamizelki, żaboty, rękawiczki, mieli głowy ufryzowane, oblicza

wygolone i kapelusze w rękach. Krytyka nie jednoby strojowi ich do zarzucenia znalazła, najbardziej zaś to, że fraki czyniły z nich figury tak pocieszne, iż nie sposób było patrzeć na nich śmiechem nie parskać. Ludziom tak otyłym przystoją jeno stroje fałdziste, staropolskie lub tureckie. Fraki uwydatniały kształty ich potworne, robiły z nich okazy ludzi wkarykaturze, podobne do tych, do przedstawiania jakich humoryści niektórzy szukają zasiłku w zoologii. Księcia starego przyrównywaliśmy już raz do słonia. Przedstawiał się on w rzeczy samej jak słoń człowiek we fraku, w żabotach i w mocno nakrochmalonych kołnierzykach, idących pod uszy i zagrażających rogami trąbie. Nos jego książęcej mości, długi, przyplaszczony i z pośrodku dwójga oczków małych wychodzący, przypominał niezmiernie trąbę. Książę młody postacią swoją naprowadzał na myśl młodego nosorożca, przyozdobionego wgłową człowieczą i postawionego na tylnych łapach. Głowa była kształtna, tylko wielka, na twarzy i w oczach rozlewał się uśmiech słodki.

Na widok panów tych, szarmanckie wykonywających ukłony, podkomorzyna oczy przymrużyła, podkomorzanka zaś, której oblicze przed chwilą pełnem było wyrazu boleści, usta zagryzała i nadymała się, przysiadając i za matkę się kryjąc.

— Spodziewam się... — zaczął książę ojciec.

— Spodziewam się... — zaczął książę syn.

— ...że pani podkomorzyna dobrodziejka — mówili razem — znajduje się w pomyślnym stanie zdrowia...

— Dziękuję... serdecznie dziękuję.. jak najmocniej dziękuję... Jakże zdrowie waszej książęcej mości?

— Spodziewam się... — zaczął książę ojciec.

— Spodziewam się... — zaczął książę syn...

— ...że pani podkom...

— Ależ proszę panów siadać!... Proszę... Wasza książęca mość... — zwróciła się do księcia Norberta — Wasza książęca mość... — zwróciła się do księcia Gotfryda.

— Spodziewam się... — zaczął książę jeden.

— Spodziewam się... — zaczął książę drugi.

— ...że błogosławiony stan, w jakim się pani podko...

— Proszę panów siadać!... — przerwała podkomorzyna głosem wysoko podniesionym. — Niech panowie będą łaskawi!... — krzyczała.

Krzyczała dla zagłuszenia parskania śmiechem, jakiego się za jej plecami panna Ludwika dopuszczała.

— Niechże panowie będą łaskawi, zająć raczą siedzenia!... Przybycie ich cieszy mnie niewypowiedzianie... Jest to zaszczyt, który cenić umiem...

Zagadywała. Kto wie jednak jakby się rzecz obróciła, gdyby podkomorzy z pomocą czynną nie pospieszył, rozpoczynając chrząkanie i przesuwanie krzeseł, na których gości usadowiał. Korzystając z tego podkomorzyna, do córki się szybko zwróciła:

— Ludwiko... — szepnęła — Na miłość pana Boga!...

— Mamo, nie wytrzymam... — odrzekła podkomorzanka przez chustkę od nosa, którą gębę sobie zatkała.

— Głupia!...

— Chi chi chi...

— Wyjdź, wody się napij i wracaj natychmiast...

Panna Ludwika, zataczając się, z salonu wybiegła.

Podkomorzyna usiadła obok gości i twarz przymiloną ku nim zwróciła.

Podkomorzy głos zabrał:

— Żona moja -- rzekł -- wyprawiła córkę umyślnie, albowiem nie przystoi pannie obecną być w chwili, w której wymawiają się pierwsze, o losie jej stanowiące wyrazy... Klaro (tu głos uroczyście nastroił) jego książęca mość, książę Gotfryd Garmajda, tu obecny, oświadcza się o rękę naszej Ludwiki... Tyś matka, ja ojciec... Co się mnie tyczy, dałem już jego książęcej mości odpowiedź... Chodzi więc o ciebie, o twoją odpowiedź, o zdanie twoje, które, jeżeli się z mojem zgodnem okaże, rzecz będzie skończona...

— W sprawie tak ważnej—odpowiedziała podkomorzyna— zdanie moje, mój mąż, nie może być z twojem niezgodnem... Oboje pragniemy jednakowo szczęścia dziecka naszego... Coś ty odpowiedział, to ja potwierdzam...

— Ja przyjąłem oświadczyń jego książęcej mości...

— Ach!...—zawołała podkomorzyna, nadając obliczu swemu wyraz natchnienia uśmiechniętego, podnosząc nieco dłonie i zwracając się do siedzącego prosto księcia Norberta. — Uwagam krok wasz, mości książę, nie inaczej, jeno jako zrządzenie Opatrzności... Nie myślałam o tem, nie spodziewałam się tego,

tylko w modłach moich gorących do Najwyższego, błagałam Go o męża dla mojej Ludki, podobnego choć w części do jego książęcej mości, księcia Gotfryda... Bóg też snąc wysłuchał prośb matki, gdy zesłał nie kogoś podobnego, ale samą jego książęcą mość... Popieram więc sercem całym odpowiedź męża mego... Zezwalam na związek dzieci naszych...

Podąła księciu Norbertowi rękę.

Książę wziął w dłoń swoją rękę podaną i odwracając się od podkomorzyny, na syna spojrział.

Spojrzenie to byłoby skarbem dla malarza, któryby z niego zrobić umiał użytek odpowiedni, chwytając je w tym momencie, kiedy się stało punktem ogniskowym, skupiającym w sobie cały interes komedji tej matrymonjalnej. Książęta wzbudzali politowanie — nie wiedzieli biedacy co począć. W oczach podkomorzyny malowała się pogarda, w oczach podkomorzego obawa. Trwało to chwilę. Podkomorzyna rozbiła urok obrazka tego charakterystycznego.

— O, mości książę!... — zawołała. — Wypowiedzieć nie zdołam uczucia, jakie mnie przepełnia w tej chwili...

Książęta zwrócili się ku niej. Podkomorzyna miała w tej chwili oczy do góry wzniesione.

— Spodziewam się... — zaczęła.

Wyraz ten zelektryzował książąt. Wywarł on na nich wrażenie takie, jak pierwsze słowo, wypowiedziane studentowi, który, recytując lekcję, nie wie od czego zacząć. Wnet odezwali się obydwaj razem:

— Spodziewam się...

Stary książę zamilkł a młody ciągnął dalej zajękając się:

— ... e... że, pani podkomorzyna dobrodziejka... e... dać mi zechce... e... rękę jejmości panny podkomorzanki... e...

Powiedziawszy to odetchnął z głębi piersi i szukać począł po za sobą poły od fraka, ażeby wynaleźć kieszeń, wydobyć z niej chustkę od nosa i obetrzeć sobie takową twarz, która się kroplistym okryła potem. Szukał i wyginał się na siedzeniu to naprzód to na tył. Gdy ręką z prawej sięgnął strony, poły uciekały w stronę przeciwną; gdy to samo czynił ze strony przeciwnej, poły uciekały na prawo. Spróbował raz, drugi, trzeci i czwarty. Napróżno. Powtarzanie prób męczyło go i pot w obfitości coraz to większej wywoływało. Kręcił się na krześle,

a powtarzając ustawiczne „e... e... e...” trzymał wszystkich w oczekiwaniu, zapowiadał bowiem przez to ciąg dalszy przemówienia:

— E... e...

Pot oblewał go coraz to mocniej. Wyszukanie poły od fraka i dostanie się do kieszeni stawało się coraz to trudniejszym.

Gimnastykowanie to trwało minut kilka, po upływie których przekonawszy się, że usiłowania do pożądanego nie doprowadzą rezultatu, książę Gotfryd przechylił się w fotelu na wznak, ręce do góry podniósł, nogi wyciągnął i głowę otworzył.

Książę Norbert okazywać począł oznaki niepokoju, obracając się na siedzeniu i przenosząc wzrok wyrazu zapytania pełen z syna na podkomorzego, z podkomorzego na podkomorzynę.

— To nie mości książę... — odezwała się ta ostatnia. To wzruszenie... W chwili tak ważnej, książę Gotfryd głębokiego doznał wzuszenia, które — dodała głosem tajemniczym — zdradza miłość w sercu jego książęcej mości.

— Spodziewam się, że pani dobrodziejka odda księciu Gotfrydowi rękę podkomorzanki...

— Jakżeby oddać nie miała po dowodach takich przywiązania!...

— Przyjmujemy jego książęcą mość na zięcia... — dodał podkomorzy.

— Spodziewam się... rzecz już skończona...

— Skończona, mości książę... Pozostaje jeno zaręczyny odbyć i dzień ślubu naznaczyć...

— Zaręczyny... dzień ślubu... — powtórzył książę Norbert.

— Wypadałoby... — podchwycił podkomorzy — wezwać Ludwikę...

— Ludwika... — przerwała podkomorzyna, obawiająca się, ażeby córka niestosowności jakiej nie popełniła — wyznała przedemną, że kocha księcia Gotfryda, obecność więc jej w tej chwili byłaby zbyt ciężką i przyczyniłaby się jeno do spotęgowania wzruszenia jego książęcej mości... Lepiej, zdaniem mojem, wezwanie jej odłożyć na później nieco... Jeżeli wasza książęcą mość — zwróciła się do księcia Norberta — zgodzisz się na to, to zaręczyny odbyć się mogą dziś wieczorem... Posłalibyśmy po księdza proboszcza, zaprosilibyśmy sąsiadów bliższych kilku i tak *en petit*

comité, nastąpiłaby wymiana pierścionków, po której w miesiącu kika mógłby się odbyć ślub...

— Ślub... w miesiącu kilka... — powtórzył książę który, jak wszyscy w ogóle idjoci, chwycił myśli zawarte w wyrazach ostatnich, a raczej chwycił wyrazy ostatnie.

— Nie inaczej... — tłumaczyła podkomorzyna — trzeba bowiem dać o tem znać Karolowi, poczekać na przyjazd jego i przysposobić wyprawę, godną stadła przyszłego...

— Wasza książęcą mość zostać raczy u nas na obiadku... — dodał ze swojej strony podkomorzy.

— A tymczasem udać się raczy do apartamentów gościnnych... — dorzuciła podkomorzyna — i wypocząć trochę... bo i waszą książęcą mość wzruszenie przejęło...

— Wzruszenie przejęło... — powtórzył książę.

— O tak... To widoczne i nie dziw... Kto ma syna jedyne i takiego, jak książę Gotfryd... kto go tak kocha, jak wasza książęcą mość, ten w chwili aktu tak ważnego, jak wybranie dla syna ukochanego towarzyski życia całego, wzruszenie oprzeć się nie może...

— Oprzeć się nie może... — były słowa księcia.

— Upewniam jednak waszą książęcą mość, że wybór jego jest bez zarzutu pod względem trafności... Ludwika będzie towarzyszką, godną księcia Gotfryda, będzie żoną dobrą...

— Będzie żoną dobrą... a... — odparł książę Norbert.

W chwili tej książę Gotfryd, który po nieudanych próbach odszukania poły od fraka, wysapał się nieco, zabrał głos.

— Pani dobrodziejka zaufać mi może... Będę małżonkiem dobrym, bardzo dobrym... i papa to poświadczy... i ojciec Korski poświadczy... Będę obowiązków małżeńskich dopełniał regularnie, nie wykraczając przeciwko takowym ani myślą, ani mową, ani uczynkiem... i starając się usilnie o to, ażeby małżonka moja znajdowała się ustawicznie w stanie... w stanie (tu jęknął się począł)... w stanie... pani podkomorzyno dobrodziejko... w stanie... e... Spodziewam się przeto, że... te... tego... tam... ponieważ przeszkód żadnych nie ma, więc pani dobrodziejka... e...

— Rzecz już skończona, mości książę... — odezwał się podkomorzy. Deklaracja przyjęta, akt wstępny dopełniony...

— Dopełniony?... — odezwał się książę Gotfryd tonem zapytania.

— Dopełniony?... — zawtórował synowi książę Norbert.

Podkomorstwo spojrzeli po sobie, a wzroki ich wyrażały zapytanie: „czegóż oni chcą?”

Pomiarkowali się jednak prędko i podkomorzy, dobierając wyrazów, za pomocą których trafićby mógł do umysłu dziecka, wytłumaczył książętom, że dopełnienie aktu pobrania się dwojga ludzi, wedle zwyczajów przyjętych w świecie chrześcijańskim, dzieli się na trzy stopnie: deklaracja, zaręczyny i ślub. Wytłumaczywszy to, tak kończył:

— Wasza książęca mość jesteście już tedy po deklaracji... Dziś wieczorem, Bóg da dōczekać, będziesz po zaręczynach... Nim zaś do zaręczyn przyjdzie, zjemy obiad, po obiedzie wypoczniemy sobie i nad wieczorem użyjemy świeżego w ogrodzie powietrza... Zgoda?...

— Zgoda... — odpowiedzieli obaj książęta razem.

— Proszę więc... służyć...

To mówiąc, podawał księciu Norbertowi ramię.

Wtem weszła panna Ludwika.

Książęta, którzy się z fotelów dźwigać poczynali, na, powróć się w takowe osunęli.

Wejście panny Ludwiki mieszało szyki, a mieszało je tembardziej, że podkomorzanka ustroiła się w wyraz powagi chłódnej i imponującej, księżycy bladego. Miała warkocz odczepiony z jednej strony i kwiatków parę we włosach od niechcenia wetkniętych. Miała muszki czarne, jedną na skroni, drugą z boku na brodzie. Miała twarz skrzywioną, jakby z bólu srogiego, który jej serce szarpał. Wchodziła krokiem chwiejnym, wyciągając rękę, w której wachlarz trzymała, jakby dla nadania sobie równowagi.

Podkomorstwo nie nader radzi byli temu niewczesnemu zjawieniu się córki. Trzeba jednak było coś z tym fantem zrobić. Spojrzeli na siebie i wnet się porozumieli, jak — jak to powiadają — łyse konie na jarmarku. Nikt się tak dobrze nie porozumiewa przy ludziach, jak małżeństwa, żyjące ze sobą w stanie przymierza dyplomatycznego. Podkomorzyna poskoczyła do panny Ludwiki, podkomorzy podszedł do księcia Gotfryda. Pierwsza zaczęła córkę zapytaniem:

— A ty tu po co?...

— Mam... przecie... — była odpowiedź zapytanej.

— Niepotrzebnieś przysłała... No... Ale...

To mówiąc, podała córce ramię i z twarzą uśmiechem do brotliwym opromienioną zwróciła się do księcia Gotfryda, który wydzwigniony przez podkomorzego z krzesła, stał, trzymając się pod ramię przyszłego teścia swego.

Matka z córką, przyszły teść z przyszłym zięciem, podeszli do księcia Norberta.

— Mości książę... — przemówił podkomorzy. — Oto ta, którą niebawem nazwiesz synową waszą... Oddajemy ją księciu Gotfrydowi z ufnością całą, w tem przekonaniu, że znajdzie w nim opiekuna troskliwego i kochającego, w was ojca drugiego... Zaszczyt, jaki ztąd na dom nasz spływa, nie oślepi ani mnie, ani żony mojej... Oddajemy synowi waszemu córkę naszą nie dla zaszczytów, a dla tego żeby jej zapewnić szczęście, którego dla niej pewni jesteśmy w pożyciu z młodzianem pełnym cnót, jakim jest syn dostojny waszej książęcej mości... Błogosławimy związek ten...

Podkomorstwo złączyli dłonie dwojga młodych ludzi.

— Błogosławie was, dzieci moje... — rzekł podkomorzy, ręce wyciągając.

— Błogosławie was... — powtórzyła podkomorzyna.

— Błogosławie... — zawtórował książę Norbert machinalnie, patrząc na stojącą przed nim parę oczami osowiałymi.

Panna Ludwika z ukosa spojrzała na swego przyszłego, następnie oczy spuściła, pierś w falisty ruch wprawiła, pochyliła się i zemdlała.

Przez oblicze podkomorzyny przesunął się wyraz zadowolenia. Podkomorzy pochwycił córkę w objęcia.

Rozległy się przez podkomorzynę wydane okrzyki, nawołujące służbę płci obojej i wzywające o ratunek.

Książęta strwożyli się i jeden stojący, drugi siedzący, przybrali postawę posągów, wyobrażających przestraszonych niemych.

Służba się zbiegła — kamerdynerzy, lokaje, panny respektowe, panny służące, za którymi wsunął się do salonu chłopak lat dwunastu, ogorzały i tak wyglądający, jak żreback przyprowadzony wprost z tabunu, w chomont ubrany. Włosy mu się jeżyły, oczy były szeroko otwarte, na twarzy jego malowały się zdumienie i lęk. Rękę chomonta odgrywała odzież, składająca się z surduta, kamizelki i spodni półliberyjnych, którą mu na-

prędce dano i która z tego powodu nie zupełnie dobrze przystawała do postaci chłopczyzny, wychodowanego strawą co nie tuczy i swobodnem powietrzem, które suszy. Wsunął się, stanął przy drzwiach, głowę otworzył i przypatrywał się zdaleka scenie zemdlenia, która w ruch wprowadziła wszystkich z wyjątkiem dwóch książąt i jego.

Książęta, jeden siedział, drugi stał, z ustami tak samo pootwieranymi jak u Kacperka Mędzińskiego.

Podkomorzy trzymał zemdlącą w objęciach.

Podkomorzyna wołała:

— Wódki! soli!... doktora. — Służba się garnęła i kręciła. a nikt nie wiedział co robić.

Zemdląca, przodem wygięta, z głową zwieszoną, z warkoczem opadłym, blada, z oczami zamkniętymi, z muszkami na skroni i na brodzie, nie oddychała prawie.

Zauważymy mimochodem, że w tejże samej chwili, minuta w minutę, w chacie Mędzińskiego odbywała się scena podobna. Mędzińska prowadziła męża do ławy pod oknem. Pisaliśmy o tem na początku rozdziału.

Wracając do panny Ludwiki, dodać należy, iż zemdlenie jej odpowiadało prawidłom smaku estetycznego. Tak jak leżała na ramieniu ojca, możnaby ją malować. Śliczną była i nie jeden na miejscu księcia Gotfryda umiałby piękność jej ocenić należyście. Nie twierdzimy jednak, ażeby książę Gotfryd oceniać takowej nie umiał. To pewna, że nie odrywał oczów od widoku przyszłej swojej i nie oderwałby ich kto wie jak długo, gdyby nie to że ramię podkomorzego zabolalo. Pani wołała o wódki i sole, służba się kręciła, podkomorzy zaś ciężar cały dźwigał. A ciężar ów, acz dziewiczy, miał jednak wagę normalną, funtów sto mniej więcej. Dziewiczość nie ujmowała mu łuta ani jednego. Podkomorzego ramię zabolalo, zwrócił się więc do służby i z przyciskiem szepnął:

— Weźcie już, bo upuszczę...

I skinął brwiami na pannę Magdalene, pannę służącą, którą Fryderyk I, król pruski, byłby wyposażył i za mąż wydał, gdyby ją był na drodze spotkał. Panna Magdalena poskoczyła i podkomorzankę w ramiona wzięła; inna panna służąca ujęła ją poniżej pasa a powyżej kolan; inna jej nogi podtrzymawała; inna jej pod głowę dłoń podkładała; inna jej ręce podnosiła.

— Trzeba ją wynieść i stanik rozpuścić... — odezwała się podkomorzyna.

Panny służące ruszyły z szacownym ciężarem; zaledwie jednak ruszyły, ciężar rzucił się nagle na ich rękach. Tak rzuca się rybka, z wody tylko co wyjęta.

Panny służące zatrzymały się. Zemdląca nieruchomą pozostawała, nie okazując życia znaku.

— Idźcież... — nagliła podkomorzyna.

Panny służące ruszyły; lecz krok jeden zaledwie zrobiły, podkomorzanka znów się rzuciła.

Dziwny ten a zagadkowy zemdlenia symptomat objawił się poraz trzeci i wprowadził podkomorzynę w zdumienie. Zagadka spotęgowała się nawet. Zemdląca z zemdlenia nie wychodząc, przemówiła. Z ust jej ściętych padł wyraz z przyciskiem jęklwym wymówiony:

— Szpilka...

— Hrhm!... — chrząknął głośno podkomorzy.

— Idźcie!... prędzej!... — krzyknęła podkomorzyna.

Panny służące kroku przyspieszyły i drgającą wyniosły.

Wzaz z niemi wyszła podkomorzyna.

Służba się oddaliła a z nią wysunął się z salonu i chłopczyna, który scenie tej całej przypatrywał się z wielkiem zdziwieniem i z ciekawością nadzwyczajną.

W salonie pozostali jeno: książęta i podkomorzy.

Ten ostatni oddychał ciężko i głęboko. Po chwili zbliżył się do księcia Norberta.

— Cóż mości książę?... Przeszliśmy przez emocje silne... To daje waszej książęcej mości miarę, jak potężnem jest przywiązanie Ludwiki do rodziców... Zemdląca na myśl rozstania się z nami... Jego książęca mość, książę Gotfryd, wybaczy to przyszłej swojej, tembardziej, że nie czyni to mu ujmy najmniejszej... Reguła ogólna i pewna: kochająca córka jest kochającą żoną, ztąd więc dla księcia Gotfryda wróżba jak najpomyślniejsza... Waszej książęcej mości jest to rzecz wiadoma...

— Jest to rzecz wiadoma... — potwierdził książę Norbert.

Weszła podkomorzyna.

— I cóż, życie moje?... zwrócił się podkomorzy do żony.

— Rozpięto jej stanik, rozsznurowano gorset, dano soli do wachania, nacierano skronie wódką kolońską... zemdlenie było

silne, ocuciła się jednak... Ocuciła się i natychmiast zapytała :
Gdzie jestem?... ksiązę Gotfryd?...

Ksiązę Gotfryd oczy szerzej otworzył.

— Lube dziecię... ciągnęła podkomorzyna. — Położyłam ją do łóżka, ażeby nabrała sił potrzebnych do aktu wieczornego; wasza książęca mość wybaczy jej, iż nie będzie przy obje-dzie asystowała.

IX.

Objadek u podkomorostwa, po objadku wypoczynek, przy-bycie gości, zaręczyny, zapicie zaręczyn węgrynem starym i wesele nawet nie przedstawiają się jako materiał nader bogaty, do budowania z onego powieściowego opowiadania, zdolnego ży-wem czytelnika zajęciem przejąć. Są to wszystko rzeczy zpo-wszedniałe. Ludzie się objadkami częstują, zaręczają się i żenią codziennie, nie tu, to tam, to ówdzie. Spotykamy się z tem na kroku każdym i widzimy ustawicznie powtarzające się jedno i to samo. Nie przeczę, iż powtarzanie się to jest zawsze cieka-wem. Twierdzę tylko, że i ciekawość sama powszednieje, stając się nawykiem, zmieniając się w pewien rodzaj potrzeby, posia-dającej znaczenie niejake dla tych, co takową zaspakajają przy każdej nadarzonej sposobności, ale niekoniecznie nadającej się człowiekowi, prowadzącemu opowiadanie powieściowe. Ten i ów, pomimo, że asystował na weselach razy sto, pójdzie z gustem na asystenta raz setny pierwszy, ale przeczytawszy opis wesela jeden i drugi, gdy mu przyjdzie czytać po raz trzeci, ciśnie książkę i autora nudziarzem nazwie.

Nic straszliwszego, jak powieściarzowi na nazwę nudziarza się narazić. Zginać raczej!

Dla tego to pomijam objadki, herbaty, wieczerze, wizyty, odwiedziny, pominąć jednak nie mogę nie zaręczyn, które się w należytych odbyły porządku, ale wzmianki o gościach niektó-rych, powołanych do odegrania roli w dalszym opowiadania ni-niejszego ciągu.

Gości nie przybyło na zaręczyny wiele. Czasu zabrakło na zaproszenie takowych w ilości znacznej. Podkomórzy, odprowa-

dziwszy ksiąząt do apartamentów gościnnych, posłał po Bła-dzikiewicza i kazał mu przygotować pięciu posłańców konnych, sam zaś zasiadł do pisania zaprosin jednobrzmiących.

„Jaśnie wielmożny (lub wielmożny) mości dobrodziej, są-siedzie szanowny. Będąc pewnym, iż nie odmówisz mi, mam za-szczyt wzywać cię, ażebyś raczył, w dniu dzisiejszym, nawidzić dom mój i być świadkiem zaręczenia córki mojej jaśnie oświe-conemu młodemu księciu Gamajdzie. Raczej przyjąć“ etc.

Taką mniej więcej była treść listów pięciu, z którymi w rękę wyszedł podkomorzy na ganek, gdzie Bładzikiewicz już czekał.

— Oto masz... — rzekł, listy oddając.

— Słucham jaśnie wielmożnego pana...

— Po proboszcza posłałeś?...

— Posłałem, jaśnie wielmożny panie...

— Posłańcom nakaż, ażeby mi się dobrze sprawili...

— Dobrałem co najpraworniejszych... już gotowi, na listy tylko czekają...

— A nie pozamieniał listów... Masz na kopertach adresy wyraźne...

— O! jaśnie wielmożny panie... — tonem protestu odparł komisarz.

— No... — chciał podkomorzy ostatnie rzec słowo, gdy w tem odezwał się dzwon z cerkiewnej dzwonnicy.

Odgłos ten, w niezwyklej dający się słyszeć porze, zasta-nowił podkomorzego. Zmarszczył brwi, ucha nadstawił i zapytał:

— Co to znaczy?...

— Co, jaśnie wielmożny panie?...

— To dzwonenie?...

— To dzwonenie?... — powtórzył komisarz. — To chyba na anioł pański...

— O tej porze!...

— Za duszę...

— Za czyją?... Czy kto umarł?...

— Stary Mędziński...

— Cóż ty pleciesz!... Stary Mędziński był tu przed go-dziną... Widziałem go na oczy własne...

— I umarł, jaśnie wielmożny panie... to za jego duszę dzwonią...

Podkomorzego zastanowiło to zdarzenie i sprawiło na nim wrażenie silne. Zdawało mu się, że dzwon przemawia do niego, że w każdym jęknięciu spiżu słyszy wyrazy: *memento mori*. Stał, zadumał się. Ponury odgłos drżał i drgał w powietrzu, przejmując go dreszczem nawskrós. Komisarz czekał na słowo ostatnie. Podkomorzy giętem dał mu znak odejścia, sam zaś pozostał na ganku i wsłuchiwał się w jęczenie dzwonu. Myśli różne tłumnie mu mózg obsiadły. Stary szlachcic w oczach mu stał. Przypomniawszy sobie powód, który Mędzińskiego sprowadził.

— Oddał mi chłopca... jakby przeczuwał...

Gdyby nie oddał, byłby nie umarł. Podkomorzy jednak wiedzieć o tem nie mógł, i oddanie brał w znaczeniu zrządzenia Opatrzności, czyniącej go opiekunem osierociałego dziecka. Zbieg okoliczności naturalny tłumaczył sobie za pomocą interwencji siły nadprzyrodzonej, wskazującej mu obowiązek do spełnienia. Przejęła go rzewność jakaś.

— Przyszedł... — powiedział sobie w duchu — oddał mi chłopca, odszedł i umarł...

A dzwon wciąż jęczał.

— Lewicki!... — krzyknął podkomorzy.

Lokaj powierny stawiał się przed nim.

— Co się zrobiło z chłopcem starego Mędzińskiego?...

— Proszę jaśnie wielmożnego pana, kazałem mu wziąć miarę na liberję, a tymczasem przebrałem go w liberję po Jaśku...

— Na co się on zda?...

— Nie wiem jeszcze... na ogrodniczka, na forysia, na kuchtę, na kredencierza... Tymczasem kazałem mu kredensu się trzymać...

— Niechże przy kredensie pozostanie... — rzekł podkomorzy po chwili namysłu. Ja dla chłopca tego coś później obmyślę... Miej oko na niego... radbym, żeby się nauczył czytać i pisać... Wiesz, że mu ojciec umarł?...

— Jezus, Marja, Józefie święty!... — krzyknął Lewicki. — Ależ był tu przed godziną!...

— No... widzisz... Umarł... Szkoda starego... taki dobry strzelec!... Miejęno oko na chłopca jego... chciałbym, by go na człowieka wykierować...

Po wyrażeniu intencji tej, podkomorzego nie tak już raziło jęczenie dzwonu; założył ręce w tył, przeszedł się razy parę po ganku, wszedł do sieni, zajrzał do kredensu, popatrzył na Kac-

perka, rozglądającego się w dziwaczne, jakie się oczom jego przedstawiały, głową pokiwał i na chłopaka zawołał:

— Ha?... — odezwał się Kacperek, usłyszawszy imię swoje.

— Jaśnie wielmożny pan woła... — przemawiali do niego lokaje.

Stanął jak słup, nie wiedząc, co począć ze sobą.

— Kacperku!...

— Idźże!... słyszysz?... — nalegali lokaje.

Naleganie jednak nie skutkowało, aż jeden ze służby galonowanej ujął go za ramię i przed podkomorzego poprowadził.

— Ty Kacperek?... — zapytał ten ostatni dobrotliwie.

Chłopiec zrobił minę uśmiechniętą, ujął poję od odzieży i pociągnął takową w palcach miąć.

— Ty Mędziński?...

Prawda, że podkomorzy mógłby się o co innego, lepszego pytać. Chłopiec nie odpowiadał.

— Podoba ci się tu?...

Kacperek wykrzywił się i zęby pokazał.

— Cóż?... Mów... podoba ci się?...

— Jużci... — wykrzywiając się, odrzekł Kacperek nareszcie.

— Chcesz zostać?...

— Jużci...

— Posłuchajże no mnie (tu podkomorzy ujął go za brode i głowę mu do góry podniósł). Szanuj się, starszych słuchaj, trzymaj się okrzętnie, a dobrze ci będzie... Lewicki, kupisz dla niego elementarz... Naucz się czytać i pisać, a możesz wyjść z czasem na człowieka... Rozumiesz?...

— Jużci... — odparł chłopczyzna.

— No... (tu się podkomorzy do lokajów zwrócił) nie zniecać mi się nad tym chłopcem!... chcę, żeby się z nim obchodzono po ludzku...

Pogłaskał chłopca po twarzy i po głowie i poszedł zażywać siesty przedobjedniej, a raczej przebrać się, ażeby wystąpić na pokój, odpowiednio do uroczystości obrzędu, jaki dnia tego odbyć się miał.

Kacperek pozostał w kredensie wśród lokajów szykujących, pod dyktando Lewickiego, porcelanę, kryształ i srebra. Chłopiec pozostawał pod wpływem oczarowania, na widok bogactw olśniewających, jakie mu w oczy biły. Nie mógł się nadziwić

wszystkiemu, co widział. Dziwiło go najprzód to, że się znajdował tak blisko tych ludzi wielkich, których przedtem spostrzegał tylko zdala i miał ich, z powodu fraków, galonów, guzików błyszczących i kamizelek czerwonych, za istoty wyższe od śmiertelników zwyczajnych. Znajdował się wśród nich, o nich się ocierał — oni układali w stosy serwisy i wydobywali tace, malowane w kwiaty, w ptaki, w ludzi pozłocistych. Wszystko to było przedmiotem podziwu niewysłowionego dla chłopczyny, który nie wydalał się za granice wsi rodzinnej i nie oglądał splendorów żadnych. Lokaje coś tam mówili; rozmowy ich jednak bębniły mu w uszach niezrozumiale — słuchał, ale wyrazów chwycić nie był w stanie. W momencie, kiedy na wołanie pana i pani służba cała ruszyła do salonu, i on z nią poszedł, jak owo ciele w bajce, i oglądał komnatę, pięknie malowaną, w obrazy i firanki przyozdobioną, oglądał meble machoniowe, oglądał scenę zemdlenia i doznał oszołomienia, które rojem zagadek mózg mu obsiadło. Nie był w stanie pojąć, co się około niego dzieje. Migało mu w oczach, szumiało w uszach. Radby się spytał kogo — nie śmiał jednak i byłby dał za to wiele, gdyby kto do niego podczas kiedy się w kredensie znajdował, słówko jedno przemówił.

Przemówił do niego podkomorzy — a tak dobrze, tak po ludzku! i pod brodę miękką dłonią ujął, i po twarzy pogłaskał. Kiedy podkomorzy przemawiał, Kacperek języka w gębie zapomniał. Słodko mu jednak się zrobiło. Za przykładem pańskim poszli wnet lokaje i dalejże go zapytaniem zarzucać.

— Hej, cóż ty, chłopcze!... — odezwał się jeden. — Zkąd ty się wziął?...

— Jak ci na imię?... — zapytał drugi.

— Kacperek, proszę jaśnie wielmożnego pana...

Lokaje w śmiech. Matka nakazała mu odpowiadać podkomorzemu; „proszę jaśnie wielmożnego pana“, a on tytuł ten do lokaja zastosował. Ztąd śmiech, którego powodu Kacperek nie rozumiał, przekonany będąc, że tytuł ów do galonów się odnosi. Przekonanie to nie było bez racji, jeżelibyśmy na uwagę wzięli pochodzenie tytułów w ogólności, pobudka których pierwotna z lokajstwa wypływa i galonów się tyczy. On jednak o historii wyobrażenia nie miał. Co jaśniało, to ujaśnił i był w zgodzie

z sumieniem własnem, dziwując się śmiechowi, który mu snadź wydał się dowodem łaskawości, albowiem i sam śmiać się począł.

— Widzisz go.. — rzekł z lokajów jeden — jaki on sobie wesoły!... A nie umiesz ty śpiewać Mikołaja?...

— A nie umiesz ty przez kij skakać?... — dorzucił wnet drugi.

— A którą ty ręką nos ucierasz?... — dodał wnet trzeci.

Dowcipy lokajskie sypnęły się niby z rogu obfitości. Następowały one tak szybko jeden po drugim, że chłopak nie był w stanie odpowiedzieć. Uśmiechał się tylko, bo ci panowie śmiali się, i osowiałem okiem wodził po obliczach pytających.

— Ciepła rączka pańska?... he?... — zagabnął go jeden z przekazem.

— Ciepłsze pańskie słowo... — zauważył drugi. — Tatuńcio panu cię odstąpił, małożcie zasmarkany?...

— A wiesz ty, kto twój tatuńcio?... — wyrwał się ten, co szkło obcierał.

Zapytanie to wywołało śmiech ogólny, który powściągnął Lewicki, rzuciwszy wyrazy następujące:

— Ej, nie zbyt kowalibyście się nad sierotą!... Tam dzwonią za duszę starego Mędzińskiego, a wy tu językami pytlujecie... Iii!...

Zrobiło się wnet cicho, jakby makiem zasiał i przez okno otwarte wpadło do kredensu ostatnie dzwonu jęknięcie.

Lokaje w milczeniu wynosili na tacach serwis do sali jadalnej i nakrywali stół na pięć osób.

Kacperek w milczeniu przypatrywał się krzątaniu temu. Widział a nie rozumiał. Stół został nakryty. Poczęto nosić z kuchni jedzenie. Wraz z podaniem wazy, słyszeć się dał turkot zajeżdżającej przed ganek bryczki.

— Kogoż tam pan Bóg prowadzi?... — zapytał z lokai jeden.

— Ksiądz proboszcz... — odpowiedział inny, wyjrawszy przez okno i wyskakując na spotkanie gościa, który z powodu wąskiej, do kostek mu sięgającej a na drobne guziczki od dołu do góry zapinanej sutanny, z trudnością niejaką wysiadał z bryczki komisarskiej, ujmując się półdrabków mocno i stawiając nogi na stopniach ostrożnie. Lokaj rękę mu podał. Ksiądz skończył i zapytał:

- Cóż to się u was święci?...
 — Panna za mąż idzie...
 — A ba!... — zawołał proboszcz zdziwiony i zapytał organisty, który z kozła zlaźł właśnie: — Wziął ty ornat i kapę?...
 — Nie, proszę jegomości... wziąłem ino komeżkę ta stułę...
 — Masz go!... Ależ bo i prawda... kto się tam spodziewać mógł!... Czy są goście?... — spytał lokaja.
 — Jasnie oświecony książe Gamajda z synem...
 — A więcej?...
 — Więcej nikogo... spodziewani na wieczór...
 — Cóż u licha!... Któż to się żeni, chyba książe Norbert, a może książe Gotfryd?...
 — Nie wiem, proszę jegomości...
 — Chyba że książe Norbert, bo tamtemu do żeniaczki, jak kuchcie do patyny... Toć i ksiądz jezuita musiał z nimi przyjechać?...

— Nie, proszę jegomości...

Ksiądz strzepnął kurz z odzieży i udał się wprost do sali jadalnej, gdzie się już znajdowali gospodarstwo i księżęta. Nastąpiło powitanie uprzejme i zapraszanie do stołu. Proboszcz wymawiał się, że jest już po obiedzie, dał się atoli przekonać podkomorzemu, gdy ten przytoczył przysłowie, że „kij na kij wadzi“, zasiadł i dowiódł, że przysłowie prawdę mówi. Apetyt, z jakim talerze wypróżniał, świadczył, że objad na objad nie wadzi.

Ksiądz proboszcz należał do rodzaju tych ludzi, co to razdziły każdemu dogodzić i nikomu nie zawadzać, miał się za lekarza w sensie duchowym i uległ losowi takiemu samemu, aki spotyka uczniów Eskulapa, którzy po skończeniu nauk, dostając się na praktykę, na prowincję, zapominają medycyny, nie przestając mimo to być lekarzami doskonałymi. Nauka, z jaką przybyli, ułatwiła im praktykę; za jej pomocą poznali choroby miejscowe i nauczyli się leczyć takowe; stali się specjalistami lokalnymi, i w roztargnieniu ustawicznym stracili z oczu całość nauki. Wielkim byłoby ich ambaras, gdyby po latach kilkunastu praktyki wezwano ich do zdawania egzaminów z przedmiotów, w których celowali! I ksiądz Maryan Celowicz egzaminów z teologii, z historii kościoła, z prawa kanonicznego, etc. zdaćby nie potrafił. Wywietrzało mu to z głowy oddawna; za-

chował jeno odrębność fachową, a zresztą, pod względem intelektualnym, zrównał się z owieczkami swojemi, wśród których nabrał humoru dobrego i zaokrąglił się w sobie. Był to kontrast ojca Korskiego: ten suchy, surowy, ten pękaty i wesoły. Nie wielką też pomiędzy nimi panowała harmonia, pomimo, że w jednym mieszkali miasteczku, jeden w pałacu, drugi na probostwie. Nie stykali się z sobą nigdy prawie. Ojciec Korski, jako kapelan ksiązęcy, odprowadzał nabożeństwa w kaplicy pałacowej; ksiądz Celowicz miał kościół w rozporządzeniu swoim i zaważało mu to nieco, że ławka dostojnych kolatorów, z wyjątkiem uroczystości dorocznych, stała zawsze pustką w niedziele i święta pomniejsze.

Przy obiedzie, nieobecność panny Ludwiki dziwiła nieco księdza proboszcza.

— Co u licha!... — myślał sobie. — Przecież to o nią chodzi...

Nie miał jednak czasu zastanawiać się z powodu dystrakcji, jaką sprawiała żarliwość księżąt, pochłaniających jadło w ilości niepomiarkowanej. O jedzeniu takim wyobrażenia nie miał. Nosem więc czmychał i głową wstrząsał, widząc znikające z talerzy stosy, jakie sobie księżęta nabierali.

Usiłowania podkomorzyny bawienia gości obracały się w niewecz. Zaczepiała rozmową to księcia Norberta, to księcia Gotfryda; tym jednak nie do rozmowy było. Można więc powiedzieć, że objad przeszedł w milczeniu; po obiedzie siesta stała się koniecznością. Księżąt wyprowadzono. Podkomorzy zaprosił proboszcza na kawę czarną i fajeczkę, ulokował go na fotelu wygodnym, kazał mu podać cybuchi długi z bursztynem, sam się usadowił i zaczął gawędkę od niechcenia, poprzedzając takową westchnieniem i ziewnięciem szerokim:

— Haj-ha!... księżę dobrodzieju!... bieda i kwita...

— Oj tak, mości dobrodzieju!... — odparł zapytany, otaczając twarz zdrowiem połyskującą kłębami wonnego dymu. — Że bieda, to bieda... Czuć się ona daje szczególnie po dobrym objadku...

— Gdy człowiek, w spokoju ducha, zastanawia się nad kłopotami... — dokończył podkomorzy, poprawiając się w siedzeniu. Ot, ja na przykład, wydaję córkę...

— A za kogo, jeżeli spytać wolno?...

— Za księcia, no... — odpowiedział podkomorzy zdziwiony nieco.

— Za którego?... Dwóch ich jest...

— Ksiądz dobrodziej nie domyślasz się?...

— Usiłowałem zagadkę tę rozwiązać przy obiedzie...

— W jaki sposób?...

— Powiedziałem sobie, że który z dwóch książąt rozmiłowany jest w podkomorzance, ten brak apetytu okaże... Miłość bowiem i apetyt w parze nie chodzą...

Uwaga ta rozweseliła podkomorzego. Roześmiał się przez nos, wyciągnął się i westchnął.

— Oba jednak — ciągnął ksiądz — moi dobrodzieju, nie okazwali jakoś przy obiedzie symptomatów miłosnych... Ztąd też, nie wiem który z nich do imię panny podkomorzanki się zaleca...

— A któregoś ksiądz dobrodziej córce mojej życzył?...

— Na!... Oto jegomość dobrodziej pensum mi zadał!...

Żeby na nie odpowiedzieć... chyba w palce stuknę...

— A no... — odparł podkomorzy i głowa mu na pierś spadała.

Zdrzemnął się.

Ksiądz okiem z ukosa rzucił, na fotelu się poprawił, z cybuchy pociągnął, i oparłszy głowę o poręcz, począł pod sufit kółka dymu puszczać i myśleć o migdałach niebieskich. Z ostatniem kółkiem i jemu się powieki skleily.

Słodka to chwila, chwila drzemki poobiedniej. Znają ją ludzie wybrani, którzy się nie rodzą jak grzyby po deszczu. Umieć drzemnąć sobie po obiedzie, jest to sztuka w swoim rodzaju, jak umieć śpiewać albo wiersze pisać. Podkomorzy i ksiądz proboszcz należeli do liczby wybrańców owych. Jeden z głową pochyloną i z brodą na piersi opartą, drugi na wznak, z obliczem do góry wzniesionem, obaj z powiekami zmrużonemi i z ustami wpół otwartemi, pozostawali w nieruchomości nie długo, pół godzinki, nie więcej. Podkomorzy zmarszczył się i prychnął od czasu do czasu, księdzu po twarzy błdził półuśmiesze błogi. Zdawało się, jakby czar jakiś trzymał ich obu. Po upływie pół godziny, czar pękł. Podkomorzy prychnął chrząknął głośno. Ksiądz drgnął i obudził się.

— Ksiądz dobrodziej chrapnął sobie troszeczkę...

— Ja?... nie... Boże uchowaj... To jegomość dobrodziej...

— Co?... ja?... A niech mnie Pan Bóg broni!... Nigdy nie śpiam w dzień...

— Zdrzemnęło się nieco...

— Gdzież tam!... Nie jest to we zwyczaju moim... Znam ja siebie pod tym względem... Natura moja snu dziennego, a nawet i drzemki nie znosi, zwłaszcza siedzący...

— I moja taka sama... Żebym zasnąć mógł, potrzeba mi się położyć koniecznie i to na łóżku nie lada jakim...

— Na miękkim?...

— Nie, przeciwnie... Śpiam na twardym, ale posłanie powinno posiadać pochyłość, tak ażeby głowa znajdowała się wyżej a nogi niżej... pochyłość... Rozumie podkomorzy dobrodziej?...

— Rozumiem... Wysoko w głowy... Poduszki...

— Nie... Pochyłość... — przerwał ksiądz, gięstykując odpowiednio, to znaczy (i powodził dłonią z góry na dół pod kątem gradusów kilku). O... pochyłość, głowa tak, nogi tak, a o poduszki mniejsza... Jak tego, to jest, pochyłości nie ma, to mi wnet krew do głowy uderza... Spać mogę jeno na łóżku, posiadającym pochyłość... Rozumie pan podkomorzy dobrodziej?...

— Rozumiem... — odparł podkomorzy, dłubiąc sobie piórkami w zębach. — Ro-o-zumiem...

— Zapytywałem o to doktorów, coby to znaczyć miało...

— I cóż?... doktorowie?...

— At.. albo to oni o czem wiedzą!... Jeden gada tak, drugi owak...

Podkomorzy ziewnął szeroko i gębę sobie wielkim palcem przeżegnawszy, krzyknął:

— Lewicki!...

Lewicki się wnet pojawił.

— Ponakładaj - no nam fajki i podaj mi szklanę wody świeżej...

Gdy lokaj do spełniania rozkazu przystąpił, podkomorzy tak do księdza prawił dalej:

— Co to jednak znaczy, proszę księdza dobrodzieja, że człowiekowi woda smakuje pomimo przysłowia: *in vino veritas*?

— To znaczy nie co innego, jeno chyba to, że człowiekowi do życia nie samo tylko wino potrzebne...

Turkot na podwórzu przerwał dalszą rozmowę. Zajechał przed ganek kocz wiedeński, unoszony czwórka tęgich koni w leje założonych i powożony przez stangreta w nowej liberji, a w nim dwoje ludzi płci różnej, wyglądających tak, że gdyby przeżyte przez nich lata dodać razem, to suma nie doszłaby liczby pięćdziesiąt. On nie miał trzydziestu ona nie miała dwudziestu. Ksiądz wstał z fotelu, nogami trochę na miejscu podreptał, w okno spojrział i rzekł:

— Bóg gości dał... Państwo Oleccy z Frasnólówki... Niedawno pobrali się sami...

— To dobra dla Ludwiki wróżba... — odezwał się podkomorzy. — Młode małżeństwo spieszy na jej zaręczyny... Ksiądz dobrodziej przysposobi się przecie z oracyjką jakąś przy wymianie pierścionków?...

— No... hm... proszę jegomości dobrodziej!... Rozumie się...

— Zaręczyny nabiorą powagi, będą miały więcej znaczenia... Proszę podnieść ród Gamajdów i nie poniżać rodu Kustrzewickich, boć to i my wyprowadzamy się od antenatów...

— To się wie, mości dobrodziej... Pokadzę, ja pokadzę... niech jegomość dobrodziej będzie spokojny... Wiem, co się komu należy...

Podkomorzy wyszedł do przyległego pokoju, w którym przed gotownią poprawiał sobie krawatki, przyczesał włosy, opatrywał paznokcie i szykował się do wyjścia do gości na salony. Rozmowa pomiędzy nim a księdzem toczyła się przez drzwi otwarte.

— Więc ksiądz dobrodziej pozostanie na chwilkę, dla skupienia ducha i przygotowania się do oracyjki...

— Dobrze, ale ja co na myśli to i na języku...

X.

Chcielibyśmy uwagę czytelnika zatrzymać na parze tej, która z wezwanych na zaręczyny gości najpierwsza przybyła. Przedstawiamy więc mu ją ze strony jak najlepszej ale oraz

i jak najbierniejszej, to jest, z tej, która cnoty i zalety wszelkie tłumaczy za pomocą dziesięciorga bożego przykazania, złożonego, jak wiadomo, z wyjątkiem punktów trzeciego i czwartego, z samych „nie“. Zalety jej stanowiło niedopuszczanie się złego. Pan Michał Olecki i pani Józefa, małżonka jego, nie mieli bogów cudzych, nie brali imienia pana Boga nadaremnie... święcili dni święte i nieświęte i czcili ojca i matkę zmarłych przed laty... nie zabijali, nie kradli, nie cudzołożyli, nie mówili fałszywego świadectwa naprzeciw bliźnim swoim, nie pożąдали żon (to się nie tyczyło pani — widocznie dziesięciorgo napisaniem było wyłącznie dla mężów), ani wołów, ani osłów, ani sług, ani służebnic, ani żadnej rzeczy — nie pożąдали tego wszystkiego, los bowiem zaopatrzył ich we wioskę intratną, która po śmierci rodzica dostała się panu Michałowi z działu majątkowego. Zauważymy tu, że przy fortunki pomocy łatwo jest być enotliwym przez „nie“. Pan Michał w ten sam sposób i rozum posiadał. Był nie-głupi i miał żonę nie-głupią. Para ta, skojarzona od miesięcy kilku, stanowiła stadło dobrane pod względem każdym, nstadło nie-złe i nie-głupie nie zdolne dopuścić się nietylko zbrodni, ale i występku, przekroczenia nawet, przeciwko wszystkiemu temu, co się utarło pod nazwą cnoty pospolitej. O tem, żeby pan Michał zdobyć się miał na czyn jakiś dodatni, na coś coby heroizmem trąciło, ani myśleć było. Cała dodatniość jego na tem polegała, że usiłował iść w ład wszystkim i wszystkiemu; był więc, dla włościan nie-złym panem, w odniesieniu do majątku nie-złym gospodarzem, w odniesieniu do żony nie-złym mężem, w powiecie nie-złym obywatelem, w okolicy nie-złym sąsiadem, w stosunkach z ludźmi nie-złym człowiekiem. Pani odpowiadała mu, jak echo odpowiada krzykowi. Była to, w całości tego wyrazu znaczenia, nie-zła kobieta.

Pobrali się miesiąc temu kilka. Czy się kochali? „A jużci“... — odpowiemy, jak odpowiadał Kacperek. Para taka nie kochać się nie może. Gdyby się nigdy przedtem nie widywali, gdyby jedno nie wiedziało o egzystencji drugiego i gdyby się po raz w życiu pierwszy na ślubnym spotkali kobiercu, to wymawiając wyrazy sakramentalne, jużby się pokochali. Taką była ich przyroda. Należeli oni do tej większości społecznej, której forma zastępuje treść, litera ducha — byli to ludzie porządni w stopniu najwyższym.

Weszli w posiadanie Frasobłówni, zamieszkali w białym dworze słomą poszitym i o obszerny sad fruktowy opartym, i na drugi po przenosinach dzień byli już tak, jak gdyby we dworze tym do lat stu mieszkali. Mieli miodowy pożycia małżeńskiego miesiąc — inaczej być nie mogło, dla tego chociażby samego, że pan Michał zmienił stan kawalerski, a pani Michałowa zmieniła stan paniński — z tym miesiącem jednak dziwnie się jakoś stało. Rozpłynął się. Częścią pobiegł wstecz, częścią naprzód, sięgnął w przeszłość i w przyszłość i rozczył się w teraźniejszości, nie sprowadzając uroków, nie sprawiając młodej parze uniesień ani zachwytów żadnych, nie dając jej zagadnień od rozwiązywania, ani pragnień do nasycania. Państwo młodzi od razu weszli w tryb regularny i ruszyli drogą życia wspólnego spokojnie, zgodnie, w takt, jakby pod bęben, wprawiając w podziw niemały domowników, officialistów, arendarza i sąsiadów, którzy spodziewali się jakiegoś wysoku, jakiegoś wybryku, czegoś nakoniec, coby oznaczyło miesiąc miodowy młodego małżeństwa. Nadzieje wszystkich zawiedzione zostały. Państwo Oleccy, w pierwszych chwilach małżeńskiego pożycia, stanęli na stopie powagi obywatelskiej, zaopatrzonej we wszelkie możliwe „nie“, która rokowała im długie, wstrząśnieniami niemający żywot i trwały ze strony ludzi szacunek.

— Małżeństwo porządne, przyzwoite, wzorowe... — powiadano powszechnie.

I otoczono ich szacunkiem, na który zasługiwali, tak sami przez siebie, jako też przez to, że pozostawali w spokrewnieniu i skolidaceni z najznacześniejszymi domami na Podolu, Wołyniu i Ukrainie, przymykając zbliżeni i z daleka, po mieczu lub po kądzieli do Sanguszków, Lubomirskich, Czartoryskich, Czetwertyńskich, Potockich, Branickich i wielu innych, przymykających do wyżej wymienionych. Rzucało to na nich urok niemały, tem większy, iż oparty na Frasobłówni, zasłaniającej ich przed sromotą pracy. Bo w epoce owej, do której się powieść niniejsza odnosi i w miejscowości tej, która jej za tło służy, nie tak, w sferze szlacheckiej, człowieka nie sromociło, jak praca. Nie ciskamy na ojców naszych kamieniem potępienia, ale po prostu konstatujemy fakt, który miał znaczenie wielkie w każdym względzie, szczególnie zaś we względzie życia towarzyskiego i łączących się z takowem stosunków. Pracowitość sromociła

człowieka. Kto z urodzonych brał się do pracy, do zarobkowania, tego odrzucano, z listy wykreślano. Znalśmy między innymi jednego, co nie nie miał, nie nie umiał, był do niczego i pobierał subsydja od rodziny sute dlatego jedynie, że groził, iż pójdzie na leśniczego, jeżeli zasiłków nie dostanie. Racja rezydentów i rezydentek, trzymanych po domach zamożniejszych, polegała nie na czem innem, jeno na wyobrażeniu o sromotności pracy. Urodzeni, w dostatku żyjący, tulili przy sobie urodzonych zubożających, celem zapewnienia dla nich należnego im *otium* ustawicznego. Dawniej trzymano ich na stopie zupełnej równości; w owych atoli czasach, w domach pańskich, jakim był dom podkomorzego na przykład, rezydenci mieszkali w oficynie i jadali przy drugim stole, i tylko już w domach szlacheckich przypuszczano ich do poufałości większej. U państwa Oleckich przebywało dwóch: jeden przywiązany niejako do gruntu, starszy jak gołąb biały, dostał się im w spadku po rodzicach; drugi człek lat średnich, wąsacz od stu diabłów, daleki jakiś pana Michała krewny, przybłąkał się do frasoblewieckiego dworu od lat paru i pozostał na bawienie. Zabawić miał czas jakiś i bawił dlatego, że nie odjeżdżał, nie odjeżdżał zaś dlatego, że odjazd od jutra do jutra odkładał. Jutra przychodziły i przemijały, on się wciąż wybierał, dla procesu, o którym przy każdej opowiadał okazji, i wciąż pozostawał. Pierwszy nazywał się Antoni Pogoński, drugi Maciej Okrasa. Pierwszego tytułowano panem podstolicem, drugiego panem komornikiem. I jak ten tak ów posiadali specjalności, które ich jeżeli nie pożytecznymi, w ścisłym tego wyrazu znaczeniu, to przynajmniej nie zawadzającymi czyniły.

Specjalnością podstolica była znajomość gruntowna heraldyki polskiej i związków rodowych rodziny szlacheckich. Był to herbarz chodzący. W wieku XVIII i dawniej znajomość ta należała do rodzaju najpotrzebniejszych i żaden szlachec statysta bez takowej obchodzić się nie mógł. W wieku XIX występowała ona pod postacią zabytku przeszłości, przerzucającego się tu i owdzie. Utyskiwano na brak onej, lecz nadaremnie. Duch czasu postawił na indeksie naukę, przed którą praojcowie nasi czołom bili i nauka zniknęła, przepadała, przechowując się jeno w głowach starców, wieku swego dożywających. Jednym z takich był podstolic, przy którym dość było wymienić nazwisko pierwsze

lepsze, ażeby on opowiedział dokładnie nietylko o herbie, ale oraz i o pokrewieństwach, powinowactwach i kolligacjach nazwisko to otaczających.

— Mospaneńku serce... — od tych słów odezwane się każde zaczynał — herbu (takiego to a takiego), rodzi go (ta a ta), po mieczu (tu wymienił nazwisk kilkadziesiąt niekiedy), po kądzieli (i w tym względzie niemniej dokładnie podawał daty).

Pełnił więc funkcję jakąś; siedł w ład wyobrażeniom, które rację bytu traciły, ale jeszcze panowały (od panowania tego i dziś nie jesteśmy zupełnie wyzwoleni); był przytem nabożny bardzo — modlił się nieinaczej, jeno na klęczkach, przy łóżku swoim, z dłońmi złożonemi i z oczami wlepionemi w zawieszony na ścianie wizerunek świętego Antoniego, do pośrednictwa którego odnosił wszystkie pacierze, modlitwy i suplikacje, które odmawiał głośno, całe zaś okresy szeptem. Naprzykład:

— Ojcze nasz... — następowało mówienie ciche, aż znów głos podnosił: Chleba naszego powszedniego... — i mówił po cichu do: I odpuść nam nasze winy... A nie wódz nas na pokuszenie... — reszta tonęła w szeptaniu.

Do gospodarstwa się nie miewał, w sprawach żadnych udziału nie brał najmniejszego, do rozmów nie stawał, z wyjątkiem kiedy się nadarzyło mówić o rodowości. O przeszłości własnej nie rozповідаł nigdy, a przecież, będąc młodym w czasach burzliwych, jakimi były lata drugiej połowy wieku XVIII, musiał przechodzić koleje jakieś. O tych nie wiedział nikt, ani nawet pan Michał, który przyszedłszy na świat, zastał podstolicą na rezydencji w domu rodzicielskim i nie pamiętał go inaczej, jak pod postacią staruszka, cichego, skromnego, potulnego, nikomu wody nie macącego, nabożnego i w heraldycznych wiadomościach bardzo biegłego.

Komornik był podstolicą przeciwnieństwem absolutnem, zaczynając od pobożności. Nie widział go nikt odmawiającego pacierz; nie widział go nikt żegnającego się krzyżem świętym. Uchodził za farmazona, zaprzędanego djabłu, luboć odbywał spowiedź wielkanocną regularnie. Spowiedź jednak nie zasłaniała go przed podejrzeniem o zмовę z nieczystym, którego imię miał na języku ustawicznie. Jak podstolica przysłowiem było „mospaneńku serce“, tak tego: „djabeł wie, mociumpanie“.

Mentyka, kłótniwy, każdego zaczepił, każdemu dokuczył, do wszystkiego się miewał i jedyną korzyścią, jaką przynosił, było to, że myszy łapał. Stanowiło to specjalność pana Macieja Okrasy, specjalność, której oddawał się z taką namietnością, jak inni kartom, polowaniu, kieliszкови etc. Myszom poprzyściągł, zda się, nienawisć nieubłaganą.

— Pan komornik, mospaneńku serce... — mawiał staruszek, mści się za króla Popiela...

— Djabeł wie, mociumpanie... — odpowiadał pan Maciej. Król Popiel tyle mnie obchodzi, co, nie przymierzając psa piętą nogą...

Zgłębił wszystkie tajemnice mysiej natury i umiał je łapać na sposobów dziewięćdziesiąt i dziewięć. Budowanie, reperowanie, odezyszczanie i narządzanie pułapek, pastek, samotrzasków, żelaz, jam, sideł stanowiło jedyne jego zatrudnienie, w którym doszedł do mistrzostwa skończonego. Zatrudnienie to nie licowało do niego. Zabawnie wyglądał człek barczysty, wąsaty, z karkiem na którym choć obody gnij, z rękami do łamania podków, bawiący się pręcikami i drucikami. Po za pręcikami i drucikami bawił się potrosze delatorstwem, mającem za cel ekonoma, leśniczego, arendarza, klucznice, kucharza, służbę stajenną, służbę pokojową, służbę piekarnianą, gumienego, karbowego, etc.; gdy zaś na fryca natrafił, to mu opowiadał ze szczegółami wszystkimi o procesie, jaki toczył o sukcesję, zabraną mu nieprawnie przez sukcesorów podczaszyni Olekiej, z domu Okrasianki, wypadającej mu babką a zmarłej przy schyłku wieku zeszłego. Podczaszyna owa była prababką w linii pobocznej pana Michała. Ten to był tytuł, dla którego Okrasa przybył do niego i w domu jego ugrzązł.

— Ja tu, do tej Frasoblówki, djabeł wie mociumpanie, przyjechał na moment tylko... — tak zaczynał opowiadanie swoje. Przyjechałem rozmówić się z panem Michałem, jako z Olekim, za Olekim bowiem, djabeł wie, mociumpanie, była Okrasianka, która wniosła summy posagowej złotych polskich tysięcy szesnaście, zainstalowanych na Hołohnatowie... Dokumenta są (tu dłoń szeroką ręką lewą pokazywał i palcami ręki prawej na odlew po takowej trzepał), są... o... Djabeł wie, mociumpanie!.. Wniosła tysięcy szesnaście, jak lodu, i nie wyniosła ich ze sobą na tamten świat... Gdzież one są?... o...

Djabel wie, mociumpanie... Ale ja nie z takich, co to gruszki w popiele zasypiają... Pilnuję i dopilnuję, siedzę adwokatowi na karku i odetchnąć mu nie dam, póki swego, djabeł wie, mociumpanie, nie dojdę...

Był w stanie, zaczawszy rano, prawić o procesie tym do wieczora i nie skończyć. Według niego, sprawa znajdowała się w pełnym toku, w rzeczywistości jednak nie istniała wcale, i historia cała była wytworem bujnej pana Macieja imaginacji.

Podstolic miał swoje przy stole pańskim miejsce, które zajmował przy gościach i bez gości. Odznaczało się ono krzesłem odmiennem, skórą obitem i w wysoki poręcz zaopatrzonym. Gdy do stołu podawano, staruszek stawał za krzesłem swoim, ledwie go z za poręcza widać było, i tak stał aż wszyscy miejsca pozajmowali, poczem krzesło ostrożnie odsuwał, zęgnął się, poły od kapoty zawijał, siadał i nie odzywał się, chyba, że go kto pytaniem zaczepił. Gdy mu przy stole wpadło w ucho nazwisko obce, wnet ustami ruszał, wymieniając sobie, w rozmowie z samym sobą, czem się ów wymieniony pieczętuje, kto go rodzi, z kim w powinowactwie pozostaje. Recytować to samo gotów był głośno, lecz nigdy sam z popędu własnego głosu nie zabierał.

Komornik miał także swoje przy stole miejsce, a nawet i przy gościach, ale nie zawsze i nie przy wszystkich. Zwykle, gdy się goście trafili, co zdarzało się dość często, służba zapomniała niby nakrycie dla niego stawiać. Od rodzaju gości zależało, ażeby pan Michał zapomnienie to sprostował, lub nie. Niekiedy zwracał się do lokaja z zapytaniem:

— A pan komornik?..

Wówczas lokaj co rychlej talerz stawiał, krzesło przysuwał i spieszył prosić myszoborcę do stołu.

Niekiedy jednak, w razie gdy matedory jakieś objad obecnością swoją zaszczycały, pomijał zapomnienie lokajskie mileżeniem, i wówczas pan Maciej, zajrzawszy razy parę do izby jadalnej, wstrząsał głową, wymawiał pomrukiem wyrazów kilka pod nosem, i bądź, jeżeli pora sprzyjała, wybierał się z łaską w rękę na przechadzkę daleką, bądź też, jeżeli deszcz padał lub zimno na dworze było, kładł się na łóżku swoim na wznak i zasypiał.

Dwoje państwa Oleckich i dwóch rezydentów, w otoczeniu

śług, służebnic i oficjalistów: oto grono, które się wybierało w pochód życiowy, w charakterze punktu ogniskowego, świecącego w Frasobłównie, w odniesieniu do tej jednostki społecznej, jaką wieś przedstawia. Młodzi państwo Oleccy stanowili parę przewodnią. Szli przodem, za nimi ruszali inni, a z tyłu podążał tłum — gromada włościańska. Była to jednostka społeczna w pełni swojej, takiej, w jakiej wyszła z łona dziejów. Z jednostek podobnych składała się całość, na wzór tego jak z hufców składa się armia.

O! cóż za wielkie, co za święte, na parze przewodniej ciążyły obowiązki!...

Obowiązków tych natury określać nie będziemy. Napomknęliśmy o nich dla tego jedynie, że się pod pióro nasunęły; nasunęły się zaś pod pióro dla tego, że chcieliśmy dokładnie dać czytelnikowi poznać osobistości, wyprowadzone na teatr powieściowego działania.

Pan Michał nie był panem, jak podkomorzy; pani Michałowa nie była panią, jak podkomorzyna. Na pochwałę ich powiedzieć należy, że się do państwa nie pieli, ale też nie pieli się do niczego, coby za zwykłe, uznane i utarte wyprowadzało tory. Byli, w znaczeniu całem, ludźmi chwili teraźniejszej, żyli dniem dzisiejszym, wpływy otaczającej ich sfery przyjmowali i do takowych się stosowali. Na niwie bytowania ich rosły chwasty. Nie obchodziło to ich. Rosły? Tem ci gorzej. Nie oni je zasiałi. Nie poczuwali się więc pod względem tym do winy najmniejszej. Przyjmowali sumieniem spokojnem stanowisko swoje „urodzonych“; „urodzonych“ tulili przy sobie, i ani im przez myśl przechodziło, ażeby bądź oni sami, bądź podstolic i komornik, bądź podkomorstwo Kostrzewiccy lub książęta Gamajdowie, bądź kto inny z tej sfery, pasożytami być mieli.

A przecież, niestety! nie co innego, jeno pasożytyzm, postawiony na stanowisku czynnika dyrygującego, był przyczyną pierwotną nieszczęść i klęsk wszystkich, przez jakie i tu i tam i ówdzie ludzkość przechodziła. Zaczynał się on od tych właśnie punktów, które za wytyczne powieści naszej służą. Dla tego to o punktach tych z przyciskiem niejakim mówimy, wykazując je o tyle, o ile w powieści wykazywanie podobne uchodzić może. Mielibyśmy o tem do mówienia dużo jeszcze, lae...

Pan Olecki objeżdżał łany, kiedy z Ohrebyszcz przybiegł posłaniec z listem od podkomorzego. Przyjechał na koniu spocynym, konia u płotu uwiązał, i zdjawszy we wrotach czapkę, z głową odkrytą do dworu kroczył. W ganku, w czapce na bakier, wzięwszy się ręką pod bok, pogwizdując sobie pod nosem, stał pan Okrasa. Posłaniec w pas mu się pokłonił.

— He?... — zapytał komornik od niechcenia.

— Z pismem do pana...

— Zkąd?...

— Od jaśnie wielmożnego pana z Ohrebyszcz...

— Pana w domu nie ma...

Posłaniec z miną zakłopotaną w głowę się podrapał.

Zakłopotanie chłopca komornika nie obchodziło wcale. Zdziwiło go tylko, że ten stęknął.

— Co?... czy cię kurcz porywa?...

— Nie, proszę wielmożnego pana... — odparł zagabnięty — ale...

— Ale co?

— Jakiś to musi być interes bardzo pilny, bo pan komisarz nakazywali i nakiwali... Może pani wielmożna w domu?...

— Pani w domu...

— A otże pismo... — rzekł, podając list, zapieczętowany wielką herbową pieczęcią.

— No?...

— To chybaby wielmożnej pani te to pismo oddać, ażeby ona zobaczyła, co w niem napisano stoi...

— A mnie co do tego!...

Posłaniec cofnął rękę z listem i oglądać się począł, ażali nie zoczy z domowników kogo, coby się misji wręczenia listu podjąć chciał.

Zoczył podstolica, krocącego powoli przez podwórze na ganek i pozdrowił go pokłonem w pas.

— Co tam, mospaneńku serce?...

— Ot co... — i wetknął list podstolicowi w ręce.

Staruszek zwrócił go pieczęcią, której przypatrzył się zdaleka, jak to czynić zwykli ludzie z osłabionym wzrokiem, i rzekł:

— Herb podwójny, mospaneńku serce... małżeństwo.. jednym pieczętują się Ślascy, Kowalscy, Żuliccy, Bolejewscy,

Stożkowie, Kostrzewiccy, Gawrońscy, drugim Sobiescy, Wierzbietowie, Podłodowscy, Kanewscy, Janikowscy. Połączyły się one przez imię pana Kostrzewickiego Marcina, podkomorzego i przez jejmość panią Klarę z Janikowskich Kostrzewicką, podkomorzyń, zamieszkałych w dobrach dziedzicznych, Ohrebyszczach...

— Ta to, djabeł wie mociumpanie... — odezwał się komornik — jegomość, gdybys się chłopca tego spytał, dowiedziałbys się, że to list od podkomorzego...

— Nie sztuka pytać, mospaneńku serce...

— Właśnie że sztuka, djabeł wie mociumpanie... Ot, na ten przykład, ja... Pytałem i dopytałem się do podczaszyny Oleckiej, z domu Okrasianki...

— Świeć, panie, jej duszy, mospaneńku serce...

Staruszek westchnął.

— Jegomość... djabeł wie mociumpanie... znałeś ją?...

Zapytanie to raz setny, co najmniej, zadaniem zostało.

— Czym ją znał?... mospaneńku serce... — odpowiedział podstolic — oj... oj... jakbym na nią patrzył...

— Babka moja... stryjeczno-rodzona mego dziada rodzonego siostra... — odrzekł Okrasa węs palcami podnosząc. Wniosła, jak lodu...

— Wielmożny panie... — przerwał posłaniec, kłaniając się podstolicowi. Pismo to, jakieś bardzo pilne...

— Milcz, chamie!... — zawołał komornik. — Nie przerywaj kiedy mówię!...

— Ależ bo... ono to...

— Milcz, gadzino!... Wniosła tedy, jak powiadam... djabeł wie mociumpanie... tysięcy szesnastu złotych, jak lodu, i...

— Dzień dobry jegomości, panie podstolicu... Dzień dobry, panie komorniku... — odezwał się srebrzysty głos kobiecy z otwartego okna.

Komornik schwycił czapkę z głowy; podstolic się odwrócił i odpowiedział.

— Jejmość dobrodziejo... już południe minęło, mospaneńku serce... i ja odpowiadam życzeniem południa dobrego...

— Przecież dzień — odrzekł ten sam głos, który pochodził z ust młodej, hożej, w letni szarafan i w czepeczek ze

wstażkami ubranej kobiety — dzień od wschodu do zachodu słońca...

— Eh — hrm!... — chrząknął komornik, chcąc się z cze-
meś odezwać a nie wiedząc z czym.

Staruszek, usłyszawszy uwagę kobiety w czepeczku, zamy-
ślił się głęboko, jakby uwaga ta stanowiła problemat niesłycha-
nie do rozwiązania trudny.

Z milczenia chwilowego, jakie w skutek tego nastąpiło
skorzystał posłaniec, i zwracając się do okna, w którym pani —
był to bowiem nie kto inny jeno pani Olecka — stała, wykonał
pokłon do ziemi samej.

Pani pokłon ten widziała, nie do posłańca jednak a do
komornika zwróciła zapytanie:

— Co to za człowiek?...

— To nie człowiek, to chłop, proszę jejmości dobrodziejki...

Odpowiedź ta nie zdumiła pani Oleckiej bynajmniej, jakby
się tego spodziewać należało. „Jakie czasy, takie obyczaje“.
Wzięła ją w znaczeniu poprawki i pytała dalej:

— Czegóż on chce?...

Posłaniec znów się pokłonił, i nie dając komornikowi do
słowa przyjąć, odpowiedział:

— Oto pismo (tu ukazał na trzymany wciąż przez pod-
stolica list) ja, wielmożna pani, przywiozłem, pismo jakieś bardzo
pilne, ta nie ma komu zobaczyć co w niem napisano stoi... Po-
dobność wielmożnego pana w domu nie ma...

— Oto, pan jedzie... — odrzekła pani.

Ukazał się w tej chwili we wrotach jeździec na gniadym
koniu, w szaraczkowej odzieży. Koń tegi i jeździec tegi. Na
widok ten kobieta uśmiechnęła się uśmiechem zadowolenia,
konwojując wzrokiem jeźdźcę przez podwórze całe do ganku,
przed którym on z siodła zeskoczył i wręczył eugle przybiegają-
cemu ze stajni kozakowi. Oblicze jeźdźcy jaśniało dobrym
humorem.

— Cóż, panie podstolicu? cóż, komorniku szanowny?...
pytał, wchodząc na ganek, kłaniających się mu rezydentów. —
Co słychać?...

— Chwalić Boga, mospaneńku serce... — odrzekł sta-
ruszek.

Pan Okrasa chrząknął i wąsa poprawił.

— Chwalić Boga, w rzeczy samej... — odparł przybyły,
którym był pan Michał Olecki. — Posiewy jare schodzą, aż
miło, ozimina strzałki puszcza, obiecując plenność obfitą... Po-
trzebaby teraz jednego dobrego deszczu na sianożęcie...

— A groch?... — zapytała pani przez okno.

— Schodzi, duszko... I na groch deszczu by potrzeba...

— Cukrowy już strączki puszcza...

— Podlewany i tyczony, a na grządce sadzony... Co grządka
to nie rola, a co groch cukrowy to nie prosty...

Rozmowa ta gospodarska ciągnęłaby się dłużej, gdyby nie
posłaniec, który, jakby na kłanianie się wieczne skazany, znów
się pokłonił i zaczął:

— Wielmożny panie...

— Zkąd ty? — przerwał pan Michał.

— Ta że z Ohrebyszcza, od jaśnie wielmożnego pana, z pi-
smem do wielmożnego pana...

— Z pismem... gdzież ono?...

— Ta że u nich... — odrzekł chłop, ukazując na pod-
stolica.

Pan Michał zwrócił się do staruszka, ten jednak, jakby
nie wiedział ani domyślał się o co chodzi, spokojnie wkładał do
czapki chustkę kraciastą, w którą tylko co utarł nos. W rękę
jego listu nie było.

— Gdzież list?...

— Jaki list?

— A ten, co jegomości posłaniec dał?...

— Posłaniec dał?... list?... — powiadał staruszek, oglądał
jąc się poza siebie i podnosząc ręce, jakby w celu wypuszczenia
przedmiotu jakiegoś pod ramieniem trzymanego. List?... mospa-
neńku serce...

— Jegomości go chłop ten wręczył... odezwał się ko-
mornik.

— Jegomość go w rękę trzymałeś... — odezwała się pani
z okna.

— List?... wręczył?... w rękę?...

I spoglądał staruszek po sobie, patrzył pod nogi, oglądał
się poza siebie.

— Rozpoznałeś jegomość na nim pieczęcie, herb rodu Ko-
strzewickich i herb rodu Janikowskich... — przypominał komornik.

— Herb rodu Kostrzewickich i herb rodu Janikowskich złączyły się w skutek skojarzenia się dwóch tych domów przez zawarcie ślubów małżeńskich pomiędzy imię panem podkomorzym, a...

— Gdzież list?... — przerwał pan Michał.

— List?..

— Poszukaj-no jegomość przy sobie, czyś nie wsunął w zanadrze niechcący...

Podstolic szukać począł przy sobie, rozwiązał pas, rozpiął kapotę, rewidował kieszenie, wstrząsał odzieżą, wsuwał ręce za cholewy.

— Wszak to nie szpilka...

— Ogromna koperta, z wielką pieczęcią... — dodał komornik.

Poszukiwania najściślej nie zdały się na nic. Wypadek równał się cudowi. Nikt obcy nie przechodził, ganek był zupełnie otwarty, pani Michałowa, komornik i posłaniec jednogłośnie świadczyli, że list znajdował się wrękach podstolica. Mógł mu z rąk wypaść. Byłby jednak na podłodze, z której wziąć go nie mógł nikt.

— Chyba mysz... — odezwał się pan Michał.

— Mysz!... — krzyknął komornik. — Djabeł wie mociumpanie!.. Ale nie... nie!.. to być nie może!.. Gardłem ręczę, że to być nie może!.. Mysz?...

— Myszy przecie papiery zaciągają...

— Zaciągają, ale żadna nie dopuściłaby się zuchwalstwa takiego, ażeby w biały dzień, przy ludziach na ganku, przyjść i porwać list od pana podkomorzego... Nie, o! nie... Mądre one; ale ja tu byłem... djabeł wie mociumpanie... a mnie one nie oszukają... Nie, przecie temu uroczyscie i gotów jestem głowę w zakład dać...

— Czy nie schowałeś pan, panie komorniku, listu tego przypadkiem?... — zapytał pan Michał.

— Ze mną się przypadki nie zdarzają...

— Poszukaj jednak przy sobie...

Szukał komornik, szukał posłaniec; zawołano służbę, szukano na ganku, w sieniach, na podwórzu, a rozszerzając koło poszukiwań coraz to dalej, przeniesiono takowe do stajni, do oficyn, do dworu i listu nie znaleziono.

— A taki pilny!... — powtarzał posłaniec.

— No... niech dają do stołu... — rzekł w końcu pan Michał. Stał się cud, nie co innego...

Wniesiono wazę. Staruszek podstolic stanął za krzesłem swoim, i wydobywszy chustkę z czapki, pot nią sobie z czoła ocierał. Zajęli pani, pan i komornik miejsca swoje; zajął swoje i on, gdy w tem lokaj zupełnie roznoszący zgiał się i podniósł z podłogi list z pieczęcią nienaruszoną.

Wszystkich oczy radością strzeliły.

List znalazł się za krzesłem podstolica.

Zagadka pod inną przedstawiła się postacią.

Zkąd się on tam wziął?

Nam się zdaje, że staruszek, nie myśląc o tem, ucierając nos na ganku włożył list do czapki i że ten z czapki mu wypadł, gdy za swoim krzesłem stojąc uznojone czoło sobie obcierał. Czapka służyła mu za schowankę dla chustki od nosa. Na fackie tym opieramy domysł nasz, który jednak pod dachem państwa Oleckich zagadką pozostał na zawsze. Cudownie list się zatracił i cudownie odnalazł. W wiekach dawniejszych wypadek ten zaciągnionoby do rejestru zdarzeń wielkiej doniosłości, zwłaszcza, że spotkał on człowieka tak nabożnego jak pan Antoni Pogoński.

Pan Michał rozpieczętował list natychmiast, przebiegł go oczami i zawołał:

— Wesele!...

— Gdzie? czyje?... — zapytała pani.

— Podkomorzanka idzie za księcia Gotfryda Gamajdę... Proszeni jesteśmy na zaręczyny... Trzeba się wybierać natychmiast po obiedzie...

Staruszek mruczał coś pod nosem. Notował sobie w pamięci, czem pieczętuje się Gamajda a czem Kostrzewicka i przypominał sobie pokrewieństwa, powinowactwa i koligacje dwóch tych znacznych domów.

XI.

Znajomość z państwem Oleckiem przyda się nam na później. Pospieszaliśmy z takową dla tego jedynie, że zdaniem naszym, zaznajamianie się z dobrymi ludźmi nigdy zawczesnem być nie może. Nie nam oni zawadzali — owszem. Przydatność ich zresztą pokaże się w swoim czasie.

Tymczasem w salonie podkomorstwa wystąpili, jako najpierwsi z gości na świadków uroczystości zaręczynowej wezwanych.

Pozostali przez czas jakiś sami, we dwójkę.

— Pospieszaliśmy się trochę... — rzekł pan Michał pod sekretem do żony.

Pani w oczy mu spojrzała z wyrazem niezadowolenia niejakiego.

Pospiech w stawieniu się na zaprosiny stanowi dość znaczne przeciwko etykiecie wykroczenie, znane na wsi tak dobrze, jak i po miastach. Stało się jednak. Państwo Oleccy sprawili sobie przykrość sami i znaleźli się o tyle dobrze, że nie zwalali winy jedno na drugie. W iluż to stadłach wypadek podobny staje się przyczyną zwad, doprowadzających do strasznych scen małżeńskich! Pomiedzy nimi rzecz cała skończyła się na uwadze męża i na spojrzeniu żony.

Samotność ich jednak nie potrwała długo.

Wybiegła podkomorzyna!

„Wybiegła“ — powtarzamy ten wyraz, określa on bowiem dokładnie sposób, w jaki gospodyni domu wyszła do gości.

— O! państwo kochani!... O! sąsiedzi łaskawi!... Czyżem w stanie wyrazić wam wdzięczność moją?...

Od wykrzykników tych rozpoczęło się powitanie, co jest oznaką, że podkomorzyna posiadała takt gospodyni domu wytrawnej. Wynagradzała w ten sposób przykrość, jaką młoda para sobie sprawiła. Wyściskała, wycalowała panią, pozdrowiła serdecznie pana, usadowiła ich wygodnie, przeproszała, że podkomorzy, „gospodarstwem zajęty“ na spotkanie ich nie pośpieszył, i rozpytywać się poczęła z troskliwością wielką o zdrowie. Młoda kobieta, ogłaskana i udobruchana, prędko o przykrości zapomniała i pytaniami o toż samo się wywzajemniała.

— Jakże tam pani kochana?

— A pani łaskawa, jakże?...

Zdrowie dla pań wiejskich jest niewyczerpanym w rozmowie przedmiotem. Być zdrową zupełnie, jest to nieprzyzwoitość, której się nie dopuszcza żadna szanować siebie umiejąca. Chorować zwyczajnie, jest to także nieprzyzwoitość. Chorować i umieć chorować należy do dobrego tonu, i stanowi jedną z gruntownych właściwości damy dobrze wychowanej. Oczywiście więc obie panie, i wyglądająca jak rzodkiewka miesięczna pani Michałowa i przybladła a podmarszczona już nieco podkomorzyna przyznawały się do przypadłości różnych nadzwyczajnych, na które pod słońcem lekarstwa nie było. Młoda pani Olecka czyniła wyznania niezgrabnie. Była jeszcze niewprawną i zdradzała się z naśladownictwem. Co się jednak podkomorzyny tyczy, ta tak zręcznie symptomata przerażające zestawiała, taką komplikację bólów niesłychanych ułożyła, że się otoczyła w oczach młodej kobiety urokiem męczeństwa, bezimiennego wprowadzie, zawsze jednak męczeństwa, tem cięższego, że niepojmowanego.

— Ach, pani kochana!... pani tak cierpi!...

— To nie że cierpię, ale poznać tego po sobie nie daję... Podkomorzy ani się domyśla...

— Czemuż to?... Pan podkomorzy postarałby się...

— Zaradzić?... — podchwyciła podkomorzyna. — Czyby się zaradziło, to rzecz wątpliwa; a to pewne, iżbym męża na zmartwienie i zgryzoty naraziła... Wolę więc cierpieć w milczeniu...

— Ja gotów zdradzić tajemnicę pani... — pochwycił pan Olecki.

— Panie Michale... — odezwała się podkomorzyna tonem prośby. — Wynurzyłam się przed wami jak przed przyjaciółmi... nie podejrzewając zdrady z waszej strony...

— O, pani podkomorzyno!... — odparł pan Michał, w rękę ją całując. — Niech pani, co się tego tyczy, będzie pewną i spokojną...

— Zresztą, ja i sama o zaradzeniu złemu myślę... Niechno tylko dzieci los ustalę... Ludka za mąż wyjdzie. Karol się ożeni, wówczas... pomyśle... Zrobiliśmy już z mężem ślub pielgrzymki do Częstochowy... Ufność w Bogu i w Matce Przenajświętszej.

— O... to... — westchnął pan Michał
Westchnęła i pani Michałowa.

— Ale... — zaczęła podkomorzyna.

— Ale... — w tej samej chwili zaczął pan Michał.

I ucieli razem oboje. Pani podkomorzyna spoglądała na pana Michała; pan Michał spoglądał na panią podkomorzą. Przeszkodzili jedno drugiemu i przez grzeczność jedno drugiemu głosu odstępowali.

— Pan zaczął...

— Przepraszam, pani dobrodziejka zaczęła...

— Cóż pan powiedzieć chciał?...

— I... nic, pani podkomorzyno... Nie przypominam sobie nawet, bo uwagę zwróciłem na słowa pani... Pani dobrodziejka powiada tedy?...

— Miałam na myśli powiedzieć coś, co pana, jako mężczyznę, obchodzić nie może...

— Ciekawym, cóż to mnie nie obchodzi?...

— Chciałam pochwalić czepeczek żony pańskiej...

— A, toć to mnie obchodzi nadzwyczajnie!... — odrzekł pan Michał tonem, w którym przebiegał się nastrój żartobliwy.

— Doprawdy?... — zapytała podkomorzyna.

— Jakże pani chce!...

— Ach! zapomniałam, że państwo od pięciu dopiero miesięcy małżeństwem jesteście!...

— Pani zatrważasz moją żonę...

— Och, nie zatrważam... W nas, panie, słabych istotach, jest hart i rezygnacja... Znosić umiemy zawody niespodziane, do których żadna z nas przygotowana nie jest... Powtarzam to Ludce, pomimo, że ona robi partję dobrą, bardzo dobrą...

Pani Olecka milcząco potakiwała; pan Michał potakiwał monosylabami. Grzeczność sama nakazywała im czynić tak nie inaczej. Mogliż przeczyć? Pan Michał, człowiek porządny i przyzwoity, posunął grzeczność tak daleko, że powinszowania składał:

— Winszuję — mówił — szczerze winszuję państwu dobrodziejstwu wyboru, jaki panna Ludwika zrobiła...

— Nie dozna zawodu... — odrzekła podkomorzyna — luboć nie jest to z jej strony bez ofiary niejakiej... Ale życie nasze, nie jestże ofiarą ustawiczną?...

Dla młodych państwa Oleckich ofiarność była jeszcze rzeczą niezrozumiałą. Nie mieli oni czasu, ani sposobności dowie-

dzieć się o niej. Zeszli się tak naturalnie. On potrzebował żony, ona potrzebowała męża; potrzebie tej zadośćuczynili; kontenci z siebie wzajemnie byli, ofiara żadna na najdalszym nie ukazywała się im horyzoncie. Na niezrozumiałe więc zapytanie podkomorzyny odpowiedzieli jednym na dwoje rozbitem westchnieniem i nastawiać się musieli na powitanie podkomorzego, który wchodził w tej chwili, udając pospiech wielki.

— Ach! szanowni!... Ach! kochani!... — wołał od progu.

Pana Michała uściskał; pani Michałowej rączkę, którą ona prędko z rękawiczki wyswobodziła, ucałował.

— No i jakże?... No i cóż?... Dziękuję, serdecznie dziękuję kochanym i łaskawym państwu, żeście prośby mojej wysłuchali!...

— O mały włos — podchwycił pan Michał — nie zostaliśmy sobie w domu spokojnie...

— Na Boga!... — zawołał podkomorzy. — Mielicie państwo dobrodziejstwo zamiar krzywdę nam zadać...

— Nie to, ale stała się z listem pana dobrodzieja historia, której wytłumaczyć sobie nie umiemy i której, pewny jestem, nie wytłumaczyłby sam Pinetti...

— Cóż przecie?...

— Proszę wystawić sobie...

Tu pan Michał opowiedział ze wszystkimi szczegółami cudowne zginiecie i odnalezienie listu. Podkomorzy i podkomorzyna dziwili się temu niezmiernie i czynili domysły różne, które pan Olecki zbijał faktami. W końcu podkomorzy zakładował:

— To albo cud, albo sztuka Pinettego...

Wzmianka o Pinettim posłużyła za bogatą do gawędki materję. Panowie opowiadali dziwa bardziej zdumiewające jedno niż drugie.

Pinetti, jako przedmiot rozmów, bawił całe jedno pokolenie obywatelskie na Podolu, Wołyniu i Ukrainie. Teatrem popisów jego był Kijów w czasie kontraktów. Szlachta nie mogła się dosyć o sztukach jego naopowiadać. Podawały one treści niewyczerpaną. Opowiadano bez dodatków i z dodatkami — więcej rozumie się z temi ostatnimi, a to z tego powodu, że w każdym szlacheicu polskim tkwił zaczyn tej poetyczności, która wydała arcyministra w swoim rodzaju, księcia Karola pa-

nie kochanku. Nie masz, zapewne, reguły bez wyjątków. Zdarza się często gęsto szlachcie, co kłamstwem ust nie skałał nigdy w życiu. Znamy postacie takie, jako kryształ czyste. Z drugiej atoli strony, wedle reguły ogólnej, na jednego prawdomówcę bywało łgarzów pięciu przynajmniej. I jakich jeszcze! Fakt ten tłumaczy się sam przez się. Natura próżni nie cierpi. Szlachta miała próżnię w głowach, więc zapępiała takową fantazją. Wyobraźnia wyręczyła rozum i wyręczycielka ta, przy każdej zdarzonej okazji, płodziła herezje istne.

Okazja podobna trafiła się podkomorzemu i panu Michałowi i pozwolili też sobie. Na rachunek Pinettego opowiadali dziwa z pewnością nie bywałe. Podkomorzy opowiedział, jak Pinetti wprowadził w kłopot bankiera, który pieniądze liczył i doliczyć się nie mógł, aż dowiedział się z kim ma do czynienia i kasę mu otworzył. Pan Michał opowiedział, jak Pinetti, o jednej i tejże samej godzinie, minucie i sekundzie, z miasta pewnego, wszystkimi na raz wyjechał bramami.

— A to ja państwu dobrodziejstwu lepszą o nim sztukę opowiem... — zabrał głos podkomorzy. — Jechała szlachta do Kijowa na kontrakty i zjechała się w Wasylkowie na noc w karczmie zajezdnej w takiej liczbie, że nie było gdzie szpilki tknąć. Porozkładali się w izbie gościnnej na łózkach, na ławach, na podłodze, na stołach. Bitkiem nabito niby śledzie w beczce. Aż tu wchodzi podróżny jakiś. „Ej! — prosi — panowie dobrodziej, zróbcie miejsce.“ Nikt na to ani zważa. Było na jednym stole miejsca tyle, co usiąść. Przybysz prosi o nie, a gdy mu nikt nie bronił zajęcia takowego, siada i instaluje się. Poczyna się rozbierać. Szlachta patrzy ciekawie, jak się też on umieści. A on mości dobrodziej, z najzimniejszą w świecie krwią, odkręca sobie nogę jedną i kładzie przy sobie, odkręca drugą i kładzie. Szlachta się pozrywała z pościeli i patrzy, co też to dalej będzie, aż on bierze się do głowy i głowę niby ze szruby odkręca. Szlachta hurmem do drzwí i w nogi. Ktoś jednak krzyknął: „Pinetti!“ To ich upamiętało, wracają i zastają Pinettego, jak się rozłasował wygodnie i leży jak długi na stole... A co, jak się to państwu podoba?...

Przy końcu tego opowiadania, wszedł ksiądz proboszcz, *in gratiam* którego podkomorzy rzecz *ab ovo* rozpoczął.

Interesująca ta dyskusja pociągnęłaby się zapewne dalej,

gdyby jej tamy nie postawiła podkomorzyna, skorzystawszy z chwilowego przestanku i wspomniawszy o książętach.

— Książęta już są?... — zapytała pani Michałowa.

— O, są... Byli u nas na obiedzie... Przed objadem odbyła się deklaracja i tak się to, powiem pani, niespodzianie stało, żeśmy nie mogli prosić na świadków zaręczyn jak tylko osób kilka, najbliższych przyjaciół naszych: państwa dobrodziejstwa, pana sędziego, pana pułkownika, pana chorążego, pana prezesa...

— Państwa Zahalnickich... — dodał pan Michał, pamiętny wieczorków tańczących, na których bywając, spotykał Gustawa.

— O!... — krzyknęła podkomorzyna i rzuciła się, jakby w przestachu. — Prosiłiśmy tylko najbliższych przyjaciół naszych... — dodała z przymusem.

Pan Michał wargi przygryzł. Zmiarkował, że wyrwał się niewłaściwie. Zahalnicy ubodzy nie mogli się liczyć do najbliższych bogatych państwa Kostrzewickich przyjaciół. Ci mieli dusz tysiące, tamci i stu nie posiadali, a choć szlachta, ale pracowitością tracili. Cóż tu za przyjaźń zachodzić mogła? Zkąd data? Przygryzł więc pan Michał wargi; a byłby przygryzł jeszcze bardziej, gdyby wiedział o stosunkach, jakie zachodziły pomiędzy Gustawem Zahalnickim a panną Ludwiką. Szczęście jego, że nie wiedział. Nie domyślał się uklucia szpilkowego, jakie niechęć zadał podkomorzynie w serce.

Rozmowa zesłała na inny jakiś przedmiot i wkrótce potem przybywać poczęli inni zaproszeni, mężowie poważni, każdy w asystencji, jeżeli nie połowicy z konsolacją, to okazy jakiegoś konsolacji pod postacią syna lub córki. Pan pułkownik przyjechał z panią pułkownikową i z synowcem, kawalerem na ożenieniu, zamieszkującym w dalszej okolicy, który nie w innym stryjaszka odwiedził celu, jeno w tym, ażeby pod jego skrzydłem rozpocząć konkury o rękę znanej mu z podań o posagu panny Ludwiki Kostrzewickiej. Wybrał się biedak za późno. Los zadrwił z niego. List podkomorzego z zaprosinami przyszedł w tej właśnie chwili, w której stryjaszek był w pogotowiu zupełnem do jechania z nim do Ohrebyszcz i kiedy on, wystrojony na pierwszą wizytę pewnym był swego, pomimo, że on i panna nie widzieli się nigdy w życiu. Cios ten dotknął młodzieńca żywo. Zachodziły okoliczności *de force majeure* — podobne nieco do racyj stanu w dyplomacji — nakazujące mu

zenie się nie lada jak. Namyslił się, zdecydował i przygotował; wybierał się na zdobywanie twierdzy w przymierzu z pułkownikiem; liczył na powodzenie z pewnością i chwilka jedna w niwecz wszystko obracała. W żalu, jaki nim z powodu tego owdlał, postanowił już był nie jechać do Ohrebyszcz wcale i byłby nie pojechał, gdyby nie pułkownikowa. Stryjanka namówiła i racje dobre podała.

— Niech — mówiła — panna pozna, co traci gdy ciebie z księciem Gotfrydem porówna..

— Cóż to za księżę Gotfryd?

— Zobaczysz... Całą i jedyną zaletę jego stanowi mitra... Jest to wielka ze strony podkomorzanki ofiara...

— Ofiara!... — mruknął młodzian przez zęby i ulegając namowom stryjanki, towarzyszył pułkownikostwu w tym samym fraku, w tej samej kamizelce i krawatce, w tych samych rękawiczkach, które przeznaczył był na oręż zaczepny do zaatakowania serca panny grubo posażnej. Stryj który lubił wojskowych porównań w rozmowie używać, powiadał że będzie to podjazdowa wycieczka. Młodzian uzbroił się do takowej, i niestety! zamiast na wycieczkę podjazdową jechał z wizytą pożegnalną w odniesieniu do nadziei własnych. Dla tego też wyglądał melancholicznie, a tem melancholiczniej, że był łysy, nie licząc jeszcze lat trzydziestu skończonych, bladawy, szczupły z sińcami pod oczami, nosił okulary i wyrażał postacią całą świadectwo młodości zmarnowanej, słowem nadawał się na bohatera romansu zaprawnego bajronizmem.

Z wyjątkiem tego jedynego, wszyscy zresztą goście byli to starzy i dobrzy podkomorstwa znajomi. Przybywali z powinnowaniami wielkimi i z życzeniami jak najserdeczniejszymi na ustach. Pułkownik tylko, lubiący prawdę rżnąć, wsunął podkomorzemu do ucha:

— Między nami mówiąc, księżę nie mógł lepszego zrobić wyboru, ale... co się drugiej tyczy strony...

Dokończył ust skrzywieniem.

Podkomorzy poprzestał na ramion ściśnieniu.

W tejże samej chwili pułkownikowa mówiła do podkomorzyny półgłosem:

— Ludwisia mogłaby zrobić wybór, jakiby sama chciała...

— Poświęciła się... — odparła podkomorzyna.

— Rozumiem, o! rozumiem... Podnosi to jej wartość w oczach ludzi, umiających cenić ofiary takie... Mówiłam to dziś właśnie synowcowi męża mego...

— Pani pułkownikowa rozumie... — przerwała podkomorzyna.

— Oh!... — westchnęła i oczy zawróciła.

Podano światło. Nastąpiło wejście książąt.

Książęta rozwinęli uprzejmość jak najserdeczniejszą. Witali się ze wszystkimi po kolei i każdego z osobna zaczęli pytać, które się niezmiennie od czasownika „spodziewam się“ zaczynało, i w którym powtarzała się dosłownie wciąż jedna i ta sama o zdrowie troskliwość. Rzekłbyś, że nic ich tak nie obchodzi, jak zdrowie wszech wobec i każdego z osobna. Pułkownik zaprezentował im synowca.

— Spodziewam się, że zdrowie pańskie w pomyślnym znajduje się stanie?... — wnet zapytał jeden.

To samo powtórzył drugi.

Aspirant posagowy zagadał o Paryżu, o Rzymie.

— Spodziewam się — podchwycił księżę ojciec — że Rzym e... o... że Rzym to miasto?...

— Spodziewam się, że zdrowie Ojca św. w pomyślnym znajduje się stanie?... — podchwycił syn.

Podkomorzy z pomocą pospieszył i zawiązał o Ojcu świętym rozmowę, która się stała ogólną i w której prym dostał się synowcowi pułkownika. Młodzian opowiadał o recepcji w Watykanie, co wielkie wzbudziło zajęcie. Panie zwłaszcza dopytywały się z ciekawością pobożną, zazdroszcząc w duchu szczęśliwcowi.

Młody podróżnik opowiadał dalej i panie go z zajęciem wielkiem słuchały, gdy w salonie ukazała się heroina chwili, panna Ludwika.

Weszła.

Ach! słów nie mam do oddania wejścia tego, które zarywało na teatralność, teatralnością jednak nie było, we właściwym tego wyrazu znaczeniu, dla braku widzów. Widzowie jedyni znajdowali się pod oknami, w ogrodzie. Czeladź ciekawa, jak też się odbędą zaręczyny panny, zebrała się, i przykładając czoła do szyb, przypatrywała się akcji. Pomiędzy czeladzią ulokował się i nasz Kacperek. Chłopczyna wyteżał oczy, pożerając wzrokiem tych panów i te panie, których nigdy tak zbliśka nie oglądał.

dał. Panowie więc i panie byli aktorami sami, i przez to neutralizowali teatralność wyjścia panny Ludwika, która wystąpiła, jak — przypuszczać się godzi — występowały niewiasty wszystkie, niosące siebie w ofierze: Ifigenia, Wirginia, Joanna d'Arc etc. Wejrzenie miała błędne, wyraz twarzy tajemniczy; po czole jej tulał się pukielek włosów, oderwany od splotów warkoczy, przedstawiając sobą niby wygnanie, niby osierocenie. W warkoczach gałązki i kwiatki miały minę taką, jakby tam wypadkiem zabiły i dumały nad smutkiem, który czoło dziewczęce ocieniał. Szyję dziewczęcą, unoszącą się nad obnażonym gorsem i nagiemi ramionami, otaczał dwukrotnie sznur pereł urjańskich. Suknia, jaką na siebie panna Ludwika włożyła, była koloru blado-popielatego, wpadającego w zielonkawy, którym powleka się otchłań bezdenna. Znać to zapewne miało, że oblubienica księcia Gotfryda uważa związek z nim ślubny za otchłań, w którą się rzuca.

Wejście panny Ludwika wywarło na obecnych wrażenie niemałe. Wzroki wszystkich przechodziły kolejno z niej na księcia Gotfryda i z księcia Gotfryda na nią, i nie było jednej osoby, któraby nie powiedziała sobie w duchu:

— Szkoda jej...

W rzeczy samej, szkoda było tego kwiatka dla tego worka w mitrze, siedzącego bezmyślnie, z uśmiechem idiotycznym na obliczu i z wyrazem „spodziewam się“ na ustach. Sama podkomorzyna nie mogła patrzeć prosto i śmiało; oczy jej migotały, jakby ze wstydu; tłumaczyła pułkownikowej po cichu, że małżeństwo to jest dziełem podkomorzego, a ma znaczenie czysto konwenansowe.

— Rozumiem, pani kochana, rozumiem... — odparła pułkownikowa, wzdychając. — Świat, towarzystwo mają swoje wymagania, którym zadośćczynić należy... Ludwisia zostanie księżną...

— Nie to tylko... — podchwyciła podkomorzyna, jakby ukłuta. — Ale wyznać trzeba, że partja ta... pod względem moralnym...

— Nic do życzenia nie pozostawia... — dokończyła pułkownikowa. O, tak!... pod względem moralnym... Młody książę jest bogobojny, dobry, temperamentu równego i spokojnego... O! to wiele znaczy... Temperament wiele znaczy, powiadam pani dobrodziejce...

— Ach! to prawda... — westchnęła podkomorzyna.

— Synowiec męża mego ma także temperament równy... Ale, co tam...

— Co?... — zapytała podkomorzyna.

Pułkownikowa westchnęła i odpowiedziała, że panna Ludwika silnie sprawia wrażenie na wszystkich, a zatem i na synowcu jej męża.

— Niechno pani patrzy... Wszyscy mają oczy na nią zwrócone...

Towarzystwo podzieliło się na pary szeptające. Podkomorzy, umieściwszy się pomiędzy księciem ojcem i księciem synem, przemawiał to do jednego, to do drugiego, odbierając od jednego w odpowiedzi kiwania poważne głową, od drugiego uśmiechy uprzejme, popierane monosylabowymi wyrazami. Podkomorzyna szeptała z pułkownikową, notującą w pamięci wyraz jej każdy, w celu puszczenia takowego w kurs wśród przyjaciół, sąsiadów i znajomych. Podkomorzyna wiedziała o tem. Pułkownik rozmawiał półgłosem z prezesem, sędzia z chorążym, sędzina z chorążanką, pan Michał z prezesową, młody wędrowiec z chorążyną; panna Ludwika przysiadła się obok pani Michałowej i nie toczyła z nią rozmowy żadnej, a tylko spoglądała, to w zawieszzone naprzeciw zwierciadło, odbijające postać jej w kandelabrow oświetleniu, to na drzwi, to na okna. W zwierciadle widziała siebie, we drzwiach nikogo, w oknie twarz Kacperka.

Och! roilo się jej jeszcze po głowie.

Spodziewała się jeszcze romantycznego zwrotu.

— A nuż... — powiadała sobie — podwoje się rozskoczą i wpada... on... Ja krzyknę (tu w zwierciadło okiem rzuciła) i zemdleję... Mdałam już dziś raz, ale to nie nie szkodzi... Oni (tyczyło się to gości) nie widzieli... Byle tylko Weronika szpilki przy sobie nie miała...

Zwracała wzrok ku oknu, czy tam jej się co nie ukaze. Napróżno jednak. W oknie ukazywał się jej Kacperek, we drzwiach zaś, które się rozwarły, ukazał się ksiądz proboszcz w komeczce i w stule.

Za ukazaniem się księdza wszyscy wstali.

Pannie Ludwice zimno się zrobiło. Zbladła. W oczach jej pociemniało. Blizka była zemdlenia prawdziwego. Bezprzytomnie prawie dała się wziąć matce pod ramię i pozwoliła się zapro-

wadzić do stolika, obok którego stali: ojciec, ksiązę jeden, ksiązę drugi, ksiądz i goście, a na którym, na srebrnej tacy, spoczywały dwa pierścionki.

Podkomorzy zabrał głos; przemówił wyrazów kilka do gości, biorąc ich na świadków, jako z dobrej i nieprzymuszonej woli oddaje córkę ukochaną księciu dostojnemu, i jako spodziewa się, że związek ten, gdy go Kościół potwierdzi, Bóg pobłogosławi.

Po podkomorzym zabrał głos ksiądz proboszcz. Ten zapewniał, że Pan Bóg pobłogosławi związek, który połączyć ma ród taki znakomity, jak książąt Gamajdów, z rodem takim zasłużonym, jak szlacheiców z dziada pradziada Kostrzewickich. Wyprowadzał z tego korzyść wielką, jaką na wszystkich spłynie.

Skończył. Pierścionki na palce kawalerowi i pannie powkładał. Nastąpiły powinszowania, życzenia i przepowiednie, które się nie skończyły, aż się goście rozjechali.

XII.

Nie skończylibyśmy, a raczej wołowa nie starczyłaby nam skóra, gdybyśmy powtarzać chcieli wszystkie uwagi, postrzeżenia i sądy, jakie opisane w rozdziale poprzednim zaręczyny wywołały. Sąsiedztwo całe, bliższe i dalsze, wiedziało o wypadku tym w najdrobniejszych onego szczegółach. Podziwiano męstwo panny Ludwiki, rozwinięte przez nią przy zaręczynach, i litowano się nad nią, jako nad ofiarą próżności rodzicielskiej.

— Biedna dziewczyna!... o!... biedna dziewczyna!...

Takim był głos powszechny.

Niejedna może na miejscu podkomorzyny matka oprzećby się nie zdołała pokusie, gdyby miała księcia pod ręką do uziębienia. Przykłady uziębienia podobnych zdarzały się często tak, że grzech podkomorstwa uważać można za wspólny w sferze szlacheckiej, i gdyby do spowiedzi przyszło, to mało która matka powiedziećby mogła, iż go nie popełniła w intencji. Tytuły rodowe w społeczeństwie, na rodowości niby na biegunie stojącym, magiczny wywierają urok. Czytajcie w tym względzie Jarosza Beję — autor ten filozoficznie i fizjologicznie różnicy krwi do-

wodzi. Takie były czasy, taki duch wiał. Ród wzbudzał religijne poszanowanie, i niejedna matka, na miejscu podkomorzyny, wypchnęłaby córkę na ofiarę za księcia, chociażby większego jeszcze jak ksiązę Gotfryd niedołęge, ale ponieważ to zrobiła podkomorzyna, więc inne matki wszystkie... hajże na nią! A nie tyle nawet na nią, co na podkomorzego. Podkomorzyna, za pomocą półsłówek i półwyznań, wsuniętych w ucho tej i owej, umiała od siebie rdzenne odwrócić pociski. Dostało się więc jej przez odbicie.

— Matka... — mówiono. — Matka winna...

— Cóż — odpowiadano — może matka przeciwko ojcu!...

Obwiniano obojga, więcej atoli podkomorzego, aniżeli podkomorzynę, o próżność.

Litowano się nad panną Ludwiką, jako nad ofiarą.

W domu podkomorstwa rozpoczęto przygotowania wyprawne.

Wyprawa!...

Czytając Homera, Śpiewy narodowe serbskie i naszego Pana Tadeusza, i spotykając się w nich z opisami cudnymi uzbrojeń rycerskich, uczt bohaterskich, strojów i zastaw stołowych, przychodziło mi na myśl, czemu to żaden z poetów nie opisał wyprawy ślubnej, jaką u nas pannom młodym dawano. To przedmiot taki bogaty! Takby się dał urzeźbić mową wiązaną! Możnaaby z tego zrobić coś naksztalt owej piany morskiej, która była rodzicielką Afrodyty greckiej i owej konchy, co jej za rydwan służyła.

Wyprawa ślubna!

Wyobraźmy sobie jeno, jaką to rolę odgrywa ona w życiu kobiety, w życiu, w najpiękniejszym onego momencie wziętem!

Wyobraźmy sobie jeno, co to za cuda, we względzie drobniaków różnych, składać się muszą na urobienie ram dla panny młodej!

Zagraża nam to, że córki nasze iść będą za mąż bez żadnej wyprawy. Zwyczaj ten przemija, jak innych wiele, których racja tkwiła w fantazji nieograniczonej. Dziś fantazję ścieśniamy coraz to bardziej i bardziej, i poczynamy już kobietę uważać inaczej, jak ojcowie nasi. Ale w epoce panny Ludwiki, kobieta, póki młoda, poczytywaną była za bawidełko, gdy zaś podstarzała, wolno jej było zostać matroną, poważną i szanowaną, jeżeli miała usposobienie potemu. Szanowano ją i po-

ważano, gdy matroną została; dobreż to były czasy!... A jak poetyczne!...

Podkomorzyna zajęła się wyprawą córki, natychmiast po pożegnaniu ostatniego gościa z tych, co zaręczynom asystowali.

Poszedł spać podkomorzy; poszła spać podkomorzanka; we dworze cisza zapanowała; podkomorzyna rozebrała się, lecz zamiast iść do łóżka, usiadła przy biurku, rozłożyła przed sobą przybory do pisania i na ćwiartce złocisto-brzeźnego papieru rzuciła nagłówek:

„Regestrzyk.“

Pod nagłówkiem napisała:

„Koszul dziennych webowych . . . 60.“

„Koszul nocnych haftowanych, garnirowanych.“

Napisała „60“, które poprawiła na „40“. Zamyśliła się i cyfrę „4“ przerobiła na „6“. Oparła się na łokciu i długo myślała, aż w końcu przekreśliła i tę ostatnią cyfrę, zostawiając tę kwestję do decyzji późniejszej. I pisała dalej:

„Kaftaników nocnych haftowanych.“

„Kaftaników nocnych gładkich.“

Pisała, zamyślając się, kreśląc, poprawiając. „Regestrzyk“ z jednej ćwiartki, w ciągu dalszym, przeszedł na drugą, z drugiej na trzecią, przybierając rozmiary rejestru olbrzymiego. Północ dawno minęła, ona wciąż pisała. Aż dzień świtać zaczął i podkomorzyna do łóżka poszła.

Nazajutrz, ledwo oczy otworzyła, natychmiast o „regestrzyku“ pomyślała. Kazała go sobie do łóżka podać i rozczytywała się w nim. Kazała następnie zawołać do siebie pannę, która specjalnie od strojów była, i głośno jej czytała, od koszul zaczynając:

— Koszul dziennych, webowych, sześćdziesiąt... Czy dosyć?...

— Zdaje się, proszę jasnej pani.. — była panny odpowiedź.

— Koszul nocnych haftowanych, garnirowanych... trzydzieści...

Zwróciła oczy na pannę i patrzyła, jakie też cyfra ta wrażenie na niej sprawi. Wreszcie zapytała:

— Czy dosyć?...

— Ja nie wiem, proszę jasnej pani...

— Możeby lepiej, sześćdziesiąt?...

— Tyle co dziennych?...

— Tyle?...

— Ta tak... — rzekła panna trochę zakłopotana. — Jak się jasnej pani podoba...

— Ale, jak ty myślisz?...

— Ja myślę, że się dzienne tak samo bruczą jak i nocne, a nawet nocne więcej jak dzienne...

— Więc sześćdziesiąt?...

— A jużci...

— To dobrze...

I czytała dalej, zatrzymując się często celem zasiągnięcia zdania kobiety, która z powołania swego znać się na rzeczy powinna. Chodziło często o jakość, częściej atoli o ilość. Panna poznawszy w pani skłonność do powiększania, wystrzegając się doradzać bądź gatunek podniejszy, bądź też liczbę mniejszą. Niekiedy też przypominała. We względzie pończoch, na przykład, podkomorzyna zapisała: niciane, bawełniane i ażurowe, pierwszych i drugich po par tuzinów trzy, trzecich tuzinów dwa; panna zapytała:

— A jedwabne, proszę jasnej pani?...

— Ach!... — zawołała podkomorzyna — zapomniałam na wieki!...

Zanotowała i czytała:

— Pantofelki nocne...

— A podwiązki?...

— Ach! zapomniałam...

— Z klamerkami, jedwabne; kitajką podszyte... Bez klamerek, ze wstążeczkami do związywania...

— Ileż jednych?... ile drugich?...

— Przynajmniej po par sześć, każda odmienna, żeby było w czym wybierać wedle upodobania...

We względzie spódnic odbyła się narada długa, nim postanowienie zapadło, ile ma być do krochmalu a ile nie do krochmalu, ile gładkich a ile haftowanych, ile ze szlakiem w ząbki, a ile ze szlakiem bez ząbków.

Konferencja ciągnęła się do objadu. Pani w łóżku kawę piła, poprawiając regestrzyk, który obliczony na pieniądze, wyniósłby tyle, iż zapewnić mógł być wygodny rodzinie z głów kilku złożonej. Wszystko tam bowiem było kosztownem, naj-

mniejszy drobiazg szedł na wagę złota, a znajdowały się artykuły wysokocenne, jak dywany, szale, futra, srebra stołowe, klejnoty. Sam tak zwany „pawilon” — kotary do łóżka — tyftowy z ozdobami szmuklerskimi wymagał wydatku paruset dukatów. A aksamity, a kitaje, a erdredony!...

Podkomorzyna nie prędzej wstała, aż do stołu nakrywać poczęto.

Przy obiedzie zeszła się z mężem i z córką. Ta ostatnia wyglądała, jakby kampanię odbyła. Pułkownik gdyby ją widział i o wszystkim co się za kulisami działo wiedział, niewątpliwie radziłby ją orderem ozdobić. Była trochę blada, trochę smutna, trochę nadasana. Ojciec, gdy mu dzień dobry oddawała, wczoło ją pocałował — spojrzał na podkomorzyńkę i głową wstrząsnął. Wstrząśnięcie to głową musiało mieć znaczenie swoje, a przynajmniej znaczenie onego podkomorzyńkę uderzyło, w sposób jej zrozumiały, odrzekła bowiem:

- I cóż!... Wszystko dobrze poszło...
- Hm... — mruknął podkomorzy.
- Ludka odegrała rolę swoją znakomicie...

Wielką, niechęć zapewne, powiedziała podkomorzyna prawdę.

— Sprawiała efekt, znajdowała się bardzo dobrze, zachowała takt... kontenta z niej jestem bardzo...

To mówiąc, uściśnęła córkę, pocałowała ją w czoło i w twarz i mówiła dalej:

— Nie jesteś już dzieckiem, moje życie... Poznajesz sama, że rodzice szczęścia twego pragną, a szczęście kobieta znajduje jedynie w zamążpójściu odpowiednim... Zazdroszczą tobie... Chorążyna poóółka; chorążanka... uważałaś?... miała w oczach wyraz taki, jakby co zgubiła... Zostaniesz księżną...

Panna Ludwika uśmiechnęła się przy wyrazach ostatnich; uważała jednak za stosowne po uśmiechu westchnąć.

— Że księżę Gotfryd nie jest sztykowny... za to tobie pod względem tym nic do zarzucenia nie ma; że nie jest dowcipnym... za to tobie na dowcipie nie brak; że pomawiają go o brak mądrości... za to ciebie o to pomawiać nie można; odebrałaś wychowanie świetne; że jest ubogim... za to, Bogu dzięki, posag twój donośnym będzie... W małżeństwie, moje dziecko, mąż

i żona stanowią jedno, dopełniają się wzajemnie... Co brak jednemu, to drugie nadstarcza... W tobie zaś, dzięki wychowaniu starannemu, taki jest zapas zalet, że gdy się niemi z księciem podzielisz, starczy na was oboje...

Podkomorzy, przez cały czas przemowy tej, kiwał głową potakująco. Przy ostatnich połowicy zaczętych słowach, uśmiechnął się. Uśmiech ten, przełożony na wyrazy, był dokończeniem myśli podkomorzyńki, znaczył:

— To jest, weźmie go za nos i będzie wodziła jak jej się podoba...

Zdaje się, że i panna Ludwika wytłumaczyła sobie tak samo myśl matczyną, albowiem i ona uśmiechnęła się, wlepiając wzrok w żupę pomidorową, w której nic ani śmiesznego ani osobliwego nie było, żeby się z niej śmiać, lub wpatrywać w nią.

— Zapewne... — prawda podkomorzyna, przenosząc łyżkę z talerza do ust — księżę Gotfryd nie nadaje się na bohatera romansu, ale... na męża... ph!...

Na pewno, trudno powiedzieć, co wykrzyknik ostatni oznaczał, zakończył się bowiem dmuchaniem w łyżkę napelnioną żupą gorącą. Nie wiadomo więc, czy był on początkiem dmuchania, czyli też określeniem kwalifikacji małżeńskich młodego narzeczonego.

Podkomorzyna wpadłszy na przedmiot tak wdzięczny, jak filozofia małżeństwa, rozwijała go przy żupie pomidorowej, przy sztukamięsie w garniturze, przy brukiewce w masle duszonej i grzankami okładanej, przy zrazach à la Nelson, przy pieczyście z kurcząt drobną kaszką nadziewanych i przy legumince, która niestety! — nie udała się kucharzowi. Leguminka z tropu ją zbiła. Horrendum! — zapadła się. Oburzyło to podkomorstwa tak dalece, że zawiazali rozmowę o kucharzu, jako o zbrodniarzu, zasługującym na wygnanie.

— Lewicki!... — rzekł podkomorzy. — Powiedz ty jemu, że mu wybaczam raz pierwszy i ostatni... Niech mi się coś podobnego powtórzy, a wyleci, jak piłka...

Panna Ludwika ani w rozmowie o filozofii małżeńskiej, ani w rozmowie o kucharzu udziału nie brała. Słuchała i milczała, a milczała dlatego zapewne, że się nagadała przed objadem. Miała ona przy sobie Weronikę — tę samą Weronikę, co ją szpilką ukłuła w momencie tak drażliwym — która po-

dwójną przy niej pełniła funkcję, była zarazem i panną służącą i powiernicą, słała jej łóżko, utrzymywała w porządku jej suknie, bieliznę i pokój, ubierała ją i rozbierała, a przytem gadała, gadała bez końca i miary. Owóż z nią się podkomorzanka rozmówiła i mogła się przy obiedzie na milezenie skazać. Weronika odpowiedziała jej jak w czasie zaręczyn wyglądała.

— Ślicznie, pannuńciu!... ślicznie!... Żeby panna wiedziała, jak się wszyscy patrzyli, to tak, że im mało oczy nie powyłaziły, jakby zjeść pannuńcię chcieli, a szczególnie ten młody pan w okularach... Okulary mu tak ino migotały do światła, a on patrzy, a on patrzy...

— A jakże tyś to wszystko widziała?...

— Jak?... ot jeszcze!... Przez okno...

— Ale, o!.. — podchwyciła podkomorzanka. — Co to za chłopczyk pod oknem stał i do szyby się twarzą niby przykleił?...

— To gdzieś ten chłopczysko, co go wczora przyprowadzili... synek starego Mędzińskiego...

— Nigdy go przedtem nie widziała i ta twarz obca mięszała mnie, gdym na okna spoglądała...

— To on, z pewnością... ciekawe to i pcha się...

— A książę młody, narzeczony mój... jakże on wyglądał?...

— Nu, jak!... uśmiechnęła się Weronika. Niczego sobie...

— Wolisz jego?... czy wolałabyś, ażeby na jego miejscu był pan Gustaw?...

— E, to co tam o tem gadać!... — machnęła dziewczyna ręką. — Co pan Gustaw to pan Gustaw, a co książę to książę...

— Gdyby pan Gustaw księciem był...

— Ba!.. Gdyby się był przynajmniej choć do panny dowiedział... po tem... jak...

— Cicho Weroniko!... — podchwyciła panna Ludwika. Nie wspominaj mi o tem nigdy... On gdyby się był raz dowiedział, toby mnie już tu nie było...

— Jak to!... Boże ty mój mocny!... A cóżby było?...

— Co?... zobaczyłabyś...

— O, Matko Przenajświętsza!... To chyba pannuńcia wyrzekłaby się pani i pana!...

— A cóż!... — odparła podkomorzanka z westchnieniem, w którym heroizm romantyczny się odbił.

— I wyprawę?!...

— Alboż myślisz, że wyprawa będzie jaka...

— Nu, a jakże!...

— Koszul kilka i kilka par pończoch bawełnianych...

— Pannuńciu serce!... co też pannuńcia powiada!... jakżeby to tak być mogło!... Taby się pan i pani wstydzili, dawać pannuńcię za księcia jednego i wyprawiać... ot... tak, aby ino z rąk zbyć... Nie mówię jeszcze, żeby pannuńcia szła za pana Gustawa... ale za księcia... hej!...

Przytoczyliśmy tę próbkę rozmowy porannej pomiędzy młodą narzeczoną a jej powiernicą, dlatego, żeby wykazać, raz, że panna Ludwika nagadała się i mogła już przy obiedzie milczenie zachowywać, powtórę, że o wyprawie myślała nie sama tylko podkomorzyna. Podkomorzyna myślała porządnie — dowód, że obdarzoną była od natury duchem ładu, przy którym, gdyby otrzymała była wychowanie przyzwoite, gdyby wpojone miała zasady dobre, mogłaby zostać wzorową kobietą-obywatelką. Ład jest potężnym w obywatelstwie czynnikiem. Przy wychowaniu złem i przy zasadach krzywych nie wytwarza on czego innego, jeno coś nakształt regestrzyka owego, który był owocem fałszywie pojętych obowiązków macierzyńsko-obywatelskich.

O wyprawie myślała nie sama tylko podkomorzyna.

Po obiedzie podkomorzy przemówił do niej w *a parte* poafnem:

— Trzebaby, moje życie, o wyprawie pomyśleć...

— Myślę... — odparła z uśmiechem.

— I pojechać... nie wiem tylko dokąd...

— Myślę i o tem...

— Do Odessy?...

Podkomorzyna skrzywiła się, jakby wzmianka o Odessie przykrość jej sprawiła.

— Więc do Berdyczowa, do Tulczyna, do Humania... bo do Krzemieńca nie ma już po co...

Wymienione powyżej miasta były to punkta, w których obywatelstwo zaopatrywało się w przedmioty zbytku. Z nich jedne wzmagaly się w znaczeniu, drugie podupadały. Human i Tulczyn trzymały się dzięki położeniu czyniącemu z nich punkta środkowe handlu w okolicy bogatej. Ratowały się jednak położeniem, i w drugiej ćwierci XIX stulecia, można jeszcze

było znaleźć w nich i artykuły zbytkowe i rzemieślników zręcznych. Świetniał Berdyczów, jako stolica handlu wewnętrznego, jako ognisko przemysłnictwa żydowskiego. Świetniała Odessa, jako port wolny, główny punkt zbytu produktów rolnych.

Odessa przeto najodpowiedniejszą była do sporządzenia wyprawy wedle rejestryka.

Podkomorzyna jednak skrzywiła się na wzmiankę o niej, a gdy mąż inne wymienił miasta, odrzekła:

— Zdaje się, że Tulczyn nam wystarczy...

Na to znów skrzywił się podkomorzy.

— Trzebaby... — słowa jego — uczciwą dać Ludce wyprawę... Potrzebne to tak dla nas samych, jak i dla oka ludzkiego...

— Nie jestem przeciwko temu... odparła pani — ale...

— Cóż ludzie powiedzą — podchwycił podkomorzy przezywając — jeżeli się dowiedzą, że wyprawa robi się w Tulczynie!...

— Powiedzą to samo, coby powiedzieli, gdyby się robiła w Odessie...

— A... nie...

— Nie nie, a tak... Cóż Odessa?... Wszystko co ma, ma z drugiej ręki, a z drugiej ręki dobrem być może rzeczy wiele, tylko nie to, o czym stanowi gust... Gdyby Ludwika była kupcówną, albo szlachcianeczką jakąś!... Olecka robiła sobie wyprawę w Odessie...

— Gdzież więc?... — zapytał podkomorzy tonem zakłopotania.

— W Tulczynie... — odpowiedziała podkomorzyna i po chwili przestanku dodała — w części... a w części w Paryżu...

Chciał podkomorzy coś na to powiedzieć, lecz go do głosu nie przypuściła.

— Takie moje zdanie, którego tobie narzucać nie myślę, zwłaszcza, że z góry jestem przekonana, iż znajdziesz je... niewłaściwem... Czyż żona rację by mieć mogła!... Ale tak: ma być wyprawa, jak powiadasz, uczciwą, niechże uczciwą będzie... a nie... to po cóż się do Odessy fatygować!... Tulczyn pod bokiem...

— Podróż do Paryża zabierze czasu dużo... — wtrącił podkomorzy.

— Niepotrzebnie mi podróż do Paryża insynuujesz... Ani o niej myślę... Jest tam przecie Lolo i pan de Lurey, do którychby się tylko napisało... To nawetby — dodała — taniej kosztowało, jak w partykularzu jakim...

— Czyż oni wybór stosowny zrobić potrafią!...

— O to nie ma co się troskać... Powiedzą tylko: *trousseau de noce* i wybór zrobi się sam... Paryscy kupcy, paryżkie modniarki i paryscy jubilerzy znają się przecie na tem... Powiem prawdę, samabym sobie nie dowierzała, gdyby mi wybierać przyszło... Ale... co tam o tem gadać!... Poprzestańmy na Tulczynie...

— Nie... — odparł podkomorzy stanowczo. — Zrób rejestryk (podkomorzyna się uśmiechnęła)... co się sprawi w Paryżu, o to trzeba do Lolo napisać; czego się zaś w Paryżu nie sprawi, po to pojedziemy do... — zawahał się — do... Odessy...

— Jak ci się podoba...

Na tem rzecz stała i rozpoczęło się przygotowanie, które wyraziło się najprzód pod postacią pisania listu do Lolo. Pisanie listu trzy dni trwało. Podkomorzyna zreagowała memorjał i dodała do takowego, w formie aneksu, długi rejestr, podzielony na kategorie: kupiecką, krawiecką, modniarską, szwacką i jubilerską. W memorjale wymienione były, zdjęte wedle przepisów zaczerpniętych w dzienniku mód, wymiary postaci podkomorzyny i podkomorzanki. Rejestr obejmował połowę większą przedmiotów, zapisanych w rejestrzyku. W liście znajdowało się *post scriptum*, a w tem uwaga następująca:

„Możem czego zapomniała, Lolu mój najdroższy; zdaje mi się jednak, że jeżeli powiesz, że to *trousseau de noce*, to tam ci powiedzą, co dodać należy. Liczę na ciebie i wyglądam cię na wesele Ludki z żywą niecierpliwością. Pamiętaj: Ludka szatynka jasna, ja zaś szatynka ciemna.“

Ostatnia ta uwaga tyczyła się doboru kolorów.

Podkomorzyna dała list ten pannie Ludwice do przeczytania z uwagą następującą:

— Może ci co na myśl przyjdzie...

Panna Ludwika czytała z bijącym sercem. Rejestr przechodził najzuchwalsze jej marzenia.

— Cóż więc?... — zapytała podkomorzyna.

— O mamol!... — była odpowiedź panny Ludwiki, która

się już bawiła rojeniem o cackach, gałgankach i wstążeczkach, mających się na jej postaci w kombinacje różne układać.

Cóż za słodkie, co za rozkoszne były te rojenia!

— Weroniko!... — mówiła do powiernicy. — Wiesz ty?... Kapeluszy dwanaście z Paryża!... rękawiczki z Paryża!... ślubna suknia cała wprost z Paryża!... O!... gdyby on mnie widział!...

— Kto on?... pan Gustaw?...

— W ślubnej sukni!...

— Ta wiedział, że ona z Paryża... A jaż nie mówiła, że państwo nie dadzą pannuńci księciu jednemu... ot... tak sobie!...

— Wiesz... — odezwała się panna Ludwika tonem zwie-
rzenia poufnego — mnie się zdawało, że mnie mama nie kocha...

— Ot, co jeszcze!... Jasna pani, żeby jak, to zawsze taki... matka...

— Ale pamiętasz, co to było?...

— Kiedy zeszła w altanie pana Gustawa, jak pannuńcę ścisnął?

— Cicho... Raz ci mówiłam, żebyś mi o tem nie wspo-
minała...

— Pannuńcaż wspomina sama...

Panna Ludwika westchnęła i po chwili milczenia zaczęła:

— Inne ubranie przed ślubem, inne do ślubu, inne po ślu-
bie, a inne kiedy już zostanę mężatką...

— Księżną... — odpowiedziała Weronika.

Panna Ludwika uśmiechnęła się rozkosznie.

W tygodni parę później, podkomorzy, podkomorzyna i pod-
komorzanka znajdowali się w Odessie.

A w Odessie... — nastąpiło tam formalne magazynów obra-
bowanie, na którym kupcy wyszli bardzo dobrze, pomimo że
podkomorzyna potargować się lubiła i umiała, i pomimo że
handlowo-przemysłowy świat odeski, z którym w styczność we-
szła, okazywał względem niej powolność nadzwyczajną, co się
cen tyczy. Kupcy zaklinali się, że odstępują jej towary za pół-
darmo, czyniąc to jedynie dla niej.

— *Pour vous, madame...* — powiadali eleganci, rozkłada-
jący materje na politurowanych stołach. — O!... gotowi jesteśmy
ofiary wszelkie ponieść...

Rzecz dziwna i na zastanowienie zasługująca: w hotelu,
po magazynach, słowem wszędzie w Odessie, tytułowano podko-
morzynę księżną.

Podkomorzynę samą tytułowano księżną.

Fakt ten w rzeczy samej, na zastanowienie zasługuje. Za
granicą — a Odessa jest zagranicą na grunt nasz sprowadzoną
— wszystkie polskie sroki za hrabiny uchodzą. Nadaje się im
tytuł ten na chybił trafił, jako nie obraźliwy dla księżn, a po-
chlebny dla nie-hrabin. Ale żeby księżną być tytułowaną, po-
trzeba do tego prawo posiadać i takowe objawić w sposób ten
lub ów — mieć, na przykład, kogo przy sobie, coby się odezwał:

— *Mais, ma princesse!*...

Objawienie podobne wystarcza, aż nadto. Tytuł idzie
w kurs i żeby się z nim rozstać, trzeba chyba z miasta uciekać.
Podkomorzynie nie przytrafiło się nic podobnego. Zkądże się to
wzięło? Ztąd chyba — z czego zresztą sekretu się nie robiło —
że córka jej za księcia wychodzi? Zastanowiło ją to mocno
i natchnęło pewnym rodzajem sympatji dla Odessy, w której
spotkała ją dystynkja, która... przyjemność niejaka jej spra-
wiała.

Życie ludzkie tyle ma goryczy w sobie, że i najdrobniejsze
przyjemności wartość swoją mają.

Nadmienić wypada, że podkomorzy opłacił przyjemność tę
grubo, i to, raz w mieście samem, drugi raz na komorze celnej,
na której słynnej pamięci Zosim Iwanowicz zrewidował karete
i bryki, narachował cła rubli srebrem tysięcy parę, pomimo to,
że część jakaś sprawunków poszła drogą kontrabandy i szczęśli-
wie się dostała do Sewerynowki.

Odessa, czy to z racji tej przyjemności, jaką podkomorzy-
nie sprawiła, czy też dla tego, że posiadała towary do gustu
jej przypadające, dostarczyła przedmiotów mnóstwo ogromne.
Na Odessie jednak nie skończyło się. I Tulczyn wziął udział
w kontrybucji weselnej. Tulczyńskie towary, tulczyńscy kra-
wcy i tulczyńskie szwaczki i hafciarki, jedne w postaci spra-
wunków, drugie w osobach własnych, przenosiły się do Ohre-
byszcz, gdzie panował ruch pracy ustawiczny, odbywający się
pod dyrekcją zwierzchnią podkomorzyny. Szyto, przymierzano,
prasowano, poprawiano, oglądano. Co chwila coś przybywało,
coś trzeba było odbierać, lub po coś posłać wypadała potrzeba.

Ciekawość przytem, matka grzechu, jak powiadają, zaostrzona wieścią o obstalunkach paryzkich, która się po okolicy rozeszła, sprowadzała do ohrebyskiego dworu gości, płci pięknej zwłaszcza, ilość niepomiarą. We dworze przeto, ciągiem jednym przez miesiące sześć, wrzało niby w kotle, podkomorzyna rozporządzała, dyrygowała; podkomorzanka... marzyła o ślubnej sukni wprost z Paryża.

XIII.

Bardzo często — częściej jak potrzeba — zdarzają się ludzie, co utrzymują, że... na wierzbie rosną gruszki. Perswaduj im, nie wierzą; pytaj o dowody, zasypią cię dowodami, sens których zawiera się w wyrazie: „wierz!“

„Miej serce i patrzaj w serce“... — jak wieszcz powiada.

„Wer reiset so spät durch Nacht und Wind?“ — opowiada wieszcz inny.

Dowodów podobnych mnóstwo występuje na zawołanie, i jeżeli się nie dał przekonać, że... na wierzbie rosną gruszki... to twoja wina.

Postawmy na miejsce gruszek ideały.

Wyrastają one nietylko na wierzbie. W obfitości ogromnej wydaje je pień ludzkości, na którym zawieszają się, zawsze jako gruszki, ale w postaciach rozmaitych. Ludzie wszystko wyidealizować potrafili. Służy do tego proceder bardzo prosty. Dość jest rzecz pospolitą, proste dopełnienie zwyczajnego obowiązku, lub też nawet postawienie się teatralne wdokonywaniu funkcji pewnych życiowych, podszyc ofiarnością, masz... ideał — bohatera lub bohaterkę w nimbie poświęcenia.

Mnie się zdaje, że gdyby nie szafowano tak hojnie ofiarnością i poświęceniem, to byłoby lepszym pełnieniem obowiązków zwyczajnych. Rzecz prosta. Przez szafowanie to, nadwiera się równowaga w regularnym ogółu pochodzie. Ideały stawiają się za wysoko — w obłokach. Człowiek pospolity, skromny zwłaszcza, nie czuje się w siłach dosięgnąć tam i zostaje w miejscu. A że w miejscu stać nie sposób, z powodu, że ruch jest czło-

wieczą właściwością, więc nie śmiąc iść naprzód, cofa się wstecz, zostawiając drogę takim tylko, co skromnością nie grzeszą.

Ileż przez to szarlatanów dostaje się na obłoczne ideału wyżyny!

Ileż to natur prostych a zacnych łamie się!

Wielką, zdaniem naszym, krzywdę ludzkości wyrządzają.. gruszki na wierzbie, przepowiadane przez wróżków, definiowane przez filozofów i opiewane przez poetów.

Radziłbym rozpatrzeć się w nich.

Na obłoczną ideału wyżynę wzniosła się panna Ludwika zenitem zaś na tej linii parabolicznej, którą przebiegała od kolebki do grobu, była chwila jej ślubu.

Tłum co ją otaczał, powtarzał pomrukiem wyraz jeden:

— Ofiara...

Szła do ołtarza krokiem chwiejnym. Nie szła — płynęła raczej, pławiła się w obłoku białym, który postać jej obwiewał od dołu do góry i leciał z nią razem.

Obłokiem tym białym była ślubna suknia, wprost z Paryża.

Białość jej miała w sobie przejrzystość jakąś, jakby tkanina przedzoną była nie przez ludzi a przez duchy, i nie ze lnu ani z jedwabiu, ani też z pajęczyny nawet, ale z promieni, bliższych następnie.

U czoła wianuszek zielony, a pod wianuszkami warkoczów grubych sploty, pod warkoczami czoło pogodne i twarzyczka wdzięczna, urokiem młodości owiana a wyrazem smutku obleczona, dalej szyja łabędzia, gors marmurowej białości, biust bogaty, kibić polotna, ramiona nagie a jakby wytoczone, z dołkami na łokciach, i ukazującą się niekiedy nóżka zgrabna w pończoszce jedwabnej i w białym atlasowym trzewiczku, wszystko to razem wzięte stanowiło efekt zachwycający.

Taką była panna młoda.

A pan młody? Bryła we fraku granatowym, w kamizelce białej, przy bukietu ślubnym i w potach.

Księżę Gotfryd potniał, pomimo mrozu, jaki święty Marcin sprowadził.

Potniał biedak, idąc na spełnienie najpierwszego w małżeńskim swoim zawodzie aktu.

Pan młody politowanie wzbudzał — politowanie jakieś nieokreślone.

T. T. Jez. T. II.

On wzbudzał politowanie, ona zachwyt.

O nim mówiono:

— Biedny...

O niej:

— Ofiara...

Stała przed ołtarzem i powiodła okiem tęsknem dokoła, zatrzymując wzrok na kolumnach kościelnych. Czegoś tak, jakby szukała. Coś jej szeptało: „Znajdziesz“. Nie znalazła nic i przez czoło jej przesunęła się leciuchna chmurka gniewu.

W romansie każdym, w którym ślub odbywa się w warunkach, podobnych do tych, jakie zbieg okoliczności w powieści niniejszej sprowadził, za jedną z kolumn kościoła znajdować się powinien odpalony kochanek. Stanowi to regułę ogólną, przyjętą przez pisarzy przyzwoitych. Sprowadzają kochanka na czas i miejsce oznaczone, choćby o mil sto, i szczęście wielkie, jeżeli mu nie każą kończyć przez odebranie sobie życia za pomocą wystrzału z pistoletu. Tak skończył Werter, tak skończył Gustaw, tak kończyć powinni Gustawowie wszyscy szanujący sztukę romansową. Panna Ludwika spodziewała się czegoś podobnego ze strony Gustawa swego. Śnił się jej nawet w noc przedślubną — krew go broczyła. Krew — Weronika sen ten wytłumaczyła:

— Będzie nowina jakaś...

Panna Ludwika przeczuwała, że nowina owa wystąpi pod postacią strasznej, okropnej, przerażającej a prawidłowej awantury romansowej; tymczasem wystąpiła ona pod tą postacią, że podkomorzanka nasza przyszła przed ołtarz podkomorzanką Kostrzewicką i odeszła od ołtarza księżną Gamajdziną.

In gratiam wesołej tej nowiny huknęły przed kościołem moidzierze.

Księżna drgnęła, szepnąwszy sama do siebie:

— Zapóźno...

Zdawało się jej, że Gustaw teraz dopiero w łeb sobie strzela. Zawahała się: zemdleć czy nie... — wystrzały atoli powtórzyły się i poznała, że są to oznaki radości, na które nie wypada mdleniem odpowiadać.

Ślub dawał ksiądz Celowicz. Z przemowy, jaką przy okazji tej do państwa młodych wystosował, ani pan młody, ani panna młoda nawet nie zasłyszeli wyrazu ani jednego. Wyrazy

lały się, jak kaskada, i jak kaskada w uszach im szumiały. Z obecnych także mało kto wiedział, co kapłan mówi, dzięki roztargnieniu, któremu podlegali wszyscy, spowodowanemu przeplechem, z jakim się ślub odbywał. Panie uwagę całą zwracały na stroje, wprost z Paryża, w jakich wystąpiły podkomorzyna i panna młoda. Panom chodziły po głowach konsyderacje różne, dotyczące się okoliczności, jakie zaślubinom tym towarzyszyły. Młodzi ludzie powiadali sobie:

— Niezła to jednak rzecz, księciem się urodzić... Książę Gotfryd, ni z mięsa, ni z pierza... nie potrzebował sobie atoli fatygi najmniejszej zadawać, ażeby dostać posażek niezły a w dodatku żonkę cacko...

Wszystkich bez wyjątku obchodziło w wysokim stopniu — zapytanie:

— Co za los ją czeka?

„Ja“ odnosiło się do panny młodej. Zajęcie, jakie ona budziła, było bardzo żywe. Wyobrażano ją sobie w tym pałacu starodawnym, samą jedną, opuszczoną, wydaną na pastwę nudom, odegrywającym w odniesieniu do duszy, rolę tę samą, co głód w odniesieniu do ciała. Pomiedzy głodem a nudami ta zachodzi różnica, że pierwszy jest chorobą biedaków, drugie chorobą bogaczów, zachodzi atoli to podobieństwo, że i głód jest złym doradcą i nudy są złym doradcą.

— Cóż ona pocznie?...

Wielki poeta twierdził, że:

„Gdy na dziewczynę zawołają: żono!.. już ją żywcem pogrzebiono...“

Wielki poeta nie twierdziłby tego, gdyby słyszał, co gadano do koła panny młodej naszej, gdyby słyszał zapytanie powyższe. Rzecz oczywista, kogo pogrzebiono, o tego niema co już troszczyć się, co on pocznie.

Troska ta umysły ogarnęła i trzymała je w nateżeniu ciękawości, która towarzyszyła weselu, przenosinom i pierwszym momentom poweselnym, zanim oswojono się z tą myślą, że panna Kostrzewicka w rzeczy samej księżną Gotfrydową została. A i potem nawet, zapytanie powyższe często ludziom na myśl przychodziło. Kolportowano powiedzenie pana Karola:

— Siostra moja, księżna, znajduje się w położeniu Zuzanny pomiędzy trzema starcami...

Czytelnik wie, kto to, pan Karol.

Pan Karol przyjechał z Paryża z zapasem *bons mots* i zajął od razu w towarzystwie stanowisko poważne koryfeusza dobrego tonu. Wystąpił w charakterze modelu towarzyskiego.

— Moja matka... matka księżnej pani... — nieinaczej się o podkomorzynie odzywał.

Podkomorzyna też — księżna w Odessie — w okolicy swojej uzyskała tytuł „matki księżnej pani”.

Podkomorzy i podkomorzyc uzyskali także tytuł odpowiedni.

Przyszło to samo przez się, jak szlachecowi owemu, który pojawiający za małżonkę wdowę po pułkowniku, pułkownikiem w obywatelstwie zamianowanym został.

Były to wszystko proste a naturalne następstwa wyjścia za mąż panny Ludwiki, a raczej, były to następstwa spełnionej przez nią ofiary — ofiary, która wzbudzała politowanie w jednych, admirację w drugich, a zadowolenie w podkomorzym, podkomorzynie i podkomorzycu.

Podkomorzy, po weselu i po przenosinach, doznał pewnego rodzaju uspokojenia wewnętrznego.

— No... — powiedział sam do siebie — skończyło się...

Podkomorzyna uczuła się jakby na piedestału.

— Matka księżnej pani... — powtarzała sobie, i wyrazy te napełniały jej duszę lubością niewysłowioną.

Podkomorzyc okazywał obojętność, w rzeczy samej atoli obojętnym nie był na efekt, jaki sprawiało to, że jest księżnej bratem rodzonym. Za granicą zdobył sobie tytuł hrabiego, i oto zdobywał tytułu onego poparcie w kraju. Nie mogło mu to nie pochlebiać.

Tak więc ofiara sprowadziła rezultaty jak najlepsze: spokój i zadowolenie.

Czy na długo?

Zapytanie to przedstawia się obosiecznie, zwracając się stroną jedną do pałacu krasinowieckiego, drugą do dworu ohrebyskiego.

Obchodzi nas przecie i księżna młoda. Cóż ona?... Cóż?.., jakże?...

Wyznać musimy, pomimo, że nie każdy nam uwierzy, że i ona zadowolenia w pierwszej chwili doznała.

W pałacu, na przyjęcie jej, zmieniło się nieco. Odnowiono

go trochę wewnątrz i przewietrzono. Wpływ usunięcia długów połowy, miejsce których zajął posag księżnej, czuć się dał tak we względzie budowlanym, jako też we względzie spiżarnianym, kuchennym i służbowym. Nastąpiły poprawki i modyfikacje niejakie. Apartamenta księżnej pani wyglądały dość świeżo i wcale ponętnie, tak, że młoda kobieta, gdy, po uciszeniu się weselnego zgiełku, znalazła się w pokoju swoim sypialnym, sam na sam z wierną swoją Weroniką, nie mogła się powściągnąć od wydania westchnienia tego, co to ulgę oznacza.

— Ach!... mój Boże!... — i zapytała: — Widziałas?...

— Wszystko, pannuńciu...

— Ja już nie pannuńcia dla ciebie...

— Ach! prawda... Dalibóg, tak zapomniałam...

— Ja księżna!... księżna pani!...

Był to krzyk próżności zadowolonej, równającej się prawie sumieniowi zaspokojonemu.

Księżna nie o tem wprawdzie niegdyś roiała, nie ten cel ukazywały jej dziewicze marzenia, ale w chwili obecnej nie uczuwała braku najmniejszego. Była panią — panią na wielką skalę — brylantem w odniesieniu towarzyskiem, oprawnym w wyprawę, sprawiającą jej pewien rodzaj zawrotu głowy, gdy pomyślała, jakie to mnóstwo cacek własność jej stanowi. To jej, jak na teraz, wystarczało. Kiedy ją rozbierały Weronika i dwie inne jeszcze panny służące, nie myślała o czem innem, jeno o ubraniu jutrzejszem. Z myślą tą do łóżka poszła. Panny odeszły. Pono została samą w komnacie obszernej. Lampka nocna niepewny rzuciła blask. Nastąpiła cisza głucha — pierwsza cisza po dniach wrzawy, po miesiącach ruchu gwałtownego i wzruszeń ustawicznych.

Księżna myślała o ubraniu jutrzejszem.

Powoli jednak myśl jej odrywać się od przedmiotu tego poczęła. Cisza ją zafrapowała. Wsłuchiwała się w ciszę i bawiło ją to zrazu. Doznawała wrażenia dziwnego, nieopisanego, które stopniowo, wychodząc z punktu zabawy, przeobrażało się i przybierało nastrój coraz to poważniejszy niby. A nastrój ten sprowadzał coś naksztaltu przerażenia, które rosło, rosło i malowało na kotarze obrazy jakieś, występujące jak cienie chińskie i przybierające kształty i rozmiary niezwykłe. Naciągnęła

kołdrę aksamitną na ramiona i zamknęła oczy. Napróżno jednak. Obrazy kreśliły się na powiekach. Cisza zaś...

— Ach, ta cisza!... — mówiła sobie w duchu.

Gdyby się świerszcz odezwał, o! z jakąby radością piosnkę jego monotonną powitała.

Cisza stała się ciężarem, który ją gniótt. Nie śmiała oczu otwierać, nie śmiała oddychać.

Skończyło się na tem, że żałować poczęła i za Ohrebyszczami i za czasem tym, kiedy księżną nie była.

Wówczas, po raz pierwszy od momentu, w którym się rozpoczęły uroczystości weselne, pomyślała o księciu, małżonku swoim. Myśl ta rozrywkę jej sprawiła. Wyobraźnia jej wzięła młodego księcia za przedmiot rozpatrywań i spostrzeżeń. Przypominała sobie szczegóły różne, sięgnęła pamięcią w przeszłość i doznała w końcu czegoś, naksztalt uczucia upokorzenia.

— Mój Boże!... — westchnęła.

Wolałaby myśleć o czem innem. Napróżno.

Nagle wydało się jej, jakby się coś ruszyło — gdzie? — gdzieś daleko w pałacu. Zdrętwiała. Oblał ją pot zimny. Zapomniała o księciu, a wyobraziło się jej coś, z czego sobie sprawy zdać nie umiała. Ruch powtórzył się. Słyszeć się dał niby chód ludzki, który jednak wnet ustał, a natomiast o słuch jej obito się niby sapnięcie, niby westchnienie. Przejął ją przestach wielki — przestach, który jej odwagi dodał. Usiadła na łóżku, kotarę odchyliła i krzyknęła:

— Weronika!...

Na okrzyk ten odpowiedziało echo. Zdawało się jej nawet, że szelest jakiś echu towarzyszy. Potem nastąpił znów cisza głucha. Księżna powiodła okiem po komnacie, oblanej półcieniem. Wydało się jej, że na krześle każdym ktoś siedzi, że wzdłuż ścian stoją jakieś postacie olbrzymie. Dzwonić poczęła w przeżeniu najwyższem.

Na odgłos dzwonienia wbiegła z panien służących jedna.

Widzenia znikły.

— Co jaśnie oświecona księżna pani rozkaże?...

— Gdzie Weronika?...

— Spi...

— Niech do mnie przyjdzie... Zbudź ją...

Panna służąca ku drzwiom się zwróciła.

— Zostań!... — zawołała księżna. — Boję się...

Panna została. Księżna się położyła i po niejakiem czasie usnęła.

Na drugą noc strachy się powtórzyły; noc trzecia upłynęła także w niepokoju ustawicznym.

Strachy jednak i niepokoje rozwiewał dzień. Księżna budziła się późno i czas cały do śniadania trawiła na ubieraniu się, które jej sprawiało rozrywkę ogromną. Co to — ubrać się, mając strojów tyle do wyboru. *Embarras du choix* występował w potęgę całej. Rozmyślała, przymierzała, zmieniała, próbowała, układała kombinacje rozmaite na sobie i to na dzień trzy razy: do śniadania strojny negliż, do objadu toaleta, na wieczór toaleta, a oprócz tego trzeba jeszcze było włożyć coś na siebie odmiennego, anizeli na śniadanie, objad i wieczór, do wysłuchania mszy w kaplicy. Przebierała się więc, ściśle licząc, razy cztery, co ją absorbowało zupełnie. Śniadania upływały w towarzystwie domowników: księżę Norbert, księżę Gotfryd, O. Korski i ona. Książęta okazywali jej grzeczność wyszukaną, pełną elegancji i nadszkalowania, co ją bawiło wielce z tego względu, że elegancja i nadszkalowania ich miały w sobie tyle komizmu, że ona, dla tego, żeby im w oczy śmiechem nie parsknąć za każdym z ich strony dowodem grzeczności, musiała przyzywać na pomoc całą ducha potęgę. Była to w rodzaju swoim rozrywka nowa, umysł jej zajmująca. Przy objedzie zdarzał się dzień w dzień prawie ktoś, do grona domowników nienależący, i ona odegrywać musiała rolę gospodyni domu — nowa rozrywka, która i na wieczór przechodziła.

W dniu przeto każdym, ani nad sobą, ani nad położeniem swoim zastanowić się czasu nie miała.

Nocami opanowywał ją strach, z którego sobie zdać sprawy nie umiała, a gdy o nim pannom służącym wspomniła, te uśmiechały się, wargi zagryzając i miny strojąc. Zmiarkowała więc, że strach ów bez racji był. Przestała się przeto bać i nocę poczęła spokojniej spędzać. I układało się wszystko dobrze, tylko, ponieważ róży nie masz bez cierni i ponieważ nie sposób, ażeby niebo było wiecznie bez chmur, pokazały się i ciernie i chmury pod postacią O. Korskiego.

Jak wiemy, książęta odbywali spowiedź regularnie, w tygodniu każdym. Od zwyczaju tego nie odstąpiliby za żadne świata

skarby, z czego wypadło, że młoda księżna musiała się do onego zastosować. Wypowiadała się raz pierwszy. O. jezuita trzymał ją długo przy konfesjonale, a gdy od takowego odeszła, miała na twarzy rumieńce, jakby powypiekane, w oczach zaś blask dziwny, jakby w źrenicach odbijała się jej zgryzota sumienia.

Coby to znaczyć miało? — nie wiemy.

Spowiedź pierwsza wielki na humor jej wywarła wpływ, i czy to w jej skutek, czy też pod naciskiem przyczyn jakich, w badanie których wdawać się nie będziemy, w obecności ludzi wpadać poczęła w zamyślenie osobliwe, w którym zatrzymywała wzrok na dostojnym małżonku swoim, i popatrzywszy na niego czas niejaki, odwracała oczy z obrzydzeniem. Nazajutrz to ustało. Po upływie dni kilku spokój sumienia jej wracał. Bawiła się strojami, bawiła gości, aż znów nadeszła spowiedź i powtórzyły się: rumieńce wypiekane, chorobliwy blask oka i okazy obrzydzenia do małżonka.

Ponawiało się to, za spowiedzią każdą, razy cztery.

Za nadejściem terminu piątego, O. Korski, wypowiadawszy księcia Norberta i księcia Gotfryda, nadaremnie czekał w konfesjonale na penitentkę, która zazwyczaj najpierwsza do kaplicy przychodziła. Książęta odmówili zadane im pokutne modlitwy i oglądali się. Nie było jej. Ksiądz czekał. Książę Norbert skinął na marszałka dworu i pocichu mu w ucho następujące włożył wyrazy:

— Zamelduj asan księżnej pani, że wielbny O. jezuita czeka ze spowiedzią...

Marszałek dworu wyszedł na palcach, po chwili powrócił, i zbliżywszy się do księcia, taką mu do ucha wyszeptał wiadomość:

— Księżnej pani w domu nie ma...

Książę Norbert zachnął się.

— Poszła do kościoła... Powiedzieć kazała, że się spowiadać będzie księdzu Celowiczowi...

Książę zachnął się powtórnie, westchnął i w książkę do nabożeństwa się zagłębił.

W chwili tej O. Korski konfesjonał opuścił; wkrótce potem mszę odprawiał ze spokojem i powagą jak zwykle. Książęta się pokomunikowali. Księżna się nie pokazała.

W dniu tym młoda kobieta nie miała ani rumieńców wy-

piekanych, ani w oczach blasku dziwnego. Przy śniadaniu w dobrym humorze i tydzień cały upłynął jej wesoło. W ciągu tygodnia tego jeździła do Ohrebyszczy, gdzie zastała osób kilka, a pomiędzy innymi pana Michała Oleckiego z Frasobłówni, opromienionego ukontentowaniem wielkim. Urodził mu się syn. Chwalił się tem przed wszystkimi, ujrawszy zaś księżnę, zawołał:

— Jakżem uszczęśliwiony!... Mogę zapytać księżnej pani, czy pozwoli prosić siebie za matkę chrzestną?... Jestem w drodze do Krasnolowic i jeżeli księżna pani pozwoli siebie prosić, pojedę, w razie przeciwnym zwrócę prośby moje gdzieindziej...

— Prosić siebie pozwalam i zaprosiny przyjmuję... — była księżny odpowiedź — i miło mi będzie pana w Krasnolowcach powitać...

— Powiadają, ażeby się dziecko zdrowo chowało, potrzeba, ażeby je do chrztu trzymało rodzeństwo, brat i siostra...

— Więc ja z Karolem?...

— W pierwszej parze, księżno pani... Obok dobrej dla syna mego wróżby, wielki to dla mnie zaszczyt...

— O! jak najchętniej... A jak mu na imię będzie?...

— Ludwik... na pamiątkę waszej książęcej mości...

— Kiedyż odbędą się chrzciny?...

Pan Michał oznaczył termin, wypadający za dwa bez czegoś tygodnie.

Księżna wróciła do Krasnolowic i wkrótce po jej powrocie nastąpił dzień spowiedzi w kaplicy. Powtórzyło się to samo, co poprzednio. O. Korski daremnie czekał, marszałek dworu chodził i powrócił z niczem, msza się odbyła, książęta się komunikowali.

Po śniadaniu, książę Gotfryd zbliżył się do żony, wyciągnął do niej rękę i zarumienił się mocno. Widocznem było, że chce coś przemówić.

— Książę?... — zapytała młoda pani.

— Ehm... pragnąłbym... Spodziewam się, że księżna... że księżna raczy... słówko... ehm... słówko...

Podał ramię. Przeszli we dwójkę do jednego z salonów, usiedli, księżna na kanapie, książę na fotelu, ale tuż obok i ten ostatni zaczął:

— Spodziewam się... wasza książęca mość... uhm...

Pot mu począł na czoło występować.

— Spodziewam się, że wasza książęca mość temu nie zaprzeczy... temu nie zaprzeczy... że... ehm... mam zaszczyt być jej małżonkiem...

Księżna zdumienia i zapytania pełnem okiem na małżonka spojrziała.

— Spodziewam się, że wasza książęca mość temu nie zaprzeczy... — powtórzył tenże.

— Ale... — odparła — ależ ja temu przeczyc ani myślę...

— Spodziewam się, że wasza książęca mość temu nie zaprzeczy...

— Ależ!.. — podchwyciła.

— ..że — ciągnął książę dalej — jako małżonkowi przysługują mi prawa małżeńskie...

Książę się przysunął i chrząknął. Księżna się odsunęła — płomień jej do twarzy uderzył.

— Przysługują mi prawa małżeńskie...

— Nie wiem... nie rozumiem... — bąkała kobieta nieco zmięszana.

— Wasza książęca mość zaprzysięgła posłuszeństwo...

Znów się młody książę przysunął; znów się młoda księżna odsunęła.

— Spodziewam się, że wasza książęca mość temu nie zaprzeczy...

Obtarł chustką czoło i kończył okres:

— że mam zaszczyt być jej małżonkiem i jako małżonkowi przysługują mi prawa małżeńskie.... Uhm.... Spodziewam się przeto... że wasza książęca mość pozwoli mi (tu znów czoło obtarł).... uhm.... pozwoli mi praw moich użyć (obtarł czoło i ręce wyciągnął)... Spodziewam się, że wasza książęca mość pozwoli mi praw moich małżeńskich użyć... i... i... po-o-po (zadyszał się, odetchnął)... powiedzieć sobie, że do spowiedzi nie chodzi...

Odetchnęła i księżna, jakby jej kamień z serca spadł.

— Spodziewam się — powtórzył książę po chwili wypoczynku — że wasza książęca mość pozwoli mi praw moich małżeńskich użyć i powiedzieć sobie, że do spowiedzi nie chodzi...

— Jak to nie chodzi!.. — zawołała tonem protestu energicznego. Jak książę możesz mi zarzut podobny czynić!..

Księżciu oczy się szeroko otworzyły. Na fizjognomję jego

wyskoczył wyraz, świadczący, że — jak to powiadają — zgubił swoją łacinę. Zapomniał języka w gębie. Młoda kobieta odgadła to wnet instynktem kobiecym. Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głowy i czekała, co dalej powie. Książę czuł, że się z czemes odezwać musi. Począł więc bąkać:

— Bo to dobrze.... księżno... tak.... ehm.... Bo ksiądz Korski... ojciec jezuita... święty człowiek... Ojciec jezuita spowiada w kaplicy...

— Ja się spowiadam w kościele parafialnym...

— Eh... jeżeli tak...

— Pan Bóg ten sam w kaplicy i w kościele...

— Jeżeli tak...

— Ja się nie będę przed księdzem Korskim spowiadała...

Ostatnie te wyrazy, z naciskiem oznaczającym wolę niezłomną wymówione, zamykały dyskusję. Inny może, na miejscu młodego księcia, postąpiłby, a przynajmniej próbowałby postawić wolę naprzeciw woli. Książę, który jak się zdaje nie z własnego działał natchnienia, nie był w stanie zdobyć się na coś podobnego. Chciał jednak coś powiedzieć. Słów znaleźć nie mógł. Znalazł atoli lży i te mu dwoma strumieniami z ocz po policzkach płynęły.

— Książę!.. — zawołała kobieta zdziwiona i zirytowana.

— Ei... he... — chustkę do ocz podniósł.

— Nie płacz... fi... — wstała...

— Nie odchódz wasza książęca mość...

Księżna zmierzyła wzrokiem małżonka na fotelu siedzącego i płaczącego, i uczuła dla niego politowanie ze wstrętem połączone. Pomyślała:

— Człowiek ten posiada do mnie prawa małżeńskie.... Człowiekowi temu zaprzysięgłam przed ołtarzem posłuszeństwo... ślubowałam mu miłość...

W głębi duszy słyszała, jakby chychot jakiś szyderski.

— Ofiara!.. on czy ja?..

Wyszła — wybiegła raczej.

Przy obiedzie zwracała uwagę na księdza Korskiego i nie dostrzegła nic, coby zdradzało, że młody książę za jego poduszczaniem upominał się o prawa swoje małżeńskie...

XIV.

„Mądrej głowie dość dwie słowie“ — powiada przysłowie. Z rozdziału poprzedniego poznał czytelnik punkt wychodni losów, jakie podkomorzyna córce zgotowała. Łatwo domysleć się następstw. Historia, czy to w zakresie państwowym, czy w rodzinnym, rozwija się logicznie, wedle jednych i tychże samych reguł. Z przyczyn wyradzają się skutki. Inaczej nie jest i być nie może. Nie mięsza się tu nic postronnego, jeno te pierwiastki, które się na rozwój składają.

Przenieśmy się do Ohrebyszczy i rozpatrzmy się nieco w punkcie wychodnim rozwoju dziejowego, jaki się tam wytworzył w skutek tak wydania podkomorzanki za księcia, jak też przyczyn innych.

Znajdujemy tam pierwiastki, rozłożone na trzy osoby: ojciec, matka i syn. Jak widzieliśmy wyżej, zapanowało wśród nich zadowolenie. Ojciec zaspokojenie znalazł pod względem wygody; matka i syn pod względem próżności.

Zadowolenie w życiu ludzkim, jest to rzecz wielka. Dojść do niego — sztuka, która, zdaniem mędrców, nie każdemu się udaje, tak dalece, że obliczywszy się dobrze, bodaj czy się nie pokaże, iż w dziejach ludzkości jeden jedyny znajduje się człowiek rzeczywiście zadowolony: Dyogenes w beczce swojej — n. b., jeżeli to prawda, że facetus ten istniał kiedy na świecie. Przypuśćmy jednak, że istniał, że w beczce mieszkał, kapustą surową się żywił i wodę zdrojową pijał, i co najwięcej, zadowalał się tem rzeczywiście. W razie takim, wyznać należy, że był to rzeczywiście wielki człowiek.

Podobnymi nieco do niego byliby znajomi nasi, podkomorzy, podkomorzyna i podkomorzyc, gdyby zadowolenie ich potrwało dłużej, jak trwa żywot motyla.

Zadowolenie ich nie było rzeczywistym — czemu? — odpowiedź łatwa: nie usuwało pragnień nowych — przeciwnie, stało się podniętą, która popychała ich naprzód, regulując popychanie wedle większej lub mniejszej żywości temperamentu.

Podkomorzyna wystąpiła najpierwsza. Kiedy bowiem, w dni parę po weselu, podkomorzy, w przystępie dobrego humoru, powiedział jej:

— No, Bogu dzięki... pozbyliśmy się nareszcie!...

— Czego?... — zapytała.

— Kłopotu...

— Aha!... odparła. — A Karol?...

— Karol mężczyzna, da sobie sam rady... o niego mnie głowa nie boli, byle tylko nie zachciało się mu do Paryża wracać, bo...

— Bo co?...

— Ohrebyszcze nie wytrzymają...

— O!... o to się nie lękam... Karol okazuje tyle rozsądku i zastanowienia, że pod tym względem, można się spuścić na niego...

— Wieszcze, co on wydał?... — przerwał podkomorzy.

— Przecie?...

— Coś około piętnastu tysięcy rubli...

— Młody chłopiec, wyrwał się w świat poraz pierwszy; pobyt dwuletni prawie... było ich przytem dwóch, to i dziwić się nie można, że zdarzył się wydatek jaki mniej potrzebny... Temu nie przeczę... Z drugiej jednak strony, wyznaj sam, czy może być *un jeune homme plus parfait, plus accompli*?... Co za elegancja!... Co za tiurniura! Odbije on wydatki te...

— A toż jak, ciekawym?... — zapytał podkomorzy.

— Zrobi partję... — odpowiedziała podkomorzyna tonem, wątpliwości najmniejszej nieprzypuszczającym. Wartość jego osobista, w połączeniu z tem, że jest szwagrem księcia, uczynia go pożądanym w oczach niejednej panny milionowej..

— Chyba że tak... hm... Bo inaczej — rzekł podkomorzy na to — byłoby, prawdę powiedziawszy, nieco krucho... Posag Ludki...

— Księżnej Gamajdziny... — poprawiła podkomorzyna.

— Posag księżnej — ciągnął podkomorzy — sprawił nam w kapitałach uszczerbek znaczny, bardzo znaczny... więc...

— Postarać się potrzeba, żeby się Lolo ożenił jak najlepiej... Ty ojciec.

— Ach!.. — przerwał podkomorzy z niecierpliwością — pozwólże, niech się po księciu wydycham... Zresztą, ja, ojciec wystarałem się o męża dla córki, wystarajże się ty, matka, o żonę dla syna...

Wyrazy ostatnie, powiedziano pół-serjo a na pół żartem nie wywołały ze strony podkomorzyny — jakby się tego spo-

dziewać należało — żadnej odpowiedzi cierpkiej. Przyjęła je po dobru, chociaż nie na serjo, dla tego zapewne, że kwestji ożenienia syna nie uważała za nagłą. Karol zaczynał rok dwudziesty trzeci i był, w mniemaniu matki, *jeune homme parfait et accompli*. Zdaniem jej, przymioty jakie go zalecały, znajdowały się w stanie rozwoju, tak, że dzień każdy wartości mu dodawał. Rozwój ten miał przed sobą kres, a do kresu tego było jeszcze daleko, lat dwanaście mniej więcej.

— Mamy czas — mówiła podkomorzyna sobie. — Mężczyzna młodym jest do lat trzydziestu pięciu.. Trafiłoby się co teraz, i owszem; nie... niepodobna, ażeby w ciągu lat dwunastu ominęła go partja dobra... Zresztą — powiadała sobie w najgłębszej ducha tajemnicy — od czegoż ja!...

Podkomorzyna liczyła na los, na syna i na siebie, spodziewając się z przymierza tego rezultatu jak najpomyślniejszego. Na siebie liczyła bezwzględnie; losowi, który tak jej dopisał w odniesieniu do córki, niedowierzać powodu nie miała; co się zaś syna tyczy, ten wzbudzał w niej zaufanie wielkie.

Nie powiemy, ażeby zaufanie podkomorzyny racji nie miało. Pan Karol posiadał zalety świetne (*qualités brillantes*). Nie umiał nic i był do niczego — i to właśnie nadawało mu wartość ogromną, tłumaczącą się w ten sposób, iż żadną miarą, wypadkiem żadnym stanąć nie mógł w szeregach klasy pracowitej. Gdyby zbieg jaki okoliczności fatalnych fortuny go pozbawił, umarłby, poszedłby kraść, a pracą by rąk nie splamił i cześci urodzonego nie skałał. Był to młodzieniec „urodzony“, w całym, jak najściślejsem wyrazu tego znaczeniu, pełen elegancji, manier, prezencji i tego przekonania, że ludzkość rozpada się na dwie klasy, na używającą i pracującą, czyli, na wyższą i niższą. Do tej ostatniej zaliczał nie chłopów tylko i rzemieślników, nie handlarzy, urzędników, oficjalistów i tych wszystkich co prywatną lub publiczną służbę pełnią, ale i wszystkich innych, którym prawa postępu niepodległość zapewniają, jako to: uczonych, artystów, pisarzy. W oczach jego wszystko to wchodziło do kategorii *engance du bas étage*. Spoglądał na zgraję tę z góry, z politowaniem i z pogardą, biorąc zupełnie za jedno, pana X., krawca, co mu fraki robił, i Michała Anioła, co posąg Mojżesza wykuł. Jednego uważał za mistrza nożyc,

drugiego za mistrza dłuta, dwojakich narzędzi, które po francusku jednym oznaczają się wyrazem.

— Cóż więc za różnica pomiędzy dwoma temi fachami!...

Takiem było jego zdanie, we względzie geniuszów. Genialnego krawca stawiał na równi z genialnym rzeźbiarzem, szewca z uczonym, rymarza z poetą, etc. Nie idzie jednak za tem, ażeby dla krawca, szewca, rymarza, dla rzeźbiarza, uczonego, poety, niegrzecznym być miał. Przeciwnie. Grzeczność uważał za obowiązek, przywiązany do zapłaty, za dodatek do kontraktu, za cechę zresztą dobrego tonu, dogodnego dla stron obydwóch.

— Grzeczność — słowa jego — inwencja doskonała... Czem dawniej była straż przyboczna z halabardami, tem dziś są uśmiechy i wyrazy do niczego niezobowiązujące... Jest to wielka zdobycz postępu nowożytnego...

Młodzieniec ten przeto posiadał, jak widzimy, zasady — i stanowiło to dobrą jego stronę, albowiem, ileż to śmiertelników, w jego zwłaszcza położeniu, posiada wszystko inne z wyjątkiem zasad!

Zasady te zachwycały podkomorzynę, napawały ją dumą — powiadała sobie w duchu:

— To moje dzieło... To ja wychowaniem Lola kierowałam...

Winszowała sobie i cieszyła się szczerze. Widziała w Lolę chlubę swoją. Wdzięczność czuła dla pana de Lurcy, którego uważała za swego pomocnika dzielnego i przebaczała nawet pannie de Maintenon, która koniec końców, nie tylko młodziana nie popsula, ale — owszem — wpłynęła na niego zbawiennie. Podkomorzyna, im więcej się zastanawiała, tembardziej tego nabierała przekonania, że Lolo winien pannie de Maintenon wiele.

— Tak, winien jej wiele — słowa podkomorzyny, figurujące w jej obrachunku sumienia. — Natchnęła go zuchwalstwem... zuchwalstwem, z którym do twarzy młodemu, dobrze wychowanemu człowiekowi... *Avec cela il devient irrésistible*...

— Mój Lolu... — odezwała się razu pewnego do syna, znalazłszy się z nim sam na sam. Mam na sercu pomysł jeden, którybym ci nasunąć chciała...

— O, mamol... — odparł młodzieniec. — Proszę nasuwać...

— Gdybyś tak... zdaleka... zawczasu... myślał o przyszłości własnej...

— O mojej?... — zapytał pan Karol tonem półzdumienia. — Przerażasz mnie, mamó... W jakimże względzie?...

— We względzie bynajmniej nie przerażającym...

— W jakimże?... wiedziećbym chciał, jeżeli wiedzieć wolno...

— Uspokój się... Pomysł mój odnosi się do ożenienia.

— Mego?...

— Twego...

— Gdybym nie był tego przekonania, że mama kochana żartuje, toby mi, z przerażenia wielkiego, włosy na głowie powstały, na przekór pomadzie i żelazku...

— Ja też... — odrzekła podkomorzyna, utrzymując rozmowę w tonie lekkim — mówię o przyszłości... o czasie dalekim...

— Chociażby... Bądź co bądź, jest to pomysł niezbyt dla mnie pochlebny...

— Czemu?... — zapytała matka.

— Odnoszę go do wyobrażenia, jakie sobie o małżeństwie urobiłem..

Matka spojrzała synowi w oczy z wyrazem zapytania.

— Dobrze, że papa nie słyszy — ciągnął młodzieniec — mogę więc otwarcie tłumaczyć... Małżeństwo dla istot rodzaju męskiego, używających najdroższego z przywilejów, o jakie rodzaj ludzki się dobija, przywileju swobody, jest to szpital, mamó kochana, do którego chronią się ci jeno, którzy już ze swobody korzystać nie są w stanie...

— Mój Lolu!... — zawołała podkomorzyna.

— Tak jest, niestety... Są to więzy, mama to przyzna... jest to jarzmo...

— No.. tak... — odrzekła matka z rozmysłem.

— Jakże człowiek, nie będąc do tego zmuszonym, człowiek swobodny, jakim ja jestem, ma dobrowolnie kark w jarzmo wkładać!...

— Nie mówię o dziś, ale o przyszłości... Przecież...

— Nie zależy to od czasu... — przerwał pan Karol. — Nasuwając mi ten pomysł, daje mi mama radę schronienia się do szpitala, czyli, zwraca mama uwagę moją na to, że, jeżeli

niedolegą dziś nie jestem, to zostać nim mogę, a raczej muszę, jutro, pojutrze, słowem kiedyś w bliższej lub dalszej przyszłości... Nie jestże to rzecz przerażająca!... Wiem, niedolegą zostać mogę dziś... to rzecz ludzka... Mogę, na przykład, tyć nagle zacząć i dojść w krótkim przeciągu czasu rozmiarów kochanego szwagra mego... Księżę Gotfryd jest przecie rówieśnikiem moim; że się więc ożenił, zrobił jak najlepiej... pochwalam mu to i z całego winszuję serca... I jaby nieomieszkał zrobić tego samego, ale... niechże pierwszej niedolegą zostanę..

— Ależ zwyczaj!... — wstrąciła podkomorzyna.

— Zwyczaj, proszę mamy... zwyczaj!... Zwyczajem Anglii jedni wojują... Zwyczaj nie jest musiem, wkładającym na wygodę stryczek i ciągnącym ją do ołtarza... Ludzkim staraniem, głównem i jedynem, jest dogadzać sobie... Czyni to, kto i jak może... Mamże się ja jeden, wbrew przekonaniu memu, z pod tego ogólnego wyłamywać prawidła, dla niczego innego, jeno dla uczynienia zadość zwyczajowi?...

— Twój ojciec jednak... — zaczęła matka.

— Dla tegoż to... — podchwycił syn przerywając — nie mówię tego przy papie... Papa dogodził sobie według swego widzi mi się... pojął mamę kochaną za małżonkę.. no... i... dogodził sobie... Jak na tem wyszedł, nie moja rzecz w to wchodzić... Przypuściwszy jednak, że wyszedł doskonale, to przykład papy, nie zobowiązuje mnie: gdyby bowiem przykłady ojców dzieci zobowiązywać miały, toby ludzkość, zamiast z postępem iść, cofała się i skończyła na tem, iżby od ojców do ojców po wzory idąc zaszła do czasów stanu natury, kiedy nie było małżeństw, ślubów, a ludzie okrywali się liśćmi figowemi... To darmo, idziemy z postępem i do niego stosować się musimy...

— Więc dobrze — odezwiała się podkomorzyna, widząc że syna przekonywać trzeba — więc ze stanu natury weszła ludzkość w stan, w którym wytworzyło się małżeństwo, oznaczające postęp...

— Małżeństwo wytworzyło się z potrzeby porządku, której ja nie przeczę bynajmniej i której naruszać nie myślę... Niech się żenia, ci co chcą i muszą... I ja się tego nie zarzekam, ale, najprzód: nie chcę, powtóre: nie mnie nie zmusza...

— Przepraszam!... — podchwyciła podkomorzyna. — Zmuszają cię względy bardzo ważne...

— Jakie, *par exemple*?...

— Względy odnoszące się do zachowania rodu.. Przekonania, jakie wypowiadasz, są powodem, że rodom znakomitym wytykają.. i słusznie... upadek, niedołężnienie... wymieranie sto-
pniowe...

— A!.. Otóż zarzut najniesłuszniejszy!.. Rody znakomite tem właśnie stoją, że wymierają...

— Paradoxs jakiś.. — bąknęła podkomorzyna.

— Przepraszam mamę kochaną... Żaden paradoks a prawnia, której mamie dowiodę... Weźmy ród jaki najznakomitszy choćby książąt Gamajdów, i przypuścimy, iżby przodek ich, ten co z Mendogiem na tury polował i przez to świetność potomstwu przekazał, miał synów dwunastu... córek nie liczę.. i każdy z synów jego miał także po dwunastu synów... Gdyby to tak szło aż do czasów naszych... proszę obliczyć, iluby to dziś książąt Gamajdów było!.. Rody znakomite w ten sposób rozrodziłyby się zbyt wiele, i rzecz naturalna, znakomitość postradaćby musiały, zalałyby kraj cały, stanęłyby do pług, do rzemiosł, do pracy... członkowie ich byłiby zdrowi i tędzy, ale wszyscy razem, w ilości milionów nie wiem ilu, nie wzbudzałiby tego interesu, nie mieliby tego znaczenia mistycznego, co napu-
chły przodków chorobami potomek ich ostatni... Całe więc rodów znakomitych zbawienie w tem, że wymierają, mamó kochaną... Opatrzność trzyma je w ten sposób... Inaczej przepadłyby... I ja... pomimo, że Kostrzewickich z Gamajdami równać nie myślę... i ja, gdybym się wcześniej ożenił i został ojcem jakiego tuzina synów, to na to chyba, ażeby potomstwo kasztelanów i wojewodów przyozdobić w tytuły ekonomów, leśniczych lub panów posesorów...

— Nie chciałabym, żebyś się żenić miał inaczej, jak z panną przynajmniej milionową... — wtrąciła podkomorzyna, poznawszy, że z synem dyskusji nie wytrzyma.

— Co do tego, zgadzam się z mamą zupełnie... Milion *minimum*, to warunek pierwszy i główny, ale w swoim czasie... Dziś, gdybym się starał, to... nie ręczę za siebie... Mogłaby mi panienska jaka głowę zawrócić i odstąpiłbym od warunku... Dziś przeto, wole, niech się inni żenią... dla mnie... dla mojej zabawy i rozrywki... Na mnie pora przyjdzie...

— O, ty bałamucie!.. — rzekła podkomorzyna w konkluzji, grożąc panu Karolowi palcem.

Nie brała ona rozumowania syna na serjo. Lolo utrzymywał rozmowę w tonie pół żartu. Z tem wszystkiem zaniepokoiła się nieco, i to z dwóch powodów; raz przypuszczała: a nuż Karol mówi, co w rzeczy samej myśli i czuje, powtóre, jeżeli mówi, co myśli i czuje, to na podawane przez niego racje odpowiedź jest niemożliwą. Nie sposób mu słuszności nie przyznać. W rozumowaniu jego tkwiła logika na cyfrach oparta, a przedstawiająca się jako dzieło wszechmądrości, która rzeczy tak a nie inaczej urządziła, w tym celu ażeby zachować urok rodów, któremu podkomorzyna podlegała niewolniczo. Syn przeto podbijał ją bronią jej własną. Przeczyć mu nie mogła; a jednakże — matka — lękać się o niego poczęła. Przyszłość jego zafrasowała ją. Z niego mógł być jeno „obywatel“, w tem znaczeniu, jakie do wyrazu tego przywiązywano wówczas powszechnie, to jest człowiek, któremu wolno było być zerem najabsolutniejszem, ale nie wolno było być ubogim. Nie miał więc on wyjścia innego, tylko, jedno z dwóch: albo posiadaną przez ojca fortunę wraz z ulokowanym na takowej matki posagiem zachować w całości, albo ożenić się bogato. Pierwsze, z powodu wychowania, jakie otrzymał, wydawało się rzeczą problematyczną, drugie, z powodu zasad, do przejścia się któremi wychowanie go poprowadziło, wydawało się także rzeczą prawie problematyczną.

Podkomorzyna — kobieta, której duch ładu poznaliśmy z rejestrzyka — znalazła się w kłopocie niemałym. Coś tam sumienie szeptało jej, ale niejasno, niewyraźnie, nie w ten sposób ażeby jej wyrzuty jakoweś czynić miało. Gdzie też! Ani przypuszczała, ażeby źródło, z którego Lolo zasady swoje zaczerpnął, było z danego mu przez nią wychowania. Ani przypuszczała tego! To też głużyła w sobie szept sumienia i na złe zdaleka zagrażające zapatrywała się w sposób dwojaki: to, jako na czczy postrach, usuwający się za pomocą staropolskiego „jakoś to będzie“, to, jako na dopust boży, do zażegnania którego potrzebną jest nieodzownie pomoc nieba. Nie spuszczając się na pierwsze, szukała ratunku w drugim. „Jak trwoga to do Boga“ — rzecz wiadoma. Wyglądało to, że chciała, ażeby Pan Bóg naprawił, co ona popsuka sama. Ona jednak kłopotów swo-

ich nie tłumaczyła sobie w ten sposób. Jest to tłumaczenie nasze, dające się zastosowywać do wszystkich w ogóle wypadków podobnych, bez względu na skalę i rodzaj takowych. Podkomorzyna ponowiła ślub pielgrzymki do Częstochowy; zamówiła mszy kilka na intencję pomyślności jej zamysłów, dała do kościoła *votum* w postaci serca gorejącego, i postanowiła sobie wyhaftować na kanwie dywanik na ołtarz Matki Boskiej, w tem przekonaniu, że Matka Boska orędowniczką jej będzie, albowiem i Ona niepokoiła się o syna swego. Na razie nic innego do czynienia nie pozostawało.

— Zdaje się na wolę bożą... — mówiła sobie. — Bóg doświadcza tych co kocha, ale ich nie karze... bo i za cóżby mnie karać miał?..

W rzeczy samej, nie było za co. Jeśli grzeszyła, to w dobrej wierze, przekonana będąc głęboko, że się zasługuje Najwyższemu. To jej otuchy dodawało, tembardziej, że zamierzyła czuwać nad synem w sposób taki, ażeby się on tego nie domyślał wcale, i kierować kroki jego na drogę obywatelstwa.

W tym względzie na męża nie liczyła wiele. Pomocy ze strony jego spodziewała się nie pierwiej, aż gdyby przyszło do czegoś stanowczego, to jest, gdyby nie pozostawało jak powiedzieć: „Pójdź i zrób to a to“ — jak to miało miejsce z wydaniem córki za męża. Do kroków przedwstępnych, do czynności przygotowawczych, do robienia rzeczy zdaleka, nie uważała go za uzdolnionego. Część tę wzięła na siebie całkowicie, i z ufnością niejaką, acz nie bez obawy, spoglądała w przyszłość, ukazującą się jej w perspektywie lat dwunastu, piętnastu, najwyżej dwudziestu. Jak widzimy przeto, naglącego nie było nic; sama jeno przezorność macierzyńska wyprzedzała czas i zastanawiała się nad następstwami, które dla syna pieczołocha ułożyć pragnęła w rodzaj pochodu tryumfalnego, prowadzącego do bezpiecznego portu obywatelskiego.

Troski te nie przeszkadzały jej w pełnieniu obowiązków gospodyni domu, znajdujących, w życiu pań naszych, wyraz swój w bawieniu gości. Jest to zabytek starej polskiej, słowiańskiej gościnności, cnoty, którą nie bardzo słusznie sobie wyłącznie przypisujemy, praktykowała się ona bowiem, bez wyjątku prawie, i gdzieindziej, w krajach zamieszkałych przez germańską i łacińską rasę, w czasach łatwiejszych życia wa-

ranków. Rzecz cała w tem, że warunki owe zachowały się u nas najdłużej. Łatwo i miło dzielić się z przybyszem, kiedy jest czem, kiedy to, „czem chata bogata“ bez wielkiego przychodzi trudu, kiedy tego, co się przed gościem zastawia, nie potrzeba od ust odejmować dzieciom zgłodniałym. Łatwą i miłą jest cnota taka. Podkomorzyna pełniła ją sumiennie, karmiąc gości nie tylko chlebem, przeistoczonym w dania wykwintne ręką kucharza w sztuce swojej biegłego, ale oraz i słowem uprzejmem, uśmiechami zaprawnem. Goście radzi zajeżdżali do ohrebyckiego domu. Dzień prawie żaden nie obchodził się bez takowych. Nie przed objadem, to po objedzie zaglądał to ten, to ów z bliższego lub dalszego sąsiedztwa; rzadka noc przemijała bez osób paru obcych, na których zawsze czekała w pogotowiu pościel gościnna. Cudzoziemcy z tego powodu domy polskie nazywają domami zajezdni. Takim był dom ohrebycki, takim fraszowiecki. Nawiasem tu powiemy, że takim nie był pałac krasinowiecki, ale to nie dziw, ze względu na życia warunki bardzo trudne, w jakich znajdowali się książęta do czasu, w którym posag podkomorzanki trudności w części znacznej pousuwał. Do czasu owego przyzwyczajono się stronić od pałacu, zagrażającego ruiną; od czasu zaś owego poczęto tam zaglądać, lecz nieśmiało, ostrożnie — na objadek — na wieczór — we frakach i toaletach, w celu złożenia hołdu mitrze, połykającej nad gładkiem czołem młodej księżnej, mówiąc inaczej a wyraźniej, przez ciekawość. Nie czuto się tam, jakby u siebie. Od książąt śmiertelny wiał chłód.

U podkomorstwa wrzało życie.

W rozdziale poprzednim wspomnieliśmy o wizycie księżnej u rodziców i o zaprosinach, jakie ją w czasie wizyty tej spotkały. Spotkało ją to wśród licznych gości grona. Było osób z tuzin, pomiędzy którymi panienek dwie na pokaz przywiezionych, z których i jedna i druga podobały się Paryżaninowi, ale ani jedna ani druga nie posiadała kwalifikacji przez pana Karola wymaganych. Miliona nie reprezentowała ani ta ani owa.

— Muszę się od nich zdala trzymać, bo ponętne... Zbliże się, jak za mąż powychodzą... — były słowa jego, gdy się o panienkach owych zgadało.

— Praktyczny z ciebie człowiek... — rzekł podkomorzy. Pan Karol przyjął zaprosiny pana Michała z ochotą wielką

i z racji zaprosin tych miał z matką rozmowę, tyczącą się pośrednio przedmiotu, poruszonego w rozmowie, w której zasady swoje wyluszczył.

— Ciesz się mnie to — mówiła podkomorzyna — że poznasz Oleckich w domowym ich pożyciu...

— *Et la raison?*.. — zapytał syn.

— Zobaczysz obraz zadowolenia w młodem stadle...

— Wyobrażam sobie obraz ten i zachwycam się nim z góry... Pani ma być bardzo dobra, jak słyszałem...

Pan Karol nie znał pani Oleckiej. Na wesele siostry zjechało się sąsiedztwo całe z wyjątkiem jej. Wypadło to w czasie, w którym pani Michałowa ludziom prezentować się nie mogła. Mąż brał w zabawach weselnych udział, ona w domu pozostawała i panu Karolowi teraz dopiero nastroczała się sposobność zabrać znajomość z młodą mężatką, o której o uszy jego odbijały się pochwały same.

— I dobra, i rozumna, i piękna... — brzmiało do koła niego.

— I żona sąsiada przyjaciela... hm... — dodawał Paryżanin, nadając wyrazom nacisk znaczący.

— I cnotliwa... — wtrącała podkomorzyna.

— Co się tego tyczy — było zdanie młodego człowieka — *cela reste à prouver*... Jeżeli to warto zachodu, to zajmiemy się tą kwestją z gorliwością, jaka się należy ze względu na stosunki przyjaźni i blizkiego sąsiedztwa...

— Miałżebyś sumienie!.. — żartowała podkomorzyna.

— Zobaczymy... To zależy... Sumienia człowiek honorowy i przyzwoity nie pozbywa się nigdy, tylko, albo je ekshibuje na widok publiczny, albo też do pularsa wkłada, i na sercu chowa... jak wypada... Ciekaw jestem poznać tę panią... *Une jeune mère*, och!... ekloga pomadowana!... Widywałem coś podobnego na teatrze; zobaczę w naturze...

Pojechał do Frasnoblówki na chrzciny. Gości huk. Pan Michał sprosił wszystkich na godzinę poranną. O jedenastej odbyła się ceremonia. Małego Ludwiczka trzymali w pierwszej parze pan Karol i księżna, w drugiej pułkownik i podkomorzyna, w trzeciej podkomorzy i pułkownikowa, w czwartej, piątej i tak dalej aż do dziesiątej czy dwunastej obywatelstwo, po obywatelstwie podstolic z kimeś i komornik z kimeś, a po

nich sześć par chłopstwa ze wsi, które po skończonej ceremonii dostało wódki po kieliszku, wypilo za zdrowie dziedzica młodego i poszło precz, obywatelstwo zaś jadło śniadanie, zapijało węgryna, jadło następnie objad i znów zapijało węgryna, jadło wieczrę i jeszcze raz zapijało węgrynem. Część pozostała na noc, część odjechała, pomimo, że uprzejme gospodarstwo nie szczędziło prośb celem zatrzymania towarzystwa całego do dnia następnego. Pomiędzy tymi co odjechali znajdowali się podkomorstwo, pan Karol i księżna. Podkomorzyna przysiadła się do karety córki; matka wysiąść miała w Ohrebyszczach, a księżna jechać dalej do Krasilowiec. Stało się jednak inaczej. W Ohrebyszczach wysiadła i młoda księżna, którą nagle kaprys napadł spędzenia nocy u rodziców.

— Papa mnie nie wypędzi, mama przyjmie?.. — zapytała.

— Moje dziecko!.. — odparł ojciec. — Ale co na to powie książę Gotfryd?.. — dodał tonem półzartobliwym.

Młoda kobieta odpowiedziała ruchem ust, który można było tłumaczyć, jak się komu podobało. Pan Karol wytłumaczył go w sposób następujący:

— Książę Gotfryd nudzi już księżną panią.... Nie dziw....

Wyrazy te, niby odkrycie, zafrapowały młodą kobietę. Spojrzała bratu w oczy wzrokiem zdziwionym, przeszła się powoli po pokoju i wpadła w zamyślenie, które przeszkodziło jej brać udział w interesującej rozmowie, jaka się pomiędzy matką a synem zawiązała. Usiadła i w milczeniu słuchała.

Matka, z umyślnym naciskiem, egzaltowała przykład, jaki pan Michał dawał.

— Czy można sobie lepiej dogodzić, jak on dogodził!.. — mówiła. — Czyż można przedstawiać doskonalszy zadowolenia obraz, jak ta para, którą Bóg dzieciątkiem obdarzył!..

— Ekonomskie zadowolenie... — odparł syn. — Winszuję im, ale nie zazdroszczę... Wszakże wyznać winienem, że pani jest *charmante*, w czepeczku ze szlarkami odrzuconemi i z bębniem na rękę... Obraz ten bardziej mnie zajął, aniżeli obraz zadowolenia... Widziałem coś podobnego na salonie w Paryżu, pędzła, jeśli się nie mylę, Delarochea.

— I nie zachęca cię to?..

— Owszem... Mam ochotę zabrać bliższą z młodą matką znajomość... W natłoku, jaki tam panował, nie mogłem tego do-

kazać, tembardziej, że absorbowała ją rola gospodyni domu... Zdaje mi się jednak, że jest stworzenie przystępne i łaskawe...

— Rozkochana w mężu... — wtrąciła podkomorzyna.

— Co też mama powiada!... Czy to sposób, w mężu być rozkochaną!...

— Jak w jakim...

— Żeby w jakim... Mąż, jest to książka od deski do deski przeczytana... W mężu kochać się może taka jeno kobieta, co umie tylko czytać z książki do nabożeństwa... Sprzeciwia się to nietylko przyzwoitości i dobremu tonowi, ale nawet, a głównie naturze rzeczy... Kochać się w mężu?... *fi done!*... Rzecz ta możliwą jest jedynie w Turcji chyba, gdzie kobiety w stanie niewolnictwa trzymają...

Księżna nie brała w rozmowie udziału. Przysłuchiwała się jej jednak z boku i notowała sobie w umyśle słowa brata, odnosząc je do siebie. Słowa te na żyzny padały grunt. Ach! i ona miała męża. Matka i brat rozmowę toczyli dalej, a ona snuć poczęła rojenia jakieś, które powoli przybierały kształty zamiarów, widoków i celów, tyjących się jej osoby własnej, ale niewyraźnych i nieokreślonych.

XV.

Śród opowiadanych w rozdziałach poprzednich wypadków, zaginęła nam postać jedna — postać chłopczyny wiejskiego — o której nie wspominaliśmy nie przez zapomnienie, a dlatego, że odgrywała ona rolę najzupełniej bierną, bez najmniejszego na rozwój zdarzeń wpływu. Co się działo, przesunęło się przed oczami Kacperka naksztalt panoramy ruchomej, o której nawet zdania wyrazić nie umiał. Kiedy go ojciec przyprowadził, miał lat dwanaście i pół. Cóż chłopię wiejskie w wieku tym może?... Zrazu, olśniony, ogłuszony, posługiwał się zaledwie zmysłami słuchu i widzenia, które mu przedstawiały przedmioty w postaci dziwadeł, wywierających na niego wrażenie silne, z którego sprawy sobie zdać nie umiał. Świat, w którym utkwiał, wydawał się mu w stanie święta ustawicznego, w stanie nastroju jakie-

goś uroczystego, nęcącego ciekawość jego w stopniu najwyższym. Obił mu się o uszy przez Lewickiego wymówiony wyraz „sierota“ — wyrazu tego nie zrozumiał. Służba spoglądała na niego z politowaniem; nie wiedział, nie domyślał się o co chodzi. Spędził dzień pierwszy — ów, w którym się zaręczyny podkomorzanki odbywały — i dzień drugi w pewnym rodzaju ekstazy, właściwej umysłem dziecinny. Na trzeci dzień zerwał się rano, w nadziei, że nowe jakieś będzie oglądał dziwa, i ze zdziwieniem niejakiem przyjął następujące przez Lewickiego wymówione wyrazy:

— Idź no ty do domu...

Wydało mu się, że go wysyłają ze dworu. Uczuł w sercu żal. Sposepniał; wnet jednak uspokoił się, usłyszawszy drugą połowę zlecenia:

— Idź i powracaj po pogrzebie...

Po pogrzebie?... po czym?... Chłopczynę to uderzyło, lecz nie zastanawiał się nad tem. Spieszo mu było pójść i powrócić. Wyskoczył z kredensu i zdwojonym krokiem udał się do chaty swojej, układając sobie w głowinie odpowiedzi, jakie będzie dawał ojcu i matce, i opowiadania, jakimi — nie wątpił — w zdumienie ich wprawi.

Na podwórku, zafrapowała go obecność pod szopą ludzi dwóch, którzy coś z deskami robili, hyblując i zbijając takowe. W miejscu tem zazwyczaj ojciec toporem majstrował. Ojca nie było. Może w polu? Podeszedł do ludzi, pozdrowił:

— Dzień dobry... pomagaj Boże, panowie majstrowie... A gdzież tato?...

Majstrowie spojrzeli na niego. Jeden nic mu nie odpowiedział, splunął tylko w garść, toporem młyńca wywinął i ciosać począł, drugi odparł:

— Idź, chłopcze, do chaty...

W sieni o słuch jego uderzył odgłos łkania głuchego.

— Kto to płacze i gdzie?...

Nastawił ucho i zmiarkować nie mógł. Wydawało się mu, jakby odgłos dochodził z poza ściany czy też z komory.

Wziął się w prawo do świetlicy, drzwi otworzył i w progu niby wryty stanął.

— Tato!...

Stary Mędziński leżał na środku izby, na tapczanie ki-

limkiem okrytym, nieruchomy, wyciągnięty, ubrany był w kaptę nową, nogi bosc, ręce na krzyż złożone, w głowach migająca płomykiem świeca z wosku żółtego.

Nieopisane jakieś przerażenie obezwładniło chłopca. Nie domyślił się niczego; nie wiedział, że stoi w obec trupa ojcowskiego; to co go zafrapowało i przeraziło, było to położenie niezwykle, w jakim ojca ujrzał. Tapczan na środku? ojciec na tapczanie? Nie zapytywał sam siebie: co to znaczy? Czekał, aż go ojciec, który miał czoło zmarszczone i oczy wpółotwarte, zapytaniem zaczepi — zapytaniem, którego w następującej spodziwiał się formie:

— Ty tu po co?...

Nie wiedział, co z sobą począć: czy wejść do izby, czy wracać. Oczy szeroko otworzył, czując się niby winowajca na gorącym schwytany uczynku. Mimowolnie układał sobie na prędce w myśli odpowiedź, mającą być tłumaczeniem na zapytanie powyższe:

— Pan Lewicki iść mi kazali...

Chciał już odpowiedzią tą zapytanie uprzedzić, kiedy usłyszał za sobą otwarcie drzwi od przeciwległej izby. Obejrzał się... Matka.

Stara Mędzińska miała twarz czerwoną i oczy nabrzmiałe. Ujrawszy syna, łzami się zalała, ręce wyciągnęła, w objęcia go pochwyliła i do siebie przyciągnęła, rzucając urywane wyrazy:

— Dziecko ty moje!... hołubczyku!... sieroto!... oczko ty moje!... soko!iku!... sieroto!...

Łzami go gorącemi oblewała.

Zapłakał i Kacperek, ale nie wiedział czego. Wyraz „sieroto“ nie tłumaczył mu nic, ani przypuszczał bowiem, aby ten w świetlicy na tapczanie leżący być miał ojcem jego umarłym.

Matka poszła z nim do przeciwległej izby, gdzie było za stołem kobiet kilka, usiadła na ławie, tuliła go i płakała.

— Taż hodi, pani Mędzińska, hodi!... — odezwała się z kobiet jedna. Oczy wypłaczecie a umarłego nie wskreszicie...

— Umarłego!... — szarpnął się chłopak i wydarł z objęć matczynych. — Kto umarł?...

— Nie widziałeś?...

— Tato!... — krzyknął.

I zwrócił się — we drzwi! — pędem przez sięń przebiegł,

do świetlicy wpadł i do bosych nóg nieboszczyka ustami przylgnął, obejmując rękami kolana.

— Tatu!... tatu!... to ja!... Tatu!... Tatu, słówko przemówcie, słówko tylko!... Tatu!... co wam!...

Nie miał wyobrażenia o istocie trupa. Niepodobieństwem się mu wydawało, ażeby ojciec nie odezwał się na wołanie jego, ażeby zamilkł na wieki.

— Tatu!... — krzyczał rozpacz głosem, skomlił niby szczenię, odrywał się od nóg, spoglądał na chuścianej białości nieboszczyka oblicze i bał się ręk jego dotykać, ażeby ojca nie rozgniewać.

Weszła matka z kobietami. Mędzińska chciała syna od trupa oderwać.

— Dajcie jemu pokój... — odezwała się z kobiet jedna. Zostawcie go, niech splanze, to mu lżej na sercu się zrobi...

Chłopczyną rady sobie dać nie mógł. Tulił się do nóg ojcowskich, zachodził się od płaczu rzewnego, aż się zmógł i na klęczki obok katafalka usunął.

Obok niego ukłękła matka.

— W imię Ojca i Syna...

Kacperek przeżegnał się machinalnie i odmówił głośno za matką „Anioł pański.“

— A światłość wiekuista ojcemu memu, Onufremu Mędzińskiemu niechaj świeci, niechaj odpoczywa na wieki wieków, amen...

— Kacperku!... — odezwała się matka głosem, któremu nadać usiłowała ton spokoju poważnego — Bóg ci ojca dał, Bóg ci go zabrał... święta wola Jego... Nie możem nic przeciwko dekretem Pańskim... Osierocieliśmy obydwójce... Och!...

Mówić dalej w stanie nie była. Ścisnęło się jej w piersi z głębokiego wzruszenia. Zaszła się. Kobiety pomogły jej wstać. Chłopiec się uspokoił, odstąpił kroków kilka, stanął, wlepił w oblicze ojca oczy, ręką się za ręką ujął i od chwili do chwili zalewał się łzami, które mu bezwiednie płynęły.

Wkrótce potem ruch na podwórku oznajmił zbliżanie się chwili pogrzebu. Dzwony się odezwały. Naród schodzić się począł. Przybył ksiądz, stanął przed ciałem z kropidłem wręku — modlitwy odmówił, pokropił. Przyszli ludzie z trumną. Mędzińską trzeba było wprowadzić — bez tego wyniesienie ciała stałoby się niemożliwem. Włożyli ciało do trumny, wiekiem przy-

kryli, wieko ówekami przybyli, trumnę na wozie położyli i kondukt pogrzebowy przez księdza poprzedzany ruszył, przy ponurem biciu w dzwony, krokiem powolnym z podwórka na cmentarz. Za trumną postępowała kobieta we łzach; obok niej szedł Kacperek i nie płakał już.

Czy Kacperkowi też zabrakło? — Nie. Płakałby gdyby zwłoki ojca widział. Zabrakło mu widoku tego i zabrakło bezpośredniej żalu przyczyny. Pomiedzy przedmiotem żalu a sercem chłopca stanęło już wspomnienie, blizkie wprowadzie, zawsze atoli wspomnienie, działalność którego stosuje się do rozumienia, będącego przywilejem starszych. Kacperek liczył lat dwanaście, jak wiemy. Stratę uczuł, lecz jej nie zrozumiał i dla tego, jak skoro rozpoczęło się dla niej wspomnienie, natychmiast żal przycichł, pozostawiając na miejscu swoim smutek roztargniony. Chłopca zajęła ceremonia pogrzebowa, przypatrywał się księdzu w ornacie, słudze kościelnemu w komeżce, świecom gasnącym, chorągwiom pochyło niesionym, przysłuchiwał się jęczeniu dzwonów i śpiewom przez nos wyciąganym. Raz tylko jeszcze jęknął z głębi piersi i uczuł serca ściśnienie, gdy trumnę w dół spuszczano i posypały się na nią grudki ziemi. Uspokoił się jednak, gdy ksiądz go po głowie pogłaskał i łaskawem do niego słowem przemówił:

— No, nie ma co... Pomódl się do Pana Boga i wiedz o tem, że Bóg nad sierotami czuwa..

Chłopiec księdza w rękę pocałował.

— Widziałem ciebie, jeżeli się nie mylę, we dworze?...

Był to proboszcz, ksiądz Celowicz.

— Tak jest, proszę księdza dobrodzieja.. — odpowiedział Kacperek.

— Co tam robisz?...

— A nic... to jest... nie wiem...

— Służysz.. czy dawno?...

— Tato zaprowadzili mnie pozawczora...

— W dniu śmierci swojej... Otóż widzisz... zrzadzenie

Opatrzności... Ojciec przeczuwał, że zbraknie ci opieki jego i oddał cię pod opiekę pana podkomorzego... Szanujże się, słuchaj, odmawiaj pacierz rano i wieczór i pamiętaj, że masz ojca co się za ciebie u pana Boga wstawia... Kiedyż do dworu wracasz?...

— Kazali mi przychodzić po pogrzebie...

— Idźże i niech cię Bóg ma w opiece swojej...

Pogłaskał chłopca ksiądz jeszcze raz i ze cmentarza odszedł. Ludzie się rozchodzili.

Grabarze kończyli sypać mogiłę, przed którą klęczała Mędzińska. Przy Mędzińskiej stały sąsiadki, przypominając jej, że pora iść, bo goście na stypę czekają. Mędzińska głuchą się na przedstawienia te okazywała.

— Ta chodźcie już!... dosyć tego!... — przemawiała jedna — Nie napłakaliście się, czy co!... Oczy wam popodpuchały...

— Nie to już nie pomoże... mówiła druga. — Jak tylko dobrodziej grób przypieczetował, to już nie ma co... Nie wstanie, choćby żywego do grobu włożyli..

Pierwsza mrugnęła na drugą i rzekła półgłosem, ale nie pod sekretem:

— Co do tego, kto wie... Może i wstanie... Umarł bez spowiedzi... a nieboszczyk, podobno, nie bardzo tam się od nieczystego odwracał...

— Ono to tak... — odparła druga. — Mój powiada, że miał z nim kontrakt, co się tyczy strzelania, i że według kontraktu nieczysty po duszę przyszedł...

— Toż tembardziej nie wypada — tu oczami na Mędzińską, nad głową której rozmowa ta się toczyła, wskazała — grobu jego pilnować... Chodźcie już!... he!... pani Mędzińska...

Mędzińska nie słuchała.

— Ta bo to już i wstyd nakoniec... Ludzie czekają.. Barszcz się przegotuje...

— Litość miejcie — dodała druga — nad chłopcem waszym, który stoi czeka..

— Chłopiec mój!... — zawołała kobieta, zrywając się nagle. — Chłopiec mój!... Synu!... czcij ty pamięć ojca i nie dawaj wiary temu, co ludzie będą gadali... Chodźmy...

Pochwyciła Kacperka za rękę i poprowadziła go do osierociałej chaty, w której uczynne sąsiadki stoły zastawiały dla zgromadzonych na podwórku pogrzebowych gości. Zebracy stali przed progiem, czekając na grosze i knysze.

Przybycie Mędzińskiej stało się hasłem rozpoczęcia uczty.

Starsi przemawiali do niej słowem pociechy. Niektórzy żartami strzelali. Ten i ów zaśmiał się głośno. Ona nie zważała ani na jednych, ani na drugich, ani na trzecich — smutną była; przez cały czas uczyt oka z syna nie spuszczała i często go do piersi tuliła.

Pod koniec stypy Kacperek okazywać zaczął niespokojność, tak, że go matka zapytała:

— Co tobie?...

— To, że mi już pora powracać... — odpowiedział chłopak, udając powagę człowieka słusznego.

— Dokąd?...

— Do dworu, mamó...

— Co!... ty do dworu?...

— A jakże... taki przykaz...

— Ty mnie w chacie zostawisz samą?...

— Chłopak ramionami ścisnął i powtórzył:

— Taki przykaz... Przykazano...

— Biednaż główka moja!... A toć ja, zdaje się, mam do ciebie prawo największe...

— I pan Lewicki i ksiądz proboszcz...

— Co pan Lewicki?... co ksiądz proboszcz?...

— Przekazali, taj tyle... Trzeba wracać... Mam tylko pozwolenstwo na pogrzeb...

Jeden z sąsiadów, wiekiem poważny, zasłyszawszy sprzeczkę pomiędzy matką a synem, zacheiał dowiedzieć się o powodzie takowej; wysłuchał stron obydwóch, głową pokiwał i zadecydował:

— Nie ma co.. Zważywszy, co idzie od tego a co idzie do tego, wypada, że musi być tak a nie inaczej...

— Po mojemu?... — podchwyciła Mędzińska.

— Hm?... po waszemu?... A jak was z chaty wyrzucą?... Nie lepiejże to dla syna zachować gniazdo, w którym się ojcowie jego rodzili i umierali?...

Mędzińska nic już na to nie odpowiedziała, tylko chłopca przytuliła, zapłakała, uścisnęła, w czoło go pocałowała i sama mu do ucha szepnęła:

— Idź już... idź, złoto moje... Będę ja dla ciebie trzymała grunt i chatę... Bóg da, kiedyś ty powrócisz do gniazda... a tylko miej pamięć na ojca...

Kacperek, zdaje się, na to czekał jeno. Pożegnał matkę, która mu krzyżem błogosławieństwa głowę osłoniła, pożegnał gości i ruszył do dworu. We wrotach podwórca dworskiego, puściły mu się łyzy obfite. Była to reminiscencja żalu — płakał i bramy przekraczać nie śmiał; żal powstrzymywał go na zewnątrz, powinność służbowa w połączeniu z ciekawością dziewczinną, która mu dwór nakształt zamku zaczarowanego przedstawiała, pchała go do środka. Ludzie przechodzili mimo, nikt nie zważał na chłopca płaczącego, stojącego pod sztaketami podwórzec otaczającymi. Aż się trafiła dziewczyna w podskokach wybiegająca z oficy ze skopcem w rękę. Biegła i podskakiwała, w oczach miała śmiech pusty, na ustach piosenkę wesołą. Kiedy się za bramą znalazła, rzuciła okiem i nagle, jakby paraliżem ruszona, stanęła jak wryta. Oczy jej piwne przylgnęły niejako do Kacperka, wyrażając nie współczucie a zdumienie, jakby niezwykłym był dla niej widok, jaki w tej chwili chłopiec przedstawiał, jakby mówiły: „rzecz osobliwa, ażeby ktoś mógł płakać, podczas kiedy ja wesoła!...” Wprędce jednak wyraz ten ze źrenic jej ustąpił i miejsce jego zajęło współczucie, wzrastające tak szybko, że wnet i jej z za powiek łyzy trysnęły. Zmiana ta nagle wprawiała w podziwienie Kacperka. Widział ją przed chwilą wesołą, podskakującą, śpiewającą. Chłopcu łyzy oschły, wlepił oczy w dziewczynę i po chwili zapytał:

— Czegóż ty?...

— A ty czego?... — była odpowiedź dziewczęcia, łyzy rękawem od koszuli ocierającego.

— Ja... ja sierota...

— Alboż ja nie!... toć i ja sierota...

I, jakby nagle przyszło jej na myśl przypomnienie jakiegoś, zwróciła się i odeszła.

Kacperek udał się do dworu, zajmując w kredensie stanowisko swoje, które opuścił na moment dla pogrzebu ojca, a którego zdefiniować nie umiał: Czem był? co do niego należało? jaką funkcję pełnił? — były to wszystko zapytania bez możliwej odpowiedzi. Był wszystkim i niczem. Lokaje się nim posługiwali, niby terminatorem wrzemiośle, służył im jako posyłka do pobiegów rozmaitych i powoli urobiło się dla niego jedno zajęcie obowiązkowe, czyszczenia butów poranku każdego. Wzawiaństwo jego dostały się szuwaks i szczotki. Czyścił buty

pańskie i lokajskie, co mu zrazu szło z trudnością i parę godzin czasu zabierało, w czym jednak nabył z czasem wprawy tak wielkiej, że mógłby iść o lepsze z cesarzem Ferdynandem austriackim, który, jak wiadomo, oddawał się zajęciu temu z namyślnym zamiłowaniem. Kacperek zamiłowania nie czuł. Nabył atoli wprawy wielkiej i załatwiał się prędko, doszedł sam sposobu wydobywania glancu ze skóry za pomocą chuchania i kończył w duch robotę poranną, nie wiedząc co mu w ciągu dnia robić wypadnie. Z czasem jednak i pod tym ostatnim względem rzecz się ułożyła i uregulowała sama przez się. Wpadło mu w ręce przecieranie talerzy, zajęcie, które się powtarzało trzy razy dziennie i zajmowało czasu tyle, co śniadanie, obiad i wieczerza. Po za zajęciem tem funkcje jego rozciągały się do wszystkiego i do niczego, najbardziej zaś do tego, ażeby, na wypadek, gdyby kto z państwa, w którejkolwiek dnia porze, zapytał przeze drzwi: „Jest tam kto?“, zawsze w kredensie było komu odpowiedzieć:

— Jest, proszę jasnie pana (lub jasnej pani)!..

Kacperek przeto, jak widzimy, bynajmniej pracą przeciążonym nie był. Przy zajęciu ustawicznym pracy właściwej nie miał. Cóż to bowiem za praca: czyścić buty i przecierać talerze! Prędko się z nią oswoił, i dzięki sprytowi, jakim go natura obdarzyła, nabył biegłości w fachu, którego określenie pozostawało dla niego tajemnicą, a który w ten wyrażał się sposób, że przyjął lokajskie maniery, lokajski akcent i lokajską butę, że jednym słowem został lokajczukiem w przeciągu czasu stosunkowo bardzo krótkiego. Na weselu podkomorzanki, które wypadło w sześć miesięcy po zainstalowaniu się jego w kredensie, pełnił już służbę swoją wybornie, był zwinny, usługny i pamiętający o sobie. Pod tym ostatnim względem czynił postępy o ile szybkie, o tyle zadziwiające. Polizanki talerzy, ściąganie z półmisek kasek smacznych i wypijanie resztek z kieliszków szło mu tak gładko, jakby w życiu swoim niczego nie robił innego; praktykował tę rzecz po mistrzowsku i osiągnął ztąd dwie korzyści, z których jedna objawiała się na jego stronie fizycznej, druga na moralnej. Co do pierwszej, tłuszczał, zaokrąglał się i wyrastał; co się zaś drugiej tyczy, przejmował się tem samolubstwem — że je tak nazwiemy — rodzajowem, co to z panów przechodząc na lokai, przetwarza się w tych osta-

tnich w dumę, stanowiącą właściwość charakterystyczną całej klasy służebnej, zaczynając od stopni onej najwyższych, od lokai zamieszkujących w pałacach i jeżdżących w karetach. Przejmował się tem, zapatrując się na wzory, jakie miał przed oczami, na starszych swoich w rzemiośle, którzy go sposobów nau czali, na pana, który mu przyświecał jako model źródłowy, na panicza zresztą, który, po powrocie z Paryża, wniósł w ogni sko. jakim był dwór ohrebyski, akcent dobrego tonu, zaszcze piony na pniu filozofii, stawiającej własne „ja“, jako oś ruchu wszelakiego, odbywającego się w łonie społeczeństwa.

Panowie ani się domyślają, jaką oni rolę odgrywają w odniesieniu do sług. Niewiedomość grzechu nie czyni — rzecz pewna. Naiwność jednak, z niewiedomości płynąca, wzbudza podziw, od którego powstrzymać się nie sposób, czytając nieraz pojawiające się w pismach publicznych narzekania panów na sługi. Są to, w istocie rzeczy, nie narzekania a oskarżanie samych siebie. Dla czego sługi złe? dla niczego innego, jeno dla tego, że nie mają w panach przykładów dobrych. To idzie jedno za drugim, jak idzie cień za człowiekiem. W sługach, niby w zwierciadle, odbija się wartość panów. „Jaki pan, taki kram.“

Służba ohrebyska nie przynosiła wielkiego podkomorstwu zaszczytu. Lokaje pędzili czas w próżniactwie, drzemiąc w przedpokoju, zabawiając się w karty lub też zawiązując w praczkarni, w piekarni i w garderobie stosunki niekoniecznie odpowiadające prawidłom moralności, której pozory państwo przestrzegało. Pozory jednak istniały nie dla nich. Lokaje znali spód karty, wiedzieli o tajemnicach rozmaitych i sami się według takowych modelowali. Tajemnice te wkrótce i dla Kacperka straciły urok tajemniczości. Jasny pan przedstawił się mu ze strony ciemnej; jasny panicz wystąpił w oczach jego nago, w miarę jak wzrastał, oczy otwierały się mu coraz to bardziej i bardziej na znikomość cnoty człowieczej, świecącej dla oka a nieistniejącej w rzeczywistości.

Chłopiec jednak miał, we dworze samym, przeszkodę jedną w dojściu na tej drodze do szczybla doskonałości skończonej.

Przeszkoda ta rzuciła mu się pod nogi przypadkowo.

Wystąpiła ona pod postacią dziewczyny owej, co nad nim zapłakała.

Cóż to była za jedna? Prosta dziewczyna — sierota jakaś, jak sama to powiedziała, umieszczona w praczkarni, dla tego może, że nie ściągnęła na siebie łaskawego pani podkomorzyny oka, a może też dla tego, że wiek jej nie nadawał się do zrobienia z niej użytku innego. Nie starsza, a jeżeli młodsza, to nie o wiele od Kacperka, nie mogłaby w garderobie figurować. I u praczki odgrywała ona rolę dodatku, bez którego obejść się można. Dziewki starsze posługiwały się nią, jak Kacperkiem lokaje, służyła do utrzymywania ognia pod kotłem, do nasypywania popiołu do zolnicy, do składania bielizny, do pobiegów zresztą, popychano ją to tu, to owdzie i lubiono ją z powodu dziwnie wesołego humoru, który jej nigdy prawie nie opuszczał. Wciąż dziewczę to śmiało się i śpiewało, niby ptaszek, którego natura tak usposobiła. Płaczącej nie widziano jej nigdy i może pierwszy raz w życiu zapłakać jej się trafiło wówczas, kiedy się z Kacperkiem w bramie dworskiej spotkała.

Kacperka to zdziwiło i ją to zdziwiło.

Plakała, bo jej się serce ścisnęło — czemu?... Kacperek jej to wytłumaczył. Od niego dopiero dowiedziała się o sieroctwie swoim.

Dowiedziała się o tem i wraz uczuła jakiś rodzaj pociągu sympatycznego do chłopczyny, którego łyzy jej łyzy wycisnęły. Pogarnęła się do niego uczuciem siostrzanem, gotowem biedz ze słowem pociechy.

Tego samego jeszcze dnia zeszła się z nim — spotkali się, stanęli jedno przed drugim, popatrzyli na siebie i rozeszli się. To samo zdarzyło się w dni parę później i powtórzyło się następnie razy kilka. Dziewczyna szukała chłopca, a nie śmiała zaczepić go. Kacperek nie unikał dziewczyny, a nie wiedział, co by powiedzieć jej. Lody te jednak tego były rodzaju, że przełamać się kiedyś musiały. Jakoż przełamały się w miesiąc jakoś po pierwszym spotkaniu. Kacperek, odbywając swój nowicjat lokajczukowski, męczył się poranka pewnego nad kupą obuwia zabłoconego. Dziewczyna przyszła, stanęła przed nim i ręce na pierśsiach skrzyżowała. Działo się to pod wystawą w oficynach. Świadkiem tej sceny był stary pies legawy, który siedząc na tylnych łapach, patrzył poważnie przed siebie i muchy łapał, co mu na nosie siadały. Kacperek się pocił, głowę przekrzywiał i

na szczotkę spluwał, machając ręką z przyciskiem, wreszcie odezwał się do dziewczyny:

— Nie pomogłabyś ty mi?...

— Czemu nie!... — odparła zagabnięta.

— Masz tam drewienko i szczotkę od błota...

Dziewczyna wzięła się ochoczo do roboty. Nie szło to jej jednak. Kacperek ją nauczył:

— Najprzód drewienkiem oskrób, a potem szczotką wychędoż...

I rozpoczęła się robota we dwójkę.

— O, widzisz... rzekł chłopiec. Nie mogłabyś ty wyjść tak co rano i dopomóż mi trochę?...

— Czemu nie...

— A jak tobie?...

— Kaśka...

— Służysz we dworze?...

— Niby to... Trzymają mnie do bielizny...

— Bo ja służę... w kredensie... — rzekł Kacperek z akcentem dumy.

— A tobie jak?... — zapytała dziewczyna.

— Nazywają mnie Kacperkiem, ale ja jestem Kacper Mędziński... ot co...

Splunął w szczotkę i zaczął szuwaksem czernić oczyszczony z błota but Lewickiego.

— Ta czego ty płakała wtenczas?...

— Jak czego?... Ot tak sobie...

— Bo co ja, to miałem czego...

Chłopiec westchnął.

Dziewczyna z głębokiem spólcuciem w oczy mu spojrzała.

— Czy i tobie umarł ojciec?...

— Ja nie wiem...

— Mówiłaś przecie, żeś sierota?...

— Sierota...

— Więc ci ojciec umrzeć musiał, tak jak mnie...

Dziewczyna nic na to nie odrzekła. Robota, podjęta przez nich oboje, wkrótce się skończyła. Rozeszli się.

W dniu następnym zeszli się znów. I tak dzień po dniu. Kacperek znalazł w Kaśce nie tylko pomocnicę, ale i towarzyszkę, która z nim do gawędki stawiała. Był to dla niego wyn...

lazeł ogromnej wartości. Lokaje nie raczyli z nim w rozmowy się wdawać, służba rodzaju niewieściego toż samo, wszyscy się nim posługiwali, jako smarkaczem, jedna ona, usługę mu oddając, oddawała ją podwójnie: i pomagała i rozmawiała. Z jedną nią chłopczyzna mógł pogadać. Jedna ona, we dworze ludnym, była istotą, przed którą mógł się wynurzyć, zwierzyć, niekiedy nawet pożalić; względem jej jednej, biorąc rzecz na odwrót, stawał w charakterze powiernika i doradcy. W ten sposób, na drodze realizmu najgrubszego, bo przy czyszczeniu obuwia, obudził się pomiędzy nimi i utrwalił stosunek wzajemnej życzliwości i wzajemnego zaufania, stosunek, który nazwalibyśmy zaraniem miłości, gdybyśmy się nie obawiali surowości Zoilów, gotowych autorstwo nasze spiorunować za to, że się ośmielamy miłość, to najwznioślejsze, to najpiękniejsze uczucie, to w idealnym względzie cacko, przez mistrzów słowa wychuchane, przez starożytnych ubóstwiane, przez świat nowy do potęgi światowładnej podniesione, żeśmy ośmielili się uczucie to wyprowadzać z... czyszczenia butów. Dla tego też nie nazywamy go miłością, ale wyraźnie stosunkiem wzajemnej życzliwości i wzajemnego zaufania, jaki się niechący zawiązał pomiędzy dwojgiem sierót, wplecionych w ruch, odbywający się na dworze podkomorstwa. Kacperek i Kaśka wykierowali się na brata i siostrę, podrastających i rozwijających się razem, chociaż nie pod dachem jednym. Kacperek przebywał we dworze, Kaśka chowała się w praczkarni. Schodzili się jednak, zawsze rano, a często i w innej dnia porze. Często Kacperek wetknął Kaśce przysmak jakiś, dla niej umyślnie zachowany. Niekiedy pokazywał jej na elementarzu litery, których po trzy od czasu do czasu Lewicki mu zadawał.

Stosunek ten, aczkolwiek było w nim nieco do zarzucenia, na przykład, przysmaki owe, które w sposób nieregularny dostawały się do rąk Kacperka, był jednak dla niego puklerzem przeciwko wygórowaniu lokajskiego samolubstwa. O kimeś myślał, z kimeś się dzielił, znajdował się ktoś, co go obchodziło i do kogo gabrał się z życzliwością, nie myśląc wyłącznie, jak ludzie z jego kategorii, o dogodzeniu dwóm rzeczom: fantazjom pańskim i widokom własnym. Nad sierotą czuwała sierota. Wywiązywało się z tego dobro jakieś obustronne, którego ziarno, zaronione w dwie dusze, kiełkowało korzyścią moralną, podobną do promienia słonecznego, wciskającego się do podziemia więziennego przez

szczelinę we drzwiach, której stróż zatkać zaniedbał. Chłopiec nie dla samego tylko siebie żył w sferze, w której nikt nie żył inaczej.

Jedno jeszcze dodać musimy, dla scharakteryzowania puklerzowego stosunku Kacperka. Może kto, czytając słowa powyższe, powie:

— Musiała ta Kaśka być dziewczęciem ponętne, jak to zdarzają się Kaśki na tym świecie, na które patrząc, człek ślinę polyka...

Nie. Była to dziewczyna... ot sobie, ni ładna, ni brzydka, i posiadała wadę jedną, której tajemnicą okrywać się nie godzi. Mając do czynienia z wodą i z mydłem, miała do wody i do mydła wstręt; mając do czynienia z popiołem, miała wstręt i do popiołu. Z podwójnego wstrętu tego to wynikało, że woda i popiół — ta odbryzgami, ten osadem — mściły się na jej postaci, która też z tego powodu była wiecznie ucentkowaną od góry do dołu, oblicza nie wyłączając. Gdyby przeto podobieństwo postaci i rysy oblicza zbliżały ją do Afrodyty greckiej, to w warunkach takich ponętą być nie mogła. Ponętność więc jej cała tkwiła, że się tak wyrazimy, wewnątrz, w niej, w jej duszy, w jej siroctwie, w tym mianowniku wspólnym, co związał węzłem — nie miłości (wyrazu tego użyć nie ośmielam się) — węzłem, mniejsza o to jakim, dzieci dwoje, wyłączył je z tłumu egoistów i kazał im trzymać się razem.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

I.

Znałem czasu onego pewnego literata chybionego, zamieszkującego te właśnie okolice, które służą za teatr powieści naszej. Literat ów nie pisywał ani dramatów, ani powieści, ani rozpraw żadnych mniej więcej filozoficznych, ani krytyk, ani wierszy nawet. Miał żylkę do pamiętników, sprawił sobie księgę dużą *in folio* i postanowił napisać w niej coś dnia każdego. Miał się trzymać tej reguły pracowników pióra: *nulla dies sine linea*. Księga ta miała być żywą księgą wypadków powszednich, zdarzonych za życia literata, miała być wiernym obrazem życia domowego. Znajomy mój marzył o sławie latopisca strzechy wiejskiej. Wziął się do dzieła szczerze, gorliwie. Pisał. Oglądałem tę księgę w lat piętnaście od narodzenia się jej. Pierwszy rok dostarczył materiału obfitego, zajął kart z piętnaście bitem pismem, drugi coś około dziesięciu, trzeci dwie i pół, od czwartego zaś zaczynał się czysty papier i siedł przez wszystkie lata następne.

— Zaniechałeś kolego... — rzekłem, widząc to.

— Musiałem... Powtarzać się nie chciałem... W każdym roku powracało jedno i to samo z regularnością kalendarzową...

Wyrażenie to „regularność kalendarzowa” przyszło mi na myśl, gdym się zastanawiał nad dalszym opowiadania niniejszego rozwojem. Zadałem sobie pytanie jak je prowadzić? — czy chronologicznie, czyli też jakoś inaczej? Chronologiczność wepchnęłaby powieść w formy kalendarzowe, wielce szanowne, ale nie wiem dlaczego wstętne. Odrzucam więc je, a chwytam się sposobu „jakiegoś innego”, i zadając gwałt czasowi i przestrzeni, wprowadzam czytelnika do izdebki, mającej, w powieści

niniejszej, charakter niespodziankowy, a to z tego powodu, że nie przypada ona do miary sielskości, z której opowiadanie nasze dotychczas nie wychodziło.

Szczupła i brudna. Ściany po mularsku wyprawne, wapnem osmarowane, lecz i z boków i na suficie oznaczone plamami wyprawy poodpadałej. Okno jedno ośmioszybowe i drzwi jedne noszące na sobie świadectwo staranności roboty stolarskiej, ale obdrapane i powalane. Podłoga powygniataha, postrzępiona i powypalana. Pod jedną ze ścian piecyk żelazny z rurą w okno wyprowadzoną, pod drugą łóżko, pod oknem stolik z szufladką, dwa stołki, trochę naczyń, skrzynka w kącie, wszystkie proste i ubogie, oto meble i sprzęty, jakie izdebkę tę zapełniały, pozostawiając, mimo szczupłości, miejsca swobodnego dosyć. W chwili, w której czytelnika do niej wprowadzam, rozpatrzyć się w niej nie sposób, albowiem na dworze słońce zaszło od godziny już przeszło i zalewa ją ciemność zupełna prawie. pochodząca nie tyle od ciemności niebieskiej, ile od wznoszących się za oknem murów wysokich, zasłaniających niebo. Ztąd sprawia ona efekt więzienny. Posępno w niej i chłodno, pomimo lato upalne. Rozpatrując się atoli w ciemnościach uważnie, widzieć się daje osobliwość jedna, nasuwająca się w rodzaju niespodzianki: postać ludzka, siedząca na łóżku — postać kobieca z dzieciątkiem na kolanach. Dziecko kwili od czasu do czasu, wówczas kobieta nogą kiwa i uspokoić je się stara za pomocą śpiewu naśladującego szypienie:

— Sz sz-sz-sz.

Gdy to nie pomaga, piersią mu usteczka zatyka.

I nie rusza się z siedzenia swego. Gdyby nie owo „sz-sz-sz“ i nie kiwanie nogą, rzekłbyś, że to manekin, naśladujący kształty człowieka.

Razy parę westchnęła głęboko.

Coraz to ciemniej, czas mija, kobieta nie rusza się, jakby ślubowała sobie niezmienną pozycję na łóżku. W izdebce cisza, przerywana niekiedy kwileniem dzieciątka i szypiącym śpiewem matki, za izdebką zaś gwar głuchy, podobny do gwaru wielkomiejskiego, składającego się ze zgiełku ludzi i turkotu pojazdów na bruku. A i z pobliza, z poza ścian izdebki, dochodzą odgłosy, to rozmów, to śmiechów, to znów stąpania ludzkiego

jakby po schodach, przesuwającego się niekiedy tuż obok drzwi zamkniętych.

Jedno ze stąpań zatrzymało się przed progiem, klamka zaszeleściła, drzwi się otworzyły, do izdebki wszedł mężczyzna i zapytał:

— Jest tu kto?...

— Któżby miał być, jak nie ja!... — odpowiedziała kobieta.

— Czemuż nie zapaliłaś światła?...

— Jakiego?... Z wczorajszego ogarka nie zostało nic, a gdyby i ogarek pozostał, to zapalek nie ma...

Mężczyzna nie na to nie odrzekł. Postąpił kroków kilka, drzwi nie zamykając, coś na stoliku położył, coś na jeden ze stołków rzucił, obok piecyka cisnął wiązaną drzewek i wyszedł.

Kobieta nie ruszyła się, tylko sobie pod nosem powiedziała:

— Drzwi otworem zostawił...

Słowa te nie miały akcentu wymówki, konstatowały jeno fakt.

Mężczyzna niebawem powrócił, drzwi zamknął i wnet o ścianę siarnik zapalił. Zabłyśczało światło, zrazu jasne od fosforu, następnie sinawe, niepewne od siarki i zgaśło.

— A!... — krzyknął mężczyzna z przyciskiem. Jeszcze dwa... Jeżeli i te dwa takie dobre jak ten jeden, to... chyba... siadaj i płacz...

— A świeca?... — zapytała kobieta.

— Świeca jest... Kupiłem... Ale mi już nie starczyło na paczkę siarników... Żądałem kilka w dodatku; dał mi kramarz trzy, ale ot jakich!... Cóż teraz?...

— Próbować... — odparła kobieta spokojnie.

— Próbować... powiadasz... A jeżeli się próba nie uda?...

— Nie będzie ciemniej jak jest...

— I to prawda... Ha!...

I z ostrożnością wielką pociągać zaczął zapalną po ścianie, zrazu zlekka, następnie coraz to mocniej, aż płomyk błysnął, fosfor się spalił, siarka zajęła, mężczyzna do płomyka knot przyłożył i ogieniek zgaśł.

— Psiawiaro!... — zawołał zapalacz nieszczęśliwy. — Jak ten jeden jeszcze zawiedzie!...

— To po ciemku zostaniemy... — rzekła kobieta.
 — Zapewne... Tylko że ja tam przyniosłam skombrję jedną, cebul dwie, soli przygarść i chleba bochenek, a przytem i drew trochę, tobyśmy powieczerać mogli... A tak nie będzie jak skombrji ugotować...

— Zkądżeś ty to wszystko wziął?...

— Kupilem...

— Tak, ale zkądżeś wziął pieniędzy na kupienie?... Dziś rano, odchodząc do magazynu, nie miałeś ani pół kopiejki, a wypłata tygodniowa dopiero jutro wypada...

— Pożyczyłem...

— U kogo?...

— U sądata... Ten sądat to poczciwy człowiek... Prosiłem żyda, ale... a!... Chciał, żebym mu za złotówkę odstąpił połowę wkładki mojej na loteryję, która się jutro rozegrywa... Dawałem mu czwartą, trzecią część... nie, psiakość!... uparł się przy połowie... Sądat słyszał, jak się z nim umawiałem... no.. i wziął ta pożyczyl...

— Och, ta loteryja!... — westchnęła kobieta.

— Ha!... zobaczymy...

— Jakżeby się tych trzydzieści karbowanów teraz przydało!...

— Możemy mieć sto i dwieście... i więcej nawet...

— Albo nie...

— Albo i nie... — potwierdził mężczyzna.

— Oj, ten żyd!... Mówiła ja tobie, nie daj się podmówić...

— Nie posłuchałeś... Ot i masz teraz...

Westchnęła.

— Cóż robić!... — odrzekł mężczyzna i także westchnął.

— Jeszczeż, jak na toż, ty dał większą połowę, więcej jak sądat i żyd razem... Jak przegrasz, to stracisz trzy razy tyle, co każdy z nich...

— A jak wygram, trzy części mnie, a czwarta na nich dwóch...

— Czyż wygrasz?...

— Zobaczymy... Jeżeli się ten siarnik zapali, wygram...

— Nie!... nie!... — zawołała kobieta.

— Stało się... Słowo się rzekło... Niech się dzieje wola boża!... pułkownik albo pakojnik, jak sądat powiada...

Pociągnął po ścianie siarnikiem ostatnin, pokazał się ślad fosforycznego blasku pod postacią linii niby parującej, zapalka się wcale płomieniem nie zajęła.

— Widzisz?... a co!... — odezwała się kobieta tonem wymówki. Niestety!...

— Co za nieszczęście!...

— Przepadło karbowanów trzydzieści...

— Przepadło nie dlatego, że się siarnik nie zapalił, ale siarnik się nie zapalił dlatego, że przepadło... Dowiedzieliśmy się o tem dniem jednym wcześniej, nie będziem się więc oskomiłi na wygranę... To i lepiej... To jednak gorzej (tu westchnął), że i skombrja jest, i sól jest, i cebula jest, i drwa są, a nie ma jak wieczrzy ugotować...

— Ach! do gotowania jużbym i ochoty nie miała... Karbowanów trzydzieści przepadło... mój ty Boże!... Ja mówiła, prosiła: chcesz spółki, niechże będzie po równemu... Dają oni po pięć, daj i ty pięć... Uparłeś się, ten żyd... bodajby się powieścił!... skusił ciebie... Żony nie posłuchałeś... przepowiadałam, że przepadnie... ot i na mojem stanęło... Ot, co to z żydami się wdawać!... Oj, hołowkaż moja biedna!...

W tem dziecko zakwiliło.

— Sz sz-sz... — poczęła kobieta.

— Toż dla dziecka potrzebaby, żebyć coś zjadła... Dziś już dzień trzeci jak nie kosztowałaś strawy gotowanej... Musi ci pokarmu brakuć...

— Et... — odparła kobieta tonem złego humoru.

— Czy ono ma tam co?...

— Licha ma!... Ciągnie, aż mnie w pieczónkach boli...

— Biedne ono... Trzeba więc ugotować...

— Ugotuję jutro...

— Skombrja do jutra zepsuje się na gorącu takim...

Kobieta nic na to nie odpowiedziała i nie ruszyła się.

Kiwiała nogą i przyspiewywała.

— No... — tonem zachęty łagodnej odezwał się mąż.

— Jakże i przy czem ugotuję?... — odparła żona.

Nastąpiła chwilka milczenia, w ciągu której dało się słyszeć stapanie na schodach i błysnęło światło przez szczelinę drzwi. Ktoś ze światłem przechodził. Mężczyzna wnet wyszedł i powrócił, niosąc w rękę świecę zapaloną. Mina jego oznaczała

tryumf. Zdawało się jakby mówił oczami: „Otóż dokazałem wego!“ Zawinał się po izdebce; pod stołem wyszukał lichtarz blaszany, nalepiony łojem i stearyną; w lichtarzu świecę, która była najprostszą łojówką, osadził; izdebka oblała się blaskiem, w którym wyraźnie wystąpiły zapełniające ją przedmioty.

Wystąpiło na jaw zupełne ubóstwo, nędza prawie, wyszczerzająca zęby z kąta każdego i ze sprzętu każdego, a najbardziej z łóżka, na którym pościel cała składała się z siennika, nie przykrytego nietylko kołdrą, ale prześcieradłem nawet i z poduszki poczerńiałej od używania. Funkcję kołdry pełniła bunda mężka z grubego szarego sukna, rzucona od niechcenia na poręcz od łóżka. Służyła ona za przykrycie dla dwojga ludzi dorosłych i dla dzieciątka, obwiniełego w pieluszki, będące drużyną składaną z koszul ojcowskich i ze spódnic matczyńskich. Dziecko wyglądało na półroczne. Matka w lachmanach, ale młoda i silna i nie nazbyt wynędzniała. Nędza ubrania znajdowała się w niezgodzie z policzkami jej dość pełnymi i z kształtami ciała całe okrągłymi. Rysy oblicza nie odznaczały się pełnością bynajmniej, oblicze zaś samo, przypatrując się mu pilnie, wyzywało zapytanie: „Czy się białogłowa ta myje kiedy?“ Ubranie składało się z sukni perkalowej ciemnej, podartej i zatłuszczonej, u spodu zadrypanej błotem oddawna zaschłym a u góry okrytej szalem tyftykowym, poprzecieranym w miejscach niektórych, w niektórych zaś polatanym okrawkami sukienkami i bawełnianymi różnego koloru. Szal ten, gdy był nowym, musiał być wartości wysokiej, obecnie zaś mógł być jeno przydatnym do papieru, tak jak i reszta jej odzieży, z wyjątkiem trzewików, którym dziwić się należało, jak się one na nogach trzymały, posiadając jedyne kwalifikacje do śmiecia. To też kobieta jeden tylko trzewik na nodze miała. Drugi spoczywał na podłodze obok łóżka, otwarty na przodku szeroko w ten sposób, jakby reprezentował poziewanie. Noga, którą ozuwać miał, była tą właśnie, co kobiecie do kiwania służyła. Oslaniała ją strasznie brudna pończocha, z której wylaziły wszystkie pięć palców i pięta cała.

Mężczyzna prezentował się inaczej. Było koło niego ubogo, ale dość chędogo. Odzieży zwierzchniej nie miał na sobie: rzucił ją na stołek gdy przyszedł, a zdaje się przyszedł, niosąc surdut na opaszki, pozostawiał bowiem w kamizelce zrudziałej

od starości i w koszuli grubej lecz stosunkowo czystej. Mówimy „stosunkowo“, mając czystość żony na względzie, bezwzględnie bowiem koszula na nim wyglądała jakby od tygodnia niezmięta i na działanie kurzawy wystawiona. Nie była przeto białości olśniewającej i nie dziw. Stan rąk zgrubiałych i twarzy przypruszonej świadczył, że małżonek kobiety z dzieckiem pędzi żywot w pracy, uniemożliwiającej utrzymanie w czystości odzieży i bielizny.

Co się wieku tyczy, byli to ludzie młodzi — ani jej ani jemu nie można by lat trzydziestu policzyć. Pięknością nie odznaczali się. Rysy pospolite; w niej przeważała okrągłość przy wzroście miernym; on był od żony o głowę słuszniejszy i miał w sobie coś poważnego.

— No, mamy więc światło, będzie ogień... — odezwał się on, stawiając lichtarz na stole. Trzeba tylko wodę nastawić, ugotować...

— Wodę?... — odparła kobieta tonem ironii.

— W dzbanku nie ma?... —

— Zobacz...

Mężczyzna wziął dzbanek do ręki, skonstatował, że nie ma w nim wody ani kropelki, nic nie rzekł, wyszedł i za chwilę powrócił z dzbankiem napelnionym.

— Jest i woda...

Kobieta, pomimo to, nie ruszała się z miejsca.

— Trzebaby teraz ogień zrobić...

— Bez podpałek?... Musiałabym dmuchać do jutra chyba...

— Otże zobaczysz, że ja ogień zrobię i dmuchać długo nie będę...

Usiadł przed piecykiem, wziął jedno z polanek, łupał je na szczapy i układał.

Żona, kiwając nogą, przypatrywała się robocie mężowskiej w obojętnym milczeniu.

Mąż ogień naniecił, podmuchał trochę, płomień strzelił.

— Terazże wody w garnuszku przystawić, ażeby się drwa nie spaliły daremnie...

Widząc jednak, że żona ani myśli opuszczać siedzenia swego, zawinał się sam, wyszukał garnuszek w kształcie rynki bez nóżek, przypatrzył się mu do światła i ujrzał na nim, wewnątrz i zewnątrz, poprząsane resztki dawnej jakiejś stawy.

— Nie myty... — rzekł.

Żona nic na to, jakby się rzecz ta nie tyczyła jej wcale. Kiwała nogą obojętnie.

— Hm... — mruknął mąż, obtarł garnuszek pierwszym lepszym gałganem co mu się pod rękę nawinął, wodą go nappełnił, nakrył i do ognia przystawił.

— Karbowańców trzydzieści!... — odezwiała się kobieta.

— Terazby nie o karbowańcach a o skombrji myśleć... — zauważył mąż. — Należałoby by ją sprawić, ażeby była gotowa, jak woda zakipi...

— Czemuś byczka nie kupił?...

— Bom kupił skombrję...

— Wolalabym albo byczka, albo kambułę...

Mąż, nic na to nie odpowiadając, zakasał rękawy i wziął się do sprawiania ryby, co skutecznie przy pomocy noża, na którym rdza obfita świadczyła, że nigdy czyszczonym nie był.

Następnie małżeństwo mało już się rozmową zajmowało. Żona siedziała, mąż krzątał się. Skończywszy z rybą, obrał cebulę i pokrajał takową; gdy woda po raz pierwszy zakipsiała, ugotował smak, solił; kosztując, gdy smak zakipsiał, włożył węń rybę i podczas kiedy się gotowała, postawił na stole dwa talerze, dwie grabki, chleb i w końcu rynkę z gorącą strawą.

— No... chodźże już... — przemówił.

— Czemużeś czem stolika nie okrył?...

Mąż obejrzał się po izbie, nie znalazł nic coby obrusa rolę odgrywać mogło i odparł z półprzekąsem:

— Nie mamy gości, to się i tak obejdziemy...

Przystawił dwa stolki.

Kobieta westchnęła.

— Połóż dziecko, będziesz miała więcej przy jedzeniu swobody...

— A jak się rozkrzyczy?...

— No, to pokrzyczy sobie trochę... I onóż wieczerzę dostanie, jak ty się posilisz...

Nareszcie kobieta się ruszyła. Położyła dziecko, które się spokojnie zachowało. wsunęła nogę w trzewik i przeniosła się na stół, zachowując w ruchach swoich dziwne jakieś od niechcenia, jakby robiła łaskę przez to, że się zbliżyć raczyła. Nie było w tem jednak ani cienia złej woli, albo też niechęci. Był

jeno zły humor, który przypisywać należało, jeżeli nie trzydziestu karbowańcom, które w rzeczy samej, przydałyby się w tej chwili bardziej aniżeli najświetniejsze na wygraną nadzieje, to po prostu głodowi. Od trzech dni nie jadła strawy gotowanej, a od rana nic w ustach nie miała. Niedziw więc, że na humorze szwankowała nieco; że zaś szwank ów przeważnie głodu się tyczył, pokazało się to ztąd, iż wnet poweselała, jak tylko talerz gorącej polewki z partyką dużą chleba zjadła. Humor się poprawiał w miarę jak znikająca skromna bardzo i zaledwie dostateczna wieczerza, przy której kaski lepsze dostawały się kobiecie. Było o to trochę sprzeczki pomiędzy małżeństwem. Mąż podzielił rybę na trzy części, sobie wziął główkę i ogonek, jej dał środek z ikłą. Żona chciała się mieniać, mąż atoli zamianę nie przyjął, zaręczając jak najuroczyściej, że „przepada” za główką i ogonkiem.

— Nie mógłbym zasnąć spokojnie, gdybym wspominał sobie, że do zjedzenia były a nie mnie się dostały...

Z chleba pozostało zaledwie ćwierć bochenka.

Kobieta podjadłszy sobie, ruchawszą się stała. Uprzątnęła ze stołu — łyżki i grabki włożyła do rynki, talerze położyła na rynce, na talerzach chleba resztę i na oknie to wszystko postawiła, następnie obtarła stół chustą tyftkową, usiadła na stolku i wyciągnęła się, wznosząc ręce do góry.

— Możeby to pomyć... — rzekł mąż, nakazując oczami na naczynie.

— I... Niech to sobie do jutra czeka...

— Nie chce się tobie?...

— Dalibógże nie. Czy to się ja mało wodą nachlupała!...

Nikt przecie nad karkiem nie stoi...

— Racja... — odparł mąż i po chwili milczenia, westchnął głęboko, ziewnął szczerze i zawołał: Hej-ha!...

— Co tobie?...

Mąż się uśmiechnął.

— Czy ci dumka jaka do głowy przyszła?...

— Zakurzyłbym sobie, gdyby było co... Przyszedł dziś do magazynu Grek kupiec z sygarem w pysku; jak mi dym w nos zaleciał, to omal na wznak nie upadłem... Bodaj to... bogactwo!...

— To prawda... — odparła kobieta. Zarazbym sobie trzewiki kupiła...

— A jabym kupił sobie tytoniu tureckiego oko całe...

— Ja nic, tylko trzewiki...

— Zachciało by się tobie jeszcze czego...

— Ta czego!... ciekawam... Gdybym ino miała trzewiki jakie ludzkie, to wyszedłszy na ulicę, nie potrzebowałabym przysiąść i okrakiem chodzić, ażeby ulicznikom powodu nie dawać do wytykania mnie i zapytywania: „Po czemu palce?...” Zresztą obeszląbym się...

— Zachciało by się tobie samowara...

— Owa!... niby to ja pani taka wielka!...

— Gdybyś była bogatą, byłabyś panią...

— Taj co!... To już jak pani, to taki zaraz i samowar!...

— I samowar i... a!... wiele, wiele rzeczy innych jeszcze...

Widziałaś panią przecie!...

Kobieta zamyśliła się na chwilę. Po chwili odrzekła:

— Ot służącęym sobie przyjęła.. ładniebym ją ubrała, sprawiłabym Franusi sukienkę błękitną i przypatrywałabym się przez okno, jakby ona z Franusią na ręku po mieście chodziła.

Słowa te stosowały się do dziecka na łóżku leżącego. Dziecko, jakby zrozumiało, że o niem mowa, odezwało się kwileniem. Matka wnet do niego poskoczyła, na ręce wzięła, z pieluch rozwinęła i przy stoliku z niem usiadła. Ojciec począł do niego cmokać i w palce klaskać. Dziecina się rozweseliła, uśmiechy stroiła, okrzyki samozgłoskowe wydawała, i na wieczór cały, stała się dla rodziców przedmiotem zajęcia i rozrywki.

Od zapalenia w piecyku żelaznym trochę się za gorąco zrobiło — trzeba było okno roztworzyć. Fale powietrza wieczornego zbawienny tak na temperaturę, jak na wonność izdebki ubogiej wpływ wywarły. Zrobiło się w niej rzeźwiej. Przez okno otwarte wyraźniej dochodził gwar miejski. Poczęła bić godzina na jednym z bliższych zegarów.

— Raz, dwa, trzy... — liczył mężczyzna. — Dziesiąta...

— A toć to już późno.., — rzekła kobieta.

— Późno na wsi, ale nie w Odessie... — odrzekł mężczyzna.

Z odrzeczenia tego dowiadujemy się, że para, z którą zabraliśmy znajomość, zamieszkuje w metropolii handlowej okolic ciążących ku morzu czarnemu. Wiadomość ta jest nam konieczną, ze względu na dopełnienie znajomości w zakresie której poczynić mamy niektóre jeszcze odkrycia, zanim czytelnik dowie się ostatecznie, z kim ma do czynienia. Tymczasowie powiemy mu, że małżeństwo, zajmujące w tej chwili uwagę naszą, nie długo już pozostawało w stanie czuwania. Kobieta dała Franusi piersi, położywszy się w ubraniu obok niej na łóżku. Mąż niebawem poszedł za przykładem żony, rozebrał się jednak — zgasił świecę palcami i wkrótce izdebkę nappełniło chrapanie i sapanie, które ciągiem jednym dotrwało do dnia.

Równy ze świtem mąż był już na nogach. Kobieta z dzieckiem spała jeszcze.

Wstał po cichuteńku. Odziewając się, chodził na palcach. Umył się, nabierając wodę w usta i zlewając takową na ręce, obtarł się rękawem od koszuli, włożył buty, zarzucił surdut na ramiona, włożył na głowę czapkę, i podszedłszy do łóżka, patrzył przez chwilę na żonę i dziecko z wyrazem w oczach, w którym malowało się rozrzewnienie. Prawdę powiedziawszy, nie był to widok zachwycający. Światło dzienne wyprowadziło na jaw wszystkie dziury, łaty i plamy, pstrzące odzież kobiety, która leżała na wznak z głową otwartą i z wystawionymi na widok, z pończoch wyglądającymi palcami i piętami. Może też go to właśnie rozrzewniało. Postał przez chwilę, okrył pełniącym funkcję kołdry płaszczem żonę i dziecko, kiwnął do sennych głową na pożegnanie i wyszedł, zamykając drzwi za sobą.

Miasto we śnie jeszcze pogrążone było i ruch cały na ulicach utrzymywały przekupki, pospieszające zająć miejsca swoje na targowicy tak zawczasu, ażeby najwcześniejszego nie stracić kupca. Był to ruch słaby i pieszny po większej części. Baby dźwigały kosze i kobiałki. Znajomy nasz spotykał je rzadko, idąc ulicami przylegającymi do rynku, gdy zaś wydostał się na te, co się ku bulwarom i morzu kierują, nie spotykał już bab nawet. Uszedł kawałek Riszelską, wziął się w prawo, wszedł na Włoską, i idąc tą ostatnią, zatrzymał się przed domem jedynym, przed którym topole rosły. Pozór domu tego był porządnym, nie wspaniałym jednak. Brama wjazdowa zamknięta; w oknach z wewnątrz okiennice pozamykane; cisza do koła. Zatrzymał

się, powiódł okiem po oknach, głową pokiwał, uśmiechnął się do siebie, westchnął i poszedł dalej. Zaledwie zrobił kroków kilka, oczy mu się zaśmiały, zgiął się nagle i podjął ogarek sygara w trzech czwartych częściach niedopalonego.

Znalezienie skarbu nie mogłoby mu większej sprawić radości.

— Oto!.. — zawołał — kto rano wstaje, temu pan Bóg daje... Gdyby to tak jeszcze i ogień znaleźć, toż dopiero zakurzyłbym sobie!.. Mam czem przynajmniej głód oszukać, gdy mi około południa kiszki skręci... Ogień znajdzie się u sądata...

Schował starannie sygaro w zanadrze i poszedł dalej, śledząc pilnie oczami po ulicy, ażali czego nie znajdzie jeszcze. Nie znalazł nic, doszedł do długiej murowanej budowli, bez kominów i okien, a raczej, zamiast okien posiadającej otwory niewielkie kwadratowe w kraty żelazne zaopatrzone, i usiadł pode drzwiami, otwierającymi się na podniesiony na stóp parę nad ziemię pomost drewniany, nad którym daszek się wznosił. Był to magazyn zbożowy. Pomost służył do wykładania worów wprost z podjeżdżających poden podwód. Na nim znajomy nasz usiadł i w dumanie się pogrążył.

O czem dumał, nie wiemy. Po upływie chwili czasu, sięgnął w zanadrze, wydobył pugilares zatłuszczony, otworzył i wy dostał z niego bilet loteryjny, stanowiący sześć ósmych części biletu całego, opiewającego na rubli srebrnych czterdzieści i obiecującego wygrane od rubli sześćdziesięciu aż do tysięcy stu, dwiestu i czterystu. Wpatrywał się przez czas jakiś w ów kartkę zadrukowanego papieru, w końcu ją złożył do pugilaresu schował i w zanadrze wsunął. Zaledwie to zrobił, aliści stanął przed nim żyd w ubraniu świątecznym.

— Tyż tu po co?... — zapytał znajomy nasz.

— Ny... ot... tak sobie.

— U ciebie dziś szabas, to do roboty nie staniesz...

— Ja bo też o robocie ani myślę...

— Gdybym na twojem był miejscu, spałbym do południa...

— I jabym spał, gdybym mógł... Coś mnie tej nocy napadło, oka nie zmrużyłem, a gdy zaświtało, pomyślałem sobie: pójdę, zobaczę, co też tam oni robią...

— Co robią?... Widzisz, ot... siedzę i czekam, magazynier nie widać jak z kluczami przyjdzie, otworzy i stanę do szufla-

wania pszenicy... Będzie tego do wieczora, tembardziej, że z przyczyny twego szabasu, robota cała spada na nas dwóch, na mnie ta na sądata...

Podczas odpowiedzi powyższej, żyd usiadł obok na pomoście i wysłuchawszy jej, odparł:

— Jeżeli sądat przyjdzie...

— Jakżeby miał nie przyjść do wypłaty!... ta i ja jemu winien piętnaście kopiejek srebrnych...

Żyd splunął przed siebie, głową pokiwał i powtórzył:

— Piętnaście kopiejek... Ot i zadłużyłeś się u sądata...

— Cóż robić!... Prosiłem ciebie... dać nie chciałeś...

— Jakto nie chciałem!...

— Ba!... za połowę biletu...

— Która i półkopiejki nie warta i za którą byłbyś złotówkę dostał daremnie, a tak, rzucić ją musisz... Ale żebyś wiedział, że ja nie taki, to ja ci dziś gotów dać złotówkę za ten papieru kawalek...

Znajomy nasz roześmiał się.

— Ny... co to się śmiać!... Powiedz na rozum: co chcesz?...

— Wszak mówiłem ci wczora... dwadzieścia pięć złotych za połowę...

— I!... — machnął żyd ręką. — Pięć złotych za wszystko...

— Za to co ja dał karbowanów trzydzieści?...

— Nu... On o karbowanach myśli!... Tyś je zgubił i przepadło...

Znajomy nasz ramionami ścisnął.

— Ot, do czego to długie gadanie powiedzieć!... Dam ci rubla...

Żyd rękę wyciągnął, z zacięciem podania dłoni do uściśnienia.

Znajomy nasz jednak nie kwapił się z ręką swoją.

— Dam ci złotych dziesięć...

— Nie...

— Nie?... ileż chcesz?...

— Za wszystko?...

— Za wszystko...

Ojciec Franusi pomyślał przez chwilę, głową wstrząsnął i odpowiedział:

— Nie, wszystkiego nie odprzedam...
 — To niech będzie połowa... Ileż za połowę?...
 — Złotych dwadzieścia pięć...
 — Zwarjowałeś!... Słuchaj jednak, powiem ci słowo ostatnie... *putchejrym*... będziesz miał wóz i przewóz... Kiedy nie chcesz odprzedać wszystkiego, to... Bóg z tobą!... dam ci za połowę złotych dziesięć...

— Daj dwadzieścia...

— Nie...

— Piętnaście...

— Nie... dziesięć złotych, słowo moje ostatnie... Zakląłem się na *putchejrym* i nie mogę postąpić ani kopiejki...

— Rozbijmy różnicę na połowę... Złotych dwanaście i groszy piętnaście.

— Nie...

— To ustąpię ci jeszcze... Daj mi rubla i złotych pięć...

Chodziło o groszy pięćdziesiąt, o które się targ rozbił. Przyszedł sałdat w pół zaspany, wkrótce potem nadszedł magazynier i żyd się oddalił, mruczając sobie pod nosem, głośno zaś zaklinając się, że posiadacz sześciu ósmych biletu będzie ciężko uporu swego żałował.

Sałdat i znajomy nasz stanęli do roboty. Zanim się wzięli do takowej, pierwszy zapytał drugiego:

— Czego on przyczepił się do ciebie?...

— Chce odkupić u mnie połowę mojej części...

— Ty dał za nią?...

— Karbowanów piętnaście...

— A on daje?

— Półtora....

— E... Coś on przewąchuje...

Na tem rozmowa się urwała. Pozrzucali z siebie odzież zwierzechną i wzięli się do roboty, która na tem polegała, ażeby pszenicę z jednej kupy przesypać na drugą łopatami, wyrzucając ziarno jak najwyżej do góry. Celem przesywania takiego jest przewietrzanie zboża, które leżąc długo na jednym i tem samem miejscu mogłoby się zagrzać wewnątrz i zepsuć. W tym celu po magazynach urządzone są przeciagi powietrza, na których jednak nie poprzestają właściciele i uciekają się do pomocy

ramion ludzkich. Praca ta ciężka. Ci co się jej oddają, muszą wielką we własnych siłach ufność pokładać. Nie lada kto wytrzymać potrafi, letnią zwłaszcza porą, wyrzucanie ziarna na wysokość i odległość taką, ażeby wiatr ziarenko każde ochwycił i osuszył. Krzyże trzeszczą, pot ciało oblewa — my, co chleb gotowy pożywamy, ani się domyślamy, jaką drogą męczarni krzyżowych do rąk on naszych dochodzi. Jest to rzecz ciekawa i zasługująca na to, ażeby się zastanawiać nad nią, chociażby dla tego, ażeby wiedzieć że praca — praca ciężka — jest matką żywicielką ludzkości. Bez niej, bogacze... kawałka chlebaby nie mieli.

Sołdat i znajomy nasz szuflowali pszenicę w pocie czoła, odpoczywając kiedy niekiedy dla nabrania oddechu w piersi. Po odetchnięciu, spluwali w dłoń, ujmowali łopaty i dalej. Ziarno pod ich wrzucaniami, rozsypywało się w powietrzu i padało, formując nieopodal od kupy starej kupę nową, coraz to większą i większą. Tak pracowali ciągiem jednym do południa. Dozorca przechodził mimò od czasu do czasu i spoglądał na robotę ich okiem uważnym. O południu odpoczynek. Rzucili łopaty, udali się w kąt magazynu, gdzie zwierzechną odzież swoją złożyli i postępując, przysiedli.

II.

Sołdat posiadał węzełek z przekąską, składającą się z chleba i słoniny, w ilości umiarkowanej. Znajomy nasz wy dostał z nadrzę sygaro, opatrzył je okiem znawcy, pomiał lekko palcami celem zapewnienia mu ciągu, i zapytał towarzysza:

— Nie masz ty ognia przypadkiem?...

Zapytany wydobył z kieszeni siarniczek, i podając takowy, rzekł:

— Cóż ty, brat!... Zamiast cobyś miał zjeść co, to się do kurzenia zabierasz...

— Taka moja natura... — odparł zagabnięty.

— Dobra natura... Sygaro pańskie... jak pachnie!... Raz byłem u generała w ordynarcach i raz w życiu taki zapach w nos mnie uderzył... Ty widzę bariń, kiedy masz naturę taką,

że kurzysz sygaro, za które mógłbyś mieć chleba ćwiartkę i marchotki kapiuch pełen... Przyznaj się, gałubczik... Ty mi coś na wielkiego patrzysz pana...

— Piękny mi pan, co pszenicę szufuje!... — odparł znajomy nasz, smakując w sygarze, które w rzeczy samej z jak najlepszego było gatunku, prawdziwe hawanna.

— Nu, dak co!... Wiadoma rzecz, i największemu panu przytrafi się czasem, że mu się noga powinie... ot, jak się powiada po naszymu... Ty bumagi masz?...

— Mam... ta co mi tam po nich!...

— Jak... co!... po waszemu ty szlachcicz...

— A szlachcic...

— Wot i dielo... Ja odgadł od razu... To widać po tobie...

Soldat zjadał chleb ze słoniną, a szlachcic delectował się hawanną, polykając ślinę, co mu się do ust toczyła i pocieszając się w sumieniu, że chleba kawałek żonie zostawił.

Soldat skończył jedzenie, wyjął fajeczkę na krótkim cybuzku i począł ją tartym w dłoni liściem tytoniowym napełniać, kiedy nagle zjawił się przed nimi żyd.

Pozór żyda niezwyklego coś zapowiadał. Z oczu i z postaci całej biło mu wzruszenie głębokie, które hamować i pokrywać usiłował, starając się przybrać minę obojętną i zupełnie spokojną. Przyszedł, stanął, głowę spuścił, widocznem było, że chciał coś przemówić, lecz wolał zaczepionym być.

— Cóż ty?... — zaczął soldat. — My już pozawtrikali i za chwilę do roboty staniemy... A ty?... szabasujesz, he?...

— Ny... ja do niego... — odparł żyd, ukazując oczami na szlachcica. Cóż?... Przynoszę pieniądze za połowę...

— Ile?...

— O... tyle, coś sam chciał...

To mówiąc, pokazał na dłoni dwie sztuki monety, z których jedna była rublem, druga pięciozłotówką.

— Dam drugie jeszcze tyle za drugą połowę...

Głos żyda drżał... Wyrazy w gardle mu więzły i z ust gwałtownie wyskakiwały. Widocznem było, że obojętność i spokój udawał.

— Co?... — zapytał soldat.

— Tylko ty się nie mieszaj!... — ofuknął żyd.

— Ach, ty ścierwo!... — soldat na to.

— Nie tkaj nosa w to, co do ciebie nie należy... — odpowiedział żyd w uniesieniu; zmiarkował się wnet jednak, zachlipnął się i zmieniając nagle ton na łagodny, dodał: — Eh, wy, Sidor Gawryłowicz, i wybyście mi wasz bilet odsprzedali...

— Daj pięć całkowych...

— Dam dwa...

— Pięć...

— Trzy!...

— Pięć...

— Cztery!...

— Pięć...

— Nu... Niech po waszemu będzie... Oto dieńgi...

Wyjął pięć rubli i dłoń z niemi do soldata wyciągnął.

Soldat się cofnął.

— Dawajcie bilet...

— Na!... — odpowiedź ta w ten wypadła sposób, że soldat, zamiast wręczenia biletu, pokazał żydowi palec duży, włożony pomiędzy dwa poboczne. — Ot tobie bilet...

— Ny!... — krzyknął żyd w rozpacz prawie, naprzód się posuwając z gestem zaczepnym. — Ty, moszenik, ty!.. Ugoda stanęła...

— Wot... będziesz mi czepuchę prawil!... Ugoda?... Jaka ugoda?...

— On? świadek!...

— A ręka przybita?... Słowo wiatr, ugody nie masz bez przybicia ręki... ja mam prawo powiedzieć ci jeszcze: dawaj rubli dziesięć!...

— Dam dziesięć... — podchwycił żyd w zapale.

— Dawaj dwadzieścia!...

— Dam dwadzieścia!... o!... — i dostawać z kieszeni pieniądze począł.

— Dawajże ty mi sto... — odparł soldat z przyciskiem — a ja ci biletu nie oddam...

Żydowi do głowy płomień uderzył. Twarz mu spłonęła. Zwrócił się do szlachcica i przemawiać do niego począł, bełkocąc.

— Aj waj!... to warjat... Z nim nie ma co do gadania... Ot, ty, to co inszego... Ty człowiek... U ciebie słowo, niby ten kamień... Tobie ja dam... ja dam... ny?... Ja dam tobie, ile sam

zechcesz... Ja dam tobie, ile sam zechcesz, bo ty człowiek cieszny... Tylko chodź ze mną... ny... chodź ty ze mną...

— Od roboty?...

— Co tam tobie robota!... Dam ci tyle, iżbyś tego przez rok cały nie zarobił... Chodź tylko ze mną...

Głos żyda był błagalny.

Szlachcicowi, świadkowi zajścia z żołdatem i nagłego podwyższania ceny, wydało się to ostatnie rzeczą podejrzaną. Zmiałkował, że żyd nie ryzykowałby poczwórnej biletu wartości, gdyby nie miał do tego ważnych powodów. Pomnożył sobie w myśli trzydzieści na cztery, wypadło sto dwadzieścia. Sto dwadzieścia rubli było dla niego w tej chwili skarbem, za który, gdyby nie zajście z żołdatem, chętnieby żydowi bilet swój oddał. Zajście do myślenia mu dało. Spoglądał to na żyda, który wciąż nalegał, chcąc go za sobą pociągnąć, to na żołdatę, który żydowi dogadywał dobieranymi wyrazami, i wyekspensowawszy spory zapas słów słodkich, rzekł w końcu do niego:

— Posłuszaj... Nie zabierze to czasu dużo, chodźmy do kantory...

Na słowa te żyd zbladł; opanowało go drżenie febryczne.

— Do kantory?... Do kantory?... — krzyknął, przybierając ton szyderski. Do kantory?... Ty tam po co?... Ciebie nie wpuszczą... Ciebie za drzwi wypchną... Czy ty wiesz, jak tam gadać?...

— Niczawos... Chodźmy... Ty błagorodny, ja mam medal za chrabrost', to my już tam sobie rady damy...

— Nie słuchaj go i nie idź z nim... — przemawiał jeszcze żyd do szlachcica, a widząc że słowa jego skutku nie odnoszą, opuścił ręce w rozpacz i błędnym wzrokiem spoglądał za oddalającymi się powoli.

Usta jego ruszały się, jakby mówił, nie wydawały atoli głosu żadnego. Toczył snąć rozmowę wewnętrzną sam ze sobą. Trwało to chwilę. Nagle rzucił się, wybiegł z magazynu i spieszonym chodem przesunął się przez ulice Odessy, potrącając przechodniów, jakby od czego uciekał, albo za czem gonił. Przechodnie ze zdziwieniem spoglądali na niego. Niejednemu na myśl przychodziło, że to może jakiś, co we względzie sprawiedliwości skrewił. Na szczęście jego jednak — a raczej, jak się to wnet pokaże, na nieszczęście — nikt myśli tej głośno nie objawił i on dostał się do dzielnicy miasta, przez żydowstwo przeważnie

zamieszkałej, minął brudnych kilka uliczek i wpadł do domu, którego powierzchowność sama zapowiadała, że zamieszkuje go potomstwo Izraela. Wbiegł po schodach na piętro, wszedł na korytarz, i otworzywszy drzwi do jednej z izdebek kluczem, który z kieszeni wydobyl, zamknął się w niej.

W izdebce tej nie było ani stoła, ani stolka, ani łóżka, ani żadnej rzeczy, któraby znamionowała dbałość o wygodę jakowej. W kącie siennik, na sienniku poduszka i piernat, było to wszystko, co świadczyło o mieszkaniu człowieka. Ściany puste, sufit z desek sosnowych, opierających się na przechodzącej środkiem belce grubej. Okno jedno, pod oknem zaś, sprzęt jedyny, szaflik drewniany, który, jak się zdaje, nie był własnością lokatora.

Żyd, zamknawszy się, podszedł do okna, postął przed niem chwilę, następnie usiadł na piernacie, i objawszy rękami kolana, począł głową kiwać i wzdychać. Kiwał głową, to z tyłu naprzód, to z boku na bok, kręcąc się niekiedy, jakby otrząsał z niej obsiadające ją myśli naprzykrzone. Z westchnieniami wydierały się mu z ust wyrazy:

— Oj waj zmir...

Wydzierały mu się także skargi na głowę własną, którą o głupotę obwiniał, z powodu groszy pięćdziesięciu.

Wyciągał szyję, otwierał usta i chlipał, jakby powietrze w płuca chwytął.

Oczy miał krwią nabiegłe.

Po niejakiemś czasie wydostał z zanadru plik i rozwinął takowy. Były to pieniądze w biletach bankowych. Zaczął liczyć, nie był jednak w stanie liczenia porządnie prowadzić. Zaczynał razy kilka:

— An, cwaj, draj...

Rzadko kiedy za dziesiątek przechodził. Wewnętrzna jakaś irytacja przeszkadzała mu. Zaniechał liczenia, i wpatrując się w pieniądze, uśmiechał się do nich szydersko a złośliwie. Wreszcie złożył, zawinął, schował i znów rękami kolana objął.

Długo tak siedział. Zdawało się niekiedy, że usypiał i budził się nagle, wydając okrzyk lekki przerażenia świadczącego, że głowę pełną miał myśli, które duszę jego srodze trapiły i dręczyły.

Wreszcie wstał, do okna podszedł i przez zapstrzone szyby na niebo spojrział. Wieczerzało.

— Och! ten żołdat!... — zawołał. — Och! ten drugi!... przybłąda (wyraz ten z ironicznym wymówił przyciskiem)... Oni teraz!... oni teraz!... oj!...

Krzyknął, jakby ostre jakieś narzędzie pierś mu przebodziło.

— Co oni, te gałgany, robią teraz?... Och! ja głupi!... Pięćdziesiąt groszy?...

Dłonie do głowy podniósł i czoło niemi uciskać począł.

— Pięćdziesiąt groszy!... Nie!... — rzekł w końcu z akcentem takim, jakby postanowienie jakoweś powziął, i przechadzając się krokiem szerokim po izbie, wzrok do góry podnosił i na sufit spoglądał.

W miarę, jak się chodzenie to przewlekało, agitacja jego wzrastała.

— E!... — odezwał się, ręce wyciągając, jakby do chwytania czegoś.

I rozwiązał pas, co mu biodra otaczał.

I oglądać się począł po izbie.

Zoczywszy szaflik, zachnął się z takim oblicza rozpromienieniem, jakby mu myśl jaka jasna w głowie strzeliła.

Postawił szaflik bokiem na środku izby, popodkładał podeń cegiełki, ażeby się nie taczał, stanął na nim i pas na belce zawiesił. Szaflik chwiał mu się pod nogami. On jednak tak zręczność i z takim gorączkowym pospiechem około belki manipulował, że zanim mu się podstawa ta chwiejna z pod nóg wysunęła, wszystko już było skończone.

Żyd zawisł w powietrzu, za szyję do belki uwiązany.

Zdaje się, że zastanowienie przyszło mu, ale, niestety! za późno. Szukał nogami szaflika; wyciągał nogi, chcąc niemi na oknie stanąć; podnosił ręce i za pas chwycił, wszystko to było na próżno. Kołysał się i rzucał; próbował krzyczeć, ażeby ratunek przywołać, aż w izdebce cicho się zrobiło i ciało żyda przybrało to położenie, jakie ciało wszelakiemu nadaje prawo ciężkości. Pas był naprężony; żyd na pasie wisiał, ciężąc ku środkowi ziemi.

Rzecz ta odkryła się nazajutrz. Dopatrzonego wisielca z okna domu sąsiedniego. Sąd śledczy znalazł przy nim pięćdziesiąt tysięcy rubli srebrnych!

Wypadek ten nie nastęcza nam uwag żadnych. Tłumaczy się on sam przez się dostatecznie. Zostawiamy więc nieboszczyka, a poszukamy żywych, których losy znajdowały się w niejakej z losami nieboszczyka styczności.

Mamy na myśli żołdatą i szlachcica.

Zajmiemy się najprzód żołdatem, którego weźmiemy w chwili wyjścia z kantory urzędu loteryjnego.

Wyszedł, a że kasa znajdowała się na piętrze, więc schodząc, przestępował po dwa i trzy schody na raz. Na ulicy, macnął się za pierś, rzekł do siebie: „jest“ — i krokiem posuwistym puścił się do magazynu, w którym łopata czekała na niego. Na połowie jednak drogi, zatrzymał się, pod murem stanął, o mur się plecami oparł i oczy zamknął. Po chwili oczy odemknął i samemu sobie następujące zadał zapytanie:

— Nu cztosz.; darować mu, czy nie darować?...

Myślał i tak sobie odpowiedział:

— Niet... Nie na to ja ciężko przez tydzień cały pracowałem, ażeby ci miał zarobek mój darowywać... Co moje to moje... ani kopiejka moja nie przepadnie...

Toczyło się to kopiejek piętnastu, pożyczonych szlachcicowi.

— Udał się do magazynu, stanął do łopaty i szuflował do samego wieczora. Szuflował sam jeden. Magazynier razy parę zapytywał go:

— Gdzież tamten?...

— Czort jowo znajet... — była odpowiedź żołdaty.

— Wyszliście jednak razem...

— Tak... razem do kantory... Ale mnie odpuścili pierwiej, a jego zatrzymali jeszcze...

Magazyniera nie obchodziła kantora, o której żołdat wspominał. Myślał zapewne, że to kantora gorzałczana, lub też inna jaka, dotycząca żołnierza dymisjonowanego, puścił więc to mimo uszów. Żołdat wieczorem do wypłaty stanął, odebrał swoją należność, i medytować począł.

— Nu... a teraz?...

Postępował ulicą powoli, zatrzymywał się często i rozmyślał. Rozmyślanie długie do takiej doprowadziło go konkluzji, że zaklął i rzekł:

— Choć weź ta powieś się!...

Pomysł ten przyszedł mu na ulicy, gdzie wprowadzie i drzewa i wystawy i latarnie nadawały się do wykonania onego, gdzie jednak było, raz, za zbyt ludno, powtórę, jasno, a przytem ponęty życiowe przedstawiały się pod postaciami rozmaitemi, mianowicie zaś pod jedną, która żołdatowi pobyt na tej ziemi miłym czyniła.

— Ej!... powiedział sam do siebie. — Zajdę najprzód do kabaczka, a potem pomyślę... Pójdę do znajomego...

Jak powiedział, tak uczynił. Pociągnął prostą drogą ku portowi, do którego niedochodząc nawrócił do szynku, słynącego z czystej wódki i dobrej miary. Szynk ten był punktem, przy którym zatrzymywali się zwoszczyki, transportujący zboże z magazynów na okręta. Miał on godło nad drzwiami nie wiadomo jakie — deszcze je oddawna splotkały. O godło mu jednak nie chodziło, był bowiem znany szeroko i nie było w Odessie człowieka pomiędzy ludem czarnoraboczym, któryby nie znał drogi do niego. Usługa zwinna, gospodarz uprzejmy, gospodyni czarnooka a białolica i wszystko na zawołanie czego dusza zapragnie. Zachciało się jeść, było i jedzenie; chciałeś pić, mogłeś się w napitkach kąpać.

— He, ziemiak? co przekażesz?... — zapytał szynkarz, jak tylko zamyślony żołdat za stołem usiadł.

— Chi!... sam nie wiem...

Szynkarz, człek doświadczony w stosunkach z ludźmi, oparł się rękami o stół, patrzył pilnie na żołdata przez chwilę i rzekł:

— Służiwy, ty na sercu coś masz...

Żołdat ramionami ścisnął i głową wstrząsnął.

— Ciebie coś gryzie...

— Myśl... — odparł.

— Widzisz... okazannaja!... Człowiek nie ma nad myśl wroga straszniejszego... Jest na nią jednak rada...

— Jaka?...

— Jeżeli u ciebie dieńgi są...

— Dieńgi to u mnie są... — odparł żołdat. — Jest tego... hm... do licha (o mało nie wymówił się o wygraniu losu) i dla tego właśnie myśl serce mi szarpie...

— Kiedy tak, to na to jest rada... — rzekł szynkarz, odejmując ręce ze stoła i prostując się.

— A jaka?... — zapytał żołdat powtórnie.

— Stakanczik jeden, drugi... to wnet się w głowie rozjaśni, jakby słońce zaświeciło...

— A jakiej?...

— Lutrówki... wprost z pod czopa, chwycić tak, żeby piana nie zesła...

— Dawaj!.. Ale jaby i zjadł co przytem...

— Zjedz, kiedy taka wola twoja...

— A co?...

— Co zechcesz... Do mnie gdyby kto, choćby sam straszny przyszedł i krzyknął: kuszat'!... tobym mu dał tak pokuszat', iżby palce oblizywał... Ty wiesz zresztą... Ty u mnie nie-nowicjusz, i jadaleś już i pijałeś... Czego chcesz?... wątroby gotowanej?... baranich nówek na zimno?... ogórków solonych?... byczka smażonego?...

Żołdat się zamyślił.

— Czort jego wie!... Chciałoby się i tego i tego... Wiesz, kiedy myśl dokucza, to człowiek po prostu głupieje...

— Więc kałatnij sobie lutrówki najprzód...

To mówiąc, wziął z szynkwasu szklaneczkę sporą, podstawił ją pod czop ustawionej w szynkowej izbie beczulki, pokręcił kurek, szklaneczkę napełnił i przed żołdatem postawił. Ten splunął, przeżegnał się i duszkiem wychylił.

— A co!... Ogień... Od tej, jeżeli myśl nie zginie, to już jej i sam djabeł kleszczami nie wyciągnie... Może jeszcze?...

— Dawaj jeszcze...

— Wot i dieło...

Szynkarz powtórnie szklaneczkę napełnił. Żołdat ją powtórnie wychylił.

— Rozchodzi się po sercu, jakby się cukier rozplęwał. Nie prawdaż?...

— Prawda.. — odparł żołdat, gładząc się dłonią po żołądku.

— Może jeszcze?

— E... czort pabieri... dawaj jeszcze...

Szynkarz po raz trzeci szklaneczkę napełnił. Żołdat ją po raz trzeci wychylił,

Cudowny tej trzeciej porcji wpływ w ten wyraził się sposób, że mu się jeść odechciało. Zapomniał, że głodny przyszedł — szynkarz mu też tego nie przypomniał, obsługując innych gości, którzy w liczbie osób mniej więcej tuzina pici obojętnej, zajmowali stoły, nie zapełniali jednak i w połowie izby obszernej, słabo kinkietami paru oświetlonej.

Soldat oparł się na stole łokciem i po izbie okiem powodził. Przez czas jakiś milczał; dalej poczuł w sobie ochotę do gadania i sam z sobą następującą gawędkę prowadził:

— Czort pabieri... Człowiek się natłókł po świecie... hej!... gdzie ja nie był?... Był z Zabałkańskim w Turcji i na sztyki chodził... A ta driań, co?...

Zapytanie to stosowało się do gości zastolnych. Poprawił się łokieć dalej na stół posunął i nadął się. Po chwili śpiewać począł:

„Czto zatumanilaś zorińka jasnaja,

Pała na ziemi u raso?...

Czto prigariunilaś dziewica krasnaja?...

— Dziewica?... tfu!... splunął i zawołał: Hej! szynkarz!... dawaj wódki!... Postaw mi kwartę całą, ja nie taki, żeby szklaniczkami ciągnąć...

— Siej czas!... — krzyknął szynkarz, lecz nie spieszył, będąc innymi zajęty gośćmi.

— Pospieszajże!... chyba ty nie wiesz, z kim do czynienia masz?... Gdyby mi się zechciało kupić szynk twój i ciebie, to bym kupił i tej chwili gotówką zapłacił...

Słowa ostatnie, głośno powiedziane, ściągnęły na soldata oczy wszystkich obecnych. Szynkarz postawił przed nim sztof pełny i kieliszek spory, i uważnie go wzrokiem zmierzył.

Soldat począł pić. Popijając przemawiał:

— Pożyczył u mnie kopiejek piętnaście... skatina!... ale ja mu ich nie daruję, choć on szlachtycz... Szlachtycz skatina!... A ja co?... Ja kazonnyj czelawiek... Ja mu nie daruję... Ale gdzie on się podział?... Nu, mnie wypłacili tysiący pięćdziesiąt... wyliczyli, wypłacili, to... i czegoż ja miał czekać?... A on, skatina, został i tu (tu westchnął) zostało przy nim moich kopiejek piętnaście... Gdybym był wiedział, że do gamazieju nie przyjdzie, to byłbym go za poję trzymał...

Mówił i popijał; nalewając po stole rozlewał. Szynkarz nieopodal od niego stał i ucho nastawiał.

Nie będziemy powtarzali gadaniny człowieka pijanego. Prawił długo jeszcze, wspominał rodzinę, którą przed laty zostawił sam nie wiedział gdzie, rozrzewniał się, gniewał, przyśpiewywał, w końcu się na ławę pochylił, z ławy pod stół się osunął i zasnął.

Północ minęła; w izbie szynkowej pusto było i ciemno. Drzwi zamknięte, okienice pozamykane.

Weszli szynkarz i szynkarka ze światłem.

— Spi?... — zapytała kobieta półgłosem.

— Czy spi!... hm... — odparł mężczyzna głosem wątpliwości usuwającym.

— Aby się jeno nie obudził..

Szynkarz stół odsunął, i uderzając leżącego na podłodze nogą w bok, zawołał głosem podniesionym:

— Służiwoj!... hej!... wynos się do licha!...

Soldat najmniejszego nie dał znaku, ażeby uczuć miał uderzenie.

Była to odpowiedź na uwagę szynkarki, odnoszącą się do możliwości obudzenia się śpiącego. Po próbie tej kobieta zbliżyła świecę, mężczyzna zaś zrewidował soldatowi kieszenie i znalazł w takowych tytoń, fajeczkę, pudełeczko z siarnikami, sporo okruch, guzików kilka, nożyk składany i kaletę a w niej kwotę, wynoszącą mniej więcej zarobek tygodniowy.

— Cóż on, durak, o tysiącach prawil?... —

— Po pijanemu... — zauważyła szynkarka, trzymając nad śpiącym świecę.

— Po pijanemu!... hm!... Co trzeźwemu na myśli, to pijanemu na języku... — odparł szynkarz. — Gdzież prawda, jeżeli nie u pijanego!...

— A porozpinaj-no mu odzież...

Szynkarz rozpiął śpiącemu szynel i obmacał takową starannie, rozpiął następnie część odzieży trzymającą środek pomiędzy kaftanikiem a kamizelką i za nią, pod koszulą, odkrył, zawieszoną na szyi torebkę skórzaną. Dotknął się torebki palcami.

— Papiery... odstawka...

— Nic więcej?... — zapytała kobieta.

— Cóżby więcej u żołdata być miało!.. Pieniądze?... te jeżeli nie w kieszeni, to byłyby gdzieś pozaszywane...

— Bumażki może...

— Chyba... — odparł szynkarz i torebkę otworzył.

Łatwo wyobrazić sobie zdumienie zacnej tej pary, gdy oczom jej przedstawił się pierwszy bilet bankowy, opiewający tysiąc rubli na okaziciela, mających być wypłaconemi przez skarb państwa.

— Tysiąc rubli!.. — zawołał mężczyzna.

Kobieta przytuliła się ramieniem do męża i okiem błyszczącym na papier malowany patrzała.

— A oto drugi tysiąc, a oto trzeci, czwarty... ach Boże ty mój!.. Patrzaj... żołdat!.. Gdzie on się tego nabrał?..

— Nic... nic... — odrzekł mąż, licząc papiery.

Odliczył, na stole rozłożył, kobieta na stole świecę postawiła, wpatrywać się poczęła. Wpatrywali się najprzód w pieniądze z wyrazem admiracji, następnie jedno w drugie z wyrazem zapytania.

— I cóż, Grysza?... — zagabnęła żona po chwili.

Mąż przez nos „hm“ odpuścił i ramionami ruszył.

— Chyba ja przyniosę tobie...

— Co?...

— Nóż... — powiedziała tonem tak spokojnym, jakby chodziło o rzecz jaką zwyczajną.

Szynkarz westchnął i odrzekł:

— Poczekaj...

— I na cóż czekać!.. czy na to, żeby się obudził?... Patrz, jak leży... na boku prawym, lewy do góry.. Widzisz Grysza?...

Szynkarz rzucił na śpiącego okiem z ukosa, pomyślał przez chwilę i począł papiery składać. Szynkarka milczała. Kiedy jednak mąż, włożywszy pieniądze do torebki, zaczął na żołdacie odzież zapinać, odezwała się:

— No?... A toż na co?... Czy to on lepszy od tamtego, co w piwnicy pogrzebany, albo od tamtego, któregoś wyniósł na Arnautkę, albo od tamtego, któregoś...

Szynkarz ręką machnął i przerwał:

— Lepszy, bo z tamtych na jednym zarobiliśmy rubli dziesięć, na drugim trzy, na trzecim kopiejek czterdzieści.. a na

tym, widzisz, co zarobić możemy!.. Dla tamtych przeto nie żał było głowę narażać, z tym zaś trzeba ostrożnie, żeby nie stracić i głowy i pieniędzy...

Uwaga ta trafiła do przekonania szynkarki. Uznała ją, odparła jednak.

— Byleby tylko nie przemądrować...

— W tem rzecz cała... Chodzi o to, żeby go z szynku nie puścić.. a na to sposób... o...

Ukazał palcem na baterje butelek, sztofów i beczek.

— A i ty się do niego przymazuj... — dodał, patrząc na małżonkę. — Widziano go tu, mogą dośledzić, dojść po nitce do kłębka i wówczas... biada nam!.. Trzeba się na to oglądać... Zobaczymy, minie dni parę... jeżeli się nic nie pokaże, to... albo przy nas wszystko zostanie, albo tysiączek jeden drugi, który pójdzie na ten rachunek.

Kobieta ziewnęła szeroko. Ziewnięcie to stało się niejako hasłem do odejścia. Małżeństwo oddaliło się, zabierając światło ze sobą. Izbę zalała ciemność zupełna, która panowała godzin kilka, aż brzask dzienny wdzierać się do niej począł smugami przez szczeliny okienne. Smug jeden padł na oblicze żołdata i ten, jakby pod wpływem onego, przewrócił się, wyciągnął, ziewnął, zerwał się nagle i usiadł.

— Czort pobieri!.. Gdzie to ja? Nu, spało mi się...

Splunął, chrząknął, skrzywił się srode.

— Czy ja nie w szynku, u Grisza?..

Ręce wyciągnął i dotykał się palcami przedmiotów, których dosięgnąć mógł.

— Ba w szynku... Nu, czesny człowiek, ten Grisza, nie wyrzucił... Nu, lepiej taki nocować w szynku, aniżeli na szejżej...

Nagle, jakby sobie coś przypomniał, za pierś się dłonią uchwycił, macnął razy kilka i rzekł:

— Czesny człowiek, nie ma co mówić... bezpiecznie u niego, jak u ojca rodzzonego...

W chwili tej, drzwi od izby przyległej otworzyły się i weszła kobieta, żona szynkarza, którą mieliśmy zaszczyt poznać o godzinie pierwszej w nocy. Weszła z miotłą w rękę, zbliżyła się do okna, otworzyła okiennicę, i ujrawszy siedzącego na ziemi żołdata, krzyknęła tonem zdziwienia:

— Uchti, Boże mój!..

T. T. Jeź. T. II.

— Nu... — odezwał się siedzący. — To ja... Nie bój się, chazajka, ja tu nie przez okno wlaż!.. Bóg wam zapłać za nocleg.. Bóg wam zapłać za to, żeście człowieka jak psa nie wypędzili..

To mówiąc, dźwignął się i na ławie usiadł.

Kobieta stanęła przed nim, wciąż zdumienie udając.

Soldat kaszlał i krzywił się.

— Czyś chory?.. — zapytała ze spólcuciem.

— Czort pabieri!.. brr... u!... Pod sercem czczo... — odchrząknął.

— Stakanczykby może?.. Dobrzeby było na czczość czaju z rumem, ale czaj drogi, a u naszego brata pieniędzy nie ma....

— Jak u którego, chazajka... — odparł soldat. Mnie na czaj starczy... Dawaj czaju...

— Posiedź trochę... Niech no izbę pozamiatam, to wnet samowar nastawię i dam ci parkę takiego czaju, jakiego w samej Moskwie nie dostać...

— Bóg zapłać, chazajka... — mruknął soldat w poczuciu wdzięczności dla kobiety, która przemawiała do niego słowem ludzkim.

W ciągu zamiatania izby, szynkarka rozmawiała z nim o rzeczach obojętnych i wspomniała od niechcenia, że nieraz się trafia, iż w jej szynku i po tygodniu biedak jaki przebywa. W końcu usiadła obok soldata. Temu się słodko na sercu zrobiło.

— Ej, chazajka... — rzekł — bywał ja w Turcji i Bóg wie gdzie, chodził ja na sztyki, a nigdzie mi tak dobrze nie było.... Gdyby jeszcze czaj z rumem, to jużbym nie pragnął niczego...

— A zkad ty rodem?.. — zagabnęła kobieta z przymi- leniem.

— Zkad?.. Czort jego wie... Ale, a!.. — przypomniał sobie. — To u mnie w odstawce zapisano.

I sięgnął ręką w zanadrze, jakby chciał dymisję wydostać, wnet jednak zamiaru tego zaniechał. Kobieta nie nastawała. Posiedziała jeszcze chwilę, następnie wstała, wyszła i po niejakim czasie powróciła, niosąc na tacy czajnik, szklankę, kawałeczek cukru na podstawce i flaszkę z rumem.

— Oto tobie, słuźiwoj, na czczość pod sercem...

Soldat uraczył się. Wypił sześć szklanek herbaty i całą flaszkę rumu.

Tymczasem goście różni przybywać poczęli. W izbie szynkowej pojawił się i Grisza, od niechcenia faworytowi fortuny „dzień dobry“ rzucił, i nie od razu do niego się zbliżył, zbliżwszy się zaś, od razu zapytał:

— Nu... a cóż... myśl?..

— Ach!.. okazannaja!.. Gryzie i gryzie...

— Stakanczyk?..

— Dawaj...

We względzie tym panowała monotonna nudna i obrzydliwa, przerywana raz jeno kłótnią zaciętą z szynkarzem. Temu ostatniemu chodziło o dowiedzenie się o pochodzeniu skarbu znajdującego się w soldackiej torebce. W tym celu, drażnić go paczał, zarzucając mu, że nie posiada całego majątku więcej, jak rubla półtora.

— Tysiące!.. — twierdził soldat.

— Ty tysiąca w życiu twojem na oczy nie widział...

— I widział, i mam!.. Moje własne!.. — bił się dłonią po piersi.

— Zkądżebyś wziął...

— Na lunterji. wygrał!.. panimajesz?.. Tysiące!.. Pani- majesz?..

Szynkarz indagacji nie posuwał dalej. Zręcznym w mowie obrotem przywrócił zgodę i skierował materję na myśl ową przekłątą, która soldata trapiła, ile razy jaśniej nieco w głowie mu się robiło. Myśl i pożyczona szlachcicowi złotówka, były to dwa w głowie jego szkopuły, o które rozbijały się władze jego umysłowe, zalewane ustawicznie spirytusem. Nie ciągnęło się to jednak długo. Nazajutrz rano soldat jak szalony wybiegł z szynku, wołając, że go okradziono. Nikt tych wyrazów nie słyszał, prócz szynkarza i szynkarki. Soldat biegł przez ulicę, chwytając się co chwila za piersi, dobiegł do portu, stanął nad wodą i zawachał się chwilę.

— Czort pobieri! — zawołał.

I w morze się rzucił.

III.

Żyd, żołdat i szlachcic pracowali razem, przez ciąg tygodni kilku w magazynie jednego z zamożniejszych kupców zbożowych, i za namową żyda, wzięli wspólnie cały jeden bilet na loterii. Żyd namówił i wytłumaczył, wytłumaczył i przekonał, że „ryzyko jest rzeczą szlachetną“. Szlachcic się zapalił i zarezykował: rubli trzydzieści; żołdat się zapalił i zarezykował rubli pięć; zapal żydowski posłużył do dopełnienia kwoty, potrzebnej do pokrycia biletu. Los im posłużył. Wygrali stawkę najwyższą i widzieliśmy, jak na tym wyszli żyd i żołdat. Zbawienny wpływ loterii wyraził się na nich w całej sile i nagości. Ani jeden ani drugi nie odnieśli korzyści. Uśmiech fortuny przyprawił ich o śmierć, zawierającą w sobie rozległy sens moralny.

Zobaczmyż teraz co spotkało trzeciego, który z urzędu loteryjnego wyniósł sumę największą.

Ciekawa rzecz: kto to był ów trzeci?

W dwóch rozdziałach poprzednich prowadziliśmy opowiadanie tak, jakbyśmy się trzymali reguły, głoszącej po łacinie, że: *nomina sunt odiosa*. Podawaliśmy fakta bezimienne. Przyczyna tego jest podwójna: najprzód, epizodyczne samych faktów znaczenie, powtórę, ta okoliczność, że w rzeczy samej, nie znamy i nie znaliśmy nigdy nazwisk żyda, co się powiesił i żołdata, co się utopił.

Szlachcica jednak znaliśmy osobiście, dosyć blisko w swoim czasie. Bywaliśmy w domu jego, z którego wynieśliśmy wspomnień kilka, nieczyniących ujmy najmniejszej ani jemu, ani pani jego. Przypominam ich sobie doskonale. On odznaczał się słuchaniem uważnem wszystkiego, co się przy nim mówiło i miał taką minę, jakby słowo każde w umyśle sobie karbował. Ona, tłusta, uśmiechnięta jejmość, słynęła z gościnności wielkiej i z pewnych manier, które ją cechowały, służąc za przedmiot żartów, nie ubliżających jej bynajmniej. Na swoim miejscu wykażemy jej wady i zalety — wady i zalety, właściwe człowiekowi każdemu, nie masz bowiem, zdaje się, nikogo, w kimby się w połączeniu nie znajdowały jedne i drugie. Nie masz śmiertelnika bez wad i bez śmieszności. Posiadała takowe i jejmość, którą kopiujemy wedle obrazu, jaki nam kreślą wspomnienia osobiste młodości naszej.

W oczach stoi mi, niby żywa, postać pani Katarzyny Mędzińskiej.

Szczęśliwcem, co los wielki w największej onego części wygrał, był nie kto inny, jeno Kacperek — ów Kacperek Mędziński, o którym na samym opowiadania niniejszego wstępie, powiedzieliśmy, że nie urodził się pięknym ale szczęsnym.

— Zkądże się wzięła pani Katarzyna? — ktoś zapyta.

Z Kaśki owej, co to się pralni w ohrebyskim dworze trzymała.

Przypominamy sobie, w jakich najgrubszego realizmu skrupach urodziło się pomiędzy niemi coś, czegośmy miłością nazwać nie śmieli. To „coś“ trzymało się ich. On rósł i z lokajczuka wykierował się na lokaja; ona, rosła i z dziewczyny od pobiegów wykierowała się na praczkę formalną: ono się ich trzymało. Kacper i Kaśka lgnęli do siebie, stosunek zaś ich był, nie przymierzając, stosunkiem brata i siostry, pomimo nie-stosowności stanowisk, jakie w hierarchji służbowej zajmowali. On był lokajem — lokaje zaś przez ramię a z góry na motłoch czeladny spoglądali. Patrzyli w stronę garderoby; tam, jeżeli który o związku małżeńskim myślał, myślami strzelali i żaden z lokai aniby zamarzył o mezaliansie z praczką. Gdzie też! I Kacprowi prawdę powiedziawszy, nie marzyło się o zawarciu z Kaśką związków małżeńskich, pomimo to stosunek wzajemnej życzliwości, braterskiej ze strony jego, siostrzanej ze strony jej, utrzymywał się tak długo, póki podkomorzy żył i podkomorzyna na mieszkanie do Odessy się nie przeniosła.

O śmierci podkomorzego i o przeniesieniu się do Odessy podkomorzyny pomówimy później. Obecnie zapisujemy jeno fakt nagi, dodając do onego ten tylko szczegół, że podkomorzyna, opuszczając Ohrebyszcze, sformowała sobie dwór, to znaczy, spisała, jak czasu onego rejestrzyk wyprawy, rejestrzyk służby, i w rejestrzyku tym, pod rubryką „lokaj“ napisała „Kacper“. Kucharz, kuchta, lokaj drugi, masztalerz, stróż, panna służąca, pokojówek dwie, dziewczek dwie, dowiedziawszy się o przeznaczeniu swoim, nie miały przeciwko takowemu nic. Owszem. Nowość podobała się im i uciechę niemałą sprawiała. Przyczyniała się do tego w znacznej części miłość własna, połączona wyborem jasnej pani. Coś to znaczyło; ci bowiem na

których wybór nie padł, uczuli się jakby upokorzeni. Markotno m było.

Markotno jednak było i Kacprowi pomimo, że na niego wybór padł.

Na rejestrzyku nie figurowała Kaśka.

Nie wpadło mu to do głowy odrazu. W pierwszej chwili, gdy się o zaszczycie dowiedział, rozradował się.

— Przynajmniej — pomyślał sobie — człek wyrwie się z tej ulicy zarwańskiej...

Dla czego on dwór ohrebyski nazywał ulicą zarwańską, o tem dowiemy się później. Należy to do historii ogólnej, odzwierciedlającej się w powieści niniejszej. Teraz zajmuje nas historia dwóch serc, z których jedno bije w piersi lokaja, drugie w piersi praczki. Gdy Kacper, pomyślawszy sobie, że to dobrze, iż Ohrebyszcze opuści, Kaśkę spotkał, uczuł, jakby go coś — mysz dajmy na to — w serce ugryzła, i rzekł:

— Kaśka, a wiesz ty?...

— O czym?...

— Ta że o tem, że jasna pani do Odessy się ze wszystkim przenosi...

— Zkądżeby wiedzieć miała!...

— I mnie ze sobą zabiera...

— I ciebie?...

W zapytaniu tem tyle mieściło się uczucia, tyle rzewności, żalu, bólu — powiedzielibyśmy, miłości, gdybyśmy się nie lękali wyrazu tego zprofanować — że Kacper uczuł w sercu swoim coś nakształt ugryzienia, nie myszy już, a dajmy na to psa.

I westchnął.

Kaśka ręce na piersiach skrzyżowała i patrzyła mu w oczy.

Kacper patrzenia tego wytrzymać nie mógł.

Odrzucił się i precz odszedł. Zrobiło mu się jednak markotno, strasznie markotno. Kaśka z rękami skrzyżowanymi i z oczami w niego wpatrzonymi, stała mu w myśli niby wyrzut sumienia. Gdzie się jeno obrócił, wszędzie mu się ona pokazywała. Widział ją na talerzach, w szklankach, w karafkach, w łyżkach stołowych, na półmiskach; wystawała z wazy zupą napełnionej w postaci Najady ociekającej barszczem zabielanym,

przebijając się widelcem; dławiała się kotлетem, który on dla niej schować zamierzał i dla tego zamiaru zaniechał; słowem spokoju mu nie dawała, pomimo, że nic innego nie zrobiła, tylko zapytała: „I ciebie?“ i popatrzyła. Rady sobie dać i uspokoić się nie mógł, aż zaniósł do panny Magdaleny, tej samej, co z podkomorzyną rejestrzyk wyprawy układała, prośbę strzelistą, ażeby ona wstawiła się do jasnej pani i wyrobiła dla Kaśki miejsce w służbie, mającej towarzyszyć pani do Odessy. Była to negocjacja nadzwyczaj drażliwa i niesłychanie delikatna. Kacper ani chciał, ani mógł, aniby się odważył przyznać przed panną Magdalena do czegoś, coby wyglądało, jako cień cienia jakowegoś dla praczki spółczucia. Gdy przeto panna Magdalena zapytała z nienacka:

— Cóż Kacpra Kaśka obchodzi?...

— Co?... — bąknął i uczuł gorąco, które się w piersi zaczęło i do twarzy mu skoczyło.

Zawstydził się tego, że go panna służąca posadziła, iż go praczka obchodzić może.

Wnet jednak opamiętał się i odrzekł:

— Ta coby mnie obchodzić miała!... Ot zwyczajnie... Dowiedziała się snąć, że panna Magdalena jedzie, taj widać, że wielkie ma do panny przywiązanie... Nie śmie, widać, prosić sama i do mnie się udała, wiedząc zapewne, że panna Magdalena na mnie łaskawa...

W rzeczy samej panna Magdalena, starsza od Kacpra o lat jakich piętnaście, czuła do niego pociąg łatwy do zrozumienia. Zręczne, a raczej bezcelne kłamstwo skutek pożądany odniosło.

— No, to dobrze... odparła panna służąca. — Jeżeli tak, to już ja się za nią wstawię do matki księżnej pani...

— A kiedy?... — zapytał Kacper.

— Kiedykolwiek... Toć w kark nikt nie bije... Spiesznego nie ma nic, nie jedziemy przecie aż za miesiąc...

— Ależ bo... — zaczął lokaj zakłopotany — jabym chciał, żeby to można jak najprędzej...

— W gorącej Kacper wodzie kąpany... I dla czegoż to?...

— Dla niczego... Ot, chciałbym się zbyć, żeby z praczką dużo nie gadać...

— To Kacper z nią gadać nie lubi?...

Znów trzeba było w kłamstwie ratunku szukać.

— Choćbym lubił, to cóżbym z nią do gadania miał!...

Jak pogadać chce, to szukam panny Magdaleny...

Panna cisnęła na niego spojrzeniem zalotnem, zrobiła minę taką, jak gęś gdy się umywa, i odpowiedziała:

— No, to powiem jasnej pani jutro przy ubieraniu...

— O! dziękuję!... — zawołał Kacper.

I o mało się nie zdradził intonacją głosu.

Z żywą bardzo, żywszą jak sambył się spodziewał, niespokojnością, wyczekiwał dnia jutrzejszego. Doczekał się. Zaglądał do apartamentów podkomorzyny, ucho nastawiał, czatował na pannę Magdalene, którą złapał na przesmyku gdy do garde roby przechodziła.

— A co?...

— Co?...

— Mówiła panna jasnej pani?...

— O czym?...

— Ta że o tem... och!... — odparł siłąc się na obojętność — o co ja prosił?...

— O Kaśce?...

— A no, o pracce... — wyraz ostatni brzmiał wzgardliwie.

— Mówiłam... no i biedym sobie napytała...!

— Cóż przecie...

— Ani słyszeć chce, jeszcze się na mnie ofuknęła... Niechlują!... powiedziała...

Wyznać musimy, mówiąc nawiasem, że podkomorzyna miała rację jak najzupełniejszą. Kaśka ochędóstwem, nie odznaczała się wcale.

Odpowiedź ta zmieszła Kacpra i zmartwiła. Był markotny; stał się niby struty. Ani się domyślał, ażeby go to tak obajść miało; ani się dorozumiewał powodu, dla którego tak go to obeszło. Kaśka napróżno przychodziła w te miejsca w okolice dworu, w których się z nim zwykle spotykała. Unikał jej nie dla czego innego, jeno dla tego, że poczuwał się względem niej jakby winowajcą. Tak upłynęło dni kilka. Kacper wciąż był niby struty, że to aż uwagę ludzi na niego zwracało, stracił apetyt, stracił sen, zmizerniał, nudził sobą, nad czemes jakby medytował,

i w końcu zdecydował się sam, osobiście do podkomorzyny zakochać. Skorzystał ze sposobności pierwszej lepszej i stanął przed nią w postawie suplikanta — ręce złożone, głowa spuszczone.

— Czego chcesz?... zapytała pani.

— Prosić łaski jasnej pani...

— No... i cóż to nowego?...

— Ażeby mnie jasna pani do Odessy ze sobą zabierać nie raczyła...

— Ażeby cię w Ohrebyszczach zostawiła?...

— Ażeby mnie jasna pani w Ohrebyszczach zostawić raczyła...

— A toż co!... o!... jeszcze czego nie stało!... Cóż to, mam nie brać ze sobą kogo zechcę?... To mi się podobało!... Idź precz i nie nudź mnie!...

Kacper, od dzieciństwa w służbie, tak się dalece w posłuszeństwo wdrożył, że ani mu przez myśl przeszło, że jest człowiekiem wolnym. Odrzuciła jasna pani prośby jego, odszedł i wolę jej przyjął, jak wyrok losu. Od chwili tej lżej mu się nieco na sercu zrobiło. W sumieniu swoim uznawał, że zrobił wszystko, co w mocy jego było. Uspokoił się więc. Przestał być niby strutym, pozostał napowrót markotnym — pozostał markotnym do samego końca pobytu w Ohrebyszczach i do samego końca unikał spotkania z Kaśką.

O unikaniu tem to jeno powiedzieć możemy, że nie było ono bez kozery. Ktośby pomyśleć gotów, że stanowiło ono dowód, iż skłonność jego do praczki wchodziła do kategorii skłonności owych zwyczajnych, lokajskich, co to cofają się przed pierwszą lepszą przeszkodą. Przeszkoda się zdarzyła w woli podkomorzyny i on jej dał za wygraną. Nie. My pod względem tym innego jesteśmy zdania. Gdyby skłonność jego była w rzeczy samej zwyczajną, lokajską, to on wywiązałby się z niej w sposób zwyczajny, lokajski: zarzuciłby na dziewczynę sieć miłosną, odegrałby przed nią scenę rozpacz, otumaniłby ją wyrazami, wyzyskał i porzucił. Rzeczy te robią się wedle jednego i tego samego patronu, barwiącego jednakowo miłostki wszelkie. Im więcej słów, tem mniej treści. Strona słabsza, strona bierna pada ofiarą; mocniejsza zaś odchodzi z westchnieniem, które natychmiast zmienia w kogucie pianie, ogłaszające tryumf. Tak postę-

pują sobie lokaje w sprawach tego rodzaju. Zwyczajność polega na tem, ażeby wyzyskać stronę słabszą. Dla Kacpra nie było nic łatwiejszego, jak w sposób podobny skłonność swoją pokierować. Kaśka co rano, co wieczór, a przytem często w różnych dnia porach, czekała na niego „pod umówionym jaworem“. On ją widywał z daleka... czekającą, wyglądającą, tęskniącą, mniej mytą jak zwykle, co dowodziło, że całkiem o sobie myśleć przestała, jak na rzetelne rozkochanie przystoi — i nie szedł do niej. Powściągliwość ta — wyznać należy — płynęła z pobudek szlacheckich: nie jeden z nielokajów nie zdobyłby się na nią — nie zdolałby oprzeć się pokusie pocieszania strapionej, bez względu na rezultaty fatalne, do jakich pocieszania podobne zazwyczaj doprowadzają.

Kacper oparł się pokusie owej.

Sto razy pędził już w celu spotkania się z Kaśką, i sto razy powstrzymał się w zapędzie.

Poczytujemy mu to za zasługę i wielką. Dowodzi to, że choć lokaj, głos sumienia rozumiał i nie kwapił się ze zrobieniem dziewczyny nieszczęśliwą. Powstrzymywał się w zapędach do samego ostatka. Zajeżdżała karetą podróżna, mająca odwieźć podkomorzynę do Odessy, on pożegnawszy matkę co nieopodal stała, stanął przy drzwiczkach, otworzył je dla jasnej pani, wyprowadzanej i żegnanej przez syna i córkę, zamknął za nią tackowe i na koźle obok stangreta miejsce zajął. Stangret bat rozwinał — „wio-ho!“ — konie ruszyły. Dopiero Kacper obejrzał się. Wzrok jego spotkał się ze wzrokiem Kaśki. Stała w dali z rękami skrzyżowanymi na piersiach i patrzyła się na niego tak samo, jak wówczas kiedy zapytała: „I ciebie?“

Serce mu się ścisnęło.

Łzy do powiek nabiegły.

Zachłysnął się, i usiłując płacz w sobie stłumić, ryknął głucho, aż się stangret zgorszył.

— Beczysz?... he?... — zapytał. — Jest za czem!... Ja Bogu dziękuję, że się wyrwałem z tego dworu, który po śmierci starego pana stał się zapadnię... W Odessie nie będzie może lepiej, będzie jednak inaczej... Wio ha ho!..

Słowa te uspokajająco wpłynęły na Kacpra. Obejrzał się atoli jeszcze. Dziewczyna wciąż stała. Kiwnął do niej głową na

pożegnanie. Ona nie odkiwnęła. Poprawił się na siedzeniu; wyjechali za wieś, minęli figurę, obejrzał się znów.

— Co u licha?... — rzekł sam do siebie.

Oczy przetaił.

Drogą ktoś pędził za kareta. Ktoś ów przedstawiał się pod postacią niewieścią.

— Czyby ona?...

Wnet jednak sam sobie odpowiedział i wyperswadował:

— Nie, to być nie może... Chybaby zwarzowała.

Oglądał się wszakże i widział wyraźnie pędzącą postać jakąś, która coraz to znikwała w miarę, jak unoszona dobrym kłusem karetą oddalała się od Ohrebyszc. Wreszcie znikły i Ohrebyszcze, znikła i postać.

— To nie ona... — mówił Kacper do siebie w duchu. — Cóż znów!... A zresztą, chociażby i ona, to... przebiegnie się i koniec końcem powrócić musi... Tak sądzono...

Myśl o Kaśce prześladowała go przez cały ciąg podróży. Stwierdził na sobie prawdę słów piosenki pewnej, w której za zwrotką każdą powtarza się dwuwiersz następujący:

„Żal, żal za dziewczyną,
Za dziewczyną, za jedyną.“

Żal mu było serdecznie za Kaśką brudną. Cóż jednak! Rozwaga przyszła w pomoc i postawiła kwestję na gruncie praktycznym, wyprowadzając ją z następującego pytania: czem on był dla Kaśki, a czem Kaśka była dla niego? Niczem. Możliwość skojarzenia się małżeńskiego ani mu do głowy przychodziła. Stanowisko jego społeczne czyniło przypuszczanie czegoś podobnego niepodobnem. On lokaj! ona praczka! A zatem, rozstanie które nastąpiło, nastąpić musiało prędzej czy później, nie w ten to w ów sposób. Stało się. Rzecz skończona. Rozwaga rozwiązała węzeł gordyjski, który się zawiązał nieregularnie. Resztę dokończyła dystrakcja, jaką sprawiło miasto wielkie.

Kacper był w Odessie po raz pierwszy w życiu swoim. Odessa zajęła go i ogłuszyła; tysiące przedmiotów nowych a ciekawych, rzucając mu się w oczy, wywierały na umysł jego i na wyobraźnię wrażenie silne, w pierwszych zwłaszcza chwilach pobytu.

Podkomorzyna nie zajeżdżała do hotelu. Zajechała wprost do domu na ulicy Włoskiej, który wynajęty dla niej zawczasu, umeblowany i we wszystkie sprzęty zaopatrzony, czekał na jej przybycie. Był to dom piętrowy, z bramą wjazdową, z podwórzem, ze stajniami, z wozownią, dom obszerny i wygodny, posiadał bowiem nawet i ogródek, w którym znajdowało się trochę zieleni i chłodu. W zabudowaniach podwórzowych mieściły się izby dla służby. Tu Kacper, ku niemałemu zdziwieniu swemu, dowiedział się, że słudzy mają prawo mieszkać, równie jak panowie. W Ohrebyszczach było to dla niego tajemnicą. Tam ludzie służebni nie mieszkali wcale, a raczej, mieszkali na wzór psów, przesiadywali przez dzień gdziekolwiek i sypiali w nocy gdziekolwiek, ten na podłodze, ów na ławie, inny na stole, na stołkach etc. W Odessie znalazł izbę, przeznaczoną dla niego i lokaja towarzysza jego, a w izbie tej łóżka z pościelą, stolik, stołków parę, firanki w oknie i obrazów kilka na ścianie. Zdziwiło go to wielce.

— Co to, miasto... trzysta mu!... — rzekł do towarzysza, rozbierając się pierwszego wieczora — człek wyspi się przynajmniej, niby pan jaki...

W parę dni później towarzyszył podkomorzynie, która robiła wizyty; dalej przyuczał się do trybu służby miastowej, do anonsowania gości, dyżurowania w przedpokoju, przyjmowania natrętów, asystowania jasnej pani w powozie i na piechotę, noszenia za nią książek do nabożeństwa w kościele i szala na przechadzce, wyskakiwania na odgłos dzwonka, i t. p. W wolnych chwilach, najmilszym jego zajęciem było gapienie się na mieście, co przynosiło korzyść niejaką, w ten bowiem sposób poznawał się powoli z wewnętrznym rozkładem Odessy i rozpoznawał się we właściwościach jej. Podkomorzyna często potrzebowała posługi; rzadkim był dzień, w którymby ona posyłała lokaja, nie tam, to ówdzie, mniej jak razy dziesięć, tak, że dwóch było dla niej za mało. I to więc także dawało mu sposobność osławiania się z miastem, które, w przeciągu miesiąca, poznał dostatecznie, zbadawszy nawet niektóre z tajemnic jego, między innymi tę, co się odnosiła do trzymania zboża w magazynach. Przyszło to mu samo przez się, z okazji pszenicy z Ohrebyszcz przysłanej. Pszenicę tę sprzedano na rachunek podkomorzyny, która, z tego powodu, posyłała Kacpra razy

kilkadziesiąt, to do komissanta, to do kupca, i kazała mu w końcu stać przy mierzeniu w magazynie. Tam widział szufowanie i dowiedział się, że przynosi ono dwa i trzy złote dziennie temu, co posiada siły odpowiednie. Wiadomość tę zakarbował sobie w pamięci, jak wiele innych, nie przewidując, ażeby mu kiedy przydać się mogła na co.

Czas mu uchodził szybko. Minęło miesięcy kilka.

Razu pewnego, nad wieczorem, stojąc za kareta, w której siedziała podkomorzyna z hrabiną jakąś, przemieszkującą w Odessie, jechał ulicą Riszeliowską ku bulwarom. Kareta zatrzymała się przy Palais Royal. Zeskoczył, podbiegł do drzwi, czekał i chciał otworzyć takowe, lecz podkomorzyna powstrzymała go gestem i odpowiedziała hrabinie na uczynioną snąc przez tę ostatnią uwagę, czy też propozycję:

— Dobrze... rzeczywiście, wieczór piękny a jeszcze nie tak późny, ażeby tłum się ciągnął... Jeżeli więc pani życzy sobie...

— O!... — odparła hrabina. — Jeżeli to pani nie zrobi różnicy żadnej... Ja lubię bardzo świeże od morza powietrze... ma w sobie coś...

— Balsamicznego... — podchwyciła podkomorzyna.

— Tak... no... tak... Bardzo lubię to powietrze...

— I ja lubię je bardzo... Każ więc — słowa te odnosiły się do Kacpra — jechać na bulwary i niech się kareta przy posagu Riszelięgo zatrzyma...

Kacper powtórzył rozkaz stangretowi, wskoczył na stopień za pojazdem, kareta ruszyła i wkrótce potem stanęła.

Panie wysiadły i krokiem powolnym udały się najprzód ku schodom, zwanym olbrzymiami — z powodu zapewne olbrzymiego głupstwa, które zbudowało ten ornament bezużyteczny — następnie wzdłuż alei, wysadzonych bzami i akacjami.

Kacper, stosując się do przepisów służby lokajskiej, powinien był, w odległości kroków piętnastu, iść za paniami.

Nie szedł jednak.

Panie poszły same. Podkomorzyna gdy się obejrzała i nie zobaczyła lokaja za sobą, skipiała. Wydało się jej to czemes takim, co o pomstę do niebios wołało. Zgroza! Matka księżnej pani, na przechadzce, bez lokaja! ktoś gotów ją wziąć za szlachciankę, za kupcową, za urzędniczkę. Rzecz niesłychana! Szła i o mało nie omdlewała za krokiem każdym, a nie mogła

się kompromitować w obec hrabiny, oglądając się, lub też nawołując Kacpra do porządku. Byłoby to jeszcze gorzej. Szła więc, ale — jak to powiadają — jak na ścieżce, słuchała paplania towarzyszek o balsamiczności powietrza i czuła w sercu rozpacz prawie, z powodu afrontu, wyrządzonego jej przez własnego lokaja. Nie była jednak w stanie podtrzymać rozmowy, czem zdziwiona towarzyska, spojrzała na nią, widziała ją zmienioną i zapytała:

— Pani niedobrze?...

— Niedobrze mi jest, czuję się zalterowaną...

— Powietrze zbyt silne na nerwy pani... I ja tego doznawałam w początkach... Trzeba się przyzwyczaić i nie nadużywać... Możeby wrócić?...

— Wracajmy, jeżeli pani... — westchnęła.

— O! wracajmy... Niepokoi mnie stan pani kochanej...

— O! pani kochana...

— Niechże pani natychmiast poszła po doktora...

Zawróciły, nie doszedłszy do połowy alei, ciągnącej się wzdłuż urwiska z jednej i wzdłuż szeregu domów wspaniałych z drugiej strony, i skierowały się ku karecie, stojącej po lewej stronie pomnika.

Cóż się z Kacprem stało?

Kacper, gdy się pojazd zatrzymał, towarzyszył paniom do pomnika, który one obeszły od lewej strony na prawą; znalazłszy się jednak pod ręką Riszelięgo, trzymającą zwitek papieru, stanął nagle niby wkopany. Zatrzymało go westchnienie — nie westchnienie a jęknięcie raczej, od którego drgnął ciałem. Odwrócił głowę — czoło mu się zmarszczyło, oczy zaśmiały, doznał zarazem uczucia zdumienia, radości, pomieszania, przestachu, politowania — ujrzał przed sobą Kaśkę — Kaśkę, we własnej jej skórze i kościach, w skórze, w kościach, w łachmanach, w nędzy, która biła i z odzieży jej i z niej samej.

— Kaśko!... — przemówił do niej z cicha, niby pod sekretem, zaledwie wierząc samemu sobie, że ten „straszny upiór jest to Aldona“.

Dziewczyna pogarnęła się do niego w rozradowaniu wielkiem, wnet jednak wstrzymała się, dłonie do oczu poniosła i cicho płakać poczęła.

— Zkąd ty się tu wzięła?... co to znaczy?... jak ty się tu dostała?... Kaśko, choć słówko przemów...

Zadawał jej pytania po pytaniach, ale wszystko napróżno. Słówka od niej wydobyć nie mógł, stał i nalegał, zapomniał o podkomorzynie, gdy wtem uczuł woń perfumerji, któremi się skrapiają damy wielkiego świata i usłyszał słowa następujące, tonem cierpkim wymówione:

— Kacper... każ karecie podjechać...

Podkomorzyna rzuciła te wyrazy i minęła go.

Kacper poskoczył zrazu, zatrzymał się wnet jednak, nawrócił i nie pierwiej rozkaz podkomorzyny wykonał, aż Kaśce powiedział:

— Czekajże tu, czekaj i nie ruszaj się, póki ja nie przyjdę...

Dziewczyna nic nie odpowiadała, Kacper powtórzyć musiał i zapytał:

— Słyszysz?...

Odpowiedzi żadnej.

— Kaśka, na Boga!... Czy słyszysz?...

Kaśka nic na to.

— Czekajże na mnie!... Czekaj, nie ruszaj się!... Będę starał się przyjść jak najprędzej...

Acz spieszył się, nie mógł jednak nie narazić podkomorzyny na czekanie, które chociaż krótkie, wydało się jej wiekowem. Kiedy więc kareta podeszła i Kacper drzwiczki otwierał, spojrzała na niego wzrokiem przeszywającym, wzrokiem który, gdyby na wyrok przetłumaczyć, opiewałby darcie pasów z żywego ciała. Wiedzieć należy, że podkomorzyna, natychmiast po osiedleniu się w Odessie, zaciągnęła się pod sztandar miłosierdzia i praktykowała takowe na szeroką skalę, czuła się przeto upoważnioną do karcenia surowo zbrodni takich, jakich się lokaj jej względem niej dopuścił. Dowiedziała się bowiem, co Kacpra zatrzymało. Dla żebraczki jakiejś, nietylko na przechadzce jej nie towarzyszył, ale zmusił ją czekać na powóz „całą godzinę“ — nawiasem mówiąc nie było i minuty. Dlatego też, wsiadłszy do karety, nie mogła się powstrzymać od wynurzenia przed hrabiną żalu.

— Przepraszam panią... — przemówiła — serdecznie przepraszam...

— Za cóż to, pani kochana?...

— Ach! za służącego mego... Musiałymy *godzinę całą* na karetę czekać... Przepraszam panią... Te sługi, to plaga prawdziwa... Co za zepsucie! co za demoralizacja!...

— Ach! to prawda... — odparła hrabina. — Powszechnem jest narzekanie na nich...

— Powszechnem i słusznem... — podchwyciła podkomorzyna. — Bo proszę sobie tylko wyobrazić, ten... ten... — powiedzieć chciała „łotr, łajdak, zbrodniarz“, lecz się powstrzymała. — Mąż mój nieboszczyk obsypał go dobrodziejstwami, w domu naszym się wychował, ja z mojej strony nie szczędziłam względów dla niego... kiedym raz, przypominam sobie, dowiedziała się, że chory, dałam rozkaz ażeby mu rumianku ugotowano... i on, proszę wystawić sobie, kazał na powóz czekać godzinę całą!... To już wszystko przechodzi...

— Pani kochana nie stanowi wyjątku w tym względzie... — perswadowała hrabina. — Pozostajemy wszyscy na łasce sług najgorszych...

— Ach! tak... Ależ, niewdzięczność taka!... Zwierzęta są wdzięczniejsze...

— O! bez porównania...

— Piesek mój, Mimi, na przykład...

— Albo moja papuzia, Koko... Czy prezentowałam Koko pani kochanej?... Jaka miła!... jaka luba!...

— Mój Mimi nigdy nie zapomina szczeleć z radości, jak mnie zobaczy chociażby po jak najkrótszem niewidzeniu...

— Moja papuzia mówi mi, ile razy zechce: Koko kocha swoją panią...

— O, zwierzęta wdzięczniejsze są, aniżeli ludzie kondycji niskiej.. Zwierzęta umieją dobrodziejstwa ocenić; ludzie... nie...

Powóz się zatrzymał przed domem podkomorzyny, przed którym oczekiwał powóz hrabiny; panie wysiadły; Kacper otwierał usta, chcąc, jak się zdaje, coś do pani swojej przemówić, lecz spotkał się z jej wzrokiem takim wymownym, że mu wyrazy uwieźły w gardle; nie przemówił więc nic, otworzył przed paniami podwoje do wnętrza domu prowadzące, zrobił na lewo w tył, i nikogo nie pytając, ani też nikomu się nie opowiadając, krokiem zdwojonym ruszył wprost do pomnika Riszelięgo.

Kaśka czekała.

Dziewczyna powitała go uśmiechem, dość dziwnie odbijającym od podartej jej odzieży i zbiedzonej twarzy. Nie płakała już. Oczy piwne świeciły blaskiem, dla którego porównania szukaćby należało w mineralogii, pomiędzy kamieniami najdroższymi.

— Kaśko, zkad ty tu się wzięła?...

— Ot... przyszłam... — odrzekła dziewczyna.

— Jak?... z kim?... czy sama?...

— Sama jedna... Przyszłam, taj...

— Taj co?...

— Nic... — Spojrzała Kacprowi w oczy i oczami powiedziała to, czego ustami wyrazić nie umiała.

— Po cóżes ty przyszła?...

— Ja nie wiem... nie wiem... Coś mnie ciągnęło... za tobą...

— Kaśko!... — rzekł Kacper.

Nastąpiła chwila milczenia, w ciągu której w sumieniu Kacpra rozstrzygnęła się kwestja: czem ona jest dla niego, czem on jest dla niej?... Kwestja ta, jak sobie przypominamy, była rozstrzyganą. Rozstrzygnęła się atoli teraz wręcz przeciwnie. Kacper, nie mówiąc, nie kombinując, nie myśląc nawet, powiedział sobie: „Ona dla mnie wszystkiem, ja dla niej wszystkim.“ I nie rozpytywał już dziewczyny więcej. Rzekł tylko:

— Chodź...

Ona poszła.

Zaprowadził ją do domu podkomorzyny na ulicy Włoskiej. Na podwórzu otoczyli ją słudzy, witali, rozpytywali, żartowali z niej.

Kacper udał się o instancję do panny Magdaleny.

— Panno Magdaleno... — rzekł, układając minę błagalnie.

— Kaśka...

— Co Kaśka?... — zapytała panna surowo.

— Przyszła... przywlekła się... niech Bóg broni, jaka zbiedzona!... Skóra na niej i kości, a na kościach łachmany... Niech panna Magdalena przemówi do miłosierdzia jasnej pani, niech się nad nią zlituje...

— Ja nie wiem, doprawdy... — odparła panna służąca sucho — co Kacper ma do Kaśki... I po cóż tu ona?...

— Z przywiązania do panny Magdaleny...

— Oj!... — uśmiechnęła się złośliwie. — Z przywiązania do mnie?...

— Do jasnej pani!... — podchwycił Kacper. — Niech panna będzie łaskawa, słówko za nią przemówi... Panno Magdaleno!...

— Dobrze... natychmiast... zobaczmy... — odrzekła panna i odeszła.

Kacper, stojąc niby na węglach żarzących, czekał na odpowiedź.

Doczekał się takowej — ale jakiej!...

— Precz!... precz!... dały się słyszeć okrzyki.

Okrzyki te płynęły z ust podkomorzyny.

— Zgroza!... zgorszenie!... wypędzić ją, wypędzić!... natychmiast!... Kacper!... gdzie Kacper!...

Kacper spłonął oburzeniem.

— Niewdzięczniku!... nikczemniku!... — przemawiała do niego drżącymi ustami, bladą na twarzy, mierząc go roziskrzonym okiem. — Nikczemniku!... nędzniku!... zasługujesz, ażeby i ciebie także wypędzić kazała!... A byłaby to dla ciebie kara łagodna, boś ty się dopuścił zbrodni, zbrodni najczarniejszej, zbrodni niewdzięczności!... Ciebieby ówiertować, na kole łamać!... Nie dość jednego (odnosiło się to do afrontu na bulwarach), jeszcze mi niechluję, paskudnicę, ładaszczycę w dom wprowadzasz?... Precz z nią! a ty (tu rękę wyciągnęła z gestem majestatycznym i palcem na Kacpra pokazywała), ty... pójdz mi jutro do kościoła, do spowiedzi i powiedz księdzu, żem go prosiła, ażeby ci kazał za karę, za pokutę godzinę całą, na środku kościoła, przed wielkim ołtarzem, krzyżem leżeć!...

Zadyszała się.

— Ach!... Kazałeś ty mi godzinę całą na powóz czekać!... Dziękuj Bogu, że ci dał panię taką jak ja!... Idź!... idź i do spowiedzi się gotuj!...

Kacper, nie rzekłszy ani słowa, odwrócił się, odszedł, ale nie w tym bynajmniej celu, ażeby rozkaz podkomorzyny spełnić. Nie poczuwał się on do winy żadnej. Wyszedł na podwórze, gdzie Kaśkę zostawił — tam już jej nie było. Wyszedł na ulicę — stała pod topolą zaledwie widna w zmroku wieczornym. Zbliżył się do niej, wziął ją za rękę i rzekł:

— Kaśko, my się już nie rozłączymy więcej... chodź!...

IV.

Wędrownica Kaśki była to Odysseja, w rodzaju swoim wielce ciekawa, — nieszczęściem tylko, nigdy wszystkich szczegółów onej dowiedzieć się nie było można, ażeby z takowych ułożyć, podzieloną jak wędrownica Child Harolda na strofy i pieśni, całość kształtną i harmonijną. Źródło jedyne stanowiła Kaśka sama, to zaś, niby źródłisko Nilu, ukrywało się w zagadkowości niedostępnej. Z opowiadań jej urywkowych i przypadkowych, to jeno stawało się jasnym, że błądziła, gdy w Odessie nareszcie stanęła, że nie wiedzieć jak znalazła się pod posagiem, ukazującym ręką jedną na morze i trzymającym w ręku drugim zwitek papierów, w którym ona, rozumie się, papierów ani się domyślała. Ta, wyciągnięta na morze ręka, zaimponowała jej wielce. Nie wiedziała, co to oznacza, jednakże spoglądała na morskie topiele z pewnym rodzajem pociągu nieprzepartego, jakby chciała w nie skoczyć i zakończyć żywot mizerny, gdy nagle zoczyła Kacpra. Ochota owa płynęła z pobudki podwójnej: moralnej, to jest tej, co ją ciągnęło do Kacpra, i fizycznej, to jest tej, co się nazywa głodem. Od dni kilku nie jadła. We wnętrznościach jej panowały pustki, w umyśle odmęt, skutkiem którego nie umiała Kacprowi na zapytania odpowiadać, i zaprowadzona przez niego do domu na ulicy Włoskiej, gdy z domu tego wypchnięta została, zaledwie rozumiała, co ją spotkało. To jest, zrozumiała ona, ale pokładając w Kacprze ufność nieograniczoną, przyjęła cios ten spokojnie — wypchnęli ją, drzwi za nią zatrzasnęli, ona odeszła pod topolę, stanęła i oczy zawiesiła na bramie w przekonaniu, a raczej bez przekonania żadnego, a tak sobie, w poczuciu nieokreślonego jakiegoś prawa własności do miejsca, które zajęła, i na którym byłaby umarła, gdyby w tym względzie nic jej nie przeszkodziło.

Przeszkoda spotkała ją ze strony Kacpra i wydała się jej całkiem naturalną. Wziął ją za rękę — poszła.

Poszli przez ulicę oświetlonego miasta. Mijając wystawę owoców, zwaną *Tutti frutti*, Kacper kupił dwie pomarańcze i dał jej. Kaśka pochwyciła je z łapczywością zwierzęcą i pożarła ze skórką.

— Tyś głodna?...

— Och!... — była jej odpowiedź.

Zaszli do jednego z hoteli trzeciego rzędu. Kacper zażądał numeru osobnego, zapytał o cenę, zapłacił, wprowadził ją tam i herbaty, cytryny, araku, chleba z masłem i szynki plasterek podać kazał. Garson, co artykuły te na tacy przyniósł, zachnął się ze zdumienia, widząc żebraczkę traktowaną przez lokaja, na którym liberja i guziki z herbami i książecą koroną (matka księżnej pani sądziła posiadać prawo do korony książęcej na guzikach liberyjnych) zdradzały pochodzenie z wielkiego domu. Zachnął się, ale — co go to obchodziło! Dyskrecja jest cnotą, wyznawaną przez garsonów przed wszystkimi innymi. Kto płaci, ten ma prawo do względów kupnych. Garson postawił tacę, zapytał o rozkazy i w odpowiedzi otrzymał polecenie przygotowania pościeli czystej i wygodnej.

Kaśka z wyrazem wdzięczności najwyższej patrzyła na Kacpra i jeść się jej prawie odechciało. Zachęcona jednak wzięła się do spożywania darów bożych, posiliła się i opanował ją pościąg do snu taki gwałtowny, że nie wiedziała, skutkiem jakiego to procederu znalazła się w łóżku, sama jedna, w ciemności zupełnej. Kacper ją położył, drzwi na klucz zamknął, sam zaś wyszedł na ulicę, nie powziawszy zamiaru żadnego, co ze sobą począć. Na myśl mu to nie przychodziło. Myślał o czem innym, chodząc po mieście; o tem naprzykład, ażeby Kaśce okrycie jakieś sprawić, w któremby ona nie gorzej wyglądała od panny Magdaleny. Z tego wychodząc punktu, doszedł do tego, że okrycie decyduje o wartości człowieka.

— Gdyby Kaśka ubrała się, jak panna Magdalena, to nie byłaby od panny Magdaleny gorszą...

Zestawienie to podyktował mu żal, jaki czuł do panny służącej.

Żal ten sam, wysnuwając myśli wedle ich powinowactwa, doprowadził go do popełnienia zuchwalstwa, na któreby się przedtem nie odważył.

— Gdyby — powiedział sobie — Kaśka ubrać się mogła, jak jasna pani, to nie byłaby od jasnej pani gorszą ani trochę...

Zuchwalstwo było wylaniem żółci, najwyższym żalu stopniem, po dojściu do którego nastąpiło przesilenie; nasz Kacper zasnuł myśl na warsztacie pożycia we dwoje i do takiej doszedł konkluzji:

— Nie ma co... pobierzemy się... Mam trochę grosza uciulanego, wystarczy na początek, a tam dalej... jakoś to Pan Bóg da...

I układał sobie plany w nieskończoność, wychodząc z punktu tego:

— Znajdę sobie inną służbę... lokajską?... a! nie... nie... — rzekł stanowczo. — Nie chcę już lokajować... Póki byłem sam, to jeszcze, ale... teraz... nie!... Nie chcę, ażeby ludzie o żonie mojej, o dziecku, jeżeli Bóg da, mówili: To żona, to dziecko lokajskie... Stanę raczej do pracy.. Do jakiej?... mniejsza o to... Będę pracował...

I marzył o pracy.

Marzył przez noc całą, chodząc po ulicach Odessy. Nad rankiem usiadł na bulwarach, na ławeczce. Wiatr pociągał. Morze huczało. Zdrzemnął się i obudził, gdy się słońce pod horyzont wytoczyło, rzucając połtę na okręty w porcie, na fale morskie, na budowle, na wybrzeża chersońskie. Skoczył z miejsca i udał się wprost do magazynów, handlujących tandetą. Było jeszcze tak rano, że czekać musiał, zanim sklepy otworzono; a jak tylko otworzono, natychmiast nakupił dużo rzeczy za tanie pieniądze dla Kaśki i dla siebie, i w dodatku zabrał znajomość z kupcową, której uczynił półzwierzenie, powiadając, że zakładany jest z wynalezieniem jakiego uczciwego a taniego pomieszkania dla siostry, co do Odessy przybyła. Kupcowa dała mu stosowną radę i adres. Kacper udał się do wskazanego domu. Pokazano mu izdebkę. Umówił się o cenę. Dał zadatek i z zawiniątkiem pod pachą ruszył wprost do hotelu, w którym przysła jego noc spędziła.

Nie podejmujemy się opisywać zdziwienia i radości, jakich Kaśka doznała na widok strojów, które jej Kacper przyniósł. Zachwyciła się perkalową koszulą, białą spódnicą, kwiecistą chusteczką, perkalowym szlafrocikiem, pończochami i trzewiczkami. Nigdy w życiu podobnych nie posiadała strojów. Co który zobaczyła, to okrzyk wydawała i zapytywała, jakby dla upewnienia się:

— To moje?...

Kacper cieszył się radością dziewczyny, która dziękować nie umiała. Dziękowała radością. On wyszedł na chwilę, na galerję, ona się tymczasem ubrała i sama sobie dość napatrzeć się

nie mogła w zwierciadle, odbijającym postać jej w odzieży czystej i całej.

— A teraz... — odezwał się Kacper — poprowadzę cię do mieszkania twego...

— Alboż ja mam mieszkanie moje?... A tu?... w tym domu?...

— To zajazd... Tu tobie zostawać nie wypada...

— Ale w tem mieszkaniu mojem, mieszkasz i ty?...

— I ja będę mieszkał... Będziemy mieszkali razem, jak się pobierzemy...

— Pobierzemy się!... — zawołała dziewczyna. — Ja z tobą?...

I zawstydzila się okrzyku własnego. Oczy spuściła, spłonęła i bąkać poczęła:

— Po-bierze... Po-bie... chę!... no... toć chyba... toć ja...

— Zrobisz mi to, o co cię poproszę?... — zagabnął Kacper.

— Co?... hm... — wyjąkała z oczami spuszczone.

— Pokażę ci, gdzie jest kąpiel... i do czysta się wymyjesz.

— O!... jeszcze co...

— Zrób to dla mnie, Kaśko moja... — przemówił tonem prosby.

— Ta, cóż z tobą poradzić!... Niech już i tak będzie...

Spełniła tę ofiarę. Skapała się. Kacper, który na nią czekał, zaprowadził ją do izdebki najętej, i czasu nie tracąc, zajął się uregulowaniem stanowiska swego.

Co się tego ostatniego tyczy, trzeba było jakoś rozstać się z podkomorzyną.

W tym względzie nie obeszło się bez przejść niemiłych.

Podkomorzyna, w przekonaniu, że przestępca, sposobiąc się do spowiedzi, wspaniałomyślność jej podziwia, nie troszczyła się już o niego po scenie majestatycznej, jaką mu wyprawila, która, w jej mniemaniu, powinna go była przyprowadzić do skruchy, opamiętania, żalu za grzech i postanowienia poprawy w odniesieniu do służby lokajskiej na przechadzce. Niemaltem też było jej zdziwienie, gdy się od panny Magdaleny przy wstawaniu dowiedziała, że grzesznik za służbę jej dziękuje.

— Nie może być!... — krzyknęła.

— Proszę jasnej pani, sam mi to powiedział...

— Kiedy?...

— Przed chwilą... Przyszedł ubrany w jakiś surdut, w któ-

rym wygląda, za pozwoleniem, jak w pożyczanym... i powiedział mi: Niech panna Magdalena dołoży jasnej pani, że za służbę dziękuje... Powiedział to tak hardo, że... doprawdy... nie wiem...

— No proszę... co za łajdak!...

— Zdaje się, że noc na rozpuście spędził, bo mu źle z oczów patrzy...

— Jakto!... w domu nie nocował?... — zawołała podkomorzyna ze zgrozą.

— Nie nocował, proszę jasnej pani...

— I śmie jeszcze, ten nędznik, hardo się stawiać?... Zgorzenie!... świata skończenie!... Ha!... Ale nie!... Jest przecie i na tej ziemi sprawiedliwość jakaś.. Rzecz taka płazem ująć nie może... Poszlij mi asanna natychmiast po pana Grochiewicza; niech go proszą, ażeby niezwłocznie przyszedł do mnie... Oddam go do więzienia na lat dziesięć przynajmniej...

Grochiewicz był to komissant zbożowy, który pełnił funkcję *d'homme d'affaires* podkomorzyny. On wynajął i umeblował dom; do niego odwoływała się w sprawach wszelkich. Przywołany stawiał się. Z kapeluszem w rękę, w rękawiczkach, wypomadowany, uperfumowany; z obleśnym na ustach uśmiechem i z niskim ukłonem, zapytał podkomorzyny, co ma mu do rozkazania.

— Ach! panie... — odrzekła. — Muszę przed panem przyznać się, że jestem dla sług moich dobrocią samą... Psuję ich, ja wiem, ale cóż poradzę... *C'est plus fort que moi*... Nie umiem być inną... Proszę wyobrazić sobie, jeden z lokai moich, obsypany dobrodziejstwami przez nieboszczyka męża mego i przeze mnie... proszę wyobrazić sobie, zamiast iść do spowiedzi, jak mu kazałam, w domu nie nocował i za służbę mi dziękuje...

— A!... — zawołał pan Grochiewicz.

— Zepsucie straszne!... Czy nie ma hamulca na to?...

— W rekruty oddać bez zaczotu, jeżeli to poddany jasnie oświeconej pani...

Grochiewicz udawał, że nie wie, iż podkomorzynie nie należy się tytuł księżny...

— O nie... Nie chciałabym posuwać się tak daleko... — odparła pani, nie wyznając przez uczucie pokory chrześcijańskiej zapewne, że ten, co zbrodni strasznej stał się winnym, jest szlachcicem takim dobrym jak ona.

— Więc Syberja, rotty aresztanckie...

— Otóż to... — podchwyciła. — Niechby na lat kilka, dzieś się naprzykład, poszedł w rotę aresztanckie, do robót ciężkich, ażeby się upokorzył, bo nie uwierzy pan jak hardo, jak mi panna służąca powiada, za służbę podziękował... To wszelkie przechodzi pojęcie!... Ofiarę robię prawdziwą, pozbywając się lokaja jednego, ale co począć... Potrzeba przykładu, czuję się bowiem odpowiedzialną przed panem Bogiem za sługi inne...

— Słusznie, jasnie oświecona pani... Uczucie to jest o ile wzniosłe, o tyle szlachetne, podzielałam je w zupełności i... nie ma co (tu udał namysłanie się chwilowe)... Gdzież on?...

— Musi być gdzieś tu... — odrzekła i minę taką zrobiła, jakby zawołać chciała.

— Nie, jasnie oświecona pani... — podchwycił pan Grochiewicz, rękę w rękawiczce wyciągając. Zrobimy to inaczej... Napiszę słówko do kwartalnego, natychmiast tu policjanci przyjdą i zabiorą ptaszka... Reszta zrobi się później... Biorę to już na siebie...

— O, jakże panu wdzięczną będę!.. Przykra to rzecz!..

— Ha! cóż robić!... Obowiązki sumienia przedewszystkiem...

— Tak, panie... sumienia... Miałabym sobie do wyrzucenia, gdybym zaniechała sposobności dania przykładu...

— Jasnie oświecona pani postępuje prawdziwie po macierzyńsku...

— Po macierzyńsku, doprawdy... i oto, co za wdzięczność!...

— O! wdzięczność... wdzięczność sług... na tę rachować nie można...

— Przecież to ludzie...

— Ludzie z kształtu chyba... Kształt sam jednak człowieka nie stanowi jeszcze; człowiek składa się z ciała i duszy

— To prawda... to prawda... — powtarzała podkomorzyna.

W ciągu tej rozmowy, która pod koniec przybrała barwę filozoficzną, bardzo wyraźną, przybył kwartalny z policjantami i pan Grochiewicz pożegnawszy podkomorzynę udał się z nim do izby lokajskiej.

Kacper zbliżył się i zmieszał się na widok reprezentantów władzy bezpieczeństwa publicznego, którzy mu ze sobą iść kazali. Nie opierał się — poszedł. Poszedł z nimi i pan Grochiewicz. Więźnia natychmiast wzięto do protokołu, zadając mu pierwsze wstępne pytania, jak się nazywa, gdzie się urodził,

ile ma lat, jakiej jest religii, jakiego stanu. Na zapytanie ostatnie Kacper odpowiedział:

— Szlachcic...

— Szlachcic?... — zawołał Grochiewicz.

Urzędnik spojrzał na tego ostatniego z wyrazem zadziwienia, pochodzącego ztąd, że podanie jego, którem wzywał władzę policyjną, przedstawiało winowajcę jako chłopa poddanego.

Grochiewicz ramionami ścisnął.

Urzędnik o winę zapytał.

Kwestja ta, stawiana z taką łatwością w salonie podkomorzyny, okazała się niezmiernie trudną w obec władzy, domagającej się istoty czynu. Niewdzięczność, zbrodnia najczarniejsza ze zbrodni, wyglądała tak jakoś, jak wzięta w sensie ujemnym miłość platoniczna. Nieposłuszeństwo, we względzie pójścia do spowiedzi, nie miało miny zbrodni. Pozostawało jedno podziękowanie za służbę.

— Ależ on ma do tego prawo zupełne... — rzekł urzędnik do pana Grochiewicza.

— Tylko nie ma prawa czynić tego hardo... — odparł ten ostatni, czepiając się hardości niby deski zbawienia.

— Jakże to było?... — zapytał urzędnik, zwracając mowę do Kacpra.

— Powiedziałem pannie Magdalenie, że za służbę dziękuję...

— Cóż powiedziałeś pani?...

— Nic, bom pani nie widział wcale...

I urzędnik, jak drugi Piłat, ręce umył. Szczęściem dla Kacpra, podkomorzyna nie miała na rozporządzenie swoje żadnych Anaaszów, ani Kaifaszów, i Kacper wyszedł z biura policji wolny. Za nim wybiegł Grochiewicz.

— Słuchaj!... — zawołał.

Kacper stanął.

— Przyrzecz mi, że się podkomorzynie na oczy nasuwać, ani z jej sługami wdawać nie będziesz, a ja ci za to suto wynagrodzę.

Kacper zrobił minę, oznaczającą wahanie się.

— Co robić zamysłasz?... służby szukać?...

— Nie... służyć już nie chcę...

— A cóż?...

— Pracować...

— Więc pracę ci nastęcę, pod warunkiem, ażebyś z domem podkomorzyny wszelkie na zawsze a przynajmniej na długo zerwał stosunki... Przrzekasz mi to?...

— Czemużbym przrzec nie miał!... — odparł Kacper po krótkim namyśle, ogarnawszy wyobraźnią: podkomorzyne, co go policji oddała, pannę Magdalene, co mu się przysłużyła i kolegów swoich po służbie, co Kaśkę z podwórza wypchnęli. Mnie tam nic nie ciągnie...

— Więc dobrze... W potrzebie zgłaszaj się do mnie...

Kacper więc pozyskał protektora w osobie pana Grochiewicza, który wzbudzałby admirację naszą, gdyby nie okoliczność następująca. Opowiemy ją czytelnikowi, powstrzymując się sami od sądu o niej.

Grochiewicz udał się z biura policji wprost do podkomorzyny, w celu zdania sprawy z obrotu, jaki wziął powierzony mu interes.

— Cóż, panie?... — zapytała wchodzącego.

— I źle i dobrze... Jaśnie oświecona pani powiedziec mi zapomniała, że to szlachcie...

Podkomorzyna zrobiła minę zdziwioną.

— Jaśnie oświecona pani sama zapewne o tem nie wiedziała... Owóż, dla tego, że szlachcie, nie można go było w więzieniu zatrzymać...

— Jakto?... co?... puszczono go?...

— Niestety...

— Więc to taka sprawiedliwość?... Więc jestże sprawiedliwość na świecie?... Ja posyłam własnego lokaja... ofiarę robię, pozbywając się lokaja!... oni go puszczają!...

— Jaśnie oświecona pani ma słusność jak najzupełniejszą... Że sprawiedliwość chroma, to nie jest tajemnicą żadną... Ale, pomimo, że go puszczono wolno, rzecz jednak nie skończona... Lokaj pani będzie sądzony na wolnej stopie...

— I skazany?...

— To najmniejszej nie ulega wątpliwości...

— Do rot aresztanckich? z pozbawieniem praw stanu; to znaczy, odbiorą mu szlachectwo... — Z pewnością?...

— Jak amen w pacierzu... tylko... dodał z przybraniem

miny odpowiedniej — potrzebne będą ze strony jaśnie oświeconej pani ofiary niejake...

— Ofiary!.. — zawołała podkomorzyna, wznosząc oczy do góry. — Ja od ofiar nie odbiegam... Ofiarą życie moje całe... Miałabym się cofać teraz, kiedy chodzi o przykład... o przykład w obrębie nie tylko mego domu, ale miasta całego!... Powszechnem jest na złe sługi narzekanie...

— Ach! — zawołał Grochiewicz.

— Co?... — zapytała podkomorzyna.

— Nie mogę powściągnąć w sobie admiracji dla wzniosłych i wysoko szlachealnych uczuć i zasad jaśnie oświeconej pani...

— Gotową jestem na ponoszenie ofiar...

— Będę więc miał zaszczyt zgłaszać się do jaśnie oświeconej pani od czasu do czasu po niewielkie kwoty, jak na przykład: teraz potrzeba będzie na dodanie sprawiedliwości ostrogi... potrzeba będzie...

Wzniósł oczy do góry, udając obliczanie w myśli.

— Ile?... zapytała pani.

— Potrzeba będzie... Stęplowy papier... Wciągnięcie do akt... Kopie... Siedm a siedm, to czternaście, a dziesięć i pół... To kopiejek siedmdziesiąt pięć, tam zaś rubli trzy... *summa facit*... I! bagatela... rubli srebrem trzysta dwadzieścia pięć, kopiejek dwanaście i pół... Nie liczę ułamków wszystkich, nie chcąc nudzić jaśnie oświeconej pani...

— A, cóż robić!... Ponosząc ofiary na uczynki miłosierne, zaprzeczałabym sama sobie, gdybym się cofnęła przed tą, która ma na celu przykład i skarcenie zbrodni takiej czarnej, jak niewdzięczność...

Grochiewicz chwalił, potakiwał, wziął pieniądze, i od czasu do czasu, zgłaszał się do podkomorzyny po nowe nakłady na sprawę, która wedle jego podań, przechodziła z instancji do instancji, wlokła się z powodu szlachectwa lokaja, zakończyć się jednak miała wyrokiem, skazującym zbrodniarza na ciężkie roboty z pozbawieniem praw szlachectwa, o której wszakże Kacper nie wiedział nic a nic. Istniała ona jedynie dla Grochiewicza. Podkomorzyna płaciła w tem przekonaniu, że dobry pełni uczynek, skarbiąc sobie wdzięczność spółobywateli w tem życiu i królestwo niebieskie w przyszłym. Nie rozpowiadała

o tem: cóż to bowiem za przedmiot do rozmowy — lokaj? Zdziwiły ją nieco zapowiedzi, w tygodni kilka z ambony głoszone.

— Kacper Mędziński, urodzony, etc.

Wspomniała o tem Grochiewiczowi, przy okazji wypłacania mu, po raz trzeci czy czwarty, pieniędzy na popieranie sprawy kryminalnej, przez instancje przechodzącej, ten atoli wytłumaczyć jej potrafił.

— Jest to *une imposture, madame!*... — w oburzeniu zawołał. — Fałszerstwo niegodne!... *Je le laisse faire*, a to dla tego, że on się przez to anonsuje... Rozumie mnie jasnie oświecona pani?..

— Rozumiem... ale, czyż już tych zbrodni nie dosyć?... Potrzeba mieć litość...

— Nie!... dla kreatur podobnych bez litości być należy... Im kara większa, tem przykład donioślejszy... Doprowadzę do tego, że go nie tylko szlachectwa pozbawią, ale mu jeszcze ogolą głowy połowę...

— Widzę, że pan jesteś jedyny do prowadzenia interesów uczciwie...

— Uczciwie... o! tak... Interesu nieuczciwego nie podjąłbym się, gdybyś mnie jasnie oświecona pani złotem obsypała.. Nie urodziłem się na adwokata i nie jestem też nim... Prowadzę ten interes jedynie z uwielbienia, jakim przejmują mnie cnoty jasnie oświeconej pani...

Tak tedy proces kryminalny, wytoczony szlachcicowi, Kacprowi Mędzińskiemu, rozwijał się swoją drogą; szlachcie zaś Kacper Mędziński, nie niepokojony przez nikogo, próbował się na drodze pracy, która zrazu dzięki protekcji Grochiewicza, szła wcale dobrze. Grochiewicz ulokował go w porcie najprzód, następnie na futorze jakiegoś kupca bogatego, tu zatrudnieniem jego całem było przechadzanie się po grobli, tam odpędzanie owadów od kwiatów egzotycznych; — płaca doniosła, jaką pobierał, dodana do uciulanego na lokajstwie grosza, pozwoliła mu ożenić się i urządzić w izdebce, najętej początkowo dla Kaśki samej, Kaśkę okryć przyzwoicie, a nawet kupić dla niej, na dzień ślubu, szal taftkowy, nie nowy wprawdzie, ale okazały. Zamieszkali razem i dobrze im się działo. Rozchody znajdowały się w zgodzie z przychodami, sumka zaś krągła, rubli srebrnych

sto, reprezentowała fundusz żelazny, przeznaczony na wypadek nieprzewidziany.

Mijały dni, tygodnie, miesiące, wypadek nieprzewidziany nie przychodził, boć nieprzewidzianym wypadkiem nie można nazwać tego, że się małżeństwu, skojarzonemu regularnie, córka, w rok z czemes po pobraniu się, narodziła. Był to wypadek do przewidzenia. A przecie, gdy przyszedł, Kacperstwu powodzenie, jakby je kto nożem odciął, urwało się nagle. Kacper rzucał się tu i owdzie: tu odmowa, tam zarobek mały. Zgłosił się do pana Grochiewicza, ten jednak przyjął go zimno, i wystuchawszy, odpalił:

— Idź precz, durniu, nie nudź mnie!.. Cóż to! wziąłeś mnie sobie za stręczyciela, czy co!..

— Wielmożny pan był u mnie łaskaw dawniej...

— Dawniej było co innego, teraz co innego...

— Urodziło się mi dziecko.

— To je niańcz, a mnie daj czysty pokój.

Wzmianką o dziecku, myślał Kacper, że poruszy w sercu Grochiewicza uczucie ludzkości, lecz się zawiódł. Nie wiedział o tej okoliczności, że się proces jego kryminalny skończył, dla braku środków do popierania onego. Podkomorzyna znalazła się w niemożności łożenia kosztów na stemple, kopie, pieczęcie, wpisy do akt i przenoszenie sprawy z instancji do instancji. Dalsze przeto popieranie odłożyła na później. A że — jak się zdaje — w mniemaniu pana Grochiewicza, dobrym jest tylko ser odkładany, przeto upadła racja protegowania Kacpra, obojętną bowiem było już rzeczą, czy on będzie, czy też nie będzie w stosunkach z domem podkomorzyny. Opuścił go więc, i Kacper pozostał całkowicie na łasce losów.

Losy mu nie dopisywały.

Zdarzały się zarobki, ale dorywcze. Niekiedy połowa dnia przyniosła mu tyle co dni trzy; niekiedy znów przez tydzień cały nie był w stanie zebrać zarobku jednodziennego. Brał się do robót ciężkich, Wynajmował się w porcie do noszenia worków i pak, w mieście do dźwigania ciężarów, pracował przy mularzach, przy cieślach i zazdrościł w głębi ducha rzemieślnikom, mającym dochód niewielki, ale za to regularny.

Nieregularność, dorywczość i szczupłość dochodów sprowadziły to, co sprowadzić musiały. Kacprostwo zrazu zastawiać

się a dalej i wyprzedawać zaczęli. Porządyczków domowych coraz to w izbie ubywało. Były krzesła wyplatane — poszły krzesła; była komoda orzechowa — poszła komoda; było zwierciadło; była odzież, pościel, bielizna, firanki, obrazki — poszło to wszystko jedno za drugim, aż do sprzętów, bez których, zdawało się, obejśćby się żadną miarą nie można. W końcu przyszła kolej i na fundusz żelazny. Rubel po rublu wymykał się, krągła sumka szczybiła się i szczybiła z dniem każdym coraz to bardziej.

W tym to czasie trafiła się Kacprowi robota przy szufłowaniu zboża w magazynie, w towarzystwie sołdata i żyda. Chwycił się jej z radością wielką, a to z tego powodu, że przedstawiała się w pewnej ciągłości, rokującej dochód stały i regularny w pewnych roku porach, w jesieni zwłaszcza i na wiosnę.

O, z jakimże szufłował zapałem, pragnąc zaskarbić sobie względy magazyniera, a myśląc o żonie i dziecku!

Żona i dziecko stały się jego słabą stroną.

Nie wahamy się już wyznać, że kochał, że miał w sercu, że czuł miłość, miłość dla dziecka i żony, tę miłość pospolitą, trywialną, nie ośpiewywaną, nie wynoszona, nie idealizowaną, tę miłość, którą śmiało lokować można, nie już pomiędzy praczką a lokajem, ale pomiędzy żydowską pomywaczką a pełniącym funkcję popychadła czeladzi dworskiej, pod warunkiem ażeby ich łączył związek ślubny. Nie lękam się już sprofonować miłości. Poeci, z których, zdaje się żaden (mówię o poetach wielkich) żony własnej nie kochał, nie będą żalu do mnie mieli. Krytycy nie zarzucają mi poniewierania ideałów, zasługujących na szacunek nasz przez to samo, że je wydmuchiwali geniusze uznani. Nie o żadne tu chodzi ideały, ale o miłość męża i ojca, zaprzężonego do taczki, nazywającej się dziennym zarobkiem.

Kaska dotrzymywała mu sprawy, ale jak! Nie gryzła go, nie suszyła mu głowy, nie dorzucała ciężaru do ciężaru, przyjmowała kaprysy fortuny i ciosy losów umysłem swobodnym, ba! nawet wesołym. Nie sprawiało jej to przyjemności, ale też nie wtrącało jej w rozpacz. Jak, czasu swego, ucieszyła się była, gdy sponiewieranej wędrowną przyniósł Kacper bieliznę czystą i odzież schludną, tak cieszyła się za każdym nabytkiem mebelka i sprzęcika. Gdy jednak mebelki osiły i sprzęciki wyn

się kolejno jedne za drugimi, znów się cieszyła i to dla dwóch powodów: raz, zdawało się jej, że była to ulga dla Kacpra, który zamiast męczyć się dzień cały, sprzedawał gratów parę i miał na opędzenie potrzeb życia; powtórę, widziała w tem ulgę dla siebie, przez to, że mebelki, sprzęciki, acz miłe i wygodne wymagały jednak ocierania, omywania, oprzątywania, słowem, troskliwego utrzymania, co ją nudziło w stopniu najwyższym. Cieszyła się więc, gdy przybywały; nie martwiła się, gdy znikwały. To ostatnie dodawało Kacprowi odwagi.

— Kasiu... — powiedział (Kaską od dnia ślubu ją zwać przestał), potrzebując sfantować sprzęt jaki — znów muszę ci przykrość wyrządzić...

— Toż jaką?.. — zapytywała z współdziwieniem.

— Potrzeba sprzedać (naprzykład) kołdrę...

— Owa! toż to mi przykrość!.. Co z rąk, to i z głowy będzie mniej do trzepania... Moja przykrość, jak ciebie nie widzę od rana do wieczora...

— Ależ okryć się nie będzie czem.

— Wielka rzecz!.. Niby to bez okrywania się wytrzymać nie można... Czy to ja w Ohrebyszczach okrywała się czem kiedy?..

Miało to swoją dobrą stronę, miało i złą. Dobra polegała na tem, że filozofia ta małżonki przyczyniała się znacznie do podtrzymywania w Kacprze ducha na wysokości niepowodzeń; zła tkwiła w tem, że filozofia owa było to po prostu niedbalstwem, którego następstwa przedstawiały się niekoniecznie wesołe. Kasia była do niczego, z wyjątkiem jednego kochania. Kochała — a! — z całej duszy i z serca całego kochała bez pamięci, w najściślejszym wyrażeniu tego znaczeniu, to jest, nie pamiętała o niczym i nic nie robiła. Jeżeli Kacper izby nie pozamiatął, to pozostawała nie zamiatana, a to dlatego, że, jak Kasia powiadała:

— Zaśmiecę się na nowo...

Łóżka nie zaścieleła, tłumacząc się:

— Zaścielełabym, gdybyśmy się w nie nie kładli, a to: ściele rano, na to, żeby przewracać wieczorem... To nie robota a zabawka...

Niechając więc zabawkami podobnemi czas sobie zaprzętać, nie dotykała się niczego, co się do porządkowania w izbie odnosiło.

— Jak ty tak wytrzymać możesz?... — zapytywał ją Kacperek niekiedy, chcąc w nią wmówić potrzebę zajęcia.

— Jaby nie wytrzymała inaczej... — bywała jej zwykła odpowiedź

— Tyś na wielką stworzona panię...

— Na panię taką, co bez kołdry sypia i w dziurawych trzewikach chodzi...

Było w rzeczy samej coś pańskiego w tem zamięłowaniu próżniactwa, zamięłowaniu bezwzględnem, bezgranicznem, bezwarunkowem, i byłoby to zamięłowanie skończonem jako cecha natury wielkopańskiej, gdyby występowało w połączeniu z nudami, będącemi salonów chorobą i potrzebą. Właściwości tej mu brakło. Młoda Mędzińska posiadała sztukę próżnować i nie nudzić się. Dnie jej upływały w sposób taki, jakby się ślizgała po nich. Póki miała w czem, wychodziła na miasto, zwidzała Odesę, gapiała się, rozpatrywała się w szyku, w zwyczajach, w strojach, właściwych wielkiemu światu, przesuwałemu się przed oczyma jej, niby panorama ruchoma; gdy jej odzieży zabrakło, siedziała w domu, bawiąc się rozwiązywaniem problemu:

— Kiedy Kacper przyjdzie: czy aż wieczorem, czy wcześniej?..

Oczekiwanie godziny jej skracало. Oczekiwaniem, powtarzającem się codziennie, żyła od rana do wieczora i nie nudziła się wcale.

Matką została. Dzieckiem się może zajęła? Gdzie tam! Gdyby nie Kacper, dziecko nigdy nie było umyte ani skąpane, pomimo, że braku miłości do niego nie można było Kasi zarzucić. Była to miłość czysta, tkwiąca w uczuciu samem i zależąca na uczuciu wyłącznie. Kochałaż przecie siebie, — byłaby jednak nie jadła i nie piła, gdyby jej nie podano, byłaby się nie myła ani czesała, gdyby jej tego Kacper od czasu do czasu nie przypominał. W ten sam sposób, w spotęgowaniu jeno, kochała dziecko i męża. Kochała ich uczuciem, którego nie umiała, nie lubiła, nie uznawała za potrzebne rozpraszać na okazy i dowody, takie, na przykład, jak pamiętanie o nakarmieniu ich lub umyciu. Napisaliśmy powyżej, że kochała bez pamięci. Gdy się dziecko rozwrzeszczało, brała je pod pierś, siadała na łóżku i nogą kiwała. Tak spędzała nieraz godziny całe. Gdy mąż przyszedł, zawiązywała się gawędka, która w początkach mał-

żeńskiego pożycia zależała na wzajemnem udzielaniu wrażeń z tego, co on i ona, w ciągu dnia, widzieli, słyszeli i doznali, dalej zaś, jak złe nastały czasy, snuła się z wątką podwójnego: ze smutków teraźniejszych i z widoków na przyszłość. Naprzykład:

— Och! napracowałem się dzisiaj, napracowałem... w krzyżach mi łupie... i zarobiłem wszystkiego kopiejek dziesięć...

— Jaby nie plunęła i na kopiejki i na robotę...

— Ba... Zrobiłbym to samo i ja... Ale widzisz, poszło już wszystko, cośmy w izbie mieli i z zapaśnej sumki wymyka się karbowanieczek po karbowanieczku... Dzięki Bogu jednak dostałem się do szuflowania, to już przy tem, mało wiele, a codziennie coś się zarobi... Dziś roboty w magazynie nie było i trafiło mi się noszenie żelaza ze sklepu na dole do sklepu na górze... Nosiliśmy we dwóch z żołdatem, i wiesz co, żołdat przystaje już na to, żeby dać pięć rubli...

Odnosiło się to do loterii owej, o której wiemy.

— Cóż ty na to?..

— A cóż!.. dałbym i ja...

— Tylko się nie daj żydowi skusić... bo, co żyd, to żyd...

— Hm... Kiedyż bo to widzisz, tym sposobem możnaby i swoje odbić, i przy szczęściu, kilkadziesiąt jakich rubli zyskać...

— Tylko, powiadam ci, nie daj się żydowi skusić... Chcesz, włóż w tę lonterję, czy jak ją, tyle co żyd i żołdat, ale ani złamanego szeląga więcej...

— Ja się trzymam... ale, rzecz taka, im więcej włożę, tem więcej wygram.... Włożę pięć, jeżeli bym wygrał piętnaście. zyskałbym dziesięć; włożę trzydzieści, jeżeli bym wygrał na każdych pięciu piętnaście, zyskałbym sześćdziesiąt...

— Tylko się nie daj żydowi skusić... — powtarzała małżonka.

Kacper nie posłuchał; dał się skusić i los wielki wygrał,

V.

Było południe. Kasia, zjadłszy chleba ćwierć bochenka, zostawionego przez męża, i zapiwszy go wodą, przez męża

T. T. Józ T. II.

przyniesioną, dla dziecka, które właśnie zakrzyczało, usiadła na łóżku, nogą kiwała i rozwiązywała swój codzienny problemat:

— Czy przyjdzie aż wieczorem, czy może wcześniej?...

Południe minęło, Kasia z umysłu problemu nie wyprowadzała, nogą kiwała i oczy przymykała, jakby przez to chciała, bądź władze umysłowe tem mocniej na zagadnienie skupić, bądź też, za pomocą odjęcia władzy organowi ocznemu, spotęgować działanie organu słuchu i w dochodzącym do niej gwarze miejscowym rozeznąć stapanie mężowskie. Przymykała oczy, nagle je otworzyła i na drzwi zwróciła. Na schodach słyszeć się dał chód. Chód Kacpra — wyraźnie. Klamka zaszeleściła, drzwi się otworzyły, we drzwiach ukazał się Kacper z zawiniątkiem pod pachą i z paczką w ręku. Wszedł, drzwi zamknął, zawiniątko na łóżko rzucił, paczkę na stole położył, usiadł i pot z czoła otarł.

Kasia ruszać się ani myślała.

Kacper milczał, więc ona się pierwsza odezwała:

— Myślałam, że nie przyjdiesz aż wieczorem...

— Ot, widzisz... przyszedłem wcześniej... Spytaj, dlaczego...

— Niby to ja nie wiem i bez pytania... Ot, czego nie wiem, to tego coś w tem zawiniątku przyniosł...

— Pieluszki dla Franusi, koszulki, czepeczek, sukienkę błękitną...

Za każdym wymienieniem artykułów powyższych, Kasia wydawała okrzyk: o!

— Dla ciebie koszulę, spodnicę, pończochy, suknię, czepek, narzutkę, trzewiki... — ciągnął Kacper.

— Trzewiki?... — podchwyciła. — Zkądże ty na trzewiki wziął pieniądze?... Czy znów od żołdata?...

Kacper rzutem głowy, połączonym z uśmiechem, dał odpowiedź przeczącą.

— Zkądże więc?...

— Wygrałem na loterii... o... — odrzekł, na paczkę gestem ukazując.

— A co!... Otóż masz!... — były słowa Kasi, nieruszającej się z miejsca. — I zaraz kupujesz... kupujesz... Potem trzeba będzie sprzedawać...

— Toć nie trzewiki przynajmniej... — odparł Kacper półżartem.

— Nie mówię o trzewikach, ale inne rzeczy...

— E!... — machnął Kacper głową — i innych rzeczy sprzedawać już nie będziemy... Skończyła się bieda nasza...

— Skończyła się... ta na jak długo?...

— Na zawsze, Kasiu... Czy wiesz, ile wygrałem?...

Kasia nadała oczom wyraz pytający.

— Zgadnij...

— Rubli sto...

— Więcej trochę... Wygrałem tyle, że wystarczy nam na długo do odpędzania biedy i Franusi jeszcze zostanie...

— Uhm... — odparła Kasia przez nos — chwała Bogu...

— Będziesz panią...

Kasia ramionami ruszyła. Nie poruszyło jej to wcale — czemu? — może dlatego, że nie rozumiała, ile uroku mieści się w wyrazie „pani“; może dlatego, że czuła się panią przez to samo, że czas na próżniactwie traciła, nie znając nudów, choroby pańskiej; może wreszcie dlatego, że była jak ów robak, o którym pewna bajka mówi, co to lubił chrzan, bo się w chrzanie urodził. Bądź co bądź, oznajmienie państwa nie wywarło na nią wrażenia najmniejszego. Przyjęła je, jak się przyjmuje wszelką zwyczajną dobrą nowinę. Ucieszyły ją najmocniej trzewiki, reszta miernie. Siedziała sobie, a że dziecko się zaniepokoiło nieco, więc zaczęła:

— Sz-sz sz-sz...

I nogą kiwała.

— Nie usypiajże jej... — odezwał się Kacper.

— Ta lepiej żeby spała...

— Ubierz ją... Ubierz się sama... Pójdziemy...

— Dokąd?...

— Pójdziemy najprzód zjeść co, a potem... trzeba to o cze-meś pomyśleć...

— Ta o czym?...

— Eh!... — zawołał z niecierpliwością żartobliwą. Ruszże się przecie!... Przechodząc ulicą Chersońską, widziałem kartkę na domku do najęcia... Istny dworek!... brama, podwórze, ogródek...

— Więc się ztąd wyprowadzimy?...

— A cóż!... Czyżbyś chciała pozostać w tej izbie?...

— Tu nam tak było dobrze!...

Kacper powiódł okiem po ścianach nagich i plamami

upstrzonych, po podłodze brudnej, po resztkach sprzętów ubogich, westchnął i rzekł:

— No, zbieraj się... Było nam tu dobrze, gdzieindziej jednak będzie lepiej...

— Mnie się zdawało... — odrzekła Kasia powoli i głosem naturalnym — że lepiej mogłoby nam być jeno w chacie, u twojej matki stareńkiej...

Kacper w czoło się dłonią uderzył, aż okłask się rozległ.

— Powiadałeś — prawda dalej — że iść do niej nie można, ażeby na nią mściwej nie ściągać ręki... Ale, jeżeli ja, jak mówisz, będę panią, to ty będziesz panem, a panu... czyż czego nie można?...

— Masz rację... — odparł Kacper. — Masz rację... Nie zapomniał ja o matce, tylko o niej w tej chwili nie pamiętał... Ale... hm... — myślał... — Ale... matka... matenka moja staruszczenka!... Ona tam sobie, w chacie, niby w gniazdku... Wziąć ją ztamtąd, byłoby to samo, co wyjąć rybę z wody... Iść do niej, nie wypada, bo anuży się podkomorzyna, na mnie zagniewana, dowiedziała!... Trzeba najprzód dowiedzieć się, rozpytać, znaleźć kogo, coby zechciał wieść podać... Trzeba postępować rozważnie... o...

— Tego to ja już nie wiem.

Chciała zapewne powiedzieć, że to do niej nie należy.

— Pomyślę ja o tem... — dodał Kacper. — A tymczasem, wstań, odziej dziecko, okryj się sama i chodźmy...

Wyraz ostatni zaledwie wymówił, gdy się rozległo do drzwi pukanie.

Kacper paczkę ze stołu do szufladki wsunął i zapytał:

— Kto tam?...

Drzwi się odchyliły nieco i słyszeć się dało:

— Czy wolno?...

— Proszę!...

Wszedł pan Grochiewicz. Przy progu się zatrzymał i oglądając do koła. Widok nędzy zafrapował go smutkiem i zdziwił. Chwilę zachowywał milczenie, które przerwał, przybierając minę półprotekcjonalną, półserdeczną i mówiąc:

— Winszuję ci, Kacprze kochany! winszuję!... z całego winszuję serca!... Nie możesz wystawić sobie, panie Kacprze, jak mnie to ucieszyło!... Los ślepy nie mógł trafić lepiej.

— Zkądże pan wiesz?... — przerwał Kacper.

— Jak zkąd!... Całe miasto o niczem nie gada innem... Wie o tem Odessa cała... kupcy, bankierzy, urzędnicy, świat cały... Wszystko co żyje powtarza imię i nazwisko pańskie, panie Kacprze kochany... A to — zapytał, zwracając się do Kaśki nagle — zacna małżonka pańska i to lube dzieciątko, o któremś mi pan wspominał?... —

— Tak, to żona i dziecko moje...

— Przedstawież mnie, panu panu...

Kacper powiedział nazwisko gościa. Kasia grymas zrobiła.

— Ja, męża pani kocham i szanuję... Dowiodłem mu tego... I teraz, dowiedziawszy się, że fortuna tak mu się uśmiechnęła, że w jednym oka mgnienu magnatem został, natychmiast pospieszyłem, najprzód, powinnować mu, powtóre, ofiarować państwu usługi moje...

— Dziękuję... — wtrącił Kacper głosem, w którym nie dzwoniła szczerokość, który wszakże nie był zupełnie zimnym.

— Usługi... rady... — ciągnął Grochiewicz — rady przyjacielskie i całkowicie bezinteresowne... bezinteresowne... Pan z kapitałem takim znacznym potrzebujesz coś zrobić... gdzieś go ulokować... w coś go włożyć... ażeby nie zmarniał, a przeciwnie, przynosząc procenta i od procentów procenta, mnożył się, rósł... w nieskończoność... Kapitał ten można w lat pięć zdwoić, w lat dziesięć powiększyć go dziesięćkrotnie... w lat dwadzieścia, panie Kacprze kochany, możesz być bogaczem największym w świecie... Ja znam sposoby... usługę, poradę, jedynie dlatego, że pana kocham...

— Dziękuję... — powtórzył Kacper.

— A najprzód, dam radę następującą: Wystrzegaj się ludzi, którzy cię teraz rojem opadną... Wystrzegaj się wszystkich bez wyjątku, a nadewszystko podkomorzyny i podkomorzycyca...

Kacper zrobił gest zdziwienia.

— Ostatkami gonią, chwytają, zarywają na prawo i na lewo, i gdy się dowiedzą, że masz pieniądze, nie omieszkają zgłosić się po takowe... O! wystrzegaj się ich... Zarwą i przeпадnie... Mnie zarwali...

— O!... — zdziwił się Kacper. — Pożyczyli?...

— Nie... Oto jak było. Przypomina pan sobie tę sprawę w policji?...
 — A jakże!...

— Owóż, kiedyś pan odszedł wolno, podkomorzyna usadziła się wtrącić pana do więzienia, oddać pod sąd i wyrobić wyrok, skazujący na lat dziesięć ciężkich robót z pozbawieniem szlachectwa... Perswadowałem, odradzałem nie i nie... Uparła się... Kazała mi robić podania, skargi, przedstawienia, prośby, pozwy, kazała mi płacić... płaciłem... i w końcu, kiedy jej czarno na białym wykazał, że z tego nic nie będzie, puściła mnie z kwitkiem...

— A na cóż pan płacił?... — zapytał Kacper, zaintrygowany opowieścią Grochiewicza.

— No, a jakże!... Gdyby nie ja, to miałbyś pan, panie Kacprze kochany, kłopotu nie mało... Baba biczowała, biczowała... wymyślała pretensje niebywałe, do prawdy niepodobne i byłoby ci, na obmycie się z nich, morza nie starczyło... Ja jednak, przez życzliwość dla ciebie, wolałem kilkaset rubli własnych stracić, aniżeli dopuścić sponiewierania człowieka poczciwego... Pan, panie Kacprze, o tem ani wiedziałoś... Co?... Czyś się domyślał?...

— Nie...

— Otóż i teraz, ofiaruję panu usługi moje... Chcesz przyjąć... dobrze... Nie chcesz... będę miał to zaspokojenie sumienne, zem zrobił, co zrobić byłem powinien... Nie narzucam się... ofiaruję... Mieszkam zawsze na Deribaskiej i czekam pana u siebie jutro, punkt o dziesiątej ze śniadaniem... A możeby i pani zaszczyścić mnie bytnością swoją raczyła? Mieszkam po kawalersku, to jednak nie przeszkadza, a nawet śmiałybym prosić o tego małego aniołka. O! cóż za łube, co za miłe bobo!...

Zbliżył się poufale i ręką w rękawiczce gładził Franusię po pysiu...

— Co za śliczne dziecko!... Syn?...

— Nie... — odkaszlnęła Kasia.

— Panna, a! panna... Nieprzyzwyczajenie to wprowadzie ażeby panna do kawalera chodziła, ale przyzwyczajenie w tym razie odsunąć można na stronę... Jakże jej na imię?...

— Franciszka... — odrzekł Kacper.

— Panno Franciszko, zaprasza panią do siebie kawaler który jest serdecznym przyjacielem papy...

Mizdrzył się i przymilał do dziecka, zamurzanego straszliwie i w jak najbrudniejsze zawiniętego pieluszki; mizdrzył się i przymilał do matki, świecącej łachami i pokazującej gołe u nóg palce; w końcu, jakby coś sobie nagle przypomniawszy, dobył zegarek, rzucił nań okiem i zawołał:

— Ach! Rodokanaki (nazwisko jednego z kupców bogatszych) od godziny już czeka na mnie... Jakże mi czas, w tej izdebce skromnej, w towarzystwie państwa, upłynął szybko!... Panna mnie zabałamuciła... No, cóż robić!... muszę już jednak uciekać... Żegnaj państwa kochanych...

Sklonił się Kasi i rękę jej, którą ona Franusię otaczała, dłonią swoją przycisnął, podał dłoń do uściśnienia Kacprowi, zwrócił się ku drzwiom, lecz się wnet odwrócił i zaczął.

— Ale jutro, punkt o dziesiątej, z pewnością... ani chybi... Będę czekał... Zamówiłem już śniadanie u Ottona, będą ostrzygi, homary, kotleciki w papilotach, zamówiłem u Wywczajńskiego tort dla pani i dla panienki... A wino?... panie kochany, niech mi pan szczerze powie... tak, z ręką na sercu... jakie pan wino woli: bordeaux, burgund, reńskie, węgierskie?... czy może porter?... he?...
 Kacper głowę przekrzywił i zrobił minę, jakby o litość wzywał.

— Zresztą — podchwycił — będzie gatunków kilka i dla pani buteleczka słodziutkiego a pachniącego muscat lunel, które i panienka pokosztować będzie mogła... Więc punkt o dziesiątej... Weźmiecie państwo pojazd... Ale nie! ja przyszlę... i sam przyjadę i zabiorę państwa... ot, tak będzie najlepiej... adieu!...

Jeszcze raz jednak od drzwi nawrócił.

— A możeby... — przemówił do Kacpra. — A możebyśmy się dziś jeszcze wieczorem gdzie zeszli?... w cukierni której, u Wywczajńskiego, u Pfeifra, u Karuty?...

— Nie... — tonem protestacyjnym odparł tenże. — Nie...

— Chcecie państwo wieczór poświęcić sobie... Słusznie!... Po wzruszeniu takim!... No, więc już żegnaj... O, jakże trudno wyrwać się od państwa kochanych!... Ale, żegnaj już... Papadopulo (poprzednio było, że Rodokanaki) czeka... Muszę spieszyć...

Adieu... do jutra... Czekajcież państwo na mnie punkt o dziesiętej... Do zobaczyska!...

Wyszedł nareszcie, zabawiwszy u Kacprostwa godzinę, może dłużej.

— A co!... — odezwała się Kasia, gdy odgłos kroków Grochiewicza znikł na schodach. — Gada, jak młyn... ten pan... a pachnie... — pociągnęła nosem kilka razy — że ot wyszedł, a zapachy po sobie zostawił... Ale, żeby on mnie sznurem za szyję na to swoje prowadził śniadanie, nie pójdę... A ty?...

— I ja nie pójdę...

— Niechże zdrów sam sobie śniada...

— Rusz się ty Kasiu, okryj dziecko, ogarnij siebie i chodźmy.

— Zamknijże drzwi na klucz, żeby kto nie wszedł...

— Ta, któżby tam wchodzić miał!... — odparł Kacper, idąc do drzwi i zamykając takowe.

Zaledwie ucichło dzwonienie zamku, aliści słyszeć się dało pukanie. Kaska przyłożeniem palca do ust znak dała mężowi, ażeby cichość zachował. Pukanie się powtórzyło, w połączeniu z chrząkaniem. Ponowiło się jeszcze i po raz trzeci i słyszeć się dały słowa następujące:

— Nie ma go... Gdzież się u licha podziewa?... Jeżeli go zachwylił Grochiewicz, to tak oskubie, że drugiemu nie zostawi... A on teraz właśnie do skubania najlepszy...

— Słyszalesz?... — zapytała Kasia, gdy pukający odszedł.

— Słyszałem...

W tej chwili, znów we drzwi: puk, puk, puk...

Pukania powtarzały się co moment. Schodziło się po dwóch, po trzech, stukali we drzwi, nasłuchiwali i odchodzili z niczem, z wyjątkiem dwójki jakiejś, która się pokłóciła.

— Tyś zwąchał pieniądze, i niby kruk na padło, wnet przyciągnąłeś... — przemówił jeden.

— A ty?... — odrzekł drugi. — Tyś może przyszedł nie po to, ażeby mu baki świecić i grosz jaki wykręcić?...

— Stul pysk!...

— Stul ty sam!...

— Zamałuję!...

— Ja oddać potrafię!...

— Ty prawa żadnego nie masz!... Tyś go nigdy w życiu nie widział!...

— Milez ty, ze swoim prawem!... Ja ci tu takie prawo pokażę, że zjedziesz ze schodów, jak na saniach...

Inni znów komplanacje pode drzwiami układali, umawiając się o popieranie jeden drugiego.

Gdy Franusia krzyczała podczas, kiedy na nią rodzice odzież nową wkładali, Kasia odprowadzała pukających, krzycząc przeze drzwi:

— Nie ma Kacpra w domu!...

Wówczas następowała rozmowa mniej więcej następująca:

— A gdzież, proszę pani?... — zapytywał głos z za drzwi.

— Od rana wyszedł... Na robocie...

— To być nie może!... Nie przyszedł jeszcze?...

— A nie... Nie przyjdzie aż wieczorem...

— To być nie może!... Przypuszczać raczej należy, że nie przyjdzie już nigdy...

— Toż czemu?...

— Bo wygrał wielkie na loterji pieniądze... Bo stał się panem... wielkim panem...

— Chwała Bogu...

— Niechno mi pani otworzy, z łaski swojej...

— Nie można...

— Mam z panią do pogadania o ważnej jednej rzeczy...

— O jakiej, na przykład?...

— Kacper Mędziński, to mąż pani?...

— Mąż...

— Otóż to!... Czy nie ma on chętki porzucić pani teraz?... Niech mi pani otworzy, to pogadamy... Poradzę pani, co i jak zrobić, ażeby on się z pieniędzmi nie schował... Niech mi pani otworzy...

— Przyjdź pan jutro...

— Jutro będzie za późno... Powiadam pani, że to zły, bardzo zły znak, kiedy Kacpra dotychczas w domu nie ma...

Przyjście nowego jakiegoś indywiduum przerwało rozmowę tę interesującą, od której Kasia dusiła się ze śmiechu, a Kacper głową wstrząsał.

Przez ciąg ubierania się matki i dziecka, pode drzwiami przeminęło się, ni mniej ni więcej, tylko dwadzieścia trzy wizyt pukających. Gdybyśmy znajdowali się nie po tej a po tamtej drzwi stronie, to widzielibyśmy ludzi stanu różnego i kondycji

rozmaitej, pchających się do izdebki, w której nędza jeszcze w całej swojej występowała malowniczości. Byli tam i dandysi na wzór Grochiewicza i przedstawiciele klas, nieużywających pachnideł; byli tam wyznawcy ewangelii i talmuda; byli tam reprezentanci narodowości rozmaitych, dowód, że atrakcja, jaką pieniądze wywierają, jest z natury swojej czysto kosmopolityczna. Kacper pomagał żonie w ubieraniu i myciu, zachowując jak najgłębsze milczenie, przy tem ubierał się i sam, rozdzielił przyniesioną z kantoru loteryjnego paczkę większą na kilka mniejszych, starannie je poobwijał i opancerzył sobie niemi piersi i plecy pod koszulą. Bezpieczniejszego schowka nie posiadał. Ścisnął się paskiem i pozapinał, i gdy żona i dziecko przygotowały się do wyjścia, skorzystał z pierwszego w wizytach przestanku i:

— Wymykajmy... — zawołał.

Wymknęli. Drzwi za sobą zawarli. Na schodach otarli się o jegomościa jakiegoś, z długimi bakembardami, w kapeluszu cylindrowym i w paletocie brązowym, wbiegającego do góry. Widok jego bodźca im dodał. Przyspieszyli kroku i na ulicy dopiero jedno drugie zapytało:

— Widziałeś?... Poznałeś?...

— Pan Karol...

Przed domem stał fiaker.

Ruszyli spieszny chodem. Na rogu ulicy Kacper obejrzał się i widział pana Karola, jak wsiadł do fiakra i w przeciwną udał się stronę.

— Wszystko na jeden kamień...

— Co?... — zapytała Kasia.

— Myślę o panu Grochiewiczu, o panu Karolu i o tych wszystkich, co pukali... Wszyscy oni na jeden kamień...

— Toć nam chyba uciekać z Odessy...

— Nie... Trzeba jak najprędzej wleźć w pańską skorupę... Jak tylko to zrobimy, natychmiast będziemy mieli spokój...

— A jakże to zrobimy?...

— Zrobimy jakoś... Spuść się na mnie... Przecież niedaremnie byłem lokajem...

I jakby na dowód, że panem być potrafi, kiwnął na przejeżdżającego w tej chwili fiakra, wziął go na godziny, i usadowiwszy się w nim z żoną i dzieckiem, kazał mu najprzód do jednej z lepszych, chociaż niewykwintnej, zawieść się traktyjerni.

Od rana w ustach nic nie miał, z wyjątkiem znalezionej na ulicy Włoskiej sygara. Posilił się, nakarmił Kasię i Franusię i wyłożył w krótkości plan dalszego swego postępowania, który był krótki.

— Pojedziemy — powiadał — do tego domku na ulicy Chersońskiej, najmiemy go natychmiast i natychmiast w nim zamieszkamy...

— W pustkach?... — zapytała żona.

— Zobaczysz, jak te pustki napelnia się prędko... Pieniądze cuda sprawiają... Ja to wiem... Niedaremnie byłem lokajem...

Z traktyjerni udali się wprost na Chersońską ulicę. Kasia pozostała w powozie. Kacper sam poszedł do właściciela, który dowiedziawszy się, w jakim przybywa celu, zmierzył go okiem pogardliwym i odrzekł:

— E... to nie po waszej sile...

— Jakaż cena najmu?...

Właściciel wymienił kwotę roczną, z dodatkiem, że czynsz płatny jest z góry w ratach kwartalnych.

— A jeżelibym zapłacił za cały rok z góry?...

— To co innego...

Kacper pieniądze wyliczył i pokwitowanie sobie dać kazał.

— A jak honor?... — zapytał właściciel.

— Kacper Mędziński...

— A!... U!... — były okrzyki, któremi właściciel na dwa te wyrazy odpowiedział, zmieniając się w jednym mgnieniu oka w zachowanie się swoim względem lokatora. — Jakiż to dla mnie zaszczyt!... Panie, ja czynszu z góry nie potrzebuję... Nie wiedziałem, z kim mam do czynienia... A to szczęście prawdziwe!... Jestem na pańskie rozkazy i usługi, ja i rodzina moja cała...

— Przyjechałem tu z żoną... Żona moja zostanie, ja zaś pojedę do miasta i zakupię dziś jeszcze mebli trochę, ażebyśmy przynajmniej przenocować mieli na czem...

— Niech się pan łaskawy nie trzodzi i nie ambarasuje... Dostarczę wszystkiego na dziś i na jutro i na jak długoby się panu spodobało... Natychmiast przyniosę fotel dla pani...

Skoczył i wnet z domu przyległego, przy pomocy żony, córki, synów, służących, przytransportował fotel, krzesła parę, stolik, szesłag i stołeczek pod nogi. Kasia została pod ręce z powozu wysadzona. Właścicielka wzięła jej z rąk dziecko, dla

którego w tej chwili zabawki i mleczka ciepłego przyniesiono. Właściciel kręcił się, zapytując, czy nie mają państwo przybyli jeszcze czego do rozkazania

— Mam do pana prośbę... — odezwał się Kacper, biorąc go na stronę.

— Jaką?... panie!... Najszczęśliwszym będę, jeżeli w czym usłużyć potrafię...

— Bardzobym potrzebował tego, ażeby przez czas jakiś... przez miesiąc, na przykład... nie wiadano, żem zamieszkał u pana...

— Przez rok?... przez lat dziesięć!... — zawołał właściciel. — Zresztą, z rodziny i służby mojej nikt nie wie... Tajemnica pozostanie pomiędzy nami...

— Radbym w pierwszych chwilach bez służących się obchodzić...

— Będziemy służyli, wszyscy razem i każde z osobna.... Żona moja na kuchni się zna znakomicie, będzie dla państwa śniadania, objady i wieczerze przyrządzała. Córka moja dzieci lubi, będzie dziecko bawiła... Do uprzątanía pokoiów, czyszczenia sukien, nastawiania samowara, usługiwania do stołu, mam sługi, chwala Bogu... Jeden z synów moich będzie zawsze na zawołanie pańskie do posyłek i komisów...

— Przez miesiąc najdłużej... — wtrącił Kacper.

— Jak długo się panu spodoba...

— Nie chciałbym, ażeby ludzie... — zaczął się Kacper tłumaczyć.

— Rozumiem... — przerwał właściciel domu. — Rozumiem... Ma pan rację jak najzupełniejszą, chcąc się zasłonić od natrętów... Pan się musi opędząć, jak psom... A! bo też ludzie, to psy... Byle jeno zwietrzyli gdzie pieniądze... Oho!... ani się im opędzić... W tym domku będzie panu, niby u pana Boga za piecem...

W rzeczy samej, Kacprostwo, zamieszkawszy w domku na ulicy Chersońskiej, wpadli jak kamień w wodę. Mało osób dwieście, różnego stanu, wieku, pochodzenia i płci rozbijało się za nimi po Odessie, dojść nie mogąc, co się z nimi stało. W domu, w którym mieszkali poprzednio, opytu wziąć nie było można, ztamtąd bowiem jak wyszli, tak i nie wracali więcej, dla tej racji dobrej: nie mieli po co. Gospodarz domyślił się z łatwością

że postradał lokatorów i nie robił sobie skrupułu najmniejszego w wyrzuceniu pozostałości po nich na śmieć. Pewien był, że się nie zgłoszą po trzewiki dziurawe, szal tyftkowy i rupiecie, w dotykaniu się do którego potrzeba było odwagi, jaką nędza urabia. Czyny był zapłacony; długów po sobie nie pozostawili żadnych; nie istniał więc powód najmniejszy, ze strony gospodarza, poszukiwania ich drogą urzędową — przeciwnie, istniał powód nieposzukiwania, a to w tem, że gospodarz wyrzucał sobie gorzko, iż nie umiał zaskarbić ich wdzięczności. Im koło nich było biedniej, tem on okazywał się względem nich surowszym na punkcie wypłat czynszu na termin. Godziny czekać nie chciał. Dokuczał, groził, brutalnie się stawiał: gdy więc odeszli, przyjął fakt dokonany i przykleił na domu kartkę z napisem, że ma do wynajęcia izbę, pomimo, że Kacprostwo parę tygodni miałby jeszcze prawo mieszkać w takowej. I nikt w domu całym, w którym mieściło się lokatorów kilku, nie rościł sobie prawa do ich wdzięczności lub pamięci, z wyjątkiem kramarza na dole, który pamiętał o trzech siarnikach pożyczonych. Ten atoli, gadał tylko o dobrodziejstwie, jakie wyświadczyl, ale wskazówki, któraby poszukujących na trop znikniętych naprowadziła bogaczów, udzielić nie był w stanie. Drugi zaś dobrodziej, żołdat — ten drogą prawa mógłby poszukiwać — pił właśnie na zabój.

Tak więc poszukiwania wszelkie — z tych niektóre, Grochewicza na przykład, do frenezji dochodziły — daremnemi się okazywały. Dla znajomych i wielbicieli swoich Kacprostwo przepadli. Istnieli wyłącznie dla siebie, czego im ostatecznie za złe brać nie można, chociażby tylko przez wzgląd na to, że cała ta sfera społeczna — z wyjątkami, dającemi się na palcach policzyć — do której ich fortuna wprowadziła, to samo czyni, nie licząc tego, że gdyby się byli nie odosobnili, zagrażało im wpadnięcie w ręce takich Grochewiczów i dzielenie się z nimi wygraną. To ostatnie byłoby użytkiem jak najgorszym. Bez wahania więc twierdzimy, że nie mogli zrobić nic lepszego, jak zamknąć się w domku na Chersońskiej i ślady za sobą zatrzeć.

Zamknęli się i istnieli dla siebie.

Pani Kacprowa od razu, jakby na to umyślnie stworzona była, wpadła w ton nowego położenia swego. Zdawało się, jakby

ją wykołysano przy tej, znajomej panienkom podrastającym piosence:

„Tożbym to jadła, piła, jadła, piła, jadła, piła,
I nic nie robiła... i nic nie robiła!”

Doskonale jej było. Czuła się w żywiole swoim. Gotowe wszystko przychodziło jej do rąk i do gęby i nie miała potrzeby imać się niczego — niczego, słowem jednym, a tylko dać się unosić fali, która z niej, praczki pierwotnie, wędrownicy zędniałej następnie, żony wyrobnika dziennego w końcu, powoli, powoli panią, damę wielką urabiała. Przychodziło to samo przez się, w miarę jak ją luksus, napływający stopniowo, otaczał. Poważniała stopniowo, tą powagą, którą kapitał moralny do bogactwa przywiązany, próżniactwo, nadaje. Ona kapitał ten posiadała z góry. Z łatwością więc jak największą przychodziło jej pozować na wielką panią w małym kółku, w jakie się dostała, i przysposabiać się przez to do odegrywania dobrze swojej roli na teatrze wielkiego świata, do wystąpienia na którym powoływał ją los, który trafił się jej nie pod postacią urodzenia, spadku, dorobku etc., ale postacią numeru loteryjnego.

Nic nie robiła i płynęła w górę.

Za nią, o wszystkim myślał, wszystko robił pan Kacper.

Pan Kacper — nazywajmy go już panem Mędzińskim — od pierwszej chwili pobytu na Chersonskiej począł, wyrażając się terminem technicznym, montować się na skalę obywatelską. Szło mu to gładko, nie dlatego, że, jak przysłowie ludowe powiada „przybud’ szczastie, rozum bude“, ale dlatego, że wszystko co robił, robił ze znajomością rzeczy. Niedaremnie — jak sam powiadał często — był lokajem. Jako lokaj, ocierał się o panów, widział co robili, słyszał co mówili, uczył się od nich i stał, pod względem umysłowym, na jednym z nimi poziomem. Żaden z obywateli w okolicy Ohrebyszcz i Krasilowiec nie był od niego mędrszy. Przewagę w tej mierze stanowi pewność siebie, nadająca akcent głupstwu największym. Innego rodzaju przewaga nie zachodzi i zachodzić nie może, z wyjątkiem, rozumie się, tych wyjątkowych osobników, co kończąc szkoły, zdobywają zapas wiadomości w szerszym zakresie. Ci znajdują się w możności bycia rozumniejszymi od własnych lokai. Inni zaś, wszyscy tacy co do skół zaglądali tylko — a z takich ogół się

składa — możliwości tej nie posiadają. Ratuja się rozumem tak zwanym chłopskim, przymiotom bardzo szacownym, ale wrodzonym, to jest takim, do którego obywatelskość prawa wyłącznego nie nadaje, a który równa stany pod względem intelektualnym. Lokaje, dzieląc życie z panami, przez to samo przychodzą do jednakowego z nimi mianownika rozumowego i mogą być zupełnie takimi jak oni obywatelami.

Nasz pan Mędziński przeto wziął się do rzeczy, w której posiadał kompetencję zupełną.

Montował się na stopę obywatelską. Meblował domek, ubierał żonę, okrywał siebie; wiedział co gdzie postawić i co jak urządzić. Uwijał się — nigdy inaczej, jeno fiakrem, co go od spotkań bronilo — po magazynach, krawcach, modniarkach; oglądał się, oporządzał; ogłądał i oporządzał swoją panią, do której przyjął nauczycielkę dla poduczenia jej czytania i pisanja; sam zaczął czytywać gazety — i razu pewnego zasiadł do pisania przy biurku, któreby już pod względem elegancji nie ustąpiło biurku najpierwszej damy z wielkiego świata. Zdziwiło to nieco panią Mędzińską. Podeszła do męża, stanęła obok niego i przypatrywała mu się ciekawie. W końcu zapytała:

— I co to?...

— Piszę... nie widzisz?..

— Tażę widzę... ale, co?... na co?..

— Spytaj raczej: do kogo!... Piszę list, najpierwszy w życiu...

— Toż radabym wiedzieć, do kogo...

— Do pana Oleckiego... Długo myślałem, do kogoby się zgłosić, ażeby mi o matce podał wieść; on jeden jakoś, w stro-nach tamtych, do przekonania mi przypada... Opiszę mu wszystko i będę go prosił, żeby się dowiedział, czy nie możnaby gruntu i chaty, z których matka czynsz płaci, na własność nabyć...

— Co ty pomyślisz, to wszystko mądrze... — odparła żona, odchodząc od biurka do zwierciadła i stając przed niem z takim akcentem, jakby nigdy w życiu praczką nie była.

Mędzińskiemu ten najpierwszy w życiu list nie poszedł gładko. Pracował nad nim przez tydzień cały, napsuł papieru co niemiara, aż w końcu wykaligrafował wielkimi literami list długi, w którym wyluszczał interes cały i o jak najspieszniejszą

upraszał odpowiedź, powołując się na znaną pana Oleckiego uczciwość. List ten chromał pod względem ortografii i szykn, ale przedstawiał interes jasno i wyraźnie.

VI.

Ile razy czytać mi się zdarzy nekrolog jaki, drukowany na czwartej stronie dzienników i poświęcony sławieniu cnot i zasług zmarłego lub zmarłej, tyle razy przychodzi mi na myśl dwa zgony: zgon księcia Norberta Gamajdy i zgon podkomorzego, Marcina Kostrzewieckiego. Mężowie ci raczyli przyjść na świat i raczyli świat ten opuścić, były to dwa fakta w życiu ich najważniejsze. Zresztą nie odznaczyli się niczem. Warto jednak było posłuchać mów pogrzebowych, jakie ksiądz Celowicz na cześć ich wygłosił! Warto było czytać nekrologi, jakie anonim jakiś pamięci ich w pismach publicznych poświęcił! Zdaniem mojem, nekrologi podobne niemalą moralności zadają szkodę. Czytają je ludzie żywi. Ci co nieboszczyka nie znali, wcale się tem nie interesują, czy go chwala, czy gania; ci jednak, co go znali, doznają mimowolnie wrażenia, wbrew sprzecznego z zasadami moralności czystej. Nieboszczyk występuje pod postacią przykładu - przykładu złego a chwalonego. Ztąd wyradza się konkluzja naturalna, którą każdy sobie w sumieniu własnem wyprowadza:

— Ażeby pochwały uzyskać, nie potrzeba być lepszym jak nieboszczyk...

Mało jest ludzi z takim hartem, żeby dobre praktykowali przez samo w niem zamilowanie. Ogół potrzebuje zachęty, ostrogi, a nadewszystko przykładów, takich zwłaszcza, które z trumny wystają. Egipcianie starożytni oddawali trupy pod sąd. Była w tem wielka praktyczna racja. Zapobiegało się w ten sposób chwalebnie niezasłużonej, a zatem i złym przykładom.

Ksiądz Celowicz w mowie pogrzebowej i nieznajomy autor w nekrologu, wyrazili się o księciu Norbercie, że się odznaczał cnotami cichemi, o których nikt nie wiedział i czynieniem takim, że ręka prawa i ręka lewa wcale się ze sobą

nie znaly. Tak. O cnotach nikt nie wiedział, ani nieboszczyk sam, i mógłby jeno o nich powiedzieć, co powiadał Bridoisson w komedji Beaumarchais'go, o pełnieniu obowiązków sędziowskich: „*La forme la-a forme.*“

Ksiądz probosz wyliczał cnoty.

— Czy kogo skrzywdził?... — zapytał obecnych. — Niech kto wystąpi i powie otwarcie: czy kogo skrzywdził?..

Nikt nie występował. Nieboszczyk ksiązę nie krzywdził nikogo. Istniał póki żył, nie jak ów kamień na drodze, o który przechodnie nogi sobie kaleczą, ale jak ów kamień, o który przechodnie nie kaleczą sobie nóg. Mąż ten był do niczego; wszelkie zaś pochwały, jakieby do niego zastosować się dały, zawierały się w przysłowiu: „Niewiadomość grzechu nie czyni.“ Nie grzeszył przez niewiadomość; gdyby zaś grzeszył, to przed każdym sądem uzyskałby przebaczenie.

Inaczej trochę, co się tyczy losu duszy, rzecz się miała z podkomorzym. Ksiądz Korski milczał, milczenie to jednak było wymowne; proboszcz zaś, w mowie pogrzebowej, wymienił zasług tyle i cnoty takie, a tak przytem udowodnił brak win i grzechów powszednich nawet, że najmniejszej nie pozostawiał wątpliwości, co do pogrobowego życia dostojnego nieboszczyka.

— Zwłoki jego tu, przed nami, prawowierni chrześcijanie!.. — wołał z ambony — a dusza na prawicy Najwyższego... Uradowali się aniołowie niebiescy z przybycia takiego obywatela... Im radość, a nam smutek... Smucimy się... o!.. Smuć się ty, wdowo stroskana, dla której słowo jego każde świętem było!.. Smuć się, synu zbolący, dla którego był on duchem opiekuńczym!.. Smuć się, córko zrozpaczona, której on mitrę na głowę włożył!.. Smućcie się, obywatele, dla których on był pochodnią, przykładami świecącą!.. Smućcie się sługi, włóścianie, etc., dla których był on trąbą do cnoty budzącą...

O pochwałach, oddawanych podkomorzemu przez kaznodzieję, powiedzieć można, że szły do granic ostatecznych tak, że gdyby część jeno prawdy w sobie zawierały, to nieboszczyka zaliczyliby należało w poczet ludzi w Polsce najznakomitszych. Tymczasem był on niczem mniej, jak znakomitością. Znamy go przecie. Miał głowę, ale nie do poztoty, i odznaczał się jedynie pewnym filozofji rodzajem, za pomocą którego umiał zażegnawać burze małżeńskie, jak to widzieliśmy w kwestji wychowania

dzieci, wydanych na pastwę podkomorzynie; w kwestji stosunków skomplikowanych pomiędzy podkomorzyną, panem de Lurey, panną de Maintenon, panem Karolem, panną Ludwiką i jakimś — którego nie znamy jeszcze — Gustawem; w kwestji wreszcie wydania córki za księcia Gotfryda. Zalety jego dodatnie osnwały się około tego, co Francuzi nazywają *savoir-vivre*. Oto wszystko, co my, nie pomazani na kapłaństwo, na mogile jego rzucić możemy.

O pogrzebach księcia i podkomorzego wzmiankujemy razem, dlatego jedynie, ażeby nie rozwałkować opowiadania, gdybyśmy się trzymali porządku chronologicznego, wedle którego wypadki te nastąpiły jeden po drugim w odległości lat trzech z górą. Najprzód zeszedł z tego świata książę, następnie podkomorzy. O powodach śmierci ich, jak zwykle, różnie różni mówili, składając winę na różne przyczyny, wychodzące z jednego punktu wspólnego, który tkwił w doktorze. Gdy umarł pierwszy, wnet zagadano powszechnie:

— Doktor zabił..

Gdy umarł drugi, powtórzyło się to samo.

Powód śmierci księcia upatrywano w tej okoliczności, że mu postawiono pijawki nie na piersiach ale na grzbiecie; za powód śmierci podkomorzego podawano to, że mu nie postawiono pijawek na grzbiecie a na piersiach. Opinia publiczna zwała winę całkowicie na doktora, stanowiąc raz, że pijawki stawiać się powinno nie gdzieindziej jeno na piersiach, drugi raz, że stawiać się powinno nie gdzieindziej jeno na grzbiecie. Było o tem gadania dużo, do którego przyczepiano powody różne inne. Przypisywano, naprzykład, przyczynę choroby jednego i drugiego zgryzotom domowym, i rozpowiadano rzeczy niestworzone o młodej księżnej i o panu Karolu. Co się księcia tyczy, nie obwijano rzeczy w bawełnę.

— Synowa go do grobu wtrąciła... — mówiono.

Temu nie wierzymy. Książę Norbert należał do tego ludzi gatunku, których się zgryzota nie ima. Nie! Insynuację tę odpychamy, zwalając winę raczej na naturę, która ludziom jednym pozwala żyć dłużej, drugim krócej. „Przyszła kreska na Matyska.“ Ludzie kompleksji i tuszy takiej bywają zazwyczaj nie-długowieczni. Książę Norbert przekroczył wiek średni — musiał umierać — i umarł. Innego powodu nie było.

Co się jednak podkomorzego tyczy, rzecz inna. W odniesieniu do niego zgryzoty mogły być przyczyną śmierci, jeżeli nie bezpośrednią, to pośrednią.

Czytelnik się domyśla, z kąd one przyszły.

Domyślić się łatwo, jak.

Sypnęły się, niby z roga obfitości, pomimo, że w pierwszych chwilach wyglądały zabawnie, obleczone w powłokę donżuanizmu, z którym pan Karol wystąpił na teatrze stosunków sąsiedzkich. Bardzo to było zabawne! Pan Karol popisывał się, wybraawszy sobie za pierwsze popisów pole Frasebłówkę, gdzie go przyjmowano, jako kuma, z serdecznością i gościnnością, przypominając dawne czasy i gdzie on, z całą gorliwością, lepszej zaiste godną sprawę, pracował nad wyrządzeniem psikusa „kochanemu sąsiadowi.“

— Gaska... — persadowała mu matka, mówiąc o pani Oleckiej — niewielki dla ciebie zaszczyt...

— Czy to mnie o zaszczyty chodzi!... Jest w kobiecie tej *quelque chose du piquant*, więc... żeby się nie nudzić...

— Mąż jednak... familii dużo... Oleckich cały naród... Gotowi kolektywnie poszukiwać na tobie reparacji honoru... gdybyś łatwy odniósł tryumf...

— Co mi tam!... Wyobrażam ich sobie, jak owe dzikie zwierzęta, lwy, tygrysy i lamparty, z pośrodku których rycerz rękawiczkę podjął... Rękawiczką jest *madame Olecka, charmante villageoise*... naiwna wśród cerberów, z których jeden, jak gołąb biały, zatopiony w heraldyce i modlitwie, drugi, wyglądający niby sum, myszy łapie, trzeci potulny, pocziwy, serdeczny, kochany... na don Alfonsa stworzony...

— Nie rozumiem ciebie...

— Trzebaż się, mamó kochana, jakoś na tem wygnaniu bawić...

— Nie powiadam, nie... Gdybym jednak na twojem była miejscu, poszukałabym sobie odpowiedniejszego do zabawy przedmiotu...

— Oho!... Domyślam się, w co mama kochana bije... Chce mnie mama zająć z mańki i do porządku nawołać... Ale... przecież... albo się ma zasady, albo się ich nie ma... Ja moje wyłożyłem, i zdaje się, są one *irréprochables*... Wezmę małżonkę kochanego sąsiada, jak rękawiczkę z pośrodku zwierząt dzikich, ale nie na to, żeby ją rzucać natychmiast, jak ów rycerz zrobił... Poność ją trochę i dopiero rzuć...

— Ależ to gąska, mój Lolo drogi!...

— Nie przeczę... Gdybym czasu miał więcej, upatrzylbym sobie coś jeszcze...

Ostatnie te słowa odnosiły się do ślubu, jaki podkomorstwo zrobili, we względzie pielgrzymki do Częstochowy, którą odbyć mieli wraz z księstwem Gotfrydostwem. Pan Karol zostawał w domu, na gospodarstwie, wymówiwszy sobie, że po powrocie rodziców pojedzie jeszcze do Paryża. Podkomorzynę skrzywił się na to, lecz sprzeciwiać się nie mógł. Podkomorzynę zadowalały korzyści wyraźne, jakie syn w stolicy Francji, we względzie pronuncjacji francuskiej i szyku towarzyskiego osiągnął, ażeby sprzeciwianie się podkomorzego coś znaczyć miało. Była to jeno pierwsza zgryzota, która go zaatakowała po wydaniu córki, zgryzota, którą w sobie stłumił, zmieniając ją w ten sposób w truciznę trawiącą powoli siły jego żywotne.

Podkomorstwo z Ohrebyszc, księstwo Gotfrydostwo z Krasinowic, dworno, zasobnie, z kurjerami co ich poprzedzali, z dwiema opakowaniami a służbą obsadzonemi brykami, które szły za karetami, puścili się w pielgrzymkę pobożną. Wyjechali, rozumie się, nie w dniu jednym, byłoby to bowiem *mauvais genre*, ciągnąć taborem na wzór cyganów. Podkomorstwo jechali osobno, księstwo osobno, powracać zaś mieli odmiennemi drogami, pierwsi na Włodawę i Berdyczów, drudzy na Kraków i Lwów. Puścili się w podróż, która zająć miała tygodni kilka. Pan Karol pozostał sam.

Wyprowadził rodziców na trakt, i powracając, nawrócić kazał do Frasnoblówki.

Państwo Oleccy byli w domu oboje.

Nie nudniejszego jak wizyta, w warunkach takich, w jakich ją składał pan Karol. Obecność męża podcinała mu skrzydła. Nie tracił jednak fantazji i brał się — jak to powiadają — na pazury, w celu wykazania przed panią zalet, czyniących go o niebo całe od tego męża wyższym. Jest to zwykła don Juanów taktyka. Roztaczał przymioty swoje, niby paw' ogon, mówił o wielkim świecie zagranicznym, o stosunkach, jakie w nim posiadał, o zwyczajach, o obyczajach, o tajemnicach, o intrygach i o tych skandalach, które aureolą heroizmu otaczają modne damy. To ostatnie ma smak, zapach i ponętność całą

owocu zakazanego. Na ten lep biorą się gąski z łatwością wielką, gąski zwłaszcza, znajdujące się w położeniu pani Oleckiej. Pan Karol prowadził atak umiejętnie; ustawiał baterje małżonkowi pod nosem i miał tę satysfakcję, że razy parę podchwycił spojrzenie pani... wielce obiecujące.

— *Ça va... Ça chauffe...* — powtarzał sobie, powracając do domu.

Powtórzył wizytę i znów obok magnifiki małżonka zastał.

Musiał znów zabawiać się ustawianiem baterji pod nosem.

Za trzecim razem *ditto*.

— *Ah ça!*... — zawołał, jadąc z Frasnoblówki z powrotem do Ohrebyszc. — Czyż sąsiad kochany nigdy dla oglądania wschodzących owsów w pole nie wyjeżdża?... Trzeba go chyba dokądeś wyprawić... Czy nie pojedzie on na jarmark jaki?... do Balty może?... Kiedzy to tam jarmark?...

Posłał po komisarza, dowiedział się, że jarmark bałski przypada na Zielone Święta, następujące za dni kilka, pojechał nazajutrz z nową do Frasnoblówki wizytą i nie zastał męża w domu.

— Gdzie?..

— W polu... niedawno pojechał, nieprędko więc zapewne wróci..

— I zostawia panią samą?...

— To nic... Przywykłam do tego..

— A!... — zawołał pan Karol, podnosząc głowę i wstrząsając takową.

— Mąż mój będzie żałował chwil, których z panem nie spędzi.. A i pan nie dozna przyjemności nadzwyczajnej w mojem tylko towarzystwie...

— Ach pani!... — zaczął pan Karol, nadając oczom wyraz słodki, wzruszony i natchniony, i myśląc chwilę nad dobraniem wyrazów, w celu ułożenia frazesu efektownego, gdy w tem usłyszał za sobą energiczne chrząknięcie.

— Hrr-hm...

Obejrzał się.

— Służby moje asanu dobrodziejowi!.. Do stópek się ścię!..

Tak komornik gościa witał.

— Kląnam.. — odparł pan Karol kwaśno.

— Widząc, djabeł wie, że pana Oleckiego w domu nie ma, pośpieszyłem co rychlej na usługi pana dobrodziejka...

— Bodaj cię z usługami twojemi lichu porwało!... — rzekł podkomorzyc do siebie.

— Zabawię asana dobrodzieja rozmową...

— O czym, na przykład?... — podchwycił pan Karol, przybierając minę żartobliwą.

— Djabeł wie, mociumpanie... o czym pan dobrodziej życzy sobie... o stroju, o łożu, o kurze i grzędzie i o różnych innych rzeczach...

— Komornik... — wtrąciła pani — doskonale opowiada o procesie swoim... Zawsze go z wielką słucham przyjemnością...

— Otóż to... hrr-hm!... mociumpanie... djabeł wie... Prababka moja... świeć Panie nad jej duszą... prababka w linii prostej, bo babka rodzona stryjeczno-ciotecznego stryja mego, Pawła Aleksandra Teodora trzech imion Okraży, Okrasianka z domu, Olecka po mężu, umierając, zostawiła sumy posagowej ewikcjonowanej i intabulowanej, złotych polskich tysięcy szesnaście...

— Tysięcy szesnaście?... — zapytała pani z zajęciem.

— Złotych polskich tysięcy szesnaście... — powtórzył komornik powoli i dobitnie — jak oko... jak łódź. Nie mówię więcej, bo i do czegożby to było!... Tysięcy szesnaście ani mniej, ani więcej... Djabeł wie... Nie chcę cudzego, nie daruję swego...

— A procenta?... wtrąciła pani.

— Procenta?... hm... Djabeł wie... My do procentów przyjdziemy, chociaż to z procentami, to rzecz taka: Ani się ich dorachujesz, choćbyś buty z nóg obydwóch pozzrucił... Kto te procenta wymyślił, djabeł wie; że się należą, to pewne, ale... ile?... otóż i sek... Potrzebaby do tego rachmistrza... phiii!... Takiego z pewnością nigdzie nie znajdziesz... Znałem jednego... ale jednego tylko... djabeł wie... nazywał się Chochełka...

— Chochełka?... — zapytała pani z ciekawością.

— Jędrzej Onufry dwóch imion Chochełka...

— Podstolic nam powie, jak się pieczętuje...

— Nie mówiłem podstolicowi o nim... Dość, że się nazywał Jędrzej Onufry...

— Dwóch imion... — wtrąciła pani.

— Tak... dwóch imion... Jędrzej Onufry Chochełka... Ależ to był rachmistrz, mospanie!... Hrr-hm!... — tu komornik po-

krętny rozglądził was. — Jędrzej Onufry Chochełka... Bywało siedl o zakłady... A nu... sześć razy ośm!... ośm razy sześć!... Umiął, szelma, i tędy i owędy... Nikt z nim nie wytrzymał... Żydzi sobie pejsy wyrwali... Ja, Bogu dzięki, w ciemę nie bity, a... nie... z nim byłem niby koń leniwy, zaprzężony w dyszlu razem z koniem ognistym... He!... gdzie!... Siedm razy ośm!... on już powiedział, kiedy ja namyslać się myślał, zaczynając od siedm razy jeden... Oto mi był rachmistrz!... Ale djabeł wie... o czymże to mówić ja chciał?... —

— O procentach... — odpowiedziała pani.

— Aha!... prawda... przypominam sobie... Owoż tedy, mości dobrodzieju... djabeł wie... Jędrzej Onufry Cho...

— Dwóch imion... — wtrąciła pani.

— Tak jest... dwóch imion... Jędrzej Onufry Chochełka był to rachmistrz nad rachmistrze... Powiedzieć mu bywało: sukna łokei siedm po złotych dziesięć i groszy dwadzieścia, on, panie, bez kredki... głowa do góry... pobelkotał pod nosem... jest... Żeby się kiedy o fenig jeden omylił!... Matematyk... hej!... kudy!... nie taki jak ten fizyk, co to bańki nosem puszczał... Hrr-hm!... Tak... ale djabeł wie... O czymże to ja mówić chciał?... —

— O procentach... — znów pani na to.

— Prawda!... no!... Otóż ten, Jędrzej Onufry Choch...

— Dwóch imion... — przypomniała pani.

— Tak jest... dwóch imion... Jędrzej Onufry Chochełka kiedy mu przyszło procenta jakies wedle kahału rachować, to, mości dobrodzieju, siedział, siedział, siedział, siedział i jeszcze siedział...

Pan Karol siedział, niby na węglach żarzących.

Komornik odechrząknął, wasy rozglądził i znów zaczął:

— Siedział, siedział, siedział, siedział, siedział... poziele- niał... wyłysiał... zęby potracił... i, co na to asanstwo dobro- dziejstwo powiecie! procentów nie ugryzł... A matematyk!... a rachmistrz!... Żydzi sobie pejsy obrywali, sam to widziałem... Procentów jednak, ani weź!...

Co panu Karolowi najbardziej żółć poruszało, to to, że pani Olecka z wielkiem zajęciem słuchała bzdurzenia rezydenta i za pomocą zapytań, jakie mu zadawała, podtrzymywała rozmowę, która się przeciągnęła, aż pan Olecki nadjechał.

Podkomorzyc odetchnął, jakby mu się ciężar z piersi zwałił.

Pan Olecki powitał sąsiada i kuma z serdeczną uprzejmością

— O! jakże żałuję, że mi dziś wypadło w pole pojechać...

— Mówiłam panu podkomorzycowi, że żałować będziesz...

— Posłać było po mnie...

— Byłabym posłała, gdyby nie komornik, który nas tak zajął opowiadaniem o procesie swoim, że czas zbiegł, anim się opatrzyła...

Pan Olecki podziękował komornikowi, a zwracając się do gościa zapytał:

— Cóż, kumie?... Zielone Święta za pasem?..

— Zielone Święta właśnie do Frasnówki mnie dziś sprowadziły...

— No?... — było pana Oleckiego zapytanie.

— Jadę na jarmark i chcę cię prosić, żebyś i ty jechał...

— Ja i bez prośby twojej jechać muszę... Mam trochę bydła rogatego na sprzedaż i koni do kupienia...

— Wybornie!... Kiedyż w drogę?...

— W sobotę... jednym dniem stanę, w sam raz na pierwszy dzień jarmarku...

— Wyśmienicie!... Więc się w Bałcie zjedziemy... Nie mam jarmarcznego nawyku, nie dałbym sobie rady...

— Czegoż ci potrzeba?...

— Ach!... koni, koni i koni... Chcę papie siurpryzę zrobić i bronowłoki perszeronami zastąpić... Za granicą orzą, wożą, włóczą perszeronami...

— Ależ w Bałcie perszeronów nie dostaniesz... — zauważył pan Olecki.

— Dostanę coś podobnego...

Perszerony był to wymysł, wynalazek naprędce zrobiony, celem nadania racji jakiejś wyprawie na jarmark. Głównie chodziło młodemu człowiekowi o to, żeby sobie zapewnić sam na sam z panią Oleką, długie i spokojne.

— O tożem się ubawił!... — wywoływał, myśląc o opowiadaniu komornika. O, bydlę!... ze swoim „siedział, siedział, siedział“... Bodajbyś się pod ziemię z twoim „siedział“ zapadł!... Rachmistrz Chochełka?... Bodajby ci język usechł!... Okazy, do

tego komornika podobne, chyba u nas znajdują się tylko... Ale... ona!... ona?... kobieta przecie!... z delikatnością smaku wrodzoną! słuchać bredni takich?... Któż to Francuzka, gdyby o Chochełkę zaczął, nie krzyknęłaby na niego: *au large!*... Powetuję jednak to sobie!...

W sobotę rano pan Olecki ruszył do Bałty.

W sobotę około dziesiątej pan Karol przyjechał do Frasnówki.

I ułożył sobie planik wcale dowcipnie.

Przyjechał powozem upakowanym po podróżnemu. Wyśiadłszy, zapytał służącego, co na spotkanie jego na ganek wyskoczył:

— Pan w domu?..

— Nie ma, proszę pana..

— Pojechał już?...

— Ee... ta od kiedy!...

— Ha!... uderzył się dłonią w czoło. — Cóż tu robić...

Myślał przez chwilę.

— Gdzie komornik?..

— W swojej stacji proszę pana...

— Co robi?...

— Czyści pułapki na myszy.. Dzisiaj w nocy złapał dwie, ta powiada, że pułapki odwieźć potrzeba, bo mysz nie pójdzie, jak poczuje zaduchę...

— A poproś no komornika do mnie...

Służący poskoczył i w chwilę później pan Okrasa składał powitania czekającemu nań na ganku podkomorzycowi.

— Komorniku kochany!... — przemówił ten ostatni. — Chcesz mi usługę wielką oddać?...

— Djabeł wie, mosanie... Hrr-hm... Ja nie wiem... Ten, za pozwoleniem pańskim, dureń (tyczyło się to służącego, co go wezwał) wpadł do mnie, jakby się paliło...

— Chodzi o, ot... — podchwycił pan Karol. — Dojeżdżając tu opatrzyłem się, żem zapomniał pugilaresu z pieniędzmi... Włożyłem go do biurka i biurko zamknąłem... Oto klucz (wydobył klucz z kieszeni)... Jedź komorniku kochany, do Ohrebyszcza, każ się do apartamentu mego prowadzić... otworzysz biurko... weźmiesz pugilares i tu mi go przywieziesz... Ja poczekam na twój powrót...

Komornik po podawany mu klucz ręką nie sięgał i z pewnym rodzajem osłupienia w oczy panu Karolowi patrzył.

— Cóż?... zrobisz mi to?...

— Kto?...

— Ty!...

— Hrrm!... — odchrząknął z przyciskiem.

Twarz mu ogniem spłonęła.

— Cóż?... mój kochany?... — bąkał panicz zmieszany trochę.

— Czy to ja z tobą razem świnie... za pozwoleniem pasał!... — wybuchnął komornik.

— Co?... ty?... — odezwał się podkomorzyc, cofając się nieco, brwi marszcząc i pięści zaciskając.

— Ty?... ty?... ty?... — odkrzyknął w gniewie wielkim komornik. — Ty?... ty?... ty?..

— Oszalałeś?... hej!...

Na okrzyk ten zeskoczył z kozła ohrebyski służący i obok pana swego pozycję zajął.

Komornik począł naprzód, w postawie zaczepnej, z podniesionemi do góry posuwać się kulkami, rzucając z ust głosem zadyszczanym:

— Ty?... ty?... ty?..

Pan Karol cofał się ku drzwiom, zdziwiony, zgorszony, zirytowany — zbliadł a nie umiał sobie zdać sprawy z tego co zaszło. Uznawał jeno w głębi przekonania własnego, że na przyjęciu ataku wyszedłby jak najgorzej, przez wzgląd na atletyczną komornika budowę; czuł iżby wraz ze służącym swoim spytłowanym został na otręby, gdyby do zetknięcia się przyszło; a nie widział sposobu wycofania się z honorem z tej awantury, której nie szukał, która go, ni ztąd ni zowąd, na gładkiej spotkała drodze.

Komornik odetchnął i wrzaski począł wyprawiać.

Wrzaski wywołały ludzi z głębi dworu, z oficyn, ze stajni i sprowadziły podkomorzycowi dywersję pod postacią pani domu, która wybiegła w szlafrocuku i czepeczku porannym.

Pani Olecka wystąpiła, niby niewiasta sabska. Rzuciła się pomiędzy walczących. Na widok jej komornik się cofnął i ręce opuścił.

— Co to?... co?... panie komorniku!...

— A nie, proszę pani... Skarciłem blazna, którego guwerner nie nauczył szacunku dla ludzi... Ten smarkacz... djabeł wie... proszę wystawić sobie... przemawiał do mnie: ty!... Cóż to (tu się komornik znów zapalił!...) Czy to ja nie taki szlachcic, jak on!... Czy to ja sroce wypadł z pod ogona, jak on!...

— Panie komorniku... — przerwała pani głosem proszącym. Komornik zamilkł od razu.

— Panie... — zwróciła się do podkomorzycy. — Ubolewam mocno... Niechże pan będzie łaskaw...

I ukazywała mu ręką drzwi do salonu.

— Proszę pana...

Podkomorzyc wszedł do pokoju zirytowany, drżący, nie mogąc jednego przemówić wyrazu.

— Jakże mi to przykro!... Proszę pana siadać...

Podkomorzyc usiadł. Pani zajęła miejsce nieopodal od niego i zaczęła tonem naturalnym, jakby nie nie zaszło:

— Mąż mój będzie mocno żałował, że się z wyjazdem godzin parę nie wstrzymał... Stracił przyjemność widzenia się z panem... A mówiłam mu: czego się spieszysz?... Nie posłuchał...

Pan Karol odetchnął głęboko.

— Będzie miał jednak dobrą drogę... — ciągnęła pani. — Pozawczora deszcz padał i kurzawę przybił.

Pan Karol powstał z gestem oznaczającym, że pożegnać gospodynię domu zamierza.

— Pan się tak spieszy?...

— Muszę... Jadę do Bałty... na jarmark... — westchnął. — Na jarmark...

— Nie zatrzymuję... Pan męża mego na popasie dopędzi... Mówił nawet, wyjeżdżając, że się spodziewa tego... Jakże mu będzie przyjemnie!...

Znów westchnienie podniosło pierś pana Karola. Marzył o przyjemnościach innego zupełnie rodzaju. Bąknął słów parę na przeprosiny. Pani się uśmiechnęła, odpowiedziała, że to ona przeprasza, tłumacząc komornika żywością, i wyprowadziła gościa na ganek, żegnając go uśmiechem i życząc mu dobrego jarmarkowania.

Pan Karol zawahał się, czy ma do Bałty jechać, czy nie. Nieobecność pana Oleckiego następczała mu sposobność dosko-

nałą do przyprowadzenia do skutku zamiarów. Z drugiej atoli strony, awantura stawiała go w świetle tak śmiesznym, że w świetle tem nie mógł się we Frasnolówce pokazywać.

— Djabli nadali!... — mówił sobie. — Gdybym był przewidział, byłbym zbrodniarza tego tytułował jasnie wielmożnym albo najjaśniej oświeconym... Postawił mnie tak głupio w obec jejmości, że sam tylko małżonek może mnie z błota tego wyciągnąć... Ha!... trzeba do Bałty jechać... Od czegoż małżonkowie jeżeli nie od tego, ażeby gachom służyć? Byłe tylko umieć ich stosownie zażywać...

Pod tym względem młodzieniec ufał sobie, zwłaszcza po doświadczeniu, jakie zrobił na komorniku, którego chciał także „stosownie zażyć”. Komornik jednak małżonkiem nie był.

— To bydlę krew mi zburzyło!...

Nie przyznawał się atoli do tego, że mu plany w niwec obróciło, a rozmyślać począł nad głupotą polską, skutkiem której po domach szlacheckich trzymają rezydentów. Nazywał ich pasożytami, zerami, latoroślami na drzewach owoc rodzących, obcinanymi w ogrodach dobrze utrzymywanych, zostawianymi zaś jedynie w takich, które w dzikim pozostają stanie. Ztąd konkluzja, że u nas to dzicz.

Nie zgadzając się z podkomorzycem co do konkluzji, zaprzeczyć nie możemy rozmyślanu jego racjonalności, pomimo, że wyjątkowo rezydentyzm pożytecznym się okazał.

Kto wie co by się stało, gdyby nie komornik. Kobiety są takie słabe! Sztuka uwodzenia jest tak potężną! Pan Karol obok uroku, jakim go pobyt w Paryżu oblewał, łączył w sobie przymioty szarmenta najlepszej próby, był młody, przystojny, grzeczny, wymowny, przedsiębiorczy, zuchwały, umiał się podobać i od razu i przy dłuższem poznaniu. Gdyby przeto nie drażliwość szlachecka rezydenta, kto wie czy pan Olecki nie byłby na jar-marku wyszedł jak Zabłocki na mydle, i przypuściwszy iżby mu się kupna i sprzedaż powiodły jak najlepiej, nie postradał na zawsze tego szczęścia domowego, z którym mu tak dobrze było. Rezydent przeto usługę mu oddał. Podkomorzyc atoli nie z tej na instytucję tę zapatrywał się strony, i dla tego uznawał ją bezwzględnie bezpożyteczną a nawet szkodliwą.

Do Bałty przybył nazajutrz, w niedzielę, po mszy i po kazaniu. Pan Karol wpadł w sam środek wiru i dał mu się

porwać, co uczynił tem chętniej, że mu w uszach brzmiały wyrazy „błazen, smarkacz”, zaaplikowane do niego w obecności pani Oleckiej. Chodziło mu przytem o ujęcie pana Oleckiego, który zastosowywał się do wszystkiego — co też cechowało jego porządność obywatelską. Jak w domu był sąsiadem najlepszym, małżonkiem wzorowym, gospodarzem zawołanym, w ogóle człowiekiem „choć go do rany pazykładaj”, tak w Bałcie, na jar-marku, w zgiełku szlachecko-żydowsko-cygańsko-chłopsko-handlowo-pijackim, w otoczeniu bałagunów, podszedł pod ton i miarę ogólną nie rwał się naprzód, nie zostawał z tyłu i dotrzymywał sprawy, wszem wobec i każdemu z osobna. Pan Karol opowiedział mu *a parte*, co go w domu jego spotkało.

— I! śmiej się z tego!... — odparł. — „Pies bresze, wiatr niesie“...

Kan Karol nie mógł *a parte* gościć i podejmować męża pani Oleckiej, ani też z nim *a parte* sztosika ciągnąć. Brał więc udział w ucztach, zabawach, grach ogólnych, które opłacał; żeby zaś usprawiedliwić obecność swoją, kupował konie, wybierając takie, któreby jak najbliżej do perszeronów podchodziły, a że mu pieniędzy zabrakło, więc bez namysłu zapożyczył się u kupca z Krasilowiec, któremu natychmiast sprzedał pszenicę całą na pniu i zrobił z nim kontrakt formalny.

— *Il y a du bon là-dedans...* — mówił do siebie, wracając do domu.

I miał rację, co do tego. Zgiełk wszelki, śród czczości absolutnej w jakiej upływa żywot tych, co nie do czynienia nie mają, przedstawia się jak oazis na pustyni piaszczystej. Człowiek taką jest obdarzon naturą, że potrzebuje koniecznie zajęcia jakiegos. Gdy zajęcia brak, gdy mu „urodzenie“ zabrania pracować, a majątek pozwala próżnować, szuka zagłuszenia w zgiełku, we wrzawie, w rozpucie. Powiadają, że rozpusta niesmak po sobie zostawia. Gdzie tam! Przeciwnie. Kto się napoju tego raz napił, temu się zachciewa jeszcze i jeszcze.

VII.

„*Il y a du bon là-dedans.*“ Takim było zdanie podkomorzycy o jarmarkach w ogólności — a dla czego? Oto dla tego głównie, że znalazł sposobność, która gdzieindziej niżeli na jarmarku nie była łatwą do znalezienia, otoczyć się nimbem heroizmu, w obec którego zbladł ów blask, w którym śmieszna awantura postawiła go w oczach fraszoblowieckiej kasztelanki. Pojedynkował się. O co? O nic. W restauracji, w której przy długim stole kilka tuzinów szlachty siedziało, zbliżył się do niego młody jakiś człowiek i powitał go uprzejmie.

— Karolu, jak się masz!...

Podkomorzycę okiem rzucił, ramionami ścisnął i odwrócił się.

— Nie poznajesz mnie?... Gustaw...

Pan Karol z siedzenia się zerwał, do młodego człowieka się zwrócił, dumnie go okiem zmierzył, rękawiczką w nos trącił i krzyknął:

— Precz, natręcie!...

Młody człowiek zbladł i rękę podniósł z takim akcentem, jakby zamierzał czynnej, na osobie pana Karola, dopuścić się obelgi. Lecz się powściągnął — odszedł i za chwilę sąsiad jeden z okolicy Ohrebyszez wręczył podkomorzycowi kartelusz, na którym skreśloną była ołówkiem prośba grzeczna, ażeby raczył oddawcy karteluszu ukazać swego sekundanta, z którym tenże rozmówićby się mógł o warunki pojedynku.

— Ale nie inaczej jak na pistolety i nie bliżej jak kroków dziesięć...

— Dobrze... — odrzekł oddawca kartelusza. — O tem jednak nie z panem, a z sekundantem pańskim mówić mogę... Kto jest pańskim sekundantem?...

— Olecki... Oto siedzi... — odparł podkomorzycę ukazując na pana Oleckiego i podając mu przez stół kartelusz... Wszak mi nie odmówisz usługi przyjacielskiej?... Rozmówcie się, panowie... Zjem jeno objad i będę na usługi wasze...

Gustaw — był to ów Gustaw, o którym wspominaliśmy kilkakrotnie w ciągu powieści niniejszej, którego jednak nie znamy jeszcze — nie nastawał na pojedynek koniecznie. Na co

jednak nastawał, to na to, ażeby pan Karol, jak go publicznie obraził, tak publicznie przeprosił. Sekundanci uważali taką satysfakcję za godziwą i słuszną, i dla sprowadzenia jej uciekli się do interwencji pułkownika — tego samego pułkownika, którego synowiec był w Rzymie. Mąż poważny najwłaściwszym był na medyatora.

— Karolu... O co ci chodzi?...

— O nic...

— Miejże zastanowienie... O głowę idzie...

— Zastanowienie jest rzeczą względną... Mam je, albo nie mam, jak mi się podoba...

— Cóż ci on zrobił?...

— Nic... Pokazał mi fizjognomię swoją i to mi się nie podobało...

— Czysty warjat!... — rzekł pułkownik niby do siebie. — Wszak to Gustaw, twój dobry znajomy!.. przyjaciel lat młodzińczych!... w domu waszym bywał!... kochaliście się... Gustaw, nie zapominaj, jest podporą licznej rodziny ubogiej...

— Co to wszystko znaczy — odparł podkomorzycę tonem kpiarskim — w porównaniu z wiecznością!... a co znaczy wieczność w porównaniu z ogórkami kwaszonymi!...

Pułkownik zrobił grymas oznaczający, że się obraził.

— Mój pułkowniku, szanowny i kochany!.. — podchwycił pan Karol. Nie interweniujcie naopróżno!... Czuje swierzbaczkę, którą spędzić muszę, i jeżeliby mi ten był się nie nawinał, to byłbym komuś nogi podeptał...

— A!... jeżeli tak... — pułkownik na to, ręce rozkładając — to nie ma co...

Sekundanci ułożyli warunki. Plac boju obrali w domu za jezdny, w izbie obszernej, w której za linię strzałów obrali przekątną, wynoszącą więcej trochę aniżeli kroków dziesięć. Strzelanie na komendę, razem. Strzałów po trzy. Pierwsza krew kończy pojedynek. Pistolety kalibrowe. Czas — godzina trzecia po południu. Tłumaczenie przed władzami na wypadek śmierci — samobójstwo.

O godzinie trzeciej, to jest, w godzin dwie po wyzwaniu, wszystko było gotowe. Przeciwnicy zajęli stanowiska w kątach. W dwóch innych kątach stanęli sekundanci i świadków po trzech. Przyległe izby, podsien, miejsce pod oknami zajęte były

przez galerję ciekawych, zaglądających przez szczeliny i nastawiających uszów.

Nastąpiła cisza oczekiwania. W ciszy nagle rozległo się dwa huki razem, jakby orzech zgryzł.

— Co?... co?... — słyszeć się dały w ciżbie zapytania.

— Stoją... — obiegała z ust do ust odpowiedź.

Znów cisza. Znów dwa huki.

— Co?... co?...

— Stoją...

— Zuchy!... jechał ich sześć!... Chwaty!... — wywoływać poczęto.

— Nie dopuścić strzału trzeciego!... — ktoś zawołał. — To morderstwo... To czort wie do czego podobne!...

Powstał zgłęb i zamieszanie. Ci co się bliżej drzwi znajdowali, odpychali tych, co stali dalej. Trwało to chwilę. Huknęła trzecia para strzałów. Ciżba włamała się przez drzwi do izby dymem napelnionej. Otoczono pana Karola, który zdrów i cały, stał jeszcze w kącie i miał na ustach uśmiech drwiący a nad głową, nie wyżej jak o cali dwa, trzy, dwie kule w ścianie — trzecia utkwiała w boku nieco, tuż koło ucha.

Rzecz dziwna. Nie otoczono Gustawa. Parę zaledwie znalazło się osób, co go pod ramiona do przyległej wyprowadziły izby, gdzie czekał doktor z bandażami i instrumentami. Krew go broczyła. Oberwał. Słaniał się i na nogach utrzymać się nie mógł. Nie interesowano się nim jednak. Wyprowadzono i zostawiono sam na sam z lekarzem, który naprędce bandażował, głową kiwał, ustami krzywił, nosem czmychał i radził wynosić się jak najrychlej z pod dachu, pod którym się pojedynek odbywał, dla zatarcia śladów wypadku. Wkrótce też potem wywieziono ранego i nikt o niego ani zapytał.

Troskliwość cała i całe zajęcie publiczności skupiły się około zdrowego i całego pana Karola.

Sekundanci, świadkowie i ci z ciekawych, co bliżej znajdowali się szczelin, sławili krew jego zimną, spokój zupełny i odwagę niezrównaną.

— Stał jak słup... żeby okiem mrugnąć!...

Powtarzano jego słowa.

— Po pierwszym strzale odezwał się tylko: „krak!...”

Po drugim, sekundanci błagali, żeby dać już temu pokój, a on im na to, po łacinie: *omne trinum perfectum...*

O Gustawie mowy nie było: czy dlatego, że ubogi? Zostawiam to zapytanie bez odpowiedzi, notując jeno fakt, który człowiekowi lubiącemu się zastanawiać, może dużo, dużo myśli nasunąć do głowy. Usunięto ubogiego Gustawa z oczu i z pamięci, a zajęto się żywo bogatym panem Karolem i *stante pede* stworzono dla niego gloriolę, która postać jego opromieniła sławą, rozgłosną na Bałtę całą. Stał się bożyszczem dla młodych i starych. Z Bałty wieść o pojedynku jego wyjechała w najodleglejsze kraje zakątki. Do Frasnobłówny zawiózł ją pan Olecki.

— Oto zuch!... oto chwyt!... — były to wyrazy, któremi żonę powitał.

— Kto?... kto przecie?... — pytała zaciekawiona.

— Podkomorzyc!... kum nasz!... Wyobraź sobie tylko...

Opowiedział zdarzenie całe.

— Sekundowałem mu... Stał niby posąg... Odwagi większej wyobrazić sobie nie sposób...

— Wiesz, co go tu spotkało?...

— Wspominał mi o tem... I!... komornik... Gdybym nie wiedział z pewnością, że się nie zapija, pomyślałbym, że miał w czubku... A może?...

— Nie... — protestowała pani. — Rzecz cała w tem, jak się zdaje: czyścił pułapki na myszy... oderwano go od roboty i z tej przyczyny wpadł w zły humor...

— Jak tylko odpocznę trochę, natychmiast pojedę do Ohrebyszcza, przeproszę podkomorzyca i na objad go poproszę...

— Trzeba kucharzowi zadysponować, ażeby miał raki na zupe... — podchwyciła pani.

W parę dni później, podkomorzyc był we Frasnobłównie na objedzie, przy którym pan Olecki wszczął rozmowę o pojedynku. Pan Karol wysłuchał początku z roztargnieniem i zwrócił rozmowę na przedmiot inny. Pan Olecki pojedynek na stół wytoczył, biorąc go ze strony zimnej krwi i odwagi bohatera.

— A pan Gustaw?... — wtrąciła pani.

Podkomorzyc skrzywił się nieco. Pan Olecki odpowiedział:

— Gustaw... hm... I jemu nic do zarzucenia nie ma...

I on...

— Co szparagi wspaniałe!... — zawołał podkomorzyc, nabierając z półmiska. Przypominają mi szparagi u Vefoura... Macie państwo ogrodnika dobrego...

Rozmowa o szparagach, następnie o innych jarzynach, które pan Karol w Paryżu jadał, zajęła resztę objadu. Przy objedzie komornik był nieobecny.

Nieobecność komornika nie wzbudzała uwag ani postrzeżeń żadnych.

Nie interesowano się nim wcale.

Podstolic siedział cicho. Zjadł. Pożegnał się, ukłonił i odszedł.

Odwidziny pana Karola wznowiły się po dawnemu, i po dawnemu próbować musiał razy kilka, aż znalazł się sam na sam z panią.

— O, jakże mąż mój żałować będzie!... — zaczęła pani.

— Pani tak mało ceni siebie... — odparł podkomorzyc.

— Ja?... siebie?...

— Pani nie odgadujesz, albo też odgadywać nie chcesz, że towarzystwo jej dla mnie...

— Niech będzie pochwalony... — odezwał się głos z boku.

Pan Karol urwał frazesu ciąg dalszy, głowę zwrócił i ujrzał podstolicę, stojącego z głową pochyloną i ze złożonymi rękami.

— Widząc, że pana Oleckiego w domu nie ma, pospieszam bawić asana dobrodzieja...

Przez usta podkomorzcowi przewinął się uśmiech złośliwy. Odparł:

— Witam asana dobrodzieja... Asan dobrodziej zadaje sobie trud niemały...

— Cóż robić!... coź robić!... trudzić się musi człowiek aż mu oczy piaskiem przysypią...

— Jeżeli jednak może się nie trudzić, to powinien ze sposobności korzystać...

— Nie sposób... nie sposób... Stwórca, wyganiając z raju ojca rodzaju ludzkiego, nakazał mu pracować w pocie czoła... i od czasu onego...

— To znaczy... — podchwycił pan Karol półdrwiąc — że Stwórca wskazał ojca rodzaju ludzkiego na chłopstwo... a zatem cały rodzaj ludzki do chłopskiego należy stanu...

— Tak było... — odparł staruszek — ale tak nie pozostało na zawsze... Stwórca, spostrzegłszy się, że sami chłopcy rady sobie nie dadzą, zesłał potop... zesłał potop...

— I wytopił chłopów?... — zapytała pani z żywym zajęciem.

— Co do nogi, asani dobrodziejko...

— A zatem — wtrącił pan Karol — rodzaj ludzki pozostał zawsze rodzajem chłopskim, bo Adam był chłopem a Noe od Adama pochodzi...

— Pan Najwyższy nobilitował Noego...

— A!... — zawołał podkomorzyc.

— Nobilitował i nadał mu herb... berło pomiędzy dwoma kluczami. Noe zaraz po wyjściu z korabia pieczętował się berłem pomiędzy dwoma kluczami i zważ jest, to znaczy nosi tytuł, *semen mundi, pater principum atque deorum*... Pan mu nadał herb i tytuł...

— Zkądże się wzięli chłopcy?... — zapytał pan Karol.

— Od Chama... — odpowiedziała pani Olecka.

Podkomorzyc zawstydzil się pytania własnego, dowodzącego niewiomości na punkcie tak znanym. Staruszek odrzekł:

— Tak, asani dobrodziejko... tak... Chłopi od Chama... Wszelako i ich Pan bez herbu nie zostawił, tylko, że oni wstydzają się i wolą utrzymywać, że herbu nie posiadają wcale... Tak atoli nie jest, w rzeczy samej, o! nie... I chłopcy klejnot posiadają... Pan im za herb nadał tarczę a na niej...

— Batog... — podchwycił pan Karol.

— Nie...nie batog... — odparł staruszek spokojnie. — Pan im, a właściwie praszczurowi ich, Chamowi, za herb nadał tarczę a na niej, na znak infamii i bezwstydu, z powodu, że naigrzając się Noemu, co się soku z jagód winnej latorośli opił i zasnął, ściągnął na siebie i potomstwo swoje przekleństwo ojcowskie, nadał mu za herb trupa głowę, na której stoi ptak, mający kształt gryfa, ze skrzydłami do góry, z ogonem w postaci S przewróconego, z rogami jak u szatana, z językiem wywalonym i zakrzywionym tak, ażeby P wyobrażał, z dzióbem, z czterema nogami do dzioba podobnymi... a wszystko to na znak infamii, ogon bowiem na jednym końcu gryfa, wygięty naksztalt S, znaczy „szelma“, język na drugim końcu wygięty naksztalt P, znaczy „podły“... gryf sam, ni to ptak, ni czworono-

nożne, pomimo nóg czterech, które są ni nogami ni nosem...
Ex re symboliki tej... chłopci wstydzą się klejnotu swego...

— I mają rację... — wtrąciła pani.

— Próbowali oni go zmienić... — ciągnął podstolic. —
 I tak Isim i Osirim pieczętowali się psem, wilkiem i lemieszem...
 I pies i wilk i lemiesz *infames sunt*, nie w ten atoli sposób co
signum przez samego Pana nadane... Pies oznacza służbę, pod-
 daństwo, wilk rozbój i złodziejstwo, lemiesz pracę... Nie dopu-
 ścił atoli Pan, ażeby *abusum* to utrzymać się miało... Przy-
 właszczytelstwo upadło i chłopstwo, wstydząc się klejnotu
 własnego, wskazaniem jest na bezherbowność... Takie to są wy-
 roki, które wydaje Pan w niedoścignionej mądrości swojej...

— Więc my wszyscy — podchwyciła pani Olecka — mie-
 libyśmy prawo do herbu Noego..

— A nie, asani dobrodziejko... Jak we wszystkim, tak
 i w tem, podziwiać należy mądrość bożą... Rozrodził się rodzaj
 ludzki, rozrodziła się szlachta, rozrodziły się więc i herby, a
 rozrodziły się zupełnie tak, jak się rozradzają rody szlache-
 ckie...

— Co też to za ciekawa rzecz!... — odezwiała się pani.

Podkomorzyc spojrział na nią wzrokiem, w którym się za-
 kłopotanie małowało.

— Ciekawa... — odrzekł podstolic. — A jaka ważna!...
 A jaka pożyteczna!... A jak to w niej mądrość boża odbija
 się, niby w zwierciadle!... Nic tak wyraźnie o mądrości bożej
 nie świadczy... Bo proszę jeno asanstwa dobrodziejstwa, proszę
 tylko wziąć kawkę... kawkę... ot tę naszą prostą kawkę, co
 lata sobie około wieży cerkiewnej... Ta kawka za pogańskich
 jeszcze czasów służyła do pieczętowania się wielkim familiom
 rzymskim i nazywała się *corvinus*... Od niej idą: Jastrzębiec i
 Ślepowron... Uważajcie tylko państwo... Kawka rzymska poro-
 dziła polskiego Jastrzębca i Ślepowrona... i jeden ptak z podkową
 i drugi ptak z podkową... Jastrzębiec zaś i Ślepowron są oj-
 cami klejnotów następujących: Lada, Bylina, Lubicz, Lzawa,
 Niezgoda, Krzywda, Puchała, Pokora, Boża woła, Dołęga... Co
 to mądrość najwyższa zdziałać może!... Jedna kawka, jak się
 rozrodziła!... A co to rodów pieczętuje się klejnotami temi...
 samym Jastrzębcem dwieście z górą, samym Ślepowronem pięć-

dziesiąt przeszło... Oj, oj... ani się mądrości nadziwić ani uwiel-
 bić jej dosyć nie sposób!...

Staruszek zaczął porządkiem wymieniać domy, pieczętujące
 się Jastrzębcem. Skończył Jastrzębca, wziął się do Ślepowrona,
 i kiedy doszedł do Miłkowskich, uciał nagle.

Przerwało mu wejście pana Oleckiego.

— Dawnoś przyjechał, Karolu kochany?... — zapytał go-
 spodarz domu, witając gościa uprzejmie.

— Od godziny, jeżeli nie więcej...

— Jakże żałuję!... jakże mocno żałuję!... Godzina dla
 mnie stracona... Było po mnie posłać... — dodał, zwracając
 mowę do żony.

— Byłabym posłała... podstolic jednak takie zajmujące
 opowiadał rzeczy!...

Pan Olecki podziękował staruszkowi i rozpowiadać począł
 o pszenicy, którą mu na jednym z łąków wiatr wyłożył. Wi-
 zyta przeto, po której się młody pan wiele spodziewał, spełzła
 dla niego na niczem, co zaś gorzej, pokazała dowodnie, że Cer-
 bery owe, z których żartował, przedstawiają przeszkody rzeczy-
 wiste, do usunięcia nie łatwe. Uderzyła go zwłaszcza jedna
 okoliczność, a to ta mianowicie, że pani Olecka tak smakuje
 w gawędzeniu komornika i podstolica.

— To ciekawy objaw!... ciekawy i wart zbadania bliż-
 szego... — mówił sam do siebie. — Wydaje się, jakby ona prze-
 kładała ich nademnie... Wartoby rzecz tę wziąć za przedmiot
 studjów głębszych... ale, jak?...

Myślał, myślał i wpadł na concept następujący. Miał we
 Frasobłowie pochrzestnika, małego Ludwika.

— Rozkocham się w nim raptem, zacznę o nim pamiętać
 i codziennie poszlę mu upominek jaki, a przy upominku, od
 czasu do czasu, bilecik pod adresem mamy kochanej... Bileciki
 ułożę w sposób taki, ażeby sentymenta szły w nich *crescendo*,
 aż do ekspresji najwyższej... Potrzeba mi tylko jakiegoś Figara
 sprytnego do odnoszenia upominków i bilecików, i adwokatowa-
 nia w mojej sprawie... Figaro!... — nogą tupnął — wyskocz
 z pod ziemi!... Ktoby to funkcję jego mógł najlepiej pełnić?...

Myślał, myślał.

— A!... — zawołał. — Chłopak ten w kredensie... *Il a
 une mine sournoise*...

Chłopak ten był to Kacperek, który podówczas drugi już rok przebywał we dworze i liczył rok życia swego piętnasty.

Pan Karol przywołał go przed oblicze swoje.

— Słuchajno... umiesz ty słuchać i milczeć a dobrze się sprawiać?...

— Zdaje się... proszę jaśnie panicza...

— Umiesz ty czytać i pisać?...

— Trochę...

— To źle... no... Cóż jednak robić!... Wiesz gdzie Frasoblówka?...

— Ta że wiem.. Idzie się przez las, a potem drogą nie tą, co na prawo, lecz tą, co na lewo, aż do karczemki, a od karczemki prosto, prosto, jak ta figura, potem w prawo i wieś...

— Dobrze... Owóż, dam ci pakieci, który ty odniesiesz do Frasoblówki do dworu i pani samej do rąk oddasz... Bądź przy tem, jak pani pakieci ten otworzy i staraj się wybrać moment taki, w którym pana w domu nie ma... Rozumiesz?...

— Rozumiem, jasny panicu...

— Powtórzysz mi od słowa do słowa, co pani powie...

— Słucham...

— Pakieci dostaniesz dziś wieczorem... Jutro do dnia pójdziesz i na południe bądź z powrotem...

— Słucham...

Pan Karol zasiadł do pisania. W kilku dobranych wyrazach skreślił uczucia swoje dla pochrzestnika, przepisał to na czysto, kopię schował dla regulowania korespondencji następnej, wybrał fatalaszkę jakąś z pomiędzy licznych brimborionów, jakie z Paryża nawiózł, zrobił paczkę, włożył bilecik do środka, obwiązał, przypieczętował i Kacperkowi wręczył.

Nazajutrz przed południem, Kacperek zdawał paniczowi sprawę.

— Oddałeś pani samej do rąk własnych?...

— Samej pani do rąk własnych...

— Był kto przy tem?...

— Nie było nikogo... Obszedłem dwór do koła, zaszedłem do stajni, rozpytałem się kiedy pan w pole wyjeżdża, i jak wyjechał, wypatrzyłem moment wyjścia pani do ogrodu, przeskoczyłem przez płot i pakieci oddałem.

— Wybornie... Widzę, że z ciebie będzie człowiek... Cóż dalej?...

— Pani, jak zobaczyła mnie, od pierwszego słowa powiedziała: z Ohrebyszc...

— Cóż dalej?...

— A ja jej pakieci w ręce i mówię: Jasny panicz kłania się... A ona: „Cóż to mój kochany?...” A ja: To jasny panicz przysła dla pani... A ona pakieci rozwinęła i aż skrzyknęła... Potem pismo czytała... Potem powiedziała: „Podziękujże, kochanku, panu podkomorzycowi serdecznie... powiedz mu, że Ludwiś dziękuje ojcu swemu chrzestnemu...”

— Cóż dalej?...

— Dalej tak było: kazała mi pani iść ze sobą do pokoju, ażebym widział i paniczowi rozpowiedział, jak się Ludwiś uciechy kogucikiem, co w pakieci był zawinięty... Otóż ja i poszedłem do pokoju i widziałem... dziecko aż zatrzepotało z uciechy wielkiej... Potem pani jeszcze raz kazała mi, ażebym paniczowi dziękował... No i... wszystko...

— A jak pismo moje czytała, to co?...

— Nic, proszę jasnego panicza... Czytała i tyle...

— Nie patrzałeś jej na twarz?...

— Patrzałem, proszę jaśnie panicza...

— Była gniewna?...

— Ale gdzież tam!... Była cała radośna...

Pan Karol pochwalił chłopca, dał mu złotych parę i kazał być nazajutrz znów gotowym do wycieczki. Wręczył mu pakieci bez biletu, zalecając ustnie pozdrowić panią i powiedzieć jej, że się panicz sam do Frasoblówki wybiera.

Sprawozdanie drugie podobnem było wielce do pierwszego i dla tego pominiemy je milczeniem.

Na trzeci dzień Kacperek znów nosił pakieci i bilet — bilet, w którym znajdowało się lekkie o cierpieniach serca napomknięcie.

— A jeżeliby cię zapytała, czemu nie przyjeżdżam, powiedz, że się wybieram ustawicznie, że co moment każę konie zaprzęgać i wypręgać... Jeżeliby cię zapytała, co porabiam, albo też, jak się mam, powiedz, że smutny, bardzo smutny... że mnie tak smutnego nigdy jeszcze nie widziano...

Instrukcje podkomorzycy wykonane zostały literalnie. Pani Olecka dowiedziała się o smutku jego i przysłała mu męża na pocieszenie

To ostatnie rozniewało pana Karola. Powziął był już zamiar zaniechać starań bezowocnych, miłość własna jednak wzbroniła mu tego. Posyłał Kacperka dzień po dniu, raz bez bilecika, drugi raz z bilecikiem, a w bilecikach o cierpieniach serca wyrażał się coraz to dosadniej. Kacperek sprawiał się dobrze. Sprawozdania jego cechowała wierność i dokładność. Ze sprawozdań tych jednak wyciągał pan Karol wnioski jeden ogólny, który do rozpaczy go niemal doprowadzał. Przekonywał się, że go panni Olecka nie rozumie.

— Chyba jej napiszę wyraźnie!...

Wahał się, myślał, siadł i napisał.

Co napisał — nie wiemy. Dokument ten przepadł dla potomności. Szkoda. Gdybyśmy go posiadali, mielibyśmy świadectwo uczuć kłamanych. Podkomorzycy bowiem z próżniactwa jeno prowadził intrygę miłosną, za ofiarę której wybrał sobie obywatelkę przyzwoitą. Pani Olecka, ofiara wybrana, atakowaną była wedle wszelkich reguł sztuki, stanowiącej naukę oddzielną, nie wchodzącą wprawdzie do całokształtu naukowego, uszykowanego przez Comta i Spencera, wchodzącą atoli do tej kategorii, w której szykują się przejawy z ducha płynące. Pan Karol bił w stronę duchową, w której miłość króluje. Szczęściem dla pani Oleckiej, miłość — jak to powiedzieliśmy wyżej — manifestowała się w niej w sposób bardzo poziomy. Była to kobiecina pospolita, wcale nie romansowa, nie uczuwająca potrzeby uniesień miłosnych i nie pojmująca uroku tej drogi cierniowej, na której uczucia i obowiązki, znajdując się ze sobą w wiecznej walce i raniąc serce w chwili każdej i na kroku każdym, zmieniają kobietę w anioła, miłego wielce romansopisarzom różnego rodzaju i donżuanom wszelakiego kalibru.

Pan Karol, wręczając Kacperkowi bilecik ostatni, udzielił mu instrukcji szczegółowych, w przewidywaniu wszystkiego, coby się zdarzyć mogło. Nie przewidywał tylko jednej ewentualności. Nie udzielił mu instrukcji żadnych na wypadek, gdyby poselstwo ściągnęło na niego plagi. Zdarzają się rzeczy niepodobniejsze, więc i to zdarzyć się mogło. Ominął go jednak ten wypadek. Jak poszedł, tak powrócił i stanął do spra-

wozdania z poselstwa przed paniczem... z własnym jego listem w ręku.

Pan Karol list mu wyrwał i rumieńcem spłonął.

Zgrzytnął zębami i powiedział... *sacré matin!*

Po chwili zapytał:

— Cóż tedy?...

— A że nic, proszę jaśnie panicza... Pani, gdy list odczytała, jak się wzięła śmiać i śmiać!... to... dalibóg że!... nie wiem...

— I nic nie mówiła?...

— A jakże!... Gdy się wyśmiała, list mi oddała i powiedziała: „Oddajże, kochanku, list ten panu podkomorzycowi i kłaniaj się mu odemnie“...

— Cóż ty na to?...

— Ja na to... Wziąłem list i powiedziałem to, co mi jaśnie panicz kazali... Powiedziałem jej, że jaśnie panicz nie je, po nocach nie sypia, ciągle coś sam do siebie gada i pistolety opatruje...

— Cóż ona na to?...

— Ona na to: „Czemuż nie przyjedzie do Frasnoblówki?... zabawiłby się z moim mężem, z podstolicem, z komornikiem“...

— *Cré nom de nom!*... — odburknął podkomorzycy. — Nie potrzebuję już usług twoich...

W ten sposób zakończył się romans, który w sensie ofiar-nym, nie pochłonał pani Oleckiej, pochłonał jednak: pana Gustawa, dużo czasu i kilka czy podobno nawet kilkanaście tysięcy rubli wydanych, na imitację perszeronów, za hulatykę bałtąską, na basarunki karciane i straconych na zakontraktowanie sprzedaży zboża na pniu.

Zakończenie romansu w samą wypadło porę. Tego samego dnia, w którym ono nastąpiło, podkomorstwo powrócili z Częstochowy. Przybycie ich sprawiło przewrót zupełny w sposobie życia, jaki się praktykował przez czas kilkotygodniowej ich nieobecności. We dworze ohrebyskim zrobiło się naraz ludno i gwarnie. Pan i pani, po plenarnem oczyszczeniu z grzechów i po prywacjach podróży, zdawało się, jakby chcieli odreperować się w grzechach postradanych i w odpoczynku pańskim. Podkomorzy Bładzikiewiczowi, który z zakłopotaną miną stanął

przed nim w celu zdawania rachunku ze stanu interesów, wręcz oświadczył:

— Dajże mi teraz czysty pokój!... niech wytchnę nieco...

Za to naradzał się z Lewickim.

Podkomorzyna oddała się spoczywaniu także idła rozrywki umysłowej, kazała z walizy podróźnej wydobyć i do łóżka sobie podać, w ciągu pielgrzymki nabyty wybór romansów najnowszych, pomiędzy którymi Balzac i G. Sand reprezentowanymi byli najliczniej. Prawda, że wraz z niemi kazała sobie podać i książkę do nabożeństwa.

Powitanie rodziców z synem bardzo było serdeczne. Pan Karol kręcił się około ojca i matki i powtarzał ustawicznie:

— *Enfin... enfin...*

Oznaczało to: „nareszcie przybyliście“...

Zapytywał o siostrę i szwagra.

— Księżtwo!... o!... — była odpowiedź podkomorzyny. Gdzie oni w tej chwili!... Mieli wracać wedle projektu pierwotnego, na Kraków i Lwów, lecz księżnej przyszło na myśl, obrócić drogę... Zgadnij którądy?...

— Na Drezno...

— *Vous n'y êtes pas...*

— Na Berlin...

— *Vous n'y êtes pas...*

— Na Wiedeń...

— *Vous n'y êtes pas...*

— Nie zgadnie... — odezwał się podkomorzy.

— Na Paryż!... — podchwyciła pani. — Na Paryż!...

Prawda, anibyś się domyślił!... O! bo też, siostra twoja, księżna, niewyczerpaną jest w pomysłach... *Charmante!*... Miała w podróży zdarzeń kilka, o których ci później opowiem... Ściąga na siebie uwagę, gdzie się tylko obróci... Dobrze więc, że się w Paryżu pokaże...

— Cóż książę?... — zapytał pan Karol.

— Książę!... *ne m'en parlez pas...* Wyobraź sobie: płacze a tout propos... Z tem wszystkiem jednak, nieoceniony to człowiek... Winszuję sobie i winszować nie przestane... Zrobiła Ludka ofiarę, ale... ofiary takiej życzyłabym sobie, gdybym na jej miejscu była... Przyszło jej na myśl: do Paryża!... i książę zapłakał, ale się nie sprzeciwił..

Podkomorzy się skrzywił, a podkomorzyc, pomyślawszy przez chwilę, zawołał:

— O! trzebaż i mnie teraz lecieć do Paryża na skrzydłach sokoła!...

— I ja to samo mówię...

Podkomorzy skrzywił się mocniej jeszcze i odchrząknął.

— Ale, ale!... — podchwyciła podkomorzyna. — Słyszeliśmy o twoich *exploits*... Opowiadano nam o tem w Berdyczowie... Och! o mało nie umarłam... O! mójże ty Lolo!... mój synu!...

Rozrzewniona matka wzięła pana Karola w objęcia.

Rozrzewnił się i podkomorzy i także syna uściśkał.

— I proszę!... — zaczęła podkomorzyna. Niechże kto powie, że kara boża nie ściga człowieka na tym jeszcze świecie!... Ten Gustaw, proszę ciebie, co przyjmowany przez nas w domu, taką czarną odpłacił nam niewdzięcznością, zginął z ręki brata rodzzonego tej, co niewdzięczności przedmiotem była...

— Może nie zginął... — wtrącił podkomorzy.

— Umarł od rany... mówiono nam to z pewnością całą...

Rozmowa, w dniu powrotu podkomorstwa, toczyła się od niechęcenia, w przelotnych frazesach, w dorywczych wynurzeniach, w wykrzyknikach. Pielgrzymi nasi spieszyli się do spoczynku. Nazajutrz dopiero, pani, w łóżku jeszcze leżąc, zapytała o syna, czy wstał i posłała go prosić do siebie.

— Dzień dobry mamie kochanej... Spodziewam się... — zaczął pan Karol, przedrzeżniając książąt Gamajdów.

— Nie żartuj z nich... — odparła podkomorzyna.

— Wyobrażam sobie księcia Gotfryda w Paryżu... Cha cha....

— Dla tego też potrzeba, żebyś jechał jak najprędzej...

— O potrzeba!... z wielu względów...

— Z jakich, na przykład?... — zapytała podkomorzyna z akcentem żywego zajęcia.

— *Jè suis éreinté, maman!*... To nie gaska, jak mama powiadała... To gęś... gęś... przez wielkie G...

— A nie mówiłam tobie!... I nic?...

— Nic... Przyczyniła się tylko pośrednio do tego, żem Gustawa na tamten wyprowadził świat...

— Biedny Gustaw... — westchnęła pani. — Cóż jednak!...

kara boża... Co on mi zmartwienia sprawił!... Wypowiadałże się przed śmiercią przynajmniej?...

— Nie wiem... Wiem tylko, że mu kulę wsadził, zdaje się, w bok, pomiędzy żebra, i to dopiero za trzecim razem, kiedy go wziął na cel w pas... Dwa pierwsze razy brałem w łeb, chciałem mu czaszkę przedziurawić, ale miałem jakieś haniebne olstrowe pistolety... Kiedy go trzepnął, to mi go z oczu zabrano i nie interesowało mnie wcale, co się z nim stało...

— Nie mów już o tem, bo jak pomyślę, że ciebie wypadek mógł spotkać, to się czuję bliską omdlenia...

— On mnie godził w łeb...

— Wyrażna ręka opatrzości!... Mój Lolo!... — podchwyciła, wpatrując się w syna. — Zmieniłeś się od czasu, jak ciebie nie widziałam i muszę ci, bez intencji pochlebiania, powiedzieć, żeś zmężniał i wypiękniał...

— Pod wpływem pięknych oczów pani Olekiej...

— Być może... Staranie podobania się jej oddziaływało na ciebie, wewnątrz i zewnątrz... To motor potężny... Widać to na tobie... I dla tego już tylko samego, jako matka, winną jestem wdzięczność pani Olekiej...

— Ależ gęś!... ależ gęś!... mamu kochana... Żeby podobnemi do niej miały być kobiety wszystkie, to... rozpacz!...

— Cóżes porabiał przez ten czas?...

— Cóż!... *En premier lieu*, prowadziłem intrygę romansową, którą doprowadziłem do *fiasco* i to wczora właśnie... Następnie, jeździłem do Bałty na jarmark, gdzie, *soit dit en passant*, ubawiłem się nadspodzianie, robiłem papie interesa, zaprowadziłem meljoracje w gospodarstwie...

— Papa będzie kontent...

— Spodziewam się!... jak księżęta Gamajdowie powiadają... A jeżeliby nie był kontent, tem gorzej dla papy...

W kilka dni później warto było zajrzeć w duszę podkomorzego — co też się tam działo! Ani myślał jeszcze rozpatrywać się w gospodarstwie i interesach, kiedy mu wypadkowym sposobem wpadły w oczy konie jakieś.

— Co to za konie?... — zapytał pierwszego lepszego ze służących, którego spotkał.

— Nie wiem, proszę jaśnie pana...

— Wołać Bładzikiewicza!...

Bładzikiewicz z fizjognomją, na której widać było, że głęboko i często wzdychał, stanął przed panem.

— Co to za konie?... — było zapytanie, zastępujące miejsce powitania.

— Nie wiem, proszę jaśnie pana... Te konie... tego... e... pan Karol...

— Co pan Karol?... Szukasz asan jakichś wykrętów i chcesz się panem Karolem zasłonić...

— Kiedyż bo, przysięgam Bogu!... bodajby mnie jasny piorun zabił!... jeżeli co o koniach tych wiedziałem... Przypędzono je z Bałty i tyle...

— Na co?... do czego?...

— Albo ja wiem!... Pan Karol powiadał mi, że to dla jakiegoś meloracia...

— Dla kogo?...

— A Bógże jego święty wiedzieć raczy!... Ja w Bałcie nie był i nie wiedziałem nawet, że pan Karol tam jedzie...

— Ileż tego jest?...

— Sztuk czterdzieści i sześć, proszę jaśnie pana...

— Potrzebaby to wysprzedać po jarmarkach pobliskich...

— rzekł podkomorzy, ochłonawszy nieco.

— Słucham, jaśnie pana... Tylko — odparł komisarz, zachem się drapiąc — tylko... ja nie wiem... co za to dostanie?...

— Zawsze sprzedać można...

— Zapewne, ale, na ten tabun cały, nie ma konia ani jednego, coby kaleką nie był...

— Co ty powiadasz!... — krzyknął podkomorzy. — Karol chyba wziął w podrad oczyszczenie kraju z okaleczonych koni!... Nie wiesz, po czemu płacił?...

— Właśnie wiem, pan Karol bowiem powiedział raczy!... W tym tabunie nie masz konia, tańszego od rubli stu pięćdziesięciu...

— Jezus Marja!... — krzyknął podkomorzy.

— A są i po dwieście, nie warte piętnastu... — dokończył komisarz.

— Zkądże pan Karol pieniądze na to wziął?...

— Od Borucha... zadatek...

— Zadatek, na co?...

— Na mocy kontraktu sprzedaży pszenicy...

— Jakiej?...

— Tej, jasnie panie, co się teraz właśnie znie...

Podkomorzy się za głowę obiema schwycił dłońmi i głęboko westchnął.

— Idź asan precz... — skinął na komisarza.

Gdy się ten oddalił, rozmyślać i obliczać począł, nizając na nic pamięci kwoty różne znaczniejsze, wydane w czasach ostatnich na rzeczy różne. Zebrała się tego suma ogólna całę poważną, do której przybywał wydatek jarmarczny bałtycki. Podkomorzy znów westchnął i zawołał:

— A tu jeszcze Karol do Parryża się wybiera!... Nie!...

Jak na toż, w tejże samej chwili, weszła podkomorzyna i zapytała:

— Nie?... O cóż tu chodzi?... Myślałam, że kto u ciebie jest, słyszałam bowiem głośną rozmowę... Nie wiedziałam, że miewasz zwyczaj rozmawiania sam ze sobą...

Podkomorzy się zmieszał, ba, nawet zląkł. Szukał w głowie frazesu i nie znalazł. Podkomorzyna więc głos zabrała:

— Lolo gotów... — rzekła krótko.

— Gotów?... — odparł podkomorzy głosem ponurym. — Czy nie możnaby?... — bąkać począł. — Czyby nie można?... hm... podróży tej... odłożyć?...

Chciał powiedzieć: zaniechać.

— Co tobie?... — zawołała podkomorzyna. — I dla czego?... czy dla tego, że ja jej sobie życzę?... Czyż nie wiesz, że księżna pojechała?... Cóż to, chcesz ją narazić na deceptyj tysiące, któreby ją spotkać musiały niezawodnie, gdyby z księciem Gotfrydem sam na sam w Paryżu pozostała!... Marcinie!...

Wyraz ostatni wymówiony był z przyciskiem, w którym brzmiało: opamiętaj się!...

— Ja... — słowa podkomorzego. — Ja chciałem tylko odłożenia krótkiego...

— Dla czego?...

— Dla tego, żeby... dni kilka dłużej Karolem się nacieszyć...

— A księżna?... pomyśl... Księżna sama, z księciem Gotfrydem?... — odparła podkomorzyna. — Ludka za mąż wyszedłszy, nie przestała być dzieckiem naszym przeciwie...

— Kiedyż Karol jedzie?...

— Jutro... pojutrze najdalej... Gotów już zupełnie...

Po odejściu podkomorzyny, podkomorzy, przez czas jakiś, pozostawał w stanie niemego osłupienia. Siedział nieruchomie, oczy szeroko otworzył, ręce na brzuchu splótł i od czasu do czasu wzdychał. Wyszedłszy ze stanu tego, krzyknął na Lewickiego i kazał mu posłać kogo do Krasilowiec po... Borucha.

A więc, gadaniny o zgryzotach, które jakoby zgon podkomorzemu przyspieszyły, nie bez podstawy były. A toż to początek dopiero!

VIII.

Wykrzyknik ten wydaliśmy na końcu rozdziału poprzedniego, mierząc myślą ową bezdnie, jaka się dla podkomorzego otworzyła. Gdybyśmy byli złośliwi, moglibyśmy powiedzieć: Dobrze mu tak!..., „jak kto sobie pościele, tak się wyspi“. Podkomorzy — obywatel, małżonek, ojciec, pan, głowa rodziny, gospodarz wreszcie — powinien był obmyśleć i przewidzieć wszystko, zaczynając czynność obmyśliwania i przewidywania w chwili owej, kiedy obywatelem, małżonkiem, ojcem, etc. został. Czyż był on jednak, w rzeczy samej, winien? Czy ojciec jego, pan starosta, względem niego obmyśliwał i przewidywał? Czy obmyśliwał i przewidywał dziad jego a starosty ojciec względem starosty? Jeden po drugim, syn po ojcu, wsuwali dzieci w foremki gotowe, wychowaniem zwane, i puszczali je następnie z ojcowskim na drogę błogosławieństwem. Tak się wychował podkomorzy; tak się wychowała podkomorzyna. Ta ostatnia, silniejsza od małżonka umysłem, przewagę wzięła i foremki dla dzieci wedle własnego wybrała upodobania. Stało się to w sposób naturalny i logiczny. Podkomorzyna, hołdownica mody, a niewolnica próżności, nie mogła zrobić inaczej. I ona więc nie była winna.

A przecie, był ktoś winien.

Ktoś czy coś? — Ach! i jedno i drugie, ale o tem szeroko pisać potrzeba, nam zaś, chorującym z natury naszej narodowej na pismowstręt, spieszo do wypadków, wysnuwających się naturalnie z założeń wychowawczych.

Pan Karol i księżna znaleźli się w Paryżu, w hotelu du Louvre.

Księstwo zajmowali apartament wspinały na baletażu, złożony z salonów, gabinetów, buduarów, pokoi sypialnych, umeblowanych z tym przepychem, jakiego wzór Paryż świata daje. Pan Karol, na temże piętrze, zajął apartament, ustępujący tamtemu w tem jeno, że nie posiadał salonów, gabinetów i sypialnych pokoi po parze i dla tego uchodził za kawalerski. Księżna przywiozła ze sobą swoją Weronikę, księciu towarzyszył jeden z lokai krasnolowickich, oprócz tego, dla zadośćuczynienia wymogom zwyczajów miejscowych, o których ludzie pochodzenia podolskiego wyobrażenia nie mieli, usługi swoje poświęcał im paryżcy *valet de pied* i *femme de chambre*, nie licząc w to służby hotelowej, licznej a doskonałej.

Pan Karol, zainstalowawszy się, posłał zapytać, czy księżna u siebie i czy przyjmuje.

— U siebie i przyjmuje... — przyniesiono mu odpowiedź. Ubrał się więc i udał się do niej.

Młoda kobieta, w rozradowaniu wielkiem, na spotkanie brata na środek salonu wybiegła, i nie zarzuciła mu, zwyczajem podolskim, ramion na szyję, lecz zwyczajem zachodnim, nastawiła mu do pocałowania policzek, który on ustami z lekka musnął. Od dni kilku zaledwie w Paryżu bawiła, a już się tego nauczyła. Przejęła już zwyczaj, który jest dobrym — ścisnąć się bowiem, cóż to za grubiaństwo! Za to w wylewie uczuć za pomocą słów okazała się serdeczną.

— Ach!... o!... — zawołała z obliczem rozpromienionem — Lolo!... drogi Lolo!... jedyny Lolo!... jakże się cieszę!.. Wyglądałam przybycia twego z upragnieniem, z niecierpliwością, z utęsknieniem...

— Spodziewam się... — podchwycił pan Karol głosem nastrojonym.

Księżna wachlarzem, który w rękę trzymała, usta mu zasłoniła.

— Nie żartuj z bliźnich twoich... a przynajmniej nie od żartowania z nich rozpoczynaj pobyt twój w Paryżu wraz ze mną... Siadajmy...

Usiedli obok stoliczka, osłoniętego bogatą oponą

Pan Karol powiódł po salonie okiem i odezwał się:

— Zdaje się, że jesteście nieźle zainstalowani...

— Zdaje się... Jestem jednak w tym względzie nowicjuszką taką, że boję się chwalić, ganić, interesować się czemś, być obojętną, słowem, mój Lolo, jestem jak w lesie i drżałam na myśl samą, że możesz nie przyjeżdżać, nie przyjeżdżać i nie przyjeżdżać, Bóg wie jeszcze jak długo...

— Miałem minę, co mnie z Ohrebyszcza wysadziła...

— Pojedynek!... — podchwyciła młoda kobieta, tonem zdradzającym lekkie, ale bardzo lekkie wzruszenie.

— Wiesz o tem?...

— Mama opisała mi to *tout au long*... Zastałam od niej list z Berdyczowa...

— O! nie pojedynek z Ohrebyszcza mnie wysadził... ale... jakby tu powiedzieć?... malutki *depit amoureux*... Chciałem zbałamucić panią Olekę i zrobiłem *un pas de clerc*...

— Pocziwiał panią Olekę?... — zawołała księżna tonem zdziwienia.

— Z nudów, moja droga... Cóż chcesz!.. Z nudów i ty przecie rozkochalaś się była w Gustawie... przechadzającym się obecnie po polach elizejskich.

Młodej kobiecie pierś się podniosła, wnet jednak opadła. Widocznie, na westchnienie się jej zebrało, lecz się zawstydyziła i westchnienie w sobie stłumiła. Westchnęłaby była może w Ohrebyszczach, w Krasnolowcach zresztą; ale nie w Paryżu. Tu ważniejsze miała na głowie rzeczy.

— Niewysłownie więc wdzięczną jestem pocziwej i kochanej sąsiadce, że mi ciebie wystraszyła...

— Byliście już gdzie?..

— Gdzie?.. z księciem?..

— Czemuby nie!... Zapominasz o tem, że książę jest księciem i mężem, i dlatego tytułu podwójnego wolno, a nawet należy mu być *bête, gauche et désolant*...

— To prawda... — odparła młoda małżonka. — Wolałam jednak nie ryzykować się przed przyjazdem twoim...

— Nic się złego nie stało... a nawet — rzekł po krótkim namyśle — stało się dobrze... Poprzedzimy się rakieta...

Księżna nie zrozumiała znaczenia w przenośni tej zawartego.

— Zobaczysz... — odparł pan Karol. Będzie to nawskróś po parysku...

Pożegnał siostrę, odwiedził szwagra i już się dnia tego nie widział z nimi. Księżstwo sami byli wieczorem w teatrze. Nazajutrz podkomorzyc oddał księżnej wziętą powtórna około piątej wieczorem i przyniósł jej numer dziennika, w którym uwagę jej zwrócił na ustęp jeden, drukowany w rubryce zwanej *entrefilet*. Księżna przebiegła ustęp ten oczami i krzyknęła:

— Ach!..

— Wiesz już tedy, co to rakietą?..

— Zkądże to?..

— A!.. Szukajcie a znajdziecie, pukajcie a będzie wam otworzono.... Rzeczy podobne zaostrzają ciekawość publiczną i stawiają cię od razu *en relief*...

Był to w dzienniku ustęp króciutki, osnowę którego w dosłownem podajemy tłumaczeniu:

„Pomiędzy innemi znakomitościami — pisał rzeczony dziennik, wymieniając kilku lordów angielskich, kilku bojarów mołdo-wołoskich, jednego granda hiszpańskiego i jednego nababa indyjskiego — miasto nasze ma rzadkie szczęście (*cette rare bonne fortune*) posiadania w murach swoich pięknej, młodej, zajmującej i co jej bynajmniej nie szkodzi, nadzwyczajnie bogatej księżny polskiej, Ludwiki Gamajda, przybyłej w towarzystwie męża, księcia Gotfryda, i brata, młodego hrabiego Karola de Kostrzewicki. Jest nadzieja, że grono to ze wszech miar dystygowane przyozdobi fety, jakie w zbliżającym się wielkimi krokami sezonie wyda dwór i domy pierwszorzędnę. Zapowiadamy nową gwiazdę i na tem kończymy obowiązek nasz dziennikarski. Astronomowie salonowi, do dzieła!“

Z wyrazem niewysłowionej lubości w oczach, spojrzała księżna w oczy bratu.

— Widzisz... to nie zaszkodzi, jako przedwstęp... — odezwał się tenże.

— Trzebaby to posłać papie i mamie...

— I księciu Norbertowi...

— I ojcu Korskiemu...

— I pani Oleckiej...

— I pułkownikowi...

— Słowem — podchwycił młody własnej kreacji hrabia — wszystkim krewnym, przyjaciółom i znajomym... Myślałem już o tem i zamówiłem dwieście pięćdziesiąt egzemplarzy dziennika, który w dwiestu pięćdziesięciu kopertach rekomendowanych oddam na pocztę i sprawię nim na Podolu potop...

— Przyznać ci należy wynalazczość umysłu...

— Ah ba!.. — odparł młody człowiek. — Doświadczenie mości księżno... doświadczenie...

— Ciekawam, co na to powie papa...

— Rozpłynie się z rozrzewnienia, co zaś ważniejsza, domyśli się, że utrzymanie w świecie stanowiska poważnego wymaga nakładu i *il ne se fera pas tirer l'oreille*... Notatka ta jest strzałem z dubeltówki: z jednej lufy do świata paryskiego, z drugiej do serca ojcowskiego... Nie prawdaż, mości księżno, że to dowcipnie?

Księżna uznała prawdę słów braterskich.

— Terazże pozostaje nam... *lansować się* w świat... Należy wizyty pooddawać, zaczynając od domów najpoważniejszych, nie bowiem nie jest wygodniejszym parawanem jak powaga... Trzeba zacząć od swoich.. Zabierzesz ze sobą księcia i zaraz od jutra rozpoczniesz objazd...

— Mamy listów kilka polecających... — wtrąciła księżna.

— To dobrze... Listy nie zaszkodzą, pomimo, że nie masz drzwi, któreby się nie otworzyły przed księciem Gamajdą... Po swoich, Francuzi, a następnie audjencja...

— A ty?... — podchwyciła księżna.

— Ja swoim dworem, pojmujesz bowiem, że nie wypada taborem całym ludzi najeżdzać... Rzeczy podobne u nas jeno uchodzą... Ja sobie drogę przetoruję... dość ażeby wiadano, że „młoda, piękna, zajmująca i nadzwyczajnie bogata księżna“ ma brata, młodego hrabiego *de*...

— Mam więc sama, z księciem!..

— Hm!.. dziecko z ciebie... Zobaczysz, jak zainteresujesz wielki świat, gdy takie straszdyło obok siebie pokażesz!..

Pan Karol nie omylił się w tym względzie. Od pierwszego na salony paryskie stąpienia, nasza księżna osiągnęła powodzenie ogromne. Wydała się piękniejszą, jak była w samej istocie, odbijając od potwornej postawy małżonka, który się dał wszędzie prowadzić, jak na ścięcie. Znajdowano w niej wdzięk

i urok niewysłowny i przytem zapach świeży kwiata polnego. Znalazła protektorki i protektorów w osobistościach ogromnie poważnych i wysokie stanowiska zajmujących. Świat arystokratyczny, świat urzędowy, świat finansowy i świat dyplomatyczny otworzył im ramiona swoje szeroko. Księżna instynktem kobiety... „dobrze wychowanej“... wiedziona, umiała się pokazać i zastosować. Książę potniał, płakał, pełnił jednak funkcję swoją wybornie i jego „*l'espère*“, przetłumaczone z polskiego „spodziewam się“, bardzo dobrze figurowało na salonach, posiadających formularz rozmów, powtarzających się bez końca i miary i dlatego niewyczerpujących się nigdy. Rozmowy salonowe przyrównać się dadzą do fontanny, tryskającej w bassenie ogródkowym. Woda co tryska, spada napowrót do bassenu i służy do zasycania fontanny. Jest to sztuczka mechaniczna, oparta na własności wody. I rozmowa salonowa jest także sztuczką mechaniczną, opartą na własności pamięciowej. Ludzie, niby papugi, -powtarzają i powtarzają frazesy wyuczone — resztę zaś dopełnia pozowanie. Do tego wchodzi artyzm. To sztuka. Pozować potrafi nie każdy i nie każda, ze względu na to, że do pozowania potrzeba gustu niemało i pieniędzy mnóstwo.

Bywają salony!..

Bywały salony i w Paryżu, ale czasy owe minęły, bodaj czy nie bezpowrotnie. Gdy mieszczaństwu do rąk towarzyskie dostało się berło a małpowanie arystokracji stało się cechą dobrego tonu, nastąpiła próżnia, jak wewnątrz dzwonu, wydającego dźwięki przy pomocy mechanizmu, popychającego mu serce raz w jedną znów w drugą stronę. Salony przestały być, czem bywały niekiedy, gdy w nich samoistość panowała, a zmieniły się w miejsca popisów pozowych, w sale wystawy towaru, występującego pod postacią płci białej i płci niebiałej.

Na takie to salony los wprowadził naszą księżnę. Wystąpiła ona zrazu z mężem, a następnie, męża zostawiła w hotelu du Louvre i puściła się sama. Doznała powodzenia wielkiego, do którego, jak się z charakterystyki salonów pokazuje, nie potrzebowała ani rozumu wielkiego, ani dowcipu nadzwyczajnego. Zapas jednego i drugiego, jaki zrobiła przy pomocy pana de Lurey, panny de Maintenon i matki, wystarczał jej aż nadto. Umiała odpowiadać właściwie, niekiedy dowcipnie, zapytywać naiwnie i uśmiechać się rozkosznie, przejęła i przyswoiła sobie

miny, będące w modzie i powierzyła się najlepszemu krawcowi, najlepszej modniarce i najpierwszej szwaczce, przyjąwszy za regułę, nie żałować na stroje. W warunkach takich, niepowodzenie było niepodobieństwem. Hotele na przedmieściu St-Germain, hotele ministerjalne, hotele poselstw zagranicznych, zamek tuileryjski brzmiały pochwałami księżny polskiej. Nikt z tych, którym ona wizyty oddawała, nie zapomniał o rewizytowaniu jej.

Nadeszła jesień.

Książę Gotfryd wspominał o powrocie do Krasnolowic.

Wspominał o tem żonie w obecności szwagra i nie otrzymał na powiedzenie swoje, które wyrazem „spodziewam się“ przyozdobił, ani odpowiedzi ani uwagi najmniejszej. Wyrazy jego zabrzmiały w salonie, niby wołanie w puszczy. Książę się odpowiedzi nie domagał i tak to przeminęło.

Nadeszła zima a z nią reuniony, bale, fety. Księżna zabrylowała.

Obok niej wysunął się na widownię młody hrabia de Kostrzewicki. Francuzi kaleczyli straszliwie nazwisko jego, wymawiając takowe, lecz pokochali go bardzo, znalazłszy w nim prawdziwego *fils de famille*. Pan Karol najął sobie w okolicy Pól Elizejskich hotelik, mały ale gustowny. Dla kawalera nie potrzeba większego. Pokojów dwadzieścia cztery, nie licząc pomieszczenia dla służby, kuchni, etc., stajni i wozowni. Dla stajni to właśnie i wozowni wyprowadził się z hotelu du Louvre, musiał bowiem, chcąc jako tako w świecie figurować, posiadać własne pojazdy, własne powozowe i wierchowowe konie i własnych służących. Posiadał to wszystko lada kto. Miałże on odmawiać sobie — nie już przyjemności, ale tego, co się przedstawiało, jako warunek konieczny życia w sferze, w której i dla której się urodził! Byłoby to:

— *Cochonerie*... — jak powiadał.

— A czytajno... rzekł razu pewnego do siostry, list jej podając — co papa pisze...

Podkomorzy pisał:

„Karolu kochany, synu mój drogi, uznaję powody, dla których ci pieniądze w ilości takiej wielkiej są potrzebne, ale nie zapominaj o tem, że się grobla stawia wedle stawu, nie zaś staw wedle grobli. Majątek mój, a raczej twój, ja go bowiem ze sobą do grobu nie zabiorę, nie wytrzyma wydatków takich.

Zapóżyczam się już. Ja dotychczas, Bogu dzięki, długu grosza nie miałem. A ty wiesz przecie, co to jest dług, wiesz, że jest to braniem z kapitału i umniejszaniem dochodów. Jeżeli tak pójdzie dalej, to wybierzemy z kapitałów do denka, to znaczy, odłużymy majątek całkowicie i będziemy pracowali na żydów, co gotówki dostarczają. Karolu mój drogi, pocierpam na tę myśl. Zwracam na to uwagę twoją. Zlituj się nademną! — zlituj się nad sobą samym!

Księżna przebiegła list oczami przelotnie.

— Cóż ty na to?... — zapytał pan Karol.

— Nie rozumiem nic a nic...

— Ja zaś domyślałam się tylko... Wyraz „zlituj się“, dwukrotnie powtórzony, znaczy: Wracaj do Ohrebyszczy!...

— A!... — zawołała młoda kobieta z oburzeniem. — Nie, to być nie może!...

— Chciałbym się mylić, opieram jednak domysł mój na podstawie pewnej... na znajomości serca ludzkiego!...

— Wszakże... — odezwała się księżna po chwili — gdy karnawał i mały karnawał minie, gdy sezon balów a nawet teatrów się skończy, trzeba będzie o powrocie pomyśleć...

— Bynajmniej!...

— Cóż będziemy w Paryżu robili?...

— Opuścimy Paryż dla wód, dla podróży... Zabierzesz księcia i pojedziesz, czy to gdzieś nad morze, czy też nie nad morze, do Włoch na przykład, albo do Szwajcarii, ale, na Boga! nie do Krasnolowca... Krasnolowce... cha, cha, cha!... albo Ohrebyszcze... Pyta cię, dajmy na to, przyjaciel mój, księżę Benedykt de la Tromperie, który szaleje za tobą: „Gdzie pani sezon spędziła?...” A ty mu na to: „Trochę w Krasnolowcach, trochę w Ohrebyszczech...” Cha, cha, cha!...

Księżna uczuła wstyd w obec brata rodzonego. Odparła:

— Bo to jeszcze tak mam mało doświadczenia...

— Jedź do Ostendy, w najgorszym razie, a lepiej do Nicei, a jeszcze lepiej do Florencji, do Neapolu... Zabaw czas jakiś w Sorrento... gdzie zechcesz zresztą, chociażby w Nukahiwa byle nie w Krasnolowcach, ani w Ohrebyszczech. Może — zapytał tonem ironii — zechcesz księciu de la Tromperie odpowiedzieć: „Spędzę sezon na Frasnolówce?...”

— Karolu!... — zawołała księżna tonem o politowanie wyzywającym — Przyznałam się przecie przed tobą do braku doświadczenia... Niewiedza grzechu nie czyni!...

— To też, mówimy między sobą... Nie mam wcale zamiaru ogłaszać publicznie, żeś myślała o Krasnolowcach!...

— A ty?... — zapytała księżna. — Będziesz mi towarzyszył?...

— Towarzyszyć... nie, ale zjadę się z tobą tu i ówdzie. Zagładnę do Homburga!...

Przed Wielkanocą na tydzień z czemes, kazał się księżę Gotfryd u księżny zaanonsować raniej jak zwykle, zalecając Weronice, ażeby jej oświadczyła, iż ma do niej ważny interes. Weronika oświadczyła to księżnej, a następnie oświadczyła księciu, że księżna nie przyjmuje. Księżę się skrzywił jak do płaczu i zapytał o godzinę, o której mógłby księżnę odwiedzić, powtarzając, że ma do niej interes bardzo ważny. Weronika odeszła i powróciła z oświadczeniem, że księżę pan może przyjść o jedenastej, księżna będzie w buduarze czekała.

O jedenastej księżę zakolatał znowu.

Młoda kobieta upozowała się w buduarze, na ottomanie, w porankowym stroju, nie wykradającym kibici jej i wdziękowi szczegółu najmniejszego. Mężowi ukazała taburet miękkiej, tą samą co ottomana materją pokryty. Księżę usiadł, ręce na brzuchu złożył i chrząkać począł, zabierając się do przemówienia.

— Cóż, mości księżę?... — odezwała się piękna pani — Spało się nieźle?...

— Spodziewam się... hm... hm... Spodziewam się, że wasza książęca mość... że wasza książęca mość... hm... hm... że wa-a-a...

— Księżę jesteś zapewne o zdrowie moje troskliwy i chcesz się o stanie onego dowiedzieć... — podchwyciła — Dziękuję!...

— To jest... hm... Spodziejam się, że nie...

— Nie jesteś troskliwym, wasza książęca mość... A to, pięknie!... — rzekła półżartem.

— To jest, nie... nie to, spodziejam się... — podchwycił księżę. — Ale nadchodzi spowiedź wielkanocna... Spodziewam się, że ksiądz Korski spowiadać nas będzie!...

— Zamierzasz wasza książęca mość sprowadzić księdza do Paryża?...

Książę Gotfryd drgnął na te słowa, jakby go przeraziła zawarta w nich myśl.

— Nie... nie... — odpowiedział.

— Inaczej nie pojmuję, w jaki sposób ksiądz Korski spowiadaćby nas mógł...

— To jest... spodziewam się... w Krasitowcach... Spodziewam się, że pojedziemy...

Po wyrazie ostatnim zapanowała chwila milczenia. Księżna, zdawało się, namyślała się, w końcu zapytała:

— Czy księciu chodzi koniecznie o spowiadanie się ojcę Korskiemu?...

— Ach!... — odparł zapytany, wznosząc wzrok do góry. — Jakżeby inaczej być mogło!...

— Mogłoby i powinno być... — odrzekła młoda kobieta tonem takim, jakim nauczyciel do ucznia przemawia. Prawda, że jesteśmy ze sobą dobrze?... że pomiędzy nami panuje harmonia zupełna?... Wszak prawda?... co?...

— Prawda... — odpowiedział książę dobitnie.

— A dla czego?... Nie dla czego innego jeno dla tego... uważaj wasza książęca mość dobrze... dla tego, że ani wasza książęca mość ani ja nie spowiadamy się księdzu Korskiemu... Zkąd to pochodziły owe upominania się o prawa małżeńskie?... Zkąd?... Przypominasz sobie wasza książęca mość?... Przypominasz sobie?... co...

— Przypominam sobie...

— Mnie ksiądz Korski napełniał do waszej książęcej mości wstrętem, tak dalece, że gdybym była dłużej pod dyktando jego zostawała, byłoby przyszło do skandalu... Czułam to... Dla odwrócenia złego, szukałam pretekstów wydalania się z pałacu i pod rozmaitemi pozorami dniowania i nocowania u rodziców... Bóg ratował jednak... Pojechaliśmy do Częstochowy i tam, za sprawą Matki Bożej, do której modliłam się gorąco, przyszło mi natchnienie jechania do Paryża... Uważaj, mości książę, że zachodzi tu interwencja poważniejsza trochę od księdza Korckiego... Matka Boża mnie natchnęła, i z Jej łaski, jesteśmy ze sobą dobrze, panuje pomiędzy nami harmonia... Czy chcesz wasza książęca mość harmonię tę zburzyć?... co...

— Nie... — odpowiedział zapytany, powiekami mrużąc w celu powstrzymania kręcących się za nim łez.

— Nie mamy się więc po co do Krasitowiec spieszyć. Im dłużej pozostaniemy zdala od wpływów księdza Korckiego, tem się bardziej harmonia pomiędzy nami utrwali... Wszak prawda...

— Pra a-wda...

I w płacz.

— Odbędziemy spowiedź wielkanocną tu... u św. Sulpicjusza na przykład... W Paryżu księży świątobliwych znajdziemy sęcinami całemi, świeckich, zakonników reguł wszelakich... Spędzimy tu święta, a po świętach pojedziemy do Włoch.

Książę wciąż płakał.

— Do Rzymu...

Książę przez płacz uśmiechać się począł.

— Będziemy w Rzymie... Ztamtąd pojedziemy do Neapolu... Zamieszkamy czas jakiś w Sorrento... i na jesień do Paryża powrócimy... Spodziewam się, że się to księciu podoba... co?...

— Podoba się...

— A więc dobrze... Niech wasza książęca mość ły obetrze i dobrej będzie myśli...

Książę poszedł za radą małżonki. Łzy otarł. Księżna wstała, przeprosiła, że spieszyć musi powierzyć głowę swoją kochałowi i zostawiła małżonka samego, uśmiechającego się po płaczu.

Jak powiedziała, tak się stało. Program, przez brata skreślony a przez siostrę przyjęty, wykonany został literalnie. Księstwo przepodróżowali letni sezon. Z panem Karolem spotkali się dwa razy: raz we Florencji, drugi raz w Neapolu. Zapraszali go do Sorrento, lecz towarzyszyć im nie mógł żadną miarą, spieszył bowiem na wyspę Helgoland, gdzie mu dała rendez-vous hrabina de l'Escroc-Fanfan, wskazana przez lekarzy na zażywanie pigułek żelaznych i oddychanie powietrzem północnem.

Kiedyś, przy okazji, opiszemy ze szczegółami salonowe i wędrownie przygody księżnej i pana Karola. Odkładamy to na później, stanowi to bowiem przedmiot obszerny, ciekawy i bardzo zajmujący. Interes onego polega na tem, że historia pobytu za granicą dzieci podkomorstwa jest historią wspólną dziewięciu

dziesiątych wędrowców i wędrownic naszych, spotykanych na wszystkich traktach, krzyżujących się w Europie środkowej. Jadą a jadą — jadą, zawracają, przerzucają się z północy na południe i z południa na północ — pędzi ich coś: co jednak? Zaledwie część dziesiąta — co mówię! — zaledwie część setna odnosi z podróży korzyść jakąś. Większość ogromna goni marę bezimienną. Mniejsza już o stratę majątków; mniejsza o wywożenie pieniędzy z kraju. Pierwsza dotyka osobistości pojedynczych — majątki bowiem w inne tylko przechodzą ręce; drugie wynagrodziłoby się, gdyby w zamian wnosilo do kraju zdobycze na polu wiadomości pożytecznych, we względzie których Zachód tak dalece od nas wyżej stoi. Ogromne w ten sposób dałyby się osiągnąć korzyści ze względu na ilość wielką wędrowców i wędrownic. Gdyby jeno każdy i każda zachwycić postarał się odrobinę światła, i ulokowawszy takową w głowie, do kraju z nią powrócić! Ale ba! Takich, co po odrobinie światła zachwytyją, jest zaledwie jeden na sto. Reszta goni — jak wyżej powiedziałem — marę bezimienną, lata niby kot z pęcherzem po za granicy i nasiąka, rzecz naturalna, przywarami bez których moglibyśmy się jak najzupełniej obejść. Czy to mało mamy własnych!

Księstwo i pan Karol przez lat trzy włóczyli się za granicą i trzy zimy spędzili w Paryżu. Mieli przygód mnóstwo — romansowych i towarzyskich, i politycznych, i smutnych, i wesołych, i poważnych, i śmiesznych — kiedyś je opiszę. Nie uważam za stosowne wprowadzać do niniejszego opowiadania epizodu, któryby tom objął. Sam książę de la Tromperie, który szalał za naszą księżną i sama hrabina de l'Escroc-Fanfan, dla której szalał pan Karol, dostarczyliby do pisania materiału nie mało. Odkładam więc to wszystko na później, teraz zaś, przeskakując lata, przystępuję od razu do chwili, w której księstwo otrzymali list z czarną pieczęcią.

Stało się to w czwartym roku pobytu za granicą, w miesiącu marcu.

List przyszedł pod adresem księcia Gotfryda.

Autorem onego był podkomorzy.

Podkomorzy, stylem zarywającym na biblijny, uwiadamił księcia Gotfryda o bolesnym, jaki na niego i na „zasmucone

głęboko obywatelstwo całe“, spadł ciosie: o śmierci księcia Norberta.

Książę Gotfryd nie od razu, a właściwie, niedobrze zrozumiał, co to się stało, a to dla tego może, że podkomorzy nie napisał wyraźnie „umarł“, ale rzecz przedstawiał pod figurami: „zszedł z tego świata, przeniósł się do lepszego żywota, opuścił nas“ i t. p. Książę przeto, list przeczytał, schował i zabierał się pisać do księcia ojca po raz trzeci od czasu wyjazdu z Krasinowic, odkładając odpowiedź podkomorzemu na później. Księżna nic o tem nie wiedziała — i nie dowiedziała się, aż w kilka dni później, z listu matki, która jej z detalami opisywała pogrzeb księcia Norberta, nie wspominając o śmierci, jako — jak przypuszczała — o rzeczy wiadomej. Zdziwiło ją to. Na szczęście, raz jeden podkomorzyna wymieniła „zwłoki księcia Norberta“. Gdyby nie to, byłaby księżna nie wiedziała wcale czyj mianowicie pogrzeb matka jej opisuje. Z tych trzech wyrazów domysliła się, że był to pogrzeb księcia ojca; domysliła się zatem, że książę Norbert świat ten pożegnał. Zmieszalo ją to.

— *Tiens!*... — zawołała.

Napisała słów kilka, zapieczętowała i posłała przez lokaja do pana Karola.

W godzinę później, siostra brata temi powitała wyrazami:

— Nowina wielka!... pogrzeb księcia Norberta!...

— Więc umarł?... — zapytał brat.

— Naturalnie... Gdyby nie umarł toby go nie grzebano... Mama wprawdzie o śmierci nie pisze, ale to się samo przez się rozumie...

— Oczywiście... A!... — zawołał, robiąc głową gest wyrazisty. *C'est grave*... Cóż książę Gotfryd?...

— Nie wiem o niczem... o niczem mi nie wspominał...

— Tak... ale świat będzie wiedział... Książę jeden zszedł ze świata... Trzeba ci się strapić koniecznie i w żałobę się usunąć na rok cały... Oto niedogodność mieć księcia za ojca!...

— Trzeba więc... co?... — zapytała księżna.

— Sprawić sobie w Paryżu sukien krepowych z tuzin i jechać do Krasinowic... do dóbr swoich... Tak zwyczaj chce...

Trzeba także i księcia krepą obwinać, a przytem ogłosić tę bolesną wiadomość *urbi et orbi*...

Księżna westchnęła i zasmuciła się głęboko.

Nazajutrz czytano w dzienniku:

„Nieszczęście wielkie dotknęło znakomitą rodzinę, która od lat kilku jest ozdobą naszych salonów, i pograżyło ją w smutku niezmiernym. Potomek Mendoga, cesarza (!) Litwy, książę Norbert Gamajda, umarł. Ci, co znają — a któż w towarzystwie wyborowem jej nie zna! — zachwycającą młodą księżną, synową nieboszczyka, podzieliła jej boleść wielką. Słychać, że księżna rok żałoby spędzi w dobrach swoich. Więc i dla Paryża... żałoba!”

Po ukazaniu się artykułiku tego sypnęły się wizyty kondolencyjne, składane księżnej i księciu, który z gazety dopiero o śmierci ojca się dowiedział i — zarazem — zasmucił się i ucieszył. Zasmucił się przez — że się tak wyrazimy — odbicie koloru czarnego, który ujrzał nagle zamiast barw jasnych; ucieszył się zaś na myśl powrotu do Krasnolowic, do których tęsknić nie przestawał.

Księżna w grubej, ciężkiej wystąpiła żałobie.

Zamówiono egzekwie pierwszej klasy i mszy żałobnych kilkadziesiąt w Notre-Dame, u St. Sulpicyusza, w kościele Wniebowzięcia, u św. Rocha i w innych jeszcze kościołach znaczniejszych.

Paryż dowiedział się o śmierci męża, któremu ten naturalny zdarzył się wypadek, że żyć przestał.

Księżna, pocieszana przez przyjaciół licznych i żegnana przez nich: „do widzenia!”, wybrała się wraz z mężem w podróż z powrotem. Pan Karol odprowadzał ich do Strasburga, z kąd wracać musiał do Paryża, dla markizy de Calicot, która się wybierała w Pyrenee.

Księstwo jechali, jechali, zatrzymując się dla odpoczynków tu i owdzie; minęli Galicję pocziwłą, którą podówczas, nie na Gaskonię niemiecką, jak dziś, ale jeszcze na Niemcy przera-biano i w której szlachta tem się odznaczała, że mówiąc językiem Szyllera i Göthego, dodawała „panie dobrodzieju”; prze-jechali w Radziwiłowie kordon i czwartego czy piątego tygodnia od wyjazdu z Paryża, ujrzeni dach czerwony krasnolowieckiego kościoła i topole, otaczające krasnolowiecki pałac.

Czyjeż serce nie uderzyłoby tętnem przyspieszonym na widok taki!

Książę wytykał głowę z karety z jednej strony i uśmiechał się do topoli, do dachu czerwonego, do chatup przedmiejskich, nawet do brudnych obdrapanych domków żydowskich, takich samych, jakimi je lat temu cztery zostawił. Księżna wytykała głowę z karety z drugiej strony i uśmiechała się także; ale, wyznać musimy, w uśmiechu jej inny był akcent, aniżeli w uśmiechu dozgonnego jej towarzysza. On, idjota prawie, zgubił z pamięci wszystkie Rzymy, Florencję, Neapole, Sorrenta, wszystkie miasta i miejsca, gmachy i szalety, i odworzył natomiast w całości i nietykalności pierwotnej wspomnienia dziecięce, które po kryjówkach jego mózgowych w stanie letargowym spoczywały; ona zaś brała miarę porównania i dla tego uśmiech jej był — jak nam się zdaje — uśmiechem politowania.

Przyjechali. W ganku na spotkanie ich wyszedł ksiądz Korski, poprzedzając zastęp służby, uszykowanej przez marszałka dworu. Ksiądz składając na piersiach dłoń, pochylił się ukłonem głębokim. Pochyliła się ukłonem i służba. Księżna zatrzymała się przed księdzem i zbliżyła usta do jego ramienia, zapytując o zdrowie.

— Najuniżeniej dziękuję waszej książęcej mości... — była zapytanego odpowiedź. Zdrowia Bóg użyczy mi jeszcze na tyle, ażeby błagać go o pomyślność doczesną i zbawienie wieczne waszych książęcych mości...

— Taki cios nas dotknął!... — podchwyciła księżna, chcąc cośkolwiek powiedzieć.

— Cios wielki, zaiste, dla nas, wskazanych na wędrówkę doczesną... Ubył z pośrodku nas jeden sprawiedliwy, lecz przybył nam w niebiosach zastępca, orędownik świadczący przed tronem Przedwiecznego za nami lub... przeciwko nam...

Dwa ostatnie wyrazy wymówił ksiądz z przyciskiem intencją nabrzmiałym.

Zrozumiała to snać księżna, lekki bowiem, ironią naznaczony półuśmiech przez usta się jej przesunął, ustępując wnet miejsca smutkowi konwencjonalnemu. Zwróciła się do sług i pozdrowiła ich. Oglądnęła się do koła za księciem. Księcia nie było.

Cóż się z nim stało?

— Gdzie książę?... — zapytała.

— Proszę, jaśnie oświeconej księżnej pani, udał się tam... — odpowiedział marszałek, ukazując na drzwi wchodowe.

Książę znalazł się tak. Jak tylko z karety wysiadł, natychmiast ruszył wprost do wnętrza pałacu, ruszając ramionami i machając rękami w sposób taki, jak gdyby ciżbę rozpychał przed sobą. Nie patrzył na nikogo, nie witał się z nikim, nie zważał nawet na księdza; szedł tak prędko, że zdążyć nie mógł kamerdyner z wyprzedzeniem go w celu otwierania przed nim podwoi; uderzył dłońmi obydwoma o drzwi główne — drzwi się rozwarły; przeszedł przez sieni tak szybko, jak go chodzącego nigdy nie widziano; przeszedł szereg komnat, aż do tego saloniku, w którym przesiadział młodość całą, w którym widzieliśmy go w spazmach, gdy mu podkomorzy sen zmyślony opowiedział; wszedł tam, zastał na miejscu swoim swój stoliczek i swój obok stoliczka fotel, usiadł w fotelu i śmiać się począł.

— Cha, cha, cha... cha, cha, cha...

W śmiechu tym było coś przykrego. Dzwonił w nim akcent tryumfu.

Książę śmiał się z kwadrans, aż spotniał i łzami się zalał.

Przestawszy się śmiać, oddychał głęboko, sapał, dmuchał, pot z czoła ocierał, na siedzeniu się poprawiał, w końcu przybrał minę taką, jakby powiedzieć chciał w słuch świata całemu:

— Ztąd mnie już żadna nie ruszy siła!...

W tym stanie pozostawał przez minut parę.

Następnie rękę na stoliku położył i począł weń palcem jednym stukać.

Następnie ujął w palce dzwonek. Zadzwonił.

W progu pojawił się lokaj.

— Podaj mi wody szklanek...

Gdy się wody napił, stało się z nim tak, jak gdyby nigdy w życiu żadnej nie odbywał podróży, jak gdyby zmarł był na lat cztery i zmartwychwstał tym samym księciem Gotfrydem, jakim był, nie przed laty czterema, ale przed ożenieniem swoim. Czas przeżyty, przestrzenie zjeżdżone, widoki zdarzenia, osoby znikły dla niego. Odrodził się dawnym księ-

ciem Gotfrydem, siedział sobie spokojnie na dawnym swoim miejscu i czekał po dawnemu na dzwonek, hasło objadu.

Doczekał się dzwonka. Wstał, przeszedł do salonu, służącego za punkt zborny dla biesiadników.

W salonie spotkał się z ojcem Korskim.

— Spodziewam się — wnet przemówił — że zdrowie ojca wielbnego w pożądanym znajduje się stanie...

— Dziękuję uniżenie waszej książęcej mości... Zdrowie moje, od chwili śmierci jego książęcej mości księcia Norberta?...

— Od chwili śmierci... jego książęcej mości księcia Norberta?... — podchwycił książę tonem zdziwienia i namysłu.

— Podupada... — ciągnął książę — i coraz to zbliża się ta godzina, w której Pan i mnie, sługę swego, powoła...

— Powoła... — powtórzył książę i zapytał: Książę Norbert?...

— Umarł... Na rękach moich ducha Bogu wyzionął...

Nadeszła księżna w grubej żałobie, odświeżonej po powrocie.

Marszałek drzwi od sali jadalnej na ściągaj otworzył i dawnym sposobem objad zaanonsował.

Książę zajął przy stole dawne swoje miejsce i jadł po dawnemu. I pod tym względem odrodził się takim samym, jakim był przed laty.

IX.

I rozpoczął się dla księżnej rok żałoby, rok straszny, długi nieprzeczekany, który w pierwszych momentach swoich dosyć jeszcze był znośny, z powodu nowości położenia, jaką przedstawiał. Sam pałac stary wydał się jej nowością, która ją zajęła, oglądała go z ciekawością żywą, oglądała apartament swój ze zdziwieniem.

— Jasna pani!... — zawołała Weronika. Tać tu tak jak było!... Zdaje się, jakbyśmy wyjechali ztąd wczora a dziś powrócili...

— Toż to mnie właśnie dziwi...

Przypatrywała się przedmiotom różnym. Zaglądnęła do alkowy, w której znajdował się kłęcznik i pozostawione na pulpicie książki do nabożeństwa. Uklękła. Pomodliła się. Prosiła Boga o udzielenie jej mocy do wytrzymania roku całego. Pomodliwszy się, przystąpiła do ubierania się, zasiadła przed gotownią, na widok której uśmiechnęła się z politowaniem i powierzyła głowę swoją Weronice. Czesząc się, rozmawiała. Na ubieraniu się i rozmawianiu z powiernicą zeszedł czas, aż usłyszała dzwonek.

— Co to jest?... — zapytała.

— A nie wiem, proszę jaśnie oświeconej pani...

— Pójdźno dowiedz się...

I jedna i druga zapomniały o zwyczajach w pałacu zaprowadzonych.

Weronika powróciła niebawem i przyniosła tłumaczenie zagadki.

— Co to znaczy, że nikogo z Ohrebyszcza nie ma!... — rzekła księżna.

Nie domyślała się, że, ażeby z Ohrebyszcza kto przybył, potrzeba najprzód dać znać o przybyciu własnem.

Poszła na obiad. Przy stole mało jadła, przypatrywała się z boku żarłocztwu, z jakim książę pochłaniał dania wcale nie wykwentne. I to nawet zafrapowało ją, jako nowość.

Po obiedzie, gdy, zostawiona sama sobie, do apartamentu swego wracała, spotkała w przechodzie Weronikę.

— Jasna pani!... — zawołała ta ostatnia. — Poślaniec z Ohrebyszcza!...

— Gdzież on?...

— Czekaj...

— Wołaj go!... Niech przyjdzie do mnie...

W chwilę później do apartamentu księżnej wkroczył młody chłopak w liberji, wyglądający na lat dwadzieścia, roztropnego wejrzenia i sztywnej postawy, a nadewszystko pozoru odmiennego od tego, jaki cechował służbę pałacową, poważną i posępną. Wszedł, skłonił się i przy progu się zatrzymał.

— Ty z Ohrebyszcza?...

— Z Ohrebyszcza, jasna pani.

— Masz list?...

— Nie mam...

Księżna chciała coś powiedzieć, lecz on ciągnął dalej: —

— Od tygodnia już, dzień po dniu, przyjeżdżam do Kraśiłowic, dla dowiedzenia się o powrocie jasnych państwa i o zdrowiu jasnej pani...

— Zmęczona się czuję podróżą, zresztą zdrową jestem... Cóż tam sływać?...

— Wszystko dobrze...

— Czy się i tam, jak tu, nie nie zmieniło?...

— Zmieniło się... Jaśni państwo osamotnieli...

— Tak... no... a więcej?...

— Więcej, zdaje się, nie zmieniło się nic... dla nas przynajmniej... Jaśnie oświecona pani może zmiany jakiej dopatrzeć...

Księżnę uderzyła roztropność odpowiedzi ostatniej. Rzekła:

— Znam wszystkich w Ohrebyszczach, ciebie jednak nie przypominam sobie... Pierwszy raz cię widzę...

Chłopak uśmiechnął się i odpowiedział:

— Bom ja się zmienił... Jaśnie oświecona pani widziała mnie, kiedy byłem dzieckiem jeszcze...

— Od dawna już pozostajesz we dworze?...

— Rok szósty...

— A nazywasz się?...

— Kacper Mędziński...

— Powiedźże mi, Kacprze, jak się ma papa? jak się ma mama?...

— Jak zwykle... nieźle... Jasna pani trochę niezdrowa i jaśnie pan trochę niezdrow, ale niezdrowie to nie opuszcza jasnych państwa od czasu jak ich zapamiętam...

— Musieli jednak postarzyć?...

— Zapewne... nie w moich jednak oczach... Jasna pani lepiej to zobaczy...

— Cóż więcej, Kacprze... Czy weseli?...

— Nie bardzo... o!... nie... Jakże mogą być weseli!...

— Co przez to rozumiesz?...

— Rozumiem to, że trudno być wesołymi rodzicom, gdy dzieci nie przy nich...

Kacper się mylił, co do powodów braku wesołości podkomorstwa. Nie mogło jednak być inaczej. Podkomorzy nie zwierzał się przed nim ze stanem interesów swoich. Z drugiej znów

strony, gdyby stan ów był Kacprowi znanym — służba bowiem umie rzeczy podobne odgadywać — to sama delikatność uczucia nie pozwalała mu zdradzać znajomości tej przed córką, nakazując podstawić zamiast następstw przyczynę, czyli wypowiedzieć premisę syllogizmu, układającego się w sposób następujący: „Dzieci nie są przy podkomorstwu, więc interesa ich w złym znajdują się stanie, więc są smutni: a zatem smutni, dla tego, że nie mają dzieci przy sobie.“ W sposób ten Kacper nie wyrządził księżnej przykrości i nie powiedział jej nieprawdy — dowód, że był z natury rozgarniony.

Księżnej podobiała się rozmowa z nim. Zarzuciła go pytaniami, na które on odpowiadał prędko i dobrze, i przetrzymała go dłużej jak należało.

— Więc tak... — rzekła w końcu, namysławiając się nad nowym pytaniem i zawołała nagle: Ach!... Przytrzymuję tu ciebie, Kacprze, podczas kiedy powinienś spieszyć do Ohrebyszcz i o przyjeździe moim uwiadomić... Poczekaj jednak jeszcze trochę... słów parę napiszę... Albo nie!... Ty powtórzyć potrafisz, co ci ustnie powiem... Pisać mi się nie chce... Tak jestem podróżą zmęczona!... Oh!...

I wyciągnęła się przed Kacprem, podnosząc ręce do wysokości głowy i wyginając się kibicią naprzód. Panie nie żenowały się w przybieraniu przed lokajami poz, uchodzących za niekoniecznie przyzwoite.

— Powiedz, zem podróżą umęczona, że dziś wcześniej pójdę do łóżka a jutro późno wstanę; powiedz, że mi się pałac krasilowiecki nie wydaje nader ponętym i ze strachem myślę o roku całym, który w nim spędzić przyjdzie; powiedz, że mi w żalobie dość do twarzy, ale że mi bardzo było smutno rozstawać się ze strojami, których zabierać ze sobą nie mogłam, gdyż po roku nie przydałyby się na nic, powiedz jeszcze, że gorąco pragnę oglądać jak najprędzej papę i mamę, i proszę ich bardzo, ażeby przyjechali jutro na dzień cały do Krasilowiec, jeżeli nie oboje, to mama przynajmniej, a to dla tego, że mam z mamą do gadania dużo... dużo... Spamiętasz to wszystko?... — zapytała w końcu.

— Czemużby nie!... — odpowiedział Kacper z uśmiechem.

— Jedźże więc, jedź jak najprędzej i spraw się dobrze!...

Kacper się zwrócił na miejscu, wyszedł zatrzymawszy się jeszcze chwilę dla zleceń, które mu Weronika dawała, wsiadł na koń i odjechał.

Gdy odjechał, księżna do Weroniki rzekła:

— Bogu dzięki, zem listu pisać nie potrzebowała... Ten Kacper potrafi, zdaje się, słowa moje powtórzyć... jakiś taki roztropny...

— To ten sam jasna pani... — odparła kamerystka — co to... nie wiem czy jasna pani przypomina sobie... przez okno patrzył, kiedy się jasna pani zaręczała z księciem panem...

A!... — księżna na to.

Przypomnienie to wprawiło ją w stan rozmarzenia jakiegoś, który może i nie był przypomnienia następstwem, a może niem był, ale nie wyłącznie. Trzeba wziąć na uwagę zmęczenie podróżne. Przebycie przestrzeni z Paryża do Krasilowiec nie mogło nie wywrzeć wpływu niejakiego na kompleksję kobiety wypieszczonej. Nie wyszła na salon wczorem. Kazała powiedzieć, że się czuje niezdrową. Poszła wcześniej do łóżka i w łóżku ogarnęła ją cisza głucha, w której wyobrażenia jej wywoływać poczęła wspomnienia przeszłości. Skoczyła myślą ku momentowi zaręczyn swoich. Przypomniła sobie, że wówczas szukała kogoś oczami i pragnieniem, które w czasie owym nazywało się... miłością.

— Miłością... szepnęła sama do siebie, obróciła się na łóżku, wyciągnęła, westchnęła i wpatrzyła się w wyglądający z za firanki kawałek szyby, którą księżyc srebrnym drażnił promieniem.

Ktoś schodził po promieniu.

Twarz czyjaś za szybą się pokazywała: oczy jakies przez okno zaglądały.

Twarz to czyja? oczy to czyje?

— Gustaw...

Imienia tego księżna nie wymówiła. Imię to mówiło się samo, opowiadając długą jakąś i straszną historię o tym co je nosił i który, w noc księżycową... chodzi. Gustaw chodzi. Księżna — powtarzamy — nie mówiła tego. Nasuwało się jej to samo. Wiedziała ona, że Gustaw, od lat pięciu już blisko, w grobie i że umarli chodzą jeno w balladach i baśniach. Wiedziała o tem i broniła się, przywoływaniem na pomoc sobie za-

stępów całych, złożonych z takich, jak *prince de la Tromperie* i jemu podobnych. A jednakże! Tamci znikali, ten zaś chwiał się na księżycowym promieniu i przez okno zaglądał.

— Było to w czasie zaręczyn... — tak się rozpoczynała historia.

Historja nieprawdziwa, w czasie zaręczyn bowiem nie Gustaw ale Kacper przez okno zaglądał.

— Kacper... — powiedziała księżna wyraźnie. — Kacper... lokaj... ten sam, com go dziś widziała... jakiś roztropny... bardzo roztropny...

I nie w księżetach de la Tromperie, ale w Kacprze obronę przeciwko widziadłu natrętnemu znajdowała.

Z tem zasnęła.

Obudziła się późno. Zadzwoiła.

— Jasna pani z Ohrebyszc od godziny już blisko przyjechała...

Wyrazami temi powitała ją na dzień dobry Weronika, odchylając kotary od łóżka.

— Ach!... — krzyknęła i z pościeli wyskoczyła.

W pierwszym uniesieniu, gotową była biec w stroju takim, w jakim Ludgarda wybierała się od Przemysława, który ją chciał „zgubić“ którego ona jednak wołała „lubie“.

Lecz się powstrzymała. Kazała pierwsi ubrać się stosownie, to jest tak, ażeby ubranie łączyło w sobie wszystkie warunki strojności, a strojem nie było. Reguły elegancji są nieublagane. W obec nich, nie masz względu na matkę, męża, na kochankę nawet! Elegantka nie zapomni się, ani w miłości, ani w rozpacz, ani też — tem mniej — w radości. Księżna zapomniała się na chwilę — znak, że nie była elegantką skończoną i wypróbowaną — wnet jednak do porządku się sama przywołała, kazała sobie włosy uczesać i warkocze ułożyć ód niechcienia, kazała się ubrać w strój poranny, złożony z batystów, muslinów i koronek, obowiązujący do przebierania się, i dopiero kazała podkomorzynę prosić.

Powitaniu matki z córką nie brakło nic pod względem wykrzykników, uścisków i łez.

Usiadły jedna obok drugiej na kanapie i długo jeszcze trzymając się za ręce, pocałunki sobie oddawały, w oczy patrzyły i powtarzały:

— Moja mamol... Moje dziecko!...

Po wstępie tym przysła rozmowa spokojniejsza, która się rozpoczęła od wykrzyknika podkomorzyny:

— Moja księżno! jakże ty pięknie wyglądasz!

— Mamol kochana!... — odpowiedziała księżna tonem pół-ekskuzy, półuznania.

— Powinszować ci muszę... Prześliczny stroik masz na głowie...

— Pięć tygodni!... — księżna westchnęła. — Co za zmiany w Paryżu od tygodni pięciu!... Stroik ten zalicza się już tam do starych rupieci...

— U nas za pięć miesięcy będzie jeszcze nowością najmłodniejszą.

— Nie wiem, doprawdy, co ja zrobię za rok!... Będę musiała chyba *incognito* do Paryża się wśliznąć, i ukrywać się przez tydzień przynajmniej, zanim mnie monsieur Cavard, madame Beauvarais i mademoiselle Galland okryją nieco...

— To już... mniejsza o to... — wtrąciła podkomorzyna.

— Ach! mamol kochana... Co też mama powiada!...

— Powiadam, że jest rada na wszystko... Będiesz mogła pana Cavard, panią Beauvarais i pannę Galland uprzedzić o chwili powrotu twego...

— Prawda!... — krzyknęła księżna. — Będę nawet mogła zatrzymać się gdzieś na drodze, w Strassburgu na przykład, i kazać tam sobie przysłać co będzie najpotrzebniejsze...

— Widzisz?... — rzekła matka. — Jest rada...

— Wynalazek której zawdzięczam mamie kochanej... Ale niechże mi mama mówi przecie coś o sobie, o zdrowiu swoim.. Mama kochana się zmieniała... wyszczupiała... Nie powiem, żeby to nie było na awantaż... — dodała z uśmiechem pół-filuternym.

Podkomorzyna ręką machnęła.

— A papa?... kiedyż go zobaczę?...

— Ma tu przyjechać... Ja, wyobraź sobie, zerwałam się dziś o siódmej!...

— O mój Boże!...

— Papa miał jakieś do załatwienia interesa...

— Och!... te interesa... Ale prawda, bez interesów obejść się nie sposób... Ja, aż płakałam... rzewnymi płakałam łzami,

kiedy wypadł interes ubrać się w żałobę... Zamówiłam sobie była właśnie suknie *demi-saison*... jedna paliowa, atlasowa, prześliczna! druga popielatą w paski, materjalna przecudna! trzecia także materjalna, *couleur unie*, barwy której nazwać nie umiem, bardzo modnej, zachwycająca!... Włożyć ich nawet, mamu kochana, na siebie włożyć nie mogłam!... To coś straszego!...

— Zabrałaś je ze sobą?... — zapytała matka.

— Jeszcze co!... — wzruszyła księżna ramionami. — Musiałam rzucić, nie włożywszy na siebie ani razu...

Rozmowa tej treści przeciągnęła się do śniadania, zasycona materja, jaką nastroczyło ubieranie się księżnej w żałobne szaty. Przy śniadaniu widok księcia przypomniawszy podkomorzynie egzystencję jego, i kiedy się znów z córką sam na sam znalazła, zapytała ją o niego.

— Cóż książę?... w Paryżu?... bawił się?...

Księżna ramionami ścisnęła i odpowiedziała:

— Nie wiem... nie zawadzał... przeciwnie w pierwszych zwłaszcza chwilach był bardzo przydatny...

— Jesteście ze sobą?... — zaczęła podkomorzyna.

— Jak najlepiej... — podchwyciła księżna, dodając tonem konfidenjalnym: Nie było ojca Korskiego i książę był mężem prawdziwie przykładnym...

Podkomorzyna zrobiła minę, oznaczającą ubolewanie.

— Myślę go znów zabrać ze sobą... — kończyła księżna.

— A Karol?... Mówię mi co o Karolu...

— Karol!... Cóż o nim mam powiedzieć?... Zajmuje miejsce jedno z najwydatniejszych pomiędzy młodzieżą stolicy Francji... to dosyć...

Podkomorzynie łzy w oczach stanęły.

— Karol wysoko się nosi i wysoko patrzy...

— Powiedzże to papie... — wtrąciła podkomorzyna.

W chwili tej zaanonsowano podkomorzego.

Córka rzuciła się ojcowi w objęcia i powtórzyło się powitanie, które z nieznaczными modyfikacjami, podobnem było do tego, jakie odbyło się pomiędzy matką i córką; rozmowa zaś rozpoczęła się od wykrzyknika księżnej:

— Jakże się papa zmienił!...

W rzeczy samej, podkomorzy cieniem był podkomorzego owego, z którym zabraliśmy znajomość na polowaniu, na któ-

rem stary Mędziński zastrzelił zająca, zaliczonego na rachunek nieboszczyka księcia Norberta. Nie sięgając jednak tak daleko, lat pięć ostatnich posunęły go tak, że można było o nim powiedzieć: patrzy w grób otwarty. Policzki wpadły, oczy wpadły, brwi się nasunęły, czoło się bruzdami głębokimi poorało, postawa się pochyliła, posiwiał zupełnie i na obliczu rozlał się wyraz melancholii czyniącej uśmiechy jego jakimś gorzkiem. Kiedy mu córka o zmianie tej powiedziała, głową wstrząsnął i westchnął.

— A tylko cośmy z mamą o papie, kochanym mówiły... — odezwała się księżna z przymileniem.

— Masz mi zapewne za złe, że tak późno przyjechał...

— O nie! papo kochany... Wiem przecie... interesu... Mówiliśmy o papie z powodu Karola.

Podkomorzy oczami łypnął i nosem czmychnął.

— Gdy papę zaanonsowano, powiedziałam właśnie, że Karol wysoko się nosi i wysoko patrzy... Co za szyk!... co za ton!... co za wzięcie się!...

— Wiedziałam co robię... — odezwała się podkomorzyna rozrzewniona — kiedy Karolowi i tobie, moje dziecko, wyszukaną dawała edukację... Krzywiono się na to (przymówka pod adresem męża), ale poświęciłam się i na drodze poświęcenia do końca dotrwałam... Ofiara moja owoc wydała...

— Ach! to prawda... co do Karola... — wtrąciła księżna.

— I co do ciebie, moje dziecko... Nie mam sobie do wyrzucenia nic...

Podkomorzy milczał, spuściwszy powieki, tak, że zdawało się jakby oczy zamknął.

— Jaśnie oświecony książę pan prosi jaśnie wielmożnego podkomorzego! — wygłosił w tej chwili kamerdyner z progu.

Podkomorzy przeprosił córkę, wyszedł i złożył wizytę księciu Gotfrydowi, który go przyjął w dawnym saloniku, na dawnym miejscu i dawnym sposobem. Wizyta ta nie zabrała czasu dużo. Teś od razu po zięciu poznał, że „i w Paryżu nie robią z owsa ryżu“. Książę Gotfryd z pobytu swego za granicą o niczem powiedzieć nie umiał. Wygłosił po kolei wszystkie frazesa, jakie mu służyły do bawienia gości i nie było co z nim gadać. Podkomorzy przeto niebawem do córki powrócił.

— Jakże papa kochany księcia znajduje?...

— Bardzo dobrze... Ale — spojrzaj na zegarek — muszę cię już pożegnać księżno...

— Tak rychło?... Liczyłam na to, że papa kochany na obiad zostanie...

— Zostałbym chętnie, gdyby nie Boruchy, Lejby, Lejzory...

— A toż co!?... — zawołała księżna.

— Ha!... Nosi się Karol i patrzy w Paryżu wysoko, a ja tu patrzeć się muszę w brody żydowskie...

Podkomorzynie oczy się zaiskrzyły. Księżnej także oczy zamigotały.

Podkomorzy wyszedł pospiesznie.

To, cośmy powyżej opisali, nazwaćby się dało pierwszą sceną pobytu księżnej w Krasifowcach, sceną brzemenną, pierwiastkami wszystkich następnych, które się z tej jednej wysnuwały. Rok żałoby zapowiedział z punktu wychodniego, czem będzie.

W pałacu zawrzała głucha wojna pomiędzy księżną a księdzem Korskim, która nie sprowadzała wybuchów, brakło jej bowiem podniety realnej. Wszczyniała się i nie rozwijała. Za każdym potraceniem tej struny, pokazywało się jeno, że walczyć nie ma o co, chyba o honor, który atoli rozbijał się o szkopuł jeden, o nieużytość księcia Gotfryda, tak dalece zadowolonego, że stał się absolutnie do niczego: ani go już ojciec Korski poruszyć mógł, ani księżna do płaczu doprowadzić była w stanie.

Księżnę opanowały nudy — nudy straszne; nie mogła, jak to powiadają, miejsca sobie znaleźć; przerzucała się z Krasifowiec do Ohrebyszczy, z Ohrebyszczy do Krasifowic i próbowała rozrywek różnych. Najprzód szukała takowych w sąsiedztwie, radząc się matki co do porządku wizyt.

— Oczywiście... — była podkomorzyny odpowiedź. — Zacząć powinnaś od Oleckich... Masz tam pochrzestnika...

Księżna pojechała do Frasnobłówny i znalazła pochrzestnika swego w gronie rodzeństwa, wynoszącego już głów pięć. Ludwiś, chłopczyk walny i ogromnie obiecujący, miał trzech braciśzków i jedną siostrzyczkę. Księżna we Frasnobłównę kataru się nabawiła.

Udała się jeszcze do domów paru i powiedziała sobie:

— Nie... Wolę się w Krasifowcach, jak w więzieniu, zamknąć...

Zamknęła się. Rzuciła się do literatury, wzywając w tym względzie pomocy matki, która jej, ze zbioru swego romansów francuskich, książek dostarczała. Kacper służył za pośrednika w wożeniu i odwożeniu druków, a zarazem w komunikowaniu ustnych relacji, jakich sobie panie wzajemnie udzielały. Z tego powodu w częstą z paniami wchodził styczność. Podkomorzyna dawała mu polecenia sucho a surowo: Powiedz księżnej pani to a to! Księżna wdawała się z nim w rozmowy; powierzała mu niekiedy wrażenia swoje co do książki przeczytanej, w tym celu, ażeby on takowe podkomorzynie powtórzył. Literatura stanowiła ucieczkę jedyną przed nudami, lecz się niebawem wyczerpała. Zapas podkomorzyny, acz znaczny, nie był jednak bezdennym. A przytem i romanse znudziły młodą kobietę. Dostrzegła w nich oprowadzania w kółko intrygi wciąż jednej i tej samej, zaprawnej jeno sosem coraz to odmiennym. Kto sosy lubi, może w tem smakować. Jej się one przejadły.

Wzięła się do praktyk religijnych, w tym jednak względzie znalazła się, niby pomiędzy młotem a kowadłem — pomiędzy O. Korskim a księdzem Celowiczem; — pierwszy ją odstręczał, drugi jej nie zadowalał. Przytem, zachodził tu wzgląd jeden bardzo ważny, stojący na przeszkodzie zajęciu się nabożeństwem. Księżna była damą wielkiego świata jeszcze młodą. Damy tego rodzaju biorą się do praktyk religijnych nie prędzej, aż je świat wybrakowywać zaczyna z szeregów swoich. Jak długo to nie nastąpi, czasu nie mają. Księżna nasza miała wprawdzie czas, lecz sprowadzony w sposób przypadkowy i prowizoryczny; myślała nietylko o tem, co było, ale także i o tem, co będzie; doznawała więc dystrakcji podwójnej, skutkiem której nie znajdowała w ćwiczeniach pobożnych tego uroku, jaki znajdują w nich damy, dla których zadanie życia bez celu istnieć przestało na tym placu padole.

Ona miała jeszcze przed sobą tyle!

Tyle zadań! — tyle zagadnień!...

Jeżeli przeto modliła się, to na to jedynie, ażeby uprosić jak najrychlejsze zakończenie roku żałoby.

I uprosiła.

Rok długi, nudny, straszny skończył się nareszcie w terminie, który ani się zbliżył ani oddalił.

Na tygodni parę przed terminem, wniosła księżna w Ohrebyszczach kwestję wyjazdu do Paryża. Wniosek ten tyczył się szczególnie podkomorzego, który, z tytułu ojca córki własnej, zawiadował interesami krasilowieckimi, to znaczy, w imieniu i na rzecz księżnej, rozporządzał dochodami, jakie Krasilowce niosły.

Podkomorzy zbył to milczeniem. W parę dni jednak później, zjawił się niespodzianie w Krasilowcach, prezentując się córce, jak go ona nigdy nie widywała: z plikiem dużym papierów, które niósł pod pachą.

— Co to?... papo kochany?... — zawołała.

— Rachunki, moje dziecko...

— Na co?... do czego?...

— Chcę ci przedstawić stan interesów twoich...

— Co?... interesów?... Nie chcę!... nie chcę!... Za cóż to mnie papa bierze?... Nie!... nie chcę, papo kochany!...

— Muszę ci rachunki przedstawić, jestem bowiem zawiadowcą, rozporządzicielem, administratorem...

— Niech do mnie papa, przez litość, nie przemawia językiem, od którego dreszcze czuję w ciele... Ja o interesach żadnych wiedzieć nie chcę... Ja chcę jechać do Paryża...

— Właśnie też, w tem powód najważniejszy, dla którego muszę ci stan interesów twoich wykazać...

— Cóż ma jedno z drugim?...

— To, moje dziecko, że jechać nie masz za co...

Na słowa te młoda i wcale przystojna kobieta, w jednym oka mgnieniu w furję się zmieniła. Czoło, twarz, oczy, oblały się wyrazem wściekłości, z którym patrzała na ojca z góry jakoś i wrogo. Podkomorzy spokojnie ciągnął dalej:

— Po zdefalkowaniu długów, które przez czas pobytu twego za granicą urosły, pozostaje na ciebie i męża twego, obliczając dochód, nie więcej, jak rubli srebrnych tysiąca półtora, i to, jeżeli będzie można przeprowadzić układ z kredytorami dawniejszymi, na spłacenie których posag twój nie wystarczył. Przejrzyj rachunki, przekonasz się... Zebrałem tu dowody jasne...

— Ja o niczem nie wiem i wiedzieć nie chcę... — przerwała księżna porywczo.

— Jak ci się podoba, ale bez pieniędzy jechać nie możesz... Gdyby nie matka, byłbym ci o tem napisał przed rokiem i ostatecznie tylko śmierć nieboszczyka księcia Norberta powstrzymała mnie od tego...

— Cóż więc?...

— Nic... Zrobiłem swoje, reszta do ciebie należy... Jechać nie możesz...

Zapanowało chwilowe milczenie, przerwane nagle głośnym, przeraźliwym, przeciągłym, przez księżną wydanym okrzykiem:

— Uuna!...

Chwyciła się oburącz za pierś, zbladła błądząco śmiertelną, oczy w słup poszły, przechyliła się i zdrewniała.

Podkomorzy głową wstrząsnął, zadzwonił, służącym cudenie powierzył, rachunki zabrał i odjechał.

W ten sposób zakończył się rok żałoby, rozpoczął się zaś rok irytacji, znajdującej wyraz swój w długich pomiędzy księżną a podkomorzyną rozmowach, pełnych projektów do urzeczywistnienia niepodobnych i rekryminacji, odsadzających podkomorzego od czci i wiary, jako małżonka i ojca. Upływały dnie i tygodnie. Podkomorzyna i księżna wiedziały tylko, że tak pozostać nie może — że pieniądze znaleźć muszą — że jest to niepodobieństwo absolutne, ażeby się księżna w Krasilowcach zagrzebać miała. Księżna rzuciła się z zapalem do modlitwy; dała do kościoła osobno, do kaplicy zamkowej osobno wota kosztowne; całą żałobną garderobę swoją ofiarowała na opony, do osłaniania ścian świątyni pańskiej w czasie nabożeństw za dusze zmarłych, prosiła, błagała — o nawrócenie podkomorzego — o cud.

Błagała — ubłagała.

Cud stał się, pod postacią listu pana Karola do rodziców wystosowanego, po otrzymaniu którego podkomorzyna wyprawiła natychmiast Kaepa do Krasilowiec, z nakazem, ażeby prosił księżnej pani o przyjazd niezwłoczny... dla wielkiej nowiny.

— Cóż się tam stało?...

— Jasna pani list z Paryża otrzymała, i gdy go odczytała, krzyknęła w uradowaniu wielkiem... uklękła przed obrazem i głośno dziękowała Matce Siedmiu Bolesci...

— Cóżby to być mogło!... A papa?... cóż papa?...

— Jasny pan w domu nie był, kiedy list przyszedł... Ja-

sna pani kazała mi, nie tracąc czasu ani jednej minutki, prosić jaśnie oświeconej księżnej pani o przyjazd jak najspieszniejszy...

W godzinę później księżna już w Ohrebyszczach była.

Podkomorzyna, we wzruszeniu gorączkowym, chodziła po salonie wzdłuż i wszerz, trzymając w ręku list otworzony i wymachując nim niekiedy. Gdy córkę wchodzącą ujrzała, pobiegła ku niej i mówiąc poczęła tonem, deklamację zawierającym:

— Teraz dopiero wychodzą na jaw w pełni całej owoce ofiar i poświęceń moich... Widzę je już... wychodzą...

— Cóż się stało, mamó?... — przerwała księżna.

— Matki ze mnie wzór brać powinny... Nie powiem już, jak mówiłam dotychczas: nie mam sobie do wyrzucenia nic... Powiem: Zasłużoną jestem... i dzieci moje zadłużyły się u mnie wdzięcznością...

— Uznaję to mamó... Ale... coż pisze Karol?...

— Co pisze?... a!... — podchwyciła podkomorzyna, podnosząc list do ocz własnych. — Co pisze?... Donna Marja Ludwika Emilia da Ruiz da Mendoz da Cordoba. księżniczka brazylijska... posagu franków milionów czterdzieści... Czy znasz ją? Musisz ją znać...

— Donna Marja Ludwika Aniela?... — zaczęła księżna, jak gdyby chcąc sobie coś przypomnieć.

— Nie Aniela... — poprawiła podkomorzyna, zaglądając do listu — ale Donna Marja Ludwika Emilia da Ruiz da Mendoz da Cordoba... księżniczka brazylijska... Musisz ją znać przecie?...

— Może i znam... A może i nie znam... nie... nie znam... — odpowiedziała księżna z namysłem.

— Niepodobieństwo!... Czterdzieści milionów franków!...

— Niech mama nie zapomina, że dobiega już półtora roku od czasu, jak Paryż opuściłam... Co tam zmian zajść musiało!...

— To prawda...

— Ależ o co to chodzi?... bo ja o niczem jeszcze nie wiem...

— Czytaj...

Podkomorzyna podała list córce, która, przebiegając go oczami, wykrzykiwała co chwila: a!... o!... Skończyła i rzekła w uniesieniu:

— Muszę tedy spieszyc, lecieć do Paryża!...

— Oczywiście... — odrzekła matka.

— Cóż papa na to?...

— O niczem jeszcze nie wie...

— Trzebaż mu siurpryzę urządzić... Niech mama kochana pozwoli, ja to zrobię... Schowajmy list; jak papa wejdzie, rozmowę z nim zacznę...

Podkomorzy wszedł niebawem. Księżna wnet go zaczęła:

— Papa — rzekła — chciał mi niegdyś rachunki jakieś pokazywać... Ja zaś teraz będę papy prosiła, żeby mi raczył rachunek zrobić... Czterdzieści milionów franków, ile to uczyni złotych polskich?...

— Monetą brzęczącą?...

— Ach brzęczącą jak najmocniej...

— Rachunek łatwy... Frank, groszy pięćdziesiąt... Cztery franki, rubel srebrny... Czterdzieści milionów franków, dziesięć milionów rubli... A zatem, ponieważ rubel ma sześć złotych i groszy dwadzieścia, będziemy mieli złotych polskich sześćdziesiąt sześć milionów, sześćset sześćdziesiąt sześć i groszy dwadzieścia...

— Zostawmy groszy dwadzieścia, a nawet i wszystkie szóstki niżej milionów. Jakieby papa kochany przeznaczenie sześćdziesięciu sześciu milionom złotych polskich nadać pragnął?...

— Gdyby mojami były?...

— Nie... Gdyby były... ot... tak... w zamku zaczarowanym do wzięcia...

— Za cyrografem na duszę?... — zapytał podkomorzy, tonem żartu gorzkiego.

— A nie!... Za cyrografem, ale nie na duszę, a na serce...

— Moje serce na lichaby się nie przydało... zwiędło... Moja pani i ty nie macie serca do rozporządzenia.. zacyrografowane... Jeden Karol chyba...

— Trafia papa kochany!... — zawołała księżna wesoło.

— Nie wiem co, ani w co...

— Papa nie byłby przeciwko temu, żeby Karol serce zacyrografował i sześćdziesiąt sześć milionów wziął?...

— Hm... — mruknął podkomorzy i ramionami ścisnął.

— Proszę czytać...

Księżna wręczyła ojcu list. Podkomorzy okulary włożył i list z uwagą od początku do końca przeczytał. W czasie czytania po twarzy jego przesuwaly się odbłaski uczuć różnych. Czoło raz rozpogadzał, znów marszczył, policzki ruszały się drga-

niem konwulsyjnym. Skończywszy czytanie, list złożył, westchnął i córce go podał.

Podkomorzyna patrzyła na męża pilnie i uważnie, a z niejaką iskrzystością w oczach.

Księżna zapytała:

— Cóż papa kochany na to?...

— Chwała Bogu... Byłoby doskonale, gdyby na dnie tego nie leżało wezwanie o pieniądze, których ja dać nie mogę...

Na to padły dwa okrzyki oburzenia, jeden z ust podkomorzyny, drugi z ust księżny i zabrzmiało razem:

— Marcinie!... Papo!...

Nastąpiła chwila milczenia, które przerwała podkomorzyna...

— Nie rozumiem... Gdyby ktoś z boku to słyszał, wiedząc o co chodzi, pomyślałby, żeś jest wrogiem syna własnego... Zgubisz go, jeśli mu usuniesz ręki w chwili, kiedy największej potrzeba forsy!... Żeby coś podobnego odpowiedzieć, potrzeba, doprawdy, być ojcem bez wnętrzości!...

Podkomorzy głowę opuścił.

— Potrzeba Boga w sercu nie mieć!...

— Nie mogę... — westchnął podkomorzy.

— Potrzeba wstydu, czoła nie posiadać w obec mnie, com tyle dla dzieci złożyła poświęcenia, com wszystkie spełniła ofiary!...

— Spełni więc jeszcze jedną... — odezwał się podkomorzy, głosem udawanego spokoju, głowę podnosząc.

— Jaką?... — zapytała podkomorzyna tonem zdumienia najwyższego.

— Pozwól posłać Karolowi z posagu twego...

— Broń Boże!... — krzyknęła podkomorzyna, ręce podnosząc. — Broń Boże!... To fundusz święty i nietykalny!... Ach! (usta jej i oczy zaśmiały się wyrazem ironii)... Przychodzi mi niedługo dzień urodzenia własnego przeklinać... Proszę!... to na to ja wyszłam za niego, na to się dzieciom jego na służebnicę oddałam, na to życie całe jedną długą ofiarą żyłam, ażeby mi on, na starość, propozycję taką w oczy cisnął?... To niegodnie!... to haniebnie!...

Podkomorzy chciał wstać. Podkomorzyna przed nim stanęła.

— Cóż!... — zawołała. — Cóż?... Chcesz albo mnie ogo-

łocić ze świętej po świętej pamięci rodzicach moich pozostałości, albo Karola zgubić?...

Podkomorzy wstał.

— Cóż?...

— Pozwól mi odejść...

— Dokąd?... po co?... Czy po to, żeby nie słyszeć głosu matki, broniącej sprawy dziecka własnego?...

— Po to że-eby... dla księżnej i dla Karola pieniądze przygotować... — westchnął. — Ha! niech się dzieje wola Boża...

Podkomorzyna dostała drżenia spazmatycznego.

Księżna ostatnie wyrazy ojcowskie okrzykiem radości i klasaniem w dłonie przyjęła. Rzuciła się ojcu na szyję, w twarz go całowała i pod brodę głaskała, przemawiając do niego słodkim głosem:

— Papo!... papunieczku!... papusiu!...

X.

Była więc racja w gadaniu, przypisującej zgryzotom śmierć podkomorzego. Zgryzoty oddziałują na organizm ludzki bardzo silnie, podkopują zdrowie i śmierć sprowadzają. Słyszeliśmy to od lekarzy, do których świadectwa odwołujemy się w tym względzie, odsuwając w ten sposób odpowiedzialność za gadanie, tak od siebie, jako też od licznych sąsiadów, przyjaciół i znajomych nieboszczyka. To pewna, że zgryzoty były rzeczywiste. Podkomorzy tej nawet nie doznał pociechy, żeby umierać, patrząc na dzieci własne. Ani księżnej, ani pana Karola nie było przy jego zgonie. Z wieczora przyjął sakramenta z rąk księdza Celowicza; nazajutrz oczy jego nie oglądały już światła dziennego. Z rodziny najbliższej towarzyszyli mu na miejsce wiecznego spoczynku: żona i zięć.

O! bo książę Gotfryd nie dał się już do Paryża namówić.

Księżna pojechała sama i powróciła z bratem dla nowej żaloby, która dotykała zarówno ją, jak pana Karola.

Powrócili dla żaloby — zapewne. Okoliczności się w taki zbiegły sposób, że racja ta wysuwała się naprzód i dominująca

zajmowała stanowisko. W powrocie ich jednak tkwiła tajemnica jakaś, pozostająca pomiędzy nimi dwojgiem. Przybyli niby rozbitki, na brzeg ojczysty wyrzucone, księżna do Krasinowiec, pan Karol do Ohrebyszczy i nie rwali się z powrotem do Paryża. Matko przygarnęła ich do łona — zwyczajnie jak matka. Pierwszych dni kilka upłynęło bardzo dobrze; zapełniły je wynurzania wzajemne, po których nastąpiły konferencje, dotyczące się interesów. Pan Karol zabrał się do rozpatrzenia się w takowych.

Rozpatrywał się.

Upłynęło tygodni parę.

— Hm... — rzekł razu pewnego do matki. — Wyznać potrzeba, że papa nieboszczyk pogmatwał interesa znakomicie.. Majątek zadłużony... Zaledwie zdołałem uporządkować papiery jako tako...

— I źle?... całkowicie źle?...

— To jest... nie dobrze.. Krasinowce *flambés*... — rzekł z wyrazistym gestem — ale w Ohrebyszczy można się jeszcze trzymać... Wezmę no się ja do interesów energicznie...

— Nieboszczyk i ja liczyliśmy na ożenienie twoje, najprzód z donną Marią Ludwiką Anielą da Ruiz da Mendoz da Cordoba, księżniczką brazylijską, następnie...

— Hm... — przerwał pan Karol. Mamie się zdaje, że zysk jaki... jakikolwiek, dobre ożenienie naprzykład... osiągnąć się da bez nakładu odpowiedniego... Nakład jest to oliwa w lampie.. Jak lampa gaśnie, gdy oliwy zbraknie, tak zysk przepada, gdy nakładu nie stanie... Zagranicą nie to co u nas... Byłem już blisko.. Sięgałem już po miliony i...

Zakończył gestem.

— A gdybyś ty tu oglądać się zechciał?... — zapytała matka.

— I ja o tem myślę, mamó kochana...

— O! mój Karolu...

— Jest to sposób najpewniejszy wyjścia z interesów... Wezmę sobie jakąś srokę z posagiem doniosłym, popłacę długi papine i będzie dobrze...

— Nie uwierzysz, jak mi tem serca dodajesz...

— *Qu'à cela ne tienne*, mamó kochana.. Mnie się zdaje, że nie zasłużyłem niczem na postradanie serca maminego.

— A czyż ja to mówię!... Nie zrozumiałeś mnie... Powiedzieć chciałam, że mi otuchy dodajesz...

— Zajmę się teraz serjo... Trzeba fortunę odreperować i poważnie w obywatelstwie stanąć... *Noblesse oblige*... Ciekawym, kiedy to jarmark w Bałcie?...

— Toś nie zapomniał o jarmarkach naszych?...

— Mógłbym zapomnieć!... Przypomniałaby mi krew Gustawa!...

— *A propos*... — podchwyciła podkomorzyna. — Gustaw żyje...

— *Tiens*?... Wylizał się?...

— Żyje... Widziałam go zdaleka... Zajmuje się pełnomocnictwami jakimiś, jakimiś kupnami, sprzedażami... mieszka w Odessie... zyskał wziętość niemałą... Słyszałam o kilku, co z nim interesa mieli...

— Jeżelibym się z nim spotkał, to, *de bonne guerre*, wypadłoby mi poprawić...

— Zlituj się, Karolu!... — złożyła podkomorzyna dłonie.

— Niech mama będzie spokojna... Zartowałem... Ustatkowałem się przecie, kiedy myślę o ożenieniu i interesach... Niech on sobie żyje... Jak wówczas nie miałem najmniejszego w tem interesu, ażeby go ze świata zgładzać, tak i dziś nie mam... A pani Olecka?...

— Gdybyś był nie odjeżdżał, a Olecki za każdym co mu się narodziło dzieckiem na kuma cię prosił, tobyś był ojcem chrzestnym razy siedm...

— Winszuję!... O to mi po szlachecku!...

Dobre intencje, jakie pan Karol matce objawił, dobre rokowały następstwa. Interesa ohrebyskie znajdowały się w tym stanie, że ratunek majątku nie przedstawiał się bynajmniej jako niemożliwość. Długi wprawdzie wyrównywały prawie wartości, ale procenta, jakie ziemia dawała, sformować mogły kapitał amortyzacyjny, przy pomocy którego oczyszczenie majątku nastąpićby mogło w przeciągu lat piętnastu, dwudziestu, bez wysiłków najmniejszych, tylko sposobem gospodarstwa rządowego. Majątki szlacheckie w epoce owej — nie tak dawnej, żebyśmy jej za spółośną uważać nie mieli — były bardzo pocziwe. Kto chciał fortunę zrobić, nie potrzebował jak tylko powierzyć się ziemi. Fortuna robiła się sama; grosz do grosza przybywał,

i gromadził się kapitał, który się napraszał do ziemi. Rządność stanowiła całą w gospodarstwie sztukę. Na niej opierało się i od niej zależało wszystko, a była ona tak dla obywatelstwa względna, że zostawiała mu cały do opamiętania się czas. Majątki czekały na rządność lata całe. Obdłużone, zaszargane, trzymały się, pełne sił żywotnych, których jeno nadużywać nie należało. Upadek większej części fortun, większych i mniejszych, jest dziełem nierządu, winą własną obywateli.

Ohrebyszcze, obdłużone prawie w zupełności, a nawet i Krasilowce, obdłużone zupełnie, można było dźwignąć jeszcze nie używając do tego sposobów żadnych innych tylko rządności, która czekała. Nic nie nagliło. Niedogodność cała na tem polegała, że kredyt podupadł i odłużanie nad wartość wielce się utrudniło, pomimo, że niemożliwością absolutną nie było.

Dobre pana Karola intencje, dobre — jak rzekliśmy wyżej — rokowały następstwa. Należało tylko z intencji tych rzecz jedną wyrzucić, a to: ratowanie się za pomocą ożenienia. Cóż jednak! Czy to wiele znajdowało się domów takich, w których to dziwaczne panowało przekonanie, że synowie nie na to jedynie na świat przychodzą, ażeby dobrą robili partję? Wiele to było takich ojców dziwaków i takich matek dziwaczek, coby synom inny cel życia wytykali? Dobra zaś partja — co to zna czyło? Może nie posag?

Posażna panna stanowiła pewien rodzaj premii, podobnej do tej, jaką w czasie igrzysk ludowych zawieszają na szczycie masztu lojem wysmarowanego. Drapia się po nią ulicznicy, nosy sobie rozbijając, aż jeden, w lędźwiach najsilniejszy, na szczyt się dostaje i premię chwyta. Gawrony brawo mu dają.

W okolicy Ohrebyszcza znajdowała się premia tego rodzaju, pod postacią panny na wydaniu, bardzo bogatej — posag jej obliczano na milionów kilka — i bardzo brzydkiej, dalekiej jakiejś podkomorzyny krewnej. Zdobiły ją, śliczny majątek ziemski i kapitały w gotówce, nie licząc jeszcze czegoś, o czem później powiemy. Podkomorzynie przyszła ona na myśl, jak tylko pan Karol z intencjami swojemi wystąpił; nie mu jednak nie wspominała, bojąc się go zrazić, ofiarując mu od razu na towarzyszkę dozoną kobietę garbatą. W dni atoli kilka później, w obecności księżnej, odezwała się od niechcenia:

— Mam ochotę do Dębskich z wizytą pojechać...

Pan Karol spojrział matce bystro w oczy i roześmiał się:

— Cha, cha... Rozumiem mamę kochaną...

— Cóż?... Cóż rozumiesz?...

— Mamę wizyta ma znaczenie preliminarjów do punktów przedugodnych...

— Zkądże domysł taki?...

— Ztąd, żeśmy się dotychczas od Dębskich zdaleka trzymali, pod pretekstem odległości o mil cztery... To więc raptowne usunięcie pretekstu daje mi do myślenia...

— Dębski był na ojca twego pogrzebie...

— To znaczy, że i mnie wypada złożyć mu wizytę z podziękowaniem...

— Wypadałoby... — odparła podkomorzyna z uśmiechem.

— I być bardzo grzecznym dla garbatej kuzyneczki?...

— *Quelle idée!*... — zawołała księżna. — Wszak to potwór!... Czyżby Karol, mamó?...

— Karol — podchwycił pan Karol sam, przerywając siostrze — trzyma się reguł tej etykiety, która piękność panny na wydaniu mierzy posagiem.

— Miałabyś odwagę pojąć kuzyneczkę brzydką jak grzech śmiertelny?...

— Najprzód... — odparł podkomorzyc sentencjonalnie — uważam za przesadę mniemanie, jakoby grzech śmiertelny być miał brzydkim... Powtóre, co się odwagi tyczy, mam nietylko odwagę, ale nawet wielką ochotę... ochotę niepowściągniętą... którą uczułem w sobie nagle i niespodzianie, jak tylko mama nazwisko Dębskich wymieniła...

— O, mój Karolu!... — odezwała się podkomorzyna, ręce do syna wyciągając. — Zachwyca mnie w tobie ta gotowość do ofiary...

— Niechże mama tylko ofiarą tego nie nazywa!... — za protestował pan Karol.

— Jest to ofiara, jak sobie chcesz... Dość porównać Ewu-nię i ciebie... Ty w sile młodości, piękny, świetnie wychowany, gruntownie wykształcony...

— Zgrany, jak skrzypce... — wtrącił pan Karol.

— Ograny, jak instrument wartości wysokiej... — poprawiła matka. — Ona zaś... istota upośledzona...

— Czy i na umyśle?.. — zapytał syn nagle

— Tego nie wiem... — odpowiedziała podkomorzyna. — Słyszałam o wychowaniu starannem, jakie jej jakoby dawano, nie znam jednak bliższych wychowania tego szczegółów... Ojciec woził ją za granicę... Dębski, jak wiesz, uchodzi za uczonego... żeby więc co za granicą skorzystać mogła, nie przypuszczam...

— Byłoby to nie źle, gdyby kuzyneczka upośledzoną była na ciele i na umyśle... — zaczął podkomorzyc — w takim bowiem razie możnaby, w rzeczy samej, staraniu memu nadać pozór ofiary, coby staranie ogromnie ułatwiło... Wystąpiłbym, jako naturalny opiekun, poświęcający się dla nieszczęśliwej, posagiem utrapionej.. Byłoby to *piquant*...

— Zobaczmy... — odrzekła podkomorzyna. — Jedziemy więc?..

— Jedziemy, ramię kochana!..

— Kiedy?..

— Kiedy się mamie podoba... dziś... jutro... pojutrze... mnie to wszystko jedno... Nie zważam na dnie feralne, przekonałam się nawet, że w dniu najferalniejszych miewałem powodzenie najlepsze, zwłaszcza z płcią piękną...

— Nie czyniże płci pięknej krzywdy... — wtrąciła księżna żartem.

— Jakiej?..

— Zaliczając do niej Ewunię Dębską..

— Zawsze ma z nią ona styczność niejaka... Nie mogę przynajmniej inaczej brać jej ja, zamierzający o jej rękę zabiegi czynić... Muszę ją stawiać na równi z najpiękniejszymi, i dlatego gotów jestem w pierwszą do niej wizytą wybrać się w dzień feralny... w poniedziałek... Przystaje mama na to?..

— Nie... jedźmy raczej we wtorek...

— Dobrze... Jedziemy tedy we wtorek... Karetą, sześć koni... Czy ja z mamą w karecie... czy też osobno, powozem odkrytym, piątką?..

— Mnie się zdaje.. — odparła podkomorzyna — jedźmy razem, ty ze mną w jednej karecie... Znam Dębskiego... Ma on swoje niektóre dziwaczne poglądy... Rozumny człowiek...

Pan Erazm Dębski, był w rzeczy samej, rzadkim egzemplarzem szlachcica, posiadającego i rozum i naukę. Uniknął w swoim rodzaju. Połączenie rozumu z nauką uczyniło go czło-

wiekiem postępu, konserwatystą wolnym od owego ćwieka we łbie, dzięki któremu konserwatyzm w ogólności polega na tem głównie, ażeby ludzie, pod sztandarem onego się szykujący, zatykali sobie uszy palcami i zamykali oczy. Dla takich wszystko stoi, najbardziej zaś nauka, posiadająca własność popychania wszystkiego naprzód. Dlatego też konserwatyści uczeni są najzawziętsi, pod względem zatykania uszów i zamykania oczów. Nie widzieć ni słyszeć nie chcą, krzycząc jeno, że nie rozumieją... nie rozumieją! Uczonymi są, a nie rozumieją! Wywiera to wpływ niemały na ogół, który uczonym nie będąc, obowiązany się niejako czuje także nie rozumieć rzeczy często jasnych jako słońce. Biedny ten ogół! Gdyby nie konserwatyzm z ćwiekiem we łbie, o ileż to łatwiej byłoby ideom postępowym rozlewać się i umyśle zapładniać!

Żałujemy mocno, że nie mogąc przerywać nici powieściowej, znajdujemy się przez to w niemożności wykazania konserwatyzmu bez ćwieka we łbie — konserwatyzmu postępowego, to jest takiego, który rozumie potrzeby, pojmuje hasła, wnika w przyczyny, bierze na rozwagę, nie przywiązuje się do wyrazów, szuka rzeczy i płynie z wodą a stanowi, pewien rodzaj modyfikatora przeciwko powodziom.

Pod sztandarem konserwatyzmu tego siedł (nie stał) pan Erazm Dębski, człowiek bardzo zamożny, bez ćwieka, to prawda, ale za to z małym zajączkiem w głowie. Zajączek zależał na tem, że się mało udzielał. W sąsiedztwie nie bywał prawie. Udziału w życiu obywatelskim nie brał. Nie zamykając się, żył jednak w odosobnieniu, pochodzącem ztąd głównie, że nie harmonizował z życiem, manifestującem się dwojako: za pomocą wierzgania do promieni pokazujących się w ciemnościach i za pomocą bryzgania szumowinami. Nie podobało się mu to i nie brał w tem udziału, przekładając... chociażby samotność nawet. Miał zamiłowanie w pracy — i to właśnie stanowiło główną zajączka jego istotę, cechującą go piętnem dziwaka, półwarjata, „uczonego durnia“, ekscentryka etc. etc. Szlachcic, pan — „urodzony“ przez wielkie U — i rozmiłowany w pracy! Miał zajączka.

Dzięki zajączkowi temu, w rozległych włościach jego panowała rządność jak największa, której włościanie zawdzięczały dobrobyt racjonalny, to jest dobrobyt, będący dziełem ichże

samych, posiadali bowiem zupełny samorząd gminy, z sądem, ze szkołami, z kasą oszczędności, z bankiem zaliczkowym, w doprowadzeniu do czego pan Erazm pełnił funkcję podniety. Chłopi odrabiali pańszczyznę — powieść nasza do pańszczyznianych odnosi się czasów — bez szykan jednak i nadużyć, z powodu, że władza nadzorcza i władza wykonawcza spoczywały w ich rękach, stanowiąc łącznik pomiędzy administracją majątku a robocizną, braną w znaczeniu kapitału, mogącego jeno funkcjonować dobrze w warunkach odpowiednich swobody, samoistności i światła. Na tem polegała rządność. Gospodarstwo szło jak zegarek. Chłopi wbijali się w zamożność; dochody właściciela dóbr rosły jak na drożdżach — sąsiedzi pomawiali pana Erazma o zajęczka w głowie, którą on meblował ustawicznie wiadomościami, zbieranymi na rozlicznych polach umysłowej pracy ludzkiej. W tym względzie był on nieco encyklopedystą. Starał się wiedzieć o wszystkim. Utrzymywał pisma periodyczne różne i przeglądy naukowe prawie wszystkie, skupywał dzieła i śledził pilnie za ogólnym pochodem postępu, który uznawał za prawo najwyższe i za potrzebę najniezbędniejszą ludzkości.

Nie dziw przeto, że się z sąsiadami porozumieć nie mógł.

Posadzano go nawet po trosze o farmazonizm, a to dla tego, że przesądów, nie mających racji większej nad tę, że je tradycja przekazała, dla tak zwanej przykładowości nawet, nie uznawał i nie praktykował, stawiać wyżej nad tradycję swobodę sumienia.

Słowem, był to człowiek postępowy, w znaczeniu całem i pod względem każdym, nie wyjmując względu na córkę jedynaczkę, co do której dziwactwo jego występowało w całym blasku — gdy ta bowiem na świat przyszła, powiedział:

— Ponieważ będzie miała posag wielki, potrzeba przeto, żeby posiadała rozumu jak najwięcej...

Co powiedział, tego dotrzymał.

Trzymał do Ewuni ochmistrzynię, co nad nią czuwała, ułożył program jej edukacji i dobierał dla niej nauczycieli jak najlepszych i jak najbardziej serjo. Mógł sobie na ten zbytek pozwolić i musiał się do środka tego uciec z dwóch powodów: raz, był bogatym, powtóre ani się śniło komu o zakładach publicznych, w którychby kobiecie wolno było umysł wiedzą zбоgacać. Zakłady dla kobiet miały za zadanie wiedzę ograniczać,

zmieniając ją w służbę uniżoną fantazji, kulawą, ślepą i leniwą, która wlokła się za panią iskrzystą czas jakiś i w końcu ją opuszczała — w końcu, to jest wówczas właśnie, kiedy najprzychodniejszą była, kiedy elewka pensji świeckiej lub klasztornej obywatelką i matką zostawała. Dlatego więc, żeby jedynaczki swojej na coś podobnego nie narazić, otoczył ją pan Erazm nauczycielami, którzy ją nauczali serjo, według programu, i gdy program wykonali, obwoził ją po kraju własnym i za granicą, gdzie wraz z ojcem uczęszczała na wykłady profesorów znakomitych, zwiedzała biblioteki, zbiory, muzea, galerje, pamiątki dziejowe sztuki, zakłady, teatru, piękności natury, słowem wszystko, co się jeno do zбоgacenia umysłu przyczynić mogło. O tem, że ułomna, pan Erazm, zdawało się, jakby nie wiedział wcale. Nie obchodziło go to. Ewunia zaś sama, do dwudziestego pierwszego roku życia swego, miała umysł tak zajęty, że do myślenia o garbie swoim czasu jej nie pozostawało. Co tam garb!.. w porównaniu z temi zadaniami, które jej nauki nastroczały.

Powróciła do domu już od roku, i zostawiona samej sobie, porządkowała w głowie materiały, przygotowując się do zużytkowania takowych na miejscu, w zakresie obywatelskim pani wielkiej fortuny.

Sam ojciec nasunął jej na myśl zamążpójście.

— Jeżeli się kto trafi... — odrzekła.

— Czemużby się trafić nie miał?..

— Ja garbata...

Pan Erazm ręką machnął, jakby powiedzieć chciał. to rzecz najmniejsza — i odrzekł:

— Zgłoszą się po fortunę twoją, trzeba więc żebyś była ostrożną...

W kilka dni później przed dwór w Dębsku zajechała karetą, wioząca podkomorzynę i podkomorzycę.

Kuzynowie — panna Ewa i pan Karol — nie znali się wcale. Nie znali się i pan Erazm z panem Karolem. Matka przedstawiła syna, a zarazem wyraziła, że powodem najważniejszym, jaki go sprowadza, jest złożenie panu Erazmowi podziękowania za obecność jego na pogrzebie podkomorzego.

— Dowiedziawszy się o tem, Karol chciał jechać sam do pana, kochany panie Erazmie, lecz i ja nie mogłam po-

wstrzymać się od gorącej chęci towarzyszenia mu. Macie więc nas oboje...

— Co mi wielką sprawia przyjemność... — podchwycił pan Erazm. — Mało kto łaskaw na nas... Dwór Dębski otacza interdikt niby, pomimo, że tak dla siebie, jak zwłaszcza przez wzgląd na Ewunię, bardzo rad jestem, gdy nas kto odwiedzi...

Pierwsze wrażenie wiele stanowi, zależy zaś całkowicie od przedstawienia się. Pod tym względem, pan Karol nabył wprawy wielkiej, która przy odznaczających powierzchowność jego zaletach, zapewniała mu powodzenie na pierwszym wstępie. Męskiej postawy, bardzo przystojny, śmiały, pewny siebie, nie podobać się nie mógł. Kuzynka pogarnęła się do niego.

— O jakżem rada!.. Namówię ojca, żebyśmy jak najprędzej rewizytowali kuzynka...

— Kuzyneczka sprawi tem mnie i mamie mojej radość niewysłowioną...

— Jakże się to stało, żeśmy się dotychczas nie znali?...

— Zbieg okoliczności spotęgowany odległością... Cztery mile ogromne...

— A przytem rzecz ważna... brak czasu... Kuzynek zapewne był zajęty?..

— Po części... — odparł pan Karol. — Przebywałem czas jakiś za granicą...

— I ja za granicę jeździłam... — podchwyciła panna Dębska tonem, w którym czuć się dawała chęć pochwalenia się. — O, jeździłam... Gdzież też kuzynek bawił najdłużej?..

— W Paryżu...

— I ja w Paryżu... Co też to za miasto, co do resursów niewyczerpane!.. Ileż się tam nauczyć można!.. Jak do wszystkiego przystęp ułatwiony!..

— Tak, jedyne w swoim rodzaju miasto... Byłem jednak we Włoszech, w Szwajcarji i w Niemczech...

— W Niemczech?... na którym uniwersytecie?..

— Na... hm... Na paru, kuzyneczko.. Co za dobre niemieckie... uniwersytety!..

Dla pana Karola kwestja ta była wilkiem żelaznym. Uniwersytety niemieckie tak mało go obchodziły, że słyszał wprawdzie, iż istnieją, ale ani by potrafił wymienić choć jedno z miast, w których się znajdują zakłady tego rodzaju, ani też zdefinio-

wać znaczenie i zadanie uniwersytetu. Z zakładów naukowych znał bliżej nieco Akademię nauk w Paryżu, z powodu, że razy parę obecnym był na posiedzeniach, na których bywał świat elegancki. Zdarza się to, gdy do grona czterdziestu wstępuje członek nowy, posiadający wziętość niewyłącznie naukową. Prędko więc, oddawszy pochwałę uniwersytetom niemieckim, zwrócił rozmowę na akadamię, biorąc za punkt wychodni posiedzenie, na którym był obecny, i męża uczonego, który był przyjmowanym. Starał się utrzymać tę treść jak najdłużej. Kuzynka z zajęciem słuchała opowiadania jego, przeplatane uwagami dowcipnemi. Wizyta pierwsza skończyła się.

Rewizyta Dębskiego z córką nastąpiła nieprędko, tak, że podkomorzyna tracić już poczyniała nadzieję, ażeby co z tego było, pomimo, że winszowała synowi wrażenia, jakie na kuzynkę wywarł. Pomimo wrażenia tego, rok prawie upłynął bez znaku życia ze strony Dębska. Pan Karol tymczasem interesa prowadził, zostawiając wszystko *in statu quo* i poszukując rozrywek, zdolnych urozmaicić monotoność żywota, oddanego próżniactwu całkowicie. Rozrywki tego rodzaju znajdują się nie gdzieindziej, jeno na jarmarkach i kontraktach. Pan Karol, paryżanin, cięty w języku, zuchwały w poniterce, śmiały w wysuwaniu się na przód, od razu zajął stanowisko koryfeusza wśród młodzi obywatelskiej, znalazłszy w koryfeuszostwie tem jeden z kanałów odpływowych do puszczenia resztek fortuny.

Państwo Dębscy (ojciec i córka) nie zastali pana Karola w Ohrebyszczach. Zastali za to księżnę, która z panną Ewą znajomość zabrała — znajomość dobrą, panna Ewa bowiem, znając sposób wychowania kobiecego, nie wyciągała kuzynki na rozmowy, przekraczające zakres pospolitych błahostek. Opera i parę poglądów na życie dostarczyły treści obfitej, tembardziej, że księżna, w zapatrywaniach się swoich, okazywała pewną zgryźliwość, zaprawną sarkazmem bajronowskim. Panna Ewa znajdowała to niezupełnie sprawiedliwem. Broniła ludzi i świata, konkludując w duchu, że kuzynka doznać na sobie musiała ciosów owych, za które obwiniamy innych, podczas gdy je sprowadzamy sami i obwiniać powinniśmy siebie.

— Nieszczęśliwa... — powiadała o niej ojcu za powrotem do Dębska.

— Ofiara próżności... — była odpowiedź pana Erazma. Chora... Chorobę zaszczepiła jej matka...

— A pan Karol?... — zapytała garbata z akcentem spółczucia.

— Czy czujesz do niego pociąg jaki?...

— Nie... On dla mnie zanadto piękny...

— I zarazem zanadto brzydki, dzięki skrzywionemu wychowaniu... I on chory...

— Czy nie do uleczenia?...

— Nie wiem... — odparł pan Erazm. — Spróbuj, lecz go... Jeżeli ci się kuracja uda, możesz z nim zespolić się węzłem małżeńskim, którego zawiązanie od ciebie zależy...

— Zkądże to ojciec wnioskuje?...

— Z niezwyklej czułości dla mnie i dla ciebie podkomorzyny... Może się jednak mylę...

Panna Ewa milczała przez chwilę. Po chwili odezwała się:

— Szkoda ich jednak... Pan Karol i księżna... tacy piękni oboje!...

— Piękni... — odparł pan Erazm. — Podobni do waz etruskich, w którychby trzymano nie ambrosję a pomyje...

— Pomyje wylać można, wazy obmyć czysto i ambrosją je napelnić... — podchwyciła garbata panna Ewa.

— Spróbuj... tylko, w rodzaju ostrzeżenia, mówię ci: nie ryzykuj się...

— Co do tego, bądź ojciec spokojny... Mam serce opukle-rzone, wiem, że kochanie, niepoprzedzone przez szanowanie, jest wydmuchem piankowym, smakującym tym jeno, co mają smak, albo jeszcze niewyrobiony, albo już zepsuty...

Próba ciągnęła się długo, pomimo, że pan Karol bardzo prędko do Dębska zawitał, przybывая z przeprosinami za to, że w domu nie był, gdy pan Erazm i panna Ewa do Ohrebyszcza przyjeżdżali, i z wymówkami, za to, że pan Erazm i panna Ewa tak rewizytę zwlekali. W obchodzeniu się panny Ewy z panem Karolem zaszła zmiana niejaka. Nie wrywała się już z zapytaniem naiwnem o uniwersytety niemieckie, jakby wiedziała, że kwestja ta obcą dla kuzynka była, ale postępowała tak, że zdawało się, jakby kołatała do głowy pana Karola, wo-lając: otwórz się! Z tego powodu panowało pomiędzy nimi nie-porozumienie ustawiczne. Ona kołatała do głowy, on pukał do

serca. Krzyżowali się więc i rozmijali. Panna Dębska wysuwała naprzód, niby na szachownicy, pierwiastki wiedzy, usiłując podkomorzycę pojmać na takowe i świat nowy przed nim otworzyć; podkomorzycę wysyłał z punktów różnych podjazdy sentymentalne, starając się podchwycić i uwikłać serce biednej ułomnej.

— *J'ai beau jeu...* — powiadał matce. — Nikt mi nie przeszkadza... Spółzawodnictwo nie istnieje... Rzecz cała w tem, że Ewunia lęka się uczucia, jakie w niej obudziłem, nie ufa miłości, którą jej ofiaruję, i potrzeba ją przekonywać... Gdyby ułomną nie była, poszłoby to piorunem... Ułomna, a przytem wychowana dziwacznie, trudną jest do wzięcia od razu...

— Widzę to, niestety... — zauważyła matka.

— I ja to widzę, ale nie zrażam się wcale. Posag jej tak uważam, jakby w mojej był kieszeni... Nudzi mnie tylko to, że ona do Sasa, ja do lasa... ile razy rzecz zaczynam w sposób taki, ażeby do deklaracji doprowadzić, tyle razy ona wprowadza materję o urokach nauki, rozkoszach wiedzy, bierze jakiś przykład i prawi *a dormir debout*... Co toby była za straszna żona, gdybym nie posiadał z góry prezerwatywy małżeńskiej!... Co ten Dębski myślał sobie, dając takie oryginalne córce wychowanie!...

— Zwyczajnie... dziwak...

— Proszę wyobrazić sobie, jak mnie Ewunia w czasie ostatniej mojej w Dębsku bytności bawiła!... Pokazywała mi sztuczki różne z magnetyzmem na przyrządach, znajdujących się w gabinecie pana Erazma... Istne kuglarstwo!... Pan Erazm, mówiąc nawiasem, pokazuje to chłopom i tłumaczy im bardzo serjo prawa fizyczne... Śmiech zbiera, patrząc na to!... Ewunia ma tem umysł zaprzątnięty, nie dziw przeto, że w sprawie miłosnej idzie z nią jak z kamienia... Ale... hm... pokora, powiadają, niebiosą prze-bija; ja zaś przebiję niebiosą cierpliwością... *Diantre!*... dokażę swego...

— Postanowienie twoje mocno mnie cieszy... — były słowa podkomorzyny — chociaż, prawdę wyznam, takie długie prowadzenie sprawy ożenienia wydaje się czemś nadzwyczajnem... Od kiedyż to, proszę ciebie?...

Podkomorzyna z synem obliczać poczęli i doliczyli się lat sześciu.

To znaczy, że panna Ewa Dębska, przez lat sześć próbowała nadaremnie z wazy etruskiej pomyje wylać.

To znaczy, z drugiej strony, że pan Karol przez lat sześć starał się nadaremnie uwikłać serce... „biednej ułomnej.“

Obrachunek lat zastanowił podkomorzycę.

Matka zaczęła mu wyliczać zmiany, jakie od czasu onego zaszły. Ten się ożenił i ten się ożenił, ta za mąż wyszła, ten umarł i ten umarł. W liczbie tych ostatnich wymieniła księdza Korskigo, a nie wymieniła podstolica, którzy razem prawie ze świata tego niepostrzeżenie zeszli w sposób zupełnie jednakowy. Dopaliła się oliwa — starość ich do grobu wtrąciła: ksiądz liczył sobie lat dziewięćdziesiąt kilka, podstolicę liczbę stracił, posądzano go o przeżycie stulecia. Owóż zejścia tego, podkomorzyna, wyliczając zmiany, zaszłe od czasu, jak pan Karol rozpoczął o Ewunię konkurować, nie wymieniła. Pan Karol omyłki tej nie sprostował. Wzruszył jeno ramionami i westchnął, mruknąwszy coś pod nosem sam do siebie.

Upłynęło tygodni kilka, w ciągu których wizyty pana Karola w Dębsku powtarzały się częściej jak zwykle.

Razu pewnego, powróciwszy od pana Erazma, wszedł żywo do salonu i rzucił matce zapytanie następujące:

— Czy wie mama kochana, kto mi w drogę wchodzi?...

— Kto?... nie wiem... — odparła podkomorzyna zmieszana.

— Złożyłbym się o dziesięć, o sto, o tysiąc, przeciwko jednemu, iżby mama nie odgadła... Jest to bowiem coś, co wszelkie przechodzi pojęcie...

— Któż taki?...

— Gustaw...

— Jezus, Marja, Józefie święty!... — krzyknęła podkomorzyna.

— Prawda, że przysmak?...

— Ależ, czy to podobne!... Cóż?... stara się?...

— Nie stara się...

— A więc?...

— Wygląda tak, jak gdyby kuzyneczka garbata zamierzała sama o pana Gustawa się starać...

— Któż ci to powiedział: pan Erazm czy ona?...

— Ona sama... Oświadczyłem się jej, formalnie, sztywnie, zginając kolano, wznosząc oczy, odwołując się do jej pięknej

duży, zaprzysięgając z góry szczerłość słów, czystość intencji, a ona mi na to, najprzód kazanie wypaliła o obowiązkach obywatelskich, następnie pod przenośnią harbuza dała, w końcu głosiłem flotowersowym oświadczyła, że do ściągnięcia za mąż wstrętu nie ma, ale nie zna jeszcze nikogo, komu by rękę swoją z ufnością oddała, z wyjątkiem jednego Gustawa...

— Ah, to kara boska!... — westchnęła podkomorzyna.

— Ha! miałem rację, domagając się pistoletów ciągnionych. To ten duda, Olecki, winien wszystkiemu... Sekundował mi, przystał na olstrowe, kalibrowe... no!... ot i mam teraz za swoje...

— Czyż rady już nie ma?...

— Jest, mamę kochana... Jest rada, nawet dwojaka: albo poprawić strzał, który, lat temu nie wiem ile, w Bałcie się nie udał...

Podkomorzyna gest wyrazisty protestacji zrobiła.

— Albo też — ciągnął podkomorzycę — do interwencji książęcej się odwołać, i za pomocą wskrzeszenia dawnych ogniów pana Gustawa skompromitować w oczach garbatej... To i książęceby rozerwało i mnieby potężnie wsparło, dając mi czas do wystudjowania i zapraktykowania pełnienia obowiązków obywatelskich wedle recepty panny Ewy... Ta rada ostatnia lepsza jest i pewniejsza, aniżeli pierwsza...

Podkomorzyna nic na to nie rzekła. Twarzą wydała niezdecydowanie i upadek na duchu.

— Nieprawdaż?... — zapytał pan Karol.

— Zapewne... — odparła z westchnieniem.

— Ale... — dodał syn. — Nie obejdzie się tu bez interwencji, bez ofiary i ze strony mamy kochanej...

— Moje dziecko! czyż ja kiedy od ofiar dla was, dla ciebie się uchylałam?... Gdyby się to na co przydać mogło, pozwoliłabym utoczyć sobie krwi z serca...

— Nie chodzi tu bynajmniej o krew, mamę kochana, a o pieniądze... o mizerną mamonę... Papa nieboszczyk zagmatwał interesa tak, że rozgmatwać nie sposób... Kredytorowie naciskają, Boruch procesem grozi i niechby jeno jedna struna pękła na tym instrumencie, który ja przez lat tyle nakręcam, *addio!* Ohrebyszcze... *addio!* nadzieje i widoki wszystkie... *addio!* gar-

bata kuzyneczka... Rzeczy tak stały, że cały los mój, cała przyszłość moja na włosku wisi...

Podkomorzyna usta ścięła i całego przedstawienia tego słuchała z miną poważną, a tak zimną, jakby na trybunale zasiadała w roli sędziego.

— Cała przyszłość moja, cały los mój — ciągnął podkomorzyc, powtarzając wyrazy powyższe, dla nadania im nacisku — zależy od mamy...

— Podkomorzyna na to nic.

— Cała przyszłość moja, cały los mój — powtórzył podkomorzyc po raz trzeci — zależy od tego, ażeby mama kochana tę ofiarę zrobiła i pozwoliła podjąć sumę posagową na spłacenie długów ważniejszych... Bez tego nie ma środka wyjścia z położenia krytycznego... Boruch grozi...

Podkomorzyna na to nic.

Pan Karol przedstawiał jeszcze i przekonywał, chodząc po pokoju i mówiąc z zapalem, odpowiednim ważności sprawy, nie zdołał jednak z ust matki ani jednego wyrazu odpowiedzi wydobyć. Prawił, wymownie bardzo, o własnym losie i własnej przyszłości, prawił o piękności ofiary, dowodził, że ulokowanie sumy posagowej na Ohrebyszczach nadaje jej pewność sto razy większą, aniżeli trzymanie jej na banku i zapewnia procenta donioślejsze — nie powiadając ani słówka o tem, że na rachunek sumy tej i on i księżna weksle już wystawiali, eskontując z góry spadek, mający się im dostać po śmierci podkomorzyny.

Podkomorzyna długo milczała. Wreszcie i minę zmieniła i głos zabrała, odzywając się w sposób następujący:

— Ofiarę, jakiej po mnie wymagasz, uczyniłabym chętnie, gdybym miała zamiar w Ohrebyszczach pozostawać...

— Jakto!?! — zawołał pan Karol zdumiony. — Jakimże jest zamiar mamy?...

— Zamieszkać w Odessie, moje dziecko...

— Nic o tem nie wiedziałem!...

— Nie mogłam się zdobyć na odwagę powiedzenia ci tego...

— Ha!.. — westchnął. — Ale... chociażby!.. toć mamie kochanej wszystko jedno, czy procenta wypłacać jej będzie bank, czy ja...

— Nie wszystko jedno, ponieważ jest to święta po świętej pamięci rodzicach moich spuścizna, przez szacunek przeto dla

popiołów ich nie mogę zezwolić na to, ażeby... przechodzić miała w ręce Borucha... Chcę przytem legatów kilka zrobić na uczynki dobroczynne i na kościół odeski, przez wzgląd na to, że fundusz ten święty w Odessie spoczywa... Mam intencję dom w Odessie kupić... Widzisz więc: chęć moja najszczerza rozbija się o przeszkody nie do zwyciężenia. Pragnęłabym z duszy serca przyjść ci z pomocą... widzisz?... nie mogę.

Westchnęła głęboko.

Pan Karol stanął na środku, oczy do sufitu wzniosł, postął tak chwilę, uśmiechnął się i mruknął przez nos:

— Hm...

XI.

Poprzednio kilkakrotnie wzmiankowaliśmy, że państwu Oleckim działwa przybywała i przybywała. Jak komu Bóg szczęści to idzie. Ludwiś, pochrzestnik podkomorzycy i księżnej w miarę jak rósł, coraz to liczniejszym otaczał rodzeństwa się gronem. Wiemy, że posiadał już trzech braciszków i jedną siostrzyczkę w epoce pierwszego księżnej z zagranicy powrotu. W epoce powtórnego powrotu, przyszedł do czterech braciszków i dwóch siostrzyczek. Ostatecznie zaś stanęło na pięciu braciszkach i trzech siostrzyczkach, co, dodane do Ludwisia, uczyniło liczbę nieparzystą dziewięć, wyrażającą ilość dzieci państwa Oleckich a współspadkobierców Frasoblówki, która ani urosła pod względem dochodów, ani też się rozrodziła na wiosek dziewięć. Państwa Oleckich nie frasowało to zbyt wiele. Za każdym przybyciem nowego na świat niemowlęcia, pan Olecki powiadał żonie:

— Niech Bóg nie umniejsza...

Za każdym pomyśleniem o losie całej gromady, wyrażał się:

— Dał Bóg dzieci, da i na dzieci...

Przy każdej okazji, w razie jakowejś wątpliwości, odwoływał się do *dictum*, przekazanego nam w spadku przez naddziadów.

— Niechajno... jakoś to tam będzie..

A tymczasem wszystko to rosło, rosło jak na drożdżach, zdzierając bez miłosierdzia, bez najmniejszego na nic względu.

koszulek, sukienek, spodeniek, majteczek, pończoszek, trzewiczków i bucików ilość ogromną. Nastarczyć nie było można. Ojciec oddawał z siebie; matka oddawała z siebie; krawcy kraslowieccy z domu prawie nie wychodzili, przerabiając, nicując, skracając, sztukując i latając bez końca i miary.

Życie to, życie — a!

Pan Olecki był to zawsze ten sam, jakim go poznaliśmy, człowiek, kierujący się regułą: „pamiętaj przychodzić być z rozchodem w zgodzie“. Trzymał więc rozchody na wodzy i stosował do takowych przychód, jaki mu się pod postacią dzieci walił.

Zdaje się, że przeciwko temu nie ma nic do powiedzenia.

Pozwolimy sobie w tem miejscu uwagę jedną wsunąć mimochodem. Rodzice obowiązani są zapewnić dzieciom sposób do życia. Tak, czy nie? Owóż tedy państwu Oleckim należało myśleć o tem zawczasu, rozumiejąc pod wyrazami „sposób do życia“, jakiś fach, jakąś specjalność, któraby każde z ich dzieci z osobna uczyniła pożytecznym społeczeństwa członkiem. Pożyteczność wszelka opłaca się: — ot i sposób do życia. Niechby jeden został stolarzem, drugi rymarzem, inny kowalem, ten architektem, ów adwokatem lub medykiem, czemkolwiek zresztą, byle nie obywatelem spółdzielcem Frasobłówni, wioski przydatnej nie na co innego, jak tylko na punkt wychodni do zapewnienia sposobu do życia powyżej zdefiniowanego dla głów dziewięciu.

Ale — kto o czemś podobnem myślał w epoce powieści naszej! Dziś może kto i myśli; wówczas atoli panowała powszechnie — nie bez wyjątków wszakże — zasada kastowości, której hołdowało obywatelstwo bogatsze i uboższe. Bogatsze — nie bez wyjątków, powtarzam — szło torem podkomorstwa; uboższe wywijało się jak mogło, byle jeno z szeregów „urodzonych“ nie wypaść i do zastępu „pracowitych“ się nie dostać. Zналиśmy osobiście i zbliska marszałka pewnego, który synowi swemu, gdy ten do uniwersytetu się wybierał, zapłacił za to, ażeby się nie ważył na medycynę wstępować. Rację podawał taką:

— Żaden R....ski pigułkarzem nie był...

Usprawiedliwialiśmy to już raz, wykazując przy okazji następstw wychowania podkomorzyca i podkomorzanki, jak pojęcia przechodziły z ojców na synów. Była to choroba dziedziczna, wychodząca z punktu tego przekonania, w dawnych

powziętego wiekach, że „nakłaniać szlachcica do łokcia lub kwarty, jest to samo, co łabędzia zaprzęgać do pługa.“ Jedno i drugie, uważane za niemożliwość absolutną, przechodząc z ojca na syna, dostało się, nie doznając przeciwdziałania ze strony tych, co się pojęciami opiekowali, do późnego potomstwa. Pan Olecki nie pojmował, nie przypuszczał, ażeby z synów jego i córek, mających prawo do Frasobłówni, podzielonej na dziewięć części, mogło być co innego, jak obywatele i obywatelki. Gdy przeto przyszło do edukowania dzieci, nie przyjmował do nich panów de Lurcy i panien de Maintenon, bo nie miał za co, nie powierzał ich jezuitom, bo nie posiadał żadnego na rezydencji, ale puścił tę rzecz na chybił trafił, w tem przeświadczeniu, że „jakoś to Pan Bóg da“. Brał nauczycieli i nauczycielki za tanie pieniądze i odprawiał. Oddał Ludwisia do szkół i odebrał. Potem go oddał znów i ze szkół jednych do drugich przeniósł. Postawił go na kwaterze, na której panice stawali; lecz gdy przyszło młodszych do szkół dawać, przenosił ich wszystkich razem na kwatery coraz to tańsze, tak, że chłopcy, dostając się z pod systemów i dozorów jednych pod drugie, nie byli w stanie schwycić ciągłości w nauce, koniecznej do dobrego wychowania, bałamucili się i przelazili z klasy do klasy. Największa staranność otoczyła najstarszego. Jemu dostawały się kaski wyborowe, braciom jego ochłapy.

I tak to sobie szło i szło.

W chwili, w której czytelnika do frasobłowieckiego dworu po raz nie wiemy który wprowadzamy, Ludwiś ma lat szesnastkę, skończył klasę piątą, do skończenia gimnazjum pozostawało mu jeszcze lat dwa, lecz z powodu doznanej przy udzielaniu promocyj niesprawiedliwości, opuścił szkoły i dał słowo matce, że się w domu tak przygotuje, iż za lat dwa zda egzamen wprost do uniwersytetu.

— Zda, nie zda... mniejsza o to... — myślał pan Olecki — przynajmniej nie będzie czasu marnował...

Ludwiś wziął przytem na siebie obowiązek uczyć najmłodszych swoich braci, których dwóch do szkół się jeszcze, z powodu wieku, nie kwalifikowało. Rzeczy się ułożyły dobrze. Wydatki się umniejszyły i w szkołach i w domu, tam bowiem jeden chłopak ubył, tu zaś znalazł się nauczyciel bezpłatny.

W czasie owym przyjechał do Frasobłówni gość niespodziewany.

T. T. Jeź T. II.

Przybył o godzinie porannej. Nikt go nie znał. Pan znajdował się w polu przy oraczach czy nieoraczach. Pani nieubrana. Wszedł do salonu, oświadczając słuzącemu, że czekać będzie na pana Oleckiego, do którego ma pilny interes. Komornik się gdzieś zawieruszył, więc bawić go nie było komu, ani też kim komornika zastąpić, albowiem Ludwik wysłany został przez ojca do miasta powiatowego. Nieznajomy człowiek w wieku średnim, postawy i powierzchowności ujmującej, nie brunet nie blondyn, nie szczupły i nie otyły, wzrostu miernego, przechadzał się po pokoju powoli i zatrzymywał się od czasu do czasu, przysłuchując się z uśmiechem zgiełkowi domowemu, jaki niespodziane przybycie gościa wywołało. Dzieci wrzeszczały, służące biegały, pani wydawała rozkazy i polecenia głosem często niecierpliwością lub gniewem nabrzmiałym. Dosłyszał wyraźnie wołanie:

— Podwiązki!... Marysiu gdzie podwiązki?...

— Położyłam je na komodzie... — była odpowiedź, Marysi zapewne.

— Gdybyś je położyła, toby były...

— Przysięgam Bogu!... Bodaj mi!... Może Jaś albo Olesia chwycili...

— A zaraz na dzieci składasz!... — odpała pani.

— Jak nie składać, kiedy onegdaj Jaś z podwiązek batóg sobie zrobił...

— Wołać mi tu Jasia!... — zabrzmiał rozkaz pani.

Rozpoczęło się śledztwo formalne, w którym wystąpiły oskarżycielstwo, obrona, świadectwa i w końcu płacz o zbrodnię przeistaczania podwiązek w batogi przekonanego.

Nieznajomy, do słuchu którego odgłosy sprawy tej ułamkowo dochodziły, wyrażał twarzą zajęcie wielkie i rozrzewnienie, uśmiechał się i oczy wilgocią mu zasły.

— Mój Boże... — rzekł sam do siebie. — Tak samo i u nas, w domu rodziców moich bywało...

Rozpatrywał się następnie w sprzętach i znów rzekł sam do siebie:

— „Wszystko jak było, tylko się do starości znacznie pochyliło...”

Z jednej strony okna wychodziły na ogród, z drugiej na podwórze. Chodząc zatrzymywał się raz przed temi, znów przed temi i głową kiwał, jakby w odpowiedź uczuciom czy wspomnie-

niom, które mu duszę napełniały. W końcu, patrząc w podwórze, odezwał się:

— A... Otóż i on... Jakże się zmienił!... posiwiał... Ciekawym, czy mnie pozna...

Pan Olecki wszedł, o kroków parę przed nieznajomym się zatrzymał i oczy w nim utkwil.

— Niech mnie Bóg skarże — zawołał półserjo — jeżeli wiem, kto pan dobrodziej, z pewnością jednak znajomy!...

— Więc mnie pan nie poznajesz?...

— Poznaje głos nawet, ale, w łeb strzel, nie wiem kogo mam w osobie pana dobrodzieja witać...

— Gustaw Zahalnicki...

— W imię ojca i syna!... zawołał pan Olecki, krok w tył odstupując i minę przestraszoną niby przybierając. — Wszelki duch Pana Boga chwali!...

— I ja chwałę... — odrzucił pan Gustaw z uśmiechem, dłoń do powitania podając.

— Jakże mnie przybycie pańskie cieszy!... Spodziewam się, że pan dobrodziej nie chowa w sercu żalu do mnie za... ów... bałtski wypadek...

— Ależ!... żkąd znów!... O wypadku tym pamiętam dla tego jedynie, że trudno zapomnieć o czemes podobnem... Co zaś do żalu, ten nie tylko oddawna w sercu mojem wygasł, ale zmienił się we wdzięczność dla przeciwników moich...

Pan Olecki zapytał, jak to się stać mogło.

— Stało się mi wedle przysłowia: „Nie ma tego złego, coby na dobre nie wyszło...” Lekarz pocziwy, co mnie opatrywał, leczył mi zarazem i ciało i duszę... Przekonał o potrzebie pracy, pomimo żem szlachcie; wskazał mi drogę handlową, zaopatrzył w pieniądze na podróż i do Odessy wyprawił... Gdyby przeto nie pojedynek, nie zabrałbym z lekarzem tym znajomości, gdyby nie ta znajomość, nie byłbym trafił na drogę, która mi byt dostatni zapewnia... Otworzyłem dom komisowy na siebie, który już od lat kilku prowadzę, wiedzie się mi nieźle, a że — dodał z uśmiechem — człek nigdy nie zadowala się tem co ma, przedsięwziąłem wędrowkę po kraju w celu rozszerzenia sobie klienteli... Jeżeli pan dobrodziej raczy ufać mi za-szczęcić, gotów jestem pszenicę jego, żyto, jęczmień, owies, len,

rzepak sprzedawać po cenie odpowiedniej, za potrąceniem 2% komisowego i 1/2% meklerowego...

— Panie dobrodzieju!... — pan Olecki na to. — Od lat dziesięciu, jeżeli nie od dawniej, zbieram się co roku posyłać zboże do Odessy i nigdy jakoś zebrać się nie mogę... Przyjeżdża kupiec, przywozi pieniądze do domu i kłopot z głowy spada... Tak robił ojciec mój, dziad, pradziad...

Komisant uśmiechnął się na wyrazy ostatnie.

— I dobrze na tem wychodzili...

— Potrzeby były bardziej ograniczone... Ale przeszłość mija i nie powraca, jak nie powraca woda do źródła... Potrzeby się powiększyły...

— Ach, prawda... — westchnął pan Olecki, wspomniawszy sobie sześciu swoich synów i trzy córki. — Niechże mi pan dobrodzieju, z łaski swojej, wytłumaczy różnicę sprzedawania zboża na miejscu a w Odessie...

— Kupiec, zabierający na miejscu, zarabia na zbożu pańskim przynajmniej 5%, pomimo, że prowadzi do Odessy i płaci komisantowi 2 1/2%, zachodzi przeto różnica 5%, która się obróci na korzyść pańską...

— Prawda... Nigdy mi to do głowy nie przyszło... Podkomorzy Kostrzewicki za życia swego próbował razy parę tej spekulacji, lecz źle na niej wyszedł... Mówiono nawet, że od wysyłki pszenicy do Odessy datuje chylenie się majątku jego do upadku...

— A!... — zawołał pan Gustaw. — Pracowałem w banku, za pośrednictwem którego nieboszczyk weksle na Paryż, Hamburg, Frankfurt i Londyn ciągnął... Przez bank ten, na rzecz nieboszczyka, przeszło weksli na sumę około pół miliona rubli, nie licząc dróg innych, któremi pieniądze płynęły...

— Proszę pana dobrodzieja! — zawołał pan Olecki.

— Nie dziw przeto, że majątek do upadku się pochylił...

— I upadł ostatecznie... Podkomorzyna od lat dwóch już do Odessy się na mieszkanie przeniosła i podkomorzyc za nią od czasu jakiegoś pojechał...

— A... księżna?... — zapytał pan Gustaw nagle.

— Hm... księżna?... Księżstwo w Krasilowcach...

— Pytam o nią, bo mnie obchodzi...

— Czy nie z racji dawnych wspomnień?... — zapytał gospodarz domu z żartobliwym przekazem.

— Trochę... może... zapewne... Wszelkie jednak ubliżyć jej mogące posądzenie usuwa się przez to samo, żem jej nie widział od lat... od lat?... szesnastu...

Rozmowę przerwała gospodyni domu — nie owa już piękna pani, na którą zwrócił był oczy podkomorzyc po powrocie z Paryża — która powitała gościa uprzejmie i krzyknęła „ach!“, gdy mąż go jej przedstawił.

— A myśmy tu już byli pana dobrodzieja opłakali...

— Pokazuje się, że łyzy te stały się dla mnie wodą życia, dopomogły mi bowiem pod względem fizycznym, materjalnym, moralnym nawet... jestem zdrow, przyszedłem do bytu dobrego. i otrząsnąłem się z przesądów...

— A rodzina pańska?...

— Dziękuję pani... Rodzice moi, zdrowi, Bogu dzięki.. Bracia zaś i siostry, każdy i każda na swoim i nieźle im się wiedzie...

Przypominamy sobie, że ów Gustaw, pokazujący się nam w ciągu opowiadania w omgleniu poetycznem miłości, był członkiem rodziny składającej się z głów dziesięciu. Majątek — cząstka na kolokacji. Środki — bez porównania szczuplejsze, aniżeli u państwa Oleckich. Los przeto, jaki się gniazdu temu w perspektywie ukazywał, nie przedstawiał się w barwach nader wesołych. Stary Zahalnicki prawil dzieciom o potrzebie pracy, lecz im środków, narzędzi do prowadzenia takowej w ręce nie dawał, dając im wychowanie szlacheckie. Zagrażała więc im nędza, która byłaby się rzeczywistą stała, gdyby nie Gustaw. Ten, ramieniem potężnem, ojca, matkę, braci, siostry wydzwignął z toni, staruszków przy sobie przyhołubił a młodzieży farchy w ręce powasuwał, lokując ją po warsztatach, po pracowniach, po kantorach i po szkołach. Dwaj z braci jego, co nauki kończyli, kierowali się na nauczycieli. Z siostr jedna, wyszedłszy za mąż, osiadła na części ojcowskiej. Jeden z Zahalnickich był aptekarzem, jeden stolarzem, jeden konowałem. Reszta zaś siostr zostały: ta akuszerką, ta aktorką, ta damą sklepową. Pokierowało się więc wszystko dzięki Gustawowi, który każdemu z rodzeństwa swego drogę ukazywał temi słowy:

— Nie wstyd pracować, byle uczciwie i pożytecznie...

I cała ta trzodka, która zrazu była bez przyszłości, rozbiegła się w kierunkach różnych i każde płynęło w przyszłość na okęcie własnym.

Gustaw dokazał tego, że łabędzia szlacheckiego do pługa zaprzął.

Nie chwalił się tem jednak przed państwem Oleckimi, odpowiedział ogólnikowo na zapytanie pani i zawiązał rozmowę o czasach dawniejszych, przypominając, że panią widział raz tylko w życiu, w całym młodości jej blasku, w miodowym małżeńskim jej pożyciu miesiącu.

— A teraz — podchwycił pan Olecki — widzisz pan dobrodziej przed sobą babulę, matkę dziewięciorga dzieci...

— Dziewięciorga!... — krzyknął Gustaw.

Wykrzyknik ten, pełen był znaczenia, które jednak uszło uwagi szczęśliwych dziewięciorga dzieci rodziców.

— Tak... tak, mości dobrodziej... — odparł pan Olecki, spoglądając na małżonkę z uśmiechem. — I pan dobrodziej, gdybyś się był w swoim czasie ożenił...

Komisant ręką machnął i lekko westchnął.

— Pan dobrodziej... — zaczęła pani z uśmiechem znaczącym — miał przeszkody serdeczne...

— Tak... hm... Stałem w obec progu za wysokiego, którego przestąpić nie mogłem, ale, gdyby kula pana Karola nie oddała mnie była w ręce zacnego i rozumnego lekarza bałtyckiego, byłbym się zapewne prędko pocieszył...

— Przez skromność nie chce pan sobie zasługi przyznawać...

— Jakiej, proszę pani dobrodziejki?...

— Zasługi stałości... tak rzadkiej w czasach naszych zmaterjalizowanych!..

Wyraz „zmaterjalizowanych“ wymówiła z przyciskiem, tak, że pan Gustaw zmuszonym został niejako podnieść go i zapytać:

— Co pani pod „zmaterjalizowaniem“ rozumiesz?...

Zagabnięta w ten sposób pani Olecka, zmięszała się nieco i odrzekła:

— Każdy myśli o sobie... brak poświęcenia, brak ofiarności...

— Hm... — ścisnął pan Gustaw ramionami. — Poświęcenie?... ofiarność?... Pani je upatruje w mojej stałości, bez

względem na to, że stałość ta pochodzić może z żalu za wianem podkomorzanki i mieć przez to pobudki ultramaterjalistyczne...

— Ach!... to niepodobna...

— Podobna, pani...

— Czegóżby to dowodziło?...

— Dowodzi to, że poświęcenie, ofiarność, nie istnieją w oderwaniu, bez racji; istniejąc zaś dla racji jakowejś, przestają być poświęceniem, ofiarnością, stają się obowiązkiem... obowiązkiem rodziców względem dzieci, dzieci względem rodziców, ludzi względem ludzi, obywateli względem kraju i t. p., i t. d... Po za tem następuje kraina chimer, zamieszkała przez kaprysy i fantazje... przezywane zwykle ofiarami...

Państwo Oleccy, gdy im się herezje te o uszy obity, szeroko oboje oczy otworzyli i w pana Gustawa się wpatrzyli. Byli oni tego słodkiego przekonania, że się poświęcają, najprzód, jedno dla drugiego, następnie dla sąsiadów, dla obywatelstwa, w końcu, a szczególnie, dla dzieci! Przeciwno przekonaniu temu przyszedł świadczyć człowiek, co z toni wyratował jedenaścioro ludzi. Nie umieli mu zrazu odpowiedzieć. Po chwili milczenia jednak, pan Olecki głos zabrał:

— No... no... — rzekł. — Pan dobrodziej przesadzasz... Dam panu przykłady... Buduję kościół, dajmy na to...

— Kupujesz pan sobie zbawienie duszy... dokonywasz zamiany czysto i nawskróś handlowej... Nabywasz dobra niebieskie za bręczącą monetę...

— Ratuje tonącego...

— Czynisz to, cobyś pragnął, ażeby względem ciebie czyniono...

— Nie masz więc ofiary?...

— Nie masz, panie dobrodziej... —

— Ani cnót, zatem?...

— Cnoty są wszystkie...

— Bez ofiary?...

— Z obowiązkiem, pełnionym bądź ujemnie, bądź dodatnio, a jeżeli dodatnio, to w rozmaitych stopniach, zależących od poemowania obowiązku...

— Więc — zaczęła pani — pan obowiązku tylko dopełnił, dowodząc stałości przez lat szesnaście?...

Pan Gustaw uśmiechnął się i odparł:

— Mieszamy trochę przedmioty... Przez owych lat szesnastu, myślałem o innych obowiązkach; o tej zaś cnocie, za którą mnie pani pochwałać raczy, byłbym zapomniawszy całkowicie, gdyby mi jej księżna sama nie przypomniała...

— Przypomniała!... — zawołali małżonkowie oboje głosem jednym, mocno zdziwionym.

— Od lat dwóch, około, pozostaję w korespondencji z księżną...

Pani z ciekawością wielką wpatrzyła się w mówiącego, przygotowując się do chłonięcia wyrazu każdego z ust jego wychodzącego; on atoli nie więcej nie mówił w materji korespondencji z księżną. Pomilczawszy przez chwilę, rozpytywać się zaczął o stan interesów, odnoszących się do Ohrebyszc i Krasilowiec. Pan Olecki, jako sąsiad bliski, opisywał mu go kolarami, wśród których ani jednej nie było barwy nieco jaśniejszej. Opowiadał o staraniu się pana Karola o rękę panny Dębskiej.

— Panny Ewy?... garbatej?... — podchwycił komisant.

— Zna ją pan dobrodziej?... —

— Pan Erazm jest jednym z najlepszych klientów moich... Zabrałem znajomość z nimi w Odessie i jestem z panną Ewą dość dobrze, alem nic od niej o tem co pan dobrodziej opowiada, nie słyszał...

— A, panie!... maryaż ten przez lat kilka trzymał kredytorów na wodzy, aż, gdy pękł... pękło wszystko... Podkomorzyna jedna wycofała się obronną ręką...

— Mądrze zrobiła... — wtrącił pan Gustaw. — Księżna jednak nieszczęśliwa...

— O, bardzo!... — odrzekli razem państwo Oleccy.

Podano do objadu. Rozmowa się przerwała. Państwo z gościem przeszli do sali jadalnej, w której zebrało się gronko złożone z panienki podlotka, dziewczynki lat ośmiu, dwóch chłopczyków i komornika gęsto szronem siwizny przypruszonego, ale zawsze czupurnego. Gdy do stołu zasiedli, pokazało się, że nakrycie jedno na kogoś czekało. Po zupie gość uwagę na to zwrócił.

— Przypominam sobie we Frasnobłowie — rzekł — starszka heraldyka i zdawało mi się, że dla niego jest to miejsce próżne...

— O nie... — odparła pani. — Staruszek zeszedł z tego świata, a nakrycie to czeka na mego syna najstarszego, którego ojciec w interesie jakimś posłał do miasta powiatowego...

— Jakiś tam list *zastrachowany* do mnie na pocztę leży... — dodał pan. — Od dwóch tygodni już *powiestkę* odebrałem i parę razy posyłałem, ale mi go nie wydano... Wymagano na *powiestce* własnoręcznego mego podpisu... Co to za szykany, proszę pana!... Bez podpisu, listu wydać nie chciano... Posłałem więc syna...

— I dał pan dobrodziej podpis?... —

— Cóż miałem robić!... Podpisałem się własnoręcznie...

— Nie wydadzą... — odezwał się, zachowujący dotychczas milczenie, z szarego końca komornik.

Gość zwrócił na niego pytające spojrzenie.

Komornik motywowwał powiedzenie swoje w sposób następujący:

— Djabeł wie... Na podaniu o wypłacenie mi sumy posagowej, w ilości szesnastu tysięcy złotych polskich, pozostałej po świętej pamięci prababce mojej w linii prostej, bo babce rodzonej ciotecznorodzonego stryja mego, po mężu, z domu Okrasiance, podpisałem się własnoręcznie i... djabeł wie... na licha to się zdało... Ale, że to sprawa ze mną, a ja procesu nie zasypiam, jak gruszek w popiele, to... djabeł wie... U mnie tak: swego nie dam, cudzego nie chcę... Jadę i własność moją z gardła wydrę!... Przez posły wilk nie tyje... Pojadę sam i stanę, nie z podpisem, ale z gębą...

Gościowi uśmiech przez usta się przesunął.

Zmieniono talerze i wniesiono nowe danie. Komornik zamilkł. Dał się słyszeć na podwórzu turkot bryczki.

— Ludwiś!... — krzyknęli chłopcy i dziewczęta, zrywając się od stołu.

Napomnienie matki, dotyczące się grzeczności, i surowe ojca spojrzenie zatrzymały je na miejscach.

W chwilę później wszedł do sali chłopak wyrostek, smukły i przystojny, z mszącym się pod nosem zarostem, skłonił się gościowi, pocałował matkę w rękę, pocałował w rękę ojca i podał temu ostatniemu list w dużej, pięciu pieczęciami zapieczętowanej kopercie.

— Cóż, wydano ci przecie?... —

— Wydano, ale przemówilem ostro: „Przyjeżdżam wprost z Frasobłówki po list do mego ojca!...” Poznał poczmistrz, że nie przelewki... wziął i wydał...

Pan Olecki obejrzał kopertę ze stron obydwóch i położył list na stole.

— Od kogo to?... — zapytała pani z naciskiem.

— Jeżeli przez wzgląd na mnie pan dobrodzieju listu nie otwierasz — odezwał się gość — to proszę usilnie, wzgląd ten na stronę usunąć...

— Jeżeli pan dobrodzieju pozwala?... — była pana Oleckiego odpowiedź.

— Bardzo proszę ceremonii ze mną nie robić...

Pan Olecki rozłamał trzy pieczęcie, otworzył kopertę wyjął list, rozłożył i czytać począł.

Czytał i oczy coraz to szerzej otwierał, a twarz wyrazem zdumienia oblewał. Czytał i wydawał okrzyki tłumione: hu!... uh!... Datę i podpis wypowiedział na głos:

— Odessa, dnia... miesiąca... roku... Kacper Mędziński...

— A!... — odezwał się pan Gustaw.

— Któż to taki?... — zapytała pani Olecka.

— Nie przypominasz sobie?... — odparł mąż. — Nie przypominasz sobie chłopaka tego, co to od podkomorzycy nosił upominki dla Ludwisia?...

Pani Olecka lekko spłonęła i odrzekła:

— Czegoż on chce od ciebie?...

— Chce, żebym mu poradził, jakimby sposobem kupić mógł na własność grunt i chatę w Ohrebyszczach, z których matka jego czynsz opłaca...

Pani Olecka coś na to powiedzieć chciała, lecz pan Gustaw ją uprzedził.

— Mędziński — rzekł — mógłby na własność Ohrebyszcze i Krasilówce kupić.

Pani wypatrzyła się na gościa ze zdziwieniem.

— I dobrzeby zrobił... — ciągnął tenże. — Inaczej bowiem, jeżeliby go kto podszedł i na spekulację wyciągnął to mógłby stracić wszystko...

— Ale, zkadże?... zkadże?... on?... Kacperek?... do majątku takiego przychodzi?... — zawołała pani.

— Na loterii wygrał... — odpowiedział pan Olecki. —

Pisze to właśnie... Postawił rubli trzydzieści i wyciągnął los na rubli trzykroć sto tysięcy...

— Jezus Marja!... — krzyknęła pani.

— Tak to się ludziom zdarza... Trzeba, żeby i Ludwis do Odessy jechał...

— Tylko nie po to, żeby na loterię stawiać... — podchwycił pan Gustaw rękę wyciągając. — Na Boga!... nie po to... Gra na pewniaka, na owoce pracy własnej, jest bezpieczniejszą, aniżeli na ślepy traf, który, dla udobrodziejstwowania jednego, tysiące, miliony na majątku i sumieniu rujnuje... Pan Ludwik zna zapewne bajeczkę o testamencie tego ojca, co synom zapisał skarb w roli zakopany...

Ludwikowi oczy się śmiały, nie-wiadomo, do bajeczki, czy też do loterii.

List Kacpra sprawił zamieszanie niejkie we frasoblewieckim dworze. Pani Olecka ze zdziwienia wyjść nie mogła, łamiąc sobie głowę nad rozwiązaniem zagadnienia, dla czego to los wybrał nie kogo innego, a lokaja podkomorzyny. Tego zrozumieć nie mogła. To przechodziło jej pojęcie.

Pan Olecki także tego nie pojmował. Uważał jednak, że na list odpisać wypada, a że nie wiedział, co mianowicie, więc się odwołał do pana Gustawa.

— Najlepiej odpiszę mu, ażeby się radził pana dobrodzieja, jeżeli to panu dobrodziejowi przykrości wielkiej nie sprawi...

— Najmniejszej...

— Więc tak... Odpiszę i list panu dobrodziejowi wręcę...

— Bardzo dobrze...

— Pan dobrodzieju wraca wprost do Odessy?...

— Naturalnie... Odwidzę tylko księżnę, która mnie prosi, ażebym był u niej, i, ponieważ Mędzińskiemu mam radzić, w przejeździe do Krasilowiec przez Ohrebyszcze wstąpię do matki kochanka fortuny... Niech pan dobrodzieju z łaski swojej list przygotuje...

— Nie ma nic spiesznego...

— Za godzinę odjeżdżam...

— Jaktó!... — zawołali małżonkowie oboje. — Pan dobrodzieju nie chce u nas na noc pozostać?... A, to być nie może.

— Nie mogę... Biorę czas w tem znaczeniu jaki mu nadają Anglicy!...

— Co tam Anglicy!... Tu nie Anglja, ale Polska... Panie dobrodzieju!...

Wymawiał się pan Gustaw i wypraszał, broniąc się dzieciom, które go, pomagając rodzicom, z płaczem błagały.

— Pan musisz nocować w Krasifowcach — przekładał pan Olecki — w karczmie u żyda, bo tam w pałacu noclegu dla gości nie było nigdy, a tembardziej teraz... Zlitujże się pan!...

Upór atoli Gustawa przełamać potrafił prośby i płacze. Pan Olecki oddalił się na chwilę w celu wystosowania do Kacpra odpowiedzi, na którą gdyby nie pan Gustaw, musiałby Kacper długo czekać; niebawem z listem gotowym powrócił — i gość pożegnał gospodarstwo uprzejmie.

W Ohrebyszczach komisant nasz zatrzymał się przed chatą Mędzińskiej. Staruszka, czepka i jedrna, na spotkanie jego wyszła. Pan Gustaw oznajmił jej na wstępie, że jedzie do Odessy i z Kacprem widzieć się będzie.

— Powiedzieć mu, panie wielmożny, że proszę Boga, ażeby mi pozwolił oglądać go przed śmiercią...

— Bóg prośby waszej wysłucha, pani matko...

— Co wielmożny pan powiada!...

— Kacper ma zamiar kupić na własność grunt i chatę, z których czynsz opłacacie.

Staruszcze oczy się zaśmiały, lecz się wnet zasmuciła.

— Wielmożny pan mówi to tak tylko, ażeby starą babę pocieszyć trochę...

— W każdym razie zobaczycie go... Wyszedł ze służby...

— Wyszedł ze służby!... — krzyknęła stara Mędzińska w radości wielkiej.

— Cóż mu powiedzieć od was, pani matko?...

— Niech przybywa, choć piechotą, choć w żebraczych łachmanach, ażeby go oczy moje jak najprędzej oglądały...

— Kacprowi dzieje się dobrze, bardzo dobrze...

Po tych słowach staruszkę pożegnał i przerzucił się z chaty do pałacu.

Sam pałacu krasifowieckiego widok smutne jakieś wzbudził w nim uczucie. Budynek trzymał się i nie świecił a technął rudą. Na podwórzu trawa, na dachu kawek i gawronów pełno, szyby w ilości wielkiej powybijane, od spodu wilgoć, wyżej na ścianach osad dający życie ziółkom nikłym. Pan Gustaw konie

z bryczką zostawił w domu zajezdnym i przyszedł piechotą, nie wywołał więc nikogo na spotkanie swoje. Gdyby jednak był i zajechał z hałasem przed krużganek, to rzecz wątpliwa, aza-liby kto naprzeciw niemu wybiegł. Służba, liczna niegdyś, zredukowała się do wyrażenia najprostszego, występującego pod postacią paru dziadów, tytułujących się kamerdynierami i baby, jednego z tych dziadów małżonki, pełniące funkcję kuchmistrza. Przy księżnej pozostała wierna Weronika. Nie było więc komu spotykać i meldować gości. i ten, wszedłszy do pałacu, błądził po nim, nie spotykając nikogo. Przechodził z komnaty do komnaty; kroki jego budziły echo, które duszę jego napępniało czemes nakształt postrachu. Zatrzymywał się i oglądał. Czuł, jakby go coś z góry gniotło — uczucia podobnego doznaje się w lochach grobowych. Aż otworzył drzwi jedne, próg przestąpił i zatrzymał się zdziwiony. Oczom jego przedstawił się stoliczek, przy stoliczku fotel, a na fotelu potwór w postaci człowieczej, tuszy przerażającej — twarz rozlana, głowa duża w ramiona wsunięta, usta wywrócone, oczy przymrużone. Pan Gustaw, postawszy chwilę w niemej kontemplacji, postąpił kroków parę i chrząknął. Potwór wnet się odezwał:

— Spodziewam się, że zdrowie asana dobrodzieja w pożądanym znajduje się stanie...

— Kto ty?... — zapytał przybysz.

Potwór na zapytanie to ruszać się począł z oznakami niecierpliwości i otworzywszy usta wydawał odgłosy; „he, he“...

Po chwilce rękę na stoliczek wyciągnął, ujął dzwonek w palce i zadzwonił. Dźwięk rozległ się daleko. Słyszeć się dało niebawem stapanie, otworzyły się drzwi, wszedł starzec pochylony i drżącym głosem, który najwyżej podnieść usiłował, zwracając się do potwora, zapytał:

— Co wasza książęca mość rozkaże?...

— Więc to książę Gotfryd Gamałda?... — zapytał pan Gustaw starca.

Starzec nie odwracając od księcia oczów, trzęsieniem głowy odpowiadał.

Książę pozostawał pod wpływem jakiegoś wzruszenia, drżał bowiem jak w febrze i nie zaraz starcowi odpowiedział:

— Wody... flakonik...

Za starcem, odchodzącym w celu spełnienia rozkazu, wy-
niósł się i pan Gustaw na palcach.

— Gdzie księżna?...

— A co?... — starzec na to. — Jaśnie oświecona księżna
pani chyba?...

Poznał komisant, że etykiecie uchybił, poprawił się
więc:

— Pragnę przedstawić się jaśnie oświeconej księżnej pani...

— Niech wielmożny pan chwilę się zatrzymać raczy...
Zamelduję, tylko jaśnie oświeconemu księciu panu wody i fla-
konik podam...

Chwilka przeciągnęła się na minut z dziesięć. Starzec po-
wrócił i przeprowadziwszy Gustawa przez długi szereg komnat
stęchliwą cuchnących, zatrzymał się w pokoju wyglądającym na
przedpokój i zapytał:

— Kogóż mam honor meldować?...

— Gustaw Zahalnicki...

— Jaśnie wielmożny czy wielmożny?...

— Nic, prosto: Zahalnicki...

— Nie prezes ani marszałek?...

— Komisant zbożowy...

Do uszów Gustawa doszło z za drzwi meldowanie.

— Jaśnie wielmożny komissant zbożowy, Gustaw Za-
halnicki...

Nastąpiła prędką odpowiedź: „prosić“ i okrzyki na poły
spazmatyczne.

Starzec wyszedł, drzwi na ścieżaj otworzył i drżącym
a chrypiącym głosem zawołał:

— Jaśnie oświecona księżna pani prosi jaśnie wielmożnego
komisanta zbożowego...

— Gustawie!... — przemówiła księżna podchodząc ku
wchodzącemu.

— Pani!.. — odparł ten, cofając się w tył i ręce, jakby
do obrony własnej podnosząc.

— Czy tak?... po latach tylu?...

— Rozstrzygnęliśmy kwestję listownie i ja zgodziłem się
stać przed panią nie w charakterze kochanka ale dla tego,
żeś mi pani napisała: „ratuj w nieszczęściu!..“ Przystałaś pani
na to... Przybywam podać pani rękę...

Księżna wyprostowała się. Była w dobie tej piękności po-
wtórnej, która na kobiety schodzi pomiędzy latami trzydziestym
a czterdziestym i amatorom wybrednym podoba się bardziej
aniżeli pierwsza. W stroju jej eleganckim, acz nie świeżym ani
też bogatym, czarny przemagał kolor. Włosy ułożone w djadem,
otaczały warkoczami głowę. Ręce białutkie i delikatne świad-
czyły, że się pracy, mimo nędzy, żadnej nie miała.

Wyprostowała się i sucho a krótko z jakimś jednak chry-
pieniem głuchem w gardle odrzekła:

— Dobrze... siadaj pan...

I ukazała gościowi ręką fotel. Sama opodal usiadła na
kanapie.

— Potrzebuję rozpatrzyć się w interesach pani... — ode-
zwał się Gustaw.

— Rozpatrzyć się?... cha, cha, cha... Jeżeliś się pan roz-
patrzył w pałacu, jeżeliś przypadkiem widział księcia, małżonka
mego, to... znasz już najdokładniej stan interesów moich... Inte-
resa są bez ratunku.. I ja — dodała po chwili — nie dla
interesów... o ratunek do pana zawołałam...

— Jaż pisałem wyraźnie...

— Tak... Wolno jednak kobiecie, której wyraz „kocham“
przez lat tyle w uszach dzwoni, mieć to złudzenie, że w sercu
tego, co wyraz ten wymówił, przechowała się isierka jakaś...

Gustaw wstał.

— Co?... zawołała księżna.

— Nie przemawiaj pani tym językiem do mnie... Zanalizo-
wałem owo „kocham“, któreśmy sobie w altanie mówili i znam
je... Bawiliśmy się w zielone... Dziś zabawek czas przeszedł,
nastąpiła pora przewagi rozumu nad uczuciem... Mówmy o inte-
resach, albo o niczem...

— Mówmy o interesach... — odrzekła księżna rezolutnie.

Gustaw usiadł i zawiązała się rozmowa, jakby dwoje tych
ludzi nigdy w życiu w kochanie się nie bawiło.

XII.

W domku przy ulicy Chersońskiej od czasu jakiegoś zapawał niepokój. Cóż ten niepokój znaczy? Czy to już symptom przesytu w bogaczu? Czy dziecko chore? Czy pan nie domaga? Czy może zapowiada się już owa choroba straszna, którą piewca padlin, Beaudelaire, jeden z najoryginalniejszych francuskich poetów w czasach ostatnich, takim pięknym opisał językiem? Nie. Z przyczyn powyżej wymienionych nie działa żadna. Przyczyna niepokoju tkwi w czym innym. Dowiemy się o niej z odpowiedzi, danej przez męża żonie, gdy ta zapytała:

— Czego ty taki markotny, Kacrze?...

— Tego... ot... że nie przychodzi odpis na list...

— Może jeszcze przyjdzie...

— Powinienby już być... Zapytywałem na pocztę, ile potrzeba czasu na to, ażeby pismo poszło do Frasobłówki i z Frasobłówki powróciło... i czas ten dawno już minął...

— A czyż nie może to być, że pan Olecki nie odpisze wcale?...

— Może być... i dla tego też niepokoję się wielce.. Nie wiem, co i jak zrobić, ażeby od matki, albo o matce wieść dostać...

— Pomyśl albo poradź się kogo...

— To bo to jest, że ja się radzić nie chcę, tylko kogoś pewnego... Najpewniejszym wydawał się mi pan Olecki i do niego też uderzyłem... On nie odpisuje... cóż więc pozostaje?... Iść do pana Grochiewicza, czy co?...

— A niech cię Pan Bóg broni!... Pan Grochiewicz gniewać się musi za to, żeśmy na tem jego śniadaniu nie byli.

W dniu tej właśnie pomiędzy małżeństwem rozmowy, do domku przy Chersońskiej ulicy zapukał pan Gustaw. Że rodzina właściciela domu czuwała pilnie nad oddalaniem natrętów, niełatwo więc i nieprędko dostał się przed oblicza ekslokaja i ekspraczkę. Odbyła się najprzód negocjacja, w której pośredniczyła córka gospodarza. Pan Kacper przyjął pana Gustawa w saloniku eleganckim, gustownie urządzonym, kobiercami wysłanym. Pani Katarzyna przez przymknięte drzwi zaglądała i nie prędzej wyszła, aż mąż zawołał:

— Kasiu!... a oto i odpowiedź od pana Oleckiego...

Pani Katarzyna wysunęła się, zapomniała gościowi dygnąć, a wprost do męża:

— Cóż odpowiada?...

— Potrzeba przeczytać...

Jeli czytać w obecności gościa, który tymczasem rozpatrywał się w niektórych przedmiotach sztuki, ozdabiających salon, podziwiając smak, który ustrzegł pana Mędzińskiego od kupowania bohomazów. Nie było tam nic osobliwego, ale też i nie wstępnego. Dobór obrazów, bronzów i rzeźb drewnianych odznaczał się czystością i poprawnością. Gustaw myślał sobie, że to kobieta wybór czynić musiała. O, jakże się mylił!

Państwo Kacprostwo przeczytali list nareszcie.

— Pan Olecki pisze, żebym się pana we wszystkim radził, otóż radzę się najprzód, co do kupna chaty i gruntu...

— Co do chaty i gruntu... — zawtórowała Kasia.

— Bo, coby też to za radość wielka dla matki mojej była!...

— I dla matki i dla nas... — podchwyciła Kasia.

— Jakby to zrobić?... — zapytał pan Kacper.

— Zrobić to niełatwo... — odparł Gustaw.

I wyłożył w formie jak najprzystępniejszej położenie majątku, znajdującego się pod sekwestrem na rachunek wierzycieli i zagrożonego albo sprzedażą, albo też eksdywizją. Czyby kto kupił w całości, czyby też kredytorowie rozebrali częściami, to nie można było traktować o kawałek gruntu przed zakończeniem procesu, po zakończeniu zaś, sprzedaż kawałka owego zależała całkowicie od dobrej woli właściciela nowego. Nie pozostawało więc nic innego, jak tylko czekać końca procesu.

— A długoż to, panie łaskawy?... — zagabnął pan Kacper.

— Lat parę, przynajmniej...

— Ojoj!... A czy lat parę użyczy Bóg życia staruszcze...

— Widziałem matkę pańską...

— Widział ją pan!... — podchwycili oboje, przerywając Gustawowi, i dalsze rozpytywać.

Pan Gustaw opowiedział bytność swoją w chacie stare Mędzińskiej, zapewniając, że znalazł staruszkę w zdrowiu jak

najlepszem i powtarzając słowa, które ona do syna przekazała. Ucieszyło to państwa Mędzińskich niewymownie.

— O, jakżebym pragnął ten grunt i tę chatę nabyć jak najprędzej... — zawołał pan Kacper.

— Nabądź pan Ohrebyszcze... — rzucił mu Gustaw.

— Ohrebyszcze?... he!... całe?...

— Całe Ohrebyszcze i Krasifowce przytem...

— Nie rozumiem pana dobrodzieja...

— A przecież to rzecz taka prosta... — odparł Gustaw. Chyba, że państwo macie zamiar miasta się trzymać...

— Gdzieżtam!... — krzyknęła pani Katarzyna. — My nie dla czego innego chcemy grunt i chatę kupić, jeno dla tego, żeby się na wieś przenieść jak najprędzej...

— Kupcie więc Ohrebyszcze i Krasifowce, które są na sprzedaż... Gdy je kupicie, to chata z gruntem dostanie się wam przez to samo...

— Kupić, to znaczy dziedzicem zostać?... — wyrwała się pani.

— No tak... — odparł pan Kacper. — Tylko to jakoś to ono nie zdaje mi się, żeby można było... Ohrebyszcze i Krasifowce?... Ohrebyszcze i Krasifowce?...

— Niemożliwość nie zachodzi najmniejsza... byle chcieć...

— Któżby nie chciał!...

— Prawo nie sprzeciwia się temu, ażebyś pan dobra ziemskie kupował; przemawia zaś za tem bezpieczeństwo, jakie wynika z ulokowania kapitału w ziemi... Anigo woda nie zabierze, ani ogień nie spali... Urodzi się raz lepiej, znów gorzej, lecz się urodzi zawsze i zawsze dochód się ma... Gospodarstwo rolne u nas przystępnem jest dla każdego, komu klepek w głowie nie brak...

— To prawda... — odpowiedział pan Kacper. — Tylko że... wie pan... jakoś mi się to dziwno wydaje: od razu panem zostać...

— Ii!... — zawołała pani Katarzyna.

— Przyzwyczajasz się pan do tego z łatwością... — odparł pan Gustaw z uśmiechem.

— Panować, to nie sztuka... — poparła go pani. — Sztuka zapracować...

Pan Gustaw skinieniem głowypotwierdził zdanie pani Katarzyny i tak dalej rzecz prowadził:

— Przyznam się, radbym, żeby się temajątki dostały panu, nie zaś komu innemu, dla tego, że spodziewam się, iżbyś pan okazać zechciał względy pewne dla istoty nieszczęśliwej, w najsmutniejszym znajdującej się stanie, dzięki złemu kierunkowi, jakie jej wychowanie nadało...

I odmalował w wyrazach krótkich a żywych stan tej istoty.

— Któż to taki?... — zapytał pan Kacper.

— Księżna Ludwika Gamajdzina...

— O!... — krzyknęła pani Katarzyna. — A widzisz!...

— Jeżeliby Ohrebyszcze i Krasifowce, które się nadają do połączenia w całość jedną, dostały komu ianemu, położenie księżnej byłoby rozpaczliwem... Księżę zniedołężniał zupełnie, musiałaby więc chyba męża porzucić...

— Męża porzucić!... — podchwyciła pani Katarzyna tonem zgrozy, jakby przez to wyrazić chciała, że nad to nie masz nieszczęścia większego.

— A no... — odparł pan Kacper. — Niech i tak będzie... Pan Olecki mi pisze, że nie znaleźć człowieka uczciwszego od pana... Oddam więc panu pieniądze wszystkie i rób co zechcesz...

To rzekłszy, wyszedł na chwilę i powrócił, niosąc w ręku plik bumażek.

— Co widzę!... — krzyknął pan Gustaw.

— Pieniądze, com wygrał... — odrzekł pan Kacper tonem naturalnym.

— Trzymasz je pan w domu?...

— A jakże!...

— Złóż w banku, będą panu niosły procent i pozostawały na każde pańskie rozporządzenie...

— Ależ teraz panu do kupowania Ohrebyszcza i Krasifowce potrzeba.

— Nie... Potrzebuję tylko pełnomocnictwa do działania w pańskim imieniu... Z pełnomocnictwem w kieszeni, idam się do sądów i do wierzycieli mas ohrebyskiej i krasifowieckiej z propozycjami... Pieniądzy nie podniosę ani grosza bez pańskiego przyzwolenia...

Pani Katarzyna i pan Kacper spojrzeli po sobie wzrokiem porozumienia, ten zaś ostatni odezwał się:

— No... widzę, że pan człowiek uczciwy...

— Pomimo, że na śniadanie nie prosi... — dodała pani — jak pan Grochiewicz...

Gustaw zmarszczył brwi, usłyszawszy nazwisko kolegi, nie jednak nie rzekł, ale poprosił właściciela fortuny o przerachowanie pieniędzy, złożenie takowych w paczki po dziesięć tysięcy rubli i jechanie z nim natychmiast do banku.

Pojechali.

Bank wydał rewersy na imię Kacpra Mędzińskiego.

Udali się następnie do urzędu, w którym spisany i zaoblutowany został akt pełnomocnictwa.

Z urzędu wyszedłszy, pan Kacper przyznał się, że od pół roku blisko bał się ludzi, lękając się wpaść w ręce niepocziwe, i że mu to bardzo na sumieniu ciążyło, bo, jak się wyrażał:

— Jestem tego przekonania, że świat nie składa się przecie z samych nieuczciwych...

Gustaw na to:

— Teraz możesz pan już śmiało wdawać się ze wszystkimi... Jesteś zabezpieczony...

Rozstali się. Pan Kacper, wbrew zwyczajowi jeżdżenia fiakrem dla unikania spotkań, udał się tym razem do domu piechotą. Na zakręcie jednej z ulic spotkał się nos w nos z Grochiewiczem, który zoczywszy go niespodzianie, wydał okrzyk podziwienia, połączonego z wielką radością.

— Co za szczęście!... co za wielkie szczęście!... Pan dobrodziej w dobrym zdrowiu, jak widzę!... A pani dobrodziejka?... A aniołek?...

— Niczego... chwała Bogu...

— Jakże się cieszę ze spotkania z panem dobrodziejem, właśnie bowiem myślałem o panu.. Mam dla pana dobrodziejka interes złoty, prawdziwie złoty interes...

— Na który potrzeba pieniędzy?...

— Oczywiście... Interes żaden bez pieniędzy się nie robi, ale na dobrym wychodzi się tak: dajesz pan dobrodziej sto, a odbierasz trzysta... Rodokanaki, Papadopulo, Inglesi spokoju mi nie dają, ażeby ich do tego interesu przypuścić, ale ja zwle-

kałem, myśląc o panu dobrodziejku... I szczęśliwy traf dał mi pana spotkać... Co za szczęście!...

— Cóż to za interes?... — zapytał pan Kacper, idąc powoli trotuarem i szturchając przed sobą od niechcenia laską.

— Złoty, powiadam panu dobrodziejowi... Pan nie potrzebujesz palcem kiwnąć... Dasz mi... ile?... sto tysięcy karbowanów, oddam panu... za ile?... za miesiąc... trzykroć sto tysięcy... Dasz mi pan dwieście tysięcy, oddam sześćkroć sto tysięcy... Może wstąpimy do Wysoczańskiego na likieru kieliszek?...

— Nie... padam do nóg... Spieszno mi do domu...

— Gdzież pan dobrodziej mieszka?... Pragnąłbym rozmówić się z panem bliżej o interesie, którego tylko ogólne przedstawiłem zarysy...

— Czy to pilne?...

— Ha! jak zwykle w interesach pieniężnych... Czas płaci, czas traci... Włosi powiadają, że interes każdy ma ogon śliski... jak się raz z rąk wypśnie, już po nim... Kuj żelazo póki gorące... Nie ręczę, ażeby za trzy dni interes ten był jeszcze do zrobienia...

— No, widzi pan, co za nieszczęście!... — odparł pan Kacper tonem wcale dobrze udanego zmartwienia. — A ja złożyłem w banku moje pieniądze i nie mogę się do nich dotknąć, jak tylko za trzechmiesięcznem wypowiedzeniem...

— I trzebaż to było ręce sobie tak związywać!... — Grochiewicz na to.

— Zrobiłem to, żeby nie skorciało...

— Któż to panu dobrodziejowi poradził?...

— A tenże... bodaj go!... pan Gustaw Zahalnicki...

— A!... — zawołał kolega Gustawa, a oczy mu zamigotały dziwnie jakoś. To pan dobrodziej z nim się zetknął... Ahm...

— Nu jużci... trzeba się było zetknąć z kimeś... Czy to on tego?... e?...

— Cóż ja mam o nim powiedzieć!... Ja mało co o nim słyszałem, wiem tylko, jak on pięknie rodzeństwo swoje pokierował...

— Jakże to?...

— Tego na stolarza... tego na ślusarza... Siostrę jedną zgubił po prostu, na aktorkę z jego łaski posłał... Jeżeli on tak

wszystkim dobrze radzi, jak rodzonym braciom i siostram, tobym do niego psa mego po radę nie posłał...

— No, proszę kogo!... — odezwał się pan Kacper z filuternem oburzeniem.

— Ale, jest na to rada... Pan dobrodziej ciągnąć może weksle, a ja...

— A niech mnie Pan Bóg od tego broni!... — krzyknął pan Kacper z oburzeniem rzeczywistym.

Pan Grochiewicz zrobił minę kwaśną, zapytał o adres, wymówił się interesem powołującym go do Sicarda i pożegnał pana Kacpra bardzo czule.

Pan Kacper zdał ze spotkania tego sprawę przed swoją panią.

Wieczorem wyszli oboje razem na bulwary.

Uczęszczać zaczęli na operę włoską.

I urządzili sobie żywot w sposób, który im i czas uprzyjemniał i polor nadawał.

Żywot ten ich, wzięty w powieściowym względzie, nie nadaje się na materiał do zapełniania stronic. Dla nich była w nim pewna rozmaitość; powieść atoli, gdyby go odmalować chciała, musiałaby zmienić się w dziennik zatrudnień, jakim się oddawali eks-Kacperek i eks-Kaśka w ustroniu swoim na ulicy Chersońskiej. Dziennik podobny nudziłby czytelnika. Dla tego milczeniem pomijamy epokę całą pobytu ich w Odessie. Przeniesiemy się raczej, na skrzydłach wieści, w okolice Ohrebyszcz i Krasilowiec.

Wieść o tem, że Ohrebyszcz i Krasilowce kupuje Kacper Mędziński, były lokaj podkomorzego, przeniosła się z Odessy w lot i rozeszła się z szybkością zadziwiającą. Zdaje się, że nim Kacper na kupno przystał, to już o tem gadano. Przypuszczać należy, że poszło to z Frasoblówki, gdzie się urodził domysł — domysł, który, jak to się zwykle zdarza, poszedł w kurs jako rzeczywistość.

Co też to za gadanie zrobiło! Zawrzało — zakipiało.

Ta kwestja — ten sęk, że lokaj nie zaś kto inny wygrał, stał się najpierwszym roztrząsań głębokich przedmiotem.

Następnie nasunęła się do roztrząsania kwestja następująca:

„Lokaj obywatelem zostanie!“

Niektórym mdławo się koło serca robiło na herezję podobną. Nie mogli przypuścić, ażeby to być mogło. Radzili się prawa. Prawo powiadało wyraźnie, że szlachcicowi wolno nabywać dobra ziemskie w ilości nieograniczonej; szlachcic zaś, posiadający sto dusz, staje się *eo ipso* obywatelem, ma prawo do galki na wyborach, do munduru złotem szytego i do dostojenstw najwyższych, chociażby do marszałkostwa gubernialnego.

Horror!...

— Czyż przynajmniej nieżonaty?... — zapytywały matki niektóre.

— Żonaty!... z praczką!...

Prawo, zapewne dla trudności niesłychanej przeprowadzenia granicy demarkacyjnej pomiędzy lokajstwem a nielokajstwem, nie powiadało, ażeby tracił do obywatelstwa prawo ten, co lokajem był.

Nie było więc rady.

Wprawdzie, w gronie pewnem, przy preferansiku, urodził się był projekt „patryjotyczny“, niedopuszczenia Mędzińskiego do kupna Ohrebyszcz i Krasilowiec, a to, za pomocą składki obywatelskiej. Postanowiono zapłacić chociażby dwa razy tyle! Odwoływano się do ducha poświęcenia. Wołano o ofiary. Odgrązano się bardzo głośno. Skończyło się jednak na tem, że zebrano podpisów na rubli srebrem tysięcy szesnaście (jak na niedorzeczność, za wiele), podczas kiedy chodziło o tysięcy około siedmset. Sumę tę, na czasy owe ogromną, Mędziński, za pomocą zaciągnięcia długu bankowego, w całości gotówką płacił. Zabiegi więc „patryjotyczne“ skończyły się na niczem.

Interes kupna prowadził Gustaw. Lat dwu z górą potrzeba było, ażeby do końca doprowadzić. Ostateczna wypłata nastąpiła w Kijowie, na kontraktach, na które pan Kacper z panem Gustawem jeździł i na których po raz pierwszy o współobywateli się otarł. Nie obeszło się bez afrontów, które on z filozoficznym przyjmował spokojem, nie zważając wcale na przycinki dwóznacze, a może nie rozumiejąc takowych. Najważniejszym faktem tego rodzaju był okrzyk jakiegoś węsala na sali kontraktowej:

— Precz ztąd z lokajami!...

Ci, co przy Mędzińskim bliżej się znajdowali, odstąpili, i sformowała się do koła niego próżnia, której on stanowił centr-

ze wszech stron oglądany. Sytuacja niemiła, bądź co bądź. Pan Kacper nie wiedział, co ze sobą począć i zmięszał się nieco, gdy ujrzał jegomościa jakiegoś hardej postawy, kroczącego wprost ku niemu. Jegomość ów miał taką minę, jakby go chciał za kołnierza ująć i za drzwi wyprowadzić. Lecz niemałem a nader miłem było jego zdziwienie, kiedy ten rękę mu publicznie podał, dłoń uścisnął i głośno przemówił:

— Korzystam ze sposobności przedstawienia się panu dobrodziejowi jako jeden z sąsiadów jego, Erazm Dębski...

— Miło mi bardzo... — bąkał Mędziński.

Pan Erazm wsunął mu rękę pod ramię i począł się z nim przechadzać po sali, wśród grup, głośno o wypadku rozmawiających, lecz za każdym ich zbliżeniem się umilkających. Pokątnie odgrażano się wyzwaniem Dębskiego na pojedynek. Lecz odgrazanie się przeszło bez następstw.

Z Kijowa pan Gustaw podążył wprost do Odessy, pan Kacper zaś obrócił drogę na dobra swoje, w posiadanie których wprowadzonym być miał urzędownie w marcu dopiero.

Zajechał wprost do chaty matczynej.

Staruszka łzami się rzewnymi załala, ujrzawszy po latach tyłu jedynaka panem. Państwu jego nie zdziwiła się, coś już bowiem o tem słyszała; ludzie gadali, a ona i wierzyła i nie wierzyła. Znalazła go jednak dziwnie wypiękniałym, pomimo, że pan Kacper pięknym w rzeczy samej nie był. Posiadał jednak akcent powagi, odpowiedni stanowi, w jaki wstępował. Był to człowiek wzrostu więcej jak miernego, twarzy dużej i pociągłej, oczy błękitne, włosy płowe, nos równy, czoło nie wysokie, ale i nie niskie i na obliczu rozlany wyraz, którzy Francuzi nazywają *placidité*. Matka go zasypała pytań gradem i na odpowiedź nie czekała:

— Tyś się ożenił?... nieprawdaż?... z Kaśką?... I macie już dziecko jedno?... nieprawdaż?... dziewczyna?... Niech rośnie i zdrowo się chow!... Ty chciałeś kupić chatę z gruntem, aleś się namyslił i ku ileś Ohrebyszcze z Krasilowcami?... Zkąd ty do pieniędzy przyszedł?... Ja się temu wydziwować nie mogę... Ojciec twój nieboszczyk życie całe pracował i... gdzie!... Nigdy mu na myśl nie przychodziło kupowanie chaty, nie dopieroż Ohrebyszcze i Krasilowiec... A jak mojej wnuczce na imię?... A kiedy ja ją zobaczę?... I na co się ty ożenił z Kaśką, kiedy

ja tu upatrzyła dla ciebie żonkę jak malowanie?... Ej, Kacprze, Kacprze! czy ja się spodziewała doczekać czegoś podobnego!...

Baba gadała, trzepała, i nieprędko Kacper zdołał głos zabrać, ażeby matce opowiedzieć szczegóły jej nieznane a ciekawe. Staruszka przerywała często synowi opowiadanie wykrzyknikiem:

— Wyrażna łaska boża!...

Wieść o przyjeździe przyszłego dziedzica doszła do dworu, w którym zamieszkiwała administracja majątku. Pan administrator zawitał wnet do chaty starej Mędzińskiej z pozdrowieniem i z prośbą, ażeby pan Kacper stanąć raczył we dworze. Kacper się wymówił. Obiecał bytność swoją nazajutrz i prosił, ażeby przygotowano sanie i konie, oświadczając, że chce na chwilę do Krasilowiec zajrzeć.

Nazajutrz udał się do dworu. Zaledwie go poznał. Ruina! Sztachety powyłamywane; dach obdarty; okna, jedne papierem pozaklejane, inne poduszkami pozatykane; stajnia wpółzwalona, oficyna spalona; ogród zapuszczony. Przeszedł się po pokojach, i pomijając zniszczenie ogólne, jakie dotknęło podłóg, ścian i mebli, najbardziej uderzył go fortepian, który stał w bawialnym pokoju, na dawnym swoim miejscu, ale sztorcem, ogonem do góry, i zaopatrzony był w drzwiczki malusie. Pan Kacper otworzył drzwiczki. Z wnętrza fortepianu wyskakiwać poczęły króliki białe z oczami czerwonymi. Administrator tłumaczył, że królikom zimnoby było na dworze, lub gdzie w spichrzu jakim i dla tego ulokował je we dworze, a że, gdyby je swobodnie zostawić, brewerjeby wyprawiały, więc zamyka je w tem pudle, które inaczej bez użytku by stało. Fortepian ów był wiedeński i pochodził z najpierwszej fabryki. Kacprowi przypomniał on zaręczyny podkomorzanki.

Konie zamówione czekały. Pojechał do Krasilowiec.

Tam oczekiwały na niego: owacja ze strony żydów i uprzejme przyjęcie ze strony księżnej.

Żydzi spotkali go z dziesięciorgiem i witali oracjami. Musiał wysiąść w domostwie Borucha, wypić kieliszek szabasówki i przyjąć upominki pod postacią ciast, zwanych uszami hamanowymi, makagig, pierników, fig, rożków i orzechów.

— *Es lebe!*... — wołali. — *A giter puryc!*... Na sto lat!... Na zdrowie!... Na szczęście!...

Księżna powitała go podaniem dłoni. On rękę jej ucałował.

— Siadajcież, panie Kacprze... — rzekła. — Tak to, fortuna kołem się toczy... Byłam na górze, tyś był na dole... Dziś ja na dole, ty na górze...

— Dotrzymam święcie, com panu Gustawowi przyrzekł... — odparł Kacper.

— Dziękuję wam... za siebie i za księcia... Bądźcie pewni, że cenić umiem dobre serce wasze... Nie należy się mi od was nic... Robicie więc dla mnie ofiarę...

— Ofiarę?... zapytał Kacper, jakby znaczenia wyrazu tego nie rozumiał.

I zafrapował go wyraz ten.

Kiedy go wielka przyciskała bieda, że aż musiał u żołdata złotówkę pożyczać; kiedy pod ciężarem pracy upadał, zarabiając na nędzne utrzymanie dla dziecka-niemowlęcia, dla żony, co do niczego nigdy ręki nie przyłożyła: wówczas ani mu przez myśl przechodziło, że ofiarę czyni. Wydawało się mu, że pełni powinność i nie więcej. Dziś, gdy wydzielił część ze zbytków swoich na korzyść dwojga nędzarzy, ciśnięto mu w oczy wyrazem: ofiara. To go zastanowiło. Była to rzecz dla niego nowa zupełnie. Opuszczając przeto księżnę, wynosił od niej mętne jakieś pojęcie zasługi, której przedtem nie rozumiał wcale.

Zarządził w Ohrebyszczach reparacje co najniezbędniejsze, zamówił oficjalistów, pożegnał się z matką i powrócił do Odessy, gdzie go pani Katarzyna z utęsknieniem wielkiem wyglądała.

Do pozostawiania w Odessie nadal nie było powodu najmniejszego.

Państwo Kacprostwo wybierali się powoli, układając sobie niejako program życia nowego, jakie niebawem rozpocząć się dla nich miało. Pani sama spoglądała w przyszłość ze spokojem jak największym i z ufnością zupełną. Spokój ten i ta ufność niepokoiły trochę pana Kacpra.

— Kasiu — powiadał do żony — pomyśl jeno, czy potrafisz ty być panią jak należy?...

— Owa!... czy to tak trudno!... Wiem już przecie, czego nie robić: nosa palcami nie ucierać, palców w gębę nie tkać, nie drapać się przy gościach w głowę, w plecy ani nigdzie, tyłem się nie obracać, nóg nie zadzierać, nie rozwalać się, nie *hykać*, nie szturchać ludzi palcami ani kułakiem... o... i cóż więcej?... Wiem z drugiej strony co robić: siedzieć swobodnie na kanapie

albo na krześle i o zdrowie rozpytywać... To nie sztuka, powiadam ci... Większa sztuka być dobrą praczką, jak przyzwoitą panią... Dam ja państwu rady, nie bój się... Zobaczysz...

W tej materji miał Mędziński i z panem Gustawem rozmów parę, powód do których dało owo stronienie od niego obywatelstwa w Kijowie. Pan Gustaw dawał mu radę następującą:

— Nie narzucaj się pan, pełń powinność swoją na stanowisku, na jakim cię los postawił i o resztę nie dbaj... Nie poczuwasz się przecie do winy żadnej...

— Ja się nie poczuwam, ale, zdaje się, jakby mi poczytywano za winę sposób, w jaki do majątku przyszedłem...

— Przemienie to... nie ma w tem bowiem racji logicznej... Przyszedłeś pan do majątku przypadkiem, jak każdy, co nie doszedł do fortuny pracą własną... Urodzenie się człowieka każdego jest dziełem przypadku, losem na loterii, jaki każdy, przychodząc na świat, wyciąga... Przypadek względem ciebie rozłożył się na dwa tempa: urodziłeś się ubogim i z bogaciłeś się w sile wieku... Winę przypisywać ci można w takim jeno razie, gdyby za wstyd uważano posiadanie majątku niezapracowanego... Może to kiedy nastąpi; jak długo jednak nie nastąpi, używaj w spokoju fortuny, nabytej zupełnie tak, jak jej nabywa każdy, co się bogaczem urodził... Nie narzucaj się współobywatelom i czekaj cierpliwie, aż oni sami do ciebie przyjdą...

Z jednej strony żona, z drugiej pan Gustaw dodawali Kacprowi otuchy. Okrom tego, istniała jeszcze racja jedna, która pana Kacpra od rozpaczki broniła. Racja ta polegała na tem, że znanymi mu były słabe obywatelstwa strony, wiedział, co ono lubi, do czego lgnie, czego użyć można na nie w rodzaju wędki lub wabika. Lokajowałże przecie, to znaczy, i ocierał się o obywatelstwo i służył mu, a znajdował się w dobrej szkole — w szkole podkomorstwa, które okolicy swojej ton nadawało. W programie przeto, jaki w głowie sobie układał, miejsce naczelne zajmował kucharz, a obok kucharza piwnica.

— I mnie samemu to nie zaszkodzi — myślał sobie — zjeść bowiem dobrze, toć to i miło i zdrowo (nie słyszał doktora Gallopin, wulgaryzatora higieny publicznej i domowej, głoszącego, na podstawie nauki, że smak jest z pomiędzy wrogów człowieka największym)... i ludziom dogadza... Zresztą, co tam żałować sobie!... Skąpy dwa razy traci...

Powiałał o tem żonie. Pani Katarzyna jednak wniknął nie umiała w głębokie znaczenie kwestji kuchennej. Nie rozwinęła w sobie jeszcze i nie wyrobiła smaku do stopnia takiego, ażeby kwestja ta miała dla niej to znaczenie, jakie do niej mąż przywiązywał. Zdawało się jej, że przecie każdy, z obywateli zwłaszcza (o nich to bowiem chodziło), ma w domu co jeść, a podjadłszy sobie, cóżby tam się miał łakomić! Do tego sposobu myślenia doprowadziła ją kuchnia odesska. Właścicielka domku przy ulicy Chersońskiej karmiła państwo Kacprostwo dobrze — tak dobrze, że pani Kacprowa tyć znacznie zaczęła — nie dawała im atoli potraw wykwintnych, ani też, w interesie własnym, nie stawiała na ich stole owych specyfików kulinarnych, posiadających własność zaostrzania apetytu. W Odessie przeto państwo Kacprostwo powodowali się apetytem naturalnym. Dla tego to pani Katarzyna kwestji kuchennej nie rozumiała jeszcze.

Rozumiał ją jednak pan Kacper bardzo dobrze. Stanowiła ona dla niego dopełnienie rady pana Gustawa. Radą tego ostatniego było: „Nie narzucaj się!“ — pan Kacper dodawał: „i miej kucharza *arte*“... Kończył zaś tą samą, co pan Gustaw konkluzją: „O resztę nie dbaj“...

Ta reszta atoli zatrwożyła go nieco, zapowiedziała mu się bowiem niejako, w Odessie jeszcze, na dni kilka przed opuszczeniem stolicy handlu czarnomorskiego, pod postacią bardzo przykrą. Zaanonsowano mu wizytę dwóch jakichś panów. Pan Kacper kazał służącemu zapytać o nazwiska. Służący przyniósł dwie karty wizytowe, obie z koronami, jedna z szlachecką, druga hrabiowską, na jednej nazwisko: „J. de Grochiewicz“, na drugiej: „C-te Charles de Kostrzewicki.“

— Prosić... — rzekł do służącego.

Sam zaś z salonu uciekł, pod pozorem poprawienia czegoś w toalecie swojej, w istocie jednak w celu nabrania ducha, który w nim, nagle, jakby zamarł.

— Co ci?... — zapytała żona, postrzegłszy pomieszenie jego.

— I nic... — odparł, stając przed zwierciadłem, gładząc sobie szczoteczką czuprynę i dziwiąc się sam bladej twarzy własnej.

— Ktoś przyszedł...

— Przyszedł... Wiesz kto?... Nie zgadłabyś... Pan Karol.

— A no... Chyba czegoś chce...

Uwaga ta żony przywróciła panu Kacprowi odwagę, którą postradał był niewiedzieć dla czego. Przyglądał sobie włosy, utarł nos, odchrząknął i wyszedł do gości krokiem pewnym.

Powitanie odbyło się za pomocą ukłonu, który ze strony pana Karola tak był lekkim, iż go prawie nie było.

— Proszę panów... — przemówił Kacper, ukazując ręką krzesła i wahając się, czy sam ma usiąść.

Usiadł jednak.

Pan Karol przypatrywał mu się z miną na poły drwiącą, co Kacprowi szyki w głowie mieszało.

— Jakże zdrowie?... — zaczął.

— Hm... hm... — odpowiedział Grochiewicz.

Zapanowało chwilowe milczenie, które przerwał pan Karol.

— Byłem u ciebie — rzekł — trzy lata temu, tego samego dnia, w którym ślepy traf dał ci w ręce fortunę...

Kacper gestem odpowiedział, że się o tem pierwszy raz dowiaduje.

— Czy wiesz, po co przyjeżdżałem?..

— Nie wiem...

— Powinszować ci... Przyjeżdżałem powinszować ci i czekałem wraz z matką moją, że się przecie domyślisz i sam zgłosisz do ludzi, którym tyle winien jesteś...

— Ja?... — zapytał pan Kacper z przyciskiem niejakim.

— Któż?..

Kacprowi stanęło nagle w myśli oddanie go pod sąd przez podkomorzynę.

— Gdyby ciebie nieboszczyk ojciec mój nie wziął i nie wychował, gdyby matka moja nie była cię zabrała do Odessy, gdybyś nie był od dzieciństwa przez rodziców moich obsypywany dobrodziejstwami, to dziś chodziłbyś za plugiem... Tak, czy nie?... A tyś nawet nie raczył do nas zajrzeć, pomimo że ci pierwszy odwiedził!...

— I ja odwiedzałem, jak sobie pan Kacper przypomina... — odezwał się pan Grochiewicz. — I prosiłem pana do siebie nie w innym celu, jeno w tym, ażeby przypomnieć mu obowiązek wdzięczności względem pani podkomorzyny...

— Wdzięczności — podchwycił pan Karol — posuniętej do tego stopnia, że nie tylko o prostej względem dobroczyńców swoich powinności zapomniał, ale jeszcze i majątek im zabrał...

— Ja... — replikował Grochowiec — wbrew zwyczajowi memu, napraszałem się prawie z radami, narzucałem się niemal... i gdyby pan Kacper mnie słuchał, byłby się tego nie dopuścił... Jak to?... zabierać majątek dobroczyńcom swoim?... A!...

— I ani zajrzeć do nich!... — wykrzyknął pan Karol.

— I ani zajrzeć do nich!... — zawtórował Grochiewicz.

Pan Kacper, który to bladł, to znów czerwieniał, podczas kiedy panowie kolejno przemawiali, ochłonał nakoniec. Poprawił się na krześle, odchrząknął głośno, uśmiechnął się drwiąco i głos zabrał:

— Wiem, w jakim celu zaszczytiliście mnie panowie wizytą swoją.. Żeby atoli celu tego dopiąć, trzeba się było do mnie inaczej trochę brać... Ślepy traf majątek mi w ręce dał i ten sam ślepy traf w ręce nieboszczyka podkomorzego mnie oddał... Wszystko poszło z zająca, którego ojciec mój nieboszczyk zastrzelił... Jeżeli przeto komu wdzięczność się odemnie należy, to najprzód ojcu memu, za zastrzelenie zająca, a potem żydowi który mnie namówił do kupienia biletu na loteryję... Rodzicom pańskim — tu się zwrócił wprost do pana Karola — służyłem, i służbą, jakiej po mnie wymagano, odwdzięczałem się za dobrodziejstwa, które odbierałem pod postacią zasług... Nie znam dobrodziejstw innych...

— Samo to, żeś w domu był... — wtrącił pan Karol.

— Gdzież być miałem!... Służąc... za lokaja! Nie sposób lokaja trzymać gdzieindziej, jak w domu...

— Faktem jednak jest, że zabrałeś pan majątek — podchwycił Grochiewicz — i że ze strony pańskiej należy się pierwotnemu onego właścicielowi indemnizacja odpowiednia...

Pan Kacper uśmiechnął się.

— Majątek, panie łaskawy, kupilem — odrzekł — u wierzycieli podkomorzycy Kostrzewickiego...

— U oszustów!... u złodziei!... — krzyknął podkomorzycy. — Kto kradzione rzeczy kupuje!...

— Indemnizacja nie należy się odemnie żadna nikomu... — odparł Kacper, wstając, prostując się i głowę podnosząc.

— Aha!... — krzyknęli obydwaj.

— I, jeżeli panowie tym dalej do mnie przemawiać będącie językiem, to poproszę panów uprzejmie o wyświadczenie mi dobrodziejstwa i skrócenie wizyty...

Po słowach tych, wyrzeczonych tonem stanowczym, spojrzeli po sobie pan Grochiewicz i podkomorzycy, ten zaś ostatni odrzekł:

— No-ooo!... W gorącej widać kapanyś wodzie, kiedy tak wszystko bierzesz wnet do serca... Tu nie chodzi o nic innego, tylko o to, żeby cię nie dopaścić popaść w niewdzięczność... Rzecz czysta i prosta...

— Indemnizacja jakaś należy się, chociażbyśmy się spuścili na sąd cygański... — dodał Grochiewicz.

— Dobrze... — odparł Kacper z powściąganym uśmiechem. Zgoda... Odwołajmy się do sądu... chociażby cygańskiego...

— Co tam sądy!... — podchwycił pan Karol. — Sądem najlepszym, sumienie człowieka... Pewny jestem, że sumienie powiada Kacprowi, że się mnie od niego coś należy...

— Co naprzykład?... — zapytał Kacper tonem już wyraźnie drwiącym,

— Cóż?... nie?... — odparł podkomorzycy.

— Na dobrą sprawę, albo wszystko, com wygrał na loterii, albo nic.

— Nie wszystko i nie nie, ale tysięcy... ze... hm...

— Dwadzieścia... — dokończył Grochiewicz.

— Trzebaż było od tego zacząć i wręcz mi powiedzieć: Kacprze, przyszedłem do ciebie po to, ażebyś mi dał dwadzieścia tysięcy... Jabyś odpowiedział: dam karbowańców sto...

— Ha! *canaille!*... — krzyknął podkomorzycy, zrywając się i za kapelusz chwytając. — Dokop się tu uczuć szlachetnych w lokajskiej duszy!...

Nałożył kapelusz i wyszedł, popychając przed sobą Grochowicza. W przedpokoju słychać było głos tego ostatniego:

— Czegoś się pan dobrodziej uniósł?...

Kacper pozostał na środku salonu z uśmiechem ironicznym na ustach, i nim uśmiech ten ustąpił, doczekał się powrotu jednego z dwóch gości swoich, a mianowicie pana Karola...

— Uniosłem się.. — rzekł wchodząc i dłoń Kacprowi podając. — Przepraszam.. Znasz mnie przecie i wiesz, że się

unoszę niekiedy... Przyznaj jednak sam, możnaż było nie unieść się, jakeś mi stem rubli w oczy chlasnął!... Przyznaje, że co ten dudek powiedział... tysięcy dwadzieścia... to za wiele... za wiele... Ale tak... połowa tego...

Kacper, który ujętą i mocno ciśnioną dłoń swoją, pozostawił bezwładnie w dłoni podkomorzycy, głową wstrząsnął na znak odmowy.

— Więc tysięcy pięć...

Znów Kacper głową wstrząsnął.

— Jakto?... nie?... nie?...

— Rubli dwieście...

— Ha!... to niech będzie... trzy tysiące...

— Nie...

— Ani tysiąc pięćset?...

— Nie...

— Tysiąc!...

— Pięćset... — rzekł Kacper tonem, który zapowiadał postanowienie ostateczne i niezłomne.

— Wiesz, Kacprze... — odparł podkomorzyc tonem półrozrzewnienia — że miałem dla ciebie słabość zawsze... Rubli pięćset... to kpina... Nie zrobiłbym tego dla nikogo, tylko dla ciebie jednego... Dawaj!...

— Dam, ale pod jednym warunkiem...

— Pod jakim?...

— Przez tę słabość, jaką ma pan dla mnie, napiszesz mi pan pokwitowanie, że biorąc u mnie rubli pięćset za nic, zrzekasz się oraz wszelkich pretensyj do wdzięczności z mojej strony...

— Na cóż to?...

— Na wszelki wypadek... Może kiedy potrzebować będę przekonywać kogo, żem dług wdzięczności spłacił...

— Masz moje słowo...

— Wolę pismo...

— Słowo honoru!...

— Inaczej nie dam rubli pięciuset...

— Cóż z tobą robić!... Dawaj papieru i pióro...

Pokwitowanie w żądanej formie zostało napisane.

Pieniądze zostały wypłacone.

XIII.

Państwo Kacprostwo osiedli tedy w Ohrebyszczach.

Mamże opisywać ich przybycie? Porządek powieściowy wymagałby tego. Mam nawet w ilości sporej frazesy gotowe do ulokowania w tem miejscu. Ale — powiem po naszymu „pal diabli porządek“ — pomnę część opisową, a przystąpię wprost do opowiadaniowej.

Pani Katarzyna, jakkolwiek co do kwestji panowania czuła ufność zupełną sama do siebie, wszakże na samym panowaniu wstępie, zrobiło się jakoś nijako — i to nie w obec współobywateli i współobywatelek, których nawet nie widziała jeszcze, ale w obec Ohrebyszczan, w obec domowników i sług własnych, w obec zresztą miejsc samych tysiącem wspomnień brzemiennych. Tu stało się jej to, tu owo. Ten ją połajał nieraz, od tego w kark dostała, ów obszedł się z nią w sposób wcale... nie kawalerski, ani też szarmancki. Ujrzała oblicze kobiety, która ją po razy kilka na godzinę „niechlują“ nazywała. Nikt jej zresztą inaczej nie nazywał, i gdy uciekła, to głos powszechny wróżył jej koniec bardzo smutny, na tej podstawie, że taka jak ona utrzymać się jeno mogła w Ohrebyszczach jednych gdzie się urodziła. Nie przypuszczano, ażeby ją kto na służbę przyjął. Nie wiedziano, co ją do ucieczki zmusiło. Zapomniano o niej — i oto, nagle, Kaśka niechlują, Kaśka nieroba, Kaśka popychadło i przedmiot żartów czeladzi najpośledniejszej, zjawia się panią Ohrebyszcz i Krasilowiec.

I jej było nijako — i ludziom było nijako.

Niektórym kręciło się po myśli: czy nie uciekać w świat za oczy?

Lękali się zemsty Kaśki.

Kaśka jednak, w panią Katarzynę przeistoczona, o zemście żadnej ani myślała. Ona się sama czegoś lękała — czego? tego by zdefiniować nie mogła. Zdawało się jej, że dla odwrócenia owej „niby zemsty“ od siebie, wypada ujmować dobrocią czeladź, sługi. Stała więc względem nich od razu, jako pani i gospodyni wyrozumiała i względna, przystępowała do nich z ostrożnością i nieśmiałością niejaka i kiedy do niej ta sama, co ją najczęściej „niechlują“ przezywała, „imość lubko“ przemó-

wiła, rozplakała się z rozrzewnienia głębokiego, które ją nagle opanowało.

Lękając się owej „niby zemsty“, nietyłe może miała na względzie siebie samą, co Franusie swoją, dziewczynkę w czwartym roczku, oczko swoje złote. O nią jej głównie chodziło. Sługi jednak, jakby przeczuwając troskę matczyną, otoczyły dziecko odrazu tą pieczołowitością, jaką jeno na wsi znają, gdzie dzieci uważają się na serjo za błogosławieństwo Boże. Franusia była w mieście obsługiwana; na wsi ujrzała się wśród niewolnic i niewolników, śledzących jej skinienia. Stała się więc łącznikiem, który sprowadził bardzo prędko harmonię pomiędzy dawną Kaśką a byłymi jej prześladowcami. Franusia sankcjonowała ją na panią; włożyła jej na głowę koronę macierzyństwa i ta dokonała przeistoczenia. Matka panienki nie mogła być czem innym jeno panią.

Panu Kacprowi poszło w tym względzie bez porównania łatwiej. On bo był panem i przedtem, tylko nie dla równych sobie i nie dla wyższych, których znajdowała się w Ohrebyszczach liczba ograniczona. A i tych kataklizm majątkowy, jaki dotknął dawnych panów, rozpędził na cztery wiatry, tak, że z całego grona pozostał jeden stary Lewicki, zamieszkujący tymczasowie w chacie chłopskiej i nie wiedzący co ze sobą począć. Ten, zaledwie państwo Kacprostwo we dworze stanęli, przedstawił się dawnemu podwładnemu swemu z ukłonem do kolan.

— A! to wy, panie Lewicki?...

— Ściele się do stópek jaśnie pana.. — była starego kamerdynera odpowiedź — i ofiaruję mu służby swoje...

Owo „jaśnie państwo“ spadło jak z nieba. Pan Kacper nie zaprotestował, nie mogąc się połapać odrazu, czy mu się ten tytuł należy czy nie, a czując, że go on podnosi w oczach gawiedzi. Nie zadawał sobie pytania, ażali „jaśnie państwo“ nie jest przywiązane do dziedzictwa Ohrebyszcz. Za granicą, gdzie się szlachce wedle ziem lub zamków nazywają, byłoby to zupełnie w porządku. Ten jest markizem od markizatu, ów hrabią od hrabstwa, inny księciem od księstwa — jaśnieją blaskiem pożyczanym, jak księżyc. Nasi, w małpowaniu księżyców, słońca udają, i dodając sobie „de“ do „ski“ chcą świecić blaskiem własnym. Pan Kacper kwestji tej nie zbadał, nie popra-

wił więc Lewickiemu tego *lapsus linguae* umyślnego i odpowiedział dawnemu swemu przełożonemu zapytaniem:

— Chcesz stanąć na służbę u mnie?...

— Jeżeli łaska jaśnie pana... — odparł Lewicki, kłaniając się powtórnie. — Służba kamerdynerska na palcach mi jest znana... Lat czterdzieści pięć, jaśnie panie!... w tym domu...

— Dobrze więc, zostań u mnie... na warunkach...

— Jaśnie wielmożny podkomorzy nieboszczyk płacił mi rocznie rubli srebrnych siedmdziesiąt i pięć i obiecywał podwyższyć, ale... śmierć zaskoczyła, a potem, jak jaśnie panu musi być zapewne wiadomo, nastąpiła zarwanica...

— Ja ci pensję podwyższę do rubli... ośmdziesięciu pięciu...

— Do nówek się ścielę jaśnie panu, dziękując jak najpokorniej za wspańałości jego...

To także był szlachcie i przodkowie jego podobność... Mniejsza jednak o to! Dość, że Lewicki zajął we dworze ohrebyskim stanowisko, zajmowane dawniej, i przez wprowadzenie „jaśnie państwa“, przyczynił się niemało do wzmocnienia stanowiska pana Kacpra.

Wszystko to atoli odnosiło się do spraw, że tak powiemy, wewnętrznych. „Jaśnie państwo“ wśród służby przyjęło się. Za służbą poszli żydzi krasilowieccy, których olśniewał „a glik“ człowieka nagle zbogaconego i gotowi go byli tytułować, nie tylko „jasnym“, ale i „najjaśniejszym“, gdyby wolno było. Za służbą poszli oficjaliści i chłopci i sprawy wewnętrzne dobrze się ułożyły, tembardziej, że pan Kacper, jako pan „i dziedzic, postawił się poważnie, podszywając powagę sprawiedliwością i konduktą moralną. Było to osobiwością. Osobiwość ta jednak łącno się tłumaczy, biorąc na uwagę tę okoliczność, że się z lokajstwa w państwo przerzucił nie odrazu, ale przeszedł przez czyściec pracy i nabrał dla pracy poszanowania. Na tem, bodaj, czy nie opiera się moralność cała.

Wolaliśmy wciąż: „lokaj!... lokaj!“, odkładając umyślnie przyciśnięcie pióra w tem miejscu, na którem podkreślić możemy wyraz „praca“.

Praca go oczyściła.

Uszanował ją.

I dla tego umiał szanować bliźniego w osobach sług i oficjalistów swoich, żydów i żydówek, poddanych i poddanek.

Odrzucał to się czuć dało. Sprawy wewnętrzne ułożyły się dobrze, nie wchodziły się bowiem do nich męty i tajemnice, o których, „ne znajut’ ni żinka ni dity“, jak Szewczenko powiada.

Pozostawały jednak sprawy zewnętrzne do urzędzenia.

Otóż tu znajdował się sęk, który wydawał się do rozbicia trudnym.

Pan Kacper miał rozgarnienia na tyle, że wiedział, iż od kroku pierwszego wszystko zależy, nie chciał więc stawiać precedensów, któreby na jego wypadły niekorzyść: nie spieszył się z oddawaniem sąsiadom wizyt, w obawie, ażeby się nie narazić na to, iżby pierwszy, któregooby atencją swoją zaszczycił, bez rewizyty go nie zostawił. Wolał przeto puścić rzecz tę w odwłokę, czekając na okazję. Zameldował się tylko marszałkowi powiatowemu, który przyjął go sztywnie, oficjalnie i z tą grzesznością, która przymusem trąci. Zresztą, nie jeździł do Fiasobłówki nawet, a tylko... przyjął kucharza.

Przyjął kucharza, który dwóch obywateli na marszałków guberskich wykiełkował i słynął na Podole, Wołyn i Ukrainę całą.

Był to kucharz i cukiernik w jednej osobie.

Wieczera jedna cukrowa, którą sporządził, oczekiwała jeno na poetę, coby ją potomności przekazał.

Przyjęcie kucharza tego wstrząsnęło opinią publiczną okolicy. Zajmowano się Kacprem ogromnie i bez tego. Od tego atoli momentu, nie zajmowano się czem innem, jak tylko wnioskami, przypuszczeniami i domysłami, jakie fakt ten nastroczał.

— Co on sobie myśli!... — powiadano. — Dla kogo on tego kuchmistrza wziął?... dla siebie i dla jejmości swojej?...

Dowcipnisie powiatowi popisywali się z conceptami. Opo-wiadali, na przykład, że pan Kacper i pani Kacprowa, przy każdym obiedzie, po każdej potrawie, przypominają jedno drugiemu, ażeby się oblizali. Końca temu nie było. Conceptów na wołowej nie spisać skórze. Państwo Kacprostwo stali się przedmiotem pośmiewiska powszechnego, pośmiewiska zabijającego, które atoli zwać nie mogło faktu — kucharza. Gdyby pan Kacper, pośmiewisko do serca biorąc, był kucharza odprawił,

byłby, jeżeli nie zginął (zginąć nie mógł pan taki) w opinii publicznej, to przynajmniej położenie sobie bardzo utrudnił.

On jednak nie zważał wcale na to. Kucharza trzymał.

Kucharza trzymał i oczekiwał się tego, że do ohrebyskiego dworu zaglądać poczęli ten i ów sposobem przypadkowym. Pierwszym, co się herezji tej dopuścił, był właśnie autor conceptu o oblizywaniach się. Przejeżdżał przez Ohrebyszcze i koń dyszlowy podkowę zgubił. Pod sekretem powiadamy czytelnikom, że koń ten bez podkowy z domu wyszedł. Mniejsza jednak o to. Podkowa ta sprowadziła zbieg okoliczności taki: dzień roboczy, kuźnia zamknięta, kowal w polu, sprowadzenie kowala zależało od ekonoma, któremu się szlachcic nie chciał kłaniać i udał się do dworu, przedkładając wypadek, jaki go spotkał i prosząc o pozwolenie kowalowi zarobienia groszy kilka.

— Najchętniej, panie dobrodzieju, najchętniej... — była odpowiedź pana Kacpra, który też natychmiast po kowala posłać kazał.

Szlachcic podziękował serdecznie i zabierał się do odejścia.

— Ależ pan dobrodzieju — odezwał się uczynny gospodarz — będziesz musiał trochę poczekać... Kowal na poletku swoim... Nim to go odszukają, upłynie czasu niemało...

— Ha! i cóż robić!.. — szlachcic na to. — Wypadek taki

— Możeby pan dobrodzieju rozgościć się zechciał w moim domu... Toć to już i objadowa pora... Posiliłby się pan dobrodzieju...

— Subjekcja... — odparł szlachcic.

— Co za subjekcja!... Byłoby mi najmilej... proszę mi wierzyć...

— Ha!... Człowiek się przeciwko przypadkom assekurować nie może...

Pozostał szlachcic, do stołu zasiadł, usługiwali mu lokaje w białych rękawiczkach i we frakach, uśmiechała się do niego uprzejmie pani Mędzińska, jadł, oblizywał się — konia mu tymczasem podkuto — zjadł, wypił filiżaneczkę kawy czarnej, wypił likieru kieliszek, dostał sygar Hawanna na drogę, siadł na bryczkę, oblizywał się i rozgłosił po okolicy całej o przypadku, który go na objadek w Ohrebyszczach naraził.

— Co za objadek, powiem asanństwu dobrodziejstwu!.. Co za szyk!.. fiii-hi!..

W tygodni kilka później przyznawał się, że mu smak nie tylko do gęby, ale i do nosa powraca.

Za przykładem szlacheica tego poszli inni. Przypadków z podkowami, z kołami, z naszelnikami, etc., mnożyć się zaczęło w Ohrebyszczach w sposób zadziwiający. Z tuzin jaki szlacheiców musiał na objadku pozostawać. Pan Kacper wciąż jeszcze na okazję czekał, pilnując wyłącznie spraw wewnętrznych i nie żyjąc z nikim, z wyjątkiem księstwa Gamajdów.

Życie atoli z księstwem — cóż to było za życie!

Książę trzymał się miejsca, przy stoliczku, na fotelu.

Księżna pędziła dnie w samotności i smutku — w kościele i przed zwierciadłem. Nie bywała nigdzie, nie chciała się widywać z nikim. Przesuwała się, gestym woalem zasłonięta, z pałacu do kościoła, z kościoła do pałacu, pisywała do matki listy długie, zresztą studjowała fizjognomię własną, na której czas i smutek pisały literami wielkimi pożegnanie młodości. Czego ona właściwie na obliczu swoim śledziła, to trudno wytłumaczyć. Bywają ludzie, poświęcający czas życia całego badaniu przedmiotu jakiegoś wyłącznego — muszki, żuczka, mrówki, naprzykład. Stanowi to pewien rodzaj manii, prowadzącej niekiedy do ważnych w nauce odkryć. Być więc może, że mania podobna i księżnę opanowała. Nie wiem. Faktem jest, że, jeżeli nie znajdowała się w kościele, nie pisała listu do matki i nie przyjmowała posiłków do utrzymania życia i sił fizycznych potrzebnych, to czas cały, jaki od zajęć tych pozostawał, trawiła przed zwierciadłem. Zasiadała i patrzyła, patrzyła i patrzyła, odrywała oczy na to jedynie, ażeby wnet je zwracać i topić w odbiciu postaci własnej, przedstawiającej się w zwierciadlanej przezroczy.

Postać ta zmieniła się wielce. Gdzie jej było do tej księżnej, którą w Paryżu hołdy kosmopolityczne otaczały! Coś w niej jednak pozostawało z ponęt dawniejszych — coś, czego określić nie sposób inaczej, chyba powiadając ogólnie, że pozór jej budził współczucie. Ze smutkiem było jej do twarzy. Występował on na niej pod postacią owej melancholii, którą Słowacki wyszydzić usiłował, która atoli posiada urok pewien, którą owiewa poetyczność jakaś. Podejrzывать można, że księżna studjowała

się w zwierciadle nie w innym celu, jeno dla umelancholizowania smutku swego, dla odróżnienia go od smutku gminnego, sprawiającego wstępną w ludziach, niemających do smucenia się powodów. Smutek księżnej był takim, że chciało się go z nią podzielać, nie miał bowiem ani policzków wychudłych, ani oczów wpadłych lub opuchłych, ani sińców pod oczami, ani kości sterzących, ani ubioru zaniedbanego. Przeciwnie. Księżna wyglądała, nie świeżo wprawdzie, ale wcale nieźle — nie roztyła się, jak pani Kacprowa naprzykład, nie schudła jednak bynajmniej. Dla tego to zapewne melancholia odbijała od niej sympatycznie, bardzo sympatycznie.

Spółczucie dla niej tem było silniejsze, że stroniła od ludzi. Parafianie krasilowieccy widywali ją zdaleka, przez mgłę woalu, jedynym zaś człowiekiem, co ją odwiedzał, był pan Kacper, którego ona przyjmowała uprzejmie, dziękując mu, że nie zapomina o samotnicy.

— Gdyby nie ty, panie Kacprze kochany — rzekła razu pewnego — nie wiedziałabym już, jak ludzie... ludzie pocziwi... wyglądają...

— Czemuż bo się wasza książęca mość tak odosabnia!... — odważył się pan Kacper uwagę raz zrobić.

— Cóż chcesz!...

— Wyjechałby gdzie, bodaj w pole, jeżeliby wasza książęca mość — dodał — nieśmiało — nie chciała zaglądać niekiedy do mnie, naprzykład...

— Bez księcia nie mogę...

— A to z księciem panem...

Księżna uśmiechnęła się i głową wstrząsnęła, na znak, że jest to rzeczą absolutnie niemożliwą.

Gdy się wznowiła rozmowa podobna, odrzekła:

— Oto wiesz co, panie Kacprze... jeżeli chcesz sprawić mi przyjemność, przyjedź kiedy z żoną i z dzieckiem... Wszak masz dziecko?...

— Mam, wasza książęca mość...

— Duże?...

— Piąty roczek...

— Chłopiec?... dziewczyna?...

— Dziewczyna...

— O! posażna panna!... — podchwyciła księżna — jeśli wam Bóg dzieci więcej nie da...

Po krótkim milczeniu powtórzyła:

— Przywieź mi, panie Kacprze, twoją żonę i córkę... Zrobi mi to przyjemność...

Kacper, w parę dni później, stawił się w krasinowieckim pałacu z panią Katarzyną i z Franusią.

Panią Katarzynę pałac zafrapował widokiem swoim.

— Ależ rudera!... — krzyknęła. — Jakże tu mieszkać można!...

— Albo co?... — zapytał pan Kacper, którego wykrzyknik żony zastanowił do tego stopnia, że pierwszy raz pałac z wierzchu pilniej oglądać począł.

— Co?... Jaby ci tu za żadne skarby świata nie mieszkała!... Bałabym się, ażeby mi się to wszystko na głowę nie zwaliło...

Kacper ramionami ścisnął i poprowadził żonę z córką do księżnej, która z serdeczną, i jak się zdawało, ani trochę nie udawaną uprzejmością, przyjmowała gości tak odmiennego od niej mianownika. Rozmowy nie powtarzamy — bo i cóż to za rozmowa była! Księżna, celem ujęcia zapewne matki, wydała wykrzyków ilość niemałą pod adresem dziewczęcia:

— Co za śliczna!... co za luba!... Jakież to miłe dziecko!... Zachwycająca!...

— Pieszczą ją wszyscy... — odrzekła pani Katarzyna — babunia szczególnie...

— To ma babunię?... —

— Matka moja, mości księżno... — odparł Kacper.

— Jakże bo nie pieścić aniołka takiego!...

I tak dalej. I tak dalej.

Wizyta się skończyła. Pan Kacper, wsadziwszy żonę do pojazdu, obchodził czas jakiś pałac do koła, przypatrywał się mu i głową kiwał, mówiąc sam do siebie:

— Kasia ma rację, jak mi Bóg miły...

Nazajutrz wystąpił do księżnej z propozycją formalną, którą od następujących, trochę *in crudo*, rozpoczął wyrazów:

— Niech wasza książęca mość z księciem panem wynosi się z pałacu...

— Cóż?... wymawiasz nam dach, panie Kacprze?... — zapytała łagodnie.

— A... nie... Ale w pałacu tym mieszkać niebezpiecznie, a restaurować go nie warto, trzebaby bowiem zwalić i odbudować inaczej... To rudera, co się już sama nie utrzyma, a po-deprzeć ją, to podkory lichu wezmą... Jest tu dworek w Krasinowcach, każe go wyreperować i umeblować, tymczasem zaś niech księstwo raczą gościnność w domu moim przyjąć...

Księżna westchnęła, głową wstrząsnęła i odparła:

— Nie sposób...

— I czemuż to?...

— Księcia z jego siedzenia żadna wyrwać nie potrafi potęga, a... gdzie książę tam i ja... Opatrzność nas związała...

Pan Kacper nie mógł się obronić wzruszeniu pewnemu.

— Zaczna żona... — pomyślał sobie. — Gotowa żywcem się przy mężu zagrzebać... Szczęście jej tylko, że mąż ten niedługowieczny, i zdaje się, prędzej umrze, aniżeli się pałac zwali...

Dodał jednak głosem wzruszonym:

— Ależ się pałac ten lada moment zwali!...

— Ha!... Zmieni się tylko rodzaj grobu... Jest stojącym będzie leżącym...

Nie było co nalegać dalej. Kacpra dziwiłoby mogło przywiązanie kobiety do męża, którego ona nie widywała nigdy prawie, gdyby obcemi mu były zwyczaje, w wysokich sferach towarzyskich przyjęte, wedle których przywiązanie a widywanie się stanowią dwie rzeczy całę różne. Gdzie można kochać przez prokurację, tam można czuć przywiązanie, nie widując się nigdy. Księżna zapytywała jeno Weroniki codziennie o zdrowie księcia.

Na tem ograniczał się ich stosunek cały. Mimo to, jak się pokazuje, przywiązana była. To dziwne, ale — dziwnem to być może jeno dla gminu, nieumiejącego umysłem pospolitym poemować tych węzłów powietrznych, którym uksiążęcenie, uhrambienie, ubaronienie zresztą nadaje moc niespożyta. Gmin, dowiedziawszy się o fakcie, który pan Kacper opowiadał zaglądającym do niego przypadkowo i zjadającym objadki jego niechęcący szlachcicom, wołał:

— Co za poświęcenie!... Co za ofiara!... Co to za kobieta!... Pokazuje się to, mości dobrodzieju, teraz... po harapie... Dobra krew górę wzięła...

Ludzie moich lat, gdy wyrostkami byli, przypominają sobie zapewne trzęsienie ziemi dosyć silne, które się czuć dało na Podolu i Ukrainie. Podobno i na Wołyn rozciągnęło się ono. Szczegóły tego nie pamiętam. Pamiętam jednak doskonale trwogę, jaka ogarnęła była nas, w gronie rodzinnem, gdyśmy usłyszeli nagle huk głuchy, połączony z kołysaniem się gruntu pod nogami. Belki w domu zatrzeszczały, ze ścian obrazy pospadały, szkła zadzwoniły, dzwony cerkiewne jęły. Wybiegliśmy gromadą całą domowników na podwórze z okrzykami: ogień!... pali się!... I nie umieliśmy sprawy sobie zdać z tego, co zaszło, aż ojciec nazwał zjawisko. Działo się to nad wieczorem.

To samo, w tym samym czasie, zrobiło się w Ohrebyszczach.

Pan Kacper, pani Kacprowa, chwytając Franię na ręce, słudzy wszyscy wysypali się hurmem na podwórze.

Zjawisko nazwał stary Lewicki, tłumacząc, że się zdarza w jednych miejscach co lat pięćdziesiąt, w drugich co czterdzieści, w trzecich co trzydzieści i t. d., a w niektórych co rok, jak naprzykład, w Dryżypolu, gdzie na świętego Michała, regularnie:

— Tyrrrr... I to proszę jasnej pani — wykladał eks-Kaśce — to od takiej ryby, która, jak kiwnie ogonem, to się ziemia nad ogonem trzęsie, a jak ruszy skrzela, to nad skrzela, a jak się trzepnie, to już ziemia się trzęsie... ha!...

— Cóż to za ryba taka?... — zapytała pani Katarzyna z zajęciem.

— A taż, co to proroka Jonasza połknęła... Pan Bóg ją za to w ziemię wetknął i pozwolił jej trzepać raz ogonem, znów skrzela, znów sobą całą, inaczej bowiem trzęsienie ziemi byłoby bez końca... Taka jej pokuta... I proroka oddać musiała i swobody się pozbawiła... Pan Bóg wie co robi...

Tłumaczenie fenomenu tak jasne, o ile z jednej strony uspokoiło o tyle z drugiej zajęło umysły. Frania mianowicie nie dawała rodzicom spokoju, dopytując się o rybę ową, czy to szczupak, czy karp i przy herbacie wieczornej wytoczyła kwestję tę na stół, matka zaś, korzystając z okazji, opowiadała jej, jak to Pan Bóg złych karze.

— Ot, widzisz — mówiła — co się z rybą zrobiło...

Frانيا zakonkludowała, że proroków połykać nie wolno.

I właśnie kiedy dziecko do tej logicznej bardzo i naturalnej konkluzji doszło, wpadł do sali jadalnej zadyszany żydek krasilowiecki z okrzykiem na ustach:

— Palac!...

Strwożyła się pani Katarzyna; zerwał się od stołu pan Kacper w przeczuciu wypadku jakiegoś. Zapytywany żyd, wymachiwał rękami, pokazywał coś na migi, zachłistywał się i krzyczał:

— Palac!... ny!... palac!...

Wpadł drugi żyd, ujął się dłońmi za głowę i wołać począł:

— Aj waj!... aj waj!... aj waj!...

Po drugim wbiegł niebawem trzeci, podniósł głowę do góry i zawył żałośnie:

— Uuuuu!...

— Konia!... — krzyknął pan Kacper na służbę. — Konia dla mnie osiodłać i do powozu zaprządz!...

Domyślał się czegoś. Wybiegł na ganek. Ujrzał żydów gęsiego spieszących. Kazał przed nimi bramę zamknąć i psy z łańcuchów pospuszczać. Kazał powozowi, gdy gotów będzie, do Krasilowca jak najspieszniej jechać. Sam zaś wsiadł na konia i popędził.

Pędząc, wyrócił żydów paru, nie ściągnął jednak koniowi cugli, aż na widok zarysowujących się na tle pomroku wieczornego sterczących ścian pałacu. Na widok ten, w piersiach uczuł ciśnienie. Wjechał stępem na podwórzec, na którym zastał tłum ludzi. Zbiegli się włościanie krasilowieccy, mieszczanie i żydzi. Poznali dziedzica — czapki pozdejmowali. Mędziński nie śmiał pytać — i po chwili dopiero zadał pytanie wymijające:

— Nie ma tu Ogonowskiego?...

— Jest tu gdzieś... — odpowiedziano i rozległy się wołania: Panie Ogonowski!... panie Ogonowski!... jasny pan przyjechali...

Ogonowskim nazywał się ekonom krasilowiecki. Na wołanie odezwał się i przybiegł. Pan Kacper z konia zeskoczył i zapytał:

— Co się stało?

Ekonom domyślił się, że zapytanie nie do pałacu się ściąga. Odparł więc:

— Jej książęca mość.. tam (tu palcem ukazał).. na kamieniu...

Pan Kacper z głębi piersi odetchnął.

— A książę?...

— Książę... — pomyślał ekonom chwilę, jakby szukając wyrazu najstosowniejszego. — Przysypało...

— Tam?... — zapytał pan Kacper z akcentem przerażenia.

— Tam, jasnie panie...

Przerazić się było czego. Z pałacu pozostały jeno ułamki ścian, i przez dużą lukę, wyłamaną na froncie, pokazywało się wewnątrz całe pod postacią olbrzymiego rumowiska.

— Okropność!... — zawołał Mędziński, wahając się czy ma czy nie ma iść do księżnej, którą wyobrażał sobie oddaną rozpacz najwyższej.

Poszedł jednak. Księżna siedziała na kamieniu, zwrócona twarzą ku gruzom. Obok stała Weronika, a nieopodal od tej ostatniej jeden z dziadów-kamerdynierów. Ten ostatni, poznawszy Kacpra, wysunął się, stanął przed księżną, postawę przybrał i meldować począł:

— Jasnie wielmożny... etc.

Księżna na Kacpra oczy zwróciła. Oczy jej były suche wyraz twarzy spokojny.

Westchnęła.

Weronika, ukazując oczami na księżnę, a palcem na siebie, zaczęła:

— Niech Pan Bóg broni!.. Momencik jeden!... byłoby już nie wypuściło... Jak tylko zahuczało, ja w nogi, jasna pani za mną, i jak tylko przestąpiliśmy, aż tu.. hrr!... Wyrażay cud Boży.. Matko Boska!...

— Jasnie oświecona pani raczy usunąć się od widoku tego strasznego... — przemówił Kacper tonem błagalnym.

— Powinnam być tam... — odparła spokojnie.

— Bóg zrządził inaczej... Niech jasnie oświecona pani usunie się ztąd...

— Może jeszcze ratunek... — rzekła tonem wzruszenia.

— Ja ratunek natychmiast zarządę, ale wasza książęca mość niech raczy pojechać do Ohrebyszcza.. Natychmiast przyjdzie powóz... Ja tu zostanę i rozrzucenia gruzów dopilnuję... Może też cud, co waszą książęcą mość uratował i...

Księżna ręką skinęła na znak milczenia. Pan Kacper nie dokończył frazesu rozpoczętego.

W chwili tej słyszeć się dał turkot przybywającego powozu.

— Jeżeli przeto wasza książęca mość raczy...

Księżna, nie mówiąc, wstała, zawiesiła się na ramieniu Kacpra, do powozu się udała i do środka z Weroniką wsiadła. Mędziński dał stangretowi zlecenia, co do tego, co ma pani powiedzieć. Powóz ruszył.

Zarządzono ratunek. Włościanie, którym obiecano po dwa złote od nocnej roboty, rzucili się energicznie do dzieła. Rozniecono ogniska i pozaświecano kagańce smolne. Pan Mędziński nie tylko pilnował, lecz i sam ręki przykładął, zachęcając i słowem i przykładem. Nad ranem pokazało się, że będzie jeszcze roboty na dzień cały. Posłano więc po gromadę ohrebyską, która zluźowała krasilowiecką, Wieczorem pokazało się, że trzeba jeszcze pracować w nocy. Więc znów gromada krasilowiecka stanęła i ten pierwszy rezultat osiągnęła, że wydobyła z gruzów babę, małżonkę dziada, co przy życiu pozostał, która funkcję kuchmistrza sprawowała. Zjechał uwiadomiony o wypadku urząd i w obecności już urzędników, w trzecim po trzęsieniu ziemi dniu, odgrzebano dziada kamerdynera i księcia. Baba i dziad byli zgruchotani, zmiażdżeni. Książę, ani tknięty. Belki, łamiąc się nad nim, sformowały rodzaj sklepienia, niedopuszczającego kamieni wielkich. Siedział obok stoliczka, na fotelu swoim — zginął, jak żołnierz na posterunku, przysypany całkowicie kurzem i drobnym gruzem. Na obliczu jego, które śmierć białością kredy powlokła, w szeroko otwartych oczach upatrywano przerażenie, w rozszerzonych ustach uśmiech. W pozycji jego nic nie znamionowało, ażeby się miał ze śmiercią pasować. Lewa ręka na brzuchu, prawa na stoliczku, palce na dzwonku.

Wyprowadzenie śledztwa długiego nie miało racji najmniejszej. Skonstatowano śmierć nagłą, której przyczyna była widoczna i napisano dekret na oddanie ziemi dziada, baby i jasnie oświeconego księcia Gotfryda Gamajdy.

Dziada i babę pogrzebano cichaczem.

Na pogrzeb księcia Gotfryda zjechała się okolica cała.

Katafalk wspaniały; seciny świec jarzących; całun zakrywał podłogę całą i oprócz tego kościół od stropu do dołu osła-

niały krepy na ścianach rozpięte. Krepy te pochodziły z żałobnych sukien księżnej, z czasów onych.

Obrządek pogrzebowy rozpoczęty około dziesiątej rano, nie zakończył się aż około trzeciej po południu, dla długich modłów żałobnych i dla kazań, których było trzy: jedno w kościele, drugie przed kościołem, trzecie, miane przez księdza Celowicza, na cmentarzu. Zasługi zmarłego, podniesione do potęgi najwyższej, zajaśniały w blasku całym pożytku na ziemi i chwały w niebie. Cnoty jego podawano na przykład pokoleniom żyjącym i potomnym.

Księżna nie asystowała obrzędowi od początku do końca. Ukazała się jeno. Czarnym osłonięta welonem weszła do kościoła, uklękła przed katafalkiem, welon odstąpiła, pomodliła się gorąco, łzami się zalęła, wstała, welon zapuściła, do powozu wsiadła i odjechała.

— Dokąd?... — pytano.

— Do Ohrebyszcz... — rozbiegła się odpowiedź z ust do ust podawana.

Po złożeniu trumny do grobu familijnego i zapieczętowaniu w niej ostatniego potomka znakomitego rodu, obywatelstwo w kupki zbite, gwarzyło, nie wiedząc co ze sobą począć. Pogrzebowi brakło finału, za którym się oglądano, aż ujrano pana Kacpra, z kapeluszem w rękę, przechodzącego od grupy do grupy i zapraszającego do Ohrebyszcz, gdzie, jak powiadał, wdowa w chwili obecnej przebywa. Wymawiał wyraz:

— Kondolencja...

— A!... z kondolencją do księżnej!... Nie jechać nie wypada!...

Pan Kacper obszedł grupy i znikł jak kamfora.

Oglądano się za nim jeszcze, jakby oczekiwano, ażeby wyraz „kondolencja“ wyjaśnił należycie, zwłaszcza pod względem eklenia w żołądkach, które nie zasilane należnym im haraczem od rana do trzeciej, o prawa się swoje upominały; ale pana Kacpra nie było nigdzie. Stało się więc jakoweś zagadnienie, wymagające rozwiązania. Szlachcic szlachcicowi zadawał pytanie.

— Co robić?...

Jeden rezolutnie a głośno odparł:

— Ja jadę...

— I ja jadę...

I pojechali wszyscy, nie opowiadając się jeden drugiemu dokąd, do Ohrebyszcz.

I zajeżdżać poczęły przed dwór ohrebyski karety, koczki, bryczki, najtyczanki, z których wysiadali panowie i panie, starzy i młodzi.

Pan Kacper spotykał gości na ganku, pani Katarzyna przyjmowała ich w salonie.

W przechodzie z ganku do salonu ukazywała się sala jadalna, a w niej, przez drzwi wpółotwarte, stół nakryty w podkowę, zastawione porcelaną, kryształami, bukietami, butelkami, wieżami chińskimi i piramidami egipskimi.

Nikt innej intencji nie miał, jak tylko złożyć kondolencje księżnej i do domu machać. Księżna jednak nie pokazywała się, a tymczasem wniesiono wódek rodzajów dwanaście, w karafkach kryształowych z napisami złotymi i na zakąskę pierniczki. Szlachcic, któremu najpierwшему artykuły te wiary jedzeniowej przedstawiono, zakaszał się, gdy go zoczył, i w rodzaju usprawiedliwienia przed trybunałem sumienia własnego rzekłszy:

— Po kawie jestem...

Kielich jałowcówki gołnął.

Drugi w ślad za nim kminkówki zażył.

I tak dalej.

Po wódce, przy okazji wytoczenia na stół kwestji powodu śmierci nieodżałowanego księcia Gotfryda, zagadano o powodzie trzęsienia ziemi. Ktoś tam prawił o ogniach podziemnych, o wulkanach wewnętrznych, o gazach, lecz jakiś gruby, wąsaty a głośno gadający jegomość znalazł to tłumaczeniem niejasnem i zagmatwanem, tembardziej, że zawołał gromko:

— Rzecz wiadoma... ryba!...

W tym momencie drzwi do sali jadalnej się otworzyły i również gromko zaanonsowaną została: zupa na stole!

Pan Kacper podał szarmancko ramię — komu? — pani marszałkowej. Poszła.

Marszałek poprowadził pod ramię panią Kacrową.

Przypadkiem zgromadzeni goście zasiedli stół w koło, a chociaż ich było osób do półtora, każdy dostał miejsce i każdy — rzecz ważna — siedział wygodnie.

Zupa była arcydziełem, po zupie sztukamięsa arcywytworem, dalej ryba arcykąskiem i tak do końca. A wszystkiego dostatek taki, że półmiski okryte schodziły. Co do win zaś, żeby o nich dać pojęcie, powtórzmy, co jeden z obecnych na tym imprzwizowanym obiedzie smakoszków powiedział:

— Pod kpem !... nikt lepszych nie pija...

Księżnej przy stole nie było. Dla tego też marszałek, w imieniu obywatelstwa, wniósł zdrowie nieobecnej, ciężko dotkniętej, głęboko strapionej, której życzył dni długich pociechy, pomimo, że utrzymywał, iż po stracie takiej pociecha jest niepodobną, ale dodał w końcu:

— Kobieta z poświęceniem takim znajdzie w sobie hart duszy i siłę męską do przełamania boleści srogiej... Niech nam żyje!...

W imieniu księżnej, na podziękowanie, pan Kacper wniósł zdrowie obywatelstwa. Przemówił krótko i głosem nieco drżącym.

Natychmiast po nim podniósł się ów szlachcic wąsaty, co gazy i ognie wewnętrzne zbił rybą, i tak zaczął:

— A ja, panowie dobrodzieje, wnoszę zdrowie gospodarza, imci pana Kacpra Mędzińskiego!... Kto tak, jak on zgłodniałych nakarmić a spragnionych napoić potrafi, ten, dalibóg! wart być obywatelem... Tak bywało za ojców i dziadów naszych... Szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie... Niech żyje imci Kacper Mędziński!

Szlachta ruszyła ku Kacprowi z uściskami i całowaniami.

Pan Kacper się rozplakał. Pani Kacprowa się rozplakała.

I w ten to sposób, sprowadzony trzęsieniem ziemi, państwo Kacprostwo doczekali się okazji wejścia w grono obywatelstwa.

XIV.

Księżna utrzymywała z matką korespondencję ustawiczną. Była to jej rozrywka, jej robota. Z korespondencji przytoczymy ustępów parę, jeden w tym, drugi w następnym rozdziale, wybierając ustępy takie które do miary opowiadania naszego przy-

padają. Tłumaczymy z francuskiego. Podajemy najprzód list księżnej pisany w dni parę, po pogrzebie księcia Gotfryda.

„Ohrebyszcze, dnia... roku...”

„Droga mamó, — zdziwi cię data na czele listu mego. Bo też dziwnem jest położenie moje obecne! Było upokarzającym, stało się upokarzającym i nieznosnym. Pozostawałam na łasce lokaja, dzięki Karolowi, który mnie wpłatał w tę sprawę (*affaire*) z tym głupcem (*nigaud*), moich snów dziecinnych ideałem; dziś cieszę się towarzystwem rzeczonoego lokaja i jego godnej małżonki, zdrowej jak kat, tłustej jak wół spaśny i mądrej jak ryba, byłej praczki u praczek w byłym dworze podkomorzego Kostrzewickiego. Duszę się (*je suffoque*). Stało się to, com przewidywała od dawna. Księżę umarł, ale jak strasznie! Wyobraź sobie mamó — trzęsienie ziemi, zamek się wali i księcia gruzami przysypuje. Było to coś okropnego. Ach! serce bije mi teraz jeszcze, gdy o tem myślę. Gdyby nie ta pocziwa Weronika, byłabym i ja w gruzach pozostała. Ona uciekała i ja za nią pobięłam — i w ten sposób ona mi życie uratowała. Chciałabym mieć coś, żeby jej wynagrodzić. Ach jakże to okropnie nie mieć nic. Mamó moja droga! zabierz ty mnie do siebie. Nie istnieje już powód ofiary dla księcia, jaki mnie w grobie krasilowieckim zatrzymywał. Ofiara spełniona do końca. Dotrwałam na stanowisku prawdziwie po żołniersku i chciałabym na koniec odetchnąć powietrzem — powietrzem miasta. Odessa nie Paryż, wiem o tem; zawsze to jednak coś — nie Krasilowce przynajmniej, nie Ohrebyszcze. Kto taką jak ja wytrwałość w ofierze okazał, ten ma do wynagrodzenia prawo. Zabierz więc mnie już mamó, zabierz!

„Ach! co też tu się działo na pogrzebie. Ten lokaj, mamó, wyobraź sobie, urządził pogrzeb pierwszorzędnny. Szlachty zjechał się tłum i potem tłum ten cały zwał się do Ohrebyszcza, w celu niby kondoleowania mnie a w istocie dla oddania czci kucharzowi, jakiego protektor mój trzyma. W rzeczy samej, kucharz doskonały — kochany Karol oceniłby go potrafił. Owóż szlachta zwała się, marszałkowie, prezesowie, wszyscy dygnitarze i czarniawa. Nie wychodziłam, uważając za rzecz efekowniejszą, trzymanie się za kulisami, nie mogłam jednak powścią-

gnąć się od rzucenia okiem na ten spektakl, jaki się przedstawiał w sali jadalnej. Weronika pocziwa urządziła to tak, żem widzieć mogła, widzianą nie będąc. Ach! widziałam. Najprzód tłum ten cały, w części swojej męskiej, wydał mi się zbiorom buldogów, mopsów, legawców i pinczów, w części zaś żeńskiej, kolekcją marchew, pietruszek, kalarep, buraków i dyń. Co za figury, co za koczodany! Szczególnie widzieć było warto gospodynię domu (*la maîtresse de céan*), jaśniejącą policzkami rubinowemi i uśmiechem pączka na półmisku. Widać było po niej, że w radości wielkiej dałaby się zjeść sama. Śmiałyśmy się z Weroniką do rozpuku! Ach czemuż tu nie było Karola do czynienia postrzeżeń ostrych (*pour faire des remarques piquantes*). Następnie, widziałam ten tłum cały, rzucający się w objęcia... Kacpra! Mamol tu, tu już mnie śmiech odbiegł a na płacz się zebrało. Ciż sami ludzie, wczora, w objęciach podkomorzego Kostrzewickiego, dziś w objęciach lokaja jego. O! to straszne. Żem trupem na miejscu nie padła, to, jedynie dzięki Weronice, która uwagę moją zwróciła na panią Oleckę, kichającą w talerz i otrzymującą na głowę ablucję z rąk małżonka własnego. Niech mama opowie to Karolowi, sprawi mu to przyjemność.

„Mieszkam tedy w Ohrebyszczech. w towarzystwie, od którego, pewną tego jestem, mamie kochanej mrowie po ciebie przechodzi. Ach! *à propos* — ludzie ci jeżeli ludźmi zwać się godzi ten rodzaj — mają córeczkę jedyną, dziecko jeszcze, lat pięć, ale nie omylę się, gdy powiem, że już na nią parol zaginają szanowni ojcowie i zacne matki synów podrastających. Wyczytałam to z oczów pani Oleckiej przez dziurkę od klucza. O ludzie!..

„Mamo kochana. mamu droga! weź ty mnie do siebie! Odpisz mi jak najprędzej! pamiętajac jak cierpi, jak boleje i jak do ciebie wzdycha

kochającą cię nad wyraz córka

księżna Ludwika Gamałda.“

Odpowiedź przysłała bardzo prędko, odwrotnym kurjerem. Podkomorzyna pisała:

„Droga moja księżno, ukochana córko, — na Boga, nie przyjeżdżaj! Ty wiesz, życie moje całe, od początku do końca, było i jest jedną długą ofiarą, i wierz mi, dziecko moje, nie zawahałabym się ani chwili wezwać cię do siebie, gdyby nie

zachodziły komplikacje, które temu sprzeciwiają się w najwyższym stopniu (*souverainement*). O komplikacjach tych nie mogę ci bliższych w tej chwili dać szczegółów dla fatygi, jaką mi sprawia pisanie, tak, że list niniejszy jest prawdziwą z mojej strony ofiarą, z powodu kataru, który mnie opanował. Moja księżno! cierpienia twoje są wielkie, ale okazał się ty kobietą wyższą. Ofiarności nasza na tem polega. Ja nieinaczej szłam przez życie. Pamiętaj o tem, że Bóg cierpienia liczy, ja zaś, ze strony mojej, robię wszystko co mogę: w codziennych modłach moich nie zapominam błagać Najwyższego o użyczenie ci mocy do zniesienia dolegliwości, jakie cię dotykają. Nie przyjeżdżaj więc, zaklinam cię na miłość dla mnie, na pamięć na ojca, na Boga! Jąbym pragnęła, żeby i Karol odjechał, pomimo, że wiesz, iż go kocham niemniej jak ciebie, a pragnęłabym tego dla tychże samych komplikacyj, o których ci nie piszę z powodu kataru. Karol jednak, mężczyzna — mężczyźni nie pojmują uroku ofiary. Nie mu nie mam do zarzucenia, z wyjątkiem tego jednego, czemu on zresztą nie winien.

„Bądź kobietą wyższą, księżno moja! Wznies się nad gmin, co cię otacza. Szukaj pociechy i pomocy w modlitwie i znajdź sobie ubogich. Nie uwierzysz, jak to miło, mieć ubogich swoich. A to nawet niewiele kosztuje. Ja, na przykład, wybrałam sobie dwanaścioro, którym w dniach nieoznaczonych po groszu daję. Nie daję więcej, ażeby, broń Boże, nie kapitalizowali i ubogimi być przez to samo nie przestali. Byłoby to zgorzienie, obraza Pana Boga. Ubodzy są potrzebni dla uczynków miłosiernych. Dlatego też, nie daję im więcej, a mam z tego i rozrywkę i zadowolenie. I tobie radzę, moje dziecko, znajdź sobie ubogich, dawaj im po groszu w dniach nieoznaczonych, ażeby oni, spodziewając się wciąż od ciebie jałmużny, ustawicznie się za ciebie modlili. Modlitwy ich wzmocnią modlitwę twoją i użyczą ci sił potrzebnych do podniesienia się nad gmin. To sposób bardzo skuteczny — mówię ci to z doświadczenia własnego. Posłuchaj mnie, moje dziecko, zobaczysz, jak dobrze na tem wyjdiesz. Nie przyjeżdżaj tylko do Odessy.

„Myślę, jakiejby ci jeszcze doradzić rozrywki, ale z powodu kataru pisać długo nie mogę. I to, co piszę, jest ofiarą prawdziwą, a przytem trzeboby nad tem głębiej pomyśleć, bo na wsi, bez towarzystw dobroczynności, bez teatru, bez kon-

certów, bez wypożyczalni książek, bez bulwarów, o rozrywki trudno. Jeden kościół. Dlatego też to ubodzy najprzód mi na myśl przyszli, a gdy przyjdzie co jeszcze, to ci później napiszę. Spodziewam się, że katar nie będzie mnie trzymał wiecznie.

„Ubawił mnie ustęp listu twego, odnoszący się do zgromadzenia się szlachty u tego indywiduum. Porównania udały ci się znakomicie. Część męska: buldogi, mopsy, legawce i pińcze; część żeńska: marchwie, pietruszki, kalarepy, buraki i dynie. Czytałam ten ustęp Karolowi i odgadywaliśmy osobistości, które ci mianowicie porównania te natchnęły. Zgodziliśmy się na wszystkie z wyjątkiem kilku. Wszak prawda, że mops, to chorązyc? Karol utrzymuje, że to sędzia. Wszak prawda, że burak, to marszałkowa, Karol chce, żeby marszałkowa była burakiem cukrowym. Rozwiąż-że nam wątpliwości te, księżno moja droga, bo spokoju mieć nie będę, póki nie będę z pewnością wiedziała.

„Ale! zapomniałaś donieść mi o rzeczy najważniejszej. Czy książę Gotfryd zészedł z tego świata opatrzone sakramentami na drogę wieczności. Zarządziłam tu za duszę jego egzekwie wspaniałe, z obleczeniem kościoła całego kirem, z wystawieniem katafalku wśród dziesięciu tuzinów świec jarzących, z mitrą na trumnie, z chórami i z *Requiem* Mozarta. Pół Odessy zeszło się. *Requiem* odegrano i odśpiewano świetnie. Co do tego, odbyło się wszystko jak należy — oddało się światu, co się światu winno.

„Kończę bo mnie katar męczy. Nie przyjeżdżajże, księżno moja droga! Komplikacje okropne! Nie piszę ci o nich, bo i tak, pisząc, ofiarę z siebie robię. Ale nie przyjeżdżaj, bądź kobietą wyższą, pamiętaj, że życie kobiety jest ofiarą, módl się, znajdź sobie ubogich i kochaj matkę twoją, która kocha ciebie jak najczulej i w modlitwach codziennych nie zapomina o tobie.

Klara z hr. Zapamiętańskich hr. Kostrzewicka.“

Oszczędzimy sobie analizy listów powyższych, które tłumaczą się same, jako świadectwo pojęć skrzywionych. Pozwólmy sobie jeno na uwagę jedną. Wyglądają one na pozór, jako mieszanie *sacra* i *profana*, gdy w rzeczy samej świętego w nich nie ma nic, bije z nich bowiem ubóstwienie siebie, wynik logi-

czny moralności, oddanej pod panowanie foremek. Dosyć jednak o tem.

Z listu księżnej pokazuje się, że pragnęła gorąco wydobyć się ze wsi. Nie dziwimy się jej. Zakosztowała życia innego, błyszczała, świetniała — wieś przeto musiała jej wydawać się okropną. Z listu podkomorzyny dowiadujemy się o jakichś komplikacjach, których domyslamy się. Księżna jechać nie mogła. Pan Karol był już zanadto. Księżna pozostać musiała w Ochrebyszczach.

A czy to jej tam doprawdy było złe? Prawda, pod względem towarzystwa, zachodziły niejaki niedostatki. Księżna wprawdzie w Krasilowcach nie miała żadnego; zdarzają się atoli sytuacje takie, w których samotność absolutna pożądaną bywa aniżeli zgilek niesmaczny. W Ochrebyszczach wszakże, gospodarstwo w takich odrazu postawili ją warunkach, że mogła, gdy chciała, być samotną, gdy chciała, mieć towarzystwo. Od niej to zależało. Dano jej ten sam apartament, który zajmowała panna jeszcze będąc, odosobniony, na ogród zwrócony i składający się z trzech pokojów jasných, czystych i we wszystko zaopatrzonych. Kacper, znający gust pań do czytania, zakupił ryczałtem u księgarza bibliotekę, złożoną z książek francuskich i polskich i postawić ją kazał tak, ażeby się znajdowała księżnej na podorędziu. Fortepian i nuty były na jej rozporządzenie. Konie i powóz czekały na jej rozkazy. Dostatek panujący w domu pozwalał na dogadzanie kaprysom wszelkim. Słowem, księżna urządzić sobie mogła życie, jak się jej podobało.

Podobało się jej pozostawać w Ochrebyszczach tak, jak pozostawała w Krasilowcach. Odosobniła się, zamknęła i w tym jeno względzie tryb życia zmieniła, że codzienne raporta Weroniki o zdrowiu księcia ustąpiły miejsca długim, tejsze Weroniki, przedstawianym w sposób humorystyczny sprawozdaniom z tego, co się we dworze dzieje. Weronika opowiadała, księżna słuchała i śmiała się. Dodawać nie potrzebujemy, że opowiadania powiernicy były — jak to mówią — mocno szarżowane i niekoniecznie z prawdą zgodne. Nie przeszkadzało to im jednak być bardzo śmiesznymi i rozweselać samotnicę do łez niekiedy. Zresztą, patrzyła w zwierciadło, jeździła do kościoła — jadła, piła i nic nie robiła.

Pod tym ostatnim względem, pomiędzy księżną a panią

Katarzyną zachodziło podobieństwo jak najzupełniejsze. I pani Katarzyna, jadła, piła i nic nie robiła. Zachodziła jednak i różnica. Księżna nie tyła, pani Katarzyna tyła — tyła i doznawała od czasu do czasu niesmaków jakichś, tem dziwniejszych, że wszystko co jadła takie było smaczne. W tem przeto podobieństwie, zbliżającym wielką panią z urodzenia i wielką panią z przypadku, tkwiła różnica, jakby na to, ażeby stanowić dowód, że wielką panią nie może być lada kto. Wprawdzie, i paniom największym zdarza się tyć straszliwie i niesmaków doznać.

Księżna trzymała się od pani Katarzyny zdaleka. Nie znaczy to, żeby pomijać nią lub też ubliżać jej miała. Nie. Przeciwnie. W stosunkach z nią zachowywała grzeczność zawsze jedną i dobroć jak największą. Tytułowała ją „panią Katarzyną“ i gdy ta niekiedy do niej wchodziła — co zdarzało się bardzo rzadko — nie dawała jej uczyć ani znudzenia ani przykrości i okazywała się łaskawą względem Franusi, która częściej aniżeli matka księżną panią odwiedzała.

Stosunki z panem Kacprem pozostały zawsze takimi, jakimi były w pałacu. Nazywała go często „człowiekiem pocziwym“ i on aniby się domyślić mógł z zachowania jej, jak go przed podkomorzną rekomendowała. Okazywała się zaś we wszystkim względną i wyrozumiałą. Na zapytanie Kacpra:

— Czy waszej książęcej mości nie brakuje na czem?

— Na niczem, mój panie Kacprze... Na czemżeby mi braknąć mogło... — odpowiadała.

— Może księżnej pani co zawadza?... może jej co przykrość sprawia?..

— Nie... nie...

— Wasza książęca mość powiedzieć mi raczy... bez ceremonii... jeżeliby co...

— Powiedziałabym... bądź pewny...

Dopytywanie to miało dwa powody. Raz, pragnął Kacper wybadać, czy nie ma księżna jakich planów, jakich życzeń: czy nie chce na przykład, odwiedzić matki? Gotów był udzielić jej na ten cel środków i gyby jeno poznać dała, że chętnieby do Odessy pojechała, miałaby wnet na rozporządzenie swoje konie, powóz, służbę i pieniądze. Sam przez delikatność, nie mógł jej propozycji czynić; ona zaś nie żądała niczego.

Powtóre. Państwo Kacprostwo zaczęli „żyć“. Księżna gościom się nie pokazywała. Chodziło więc Kacprowi o to, czy nie wolałaby mieszkać osobno: w Krasifowcach? w Ohrebyszczach? w innym którym folwarku? Gotów był dom dla niej budować. Ona nie. Pomimo, że przez Weronikę poinformowana była o wszystkim doskonale i dokładnie, zdawała się na wszystko ślepą i głuchą.

Zdawało się, że nic nie widziała ani słyszała, luboć we dworze ohrebyskim bywało niekiedy ludno i gwarno.

Państwo Kacprostwo, po pogrzebie wkrótce, rozpoczęli objazd sąsiedztwa, zaczynając od tuzów, od marszałków i prezesów. Wybrali się z szykiem nie wysokopańskim: kocz wiedeński (nie kareta), w lic dzielnych pięć koni (nie sześć), chomąty krakowskie (nie angielskie), służba okazała — co się podobało i panom, których nie zaćmiewało i szlachcie, której pochlebiało. Przyjmowano ich wszędzie otwarci ramiony, i we Frasnoblówce, gdzie do bawienia gości stawał już kontyngens spory, złożony z rodziców i dzieci, wśród których paniczów paru pod wąsem i panienka jedna w kwiecie lat ku mecie życiowej już kroczyli. Ludwik, posłany do Odessy, rok strawił na przygotowywaniu się do liceum, zdał egzamen, wstąpił na kursa matematyczne, po miesiącu przeniósł się na kameralne, na święta Bożego Narodzenia do domu powrócił i edukację skończył. Z młodszych braci jego żaden do czwartej w gimnazjum nie doszedł klasy. Kończyli edukację jeden po drugim i zamieszkiwali we Frasnoblówce. Tam przeto, raz, było komu gości bawić, powtóre, bawienie podszywała racja, rozłożona pomiędzy sześciu młodych panów Oleckich a zwrócona strzelistą stroną ku jedynej pannie Mędzińskiej. Ha! przezorność jest to zaleta, cechująca rozum stanu. Pani Olecka na wstępie wystąpiła do pani Mędzińskiej z pretensją.

— A Franusia?... gdzież Franusia?..

— Została w domu... z babunią...

— Czemuż jej było nie przywieźć!... proszę pani dobrodziejki!..

— Bo to, pani dobrodziejko... prawdziwie... To takie jeszcze dziecko...

— Byłaby się zabawiła z dziećmi... Tu przecie są i kawalerowie... — dodała z przekąsem niby.

— Taką to z niej panna!... — odparła pani Mędzińska.

— Zawszeż panna... Trzebaż ją kawalerom pokazywać...

— Oj!... — jęknął pan Olecki, myśląc zapewne o swoich trzech pannach. — Co do mnie, takie wydałbym prawo: Urodzi się dziewczyna, wieź ją do chrztu i zaraz zaręczaj!...

— Komużbym ja moją była zaręczyła!... — odezwała się pani Katarzyna, przypominając sobie zapewne okoliczności, wśród których Franusia na świat przysła.

— Niechno pani dobrodziejka tylko tu ją przywiezie... — podchwycił pan Olecki — ja jej dam do wyboru chłopców sześciu...

W żartach tych była prawda na dnie.

Państwo Oleccy, sąsiedzi najbliżsi, stali się oraz sąsiadami najlepszymi państwa Mędzińskich. Bywali sami, zrazu rachując się, a dalej i nie rachując się z wizytami; bywali panice, panny Oleckie, nie ta, to owa, po dni kilka w Ohrebyszczach bawiły, dla towarzystwa to pani Mędzińskiej, to Franusi, która stała się przedmiotem zachwytów i pieszczot całej fraszoblowieckich panów rodziny. Dziewczynka, przyciśnięta raz — jak to powiadają — do muru, wybrała sobie na męża Ludwika, za to, że jej ptaszka żywego dał w prezencie. Od momentu tego, państwo Oleccy przezywać ją poczęli swoją synową.

A jak państwo Oleccy, tak i wszyscy sąsiedzi rewizytowali dziedziców ohrebyskich, zawiązując z nimi stosunki zażyłości sąsiedzkiej, mniej lub więcej ścisłej, stosownie do temperamentu. Przeszłość pana Kacpra tonęła w mgłę zapomnienia coraz to gęstszej. Widziano w nim obywatela gębą całą i nawet — skutkiem wrodzonej nam własności przesadzenia — upatrywano w nim zalety i cnoty, bądź wyższe co do stopnia od tych, jakie posiadał, bądź też takie, jakich nie posiadał wcale. Przypisywano mu rozum głęboki dyplomatyczny, nie żydowski, który jest ceniony lecz nie szanowany, ale wyraźnie dyplomatyczny, głęboki, zasługujący na szacunek cały ze strony tych, z których każdy ma się za dyplomata.

Dowód szacunku tego złożono w miesiący kilka po śmierci księcia Gotfryda, przy okazji najpierwszej, jaką nastęrczyła święta Katarzyna, patronka pani Mędzińskiej. W każdym dworze i dworku szlacheckim, leżącym wewnątrz koła zakreślonego z Ohrebyszcz promieniem, wynoszącym trzy mile długości, od-

była się na dni kilka przed świętą Katarzyną rozmowa treści mniej więcej następującej:

Mąż. — Gdybym nie zajrzał do kalendarza, nie wiedziałbym, że to za tydzień..

Zona. — Co?...

Mąż. — A że świętej Katarzyny panny!...

Zona. — A tak... listopad... Ostatniego listopada Andrzeja, a na pięć dni przed tem Katarzyny... To święto kawalerskie, a tamto panińskie... Trzeba będzie bałabuszków dla psów upiec...

Mąż. — Nie o bałabuszki chodzi...

Zona. — No... a o cóż?

Mąż. — O to, że Mędzińskiej na imię Katarzyna...

Zona. — Prawda!... dalibóg prawda!...

Mąż. — (Po chwili namysłu). Czyby nie pobiedz do nich?...

Zona. — Nie zawadziłoby...

Mąż. — Na momencik... Jak się macie?... bądźcie zdrowi!... powinszować i z powrotem...

Zona. — (Po chwili namysłu.) Nie obejdzie się to tak, jak się to zdaje...

Mąż. — Dzień krótki... droga zła...

Zona. — Tak... Ale kogoś się zastanie... Zatrzymają...

Mąż. — Kogoby się tam zastało!... Kto o świętej Katarzynie pamięta!... Mnie samemu aniby to na myśl nie przyszło, gdybym nie potrzebował wpisać tego, że się Łysa ożrebiła... Wpisuję... patrzę... o! jak byk stoi: „Katarzyny panny“... Myślę i przypominam sobie: E! toć to Katarzyna w Ohrebyszczach, nie panna, zawsze jednak Katarzyna...

Zona. — Może to nie ta... W kalendarzu ponoś jest Katarzyn więcej...

Mąż. — No!... Chociażby!... Wielkie nieszczęście, że się przejeździemy!...

Zona. — Zapewne... Tylko, że pojechać tam, to zaraz zatrzymają na objad a może i na kolację i na noc... A może kogo zastaniemy...

Mąż. — I! kogożby!... Czy ty jechać nie chcesz?...

Zona. — Nie to... Jak potrzeba, to cóż robić!... Myślę tylko, jakby to się wybrać...

Mąż kazał sanie kryte opatrzyć, śnieg bowiem leżał od Wszystkich Świętych, kazał chomaty odczernić, mosiądze odczędżyć, konie pokuć; pani zarządziła wielkie gałganków różnych pranie, z którego wyszły spodnice krochmaliste, kołnierzyki czarujące, mankietki zachwycające, szlarczki gustowne; zarekwrowała arendarza, przy którego pomocy, po za wiedzą męża, sprowadziła z miasteczka pobliskiego drobiazgów mnóstwo do uzupełnienia toalety — i sąsiadów para (z córkami i synami, jeśli ich Bóg takowemi obdarzył), w przekonaniu, że sama jedna o imieninach pani Mędzińskiej wiadomość posiada, ruszyła do Ohrebyszcza w dniu świętej Katarzyny, o godzinie dziewiątej rano.

To samo zrobiło się w każdym domu szlacheckim.

Około południa, do Ohrebyszcza zjechało się gości huk: panowie, panie, panny, panice.

Pan Kacper zapukał do księżnej.

— *Entrez!*... — odezwał się głos ze środka.

— Ja do waszej książęcej mości z prośbą o pozwolenie...

— Jakże?... na co?..

— Dziś imieniny mojej żony...

— Imieniny twojej żony?... Szkoda żem nie wiedziała, byłabym jej powinszowała...

— Ona przekonana, że wasza książęca mość dobrze jej życzy... Ale... sąsiedzi łaskawi się zjechali... Jest i młodzież... Chciałbym, żeby się zabawili... Czy wasza książęca mość pozwoli?...

— Proszę cię, panie Kacprze kochany! nie zadawaj sobie dla mnie przymusu najmniejszego...

— Hałas?... może i muzyka?... tańce?...

— Bawcie się... bawcie się...

— Wasza książęca mość taka łaskawa!...

— Poczciwy panie Kacprze!...

Niespodziany najazd nie zastał państwa Mędzińskich nieprzygotowanymi. O dwunastej śniadanie *à la fourchette*; około piątej objad, za wstęp do którego służył szczupak na desce, ugarnirowany tak, że się go oczyma jeść chciało; po obiedzie polonez po domu całym, z wyjątkiem apartamentu księżnej; po polonezie bal do dnia białego, z wieczorą sutą po północy,

z lodami, orszadami, limonadami, sorbetami... z ogniami bengalskimi i fajerwerkami.

— O, huncwot!... — powiadali o Kacprze później szlachcice. — Złapać go ani węź!...

Imieniny te stały się zapoczątkowaniem zwyczaju, który się następnie rok rocznie powtarzał. Starsi przypominali sobie świętego Marcina, obchodzonego hucznie za życia nieboszczyka podkomorzego i porównywali Marcina z Katarzyną. A choć to starzy, z nałogu niejako, dawne wychwalają czasy, przyznawali jednak:

— Gdzież tam!... ani umywał się Marcin do Katarzyny... Nieboszczyk podkomorzy nie miał ani tego smaku w gębie, ani tego dowcipu, co się tyczy urządzenia fety... Gdzieby podkomorzemu na myśl przyszły ognie bengalskie!... Pali się czerwono... aż tu, fajt... zielono... Tfu!..

Rozprawiano też o ogniach tych, idąc do wątku rzeczy.

Zkąd się one biorą?...

— Ze słomy, sprowadzanej z Bengalu na okrętach...

Ktoś znalazł się taki, co tłumaczył istotę tej sztuczki lecz mu nie wierzono, z powodu, że tłumaczenie nie było jasne.

— Słomę rozumiem, ale nie jakieś tam chemizmatyki...

I rok rocznie, bez względu na porę zimową, na złe drogi, na zawieje śniegowe, zjeżdżano się z okolicy całej tłumnie do Ohrebyszcza na imieniny pani Mędzińskiej.

W czasie jednego ze zjazdów tych poznaliśmy ją. Minęło już lat sporo od chwili owej, dziś jednak w oczach nam stoi jeszcze uśmiechnięta dobrodusznie twarz jej duża i czerwona i wystawiona na poręczy od fotelu ręka, przygotowana dla gości do całowania. Kto ją pocałował, temu ona głową skinęła. Byli tacy, co bądź to dla prostej psoty, bądź też dla tego, że hołdowali wciskającym się zwyczajom cudzoziemskiem, podchodzili do niej i klaniali się. Ona i na ten rodzaj powitania skinieniem głowy odpowiadała, lecz do skinienia dodawała śmiech urywany. A kiedy się śmiała, to się wszystko na niej trzęsło. Cały biust ruszał się, podnosił się i opadał. Wyśmiała się i wnet powracała do stanu normalnego. Uśmiech atoli z ust jej nie schodził.

Dobra to była kobiecina — niemowna, to prawda, nie-robocza, i to prawda, posiadała jednak zalet parę wysokocen-

ných, a mianowicie: nie sposób było ją rozgniewać i nie sposób było na plotkę ją wyciągnąć. Dobra, łagodna, wyrozumiała, mimo uszów puszczając wszelkie komeraże sąsiedzkie, tak, że do niej ze słuszością całą zastosowaćby można to obrazowe wyrażenie, że „wody nie zamąciła”. Co do gościnności, w tej granic nie znała; gość był dla niej istotą świętą; więc pomimo, że się mądrością nie odznaczała, lubiono ją powszechnie. Nie posiadała zalet dodatnich żadnych, ale to jej za zaletę wielką poczytać należy, że w roli swojej, wielkiej pani, szkodliwą nie była. Co do mnie, z dwóch złych wybierając mniejsze, wolę Katarzynę Mędzińską, aniżeli razem wzięte podkomorzynę i księżnę.

Po wykazaniu zalet, wykazać należy i wady.

Wykaz ten poprzedzimy wstępem króciutkim.

Wspomnieliśmy już raz w nawiasie o doktorze Gallopin. Doktor Gallopin nie jest to żadna postać powieściowa, lecz człowiek żyjący, nam współczesny, uczony, który wziął za zadanie swego życia, apostołowanie w przedmiocie higieny. Jeździ z miasta do miasta, z kraju do kraju i naucza rzesze, opowiadając im słowa prawdy dotykanej i namacalnej. Powiada on: „Jeżeli chcecie być cnotliwymi, szanujcie zdrowie, jeżeli chcecie być zdrowymi, wystrzegajcie się smaku!” Nie jest to może rzecz tak jasna, jak słoma bengalska, albo jak ryba owa, co trzęsienie ziemi sprawia; twierdzenie to atoli uczonego męża, w szczególnym wypadku, jaki się w powieści naszej przedstawia, da się zastosować do pocziwej pani Katarzyny.

Zgubił ją kucharz znakomity.

Wyrobiła sobie smak w gębie.

Rozsmakowała się i rozjadła.

Kompleksja silna długo opierała się działaniu zgubnemu dwóch grzechów głównych, łakomstwa i obżarstwa, przeciwko którym higiena podaje środki zaradcze; aż w końcu przebrała się miarka. Owe niesmaki, o których wspominaliśmy powyżej, były to ostrzeżenia, wzywające do mienia się na baczności. Pani Katarzyna nie wiedziała o tem. Gdy apetyt jej nie dopisywał, zaostrzała go specyfikami. Jadła i jadła.

Aż się zajadła.

Nagle i niespodzianie, najzdrowsza w świecie, zachorowała.

— Oj!... aj!... boli!... kole!...

Napełniła jękami dom cały.

Księżna się zaalarmowała, posłała Weronikę na zwiady. Weronika powróciła i sprawozdanie jej rozśmieszyło księżnę serdecznie.

— Nic jej się nie stanie... zdrowa taka!...

Kacper się zatrwożył, matka go jednak uspokoiła, twierdząc, że to przejdzie, jeżeli nie od rumianku, to od kwiatu lipowego.

Napojono chorą rumiankiem i kwiatem lipowym.

Nic nie pomogło. Boleści się wzmagały.

— Wódki z pieprzem!... — ktoś poradził.

— Ach!... — zawołała pani Kacprowa. — Dawajcie wódki z pieprzem, czuję bowiem jakby mnie piłą rznąło we środku...

Napiła się — jeszcze gorzej.

Zażyla następnie raz po raz: kamfory, popiołu, kolendry, kropel miętowych, czegoś co od kowala przyniesiono pod nazwiskiem hardymanu, kropel cudownych, którei ekonomowa siebie dzieci i męża na wszystkie słabości leczyła, wody święconej w dzień Trzech Króli — nic nie pomagało.

Ogrzewano ją i ochładzano. Okładano gorącym piaskiem z przodu a lodem z tyłu, potem znów gorącym piaskiem z tyłu, lodem z przodu. Nacierano octem prostym i octem siedmiu złodei. I to się na nic nie zdało.

Boleści się wciąż wzmagały. Chora wydawała jęki przerażliwe. Całego domu służba koło niej chodziła. Pan Kacper głowę tracił.

Przyjechali państwo Oleccy z synem i córką starszą.

— Państwo łaskawi!.. nieszczęście!... — temi pan Kacper spotkał ich słowy. — Radźcie!...

Pani Olecka z córką udała się do pokoju chorej i rozpytywać ją zaczęła tonem współczucia głębokiego:

— Co pani kochanej?... Co pani droga czuje?...

— Oj!... uj!... boli, kole, rznie, piecze!...

— Gdzie?...

— I tu... i iw... i tu. — odparła zapytana, pokazując na piersi, na plecy i na boki.

— Możliwyby krew puścić, ale nie radzę.. Możliwyby piawki postawić, ale nie radzę.. Możliwyby emetyku zażyć, ale nie radzę.. Możliwyby na przeczyszczenie wziąć, ale nie radzę... — radziła pani Olecka.

Chora jęczała, rzucała się na łóżku, to bladła, to czerwieniała i pot kroplisty występował jej na czole od czasu do czasu.

— Oj!.. uj!.. — wykrzykiwała i wśród krzyków przemówiła: A niech tam państwu Oleckim co na przekąskę dadzą... Objad będzie niebawem, aleby co przed objadem... O, joj joj!... Matko Boska!..

— Niechże pani dobrodziejka nie troszczy się o nas... — odparła pani Olecka.

— Och! pani dobrodziejko... Przed objadem coś konieczne.. Jezus Marja!... Kawioru odrobinę, łososia marynowanego, półgąska plasterek... O, Panno Najświętsza!... Uch!... — zakłóciła ją straszliwie.

— Senesu ze śliwkami!.. — radziła pani Olecka.

W przyległym pokoju praktyczniej nieco rzeczy się układały. Pan Olecki rozpytał pana Kacpra, i dowiedziawszy się o symptomatach, zwrócił się do syna z następującymi słowami:

— Koni naszych nie wyłożono jeszcze.. Siadaj, Ludwiku, na bryczkę i machaj po doktora..

Ludwik wybiegł a za Ludwikiem pan Kacper. Ten wsiadł na bryczkę i ruszył z miejsca, co koń wyskoczy, ten kazał zaprzędz do bryczek pięciu i pchnął takowe w różne strony po uczniów Eskulapa, nakazując posłańcom pod karą śmierci i zaklinając ich pod obietnicą wynagrodzenia pięciorublowego, ażeby nie szcędzili koni ani siebie i dostawili lekarzy jak najprędzej.

Chora jęczeć nie przestawała w kurczach, rzutach i preżeniach.

Zawieszono zadawanie środków domowych i pani Katarzyna doznała ulgi niejkiej. Bolesci umniejszyły się. Zdawało się nawet, że ustały zupełnie. Zdawało się, że zaśnie, lecz rozbudziła ją myśl o gościach i o marynacie z łososia. Gościom kazała dawać przekąskę i objad; do marynaty zaś poczuła pociąg — pociąg niepociągiony.

— Przynieś mi odrobinęczkę... — rzekła do służącej. Służąca powróciła z niczem, a za nią wszedł pan Kacper.

— Nie można, Kasiu...

— Ależ odrobinę tylko... — przemówiła głosem błagalnym. Łosoś ten tak mi aż pachnie...

— A jeżeli zaszkodzi?... —

— Coby szkodzić miał!... Jeszcze co?... Łosoś?... O Chryste Panie!

Stara Mędzińska poparła synowę. Kacper zasięgnął rady państwa Oleckich. Stało na tem, że „odrobina“ szkodzić nie może.

Pani Katarzyna, zjadłszy odrobinę, rzekła do służącej:

— Przynieś mi jeszcze...

Nowe przedstawienia, nowa narada i nowa do pierwszej podobna dycyzja.

Pani Katarzyna, zjadłszy drugą „odrobinę“, zażądała jeszcze.

Mąż w prośby! a ona na to:

— Czuje jak łosoś ten dobrze mi robi... Żadne lekarstwo tak nie skutkowało: ani hardyman kowalski, ani ekonomiczne krople cudowne... Gdybym zjeść mogła do syta, tobym wnet wstała...

— Nie boli już cię nic?... — zapytał pan Kacper.

— Po łososin, powiem ci jak ręką odjął...

Doktor Gallopin, przypominam sobie, całą jedną prelekcję poświęcił apetytom fałszywym, przypisując takowe zniszczeniom jakie w żołądku sprawiają przyprawy, dogadzające nie istotnym potrzebom odżywienia organizmu człowieka, a jedynie i wyłącznie smakowi.

Pan Kacper opowiedział gościom o cudownym wpływie łososia marynowanego na zdrowie Kasi.

— I wyzdrowiała pani dobrodziejka?... — zapytał pan Olecki ze zdziwieniem.

— Wyzdrowiała... Nic ją już nie boli, ani piecze, ani rżnie... i domaga się łososia jeszcze...

— Hm... To i cóż!... Jeżeli zdrowa, Bogu dzięki...

Pan Kacper kazał lokajowi zanieść pani marynatę ze słojem całym, w którym przez szkło wyglądało z pół garnca ryby, utopionej w occie z oliwą, napełnionym listkami lauru, ziarnkami

pieprzu i kawałkami korzeni różnych. Kucharz ohrebyski posiadał tajemnicę przyprawiania marynat w sposób tak cudowny, że zjadłszy dzwonko jedno ryby przez niego umarynowanej, dostawało się takiego do jedzenia pociągu, iżby się wołu połknęło. Z tego powodu specjał ten uchodził za bardzo zdrowy. Dla tego to, nie dziwiono się bardzo temu, że pomógł pani Katarzynie.

— Ten łośośby i nieboszczyka wskrzesił... — zauważył pan Olecki i zapytał: Ciekawym, co doktorowie powiedzą na to?... Pójdzie im to po nosie.

— Zatrzymamy ich na objadek... — odparł pan Kacper. Zabiorę przynajmniej znajomość z nimi... Dotychczas Bogu dzięki, obchodziliśmy się bez doktorów i dla tego, jak Kasia nagle zachorowała, nie przychodzili mi na myśl, aż pan dobrodziej przypomniał, że są na świecie...

— Czemu to łośoś nikomu na myśl nie przyszedł, tylko pani dobrodziejce!... — podchwycił pan Olecki.

— Widać, że chory wie sam najlepiej, co mu pomaga... — odrzekła pani Olecka.

— Nie... — odparł pan. — Widać, że dobry kucharz, to skarb prawdziwy... to lekarz nad lekarze...

I tak — gadu, gadu. Pani Olecka z córką zasiadły przy łóżku pacjentki, która spożywszy marynaty do syta, czuła polepszenie wyraźne i byłaby wstała, gdyby nie osłabienie, następstwo boleści; to ją w łóżku trzymało. Panie rozmową się zabawiały. Do rozmowy mieszała się i Franusia, panienka w jedenastym już roczku podówczas. Mówiła, jak to ona płakała, kiedy mama krzyczała głosami „niestworzonemi“.

Panowie, ze swojej strony, zabawiali się rozmową i fajek paleniem, w gabinecie pana Kacpra.

Lokaje nakrywali do stołu, stawiając sześć nakryć dla sześciu lekarzy spodziewanych.

Wszystko szło jak najlepiej.

Aż tu nagle, jakby psów tysiąc zaskomliło, wrzask przeraźliwy po domu całym się rozległ.

Wszystko co żyło, z wyjątkiem księżnej i Weroniki, do łóża pani Katarzyny się rzuciło.

Boleści, kurcze, pieczenie i rżnięcie, wznosiły się w spotęgowaniu.

Nikt nie wiedział co robić, ani co radzić. Wyczerpanie, w poprzednim ataku wszystkich środków domowych, obezwładniało chęci najlepsze, jakimi wszyscy przejęci byli.

Szczęściem przybył doktor jeden. Pan Kacper powitał go wyrazami:

— Panie konsyliarzu, sto dukatów za uzdrowienie mi żony!...

Doktor przystąpił do chorej i począł ją egzaminować, badając puls i język i rozpytując o symptoma.

Przybył drugi. I temu pan Kacper oświadczenie powyższe uczynił.

Koledzy powitali się, jak, nieprzymierzając, dwa psy porcelanowe i zaimprovizowali konsyljum dwoiste, które zmieniało się w troiste, poczwórne, etc., w miarę jak przywożono lekarzy nowych. Skończyło się na tem, że domownicy i goście odstąpili w głąb, łoża zaś chorej otoczyli mężowie nauki. Pani Katarzyna jęczała, jęczała, wiała się, drgała, podskakiwała, w końcu podniosła się, ręce wyprężyła, wzrok wyteżyła, wydała jęk westchnieniowy przenikliwy, na poduszki na wznak upadła i zamilkła.

Jeden z lekarzy ujął ją za puls, wnet jednak rękę jej puścił i po kolegach spojrzał.

Na spojrzenie to, jakby na komendę, lekarze wszyscy razem od łoża się cofnęli.

I wszyscy razem do przyległego wyszli pokoju.

Pospieszył za nimi pan Olecki.

— No i cóż?...

— Wezwano nas zapóźno... — odpowiedział jeden z nich.

— Cóż?... cóż?... jakaż przyczyna?...

— Przyczyna... gastryczna... — odrzekł tenże.

Wkrótce potem, pod dachem ohrebyskiego dworu rozległ się lament męski. Pan Kacper w płacz wielki uderzył, włosy sobie rwał i wyrzekał.

Panowie Oleccy, ojciec i syn, pocieszali strapionego głęboko a rzetelnie.

Pani Olecka z córką odjechały do Frasnoblówki, zabrawszy Franusię ze sobą.

XV.

W pierwszym czy też w drugim rozdziale, w tomie pierwszym powieści niniejszej — kiedy Kacper był chłopięciem takim mądrym, że jasnie wielmożnego przedstawiał sobie pod postacią pawia czy papugi — zapowiedzieliśmy byli bohatera i bohaterkę powieści, których podówczas na świecie nie było jeszcze. W ostatnim tomu drugiego rozdziale przypomnieliśmy nam zapowiedź ta. Widziani we mgle przyszłości bohater i bohaterka są już — ale, niestety! przyszli zapóźno. Nie będziemy więc ich czytelnikowi prezentowali. Powieść przeto pozostaje i bez bohatera i bez bohaterki, na co innej rady nie ma, jak tylko przeprosić czytelnika. Ofiar nasypało się za dużo. Nie byliśmy w stanie wybrnąć z pośród nich i wyjść na kwieciste pole romansu, wyprowadzając na scenę ludzi gołębiej natury. Osobistości opowiadania naszego są ludźmi natury ludzkiej. Ha! nie nasza to wina.

Usprawiedliwszy się w ten sposób przed czytelnikami, przystępujemy do zaokrąglenia opowiadania, obejmującego przeciąg czasu spory, lat trzydzieści kilka. Tem się tłumaczy, dla czego poumierało nam dużo ludzi w ciągu akcji powieściowej. Umierali, jedni ze starości, drudzy ze zgryzoty, trzeci w skutek wad organicznych, młody książe zginął w trzęsieniu ziemi, pani Katarzyna zesłała ze świata z przyczyn gastrycznych. Tak się snuje życie samo, którego powieść jest zwierciadłem.

Pan Kacper uczył śmierć żony głęboko. W pierwszych chwilach był, jakby obuchem po głowie uderzony. Zabrano mu dziecko — on ani wiedział o tem. Pocieszano go — pociecha żadna serca się mu nie chwytala. Chodził niby odurzony; tłuł się po domu, jak — jak to powiadają — Marek po piekle; zachodził niekiedy, nie wiedząc sam jak, do apartamentu księżnej, i na widok tej ostatniej, cofał się powiadając z półplaczem:

— Nie ma jej...

Księżna spoglądała nań wzrokiem, w którym gdy na nią patrzył, malowała się litość, gdy nie patrzył, pogarda — i nie spieszyła do niego ani z pocieszaniem, ani z perswazją.

Na pocieszeniach i perswazjach nie brakło mu jednak.

Długo atoli był on głuchym na wszystko.

Przemawiała do niego matka. On matce odpowiadał:

— Wolałbym z Kasią być wyrobnikiem i pracować jak pracowałem w tym właśnie dniu, w którym na mnie bogactwo spadło, aniżeli bez niej być panem... Gorzkiej teraz państwo moje!... O, Kasiu!... Kasiu!...

Nocami się zrywał i lamentował.

Matka wszakże znalazła punkt, przez który się pociecha do duszy jego wkradła.

Kiedy on na państwo swoje wyrzekał, odezwała się razu pewnego:

— Gadasz, jakbyś na świecie był sam jeden...

— Ano... Nie sam jeden... Mam was, mam...

— Co ja!... Ja się nie liczę i do twojej kompanji nie należę, ale Franusia...

— Ach! Franusia!... — przypomniał sobie. — Gdzież ona.

— U Oleckich... we Frasnoblówce... Zabrali ją i trzymają... ot już miesiąc blisko... Trzebaby chyba, żebyś odebrał, bo choć to i jej tam, jak słyszę, dobrze i z niej kontenci, panny ją pieczęcią, panicze wożą, ale i mnie tu bez niej, powiem prawdę, markotno, i jej wypada być raczej przy ojcu aniżeli pomiędzy paniczami...

Pan Kacper kazał natychmiast do powozu zaprządz, pojechał do Frasnoblówki, podziękował czule i serdecznie państwu Oleckim za troskliwość o Frasnusię i przywiózł ją do Ohrebyszcza.

Od chwili tej oprzytomniał niejako. W dziecku znalazła się ta moc, co go podźwignęła z upadku i do opamiętania przyprowadziła a znalazła się moc ta na drodze sprzeczności! Frasnusi we Frasnoblówce podobało się ogromnie; nie z wielką ochotą z ojcem przyjechała i mocno się jej chciało jechać napowrót do domu, w którym i odpowiednie wiekowi swemu towarzystwo znajdowała i ze strony starszych nadzwyczajnej uprzejmości doznawała i tysiące ciekawości widziała. Dostęć wymienić komornika, co żywcem myszy łapał. Jeden z młodych Oleckich klatkę zrobił. Frasnusia myszy do klatki zamknęła i zaprowadziła gospodarstwo, które ją zajmowało w stopniu najwyższym. Rozpocząła właśnie hodowlę myszy na wielką skalę, kiedy ją ojciec do Ohrebyszcza zabrał. Powierzyła dozór nad takową panu Ludwikowi i kiedy pozostawała w Ohrebyszczech ciągnęło ją do Frasnoblówki, jeżeli nie dla czego innego, to dla czuwania nad

dobytkiem tak interesującym. Ojciec perswadować jej musiał, żeć to przecie niedorzeczność. Franusia racyj ojcowskich nie uznawała, dąsała się, płakała, chimerowała. Dyskusje, jakie pan Kacper z powodu tego staczać musiał, wracały mu trzeźwość sądu, którą skutkiem żalu wielkiego postradał był prawie.

W żalu wszakże nie ustawał — i dużo trzeba było czasu, ażeby, pozwolił matce następujące wyrzec do siebie słowa:

— Smutek taki, to bo i nie przystoi nakoniec...

— A cóż ja temu poradzę!... Nie smucę się niby; gdy przypomnę sobie jednak Kasię, jaką ona dla mnie była... jak to ona za mną pobiegła, w jakim stanie do Odessy przysłała, jak za mną świata nie widziała (kochala)... to tak mi się serce ściska, że... a!... Czyżby się znalazła druga taka!...

— Eeej!... — matka na to ręką machając. — Nie obrażaj pana Boga... a raczej pomyśl, że tak jak jest pozostawać nie może...

— Jak nie może?... — zapytał.

— Wdowcy się żenią...

— Mamo... — zaczął pan Kacper tonem uroczystym.

— Kacprze!... — przerwała staruszka, kładąc palec na ustach. — Cyt!... Ani słowa!... Albo powiesz coś takiego, czego będziesz potem żałował, albo zrobisz gorzej jeszcze: postanowisz i postanowienie złamiesz.

Kacper znów chciał coś powiedzieć, lecz mu matka znów przerwała:

— Człowiek człowiekiem — rzekła. — Dola dola... Nie godzi się doli własnej w poprzek stawiać słowo... Franusi przydałby się braciszek jeden, drugi, przydałaby się jej i sio. strzyczka...

— Co to, to nie!... — zawołał Kacper.

Matka mu dłonią usta zasłoniła.

Że się „wdowcy żenią“ o tem i w okolicy gadano, i nie jeden z tych co Kacpra odwiedzali, nasuwał mu zdaleka, bądź jakąś wdowę, bądź jakąś pannę, wynosząc jej cnoty i dając do zrozumienia, że cnoty owe są do wzięcia. Kacper nie poznawał się na tem.

Począł jednak ważyć w umyśle słowa, przez matkę wy

rzeczone. I byłby je ważył lato całe, gdyby nie okoliczność jedna. Słowa te same powtórzyła księżna.

Księżna wezwała go do siebie razu pewnego. Samo wezwanie osobliwością było. Nie zdarzało się to nigdy. Pan Kacper pospieszył i zastał wdowę książęcą ze śladami łez na policzkach. To go tknęło w sposób rozrzewniający.

— Siadaj, panie Kacprze...

Ukazała mu ręką fotel obok kanapy, którą zajmowała.

Kacper usiadł. Księżna, pomyślawszy chwilę, zaczęła:

— Czy nie przychodzi ci kiedy, panie Kacprze, na myśl, że człowiek każdy powinien ofiarę ze siebie czynić?...

— Ofiarę?... zapytał tonem zdziwienia.

— Ach! ofiarę... — odrzekła. Raz świat, znów położenie wymagają od nas poświęcenia osoby własnej... To się nazywa ofiarą... ofiarą z osoby własnej, bywają bowiem ofiary i inne, z czasu naprzykład, albo z majątku, albo z czegoś, co nam przyjemność sprawia... Niektórzy, na ofiarę, wstrzymują się od jedzenia poziomek lub brzoskwiń... Niektórzy, na ofiarę, poszczą i suszą... Niektórzy, na ofiarę, odmawiają pewną ilość pacierzy, klęczą, lub krzyżem się kładną... Mnóstwo jest rodzajów ofiar, wszystkie są piękne, lecz najpiękniejszą jest ofiara z samego siebie, z osoby własnej... Nie prawdaż, panie Kacprze?...

— Prawda, mości księżno...

Nastąpiła chwilka milczenia, w ciągu którego pan Kacper myślał o księżnej, przebywającej w pałacu krasilowieckim dla księcia Gotfryda. Zdawało mu się, że po tem, co księżna powiedziała, oczy mu się otworzyły na ofiarę, spełnioną w sposób najszczytniejszy. Komuż, nieznanemu tych tajemnic, które my znamy, takby się nie zdawało!

Po chwili księżna zapytała:

— Czybyś ty nie gotów był, zrobić ofiary z siebie?...

W ciągu zapytania tego, przesunął się jej przez usta uśmiech ironiczny.

Kacper westchnął, ust nie otwierając, ramionami ścisnął i odparł:

— W jakim celu, mości księżno?... dla kogo?...

— Dla... dziecka twego...

— O!... dla Franusi jam gotów na wszystko!... — zawołał.

— Pozostała bez matki... Podrasta... Potrzebuje pieczo-

łowości kobiecej, potrzebuje wychowania, odpowiedniego stanowiska w świecie, jaki jej nadaje majątek ogromny... Wyrósł... będzie potrzebowała czuwania życzliwego nad pierwszymi krokami, jakie w świecie postawi... Czyś ty myślał o tem wszystkim?...

— Nie, mościa księżno... nie... — odparł Kacper, jękając się, jakby w zmieszaniu. Ja tylko myślałem o tem, że po stracie nieboszczki mojej, nie byłbym w stanie znaleźć sobie żony odpowiedniej...

— A gdyby się ona znalazła sama?...

— Nie... Przyznam się przy tem, że ten mój majątek, jest to majątek nie mój, ale nasz wspólny, to jest nieboszczki i mój... to jest: dziecka naszego, Franusi... Gdybym się przeto ożenił, a Bóg dał dzieci...

— A gdyby była pewność, że dzieci nie będzie...

— A!... — zaczął Kacper i uciał.

— Zaufałyś mi pod względem wyboru kobiety na matkę dla twojej córki?...

— Mościa księżno!... — odparł Kacper.

— Chodzi tu nie o żonę dla ciebie, ale o matkę dla Franusi... Zaufałyś mi?...

— Prędzej aniżeli komu innemu...

— Prędzej aniżeli sobie samemu?...

— Może...

— Zadałam ci ostatnie to pytanie dla tego, że ty sam jesteś w tym względzie, jak człowiek z oczami zawiązanymi. Gdyby ci dano do odgadywania w tysiącu, to niezawodnie omyliłbyś się razy dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć... Ja zaś, wybieram na pewne...

— Wasza książęca mość — podchwycił Kacper — w taki przemawia sposób, jakby miała już kogo... na matkę dla Franusi... upatrzonego...

— Mam...

— Jeżeli zapytać wolno... kogo?...

— Kobieta od ciebie o kilka lat starszą, wytrawną, doświadczoną, w świecie obytą, świetnie wychowaną, kobietę, co przeszła przez szkołę nieszczęść i umiała nieszczęściem wierną pozostawać... wdowę po księciu Gotfrydzie Gamajdzie...

— Co!... — zawołał Kacper, podnosząc ręce i cofając się ciałem w głąb fotelu. Wa-sza książę-ca mość?...

— Masz mi co do zarzucenia?... — zapytała księżna tak spokojnie, jakby chodziło nie o nią samą, ale o kogoś trzeciego, zupełnie obojętnego.

— Do zarzucenia?... a!... chyba bym ślepym był... Ale, ja bym o tem nigdy pomyśleć nie śmiał...

— Spodziewałam się tego i nie czekałam, aż sam pomyślisz...

— Ależ to... ze strony waszej książęcej mości... wielka... wielka ofiara!...

— Ofiara... tak... nie przeczę... Ofiara konieczna... dla uregulowania pozycji mojej w twoim domu, w którymby dłużej pozostawać nie mogła inaczej, jak twoją... żoną... Biorąc przeto rzecz z innej strony, przedstawia się ona tak: albo mnie musisz wydalić... wypędzić, albo też, ofiarę moją przyjąć... No... wypędzaj!...

— Nie, mości księżno... — odparł Kacper, dłonie zbliżając, jak do złożenia.

— A więc... robisz ofiarę z siebie i przyjmujesz ofiarę moją.

Podawała mu rękę z książęcą powagą. Kacper rękę jej ucałował.

— Trzeba to zrobić bez hałasu... po cichu... — dodała — za indultem, nie uprzedzając nikogo i nie opowiadając się nikomu... Po ślubie wyjedziemy, z Franusią, na miesiąc kilka, dla dania ludziom czasu do wygadania się... Przystajesz na to?...

— O, mościa księżno!... — odparł, powtórnie ją w rękę całując.

— Zostawże mnie teraz samą... Pomodłę się, ażeby Bóg moją i twoją ofiarę przyjąć i pobłogosławić raczył...

Kacper, ucałowawszy jej rękę raz jeszcze i powiedziawszy, że to na niego niby z nieba spadło, wyszedł. Księżna przechyliła się na kapie, głowę na łokieć opuszcła i płakać poczęła. Płakała długo. Wstała następnie, i chodząc po pokoju, lży co chwila sobie obcierała. Usiadła wreszcie przed biurkiem, na którym leżał otwarty list podkomorzyny, wzięła list ten do ręki i czytała. Podkomorzyna pisała:

„*Ma princesse, ma fille chérie. — Il y a des moments, où il faut réunir tout son courage pour pouvoir dire un mot, un seul mot. Je me trouve dans un moment pareil. J'ai à te faire part de l'inspiration soudaine qui m'est venue d'en haut, lorsque, hier, agenouillée devant l'autel, j'ai supplié la Mère de Dieu de m'envoyer un rayon de consolation. Tout d'un coup, au milieu de la prière fervente, j'ai tressailli. J'ai senti le rayon descendre sur moi.*

„*Il y a, ô ma fille chérie, un sacrifice à faire, le plus grand, le plus éclatant, le plus sublime. La mère de Dieu a bien consenti à devenir femme d'un simple charpentier. Princesse! épouse Kacper — épouse-le! La Providence qui arrange les choses d'ici-bas te montre la voie. Ella a écarté la grosse, afin que tu puisses, en marchant sur les tracés de Celle qui nous sert d'exemple suprême, te rendre digne d'Elle, en accomplissant un sacrifice suprême.*“

Listu tego ciąg dalszy podam w tłumaczeniu. Jak się pokazuje, księżna tak samo, jak w liście na początku rozdziału poprzedniego przytoczonym, domagała się usilnie tego, ażeby ją matka wzięła do siebie, podkomorzyna bowiem pisze tak:

„To, co było trudnością nieprzewycięzoną, jest dziś niepodobieństwem absolutnem. Wyobraź sobie! jestem okradzioną, haniebnie okradzioną. Posyłam do banku po pieniądze; przysyłają mi nie pieniądze, ale długi rachunek jakiś, który, jak Karol powiada, znaczy, że nie ma nic. Osłupiałam. Bo i jakżeby to być mogło, ażebym ja nie nie miała! Karol... *il s'est mis à siffler.* Kazałam Grochiewiczowi podać na bank zaskarżenie o kradzież, ale Grochiewicz odpowiedział mi w sposób hardy (*d'une manière insolente*), z czego poznałam, że istnieje przeciwko mnie zmowa. Grochiewicz z bankierami *sont des compères*. Udałam się do gubernatora, powiedział, że nie ma rady; kogo zapytam, to samo odpowiada. Wyraźnie sprawiedliwość nie istnieje na świecie. Spuścizna po ś. p. rodzicach moich, fundusz święty — jak ludzie ci ośmielili się wyciągać poń rękę świętokradzką! Wówczas to, w rozpacz, pobiegłam po pociechę do Tej, co jest pociechą wszelkich źródeł, i Ta zesłała mi promień, który mnie natchnął.

„Księżno moja! Nie jestże to wyraźne zrządzenie Opatrzności? *Tu t'humilies pour te relever ensuite.* Droga ofiary wracasz, jeśli nie do posiadania, to do używania fortuny ojców twoich. Zadziwiające są drogi, któremi Najwyższy sprawy świata tego

prowadzi. Człowiek ten, co majątek nasz zagarnął, ma dziewczynę, córkę, spadkobierczynię jedyną. *Eh bien*, głos jakiś prooczy powiada mi, że ta istotka stanie się narzędziem restytucji za sprawą twoją. *Charles est là.* Księżno moja! westchnij do Matki Bożej o pomoc, zrób wysilek, spełń ofiarę najwyższą i najszczytniejszą, jaką kobieta spełnić może. Mówiłam o tem z Karolem, Karol natchnienie moje nazywa kombinacją genialną. Karol mężczyzna — mężczyźni nie pojmują uroku ofiary.

„Nie piszę dłużej. Wszystko, o czembym pisać mogła, wy daje mi się tak małym, tak mizernym wobec ofiary, do której powołaną jesteś, że doniosę ci tylko, iż pani Zahalnicka z domu Dębska, przyjechała do Odessy na kąpiele w morzu i że hr. S... żeni się z żydówką. Bądź zdrowa, bądź odważna, zaczerpnij siły w modlitwie, spełń ofiarę i kochaj matkę twoją, która się czuje bardzo nieszczęśliwą. Kochająca cię czule

„Klara z hr. Zapamiętańskich hr. Kostrzewicka.“

Księżna, odczytawszy po raz zapewne dziesiąty list ten, odpisała:

„Stało się. Ofiara spełniona. Indywiduum właśnie wychodzi odemnie, przekonane, że dostaje w osobie mojej małżonkę, będącą doskonałością skończoną, i *par conséquent*, zachwyczone, tak zachwyczone, że musiałam mu powiedzieć, ażeby szło sobie precz! O! musiałam walczyć ze sobą. Rozwinęłam jednak krasomówstwo całe, utrzymując je na poziomie pojęć przyszłego mego i kochana mama będzie miała tę pociechę, że natchnienie jej ubierze się za tygo-dei parę w kości i ciało księżnej, skojarzonej węzłem małżeńskim z lokajem. Przypominam sobie, kiedy o uksiążęcenie moje pertraktacje się toczyły, miałam wielką ochotę dać się wykraść młodemu chłopcu, ozdobionemu romantycznym imieniem Gustawa. Co za szczęście, że do tego nie przyszło! Nie byłoby, ani natchnienia maminego, ani ofiary mojej. Otoczona tuzinem dzieci, łamałabym sobie głowę nad poziomociami różnemi, nie mając czasu o ofierze pomyśleć nawet. O! cóż to za szczęście! Wyraźne Opatrzności zrządzenie. Śmiać mi się jednak chce. O ile bowiem rozumiem całą szczytną podniosłość ofiary, wypływającej z natchnienia maminego, o tyle, z drugiej strony, czuję to, co, wyobrażam sobie, uczuwać musi londyński pic-poc-ket po dokonaniu arcydzieła w zawodzie swoim. Udało się. Dumną jestem. Miłości mojej własnej pochlebia to całopalenie, ja-

kie czynię z mitry książęcej. Cieszy mnie niewymownie, że Karol znajduje natchnienie mamine genialnem. Powiedz mu, mamó, niech liczy na mnie. Pomogę mu z duszy i ze wszystkich sił moich do odzyskania, drogą ofiary, spuścizny ojców, a pomogę mu do tego, chociażby nie dla czego, jeno dla tego, ażeby na drodze tej osamotnioną nie być. *Cela s'arrangera*. Przecież matką zostaje, mamó kochana! Jestto jednak rzecz późniejsza. Córka moja, którą, mówiąc nawiasem, Oleccy już obsaczyli (Olecka nie taka gaska, jak się zdawało, umie bowiem z myszy nawet użytek zrobić), ma lat jedenaście dopiero. Na teraz, program taki: za dwa tygodnie ślub cichy; po ślubie wyjazd za granicę; następnie, co się zdarzy. Mój lokaj — *pardon!* — mąż, zgadza się na wszystko. *C'est un mouton qui se laissera conduire*.

Zaczynając list ten, czułam w sobie ogromny na duchu upadek; kończąc, czuję w sobie sił i energii mnóstwo. Powiesz zapewne, mamó kochana, że to dzieło łaski Bożej. Być może. *Je ne dirai pas non, après la conservation avec le bonhomme, dans laquelle j'ai débité un tas des balivernes, à faire l'admiration d'un Molière ou d'un Beaumarchais. J'ai joué mon rôle en perfection — rôle bien difficile, croyez m'en, d'une sacrifiée demandant un sacrifice*. Ale stało się. Kończę list, bo śmiech mnie zbiera. Plakałam dziś rano cała.

„Natchnienia twoje, mamó, jest arcydziełem!

„Ścisła cię, mamó kochana, jak najserdeczniej córka twoja.

„Księżna (jeszcze) Ludwika Gamajda.“

Spełniło się wszystko wedle programu, który księżna w liście do matki skreśliła. Ksiądz Celowicz osłupiał, gdy go wezwano do wiązania stulą rąk księżnej i Kacpra. Nowożeńce brali ślub na poczekaniu. Kareta podróżna czekała na nich przed kościołem; wzięli ślub, odeszli od ołtarza, wsiedli i pojechali we czwórnasób: dwoje państwa Mędzińskich, panna Mędzińska i Weronika. W okolicy nikt ani domyślał się niczego. Najpierwszy dowiedział się o tem ksiądz Celowicz, który dawszy ślub, długo jeszcze trzymał indult w rękę, odczytując go przez okulary i zapytując siebie, ażali ślub ów nie jest snem na jawie, złudzeniem, lub też — kto wie — figłem złego ducha. „Kto wie“... — powiadamy i my, z naszej strony.

Wiadomość ta sprawiła wrzawę w okolicy.

„Zakotłowało“ — jak to mówią.

Wielkiem było zdziwienie, większą atoli pretensja.

Okazja — weselisko, zręczność taka dobra dla kucharza popisania się z wieczerzą cukrową — spełzła na niczem. Przypisywano winę księżnej.

— Ona to sprawiła!... Wielka pani... fumu!... Nieboszczka pocziwa, gdyby jej okazja podobna w ręce wlaża, byłaby i ugościła i sama podjadła... Szkoda, wielka szkoda tamtej... Ta Mędzińskiego osiodła i czort wie co z niego zrobi... chociaż bowiem i ona nie bez zalet i wielkich, ale to nie dla niego para...

Za zaletę poczytywano jej posterunkowanie w pałacu krasiłowieckim. Uważano to za poświęcenie, równie jak za poświęcenie uważano wyjście za Kacpra. Z powodu tego podzieliły się w okolicy zdania, W mniemaniu jednych większem było poświęcenie tamto, w mniemaniu drugich to ostatnie. Zgadzano się atoli powszechnie na to, że księżna „czort wie co“ z Kacpra robi.

— Zobaczycie... — powiadano. — Jeżeli oni powrócą z zagranicy za lat pięć i jeżeli nie puszczą z dymem Krasiłowiec i Ohrebyszcz, to chyba że cud się jaki stanie...

Nie wiem czy cud stał się jaki. Państwo Mędzińscy jednak powrócili nie za lat, ale za miesiący pięć.

Kiedy wioząca ich kareta podróżna pokazała się na trakcie, koło figury, tak, że ją z dworu rozpoznać było można, na ganek — na ten sam ganek, na którym widywaliśmy podkomorzego czasu onego — wyszedł jegomość jakiś, z fajką na długim w piękny bursztyn ozdobionym cybuchu w rękę, w paletocie z szarego sukna, z bakembardami *à l'anglaise*, z wąsami wpadającymi w bakembardy, z wahającym się mu na piersiach lornionem, wyszedł, stanął i przypatrywał się spokojnie powozowi zbliżającemu się powoli. Na twarzy jego błąkał się uśmiech samozadowolenia. Naciągał sobie palcami od czasu do czasu bakembardy i pociągał dym z cybucha. W skutek tego nad czołem jego, ozdobionem wpół łysiną, wałęsały się obłoczki sinawe, czyniąc efekt wcale niezły, pod względem malowniczości postaci, przedstawiającej szlachcica polskiego, zreformowanego wedle mody zachodniowca. Przytem jegomość ów wyobrażał spokój zupełny. Jak spokojnie stał, kiedy pojazd ukazał się pod figurą, tak się spokojnie zachował, kiedy kareta przed gankiem się za-

trzymała i sług kilkoro poskoczyło do drzwiczek w celu spotkania państwa.

Państwo Mędzińscy wysiedli. Zdawali się być podróżą mocno znuzeni.

Pani, w podróżnej ale świeżej i gustownej toalecie, szła przodem, i spotkawszy się na ganku z jegomością, wydała okrzyk:

— A!...

Jegomość głową jej z uśmiechem kiwnął.

Pani, rękę mu podawszy i nadstawiwszy policzek, który on pocałunkiem musnął, udała się w głąb domu.

Pan Kacper, ujrawszy go, cofnął się i w oczach zamigotało mu zmieszanie. Widocznem było, iż nie wiedział co robić, witać czy nie. Jegomość, pod względem spokoju, zachował nieodmienność zupełną i zdawał się nawet bawić kłopotem gospodarza domu. Wreszcie ten ostatni wziął przed się postanowienie. Wszedł do wnętrza domu, nie powitawszy jegomością i nie przemówiwszy do niego ani słowa.

Tego nie obeszło to wcale. Zwrócił się do Franusi, która, zoczywszy nieznajomego, zatrzymała się przed nim.

— Nie poznajesz mnie?... — zapytał.

— Niee... — odparło dziewczę przeciągle.

— Nie widziałas mnie nigdy?..

— Nigdy...

— Ani przez sen?...

— Nie pamiętam...

Dygnęła i przeszła mimo.

Jegomość zwrócił się powoli i udał się do wnętrza domu, biorąc się w sieni na prawo, to jest, na stronę, po której znajdowały się salony i kobiece apartamenty.

W kierunku tym samym udała się i eks-księżna, obecnie pani Mędzińska. Gdy na próg salonu wstąpiła, wydała okrzyk: ach!

Okrzykowi temu odpowiedziało „ach!“, ogłoszone przez kobietę w wieku podeszłym, wyglądającą bardzo poważnie, a ubraną w jedwabne materje koloru ciemnego. Biło od niej coś imponującego, wielkopańskiego, poszanowanie nakazującego.

— Mama!... — krzyknęła pani Mędzińska.

— Księżna!... — odwrzknęła podkomorzyna (ona to bowiem była).

Rzuciły się sobie w objęcia, wśród których eks-księżna odezwała się:

— Nie księżna już, niestety!... nie księżna.... ofiara...

— O! ty dla mnie — odparła podkomorzyna — księżną pozostaniesz na zawsze... księżną, wieńcem ofiarnym ukoronowaną...

— Lecz cóż ciebie, mamó, sprowadziło?... Wiedziałaś, że mam do wód pojechała, ale nie wiedziałaś kiedy powrócę... Co cię sprowadziło?...

— *Les recors m'ont enlevé tout...* Donosiłam ci o kradzieży... Nie skończyło się na tem... Okradziono mnie najprzód, obdarto następnie... Mam sumienne przekonanie, że wszystkiego tego sprawcą głównym jest Grochiewicz...

— Ten taki usłużny, mamó kochana?... ten sam, co tak dobrze, jak mi w swoim donosiłaś czasie, prowadził sprawę o oddanie Kacpra na galery?...

— Ten sam... Ach! co to za niegodziwiec... Mam, powiadam ci, to sumienne przekonanie, że to on mnie zdewalizował... Podawałam na niego skargę... Ale... sprawiedliwość?... o!... Ach! jak świat głęboko zepsuty... Ach! jacy ludzie źli... Sprawiedliwości nie masz, jeno... tam...

Wzniosła oczy do góry.

Wtem wszedł jegomość, któregośmy na ganku widzieli jegomością, który był nie kim innym, jeno panem Karolem.

— Boczy się... — rzekł, stając przed paniami.

— Ujeździ się... — odrzekła od niechcenia eks-księżna, rzucając na brata spojrzenie ukośne.

— Wyobraź sobie... — zaczęła matka — przyjechaliśmy tu budką żydowską... Ach! co za podróż...

— Okropność!... — krzyknęła pani Mędzińska.

— Padłam ofiarą złości, przewrotności, niesprawiedliwości ludzkiej i gdyby nie ofiara twoja...

Eks-księżna się uśmiechnęła.

— To miałem już zamiar zaofiarować się na kontrabandzistę... — dokończył pan Karol tonem żartobliwym.

— Karol bierze rzeczy ze strony śmiesznej... — podchwy-

ciła podkomorzyna. — Lecz, *ma foi*, śmiesznie bynajmniej nie było... Przyszło mi jednak natchnienie... Jedźmy do Ohrebyszc!...

— Natchnienie mamine świetnem było... — odrzekł podkomorzyc. — Ale, jeżeli jegomość dalej boczyć się zechce, albo, co gorzej, przyjdzie mu fantazja powiedzieć mnie i mamie, lub też nie mamie ale mnie: *videz la place*, to i to natchnienie i natchnienie tamto mogą nie doprowadzić do kosztowania z ofiar tylu owocu... Trzeba zawczasu karty utasować...

— Ah!... ah!... — odparła pani Mędzińska tonem lekceważenia.

— Hm... — odezwał się pan Karol. — Ja myślę, że nie byłoby najgorzej, nie chwalić się tem, że straciliśmy wszystko i w końcu nas sfantowano... Rzeczy podobne sprawiają na ludziach efekt fatalny... Niech mama powiada lepiej, że sprowadziła ją do Ohrebyszc przywiązanie nieprzewyciężone dla córki i tęsknota za nią, że mama zrobiła, dla przywiązania i tęsknoty, ofiarę... *Ça sonne bien... L'engeance humaine est bête...* Trzymać się więc należy tej drogi do końca...

— Nie możesz się pozbyć kostyczności w najważniejszych momentach... — zauważyła matka.

— Karol ma rację... — podchwyciła córka.

— Cóż powiesz ty?... — zapytała podkomorzyna syna.

— Powiem to, co od lat czterdziestu, jeśli nie więcej, mówi komornik we Frasnówce... Wymyślę sobie pilny jakiś interes i będę się wybierał tak długo, aż wyrośnie ta, co ma być, wedle natchnienia maminego, narzędziem restytucji fortuny przodków moich... Wówczas zobaczymy...

To rzekłszy, począł pan Karol po salonie chodzić, panie zaś toczyły dalej rozmowę, której nie przytaczamy, z powodu, że treść, acz interesująca, nie nadaje się atoli do zaokrąglenia opowiadania.

Do zaokrąglenia nadaje się co innego.

Kacper przeszedłszy bez powitania mimo szwagra, udał się do apartamentu swego i usiadł. W chwilę po nim weszła stara Mędzińska i usiadła naprzeciw syna. Nie mówili do siebie nic, a jednakże toczyła się pomiędzy nimi rozmowa, która się odbywała w sposób następujący. Co syn oczy na matkę podniósł, to ta głową kiwała. Co matka oczy na syna podniosła, to ten

głową kiwał. Trwało to z pół godziny. W końcu Kacper wstał i westchnął:

— Ha!...

Stara wstała, westchnęła i odeszła.

Kacper poszukał w biurku, wydobyl papier jakiś, zapisany w ten sposób w jaki się piszą kwity, i położywszy papier ów na wierzchu, zawołał na lokaja.

— Pójdź — rzekł — poproś do mnie pana Karola...

Pan Karol nie dał na siebie długo czekać. Wkroczył z miną spokojną i uśmiechniętą, i podając szwagrowi rękę, uściśnął dłoń jego z akcentem wyrazistym. Rzucił okiem na papier, uśmiechnął się i odezwał:

— Ja do ciebie nie mam i rościć nie myślę pretensyj żadnych, najmniejszych... Nie zachodzi pomiędzy nami nic i nie nie zajdzie...

— Tem ci lepiej... — odrzekł Kacper nieco ponuro.

— Zostałeś moim szwagrem; przyjechałem odwiedzić siostrę... Zdaje się, tego brać mi za złe nie możesz?...

Kacper gestem dał odpowiedź potakującą.

— I że mi drzwi nie pokażesz?...

— O tem ani myślę...

— A więc?...

— Pragnę jeno zastrzedz się... przeciwko... przeciwko... przeciwko...

Biedny Kacper nie mógł znaleźć wyrazu stosownego. Pan Karol podchwycił:

— Przeciwno mieszaniu się do interesów twoich... Przeciwno mieszaniu się do stosunków pomiędzy tobą a żoną... O! co do tego, bądź spokojny... Najprzód, ja tu miejsca długo nie zagrzeję... Mam interesa... Powtóre, jeżeli przyjechał, to, mijając widzenie się z siostrą, w tym głównie celu, ażeby sprowadzić jakieś w rodzinie zbliżenie... Matka moja miała jakiś tam żal do ciebie; ty miałeś jakiś tam żal do niej... To przecie ustać powinno... Czy nie tego jesteś zdania?...

— Czyż mógłbym być innego!... — odparł zapytany.

— Chodź więc... Chodźmy razem...

Ujął Kacpra pod ramię i Kacper dał się poprowadzić.

Nie było bo zresztą co innego do robienia!

Wkroczyli razem do salonu.

Podkomorzyna na widok zięcia doznała lekkiego wstrząśnienia nerwowego, które wnet ustąpiło miejsca powadze spokojnej a uroczystej.

— Przyprawiam mamie kochanej i przedstawiam — zaczął pan Karol tonem nastrojonym, zarywającym lekko na żartobliwy — pana Kacpra Mędzińskiego, małżonka szczęśliwego księżnej pani, ukochanej córki maminej... Pan Kacper pragnie być przypuszczony do ucałowania ręki maminej...

Ujął rękę podkomorzyny i podstawił takową pod usta Kacprowe. Kacper złożył na niej pocałunek.

Podkomorzyna się odezwała:

— Pan Kacper, spodziewam się, potrafi ofiarę księżnej ocenić...

— Pani... — była Kacpra odpowiedź.

— Boć, że to jest ofiara, wielka, nadzwyczajna, niezrównana ofiara, to cały świat przyzna... Pan Kacper temu nie zaprzeczy... Dalej, na drodze ofiary, zająć nie sposób... Pan Kacper to oceni i czuć będzie wdzięczność tak dla tej kobiety, co nazwisko jego wzięła, jak dla tej, co, czuwając nad jej dzieciństwem i wychowaniem, do takiego zaparcia się siebie samej przysposobiła... Jest tu ofiara księżnej, jest oraz i ofiara moja...

— Amen... — rzekł pan Karol.

I rozpoczęło się pożycie małżeńskie dwojga ludzi, którzy się znali oddawna, którym jednak nigdy ani się śniło, ażeby los mógł ich węzłem małżeńskim skojarzyć. Przyszło to... na drodze ofiarnej, będącej, wedle mniemania naszego, drogą fantastyczną, równoległą do drogi obowiązków. Równoległość, jak każdemu z matematyki wiadomo, to sprawa, że się te drogi zejść nie mogą. Pierwsza prowadzi w krainę fantazji i doprowadza może do królestwa niebieskiego — nie wiem — to rzecz nie moja: jest to rzecz, której teologowie, nie zaś powieściopisarze dowodzić mają; druga idzie po ziemi, po twardym gruncie, ma cel wytknięty, do którego kroczących po niej prowadzi, ma prawa wyraźne od zboczeń broniące i przedstawia tę korzyść bardzo ważną, że z logiką pozostaje w zgodzie. Zdaje nam się, że na tej drodze ostatniej nie mogłyby się nawiązywać awantury i zdarzenia, z których wyklęło się stadło, tak niedobre jak księżna i Kacper.

Biedny Kacper!

Biedna Franusia jego!

Sąsiedzi, poinformowani zwykle dobrze o tem, „jak kto siedzi“, o Kacprze powiadali, że padł ofiarą. Nam zaś zdaje się, że powiedzenie to właściwiej zastosowaćby należało do jego dziecka, które się dostało w ręce macoszyne... straszliwie macoszyne! Nie możemy jednak rozpisywać się już o tem. Dodamy tylko, że ta rozmowa pomiędzy matką a synem, którąśmy podali powyżej, powtarzała się od czasu do czasu, w odstępach nieregularnych. Stara Mędzińska siadała naprzeciw Kacpra i kiwali do siebie głowami. Rozmowa ta powtarzała się tak długo, aż staruszka umarła. Od chwili tej Kacper kiwał głową sam do siebie i powiadał:

— Ofiara kością mi w gardle stoi!...

Śłodkiem musiało być pożycie jego. A!...



KONIEC.

